

Michael Crichton

PARK JURAJSKI

Jurassic Park

Tłumaczenie: Krzysztof Bednarek

Tom 1 Cyku: Jurassic Park



redakcja: Wujo Przem
(2015)

Gady są odrażające z powodu zimnego ciała, bladego ubarwienia, chrzęstnego szkieletu, obrzydliwej skóry, groźnego wyglądu, wyrachowanego spojrzenia, nędznego środowiska, w jakim żyją, oraz straszliwego jadu. Dlatego też Stwórca powściągnął Swą potęgę i nie uczynił ich wiele.

Linneusz, XVIII w.

Nie sposób cofnąć w niebyt nowej formy życia.

Erwin Chargaff, 1972

WPROWADZENIE

„WYPADEK W INGENIE”

Pod koniec XX wieku nastała w nauce istna gorączka złota – zajadły wyścig, kto pierwszy zarobi na inżynierii genetycznej. Dziedzina ta rozwija się tak gwałtownie i towarzyszy jej tak nikły dyskurs, że mało kto rozumie skalę i konsekwencje tego zjawiska.

Biotechnologia niesie zapowiedź najbardziej rewolucyjnych zmian w historii ludzkości. Jeszcze przed końcem bieżącej dekady będzie wywierała większy wpływ na nasze życie codzienne niż energia atomowa czy komputery. Jak stwierdził pewien obserwator jej rozwoju: „Biotechnologia odmieni każdy aspekt ludzkiego życia: opiekę zdrowotną, żywność, nasze zdrowie, rozrywki i nasze ciała. Nic nie będzie już takie samo jak przedtem. Biotechnologia dosłownie zmieni oblicze naszej planety”.

Ponadto rewolucja biotechnologiczna różni się od dawniejszych przełomów w dziedzinie nauki, i to w trzech aspektach.

Po pierwsze, dokonuje się w licznych ośrodkach. Era atomowa nastała dzięki pracom prowadzonym w jednej instytucji – amerykańskim laboratorium w Los Alamos. Era komputerów – w wyniku wysiłków naukowców z kilkunastu firm. Tymczasem w samych Stanach Zjednoczonych badania biotechnologiczne prowadzi dziś ponad dwa tysiące ośrodków. Pięćset korporacji wydaje na nie w sumie pięć miliardów dolarów rocznie.

Po drugie, znaczna część badań w dziedzinie biotechnologii prowadzona jest w nieprzemysłany czy też niepoważny sposób. Próby wyhodowania jaśniejszych psrągów, które będzie łatwiej dostrzec w wodzie, łatwiejszych w obróbce drzew o kwadratowym prze kroju czy też wstrzykiwalnych komórek zapachowych, dzięki którym człowiek zawsze będzie mógł pachnieć swoimi ulubionymi perfumami, brzmią jak żarty, lecz nimi nie są. W rzeczy samej to, że biotechnologię da się zastosować w działach wytwórczości z natury związanych z modą – w przemyśle kosmetycznym czy rekreacji i turystyce – wzmacnia obawy, iż korzystanie z tej nowej techniki o potężnych możliwościach będzie niefrasobliwe.

Po trzecie, badania te nie podlegają kontroli, nadzorowi żadnej instytucji, nie reguluje ich prawo. Władze – czy to amerykańskie, czy też rządy innych krajów – nie wypracowały w omawianej dziedzinie spójnej polityki. Trudno o mądrą politykę wobec zjawiska, które wiąże się z produkcją zarówno leków, jak i zbóż czy też, na przykład, sztucznego śniegu.

Najbardziej niepokojący jest jednak fakt, iż w samym środowisku naukowym nie ma ludzi, którzy pilnowaliby innych. Warto zwrócić uwagę, że niemal każdy aktywny biotechnolog ma jakiś udział w próbach komercyjnego zastosowania swojej nauki. Nie ma zewnętrznych obserwatorów. Każdy może liczyć na zysk.

* * *

Komercjalizacja biologii molekularnej to najbardziej szokujące wydarzenie w całej historii etyki badań naukowych. Nastąpiła ona zdumiewająco szybko. Na przestrzeni czterystu lat, które upłynęły od czasów Galileusza, badania naukowe prowadzono zawsze swobodnie i otwarcie, dociekając, jakimi prawami rządzi się przyroda. Od zarania dziejów naukowcy nie zamykali swojej działalności w granicach państw, stojąc ponad polityką, nierzadko nie zwracając uwagi na toczony przez ich kraje wojny. Buntowali się ponadto przeciwko tajności badań, ściągając brwi nawet na myśl o patentowaniu własnych odkryć, mieli bowiem poczucie, iż pracują dla dobra całej ludzkości. Przez wiele pokoleń odkrycia naukowe rzeczywiście prowadzone były w pewnym sensie bezinteresownie.

Kiedy w 1953 roku dwaj młodzi brytyjscy badacze, James Watson i Francis Crick, odkryli strukturę DNA, ich dzieło okrzyknięto triumfem ludzkiego ducha, zwieńczeniem wielowiekowych dążeń człowieka do zrozumienia świata w sposób naukowy. Z ufnością oczekiwano, że będzie ono kontynuowane dla pożytku ludzkości, a nie czyichś partykularnych interesów.

Tak się jednak nie stało. Trzydzieści lat później niemal wszyscy naukowcy zajmujący się dziedziną zapoczątkowaną przez Watsona i Cricka poświęcali się działalności o zupełnie innym charakterze. Badania w zakresie biologii molekularnej stały się zakrojonym na szeroką skalę przedsięwzięciem komercyjnym, w które inwestuje się miliardy dolarów. Jego początek można datować nie na 1953 rok, ale na kwiecień 1976 roku.

Wtedy to odbyło się słynne spotkanie Roberta Swansona, inwestora zajmującego się kapitałem wysokiego ryzyka, z Herbertem Boyerem, biochemikiem z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Założyli wspólnie przedsiębiorstwo, którego celem było komercyjne wykorzystanie opracowanej przez Boyera techniki łączenia genów.

I nagle wybuchło coś na kształt gorączki złota. Niemal co tydzień ogłaszano powstanie nowej firmy, genetycy ustawiali się w kolejce po zatrudnienie w komercyjnych przedsiębiorstwach. W 1986 roku w radach firm biotechnologicznych zasiadało już co najmniej trzysta sześćdziesięcioro dwoje naukowców, z tego sześćdziesięcioro czworo członków amerykańskiej Akademii Nauk. Liczba tych, którzy mieli udziały w spółkach lub byli ich konsultantami, była kilkakrotnie większa.

Należy podkreślić, jak znacząca stała się opisywana zmiana podejścia do badań. W przeszłości badacze zajmowali się czystą nauką, spoglądając na biznes z góry. Ich zdaniem pogoń za pieniędzmi była zajęciem nieciekawym z intelektualnego punktu widzenia, godnym handlarzy. Badaniami dla przemysłu – nawet w tak prestiżowych ośrodkach jak Laboratoria Bella czy IBM – zajmowali się jedynie ci, którzy nie zdołali znaleźć posad na uczelniach. Dlatego naukowcy z prawdziwego zdarzenia z zasady patrzyli krytycznie na przemysł oraz na pracę tych, którzy starali się znaleźć konkretne zastosowania dla wyników badań naukowych. Ta zadawniona niechęć sprawiała, że pracujący na uczelniach naukowcy starali się trzymać z dala od hańbiących ich zdaniem związków z przemysłem. Kiedy tylko podejmowano debatę

nad zagadnieniami technicznymi, łatwo było o naukowców, którzy prowadzili ją na najwyższym poziomie, niezainteresowani konkretnymi rozstrzygnięciami.

Wszystko to odeszło w przeszłość. Dziś jest bardzo niewiele biologów molekularnych niezaangażowanych w biznes, jak również niekomercyjnych instytucji badawczych. Wciąż prowadzi się badania genetyczne, i to w bardziej szaleńczym niż kiedykolwiek tempie, robi się to jednak w tajemnicy i w pośpiechu, dla zysku.

* * *

Nic dziwnego, że w takim klimacie powstała firma o ogromnych ambicjach: International Genetic Technologies, Inc. z Palo Alto. Nie dziwi też, że nikt nie zwrócił uwagi na katastrofę, do której doprowadziła działalność tej spółki. W końcu InGen – jak nazywano go w skrócie – prowadził badania w tajemnicy, wypadek zaś zdarzył się w najtrudniej dostępnym rejonie Ameryki Środkowej. Jego świadkami było tylko kilkanaście osób, a przeżyło zaledwie kilka.

Nawet pod koniec tej historii, kiedy piątego października 1989 roku firma InGen wystąpiła do sądu w San Francisco o ochronę przed wierzycielami, rozprawa nie wzbudziła zainteresowania środków masowego przekazu. Wydawała się czymś banalnym – InGen był trzecią z kolei niewielką amerykańską spółką biotechnologiczną, która upadła w tamtym roku, a siódmą od roku 1986. Ujawniono tylko niewielką część sądowej dokumentacji, ponieważ kredytodawcami firmy były japońskie konsorcja inwestycyjne, takie jak Hamaguri czy Densaka, znane z unikania rozgłosu. Aby nie doszło do niepotrzebnego przecieku do mediów, doradca prawny InGenu, Daniel Ross z kancelarii Cowan, Swain i Ross, reprezentował także japońskich inwestorów. Niespodziewanie jednak pozew do sądu wniósł wicekonsul Kostaryki. Wysłuchano go za zamkniętymi drzwiami. Nic dziwnego, że w ciągu miesiąca sąd rozstrzygnął sprawę polubownie, nie informując o niczym opinii publicznej.

Strony rozprawy – w tym złożona z szanowanych osób rada naukowa spółki – podpisały zobowiązanie o nieujawnianiu jej przebiegu. Nikt z sygnatariuszy nie pisał słowa na temat tego, co się stało. Jednak wielu spośród głównych bohaterów „wypadku w InGenie” nie podpisało tego zobowiązania i bez wahania opowiadali oni o dramatycznych wydarzeniach, których kumulacja nastąpiła podczas dwóch ostatnich dni sierpnia 1989 roku, na odosobnionej wysepce położonej na zachód od wybrzeży Kostaryki.

PROLOG:

UKASZENIE DRAPIEŻNIKA

Fale tropikalnej ulewy rozbijały się z łoskotem o blaszany dach budynku szpitala, woda spływała z hukiem metalowymi rynnami i rozbryzgiwała się na ziemi. Roberta Carter spojrzała w okno i westchnęła. Ze szpitalika ledwo było widać plażę i spowity mgłą ocean. Nie tego oczekiwała, przyjeżdżając do wioski rybackiej Bahia Anasco na zachodnim wybrzeżu Kostaryki. Bobbie – jak nazywała samą siebie Roberta – miała spędzić tu dwa miesiące w charakterze wizytującej lekarki. Spodziewała się, że po dwóch okropnych latach, które przepracowała na oddziale medycyny ratunkowej szpitala Michaela Reese'a w Chicago, będzie mogła zrelaksować się w słonecznym południowym kraju.

Od jej przybycia do Bahia Anasco minęły trzy tygodnie i jak na razie codziennie padało.

Poza tym wszystko było w porządku. Bobbie podobało się, że wioska jest oddalona od innych ludzkich siedzib, lubiła przyjazne usposobienie jej mieszkańców. System opieki zdrowotnej w Kostaryce należy do dwudziestu najlepszych na świecie i nawet ten wiejski szpitalik na wybrzeżu był dobrze wyposażony i zaopatrzony. Sanitariusz, który pomagał Bobbie, Manuel Aragón, był doskonale wyszkolonym, inteligentnym człowiekiem. Bobbie mogła praktykować tu medycynę na takim samym poziomie jak w Chicago.

Gdyby tylko nie ten deszcz! Lało bez przerwy!

– Słyszysz pani? – odezwał się z drugiego końca gabinetu Manuel, przekrzywając głowę.

– Słyszę aż za dobrze – mruknęła Bobbie.

– Nie o to mi chodzi. Proszę posłuchać...

Do uszu Bobbie doleciał jakiś odgłos zmieszany z szumem deszczu. Nowy rytmiczny dźwięk narastał, stawał się coraz bardziej wyraźny. Warkot helikoptera.

Nie mogą latać w taką pogodę! – pomyślała Bobbie. Warkot stawał się jednak coraz donośniejszy, aż wreszcie nisko lecąca maszyna wyłoniła się z mgły nad oceanem, przeleciała z łoskotem nad szpitalem, zrobiła okrążenie i nadleciała znowu. Bobbie patrzyła, jak śmigłowiec zawraca znad wody, skręca ku chwiejącemu się drewnianemu nabrzeżu, a potem zawraca w stronę plaży...

Piloci szukali miejsca do lądowania.

Był to duży helikopter, jeden z tych, które produkuje koncern Sikorsky. Na burcie miał niebieski pas i napis „InGen Construction”. Tak nazywa się firma, która buduje kurort na jednej z pobliskich wysp. Podobno ma być zachwycający i bardzo zaawansowany technologicznie, wielu miejscowych pracuje przy jego budowie, a ta trwa już ponad dwa lata. Bobbie wyobrażała sobie olbrzymi ośrodek wypoczynkowy w amerykańskim stylu, z basenami i kortami tenisowymi, w którym goście będą się zabawiali, popijając koktajle z rumu i soku cytrynowego, nie mając pojęcia o kraju, do którego przyjechali, i o tym, jak naprawdę się w nim żyje.

Ciekawe, co zdarzyło się na wyspie, skoro wysłali śmigłowiec w taką pogodę. Maszyna usiadła na piasku i Bobbie zobaczyła przez jej przednią szybę, że pilot odetchnął z ulgą. Z helikoptera wyskoczyli umundurowani mężczyźni i rozsunęli duże boczne drzwi. Rozległy się nerwowe okrzyki po hiszpańsku. Manuel trącił lekko Bobbie.

Przybysze wołali o lekarza.

* * *

Dwóch czarnoskórych lotników przydzwigało do Bobbie jakąś nieprzytomną osobę, przy akompaniamencie energicznych rozkazów wydawanych przez białego mężczyznę w połyskującym żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Mężczyzna miał czapeczkę baseballową nowojorskiej drużyny Metsów i rude włosy.

– Jest tu lekarz?! – krzyknął do podbiegającej Bobbie.

– Ja jestem lekarzem. Doktor Carter – przedstawiła się. Ciężkie krople deszczu uderzały w jej głowę i ramiona. Rudy mężczyzna ściągnął brwi na widok kobiety w obciętych dżinsach i bluzce bez rękawów, z zardzewiałym od wiszącej w powietrzu soli i wilgoci stetoskopem na szyi.

– Ed Regis. Przywieźliśmy ciężko rannego człowieka.

– W takim razie zawieźcie go lepiej do San José – poradziła Bobbie. Stolica Kostaryki była odległa zaledwie o dwadzieścia minut lotu śmigłowcem.

– Chcielibyśmy, ale nie przelecimy przez góry przy tej pogodzie. Pani musi się nim zająć, pani doktor.

Bobbie ruszyła truchtem obok noszy. Chory był bardzo młody, nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Bobbie odchyliła jego zakrwawioną koszulę i zobaczyła wielkie, głębokie rozcięcie na ramieniu. Drugie, podobne, znajdowało się na nodze.

– Co mu się stało? – spytała.

– Wypadek na budowie – wyjaśnił Ed. – Spadł i zawadziła go łyżką koparka.

Chłopak był blady i drżał.

Manuel stanął przy jasnozielonych drzwiach szpitalika i pokazał przybyszom drogę. Mężczyźni położyli rannego na stole pośrodku sali. Manuel podłączył kroplówkę, a Bobbie skierowała na pacjenta światło lamp i zaczęła oglądać rany. Od razu stwierdziła, że rokowanie jest złe. Była prawie pewna, że chłopak umrze.

Wielka rana szarpana sięgała od ramienia w dół tułowia, tkanki były porozdzierane, bieleły się odsłonięte kości przemieszczonego ramienia. Rozcięcie na udzie było tak głębokie, że widać było pulsującą tętnicę udową. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał otworzyć udo chłopaka, rozdzierając je.

– Opowiedzcie mi dokładnie, jak powstały te rany – poleciła Bobbie.

– Ja tego nie widziałem – zastrzegł się Ed. – Mówią, że pociągnęła go po ziemi koparka.

– Pytam, bo wygląda to tak, jakby poszarpało go jakieś zwierzę. – Bobbie obmacała rany. Podobnie jak większość lekarzy z oddziałów ratunkowych szpitali doskonale pamiętała

niektórych pacjentów, nawet tych sprzed lat. Widziała dwóch poranionych przez zwierzęta – jeden był dwuletnim dzieckiem pogryzionym przez rottweilera, drugim pijany pracownik cyrku, który dostał się w paszczę tygrysa bengalskiego. Obie rany były podobne do tych. Kły zwierzęcia dokonują zniszczeń w charakterystyczny sposób.

– Zwierzę? Nie, nie, to była koparka, naprawdę. – Ed oblizał usta. Był zdenerwowany jak człowiek, który robi coś złego. Bobbie zastanawiała się, o co chodzi. Jeżeli przy budowie ośrodka zatrudniają niewykwalifikowanych mieszkańców okolicznych wiosek, wypadki zdarzają się pewnie co chwila.

– Przemyć rany? – spytał Manuel.

– Tak, po unieruchomieniu pacjenta.

Bobbie nachyliła się, naciskając ranę końcami palców. Gdyby to była koparka, w ranie znajdowałyby się grudki ziemi. Tymczasem rana była czysta, jeśli nie liczyć połyskującej piany. Jej woń była dziwna, przypominała zgniliznę, zapach śmierci i rozkładu. Takiego zapachu Bobbie jeszcze nigdy nie czuła.

– Kiedy doszło do wypadku?

– Godzinę temu.

Znowu zwróciła uwagę, że Regis jest bardzo spięty. Był jednym z tych wybuchowych typów. I nie wyglądał na majstra budowlanego, raczej na dyrektora. Z pewnością wykonywał zadanie wykraczające poza jego kompetencje.

Bobbie znów zajęła się ranami. Jakoś nie wierzyła, że zadało je urządzenie mechaniczne. Wyglądały inaczej. Nie były brudne, nic nie zostało zmiażdżone, a przecież wypadkom samochodowym czy przemysłowym towarzyszą zazwyczaj zmiżdżenia. A tu nic takiego, tylko wyraźne głębokie rozcięcie i rozszarpana skóra – w poprzek ramienia oraz uda.

Takie rany zadaje zwierzę. Choć z drugiej strony reszta ciała pacjenta była nietknięta, a w przypadku osób zaatakowanych przez zwierzęta jest inaczej. Bobbie obejrzała uważnie głowę chłopaka, potem jego ręce...

Och! Przeszedł ją dreszcz, kiedy zobaczyła dłonie chłopaka. Na obu widoczne były krótkie, głębokie rozcięcia, a przedramiona i nadgarstki były posiniaczone. Pracowała w Chicago dostatecznie długo, żeby wiedzieć, co to oznacza.

– Dobrze, proszę poczekać na zewnątrz – poleciła.

– Dlaczego? – Ed wydawał się zaniepokojony. Nie podobało mu się, że ma wyjść.

– Chce pan, żebym mu pomogła, czy nie? – Bobbie wypchnęła mężczyznę za drzwi i zamknęła je, mimo że nie chciał wyjść. Nie wiedziała, o co chodzi, ale ta sytuacja jej się nie podobała.

– Czy mam nadal przemywać rany? – upewnił się Manuel.

– Tak. – Bobbie sięgnęła po małego kompaktowego olympusa i zrobiła kilka zdjęć ran, pomagając sobie zmiennym ustawieniem szpitalnych lamp. To naprawdę wygląda na ukąszenia, myślała. Wtedy chłopak jęknął. Odłożyła aparat i nachyliła się.

– *Raptor* – usłyszała. – *Lo sa raptor...*

Manuel zamarł i cofnął się przerażony.

– Co to znaczy?

– Nie wiem, pani doktor – odpowiedział, kręcąc głową. – *Lo sa raptor... no es español.*

– Nie? – Dla niej brzmiało to po hiszpańsku. – Proszę nadal przemywać rany.

– Nie mogę, pani doktor. To niedobry zapach – odparł Manuel, marszcząc nos, po czym się przeżegnał.

Bobbie jeszcze raz spojrzała na połyskującą pianę we wnętrzu rany. Dotknęła jej i roztarta w palcach. Wyglądała jak ślina... Usta rannego poruszyły się.

– *Raptor* – jęknął znowu.

– To coś go ugryzło! – wyszeptał przerażony Manuel.

– Co go ugryzło?

– *Raptor*.

– Co to jest *raptor*?

– *Hupia*.

Bobbie ściągnęła brwi. Kostarykanie nie byli szczególnie przesądni, jednak słyszała już we wsi słowo *hupia*. Opowiadano, że to złe nocne duchy, pozbawione twarzy wampiry porywające małe dzieci. Według miejscowych wierzeń *hupia* żyły niegdyś w górach Kostaryki, a teraz zamieszkują pobliskie wyspy.

Manuel wciąż się cofał, mrucząc coś pod nosem i żegnając się.

– To nie jest normalny zapach – ocenił. – To *hupia*.

Bobbie już zamierzała kazać mu wrócić do pracy, kiedy nagle ranny chłopak otworzył oczy i usiadł. Manuel krzyknął z przerażenia, a wtedy chłopak jęknął, rozejrzał się z szeroko otwartymi oczami, po czym obficie zwymiotował krwią i dostał drgawek. Bobbie przytrzymała go, ale jego ciałem wstrząsały tak silne konwulsje, że spadł ze stołu na betonową podłogę. I znów zwymiotował krwią. Teraz krew była po prostu wszędzie. Ed otworzył drzwi.

– Co tu się dzieje?! – krzyknął.

Zobaczywszy krew, odwrócił się, zasłaniając usta dłonią. Bobbie skoczyła po szpatułkę, żeby wepchnąć ją między zaciśnięte szczęki pacjenta. Wiedziała jednak, że sytuacja jest beznadziejna. Ciało chłopaka szarpnęło się jeszcze raz, po czym rozluźniło i znieruchomiało.

Bobbie nachyliła się, żeby przeprowadzić sztuczne oddychanie metodą usta-usta, jednak Manuel złapał ją mocno za ramię i odciągnął.

– Nie! – krzyknął. – *Hupia* się przeniesie.

– Manuelu, na litość boską...

– Nie! – Sanitariusz wpatrywał się w nią intensywnie. – Nie rozumie pani tych rzeczy.

Bobbie popatrzyła na ciało i stwierdziła, że może spokojnie dać za wygraną. Nie przywróci tego człowieka do życia. Manuel zawołał mężczyzn, a ci wynieśli martwego chłopaka. Dopiero wtedy znowu zajrzał Ed, wycierając usta wierzchem dłoni.

– Nie wątpię, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy... – mruknął.

Na oczach Bobbie mężczyźni przenieśli ciało do helikoptera i po chwili maszyna odleciała z łoskotem.

– Tak będzie lepiej – skomentował Manuel.

Bobbie pomyślała o dłoniach zmarłego. Były pokaleczone, posiniaczone – tak wyglądają ręce broniącego się człowieka. Miała pewność, że obrażenia chłopaka nie powstały w wyniku wypadku na budowie. Został zaatakowany i zasłaniał się przed napastnikiem rękami.

– Gdzie leży wyspa, z której przylecieli? – zapytała.

– Na oceanie. Jakies sto sześćdziesiąt, może sto dziewięćdziesiąt kilometrów od brzegu.

– To bardzo daleko jak na ośrodek wypoczynkowy – zauważyła.

– Mam nadzieję, że nigdy nie wrócą. – Manuel patrzył na znikający helikopter.

Zostały mi przynajmniej zdjęcia, pomyślała Bobbie. I wtedy stwierdziła, że jej aparat zniknął.

* * *

Tego samego wieczoru deszcz wreszcie przestał padać. Bobbie siedziała w ciszy w swojej sypialni na tyłach szpitalika, szperając w zniszczonym podręcznym słowniku języka hiszpańskiego. Szukała słowa *raptor*, które wypowiedział umierający chłopak. Wbrew temu, co mówił Manuel, podejrzewała, że jest hiszpańskie. No właśnie – znalazła. *Raptor* – gwałcieciel, porywacz.

Znieruchomiała na chwilę. *Raptor* znaczy w przybliżeniu to samo co *hupia*. Bobbie nie wierzyła w przesady. Zresztą to nie duchy zadają takie obrażenia, jakie widziała u chłopaka. Co on próbował jej powiedzieć?

Usłyszała jęki zza ściany. Jedna z wiejskich kobiet zaczęła rodzić, czuwała przy niej Elena Morales, miejscowa położna. Bobbie przeszła do sali szpitalnej i skinęła na Elenę, aby na chwilę wyszła na dwór.

– Pani Eleno...

– Si, pani doktor?

– Czy wie pani, co to jest *raptor*?

Krzepka, siwowłosa, bystra sześćdziesięciolatka ściągnęła brwi.

– *Raptor*? – powtórzyła, stojąc w półmroku. Na nocnym niebie świeciły gwiazdy.

– Tak. Czy zna pani takie słowo?

– Si. – Elena skinęła głową. – Oznacza kogoś, kto... przychodzi w nocy i porywa dziecko.

– To porywacz? – upewniła się Bobbie.

– Tak.

– *Hupia*?

Starsza położna otworzyła szeroko oczy nagle zaniepokojona.

– Niech pani nie wymawia tego słowa, pani doktor.

– Dlaczego nie?

– To bardzo niemądre wspominać teraz o *hupii* – wyjaśniła stanowczo Elena, wskazując ruchem głowy drzwi, zza których dobiegały jęki rodzącej kobiety.

– Czy raptor gryzie i okalecza swoje ofiary?

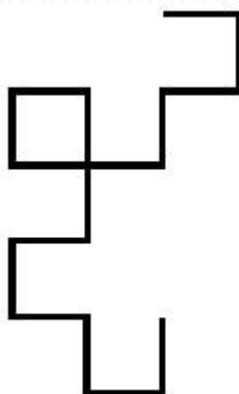
– Gryzie i okalecza? – Elena nie kryła zdziwienia. – Nie, pani doktor. Skądże znowu. *Raptor* to człowiek, który porywa nowo narodzone dziecko. – Wydawała się rozdrażniona, najwyraźniej miała dość tej rozmowy. – Zawołam panią, kiedy zacznie się właściwy poród, pani doktor – zakończyła, ruszając do drzwi. – Myślę, że nastąpi to za jakąś godzinę czy dwie.

Bobbie podniosła wzrok i popatrzyła w gwiazdy, słuchając kojącego plusku łagodnych morskich fal. W ciemności majaczyły zakotwiczone przy brzegu łodzie rybackie. Było spokojnie i cicho, rozmowa o wampirach czy porywanych dzieciach wydawała się pozbawiona sensu.

Manuel upierał się, że słowo *raptor* nie jest hiszpańskie, rozmyślała Bobbie, wracając do sypialni. Z ciekawości zajrzała do małego słownika języka angielskiego. Ku swojemu zdziwieniu także i w nim znalazła to zagadkowe słowo:

raptor [z łac. raptor – łupieżca; fr. raptus] – ptak drapieżny.

ITERACJA PIERWSZA



Na obrazach krzywej fraktalnej z początkowego stadium jej rozwoju leżący u jej podstaw opis matematyczny ujawnia się w niewielkim stopniu.

Ian Malcolm

PRAWIE JAK WRAJU

Mike Bowman prowadził samochód i pogwizdywał wesoło. Za oknami land rovera przesuwał się rezerwat Cabo Blanco na zachodnim wybrzeżu Kostaryki. Lipcowy poranek był piękny, a widoki zachwycające – droga wiodła wzdłuż krawędzi wysokiego klifu wyznaczającego granicę między dżunglą a błękitem Pacyfiku. Przewodniki mówiły, że Cabo Blanco to nietknięty ludzką ręką pierwotny i dziki raj. Spoglądając nań z bliska, Mike czuł, że jego wakacje nareszcie przebiegają jak należy.

Mike Bowman miał trzydzieści sześć lat i był właścicielem firmy budowlanej z Dallas. Przyjechał do Kostaryki z żoną i córką na dwutygodniowy urlop. To właśnie Ellen – żona Mike'a – wymyśliła tę podróż. Dużo opowiadała mu o cudownych parkach narodowych tego kraju, mówiła, że ich córka Tina powinna je zobaczyć. Jednak gdy tylko wylądowali w Kostaryce, okazało się, że Ellen ma umówiony zabieg u chirurga plastycznego w San José. Dopiero wtedy Mike usłyszał od żony, że w Kostaryce chirurgia plastyczna jest tania i na znakomitym poziomie i że w San José roi się od luksusowych prywatnych szpitalików.

Rzecz jasna, okropnie się pokłócili. Mike czuł się, jakby Ellen go okłamała. Tak, zrobiła to. Wypowiedział się w tej sprawie stanowczo. Cóż to zresztą za idiotyczny pomysł?! Ellen ma dopiero trzydzieści lat i jest piękna. Niecałe dziesięć lat temu została nawet Królową

Roku, kiedy kończyła Uniwersytet Rice'a. Jest zbyt mało pewna siebie, niepotrzebnie martwi się o różne rzeczy. Od paru lat chyba najbardziej boi się, że wkrótce się zestarzeje i będzie brzydka.

Zresztą ona martwi się o wszystko!

Land rover wpadł w dziurę, rozbryzgując błoto.

– Mike, jesteś pewny, że to dobra droga? – odezwała się Ellen z fotela obok. – Od kilku godzin nie widzieliśmy żywej duszy.

– Piętnaście minut temu mijaliśmy samochód – przypomniał Mike. – Taki niebieski. Nie pamiętasz?

– Jechał w przeciwnym kierunku...

– Kochanie, przecież chciałaś znaleźć się na dziewiczej plaży. Właśnie na taką jedziemy.

– Mam nadzieję... – mruknęła bez przekonania Ellen, kręcąc głową.

– Ja też, tato – wtrąciła się ośmioletnia Christina siedząca z tyłu. – Mam nadzieję, że jedziesz dobrą drogą.

– To naprawdę jest dobra droga. Zaufajcie mi. – Mike prowadził przez chwilę w milczeniu. – Pięknie tu, prawda? Popatrzcie. Ależ tu pięknie.

– Nieźle – zgodziła się Tina.

Ellen wyjęła puderniczkę i przejrzała się w lusterku. Nacisnęła palcami skórę pod oczami, po czym z westchnieniem zamknęła puderniczkę.

Droga zaczęła schodzić w dół i Mike skupił się na prowadzeniu samochodu. Nagle, tuż przed nimi, przemknęło przez drogę jakieś nieduże czarne zwierzę.

– Patrzcie, patrzcie! – zawołało dziecko. Zwierzę znikło.

– Co to było? – spytała Ellen. – Małpa?

– Może sajmiri? – wysunął przypuszczenie Mike.

– Mogę wpisać, że sajmiri? – Dziewczynka wyjęła ołówek. W ramach pracy wakacyjnej sporządzała listę wszystkich zwierząt, jakie widziała podczas podróży.

– Nie wiem...

Tina popatrzyła na fotografię w przewodniku.

– Nie, to chyba nie była sajmiri – orzekła. – To pewnie tylko jeszcze jeden wyjec. – Widzieli już kilka wyjców. – Wiecie, co tu jest napisane? *Na plażach Cabo Blanco roi się od rozmaitych dzikich zwierząt, takich jak wyjce, kapucynki czarno-białe, leniwce i ostronosy.* Myślisz, tato, że zobaczymy leniwca?

– No pewnie! Mogę się założyć.

– Serio?

– Wystarczy, że spojrzysz w lusterko.

– Bardzo śmieszne!

Droga wyraźnie schodziła w dół, przez dżunglę, ku oceanowi.

* * *

Gdy wreszcie znaleźli się na plaży, Mike Bowman czuł się jak bohater. Plaża była biała, piaszczysta i zupełnie pusta. Wyglądała jak ogromny półksiężyc długości mniej więcej trzech kilometrów. Mike zaparkował land rovera w cieniu rosnących wzdłuż plaży palm i wyjął skrzynki z jedzeniem. Ellen przebrała się w kostium kąpielowy, narzekając:

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak mam zrzucić tę nadwagę.

– Wyglądasz ślicznie, kochanie – zapewnił Mike. Tak naprawdę uważał, że jego żona jest za chuda. Nauczył się jednak tego nie mówić.

Tina już biegła po plaży.

– Nie zapomnij, że trzeba cię posmarować emulsją do opalania! – krzyknęła Ellen.

– Potem! – odkrzyknęła dziewczynka, oglądając się przez ramię. – Sprawdzę, czy jest tu gdzieś leniwiec!

Ellen rozejrzała się po plaży, popatrzyła na drzewa.

– Myślisz, że nic jej się nie stanie? – zapytała męża.

– Kochanie, w promieniu paru kilometrów nie ma nikogo.

– A węże?

– Na litość boską – zdenerwował się Mike – na plaży nie ma węży.

– A gdyby jakiś przepęłził?

– Moja droga, węże są zmiennocieplne – zaczął tłumaczyć zdecydowanym tonem Mike. – To gady. Nie są w stanie same utrzymywać odpowiedniej temperatury ciała. Piasek jest tak rozgrzany, że wąż umarłby z gorąca, gdyby na niego wypełził. Możesz być pewna, że na plaży nie ma węży. – Popatrzył na biegnącą truchtem córeczkę. Była już widoczna tylko jako ciemna figurka na białym piasku. – Niech biega i dobrze się bawi. – Mike przytulił żonę.

* * *

Tina biegła tak długo, aż się zmęczyła. Wtedy rzuciła się na piasek i wesoło poturlała się do wody. Ocean był ciepły i bardzo spokojny, prawie nie było fal. Dziewczynka siedziała przez chwilę zdyszana, a potem obejrzała się, żeby sprawdzić, jak bardzo oddaliła się od rodziców i samochodu.

Mama zamachała, przywołując ją z powrotem. Tina odmachnęła jej wesoło, udając, że nie rozumie. Wcale nie miała ochoty na emulsję do opalania. Poza tym nie chciała wracać i słuchać, jak mama znowu mówi o odchudzaniu się. Miała zamiar tu zostać, i może zobaczyć leniwca.

Widziała już leniwca dwa dni wcześniej w zoo w San José. Wyglądał jak muppet, wydawał się zupełnie niegroźny. W każdym razie nie umiał szybko się poruszać, Tina na pewno by mu uciekła.

Mama zaczęła wołać. Tina postanowiła wyjść z wody i schować się w cieniu palm, bo słońce mocno grzało. W tym miejscu pod palmami rosło coś przypominającego splecione sękaty korzenie – namorzyny. Nie można było przejść przez nie w głąb lądu. Tina usiadła na piasku i zabawiała się kopaniem suchych liści. Zauważyła, że na piasku jest dużo śladów

ptaków. Kostaryka słynie z ptaków. W przewodnikach napisano, że jest tu trzy razy tyle gatunków ptaków co w całych Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Niektóre ślady ptasich nóg, z trzema palcami, były małe i ledwo widoczne. A inne – większe i głębiej odcisnięte w piasku. Tina patrzyła na nie i nagle usłyszała w namorzynowej gęstwinie jak gdyby ćwierkanie, a potem szelest.

Czy leniwce ćwierkają? Tina nie była pewna, choć wydawało jej się, że nie. Pewnie to jakiś oceaniczny ptak. Znieruchomiała i czekała. Po chwili szelest się powtórzył i w końcu zobaczyła zwierzę – kilka metrów od niej spomiędzy korzeni wyłoniła się jaszczurka. Patrzyła na Tinę.

Dziewczynka wstrzymała oddech. Nowe zwierzę do mojej listy! Tymczasem jaszczurka stanęła na tylnych łapach, balansując grubym ogonem, i wpatrywała się w nią. Kiedy zwierzątko tak stało, miało chyba ze trzydzieści centymetrów wysokości. Było ciemnozielone z brązowymi paskami na grzbiecie. Przednie łapki miało malutkie, poruszało jaszczurkowymi palcami. Przekrzywiło łebek.

Ładna, pomyślała Tina. Trochę jak duża salamandra. Dziewczynka uniosła rękę i także poruszyła palcami.

Jaszczurka wcale się nie bała. Podeszła, poruszając się na tylnych łapach. Była trochę większa od kurczaka i kiedy szła, śmiesznie kiwała głową, właśnie jak kurczak. Fajnie byłoby mieć taką jaszczurkę w domu zamiast psa albo kota!

Tina zobaczyła, że jaszczurka zostawia trójpalczaste ślady, dokładnie takie same jak ślady ptaków. Zwierzątko się zbliżyło. Tina nie poruszała się, żeby go nie przestraszyć. Była bardzo zdziwiona, że podeszło tak blisko, ale przypomniało jej się, że to przecież park narodowy. Zwierzęta na pewno wiedzą, że są pod ochroną. Jaszczurka musi być oswojona. Może nawet spodziewa się, że Tina ją nakarmi? Nie wzięłam nic do jedzenia, zmartwiła się dziewczynka. Wyciągnęła powoli rękę, otwierając pustą dłoń, żeby pokazać, że niczego nie przyniosła.

Jaszczurka przystanęła, przekrzywiła główkę i pisnęła.

– Przepraszam cię, ale nic nie mam – odezwała się Tina.

Nagle jaszczurka skoczyła na jej wyciągniętą dłoń. Była zaskakująco ciężka, jej waga pociągnęła w dół rękę dziewczynki, drobne palce zwierzęcia uszczypnęły ją.

A potem jaszczurka wpelzła po ręce Tiny, docierając do jej buzi.

* * *

Chciałabym ją jednak widzieć – odezwała się Ellen Bowman, mrużąc oczy. – Tylko tyle. Żebym wiedziała, że tam jest.

– Zapewniam cię, że nic jej się nie stało – odpowiedział Mike, rozpakowując hotelowy lunch: nieciekawie wyglądającego grillowanego kurczaka i jakiś placek czy coś, z mięsem. Ellen nie jadła takich rzeczy.

– Jesteś pewny, że nie weszła do dżungli? – spytała Ellen. – Nie weszła, jest na plaży, kochanie. – Dziwnie się tu czuję. Tu jest tak pusto...

- Myślałem, że właśnie tego chciałaś – zauważył Mike.
 - No tak.
 - To o co ci chodzi?
 - Chciałabym tylko zobaczyć Tinę.
- I wtedy wiatr przyniósł przeraźliwy krzyk ich dziecka.

PUNTARENAS

– Myślę, że teraz czuje się całkiem dobrze – powiedział doktor Cruz, opuszczając płachtę namiotu tlenowego, w którym spała Tina. Mike siedział przy łóżku, jak najbliżej córeczki. Doktor sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego, doskonale mówił po angielsku – uczył się w Londynie i Baltimore. Bił od niego profesjonalizm. Clinica Santa Maria w Puntarenas była nowoczesna, nieskazitelnie czysta i doskonale zorganizowana.

Jednak Mike się niepokoił. Nic nie zmieniał fakt, że jego jedyne dziecko jest w bardzo ciężkim stanie i że są bardzo daleko od domu.

Kiedy Mike dobiegł do Tiny, krzyczała histerycznie. Cała jej lewa ręka była zakrwawiona i pogryziona, każde z licznych ugryzień miało wielkość mniej więcej odcisku kciuka. Poza tym ręka była oblepiona śliską, spienioną substancją, chyba śliną.

Zaniósł Tinę przez plażę do samochodu. Pogryziona ręka niemal natychmiast zaczęła czerwienić i puchnąć. Nieprędko zapomnę tę nerwową, pospieszną jazdę ku cywilizacji, myślał. Land rover mknął w dół, to znów ślizgał się pod górę na błotnistej drodze, która wchodziła pomiędzy wzgórza, podczas gdy jedyna córeczka Mike'a płakała ze strachu i bólu, a jej rączka coraz bardziej puchła i czerwieniała. Na długo przed tym, nim dotarli do granicy parku narodowego, opuchlizna sięgnęła szyi i Tina zaczęła mieć trudności z oddychaniem...

– Czy teraz nic jej się nie stanie? – zapytała Ellen, wpatrując się w córkę przez przezroczysty plastik.

– Nie powinno – odpowiedział doktor Cruz. – Podałem jej drugą dawkę sterydów, teraz oddycha zdecydowanie swobodniej. Proszę zobaczyć, obrzęk znacząco zmaleł.

– No, a te ugryzienia...

– Jeszcze nie zidentyfikowaliśmy zwierzęcia. Nigdy takich nie widziałem. Proszę jednak zwrócić uwagę, że znikają, już trudno je wyodrębnić. Na szczęście w porę je sfotografowałem. Myjąc rękę państwa córeczki, pobrałem próbki tej lepkiej śliny. Jedną poddamy analizie tutaj, druga próbka pojedzie do laboratorium w San José, a trzecią zamrozimy i będziemy przechowywali, gdyby okazała się kiedyś potrzebna. Czy mają może państwo rysunek, który Tina zrobiła?

– Tak. – Mike podał doktorowi szkic zwierzęcia, które zaatakowało jego córeczkę. Dziewczynka narysowała jaszczurkę na prośbę recepcjonistek.

– To jest zwierzę, które ją pogryzło? – upewnił się doktor, przyglądając się ze zdziwieniem rysunkowi.

- Tak. Tina powtarzała, że to zielona jaszczurka wielkości kurczaka albo wrony.
- Nie znam takiej jaszczurki... Na rysunku zwierzę stoi na tylnych łapach.
- Właśnie – potwierdził Mike. – Tina utrzymuje, że chodziło na tylnych łapach.

Doktor Cruz ściągnął brwi, wciąż patrząc na rysunek.

– Nie jestem zoologiem – skwitował w końcu. – Właśnie dlatego zatelefonowałem do doktora Guitierrez, starszego specjalisty z rezerwatu Carara po drugiej stronie zatoki, naukowca. Jest tutaj. Być może zidentyfikuje to stworzenie.

– A nie można wezwać kogoś z Cabo Blanco? – spytał Mike. – To tam została pogryziona Tina.

– Niestety, Cabo Blanco nie jest stale pilnowany – wyjaśnił lekarz. – Od dość dawna nie było tam żadnej ekspedycji. Prawdopodobnie byli państwo pierwszymi ludźmi, którzy pojawili się na tamtej plaży od kilku miesięcy. Jestem jednak pewny, że przekonają się państwo o rozległej wiedzy doktora Guitierrez.

Doktor Guitierrez okazał się brodaczem w szortach i koszuli khaki i co ciekawe – Amerykaninem.

– Miło mi państwa poznać – odezwał się do Ellen i Mike'a z lekkim południowym akcentem. Wyjaśnił, że jest biologiem z Yale i od pięciu lat prowadzi badania terenowe w Kostaryce. Przyjrzał się uważnie ranom Tiny, delikatnie unosząc jej rękę, a nawet oświetlając kolejno każde z ukąszeń miniaturową latarką. Zmierzył je także kieszonkową linijką. Wreszcie cofnął się i pokiwał głową, jakby zrozumiał, o co chodzi. Następnie przyjrzał się wykonanym polaroidem zdjęciom, zadał kilka pytań na temat śliny zwierzęcia, którą na razie badano w laboratorium. W końcu spojrzał na państwa Bowmanów, którzy patrzyli na niego wyczekująco, bardzo zaniepokojeni.

– Myślę, że państwa córeczka wyzdrowieje – oznajmił. – Chciałbym jeszcze ustalić kilka szczegółów. – Zanotował coś schludnym charakterem pisma. – Tina powiedziała, że pogryzła ją zielona jaszczurka, wysokości mniej więcej trzydziestu centymetrów, która wyszła na plażę pomiędzy rosnących na bagnie mangrowców, poruszając się w postawie pionowej, na tylnych nogach, czy tak?

- Zgadza się.
- Jaszczurka wydawała przy tym jakieś dźwięki...
- Tak, Tina mówi, że jaszczurka ćwierkała albo pissała.
- Czy można powiedzieć, że pissała podobnie jak mysz?
- Raczej tak.

– W takim razie wiem, co to za jaszczurka. – Guitierrez wyjaśnił, że na świecie żyje około sześciu tysięcy gatunków jaszczurek, jednak tylko niewiele ponad dziesięć gatunków to jaszczurki poruszające się w postawie pionowej. Tylko cztery z nich żyją w Ameryce Łacińskiej. Ubarwienie zwierzęcia, które zaatakowało dziecko, zdradza, co to za gatunek. – Jestem pewny, że była to *Basiliscus amoratus* – pręgowana jaszczurka z rodzaju bazyliisków,

występująca tu, w Kostaryce, a także w Hondurasie. Kiedy stoi na tylnych kończynach, osiąga czasem trzydzieści centymetrów wysokości.

– Czy te bazyliuszki mają trujący jad?

– Nie, proszę pani. Nic z tych rzeczy. Według literatury fachowej aż czternaście procent ludzi ma silną alergię na ślinę gadów. Najwyraźniej państwa córeczka zalicza się do tych czternastu procent.

– Tina krzyczała, płakała, że bardzo ją boli.

– Nie dziwię się. Ślina gadów zawiera serotoninę, a ta jest przyczyną bardzo silnego bólu... Czy środek przeciwhistaminowy obniżył ciśnienie chorej? – zwrócił się Guitierrez do doktora Cruza.

– Tak, bardzo szybko.

– To bez wątpienia serotonina – ocenił Guitierrez. Ellen Bowman wciąż jednak była niespokojna.

– Ale dlaczego ta jaszczurka ją pogryzła? – zapytała.

– Jaszczurki bardzo często gryzą ludzi – wyjaśnił biolog. – Opiekunowie tych zwierząt w zoo są kęsani raz po raz. Kilka dni temu doniesiono mi, że jaszczurka pogryzła niemowlę w kołysce, w Amaloya – to około stu kilometrów od miejsca, w którym państwo byli. Zatem pogryzienia się zdarzają, chociaż nie wiem, dlaczego państwa córeczka została ukęszona aż tyle razy. Co robiła, kiedy następił atak zwierzęcia?

– Nic. Mówiła, że siedziała nieruchomo, bo nie chciała przestraszyć jaszczurki.

– Siedziała nieruchomo? – Guitierrez ściągnął brwi, a potem pokręcił głową. – Cóż, myślę, że nie da się stwierdzić, co dokładnie się stało. Dzikie zwierzęta są nieprzewidywalne.

– A ta spieniona ślina? – odezwała się znowu Ellen. – Boję się, żeby Tina nie dostała wścieklizny...

– Nie dostanie – uspokoił ją doktor Guitierrez. – Gady nie przenoszą wścieklizny. Tina jest chora z powodu reakcji alergicznej na ślinę bazyliuszki, który ją ugryzł. Nic więcej jej się nie stanie.

Mike pokazał biologowi wykonany przez Tinę rysunek zwierzęcia. Naukowiec pokiwał głową.

– Taak, można powiedzieć, że to *Basiliscus amoratus*. Oczywiście rysunek jest niedokładny, na przykład szyja jest o wiele za długa, a poza tym Tina narysowała bazyliuszce po trzy palce u dolnych kończyn, podczas gdy ma on ich po pięć. No i jego ogon nie jest aż taki gruby ani tak podniesiony. Poza tym tak wygląda jaszczurka z rodzaju bazyliuszków.

– Ale Tina mówiła, że jaszczurka miała długą szyję i po trzy palce u tylnych łapek – oznajmiła Ellen.

– To bardzo spostrzegawcza dziewczynka – wtręcił Mike.

– Nie wątpię – zgodził się z uśmiechem biolog. – Mimo to sędę, że państwa dziecko zostało pogryzione przez często występującą w Kostaryce jaszczurkę *Basiliscus amoratus* i

doszło do silnej reakcji alergicznej. Powrót do zdrowia następuje zwykle w ciągu dwunastu godzin od podania leku. To znaczy, że rano Tina powinna być zdrowa.

* * *

Laboratorium w piwnicy szpitala Santa Maria było nowoczesne. Przekazano jednak laborantowi, że doktor Guitierrez zidentyfikował zwierzę, które zaatakowało małą pacjentkę, jako jaszczurkę nienależącą do jadowitych, i wstrzymano analizę śliny, mimo że jej wstępne frakcjonowanie wykazało obecność kilku białek o wyjątkowo dużej masie cząsteczkowej i nieznanym oddziaływaniu. Laborant na nocnym dyżurze był po prostu zajęty, schował więc próbki śliny do zamrażarki.

Następnego ranka osoba obejmująca dyżur sprawdziła zawartość lodówki, konfrontując ją z listą wypisanych pacjentów. Christina Bowman miała zostać wypisana tego dnia – laborant wyrzucił więc próbki śliny zwierzęcia, które ją pogryzło. W ostatniej chwili jego uwagę zwróciła czerwona nalepka na jednej z fiolek, oznaczająca, że próbka ma zostać przesłana do laboratorium uniwersyteckiego w San José. Wyjął więc próbkę z kosza i zapakował do wysłania.

* * *

– Chodź, podziękuj panu doktorowi. – Ellen Bowman lekko popchnęła córeczkę.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedziała grzecznie Tina. – Czuję się o wiele lepiej! – Ucisnęła dłoń lekarza. – Ma pan inną koszulę.

Doktor Cruz był nieco zaskoczony.

– Rzeczywiście – odpowiedział z uśmiechem. – Kiedy pracuję w szpitalu przez całą noc, rano zmieniam koszulę.

– A krawata nie?

– Nie, tylko koszulę.

– Mike mówił panu, że nasze dziecko jest spostrzegawcze – skomentowała Ellen.

– Rzeczywiście jest – przyznał lekarz. Uśmiechnął się i z poważną miną potrząsnął małą dłonią dziewczynki. – Miłej reszty wakacji w Kostaryce, Tino – powiedział na pożegnanie.

– Dziękuję!

Mike, Ellen i Tina zbierali się do wyjścia, kiedy doktorowi coś się przypomniało.

– Tino, słuchaj, czy pamiętasz jaszczurkę, która cię pogryzła?

– Uhm...

– Pamiętasz, jakie miała tylne nóżki?

– Tak.

– Czy miały palce?

– Miały.

– A po ile palców miały tylne nogi tej jaszczurki?

– Trzy.

- Skąd możesz mieć pewność?
 - Bo patrzyłam. A poza tym wszystkie ptaki zostawiają na plaży takie ślady – Tina rozpostarła trzy palce – z trzema palcami. I ta jaszczurka też robiła takie ślady.
 - Jaszczurka zostawiała takie same ślady jak ptaki?
 - Tak. I chodziła jak ptak. Kiwała głową, o tak... – Dziewczynka zrobiła kilka kroków, naśladowując głową ptasie ruchy.
- Kiedy rodzina Bowmanów opuściła szpital, doktor Cruz zatelefonował do doktora Guitierreza i powtórzył słowa Tiny.
- Muszę przyznać, że to, co powiedziała ta dziewczynka, mnie zdumiewa – powiedział biolog. – Zajrzałem już do literatury i w tej chwili nie jestem pewny, że pogryzł ją bazyliszek. Wcale nie jestem pewny...
 - Co to w takim razie mogło być?
 - Hm, nie spekulujmy. Czy miał pan może ostatnio doniesienia o innych pogryzieniach przez jaszczurki?
 - Nie, a dlaczego pan pyta?
 - Gdyby pan miał, niech mnie pan zawiadomi, dobrze?

PLAŻA

Marty Guitierrez obserwował z plaży zbliżające się do horyzontu słońce. Jego promienie zaczęły odbijać się jasnym, migotliwym blaskiem od wody, sięgając pod korony palm. Biolog siedział wśród mangrowców na plaży Cabo Blanco, mniej więcej tam, gdzie przed dwoma dniami zapuściła się mała Amerykanka.

Powiedział państwu Bowmanom prawdę – pogryzienia przez jaszczurki zdarzały się często. Jednak o pogryzieniu przez bazyliszka nigdy nie słyszał. A już na pewno o tym, żeby ktokolwiek z powodu ataku jaszczurki trafił do szpitala. Poza tym średnice ranek na rączce dziewczynki były trochę za duże jak na ukąszenie bazyliszka. Wróciwszy do swojej placówki badawczej w Cararze, Marty poszperał w niewielkiej biblioteczce, ale nigdzie nie było wzmianki o tym, że bazyliszki gryzły ludzi. Przeszukał więc International BioSciences Services – amerykańską internetową bazę danych – ale i tam nie znalazł informacji o atakach bazyliszków na ludzi ani o przypadkach hospitalizacji z powodu jaszczurek.

Na koniec Marty zatelefonował do lekarza z Amaloya. Ten potwierdził zasłyszaną przez Guitierreza informację, że jaszczurka pogryzła niemowlę w kołysce. Było to zaledwie pięciodniowe dziecko i spało spokojnie, kiedy zwierzę niespodziewanie ugryzło je w stopkę. Widziała to babcia dziecka i twierdziła, że napastnikiem była jaszczurka, zielona w brązowe pręgi. Zdażyła ukąsić niemowlę kilka razy, zanim babci udało się ją przepłoszyć. Stopka dziecka natychmiast spuchła i ledwo je odratowano.

- Dziwne... – mruknął Guitierrez.

– Wcale nie. Tak samo było w innych przypadkach. – Lekarz opisał mu podobne zdarzenia: w Vásquez, sąsiedniej nadbrzeżnej wiosce, jaszczurka pogryzła śpiące dziecko; do kolejnego takiego samego przypadku doszło w Puerta Sotrero. Wszystkie te incydenty miały miejsce w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Za każdym razem ofiarą było śpiące niemowlę lub małe dziecko.

To było coś nowego i nie wydawało się przypadkowe. Marty zaczął podejrzewać, że w okolicy pojawił się nowy, nieznany gatunek jaszczurki. W Kostaryce mogło do czegoś takiego dojść. To nieduży kraj, mniejszy od stanu Maine – w największym miejscu ma zaledwie sto dwadzieścia kilometrów – a mimo to tak niewielki obszar charakteryzuje ogromna bioróżnorodność. Są dwa oceaniczne wybrzeża – Atlantyku i Pacyfiku – cztery oddzielone od siebie pasma górskie, szczyty dochodzące do czterech tysięcy metrów, czynne wulkany, dżungla, lasy mgliste, strefy umiarkowane, bagna i pustynie. Tak wielka różnorodność ekosystemów łączy się z niebywałą różnorodnością gatunków roślin i zwierząt. Na przykład gatunków ptaków jest trzykrotnie więcej niż w całej Ameryce Północnej, a samych orchidei ponad tysiąc gatunków. Owadów – więcej niż pięć tysięcy.

Cały czas odkrywane są nowe gatunki, w tempie, które wzrasta ze smutnego powodu: wycina się lasy tropikalne i ich mieszkańcy tracą naturalne środowiska. Przenoszą się więc w inne miejsca, co czasami wiąże się ze zmianą zachowania danego gatunku.

Pojawienie się nowego gatunku jest więc nader realną możliwością – ekscytującą, a zarazem niepokojącą, ponieważ jaszczurki przenoszą różne choroby wirusowe, z których kilka może przechodzić na człowieka. Najpoważniejszą z nich jest CSE, od *central saurian encephalitis*, czyli odjaszczurcze zapalenie mózgu, powodujące śpiączkę u ludzi, a także u koni. Guitierrez uznał, że odkrycie tego nowego gatunku jaszczurki jest ważne choćby dlatego, że można będzie zbadać, czy przenosi ona CSE.

Słońce schodziło coraz niżej. Marty westchnął. Być może Tina Bowman napotkała nieznany gatunek, być może nie – ale ja na pewno niczego takiego nie widziałem... Rankiem załadował strzałkami pistolet pneumatyczny i pojechał na plażę Cabo Blanco w nadziei, że odkryje nieznaną zwierzę. Dzień okazał się jednak zmarnowany. Trzeba się pomału zbierać. Nie miał ochoty jechać tą drogą po ciemku.

Wstał i ruszył przez piasek. W pewnej odległości przed sobą zobaczył wyjca. Ciemno ubarwiona małpa spacerowała wzdłuż granicy namorzynowego bagna. Guitierrez skierował się w stronę wody, żeby obejść zwierzę. Wyjce zwykle żyją w stadach – prawdopodobnie w koronach drzew siedzą inne – i mają zwyczaj oddawać mocz na intruzów...

Wydawało się jednak, że ten wyjec jest samotny. Porusza się powoli, przystając często i siadając. Trzyma coś w pysku... Ach, właśnie je jaszczurkę – z pyska małpy zwiślał gadzi ogon i tylne kończyny. Pomimo pewnego oddalenia Marty dostrzegł, że jaszczurka jest zielona w brązowe pręgi.

Przyciął się i wycelował pistolet. Nieznająca ludzi małpa patrzyła ciekawie. Nie uciekała, nawet kiedy pierwsza strzałka przeleciała obok niej. Druga wbiła się w udo wyjca.

Zaskoczona małpa wydała pełen złości okrzyk, wypuściła z pyska resztki obiadu i skoczyła w dżunglę.

Guitierrez podniósł się i ruszył w stronę drzew. Nie martwił się o wyjca – dawka środka uspokajającego była tak mała, że małpa będzie tylko przez parę minut senna i niezbyt przytomna.

Myślał o tym, co zrobić z ciekawszym znaleziskiem: pozostałościami jaszczurki. Napisze wstępny raport, natomiast szczątki stworzenia trzeba będzie wysłać do Stanów Zjednoczonych w celu ostatecznej identyfikacji. Ale komu? Najbardziej uznanym ekspertem w dziedzinie taksonomii jaszczurek jest Edward H. Simpson, emerytowany profesor zoologii z nowojorskiego Uniwersytetu Columbia. Chyba wyślę szczątki tego zwierzęcia Simpsonowi, zdecydował Marty.

NOWY JORK

Doktor Richard Stone, kierownik Laboratorium Chorób Tropikalnych Centrum Medycznego Uniwersytetu Columbia, często powtarzał, że nazwa miejsca jego pracy sugeruje, iż to placówka wspanialsza niż w rzeczywistości. Na początku dwudziestego wieku laboratorium zajmowało całe trzecie piętro budynku badań biomedycznych, a gromada laborantów walczyła z plagami w rodzaju żółtej febry, malarii czy cholery. Medycyna poczyniła od tamtych czasów ogromne postępy, a ponadto powstały laboratoria w Nairobi i São Paulo, i z obu powyższych powodów ośrodek Uniwersytetu Columbia stracił na znaczeniu. Na laboratorium składało się obecnie parokrotnie mniej pomieszczeń i poza Stone'em miało tylko dwoje pełnoetatowych pracowników. Zajmowali się głównie stawianiem diagnoz nowojorczykom, którzy wrócili chorzy z dalekich wojaży. Otrzymana tego ranka przesyłka zaburzyła rutynowy bieg zdarzeń.

– Coś takiego – skomentowała laborantka, spoglądając na deklarację celną. – Częściowo przeżuty fragment ciała niezidentyfikowanej jaszczurki z Kostaryki. – Zmarszczyła nos. – To coś dla pana, doktorze.

Richard Stone podszedł do koleżanki i popatrzył na przesyłkę.

– Czy to jest to, co mieli przysłać z laboratorium Eda Simpsona?

– Tak. Nie rozumiem, dlaczego odesłali jaszczurkę do nas.

– Sekretarka profesora Simpsona powiedziała mi przez telefon, że profesor wyjechał na całe lato na Borneo, na badania terenowe. Niewykluczone, że ta jaszczurka była nosicielem jakiejś zakaźnej choroby, dlatego sekretarka poprosiła mnie, żebyśmy zbadali materiał. Zobaczmy, jak to wygląda...

Przesyłka zawierała biały plastikowy pojemnik cylindrycznego kształtu, o objętości około dwóch litrów. Miał przykręcaną śrubą pokrywkę, zabezpieczoną metalowymi klamrami. Na pojemniku widniał napis: *Międzynarodowy standardowy zasobnik na materiały biologiczne.*

Towarzyszyły mu naklejki informacyjne i napisy ostrzegawcze w czterech językach. Ostrzeżenia miały zapobiec otwarciu pojemnika przez podejrzliwych celników.

Najwyraźniej celnicy przejęli się ostrzeżeniami: Stone stwierdził w świetle silnej lampy, iż pieczęcie są nietknięte. Przełączył system wentylacyjny na zamknięty obieg powietrza, założył plastikowe rękawice i maskę przeciwgazową. W końcu ostatnio wykryto tu przypadki wenezuelskiej gorączki końskiej, japońskiego zapalenia mózgu, choroby lasu Kyasanur, wirusa Langat oraz wirusa Mayaro. Richard odkręcił pokrywkę.

Rozległ się syk ulatującego gazu i wydobyła się para. Pojemnik natychmiast zrobił się zimny jak lód. W środku była zamykana na suwak plastikowa torebka, taka, w jaką pakuje się kanapki. Zawierała coś zielonego. Richard rozłożył na stole serwetę chirurgiczną i wytrząsnął zawartość torebki. Rozległ się głuchy stuk – na serwetę wypadł zamrożony fragment zwierzęcia.

– Och... – odezwała się laborantka. – Wygląda na zjedzoną.

– Nie da się ukryć. I co my mamy z tym zrobić?

Laborantka zajrzała do załączonych do przesyłki dokumentów.

– Takie jaszczurki gryzą ostatnio dzieci w Kostaryce. Chodzi o określenie gatunku tego zwierzęcia, a także o to, czy kęsając, przenosi jakieś niebezpieczne drobnoustroje. – Kobieta wyciągnęła dziecinny rysunek jaszczurki podpisany u góry „TINA”. – To rysunek, który wykonała pogryziona dziewczynka.

Stone zerknął na obrazek.

– Oczywiście nie zweryfikujemy gatunku zwierzęcia – skwitował. – Ale obecność drobnoustrojów możemy zbadać, jeśli tylko uda nam się wycisnąć trochę krwi z tego zamrożonego kawałka mięsa. Jak to coś się nazywa?

– *Basiliscus amoratus* z anomalią genetyczną. Jest trójpalczasty.

– Aha. No dobra, zaczynamy. Najpierw zrób temu zdjęcie rentgenowskie i obfotografuj polaroidem, przez ten czas trochę się rozmrozi. Gdy już pojawi się krew, zbadaj ją na obecność różnych przeciwciał, może coś wykryjemy. Gdybyś miała jakieś problemy, zwołaj mnie.

* * *

Testy zakończono jeszcze przed porą lunchu. Okazało się, że we krwi jaszczurki nie wykryto przeciwciał związanych z obecnością jakichś szczególnych wirusów czy bakterii. Krew nie zawierała także żadnych substancji toksycznych. Pojawiła się jedynie nieznaczna reakcja na jad indyjskiej kobry królewskiej. Podobne reakcje między różnymi gatunkami gadów występowały jednak często i Stone nie uznał za istotne, aby napisano o tym w fakcie, który polecił wysłać doktorowi Guitierrezowi. Laborantka nadała faks jeszcze tego samego wieczoru.

Richard Stone i jego współpracowniczka nie wspomnieli nawet o gatunku zwierzęcia, którego szczątki badali. Określeniem tego będzie musiał zająć się profesor Simpson, kiedy

wróci. Miał pojawić się w Stanach dopiero za kilka tygodni. Jego sekretarka poprosiła w związku z tym doktora Stone'a, aby przechował do tego czasu szczątki jaszczurki w swoim laboratorium. Richard włożył je więc z powrotem do plastikowej torebki, a tę do zamrażarki.

* * *

Martin Guitierrez przeczytał faks, który nadszedł z Laboratorium Chorób Tropikalnych Centrum Medycznego Uniwersytetu Columbia. Był krótki:

PRZEDMIOT BADAŃ: *Basiliscus amoratus* z anomalią genetyczną (przesłany z pracowni prof. Simpsona).

PRÓBKA: tylny fragment częściowo zjedzonego zwierzęcia.

PRZEPROWADZONE BADANIA: RTG, badania mikroskopowe, odpowiedzi immunologiczne na obecność wirusów, pasożytów i bakterii chorobotwórczych.

WYNIKI: W dostarczonej próbce jaszczurki *Basiliscus amoratus* nie odnaleziono żadnych histologicznych ani immunologicznych śladów obecności zakaźnych dla człowieka chorób.

(podpis)

dr med. Richard A. Stone, kierownik laboratorium

Guitierrez wyciągnął z otrzymanego faksu dwa wnioski. Po pierwsze, naukowcy z Uniwersytetu Columbia potwierdzili jego tezę, iż zwierzę, którego fragment zdobył, jest jaszczurką z rodzaju bazylijszków. Po drugie, zwierzęta te nie przenoszą żadnych chorób zakaźnych, więc niedawne przypadki pogryzień nie świadczą o żadnym nowym zagrożeniu epidemiologicznym w Kostaryce. Wprost przeciwnie, moje przypuszczenia się potwierdziły, myślał. Ten gatunek jaszczurki został wyparty z lasów do nowego środowiska i wszedł w kontakt z mieszkańcami wiosek. W ciągu kilku tygodni liczba przypadków ataków tych jaszczurek na pewno spadnie do zera, kiedy zwierzęta te przystosują się do nowych warunków życia.

* * *

Tropikalny deszcz zalewał blaszany dach szpitalika w Bahia Anasco. Elena Morales, położna, pracowała w świetle latarki – piorun spowodował awarię prądu. W pewnej chwili usłyszała jakby ćwierkanie czy piski jakiegoś zwierzęcia. Podejrzewała, że to szczur. Szybko przyłożyła kompres do czoła pacjentki i przeszła do sąsiedniej sali, żeby sprawdzić, czy noworodkowi nie dzieje się nic złego. Kiedy naciskała klamkę, znowu usłyszała świergot. To musi być jakiś ptak, pomyślała z ulgą. Wleciał do sali, żeby schować się przed deszczem. W Kostaryce mówi się, że kiedy nowo narodzone dziecko odwiedza ptak, wróży to szczęście.

Otworzyła drzwi. Dziecko leżało w wiklinowym koszu owinięte kocykiem. Nad jego odsłoniętą buzią przykucnęły na brzegu kosza trzy ciemne jaszczurki. Wyglądały jak

gargulce. Kiedy Elena weszła, popatrzyły na nią z zaciekawieniem. Nie uciekały. W świetle latarki Elena zobaczyła, że mają zakrwawione pyski. Jedna z nich ćwierknęła cicho, pochyliła łebek i błyskawicznym ruchem wyszarpnęła z twarzyczki dziecka kawałek mięsa.

Elena krzyknęła rozpaczliwie i skoczyła do noworodka, a wtedy jaszczurki się rozpięchły. Zobaczyła, co zostało z buzi niemowlęcia. Nie było wątpliwości, że dziecko nie żyje. Jaszczurki wypadły przez okno, ćwierkając i piszcząc. Pozostały po nich tylko krwawe trójpalczaste ślady, które wyglądały jak ślady ptaków.

OBRAZ DANYCH

Kiedy Elena nieco się uspokoiła, postanowiła zataić atak jaszczurek. Było to potworne, bała się jednak, że mogą pociągnąć ją do odpowiedzialności za zostawienie noworodka samego. Matce powiedziała, że jej dziecko się udusiło. Na dokumentach, które musiała wysłać do San José, Elena zakwalifikowała śmierć niemowlęcia jako przypadek zespołu nagłej śmierci niemowląt. Takie przypadki się zdarzają, więc nikt nie podał w wątpliwość jej raportu.

W laboratorium uniwersytetu w San José przebadano próbki śliny zwierzęcia, które pokąsała mała Tina Bowman. Wyniki testów okazały się niezwykle interesujące. Tak jak przypuszczano, ślina tego gada zawierała mnóstwo serotoniny. Przede wszystkim odkryto jednak białko o olbrzymich cząsteczkach – jego masa cząsteczkowa wynosiła 1 980 000, należało zatem do największych spośród znanych biologom. Wciąż badano jego aktywność biologiczną, wyglądało jednak na neurotoksynę podobną do jadu kobry, tylko o bardziej prymitywnej strukturze.

Poza tym wykryto śladowe ilości hydrolazy gamma-amino metioniny, enzymu wykorzystywanego jako marker w inżynierii genetycznej, niespotykanego u dzikich zwierząt. Laboranci uznali, że to zanieczyszczenie laboratoryjne, więc nie wspomnieli o nim w rozmowie telefonicznej, którą przeprowadzili z doktorem Cruzem z Puntarenas.

Fragment jaszczurki czekał tymczasem w zamrażarce Uniwersytetu Columbia na powrót profesora Simpsona, który miał przebywać za granicą jeszcze przez ponad miesiąc. Nie poczyniono by żadnych postępów, gdyby nie spostrzeżenie Alice Levin, drugiej laborantki z Laboratorium Chorób Tropikalnych. Zobaczyła rysunek Tiny Bowman i spytała:

- Och, czyje dziecko narysowało tego dinozaura?
- Słucham? – Doktor Stone powoli odwrócił głowę.
- No, tego dinozaura. To przecież dinozaur, prawda? Moje dzieci bez przerwy rysują dinozaury.
- To jaszczurka – sprostował Richard. – Jaszczurka z Kostaryki. Narysowała ją z natury przebywająca tam dziewczynka.
- Skądże. – Alice pokręciła głową. – Patrz, to dinozaur, przecież widać. Ma dużą głowę, długą szyję, stoi na tylnych łapach, ma gruby ogon. Tak wyglądają dinozaury.

– To niemożliwe. Zwierzę miało około trzydziestu centymetrów wysokości.

– No to co? W dawnych czasach były też małe dinozaury. Wiem dobrze, bo mam dwóch synów, więc jestem ekspertką. Najmniejsze dinozaury nie miały więcej niż trzydzieści centymetrów wysokości. Tinyzaury, czy jakoś tak, nie pamiętam. Dziwacznie je wszystkie ponazywali. Chyba tylko dziesięcioletnie dzieci są w stanie zapamiętać wszystkie te nazwy.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? To rysunek współcześnie żyjącego zwierzęcia, przysłali nam jego fragment, jest w zamrażarce. – Stone podszedł do zamrażarki, wyjął torebkę i wytrząsnął na stół jej zawartość.

Alice Levin spojrzała na zamrożoną łapę i ogon, nie dotykając próbki.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Dla mnie wygląda to jak dinozaur.

– To niemożliwe – upierał się Richard, kręcąc głową.

– Dlaczego? Może to pozostałość, to znaczy gatunek reliktowy, czy jak to się tam nazywa.

Alice naprawdę się na tym nie zna, pomyślał Stone, wciąż kręcąc głową. Przecież jest tylko technikiem laboratoryjnym i ogląda bakterie. Ma bujną wyobraźnię. Pamiętam, jak wmówiła sobie, że śledzi ją jeden z pielęgniarzy...

– Wiesz co – odezwała się znowu Alice – jeżeli to jednak jest dinozaur, to może się okazać, że dokonaliśmy dużego odkrycia.

– To nie jest dinozaur!

– A ktoś to sprawdził?

– Nie.

No to zawieź to do Muzeum Historii Naturalnej czy gdzieś. Naprawdę uważam, że powinienes, Richardzie.

– Wstydziłbym się to zrobić.

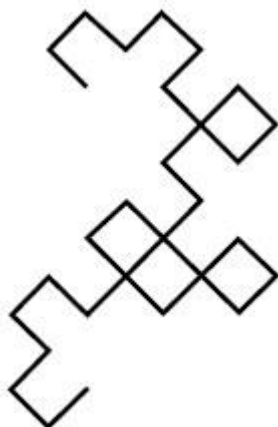
– Chcesz, żebym ja to zrobiła?

– Nie, nie chcę.

– To znaczy, że nic z tym nie zrobisz?

– Nic a nic. – Richard wrzucił torebkę do zamrażarki i zatrzasnął drzwiczki. – Bo to nie jest dinozaur. To jaszczurka. Nie wiem dokładnie, jaki gatunek, ale z jego określeniem ludzkość może poczekać na powrót profesora Simpsona z Borneo. Dość tego, Alice. Nie będziemy nigdzie z tą jaszczurką jeździli. Taka jest moja decyzja.

ITERACJA DRUGA



Na kolejnych obrazach krzywej fraktalnej możemy zaobserwować gwałtowne zmiany.

Ian Malcolm

NAD BRZEGIEM WYSCHNIEŁEGO MORZA

Alan Grant kucał i wpatrywał się w ziemię. Był upał – około czterdziestu stopni Celsjusza. Pomimo ochraniaczy Alan odczuwał ból kolan, paliło go w płucach od nieprzyjemnego zasadowego pyłu, z jego czoła skapywały krople potu. Grant nie zwracał jednak na to wszystko uwagi, skupiał się na obserwowaniu pola o boku długości mniej więcej piętnastu centymetrów.

Posługując się wykałaczką i pędzlem malarskim z sierści wielbłąda, ostrożnie odsłonił mały fragment żuchwy w kształcie litery L. Miał zaledwie około dwóch i pół centymetra długości i grubość małego palca ręki Alana. Widoczne były drobnutkie zęby o charakterystycznym ukośnym ułożeniu. Gdy kopał, od kości odłamywały się drobne fragmenty, więc na wszelki wypadek naniósł na nią pędzelkiem warstwę kleju kauczukowego. Bez wątpienia miał przed sobą żuchwę młodego drapieżnego dinozaura, który żył może ze dwa miesiące, jakieś siedemdziesiąt dziewięć milionów lat temu. Jeśli będę miał szczęście, znajdę resztę jego szkieletu, myślał Grant. Byłby to pierwszy kompletny szkielet tak młodziutkiego mięsożernego...

– Alan! Hej!

Alan podniósł głowę i zamrugał, bo raziło go słońce. Założył ciemne okulary i otarł czoło wierzchem dłoni.

Znajdował się na suchym stoku pagórka koło Snakewater w stanie Montana – w odludnym pustynnym rejonie. Gdziekolwiek spojrzał, pod czystym błękitnym niebem ciągnęły się aż po horyzont łagodne wzgórza i sypiące się wapienne skały. Nie było ani jednego drzewa czy choćby krzaka – nic, tylko kamienie, słońce i gorący, wyjący wiatr.

Turyści uważali te okolice za ponure, ale Grant postrzegał je zupełnie inaczej: ta unikana przez ludzi ziemia stanowiła pozostałość dawnego, zupełnie innego świata, który zniknął przed osiemdziesięcioma milionami lat. Alan potrafił wyobrazić sobie gorące bagnisko stanowiące niewyraźny brzeg morza czy ściślej olbrzymiego śródlądowego jeziora. Rozciągało się na przestrzeni półtora tysiąca kilometrów, od świeżo wypiętrzonych Gór Skalistych aż po urwiste szczyty Appalachów. Cała ogromna część Ameryki Północnej, nazywana Zachodem, znajdowała się pod wodą.

W tamtym czasie niebo było poszarzałe z powodu cienkiej warstwy chmur i pyłu z pobliskich wulkanów. Gęstsza niż dziś atmosfera zawierała więcej dwutlenku węgla. Brzeg śródlądowego morza stwarzał świetne warunki dla rozwoju roślinności. W wodzie nie było ryb, lecz małże i ślimaki. Nad tafą zniżały się lotem nurkowym pterozaurowy, wylawiając pływające na powierzchni glony. Nad bagnistymi brzegami buszowały wśród palm drapieżne dinozaury rozmaitych gatunków. Niedaleko brzegu znajdowała się bujnie porośnięta wysepka o powierzchni niecałego hektara. Stanowiła swoisty rezerwat roślinożernych dinozaurów o dziobach przypominających kacze. Zwierzęta te składały jaja w wielkich wspólnych gniazdach i wychowywały piskzące głośno młode.

Od tamtych czasów upłynęły miliony lat, podczas których bladezielone, bogate w zasadowe substancje morze stawało się coraz płytsze, aż wreszcie wyschło. Jego wystawione na działanie promieni słonecznych dno popękało i pofałdowało się, a pełna jaj dinozaurów wysepka zmieniła się w nierówne wzgórze w północnej Montanie, na którym prowadził właśnie wykopaliska Alan Grant.

– Alan!

Grant się wyprostował. Był czterdziestoletnim brodaczem, w tej chwili nagim od pasa w górę. Do jego uszu doleciał jednostajny klekot generatora i odgłosy młota pneumatycznego wgryzającego się w twardą skałę na sąsiednim wzgórzu. Wokół młota kręcili się młodzi ludzie – oglądali odlupane kamienie, sprawdzając, czy widać skamieniałości, po czym usuwali urobek na bok. U stóp wzgórza znajdowało się obozowisko paleontologów złożone z sześciu indiańskich tipi, dużego namiotu stołówki oraz przyczepy mieszczącej polowe laboratorium. W cieniu przyczepy stała Ellie i machała do Alana.

– Gość! – wołała, pokazując na wschód.

Grant dostrzegł chmurkę pyłu i podskakującego na nierównej drodze niebieskiego osobowego forda. Zbliżał się. Chłopcy na sąsiednim wzgórzu przerwali pracę i patrzyli z ciekawością. Do Snakewater zapuszczało się niewielu ludzi, więc wiadomość, że ma

przyjechać prawnik z Agencji Ochrony Środowiska, który chce porozmawiać z Grantem, wywołała liczne spekulacje.

Alan zdawał sobie sprawę, że paleontologia, nauka o wymarłych gatunkach, w ostatnich latach nieoczekiwanie zaczęła mieć bardzo konkretne związki ze światem współczesnym. Zmieniał się on szybko i zadawano domagające się pilnej odpowiedzi pytania dotyczące pogody, zmniejszania się powierzchni lasów, globalnego ocieplenia, warstwy ozonowej. Często wydawało się, że aby na nie odpowiedzieć, potrzebne są dane z odległej przeszłości. Te, jakich mogą dostarczyć paleontolodzy. W ostatnich kilku latach Grant już dwukrotnie był wzywany na świadka jako ekspert.

Ruszył po stoku w dół na spotkanie przybysza.

* * *

Gość wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi, zanosząc się kaszlem od białego pyłu.

– Bob Morris, Agencja Ochrony Środowiska – przedstawił się, wyciągając rękę. – Przyjechałem z San Francisco.

Alan również się przedstawił.

– Gorąco panu... Napije się pan piwa? – zaproponował.

– Och, tak! – Morris był przed trzydziestką, miał na sobie spodnie od garnituru i krawat. W rękę trzymał teczkę. Jego eleganckie buty chrzęściły na kamieniach, kiedy ruszył za Grantem do przyczepy.

– Gdy się zbliżałem, początkowo pomyślałem, że to rezerwat Indian – odezwał się, wskazując tipi.

– Nie. Po prostu tutaj najlepiej mieszka się w tipi – wyjaśnił Alan. Dodał, że w pierwszym roku wykopalisk posługiwano się ośmiościennymi namiotami firmy North Slope, najbardziej zaawansowanymi na rynku, jednak wiatr nieustannie je przewracał. Naukowcy wypróbowali inne namioty, zawsze z takim samym skutkiem. W końcu zaczęli budować tipi, które lepiej znosiły wiatr, a do tego były większe i wygodniejsze. – To są tipi według wzoru Czarnych Stóp – tłumaczył. – Ich szkielet stanowią cztery drągi. Dakotowie stawiają tipi wokół trzech, jednak to było terytorium Czarnych Stóp, więc pomyśleliśmy...

– Aha, bardzo pasują – przerwał mu Morris. Zmrużył oczy i rozejrzał się po ogromnym pustkowiu, po czym pokręcił głową. – Długo tu mieszkacie?

– Od mniej więcej sześćdziesięciu skrzynek. – Przybysz spojrzał zdziwiony, więc Alan wyjaśnił: – Mierzymy czas ilością wypitego piwa. Co roku przyjeżdżamy w czerwcu i przywozimy sto skrzynek. Do tej pory wypiliśmy około sześćdziesięciu.

– Dokładnie sześćdziesiąt trzy – uściśliła Ellie Sattler. Rozbawiony Grant patrzył, jaką minę zrobił Morris na jej widok. Ellie miała na sobie szorty z obciętych dżinsów i zawiązaną wysoko koszulę. Była opaloną na brąz dwudziestoczteroletnią blondynką, włosy nosiła upięte z tyłu.

– To jest Ellie – przedstawił młodszą koleżankę Alan. – To dzięki niej jakoś tu żyjemy. Jest bardzo dobra w tym, co robi.

– A co robi Ellie? – zainteresował się Morris.

– Jestem paleobotanikiem – wyjaśniła Ellie. – Poza tym wykonuję rutynowe prace przygotowawcze na wykopaliskach.

Otworzyła drzwi i cała trójka weszła do przyczepy. Klimatyzacja obniżała temperaturę wewnątrz jedynie do trzydziestu stopni Celsjusza, jednak kiedy wchodziło się z zewnątrz, i tak wydawało się, że w przyczepie jest chłodno. Morris zobaczył kilka długich drewnianych stołów, na których leżały starannie porozkładane i opisane na załączonych karteczkach małe kawałki kości. Dalej stały ceramiczne talerze i miski. W powietrzu unosiła się silna woń octu.

– Myślałem, że dinozaury były wielkie... – mruknął prawnik, spoglądając na kości.

– Bo były – zgodziła się Ellie. – Wszystko, co pan tu widzi, to kości młodziutkich dinozaurów, które zginęły krótko po wylęgnięciu się. Snakewater ma tak wielkie znaczenie przede wszystkim ze względu na ogromną liczbę miejsc lęgowych dinozaurów. Przed rozpoczęciem tutejszych wykopalisk ludzkość praktycznie nie dysponowała szkieletami młodych dinozaurów – na całym świecie odkryto dotąd zaledwie jedno gniazdo, na pustyni Gobi. My odnaleźliśmy już dwanaście osobnych gniazd hadrozaurów wraz z jajami oraz kośćmi młodych.

Alan ruszył do lodówki po piwo, a Ellie pokazała Morrisowi naczynia, w których w kwasie octowym rozpuszczały się resztki wapienia oblepiające delikatne kości.

– To wygląda jak kości kurczaka – stwierdził gość, zaglądając kolejno do misek.

– Rzeczywiście. Mają budowę bardzo podobną do ptasich.

– A to co za kości? – Morris pokazał za okno, gdzie leżał plastikowe worki pełne kawałków dużych kości.

– To odrzuty – odpowiedziała Ellie. – Kości, które po wykopaniu okazują się podzielone na zbyt wiele fragmentów. Dawniej po prostu wyrzucaliśmy, ale teraz wysyłamy do miasta dla potrzeb badań genetycznych.

– Badań genetycznych? – upewnił się Morris.

– Proszę. – Alan podał mu piwo, drugie wręczył Ellie. Zaczęła łapczywie pić, odchylając głowę na długiej szyi. Młody prawnik gapił się na nią.

– Atmosfera w naszej pracy w terenie jest bardzo swobodna – wyjaśnił Grant. – Przejdziemy do mojego gabinetu?

– Oczywiście.

Alan zaprowadził gościa na koniec przyczepy, do miejsca, w którym stały rozdarta kanapa, chwiejące się krzesło oraz zniszczony stolik. Grant opadł na kanapę, która zaskrzypiała, wzbijając chmurę kredowego pyłu, i oparł nogi na stoliku. – Proszę czuć się jak u siebie – zachęcił, wskazując Morrisowi krzesło.

Alan Grant był profesorem paleontologii z uniwersytetu w Denver, jednym z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie. Mimo to zawsze postrzegał zasady *savoir-vivre'u* jako obce mu i niewygodne. Najlepiej czuł się na dworze, zresztą praca paleontologa polega przede wszystkim na odkopywaniu istotnych z naukowego punktu widzenia znalezisk. Nie miał cierpliwości do gabinetowych profesorów, kustoszy muzeów, ludzi, którzy debatując przy herbatce, udają, że polują na dinozaury. Nawet wykłady na uczelni Grant prowadził ubrany w dżinsy i adidasy, specjalnie, żeby zdystansować się od gabinetowych myśliwych, chociaż z powodu jego swobodnego sposobu bycia spotykały go czasem nieprzyjemności.

Morris strzepnął pył z krzesła, usiadł, po czym zaczął przeglądać wyjęte z teczek papiery. Zerknął na Ellie, która na drugim końcu przyczepy wyjmowała szczypcami kości z kwasu. Nie zwracała na nich uwagi.

– Zastanawia się pan zapewne, po co tu przyjechałem – zaczął.

– Rzeczywiście. Daleko pan jechał – zauważył Alan, kiwając głową.

– Cóż, mówiąc wprost, nasza Agencja niepokoi się pewnymi działaniami Fundacji Hammonda. Wspiera ona także pańskie badania.

– Trzydzieści tysięcy dolarów rocznie. Od pięciu lat.

– Co pan wie o tej fundacji?

– To szanowana fundacja przyznająca granty na akademickie badania naukowe. Finansują projekty na całym świecie, w tym kilka ekspedycji paleontologicznych, eksplorujących stanowiska, gdzie można znaleźć kości dinozaurów. Wiem, że wspierają Boba Kerry'ego, który kopie w Tyrrell w prowincji Alberta, i Johna Wellera na Alasce. Ale myślę, że nie tylko ich.

– A czy wie pan, dlaczego Fundacja Hammonda tak aktywnie wspiera wykopaliska związane z dinozaurami?

– Pewnie. Stary John Hammond ma świra na punkcie dinozaurów.

– Zna go pan?

– Widziałem go raz czy dwa. – Alan wzruszył ramionami. – Wpada tu czasem na krótkie wizyty. Wie pan, to starszy człowiek i trochę dziwak – bogaci ludzie często są dziwakami. Ale zawsze jest pełen entuzjazmu. A dlaczego pan pyta?

– Cóż, musi pan wiedzieć, że Fundacja Hammonda to bardzo tajemnicza organizacja – odpowiedział Bob Morris. Podał Grantowi kserokopię mapy świata poznaczoną czerwonymi punktami. – Oto wykopaliska, które finansowała w ostatnim roku. Czy nie widzi pan na tej mapie niczego szczególnego? Montana, Alaska, Kanada, Szwecja... Wszystkie są na północy. Nie ma nic poniżej czterdziestego piątego równoleżnika. – Morris wyciągał kolejne mapy. – Proszę zobaczyć, rok po roku jest tak samo. Wykopaliska w Utah, Kolorado czy Meksyku, gdzie także odkopuje się kości dinozaurów, nie są przez nich wspierane. Fundacja Hammonda współfinansuje tylko prace na stanowiskach znajdujących się w północnych rejonach kuli ziemskiej. Chcielibyśmy wiedzieć dlaczego.

Alan przejrzał szybko mapy. Jeśli rzeczywiście Fundacja Hammonda wspiera wyłącznie badania prowadzone na północy, to bardzo dziwne. Przecież niektórzy z najlepszych paleontologów świata pracują właśnie na południu, w miejscach, gdzie jest gorąco...

– Pojawiają się też inne pytania – kontynuował Morris. – Na przykład: jaki jest związek dinozaurów z bursztynem?

– Z bursztynem?

– Tak. Bursztyn to żółtawa stwardniała żywica pochodząca z soków drzew...

– Wiem, co to jest bursztyn. Ale dlaczego pan o niego pyta? – zdziwił się Grant.

– Widzi pan, w ciągu ostatnich pięciu lat Hammond kupił w Ameryce, Europie i Azji olbrzymie ilości bursztynu, w tym dużo biżuterii, czasami bardzo cennej, nadającej się do eksponowania w muzeach. Jego fundacja wydała na bursztyn siedemnaście milionów dolarów i ma teraz największe prywatne zapasy tej substancji na świecie.

– Nic nie rozumiem – przyznał Grant.

– Nikt tego nie rozumie. Dla nas nie ma to żadnego sensu. Łatwo można uzyskać bursztyn syntetyczny. Nie ma wyjątkowej wartości handlowej ani zastosowania przy produkcji broni. Nie ma powodu gromadzić tak wielkich jego ilości. A jednak Hammond konsekwentnie robi to od paru lat.

– Bursztyn... – powtórzył Alan, kręcąc głową.

– Czy wie pan coś o tej kostarykańskiej wyspie? – spytał Morris. – Przed dziesięcioma laty Fundacja Hammonda wydzierżawiła od rządu Kostaryki przybrzeżną wyspę. Oficjalnie zamierzano utworzyć tam rezerwat biosfery.

– Nie słyszałem o tym. – Grant ściągnął brwi.

– Dotąd nie udało mi się zdobyć konkretniejszych informacji – przyznał prawnik. – Wyspa leży sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Kostaryki. Jej teren jest bardzo nierówny, poza tym prawie przez cały czas unosi się nad nią mgła z powodu szczególnej kombinacji prądów morskich oraz wiejących tam wiatrów. Wyspa nazywa się Nublar, czyli Zachmurzona. Kostarykanie byli bardzo zdumieni, że ktoś się nią zainteresował. Mówię panu o tym wszystkim dlatego – Morris szukał czegoś w teczce – że według dokumentów zapłacono panu za konsultację w sprawie tej wyspy.

– Naprawdę? – zdumiał się Alan.

Morris podał mu kserokopię czeku wystawionego w marcu 1984 roku przez firmę InGen Inc., która miała siedzibę przy Farallon Road, w Palo Alto, w Kalifornii. Zapłaciła Alanowi Grantowi dwanaście tysięcy dolarów. W dolnej części czeku napisano: *Konsultacja/Kostaryka/Wielowymiarowa analiza zachowań młodych.*

– Ach, teraz sobie przypominam! – wykrzyknął Grant. – To było bardzo dziwne zlecenie, pamiętam je. Ale nie miało nic wspólnego z żadną wyspą.

* * *

Pierwsze skupisko jaj dinozaurów w Montanie Alan Grant znalazł w 1979 roku. W ciągu następnych dwóch lat odkrył wiele kolejnych. Zanim zebrał się w sobie, opisał i opublikował wyniki swoich badań, był rok 1983. Wtedy to z dnia na dzień stał się sławny, znalazł bowiem pozostałości po stadzie około dziesięciu tysięcy kaczodziobych dinozaurów, które żyły nad brzegiem śródlądowego morza, wysiadując jaja w wielkich wspólnych gniazdach w błocie i wspólnie wychowując młode. Temat okazał się chwytliwy – ludzie na całym świecie wyobrażali sobie olbrzymie dinozaurzyce przejawiające instynkt macierzyński, furorę zrobiły rysunki młodych wystawiających łebki z jaj. Grant przeżył istne oblężenie – wszyscy chcieli przeprowadzić z nim wywiad, domagali się jego wykładów, proponowali mu napisanie książek. Nie byłby sobą, gdyby nie odrzucił wszystkich propozycji. Pragnął tylko w spokoju kontynuować wykopaliska. W tamtym szalonym dla niego okresie w połowie lat osiemdziesiątych zwróciła się do niego między innymi firma InGen, prosząc o konsultację.

– Czy słyszał pan o tej korporacji już wcześniej? – zapytał Morris.

– Nie.

– W jaki sposób się z panem skontaktowali?

– Zadzwonili. Telefonował facet o nazwisku Gennaro czy Gennino, jakoś tak.

– Donald Gennaro. – Morris pokiwał głową. – To prawnik InGenu.

– Interesowało go, jak żywiły się dinozaury. Zaproponował mi odpowiednią stawkę za narysowanie schematu ich odżywiania się. – Alan dopił piwo i odstawił puszkę na podłogę. – Szczególnie interesowały go właśnie młode dinozaury, świeżo wyklute i te nieco starsze. Wypytywał, co jadły. Pewnie wyobrażał sobie, że to wiem.

– A nie wiedział pan?

– Nie do końca. Powiedziałem mu o tym. Rzeczywiście znaleźliśmy mnóstwo szkieletów młodych dinozaurów, ale nie dysponowaliśmy wieloma danymi na temat ich diety. Gennaro był zdania, że nie opublikowaliśmy wszystkiego, i poprosił mnie o wszystkie informacje, jakie mieliśmy, oferując w zamian aż pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Morris wyjął dyktafon i położył go na stoliku.

– Czy mogę? – upewnił się.

– Proszę, niech pan nagrywa.

– A zatem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku zatelefonował do pana Donald Gennaro. Co działo się potem?

– Cóż, widzi pan, jak tu pracujemy. Pięćdziesiąt tysięcy wystarczyło na finansowanie naszych wykopalisk przez całe dwa letnie sezony. Obiecałem panu Gennaro zrobić, co tylko będę mógł.

– Rozumiem przez to, że przygotował pan dla niego jakiś materiał na piśmie.

– Oczywiście.

– I ten materiał dotyczył zwyczajów żywieniowych młodych dinozaurów?

– Zgadza się.

– Czy spotkał się pan osobiście z Donaldem Gennaro?

– Nie, rozmawialiśmy tylko przez telefon.

– Czy Gennaro powiedział panu, do czego są mu potrzebne wspomniane informacje?

– Owszem. Mówił, że zamierzają stworzyć muzeum dla dzieci, w którym chcieliby pokazać młode dinozaury. Mówił też, że zatrudniają do tego celu wielu konsultantów naukowych ze świata akademickiego, wymienił kilka nazwisk – paleontologów takich jak ja, a także Iana Malcolma, matematyka z Teksasu, kilkoro ekologów i jeszcze analityka systemów. Dobry zespół.

Morris pokiwał głową, coś notując.

– A pan zgodził się być ich konsultantem?

– Tak. Zgodziłem się wysłać panu Gennaro skrótowy opis naszych badań nad zwyczajami kaczodziobych hadrozaurów.

– Co konkretnie państwo opisali?

– Wszystko: to, w jaki sposób hadrozaury zakładały gniazda, na jakim terenie żyły, jak się odżywiały, jakie miały zwyczaje społeczne. Wszystko, co wiedzieliśmy.

– Jak zareagował na to Gennaro?

– Telefonował raz po raz, zdarzało mu się to nawet w środku nocy. Budził mnie i pytał na przykład: „Czy dinozaury jadłyby to? A tamto? Czy na naszej wystawie powinno być coś tam?”. Nie rozumiałem, dlaczego ten facet aż tak się tym przejmuje. To znaczy dinozaury są dla mnie bardzo ważne, ale bez przesady. Wyginęły sześćdziesiąt pięć milionów lat temu. Mając na uwadze tę perspektywę, człowiek może poczekać z telefonem do rana...

– Rozumiem... A co z tymi pięćdziesięcioma tysiącami dolarów?

– Zmęczył mnie ten typ i odmówiłem dalszej współpracy. – Grant pokręcił głową. – Zgodziłem się przyjąć dwanaście tysięcy dolarów jako zapłatę za dotychczasowe konsultacje. To musiało być wczesnym latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

Morris zanotował tę datę.

– Czy firma InGen kontaktowała się z panem jeszcze w jakiś inny sposób?

– Nie, od osiemdziesiątego piątego nie miałem z nimi kontaktu.

– A kiedy rozpoczęła współfinansowanie pańskich badań Fundacja Hammonda?

– Musiałbym poszukać w dokumentach. Ale mniej więcej wtedy, w połowie lat osiemdziesiątych.

– Czy dobrze rozumiem, że zna pan Johna Hammonda tylko jako bogatego entuzjastę dinozaurów?

– Zgadza się.

Morris zanotował i to.

– Skoro wasza agencja tak bardzo interesuje się panem Hammondem i jego działalnością, tym, dlaczego finansuje tylko wykopaliska w północnej części globu, po co kupił tyle bursztynu i w jakim celu wynajmuje wyspę koło Kostaryki, czy nie możecie po prostu go o to spytać? – zdziwił się Grant.

– W tej chwili nie.

– Dlaczego?

Dlatego, że nie dysponujemy żadnymi dowodami, iż łamie prawo – wyjaśnił Morris. – Dla mnie jest jednak jasne, że John Hammond robi coś nielegalnego.

* * *

– Wszystko zaczęło się od telefonu z Biura Transferu Technologii – zaczął opowiadać Bob Morris. – To instytucja, która nadzoruje rozpowszechnianie na świecie amerykańskich technologii mogących mieć znaczenie strategiczne. Zadzwonili do mnie, aby nas poinformować, że firma InGen prawdopodobnie dokonała nielegalnego transferu technologii za granicę, i to w dwóch różnych przypadkach. Po pierwsze, wysłała do Kostaryki trzy craye XMP. Firma opisała to w dokumentach jako przewóz z jednego swojego oddziału do innego, podkreślając, że nie zamierza sprzedawać crayów. Ludzie z Biura Transferu Technologii nie potrafili jednak sobie wyobrazić, po co komu taka moc obliczeniowa w Kostaryce.

– Trzy craye – mruknął Grant. – To komputery, prawda?

– Owszem, to najpotężniejsze superkomputery. Obrazowo rzecz ujmując, komputery żadnej innej amerykańskiej prywatnej korporacji nie mają w sumie takiej mocy obliczeniowej jak trzy craye. InGen je ma i wysłał je do Kostaryki. Ciekawe, w jakim celu, prawda?

– Nie mam pojęcia. A w jakim?

– Nikt nie wie. Drugi przypadek jest jeszcze bardziej niepokojący. Chodzi o hoody. Hoody to z kolei automatyczne sekwencjonery genów – maszyny, które bez pomocy człowieka rozszyfrowują kod genetyczny. To technologia tak nowa, że nie zdążono jej jeszcze umieścić na liście zastrzeżonych. Każde laboratorium zajmujące się inżynierią genetyczną może obecnie mieć taki sekwencjoner, jeśli tylko stać je na zakup – kosztuje około pół miliona dolarów. Tak się jednak składa, że InGen wysłał... – Bob zajrzał do notatek – dwadzieścia cztery sekwencjonery Hood na swoją kostarykańską wyspę. To także opisano jako przewóz sprzętu do innego oddziału firmy, a nie jako eksport. Biuro Transferu Technologii nie mogło nic z tym zrobić, bo oficjalnie nie mają prawa zajmować się sekwencjonerami DNA. Jednak dla pracowników Biura było jasne, że firma InGen tworzy w niezwracającym uwagi zakątku świata jeden z największych ośrodków inżynierii genetycznej na całym globie. W kraju, w którym tego rodzaju badań nie ograniczają żadne przepisy. Takie sytuacje się zdarzają. InGen nie jest pierwszą amerykańską spółką biotechnologiczną, która przeprowadziła się za granicę, żeby nie musieć przestrzegać żadnych kodeksów... Najgłośniejszy związany z tym skandal dotyczył firmy Biosyn, która prowadziła badania nad wścieklizną. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym firma Genetic Biosyn Corporation z Cupertino testowała na farmie w Chile szczepionkę przeciw wściekliznie uzyskaną drogą manipulacji genetycznych. Nie poinformowała o tym ani chilijskich władz, ani nawet pracowników farmy – po prostu zaaplikowano zwierzętom szczepionkę. Były to żywe wirusy wścieklizny, tylko tak zmodyfikowane, żeby nie były groźne. Ich zjadliwości jednak nie znano – to znaczy ludzie z Biosynu nie wiedzieli, czy wirusy rzeczywiście nie

powodują wścieklizny. W dodatku te zmodyfikowane wirusy były w stanie przenikać przez pęcherzyki płucne, to znaczy, że można było się nimi zakazić przez drogi oddechowe, podczas gdy normalnie wścieklizna grozi jedynie w przypadku ugryzienia przez zakażone zwierzę. Pracownicy Biosynu przewieźli do Chile żywe wirusy w bagażu podręcznym, lecąc zwykłym samolotem pasażerskim! Nieraz zastanawiałem się, co by się stało, gdyby pojemnik ze szczepionką otworzył się podczas lotu... A gdyby tak wszyscy pasażerowie dostali wścieklizny? Mimo że to nieodpowiedzialne, mające znamiona przestępstwa zachowanie ludzi z Biosynu wzbudziło słuszne oburzenie, nie podjęto przeciwko tej firmie żadnych kroków prawnych, ponieważ chilijscy robotnicy rolni nie orientowali się, z czym mają do czynienia, a władze kraju miały na głowie ważniejsze sprawy, zmagając się z kryzysem gospodarczym. A jurysdykcja amerykańska tam nie sięgała. Odpowiedzialny za test wirusa genetyk Lewis Dodgson ciągle pracuje w Biosynie i spółka ta nie postępuje ani odrobinę ostrożniej niż wtedy. Jak wspomniałem, także inne amerykańskie firmy coraz częściej lokują swoje laboratoria biotechnologiczne za granicą, w krajach, w których ten rodzaj technologii nie jest znany. Trwa w tej dziedzinie istny wyścig. Państwa, które wpuszczają na swój teren amerykańskie firmy, sądzą, że biotechnologia to taka sama technika jak każda inna i że warto mieć u siebie coś nowoczesnego. Nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa... Oto dlaczego zainteresowaliśmy się między innymi spółką InGen. Trzy tygodnie temu rozpoczęliśmy śledztwo w jej sprawie – zakończył Morris.

– I do czego doszliście? – zainteresował się Grant.

– Na razie nie wiemy zbyt dużo – przyznał Morris. – Prawdopodobnie po moim powrocie do San Francisco będziemy zmuszeni przerwać śledztwo. Od pana też już chyba więcej się nie dowiem... Aha, jeszcze jedno. Co miało znaczyć określenie „wielowymiarowa analiza zachowań młodych”?

– Tak nazwałem mój raport, żeby brzmiało odpowiednio naukowo. Przeanalizowałem w nim różne aspekty życia młodych dinozaurów, ich sposób odżywiania się, poruszania, dobowy rytm aktywności. Po prostu pretensjonalny tytuł.

W tej samej chwili zadzwonił znajdujący się w drugim końcu przyczepy telefon. Ellie odebrała.

– Ma teraz spotkanie – powiedziała. – Czy może do pani oddzwonić?

Morris zamknął teczkę.

– Dziękuję panu za pomoc i za piwo.

– Nie ma sprawy.

Alan odprowadził gościa do drzwi.

– Czy Hammond kiedykolwiek prosił pana o jakieś wykopane pozostałości dinozaurów? – spytał jeszcze Bob. – Kości, jaja czy cokolwiek w tym rodzaju.

– Nie.

– Doktor Sattler wspomniała, że zajmujecie się tu także badaniami genetycznymi...

– Niezupełnie. Kości, które są zbyt pofragmentowane lub z innych względów nie nadają się do wystawienia w muzeum, wysyłamy do laboratorium, gdzie są mielone, a następnie próbuje się wyodrębnić z nich białka – tłumaczył Grant. – Identyfikują je i przysyłają nam raport, w którym te białka są dla nas wyszczególnione.

– Które to laboratorium? – zapytał Morris.

– Medical Biologic Services z Salt Lake City.

– Dlaczego wybraliście akurat ich?

– Ich oferta była najtańsza.

– Czy nie łączą ich żadne związki z firmą InGen?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Alan otworzył drzwi i do przyczepy natychmiast wpadło gorące powietrze.

– Jeszcze ostatnie pytanie. – Bob założył okulary przeciwsłoneczne. – Przyjmijmy, że w rzeczywistości InGen nie przygotowuje żadnej wystawy. Do czego innego mogliby wykorzystać informacje, które im pan przekazał?

– Mogliby najwyżej wykarmić małego hadrozaura – odparł ze śmiechem Grant.

– Wykarmić małego hadrozaura – powtórzył Morris, także rozbawiony. – To musiałoby zabawnie wyglądać. Jakiej wielkości były hadrozaurowa tuż po wykluciu?

– Mniej więcej takie. – Grant rozstawił dłonie tak, że znajdowały się piętnaście centymetrów od siebie. – Rozmiaru wiewiórek.

– A ile czasu taki mały hadrozaur rósł, zanim osiągnął pełne rozmiary?

– Mniej więcej trzy lata.

– Cóż – Bob wyciągnął rękę – dziękuję panu za pomoc.

– Niech się pan zanadto nie przejmuję w czasie jazdy powrotnej – powiedział na pożegnanie Alan.

Popatrzył za odchodzącym prawnikiem i zamknął drzwi.

– Co o nim myślisz? – zagadnął Ellie.

Wzruszyła ramionami.

– Naiwniak.

– Najbardziej podobało mi się, kiedy utrzymywał, że John Hammond to jakiś król zbrodni – zaśmiał się Alan. – Stary Hammond jest mniej więcej tak samo niebezpieczny jak Walt Disney... Kto dzwonił?

– Jakaś kobieta. Nazywa się Alice Levin i pracuje w laboratorium na Uniwersytecie Columbia. Znasz ją?

– Nie... – Grant pokręcił głową.

– Prosi o zidentyfikowanie jakichś szczątków. Nalegała, żebyś jak najszybciej oddzwonił.

SZKIELET

Ellie Sattler odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów i zajrzała do kąpielnicy octowych. Było ich sześć, ustawionych według stężenia kwasu wzrastającego od pięciu do trzydziestu procent. Trzeba było ich pilnować, szczególnie tych o najwyższym stężeniu, ponieważ po pewnym czasie kwas octowy, rozpuściwszy związki wapnia, zacząłby niszczyć kości. Kości młodych dinozaurów były bardzo delikatne. Ellie zachwyciło to, że w ogóle przetrwały, mimo upływu osiemdziesięciu milionów lat.

Mimowolnie słyszała, jak Alan rozmawia przez telefon.

– Halo, czy pani Alice Levin? Mówi Alan Grant. O co chodzi? Co takiego? Co macie?! – Roześmiał się. – Bardzo w to wątpię, proszę pani. Nie, doprawdy jestem zajęty, przykro mi... No dobrze, mogę rzucić na to okiem, ale gwarantuję, że to bazyliśzek. Proszę... dobrze, może pani. Proszę je wysłać zaraz, kiedy tylko skończymy rozmawiać. – Rozłączył się i pokręcił głową. – Ech, ci ludzie...

– Co się stało?

– Ta kobieta próbuje zidentyfikować jakąś jaszczurkę. Przesłaje mi teraz zdjęcie rentgenowskie. – Grant podszedł do faksu i odczekał chwilę. – A tak na marginesie, mam dla ciebie nowe znalezisko. Ciekawe.

– Jakie?

– Właśnie je odkopałem, kiedy nadjechał ten chłopak. Na Południowym Wzgórzu, stanowisko czwarte. Żuchwa małego welociraptora, w pełni uzębiona. Dzięki zębom nie ma żadnych wątpliwości, jaki to gatunek. Miejsce wydaje się nienaruszone, być może wykopimy nawet cały szkielet.

– To fantastycznie! – ucieszyła się Ellie. – W jakim wieku był ten welociraptor?

– Mały. Miał dwa, najwyżej cztery miesiące.

– I jesteś pewny, że to welociraptor?

– Absolutnie. Może wreszcie szczęście się do nas uśmiechnie.

Grant i jego współpracownicy od dwóch lat natrafiali w Snakewater tylko na kaczodziobe hadrozaurow. Już dawno znaleźli dość dowodów na to, że te roślinożerne dinozaury buszowały w okresie kredy po równinach, w stadach liczących po dziesięć czy nawet dwadzieścia tysięcy osobników. Podobnie jak później bizona...

Nasuwało się pytanie: gdzie podziały się drapieżniki?

Paleontolodzy spodziewali się oczywiście, że drapieżniki były nieporównanie mniej liczne. Badania populacji drapieżników oraz ich ofiar w parkach narodowych Afryki i Indii sugerowały, że na jedno drapieżne, mięsożerne zwierzę przypada mniej więcej czterysta roślinożernych. Znaczyło to, że stado dziesięciu tysięcy hadrozaurów wystarczyło do wykarmienia zaledwie dwudziestu pięciu tyranozaurów. Odnalezienie szczątków dużego drapieżnego dinozaura było zatem bardzo mało prawdopodobne.

Ale mniejszych? W Snakewater były dziesiątki olbrzymich gniazd hadrozaurów – w niektórych miejscach kawałki skorup ich jaj znajdowano praktycznie na całej powierzchni. Tymczasem wiele niedużych dinozaurów żywiło się jajami. W takim miejscu jak to musiało być mnóstwo dromeozaurów, owiraptorów, welociraptorów, celurów – drapieżników mierzących od mniej więcej siedemdziesięciu pięciu centymetrów do półtora metra wysokości.

Tymczasem Alan i jego ludzie do tej pory nie znaleźli szczątków żadnego.

A teraz szkielet welociraptora! Być może wreszcie dopisze im szczęście. Do tego to młodziutki welociraptor! Ellie doskonale wiedziała, że Alan marzy o studiach nad sposobem wychowywania młodych przez mięsożerne dinozaury – tak jak prześledził już to u roślinożernych. Być może właśnie dokonane przez niego odkrycie przybliży go do realizacji tego marzenia.

– Musisz być bardzo podekscytowany tym, co znalazłeś – odezwała się znowu Ellie. Alan nie odpowiedział. – Na pewno jesteś bardzo podekscytowany – powtórzyła.

– Mój Boże! – wykrzyknął, wpatrując się w faks.

* * *

Ellie spojrzała Alanowi przez ramię i aż sapnęła.

– Myślisz, że to *amassicus*?

– Tak. Albo *triassicus* – *prokompognat*. Ma bardzo delikatny szkielet.

– Ale to nie jaszczurka.

– Nie. Od dwustu milionów lat nie było na tej planecie jaszczurki o trzech palcach.

Ellie pomyślała, że to jakieś oszustwo. Sprytnie zrobione, ale jednak oszustwo. Każdy biolog wie, że takie rzeczy się zdarzają. Najbardziej znana próba wprowadzenia w błąd naukowców – człowiek z Piltdown – została zdemistyfikowana dopiero po czterdziestu latach. Do tej pory nie wiadomo, kto był fałszerzem. Dużo później słynny astronom Fred Hoyle ogłosił, że wystawiony w British Museum szkielet archeopteryksa – skrzydlatego dinozaura – jest podrobiony (okazał się autentyczny).

Aby wprowadzić w błąd naukowców, należy pokazać im coś, co spodziewają się zobaczyć. Zdaniem Ellie zdjęcie rentgenowskie fragmentu jaszczurki wyglądało całkiem normalnie. Trójpalczysta łapa była proporcjonalna, a środkowy szpon najmniejszy. Kostne wyrostki – pozostałość po czwartym i piątym palcu – sąsiadowały ze stawem na wysokości śródstopia. Kość piszczelowa była mocna i znacznie dłuższa od udowej. Panewka stawu biodrowego kompletna, ogon zawierał czterdzieści pięć kręgów. Zdjęcie przedstawiało młodego prokompognata.

– Czy jest możliwe, że to zdjęcie jest sfalszowane? – spytała.

– Nie wiem – przyznał Alan. – Ale sfalszowanie zdjęcia rentgenowskiego jest prawie niemożliwe. Poza tym prokompognat to bardzo mało znane zwierzę. Nawet entuzjaści dinozaurów raczej o nim nie słyszeli.

Ellie odczytała dołączony do kserokopii zdjęcia tekst:

– *Okaz zdobyty szesnastego lipca br. na plaży Cabo Blanco... Podobno zwierzę to było akurat pożerane przez wyjca i to wszystko, co udało się uratować.* Och! Tu jest napisane, że taka jaszczurka zaatakowała małą dziewczynkę.

– Wątpię. Chociaż może? Prokompognaty były na tyle małe i lekkie, że raczej musiały być padlinożercami. Zresztą łatwo ocenić wymiary tego zwierzęcia – Alan szybko zmierzył obraz na faksie. – Długość nogi wynosi około dwudziestu centymetrów, a więc wysokość całego stworzenia to jakieś trzydzieści. Jest mniej więcej wielkości kurczaka. Nawet dziecko musi wydawać mu się przerażająco duże. Mogłoby może ugryźć noworodka, ale nie większe dziecko.

– Czy myślisz, że to może być prawdziwe odkrycie? – zapytała Ellie, ściągając brwi. Wpatrywała się w fotografię. – Tak jak było z latimerią?

– Nie jest to całkiem wykluczone. Ta półtorametrowa ryba została w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym wyłowiona z oceanu, mimo że wcześniej uważano ją za wymarłą przed sześćdziesięcioma pięcioma milionami lat. Są też inne przykłady: australijska drzewnica górską była znana tylko ze znajdowanych skamieniałości, aż tu nagle w śmietniku w Melbourne znaleziono żywą. A pewien zoolog opisał na podstawie odnalezionego szkieletu gatunek owocożernego nietoperza sprzed dziesięciu tysięcy lat – tyle że potem przysłano mu pocztą żywy egzemplarz.

– Naprawdę uważasz, że ten prokompognat może być prawdziwy? To zwierzę prehistoryczne.

– Rzeczywiście... – Grant pokiwał głową.

Większość odkrywanych, żyjących współcześnie gatunków, które wcześniej uważano za dawno wymarłe, nie była aż tak stara – skamieniałości pochodziły sprzed dziesięciu czy dwudziestu milionów lat. Niektóre miały po kilka milionów. W przypadku latimerii chodziło o zwierzę sprzed sześćdziesięciu pięciu milionów lat. Jednak prokompognaty żyły o wiele dawniej. Sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, w okresie kredy, dinozaury wymarły. Dominującą na Ziemi zwierzęcą formą życia stały się w okresie jury – mniej więcej przed stu dziewięćdziesięcioma milionami lat. Po raz pierwszy pojawiły się w triasie, jakieś dwieście dwadzieścia milionów lat temu.

Prokompognaty żyły we wczesnym triasie – okresie tak odległym, że nawet Ziemia wyglądała inaczej. Wszystkie kontynenty były jeszcze połączone. Olbrzymia połączona ziemia, nazywana obecnie Pangeą, rozciągała się od jednego bieguna do drugiego. Ten pojedynczy superkontynent porastały paprocie, było mnóstwo lasów, a także kilka dużych pustyń. To, co rozrosło się później w Ocean Atlantycki, było jeszcze wówczas wąskim, długim jeziorem pomiędzy fragmentami lądu, z których jeden stał się potem Florydą, a drugi częścią Afryki. Atmosfera ziemską była gorętsza, a powierzchnia Ziemi cieplejsza. Wyrastały z niej setki czynnych wulkanów. W takim właśnie środowisku żyły prokompognaty.

– Hm – mruknęła Ellie – a jednak niektóre zwierzęta przetrwały niezwykle długo. Krokodyle prawie się nie zmieniły od czasów triasu. Rekiny też pochodzą z triasu. Nie byłby to odosobniony przypadek.

Alan pokiwał głową.

– Poza tym jak inaczej wytłumaczyć to zdjęcie? – zastanawiał się. – To albo fałszerstwo – w co wątpię – albo prawdziwe odkrycie. Jaka mogłaby być inna możliwość?

Zadzwonił telefon.

– Na pewno znowu pani Levin – westchnął Grant. – Zobaczmy, czy przyśle nam sam znaleziony fragment zwierzęcia. – Odebrał. – Tak, zaczekam na pana Hammonda – powiedział zaskoczony, zerkając na Ellie. – Tak, oczywiście.

– Hammond? – zdziwiła się Ellie. – Czego on może chcieć?

Alan pokręcił głową.

– Dzień dobry panu – powiedział do słuchawki. – I mnie bardzo miło pana słyszeć... Tak... – Spojrzał na Ellie. – Naprawdę tak pan zrobił? Coś takiego! – Zasłonił dłonią mikrofon. – Stary wariat... – szepnął. – Musisz tego posłuchać...

Przełączył aparat na tryb głośnomówiący.

– ...okropnie mnie zdenerwował jakiś młodzieniec z Agencji Ochrony Środowiska – mówił szybko Hammond chrapliwym głosem starszego człowieka. – Wyskoczył jak diabełek z pudełka, jeździ po całym kraju, nagabuje ludzi, niepotrzebnie podgrzewa atmosferę, sam jeden. Nie odwiedzał tam pana nikt ostatnio?

– W istocie, miałem tu gościa – przyznał Grant.

– Tego się obawiałem! – wykrzyknął John Hammond. – Młody mądrała o nazwisku Morris?

– Rzeczywiście, nazywał się Morris.

– On chce odwiedzić wszystkich moich konsultantów. Proszę sobie wyobrazić, że był także u Iana Malcolma, wie pan, tego matematyka z Teksasu. To właśnie po tym zdarzeniu dowiedziałem się o Morrisie. Trudno nad nim zapanować, bo działa w typowy dla władz sposób: nikt nie skarży się na nas ani nas nie pozywa, tylko niepokoi nas młody urzędnik, bez żadnego nadzoru, za pieniądze podatników. Czy był uciążliwy? Przeszkadzał panu w pracy?

– Nie, nie był uciążliwy.

– Właściwie to szkoda. Bo gdyby panu przeszkadzał, postarałbym się, aby go upomniano i nakazano mu zaniechanie dalszych działań. A tak mogłem tylko polecić moim prawnikom, żeby zadzwonili do Agencji Ochrony Środowiska i spytali, w czym problem. Okazuje się, że dyrektor Agencji nic nie wie o żadnym dochodzeniu w naszej sprawie, przynajmniej tak twierdzi. Nie ma się co dziwić, przekłeta biurokracja. Obawiam się, że ten chłopak zamierza polecić do Kostaryki i węszyć, dostać się na naszą wyspę. Wie pan, że mamy tam wyspę?

– Nie. – Grant spojrzał wymownie na Ellie. – Nie wiedziałem.

– Och, mamy. Kupiliśmy ją już jakieś cztery czy pięć lat temu – nie pamiętam dokładnie – i zbudowaliśmy tam naszą placówkę. Wyspa nazywa się Nublar, leży sto sześćdziesiąt

kilometrów od wybrzeża Kostaryki i jest całkiem spora. Założymy tam rezerwat. Wspaniały. Tam jest dżungla tropikalna. Powinien pan zobaczyć to miejsce, panie profesorze.

– Brzmi interesująco – odparł Grant. – Niestety...

– Już prawie skończyliśmy – przerwał mu Hammond. – Wysłałem panu materiały na temat rezerwatu. Otrzymał je pan?

– Nie. Ale to nic dziwnego, bo znajdujemy się daleko od...

– W takim razie może dotrą do pana jeszcze dziś. Proszę je przejrzeć. To zachwycająco piękna wyspa. Jest na niej wszystko. Miejsce, które urządzamy, powstaje już od dwóch i pół roku. Pan ma bujną wyobraźnię, proszę więc sobie wyobrazić wspaniały park narodowy. Otworzymy go we wrześniu przyszłego roku. Naprawdę powinien pan go zobaczyć!

– To naprawdę cudownie, jednak...

– Nalegam, aby pan go zobaczył, panie profesorze. Wiem, że pana zainteresuje i zafascynuje.

– Jestem akurat w środku...

– Coś panu powiem – nie ustępował Hammond. – Niektórzy z naszych konsultantów akurat lecą tam w najbliższy weekend. Pobędą parę dni, obejrzą wszystko – oczywiście na nasz koszt. Byłoby wspaniale, gdyby i pan zechciał wyrazić swoją opinię o naszym dziele.

– Naprawdę nie mogę.

– Niech pan przyleci tylko na weekend – namawiał Hammond, z uporem i irytującą radością w głosie, jak robią nieraz starsi ludzie. – Tylko tyle. Nie chciałbym przeszkadzać panu w pracy, panie profesorze. Proszę mi wierzyć, wiem, jak bardzo jest ważna. Nie zamierzam przeszkadzać w niej panu ani odrobinę. Mógłby pan jednak przecież wyskoczyć do nas, do Kostaryki, na weekend. W poniedziałek byłby pan z powrotem.

– Nie mogę. Właśnie znalazłem ciekawy szkielet i...

– Oczywiście. A jednak myślę, że powinien pan polecieć. – Hammond chyba nie słuchał zbyt uważnie.

– Poza tym właśnie dostaliśmy świadectwo bardzo zagadkowego i niebanalnego znaleziska. Wszystko wskazuje na to, że chodzi o żywego prokopsognata.

– Słucham? – Hammond natychmiast zmienił ton. – Niezupełnie rozumiem. Powiedział pan „żywego prokopsognata”?

– Owszem. To znalezisko o charakterze biologicznym, fragment ciała niedawno zabitego zwierzęcia, przywieziony z Ameryki Środkowej.

– Coś podobnego. Niedawno zabity prokopsognat? To niezwykle...

– Właśnie. Rozumie pan więc, że nie jest to dla mnie odpowiednia chwila na...

– Mówi pan, że ten prokopsognat przyleciał z Ameryki Środkowej?

– Tak.

– A czy wie pan, skąd dokładnie pochodzi?

– Znalaziono go na plaży o nazwie Cabo Blanco. Nie wiem, gdzie to dokładnie...

– Rozumiem. – John Hammond chrząknął. – Kiedy otrzymał pan ten... okaz?

- Dzisiaj.
- Dzisiaj... Tak, rozumiem. Oczywiście... – Hammond chrząknął jeszcze raz.
- O co chodzi? – spytał bezgłośnie Alan, patrząc na Ellie. Pokręciła głową.
- Chyba się zaniepokoił – odpowiedziała mu, tylko poruszając ustami.
- Jest tu jeszcze Morris?

Ellie podeszła do okna. Samochodu Morrisa już nie było widać. Hammond zakaszał do mikrofonu i zapytał:

- Panie profesorze, czy rozmawiał pan już z kimś o tym prokompagnacie?
- Nie...
- To dobrze. Cóż... Tak. Powiem szczerze, panie profesorze, że mam na tej wyspie małe kłopoty. Śledztwo Agencji Ochrony Środowiska jest dla nas teraz szczególnie niepożądane.
- Doprawdy? – zainteresował się Grant.
- Mieliśmy pewne problemy, dochodziło do kolejnych opóźnień... Powiedzmy, że w tej chwili jestem pod presją i pragnę, żeby przyjrzał się pan temu, co dzieje się na naszej wyspie. Dla mnie. Zapłacę panu standardową stawkę za konsultację w weekend, to jest dwadzieścia tysięcy dolarów za dzień. Razem sześćdziesiąt tysięcy za trzy dni. Przydałaby nam się także pani Sattler, ona również dostałaby takie samo wynagrodzenie. Potrzebujemy botanika. Co pan na to?

Ellie popatrzyła na Granta.

- Hm, muszę powiedzieć, że taka suma umożliwiłaby nam sfinansowanie naszych wykopalsk w przyszłym i jeszcze następnym sezonie – odpowiedział.
- To dobrze, dobrze... – mówił beznamiętnie stary Hammond, najwyraźniej pochłonięty jakąś inną myślą. – Wolałbym, aby wszystko odbyło się bez problemów. Wyślę po państwa nasz odrzutowiec, wylądować na tym małym lotnisku na wschód od Chateau. Wie pan, o którym lotnisku mówię? To tylko około dwóch godzin jazdy samochodem od miejsca, gdzie się państwo znajdują. Proszę być tam jutro o siedemnastej, będę na państwa czekał i zaraz polecimy na wyspę. Czy pan i pani doktor Sattler możecie przyjechać jutro na siedemnastą na to lotnisko?
- Myślę, że tak...
- To dobrze. Nie musicie państwo zabierać dużego bagażu. Ani paszportów. Z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie. Do zobaczenia jutro.

Hammond się rozłączył.

COWAN, SWAIN I ROSS

Przez okna kancelarii prawnej Cowan, Swain i Ross wpadały jaskrawe promienie słońca – jak to w południe w San Francisco. Mimo radosnego jasnego dnia Donald Gennaro był w złym nastroju. Z ponurą miną słuchał człowieka, który mówił do niego przez telefon.

Siedzący naprzeciwko szef Donalda, Daniel Ross, ubrany w ciemny garnitur w prążki, był ponury jak przedsiębiorca pogrzebowy.

– Rozumiem, Johnie – powiedział do słuchawki Gennaro. – Grant zgodził się polecić? To dobrze, dobrze... Tak, w porządku. Gratuluję. – Rozłączył się.

– Nie możemy dłużej ufać Hammondowi – zwrócił się do szefa. – Znalazł się pod zbyt dużą presją. Agencja Ochrony Środowiska rozpoczęła dochodzenie w jego sprawie, data otwarcia jego parku w Kostaryce odsuwa się coraz bardziej w przyszłość, inwestorzy robią się nerwowi. Krąży za dużo plotek o problemach na tej wyspie. Zginęło zbyt wielu pracowników. A teraz jeszcze sprawa tego żywego prokompozyta, czy jak to się tam nazywa, na stałym lądzie Kostaryki...

– Co oznacza znalezienie tego stworzenia? – spytał Ross.

– Być może nic. Ale Hamachi to jeden z naszych największych inwestorów. Jego przedstawiciel z San José przesłał mi w zeszłym tygodniu raport, z którego wynika, że w nadbrzeżnych wioskach jakiś nowy gatunek jaszczurki atakuje dzieci.

– Nowy gatunek jaszczurki? – powtórzył zaniepokojony Ross, mrugając szybko.

– Właśnie. Nie mamy czasu na opierdzielanie się, trzeba natychmiast zbadać, co dokładnie dzieje się na tej wyspie. Poprosiłem Hammonda, żeby zorganizował inspekcję niezależnych ekspertów i żeby pojawili się tam trzykrotnie, w tygodniowych odstępach.

– Co odpowiedział Hammond?

– Zarzeka się, że na wyspie nie dzieje się nic złego. Że wdrożył wszelkie konieczne środki bezpieczeństwa.

– Nie wierzysz mu.

– Nie wierzę.

Przed podjęciem pracy w kancelarii Donald Gennaro współpracował z bankami inwestycyjnymi. Kancelaria Cowan, Swain i Ross specjalizowała się w obsłudze spółek związanych z najnowocześniejszymi technologiami. Spółki te często potrzebowały nowych funduszy, a Gennaro pomagał im je znaleźć. Jednym z jego pierwszych klientów, jeszcze w 1982 roku, został John Hammond, już wówczas prawie siedemdziesięcioletni milioner, który szukał inwestorów chcących sfinansować zakładaną przez niego nową firmę nazwaną InGen. Udało się zebrać prawie okrągły miliard dolarów. Gennaro dobrze pamiętał tamte szalone dni.

– Hammond to typ bujającego w obłokach marzyciela – ocenił Gennaro.

– To potencjalnie bardzo niebezpieczne – zauważył Ross. – Od początku nie powinniśmy byli angażować się finansowo w jego przedsięwzięcia. Ile udziałów w InGenie mamy?

– Pięć procent.

– Czy to spółka z ograniczoną odpowiedzialnością?

– Nie.

– Nie powinniśmy byli tego robić – powtórzył Ross, kręcąc głową.

– Osiem lat temu wydawało się to bardzo przyszłościowym posunięciem. Od tamtego czasu upłynęło dużo wody. Objęliśmy udziały zamiast wynagrodzenia. Jeśli pamiętasz, plan

Hammonda wydawał się trochę palcem na wodzie pisany. Bardzo śmiały i nowatorski. Tak naprawdę nikt nie wierzył, że uda mu się rozwinąć tę firmę.

– A jednak mu się udało – podsumował Ross. – W każdym razie zgadzam się z tobą, że już dawno trzeba było przeprowadzić na wyspie inspekcję. Czy masz odpowiednich ekspertów?

Zacznę od tych, których Hammond zaangażował jako konsultantów, kiedy rozpoczynał całe przedsięwzięcie. – Donald rzucił na biurko Rossa listę nazwisk. – Pierwszą grupę tworzą paleontolog, paleobotanik i matematyk. Polecą tam w najbliższy weekend. A ja z nimi.

– Myślisz, że będą ci mówili prawdę?

– Uważam, że tak. Nikt z nich nie był bezpośrednio zaangażowany w projekt, a ten matematyk, Ian Malcolm, był do niego wręcz zdecydowanie negatywnie nastawiony. Już na samym początku uznał, że przedsięwzięcie jest skazane na porażkę.

– Sprowadzisz tam kogoś jeszcze?

– Tylko jednego analityka systemów komputerowych. Przejrzy system parku i naprawi błędy. Jego zadania będą miały charakter ściśle techniczny. Powinien znaleźć się na wyspie w piątek rano.

– Dobrze. Czy sam umawiasz wszystkich?

– Hammond uparł się, że to on zadzwoni do każdej z wymienionych osób. Chyba chodzi mu o zachowanie pozorów, że panuje nad sytuacją. Udaje przed ekspertami, że zaprasza ich tylko po to, by obejrzeć jego dzieło.

– Niech mu będzie. Tylko dopilnuj, żeby do inspekcji rzeczywiście doszło. To ty musisz panować nad sytuacją. Chcę, żebyś rozwiązał problem kostarykańskiej wyspy w ciągu najbliższego tygodnia. – To powiedziawszy, Ross wstał z fotela i wyszedł z gabinetu.

* * *

Donald Gennaro wybrał numer telefonu. Przez szumy charakterystyczne dla łącza radiowego przebił się głos:

– Słucham, Alan Grant.

– Witam, panie profesorze, mówi Donald Gennaro. Jestem prawnikiem firmy InGen. Rozmawialiśmy przed paroma laty, nie wiem, czy pan mnie pamięta.

– Pamiętam.

– Rozmawiałem przed chwilą przez telefon z panem Johnem Hammondem, który podzielił się ze mną radosną wiadomością, że przyleci pan na naszą kostarykańską wyspę.

– Rzeczywiście, o ile się nie mylę, lecimy tam jutro.

– Chciałbym osobiście podziękować panu za zgodę na tak nagłą zmianę planów. Cały InGen jest panu wdzięczny. Poprosiliśmy także o przybycie pana Iana Malcolma, który podobnie jak pan był naszym konsultantem, kiedy rozpoczynaliśmy projekt. To matematyk z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin, prawda?

– Tak, pan Hammond wspominał mi o tym.

– Właśnie. Ja również się wybieram. A tak przy okazji, ten okaz, w którym pan rozpoznał pro... prokom... jak on się nazywa?

– Prokompsognat.

– Aha. Czy ma go pan u siebie, panie profesorze? Konkretnie – ciało zwierzęcia?

– Nie, nie mam. Widziałem tylko zdjęcie rentgenowskie. Fragment zwierzęcia znajduje się w Nowym Jorku, na Uniwersytecie Columbia. Powiadomiła mnie o nim pracownica tamtejszego laboratorium.

– Hm, zastanawiam się, czy zechciałby pan podać mi więcej szczegółów – kontynuował Gennaro – żebym mógł opowiedzieć o tym odkryciu panu Hammondowi. Wiadomość o nim bardzo go podekscytowała. Jestem pewny, że chciałby pan zobaczyć autentyczne ciało zwierzęcia. Być może udałoby mi się nawet zorganizować przewiezienie go na naszą wyspę w czasie, kiedy pan tam będzie.

Alan podzielił się z prawnikiem InGenu posiadanymi informacjami.

– Dziękuję panu, panie profesorze. I proszę pozdrowić ode mnie pana doktora Sattlera. Z radością spotkam się jutro z panami. Do widzenia. – Nie czekając na odpowiedź Granta, Gennaro się rozłączył.

PLANY

– Zobacz, właśnie przyszło – powiedziała następnego dnia Ellie, przynosząc siedzącemu z tyłu przyczepy Alanowi wypchaną żółtą kopertę. – Jeden z chłopców przywiózł z miasta

Grant rozerwał kopertę, zerkając na biało-niebieski znak firmowy InGenu. W środku nie było żadnego listu, tylko wielostronicowy zbindowany dokument, właściwie kserokopia. Na stronie tytułowej widniał napis: WYSPA NUBLAR – OŚRODEK WYPOCZYNKOWY DLA GOŚCI (PEŁNA OPCJA: HOTEL SAFARI).

– Co to, do cholery, jest? – mruknął, przewracając kartkę. Wtedy na stolik wypadł mały liścik:

Drodzy Państwo Alanie i Ellie,

jak możecie sobie Państwo wyobrazić, nie dysponujemy jeszcze gotowymi materiałami promocyjnymi. Przesłany dokument powinien jednak dać Państwu pewne wyobrażenie o przedsięwzięciu realizowanym przez nas na wyspie Nublar. Moim skromnym zdaniem jest ono naprawdę ekscytujące!

Z niecierpliwością czekam na sposobność przedyskutowania tego z Państwem! Mam nadzieję, iż mogą Państwo do nas przylecieć.

Pozdrawiam serdecznie,

John

– Nie rozumiem... – Alan zaczął przerzucać kolejne kartki dokumentu. – To są plany architektoniczne. – Wrócił do pierwszej strony. Poniżej tytułu było napisane:

OŚRODEK WYPOCZYNKOWY/HOTEL	PARK WYSPA NUBLAR
KLIENT	InGen Inc., Pao Alto, Kalifornia
ARCHITEKCI:	Dunning, Murphy & Associates, Nowy Jork. Richard Murphy – nadzór projektu, Theodore Chen – główny architekt, Sheldon James – administracja
INŻYNIEROWIE:	Harlow, Whitney & Fields, Boston – inżynieria budowlana, A.T. Misikawa, Osaka – instalacje i urz. mechaniczne
PROJ. KRAJOBRAZU:	Shepperton Rogers, Londyn, A. Ashikiga, H. Ieyasu, Kanazawa
INSTALACJE ELEKTR.:	N.V. Kobayashi, Tokio, A.R. Makasawa – gł. konsultant
SYST. KOMPUTEROWY:	Integrated Computer Systems, Inc., Cambridge, Mass. Dennis Nedry – nadzór projektu

Alan przeszedł do lektury dalszej części dokumentu. Plany opatrzone były pieczęciami: **TAJEMNICA HANDLOWA – ZAKAZ KOPIOWANIA** oraz **POUFNE – DOKUMENTACJA PROJEKTU – ZAKAZ ROZPOWSZECZNIANIA**. W nagłówku każdej z ponumerowanych stron widniał taki sam napis: *Niniejsze plany są poufne i stanowią wytwór firmy InGen Inc. Ich lektura wymaga uprzedniego podpisania Dokumentu 112/4A, pod groźbą pozwu sądowego.*

– Paranoicy jacyś... – uznał Alan.

– Może mają powód, dla którego tak postępują? – zauważyła Ellie.

Druga strona przedstawiała mapę wyspy. Nublar miała kształt przypominający odwróconą kroplę, na południu gwałtownie się zwężała. Miała około trzynastu kilometrów długości. Jej obszar został na mapie podzielony na kilka dużych sektorów.

Północna część wyspy została oznaczona słowami **TEREN DLA GOŚCI**. Widniały na nim obiekty opisane jako „Recepcja”, „Centrum obsługi gości/Administracja”, „Elektrownia/Stacja uzdat. wody/In. maszyny”, „Willa J. Hammonda” i „Hotel Safari”. Widać też było zarysy basenu, kortów tenisowych oraz małe kółka oznaczające drzewa i krzewy.

– Rzeczywiście wygląda na ośrodek wypoczynkowy – skomentowała Ellie.

Na następnych kartkach widniały rzuty hotelu Safari. W rzucie pionowym widać było, że jego kształt jest niezwykle – budynek był długi i niski, lecz z jego dachu wystawał szereg jak gdyby piramid. Planów innych budynków nie było.

Pozostała część wyspy przedstawiała się jeszcze bardziej tajemniczo. Można było odnieść wrażenie, że jest niezagospodarowana. Przecinała ją jednak sieć dróg i tuneli, były też pojedyncze zabudowania, a także drugie i wąskie jezioro, które wyglądało na sztuczne – zaznaczono tamy i nienaturalnie równe brzegi. Większa część wyspy, choć podzielona na sektory, nie została chyba zmieniona przez człowieka. Obszary były oznaczone niewiele mówiącymi kodami: /P/PROK/V/2A, /D/TRIC/L/5(4A+1), /LN/OTN/C/4(3A+1) czy /VV/HADR/X/11(6A+3+3DB).

– Czy jest gdzieś legenda do tych oznaczeń? – zapytała Ellie. Alan przerzucił kolejne kartki, ale niczego takiego nie znalazł. – Może specjalnie ją usunęli – wysunęła przypuszczenie Ellie.

– Mówiłem, że to paranoicy – skomentował Grant. Patrzył na duże obłe obszary, pomiędzy którymi poprowadzono drogi. Cała wyspa została podzielona na sześć części oddzielonych od dróg betonowymi fosami. Między fosami a drogami znajdowały się dodatkowo płoty, wzdłuż których narysowano w odstępach symbole błyskawicy. Po dłuższej chwili namysłu Alan i Ellie zrozumieli, że płoty są pod napięciem.

– Dziwne. Ogrodzenie pod napięciem w ośrodku wypoczynkowym? – zdumiała się Ellie.

– Całe kilometry takich ogrodzeń i ciągnące się równolegle fosy. A przy tym w większości przypadków towarzyszą im drogi – myślał na głos Alan.

– To kojarzy mi się z zoo – powiedziała Ellie.

Oboje popatrzyli jeszcze raz na mapę wyspy i na naniesione na nią linie. Wydawało się, że drogi biegną dość chaotycznie – nie łączyły w linii prostej żadnych ważnych punktów. Główna droga wiodła z północy na południe środkiem wyspy, mimo że były tam wzgórza. Na pewnym odcinku wydawała się wykuta w stromym, schodzącym do rzeki skalnym zboczu. Alan pomyślał, że poprowadzono ją tak, aby po obu stronach pozostawić duże obłe obszary ograniczone fosami i płotami pod napięciem. Zwrócił także uwagę, że drogi biegną po czymś w rodzaju grobli – nad poziomem gruntu – aby płoty nie zasłaniały widoku...

– Wiesz co, niektóre z tych obiektów są naprawdę ogromne – zauważyła Ellie. – Spójrz, ta betonowa fosa ma dziesięć metrów szerokości. To wygląda jak umocnienia wojskowe.

– Podobne wrażenie robią te budynki. – Alan pokazał na mapie oddalone od siebie obiekty. Na każdym z wydzielonych obszarów było ich kilka, zwykle daleko od dróg. Wszystkie te budynki były betonowe, o grubych ścianach. Na załączonych rzutach pionowych wyglądały jak bunkry. Miały małe okienka i przywodziły na myśl stare filmy wojenne i broniących się hitlerowców.

W tym momencie do uszu Alana i Ellie doleciał stłumiony odgłos eksplozji. Grant odłożył dokument.

– Wracajmy do pracy – polecił.

* * *

– Ognia!

Nastąpił lekki wstrząs i na ekranie komputera ukazały się żółte linie wyznaczające kontury. Tym razem rozdzielczość obrazu okazała się idealnie dobrana. Alan Grant ujrzał zarys pięknie ułożonego szkieletu, długa szyja odgięta była do tyłu. Bez wątplenia to szkielet bardzo młodego welociraptora, najwyraźniej znajdujący się w doskonałym...

Ekran zrobił się niebieski.

– Nienawidzę komputerów! – prychnął Grant, podnosząc głowę i mrużąc oczy z powodu ostrego słońca. – Co stało się tym razem?

– Stracił sygnał – ocenił jeden ze studentów. – Momencik... – Pochylił się nad kłębowiskiem kabli wychodzących z komputera ustawionego na kartonie piwa. Stanowisko naukowców znajdowało się na wierzchołku wzgórza numer cztery, niedaleko od urzędnika, które nazywali łupaczem.

Alan usiadł na ziemi i spojrzał na zegarek.

– Trzeba będzie to zrobić metodą tradycyjną – ocenił.

– Och, nie... – jęknął któryś student.

– Słuchajcie, mam dziś samolot – tłumaczył Grant. – Chcę, żeby ten szkielet został zabezpieczony, zanim wyjadę.

Kiedy zacznie się odsłaniać jakąś skamieniałość, trzeba doprowadzić pracę do końca, gdyż inaczej znalezisko może ulec zniszczeniu. Turystom wydaje się, że pofałdowane suche pustkowienie jest przez cały czas takie samo, lecz w rzeczywistości stale zachodzą procesy erozji, które nieraz można dostrzec gołym okiem – przez cały dzień słysząc odgłosy toczących się po spękanych zboczach kamyków. Zawsze jest też ryzyko gwałtownej ulewy – nawet krótka może sprawić, że odsłonięte delikatne skamieliny zostaną zmyte. Znaleziony przez Alana szkielet był już częściowo odsłonięty, trzeba go zatem było zabezpieczyć do czasu jego powrotu.

Zabezpieczanie znaleziska polegało zwykle na przykryciu dołu brezentem i otoczeniu go miniaturową fosą, aby odpływała nią woda. Należało otoczyć taką fosą odpowiedni obszar i właśnie dlatego naukowcy starali się zobaczyć szkielet welociraptora, używając tomografii dźwiękowej – nowej techniki, polegającej na wystrzeliwaniu w ziemię obłego ołowianego pocisku – właśnie to robił łupacz – oraz rejestracji wywołanych drgań przez komputer, który tworzył z nich trójwymiarowy obraz wnętrza pagórka. Alan i jego ludzie posługiwali się łupaczem od początku lata, rezultaty raz były zadowalające, innym razem nie.

W tej chwili łupacz znajdował się jakieś sześć metrów od sterujących nim ludzi. Była to duża srebrzysta skrzynka na kółkach, wyposażona w parasol. Przypominała wózek sprzedawcy lodów i wyglądała dość absurdalnie pośrodku bezkresnego pustkowia. Dwóch studentów ładowało już do łupacza nowy pocisk.

Tomografia dźwiękowa sprawdzała się jak dotąd głównie w zakresie obrazowania wielkości znalezisk, co oszczędzało archeologom kopania zbyt dużych dołów. Studenci zapewniali Alana, że za kilka lat będzie możliwe uzyskiwanie tak szczegółowych obrazów podziemnych skamielin, że ich odkopywanie w ogóle stanie się zbędne. Jeśli da się

zarejestrować idealny trójwymiarowy obraz szkieletu, będzie to początek nowej ery – archeologii bez wykopalisk.

Na razie jednak było jeszcze do tego daleko. Urządzenia pracowały bezawaryjnie tylko w uczelnianym laboratorium, ale w warunkach polowych okazały się bardzo delikatne i zawodne.

– Długo jeszcze? – zapytał Alan.

– Mamy obraz! – usłyszał. – I to całkiem dobry!

Grant podniósł się i znów popatrzył na ekran komputera. Zobaczył zarysowany na żółto kompletny szkielet. Welociraptor rzeczywiście musiał zginać bardzo młodo. Dinozaury te miały charakterystyczne tylne kończyny z pojedynczym palcem, z zakrzywionym, długim na piętnaście centymetrów szponem, którym potrafiły rozerwać ciało ofiary. Tymczasem szpon u tego niedużego jeszcze stworzenia przypominał wielkością i kształtem kolec róży. Ledwo można było dostrzec go na obrazie. Welociraptory były zwierzętami o lekkiej budowie, o kościach delikatnych jak u ptaków, prawdopodobnie cechowała je też spora inteligencja porównywalna z ptasią.

Szkielet nie wydawał się w żaden sposób zniekształcony, jeśli nie liczyć wygięcia do tyłu głowy i szyi. Często znajdowano właśnie tak ułożone skamieniałości dinozaurów. Część naukowców sformułowała w związku z tym teorię, że zwierzęta te wyginęły z powodu zatrucia roślinami, które zawierały coraz więcej alkaloidów. Ułożenie głowy miało jakoby sygnalizować agonię dinozaura. Grant obalił jednak tę teorię, wykazując, iż martwe osobniki wielu gatunków ptaków i gadów znajdowane są w takim ułożeniu i że wynika to z kurczenia się tylnych więzadeł szyi pod wpływem działania promieni słonecznych, nie ma więc związku z przyczyną śmierci.

Alan stwierdził, że ten szkielet jest wygięty także w bok – prawa tylna kończyna wraz ze stopą znajdowały się powyżej kręgosłupa.

– Wygląda na trochę zniekształcony – zauważył jeden ze studentów. – To chyba nie jest wina komputera.

– Nie, to upływ czasu – stwierdził Alan. – Bardzo, bardzo długiego czasu.

Zdawał sobie sprawę, że człowiek nie potrafi wyobrazić sobie długości epok geologicznych. Ludzkie życie mieści się w zupełnie innej skali czasowej. Jabłko brązowieje w parę minut, srebrne sztuczki czernieją w ciągu kilku dni, kompost rozkłada się przez wiele miesięcy. Dziecko dorasta przez dziesięć lat... To są ludzkie doświadczenia i dlatego nikt nie potrafi wyobrazić sobie osiemdziesięciu milionów lat, jakie upłynęły od chwili śmierci małego zwierzęcia, na które patrzę, myślał.

Prowadząc wykłady, odwoływał się do innych porównań. Gdyby sześćdziesiąt lat ludzkiego życia skrócić do zaledwie jednego dnia – mówił – to osiemdziesiąt milionów lat trwałoby w takiej skali trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dwa lata. To i tak więcej, niż minęło ich od czasu, gdy starożytni Egipcjanie zbudowali piramidy.

A więc mały welociraptor zdechł naprawdę dawno temu.

– Nie wygląda zbyt groźnie – uznał inny student.

– Bo nie był groźny – zgodził się Alan. – Co innego dorosłe osobniki.

Za życia pewnie nie polował, tylko żywił się resztkami mięsa pozostawionymi przez dorosłe osobniki. I wygrzewał się na słońcu. Drapieżne dinozaury potrafiły podczas jednego posiłku zjeść ilość pożywienia odpowiadającą nawet jednej czwartej masy ich ciała. Potem robiły się senne. Małe welociraptory gramoliły się pewnie po cielskach swoich zaspanych rodziców i ćwierkając, wyszarpywały kawałeczki mięsa upolowanych przez nich zwierząt. Małe welociraptory były prawdopodobnie całkiem ładne i sympatyczne.

Z dorosłymi sprawa przedstawiała się inaczej. Welociraptory nie były zbyt duże, a jednak najbardziej niebezpieczne ze wszystkich dinozaurów. Przeciętnie ważyły zaledwie około dwięćdziesięciu kilogramów – tyle co lampart – lecz były niezmiernie szybkie, inteligentne i agresywne. Potrafiły atakować ostrymi zębami, silnymi przednimi kończynami wyposażonymi w szpony, wreszcie straszliwymi pojedynczymi szponami tylnych kończyn. Polowały w stadach.

Grant wyobrażał sobie, jak mogło wyglądać takie polowanie. Kilkanaście welociraptorów śmiga wśród zieleni, a potem skacze na grzbiet znacznie większego dinozaura i rozcina go żywcem, atakując szyję, górną część tułowia, brzuch...

– Mamy mało czasu. – Głos Ellie wyrwał Alana z zamyślenia.

Grant udzielił studentom instrukcji, jak kopać rów. Szkielet mieścił się w dość niewielkim obszarze, wystarczyło więc otoczyć fosą jakieś dwa metry kwadratowe ziemi. Ellie rozłożyła brezent, osłaniając szkielet od góry. Alan pomógł jej wbić szpilki, które przytrzymywały brezent na stoku pagórka.

– Dlaczego ten mały zdechł? – chciał wiedzieć student.

– Wątpię, żebyśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli – odparł Grant. – Śmiertelność młodych u dzikich zwierząt jest wysoka. W afrykańskich parkach narodowych sięga w przypadku niektórych drapieżników siedemdziesięciu procent. Zdarzają się choroby, wystarczy też, że młode oddali się od stada. Czasem zagryza je dorosły osobnik. Wiemy na pewno, że welociraptory polowały stadami, ale o ich zachowaniach społecznych nie wiemy nic.

Studenci pokiwali głowami. Każdy z nich uczył się o zachowaniach zwierząt. Wiedzieli, że na przykład, gdy nowy samiec przejmuje dominację nad stadem lwów, pierwszą rzeczą, jaką robi, jest zabicie wszystkich lwiątek. Ma to czysto genetyczne uzasadnienie: samiec rozwinął się tak, aby rozprzestrzeniać swoje geny. Zabijając wszystkie młode w stadzie, sprawia, że wszystkie lwice dostają rui, a wtedy może je zapłodnić. Poza tym lwice nie tracą wtedy czasu na wychowywanie potomstwa innego samca.

Być może stadu welociraptorów także przewodził dominujący samiec? Tak mało wiemy o dinozaurach, myślał Alan. Wykopujemy ich szkielety i badamy je już od stu pięćdziesięciu lat, a jednak wciąż nie wiadomo prawie nic na temat tego, jakie były te zwierzęta w rzeczywistości.

– Jeżeli mamy być w Choteau na siedemnastą, musimy jechać – ponagliła go Ellie.

HAMMOND

Do gabinetu Donalda Gennaro wpadła sekretarka z nową walizką, z której jeszcze zwisały metki.

– Wie pan, kiedy człowiek zapomina się spakować, wydaje się, że wcale nie chce jechać – skomentowała.

– Może i ma pani rację – westchnął Donald. – Nie będę na urodzinach dziecka.

W sobotę wypadały urodziny jego córki Amandy i jego żona Elizabeth zaprosiła dwadzieścioro hałaśliwych czterolatków, a także klauna i magika. Nie ucieszyła się, słysząc, że Donald wyjeżdża. Amandzie też było smutno...

– Zrobiłam, co się dało, nie dał mi pan zbyt dużo czasu – odezwała się znowu sekretarka.

– Tu są buty do biegania, szorty i koszule khaki, zestaw do golania, džinsy i bluza na wypadek, gdyby było zimno. Samochód czeka na dole, żeby zawieźć pana na lotnisko. Musi pan już iść, bo pan nie zdąży.

Gennaro wyszedł na korytarz, zrywając po drodze metki z walizki. Kiedy mijał salę konferencyjną o przeszklonych ścianach, wyszedł z niej Daniel Ross.

– Szczęśliwej podróży – powiedział. – Chciałbym, żeby wszystko było jasne. Nie wiem, co się dzieje na tej wyspie i na ile poważny jest problem, ale masz go zlikwidować. Nawet jeżeli będzie to oznaczało spalenie całej wyspy do gołej ziemi.

– O Jezu, Dan, przecież to bardzo poważna inwestycja.

– Nie wahaj się. W ogóle o tym nie myśl. Po prostu usuń problem za wszelką cenę. Zrozumiałeś?

– Tak – odparł Gennaro, kręcąc głową. – Ale wtedy Hammond...

– Pieprzyć Hammonda – prychnął Ross.

* * *

– Mój ulubiony chłopak – odezwał się znajomy chrapliwy głos. – I jak się miewasz, syneczku?

– Bardzo dobrze, dziękuję. – Gennaro oparł się wygodnie. Siedział w miękkim skórzanym fotelu prywatnego gulfstreama II, lecącego na wschód, w stronę Gór Skalistych.

– W ogóle do mnie nie dzwonisz – ciągnął z wyrzutem Hammond. – Tęskniłem za tobą. Jak tam twoja prześliczna żona?

– Wszystko w porządku. Elizabeth czuje się doskonale, mamy teraz małą córeczkę.

– To cudownie, cudownie. Dzieci to taka radość! Na pewno świetnie bawiłaby się w naszym nowym parku w Kostaryce.

Donald nie pamiętał, że Hammond jest aż tak niski: kiedy siedział w fotelu lotniczym, jego stopy nie dotykały podłogi, machał nimi jak dziecko i bez przerwy mówił. Było w tym

człowieku coś dziecinnego, mimo że miał... ile? Teraz chyba z siedemdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt sześć lat. Postarzał się wyraźnie, ale przecież nie widziałem go od prawie pięciu lat, myślał Gennaro.

Hammond był bardzo ekspresyjny, urodzony gwiazdor. Donald pamiętał, że w 1983 roku woził ze sobą miniaturowego słonia w klatce. Słoń miał około trzydziestu centymetrów długości i ze dwadzieścia trzy centymetry wysokości oraz proporcje normalnych, pełnowymiarowych zwierząt, tylko prawie nie wyrosły mu kły. Hammond woził tego słonia na spotkania z potencjalnymi inwestorami. Zazwyczaj to Gennaro wnosił na salę przykrytą kocym klatkę. Wyglądało to tak, jakby przyniósł herbatę w ocieplaczu. Hammond opowiadał o perspektywach rozwoju, jak to nazywał, „biologii użytkowej”, a potem, w kulminacyjnym momencie, ściągał koc i ukazywał oczom słuchaczy słonia. Właśnie wtedy prosił o pieniądze.

Słonik zawsze przynosił mu szczęście – jego niezwykle wymiary, charakterystyczne raczej dla kotów, sugerowały, że w laboratorium Normana Athertona powstaną niewyobrażalne cuda. Atherton był genetykiem ze Stanfordu i współnikiem Hammonda w nowym przedsięwzięciu.

Hammond mówił parę słów o słoniku, ale więcej przemilczał. Wprawdzie zbierał fundusze na spółkę, która miała zajmować się badaniami genetycznymi, lecz mały słoń nie powstał drogą genetycznych manipulacji. Atherton pozyskał po prostu embrion karłowatego słonia, po czym przeniósł go do sztucznej macicy i oddziaływał na niego hormonalnie. To także było osiągnięcie naukowe, jednak nie na taką skalę, jak sugerował Hammond, i w całkiem innej dziedzinie.

Atherton nie potrafił zresztą wyhodować drugiego podobnego słonika, mimo że bardzo się starał. A każdy, kto słonika widział, natychmiast pragnął takiego mieć. Niestety, słonik okazał się podatny na przeziębienia. Zimą tak kichał przez swoją miniaturową trąbkę, że Hammond obawiał się poważnie, iż stworzenie zdechnie. Czasami też karłowate kły słonika zahaczały o pręty klatki i zwierzak nie mógł uwolnić łebka. Parskał wtedy z wściekłością, często dostawał infekcji wokół kłów. Hammond przede wszystkim bał się, iż słonik zakończy życie, zanim Atherton zdoła wyhodować jego następcę.

Hammond nie wspominał także inwestorom, że jego miniaturowy słoń zachowywał się zupełnie inaczej niż słoń normalny. Zwierzątko wyglądało wprawdzie jak malutki słoń, ale zachowywało się raczej jak agresywny gryzoń, a jego ruchy były szybkie. Nie pozwalał ludziom głaskać słonika, ponieważ wiedział, że może się to skończyć pokąsanymi palcami.

Stary John zapewniał także wszystkich, iż w 1993 roku roczne dochody spółki osiągną poziom siedmiu milionów dolarów. Tymczasem całe jego przedsięwzięcie było zupełnie nowatorskie i bardzo niepewne, właściwie opierało się tylko na spekulacjach. Miał wprawdzie konkretną wizję i mnóstwo entuzjazmu, lecz nie było żadnej gwarancji, że jego plan okaże się możliwy do zrealizowania. Tym bardziej że Norman Atherton – mózg projektu, jeśli chodzi o

kwestie czysto naukowe – miał raka i wiadomo było, że jego śmierć jest bliska. Także i o tym Hammond nikomu nie wspominał.

Jednak mimo niesprzyjających okoliczności udało mu się, z pomocą Donalda Gennaro, zebrać upragnioną sumę. Pomiędzy wrześniem 1983 a listopadem 1985 roku John Alfred Hammond pozyskał dla swojego funduszu wysokiego ryzyka, nazwanego Portfel Gruboskórny, osiemset siedemdziesiąt milionów dolarów. Istotą inwestycji było sfinansowanie powstającej od zera firmy International Genetic Technologies, Inc. Można było zgromadzić jeszcze więcej pieniędzy, jednak Hammond kładł nacisk na zachowanie szczegółów profilu działalności firmy w ścisłej tajemnicy, uprzedzał też, że w ciągu pierwszych pięciu lat nie będzie żadnych przychodów. To oczywiście zrażało wielu potencjalnych inwestorów. W końcu okazało się, że InGen będzie się opierać głównie na środkach japońskich konsorcjów finansowych. Tylko Japończyków charakteryzowała niezbędna w tym przypadku cierpliwość.

Podczas lotu Gennaro myślał o szczególnym charakterze Hammonda, o jego specyficznym sprycie. Na przykład w tej chwili stary John próbował stwarzać pozory, iż cel podróży jest czysto towarzyski, jakby nic sobie nie robił z tego, że to kancelaria Donalda ją na nim wymusiła.

– Jaka szkoda, że nie zabrałeś żony i córeczki – odezwał się znowu.

– Moja mała ma akurat urodziny – odparł Donald, wzruszając ramionami. – Odwiedza nas dwadzieścioro innych maluchów. Wiesz, będzie tort, nawet klaun. Rozumiesz, jak to jest...

– Och, oczywiście – zapewnił Hammond. – Dzieci niełatwo rezygnują z rozrywek, na które już się nastawiły.

– À propos, czy park jest już gotowy i możemy przyjmować gości? – zapytał Gennaro.

– Hm, oficjalnie jeszcze nie, ale hotel już stoi, więc jest gdzie się zatrzymać...

– A co ze zwierzętami?

– Zwierzęta już są, oczywiście. Wszystkie. Każdy gatunek na przeznaczonym dla niego terenie.

– Pamiętam, że kiedy zaczynaliśmy współpracę, liczyłeś na wyhodowanie dwunastu...

– Och, dawno przekroczyliśmy tę liczbę. W tej chwili mamy dwieście trzydzieści osiem zwierząt, Donaldzie.

– Dwieście trzydzieści osiem?!

– Nie wyobrażasz sobie nawet, młody człowieku. – Stary John zachichotał. – Są ich całe stada!

– Dwieście trzydzieści osiem... Ile gatunków?

– Wyhodowaliśmy piętnaście różnych gatunków, mój chłopcze.

– To niebywałe. Fantastyczne. A co ze wszystkim innym? Planowałeś budynki dla obsługi gości, różne instalacje, system komputerowy...

– Wszystko jest! Mamy na wyspie najnowocześniejsze urządzenia na świecie, ostatni krzyk techniki. Sam zresztą zobaczysz, Donaldzie. Stworzyliśmy cudowne miejsce. Dlatego

właśnie cała ta wasza... troska... jest zupełnie niepotrzebna. Naprawdę nie mamy żadnych problemów.

– Skoro nie ma żadnych problemów, inspekcja wyspy nie powinna być dla ciebie kłopotliwa – zauważył Donald.

– Nie jest – zapewnił Hammond. – Jednak opóźnia naszą pracę. Oficjalne inspekcje zawsze wiążą się z przerwami w pracy...

– I tak macie duże opóźnienie. Przecież przekładacie otwarcie parku.

– Ach, o to chodzi... – Hammond zaczął nerwowo skubać koniuszek czerwonej jedwabnej chusteczki tkwiącej w kieszonce jego sportowej marynarki. – Musiało do tego dojść. Po prostu musiało.

– Dlaczego?

– Cóż, Donaldzie, żeby ci to wytłumaczyć, muszę odwołać się do pierwotnej koncepcji parku. Obmyśliliśmy najbardziej zaawansowany technicznie park rozrywki na świecie, w którym wykorzystywane będą najnowsze osiągnięcia biotechnologii i elektroniki. Nie mówię o kolejkach górskich i tym podobnych. W każdym parku rozrywki jest kolejka górską, od starej nowojorskiej Coney Island poczynając. Obecnie w każdym parku są też aktywne środowiska sterowane elektronicznie: nawiedzony dom, gniazdo piratów, Dziki Zachód, trzęsienie ziemi... to wszystko nic nadzwyczajnego. Tymczasem my postanowiliśmy skupić się na atrakcjach biologicznych. Żywych. Tak niezwykłych, aby rozpałały wyobraźnię ludzi na całym świecie. Każdy będzie chciał je zobaczyć.

Donald nie mógł powstrzymać uśmiechu. Usłyszał niemal dokładnie tę samą przemowę, którą John przed laty powtarzał finansistom.

– Nie możemy przy tym zapominać o ostatecznym celu naszego kostarykańskiego przedsięwzięcia, jakim jest zarabianie pieniędzy – ciągnął Hammond. – Zarobimy mnóstwo pieniędzy – zapewnił, wyglądając przez okno samolotu.

– Mam to na uwadze – mruknął Donald.

– Tajemnicą zrobienia fortuny na parku rozrywki – kontynuował John – jest ograniczenie kosztów utrzymania personelu. Trzeba zapewniać zwierzętom pożywienie, sprzedawać bilety, sprzątać, dokonywać napraw. Zbudowaliśmy park, który będzie obsługiwać minimalna liczba osób. Właśnie dlatego zainwestowaliśmy tak dużo w systemy komputerowe – zautomatyzowaliśmy, co tylko się dało.

– Pamiętam.

– Jednak fakty są takie, że kiedy już ma się wszystkie zwierzęta i wszystkie potrzebne komputery, człowiek napotyka trudności. Słyszałeś o tym, żeby jakiś skomplikowany system komputerowy gdziekolwiek na świecie uruchomiono na czas? Bo ja nie.

– A więc macie po prostu problemy z rozruchem? – upewnił się Donald.

– Tak. Zwykle opóźnienia.

– Słyszałem, że podczas budowy parku dochodziło do wypadków. Że zginęło kilku robotników.

– Rzeczywiście, zdarzyło się kilka wypadków – przyznał John. – Straciły w nich życie w sumie trzy osoby. Dwóch robotników zginęło przy wykuwaniu drogi w urwisku. Trzeci poniósł śmierć w styczniu, dostał się pod łyżkę koparki. Od tamtego czasu minęło już kilka miesięcy i więcej wypadków nie było. Słuchaj, Donaldzie – Hammond położył dłoń na ramieniu Gennaro – możesz mi wierzyć, że na wyspie wszystko idzie zgodnie z planem. Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Zapiąć pasy – dobiegł nagle z głośnika lekko zniekształcony głos pilota. – Za chwilę lądujemy w Choteau.

CHOTEAU

Wokół rozciągała się sucha równina, w oddali widać było ciemne pagórki. Nad spękanym betonem przelatwały ziarenka pyłu i wyschnięte szczątki roślin niesione popołudniowym wiatrem. Alan i Ellie stali koło jeepa i obserwowali smukły odrzutowiec firmy Grumman, który wykonywał krąg, podchodząc do lądowania.

– Nie znoszę czekać na bogaczy – gderał Grant.

– To część naszej pracy – skwitowała Ellie.

Wiele dziedzin nauki wspierało państwo, na poziomie federalnym – na przykład fizykę czy chemię. Paleontologia pozostawała jednak w znacznej mierze uzależniona od prywatnych mecenasów. Alan tak naprawdę był ciekaw, co jest na tej kostarykańskiej wyspie, a poza tym zamierzał pomóc Johnowi Hammondowi, skoro ten go o to poprosił. Takie rzeczy były od niepamiętnych czasów wpisane w system mecenatu.

Mały odrzutowiec wylądował i szybko podjechał do Alana i Ellie. Ellie założyła torbę na ramię. Maszyna zatrzymała się tymczasem. Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich stewardesa w niebieskim uniformie.

Alan był zaskoczony niewielkimi rozmiarami wnętrza samolotu, mimo luksusowego wyposażenia. Musiał się schylić, idąc do starego Hammonda, aby się z nim przywitać.

– Witam państwa na pokładzie. – Hammond uściśnął dłonie Alanowi i Ellie. – Cieszę się, że polecą państwo z nami. To mój współpracownik, Donald Gennaro.

Gennaro był krępy, muskularny trzydziestopięciolatkiem. Miał na sobie garnitur od Armaniego i eleganckie okulary w drucianych oprawkach. Od razu zrobił na Alanie wrażenie mało sympatycznego człowieka. Uściśnęli sobie krótko ręce.

– Jest pani kobietą – skomentował Gennaro, witając się z Ellie.

– To się zdarza – odparła Ellie. Najwyraźniej i jej nie przypadł do gustu prawnik Hammonda.

– Wiesz oczywiście, kim są pan profesor Grant i pani doktor Sattler – odezwał się do Donalda starszy pan. – To paleontolodzy. Wykopują dinozaury z ziemi. – Roześmiał się, jakby rozbawiły go jego własne słowa.

– Proszę państwa o zajęcie miejsc – powiedziała stewardesa, zamykając drzwi.

Mały odrzutowiec natychmiast ruszył.

– Proszę o wybaczenie, ale trochę się spieszymy. Donald uważa, że powinniśmy jak najszybciej znaleźć się na wyspie – wyjaśnił Hammond.

Pilot zapowiedział przez głośniki, że pasażerów czeka czterogodzinny lot do Dallas, gdzie uzupełnią paliwo, a potem przelot do Kostaryki. Znajdą się tam następnego ranka.

– Jak długo będziemy w Kostaryce? – zapytał Alan.

– To zależy – odparł Gennaro. – Musimy uporządkować tam pewne sprawy.

– Możecie państwo trzymać mnie za słowo, że wystartujemy z powrotem przed upływem czterdziestu ośmiu godzin – obiecał John.

– Pierwszy raz usłyszałem o waszej wyspie – przyznał Alan, zapinając pas. – Czy to jakaś tajemnica?

– W pewnym sensie – potwierdził Hammond. – Dołożyliśmy wszelkich starań, aby nikt się o niej nie dowiedział aż do dnia, w którym wreszcie otworzymy ją dla zwiedzających i zadziwimy świat.

WYKORZYSTANIE OKAZJI

Było to pierwsze w historii nadzwyczajne zebranie rady nadzorczej firmy Biosyn Corporation z Kalifornii. W sali konferencyjnej panował nerwowy nastrój. Minęła dwudziesta. Dziesięcioro członków rady rozmawiało nieoficjalnie przez mniej więcej dziesięć minut. Zaczęli przekładać papiery i ostantacyjnie spoglądać na zegarki. Zapadło nieprzyjemne milczenie.

– Na co czekamy? – zapytał w końcu jeden z mężczyzn.

– Czekamy na jeszcze jednego członka – odpowiedział Lewis Dodgson. – To niezbędne. – I on popatrzył na zegarek. Asystentka Rona Meyera poinformowała, że przyleci on z San Diego samolotem, który ląduje o osiemnastej. Nawet jeśli na drodze z lotniska są korki, Meyer powinien już być.

– Potrzebne jest kworum? – upewnił się inny członek rady.

– Owszem.

Odpowiedź Dodgsona wystarczyła, żeby zebrani milczeli przez kilka następnych minut. Skoro wymagane jest kworum, to znaczy, że za chwilę zostaną poproszeni o podjęcie jakiejś ważnej decyzji. I rzeczywiście tak przedstawiały się sprawy. Lewis wolałby nie zwoływać tego zebrania, lecz Steingarten, prezes Biosynu, był w tej sprawie nieugięty. „Ten jeden raz musisz uzyskać ich zgodę, Lew”, powiedział.

Lewisa Dodgsona uważano za najbardziej śmiałego genetyka swojego pokolenia. Albo za najbardziej bezmyślnego. Był trzydziestoczteroletnim, łysiejącym człowiekiem o orlim nosie i świdrującym spojrzeniu. Słynny Uniwersytet Johns Hopkins wyrzucił go jako doktoranta za to, że bez zezwolenia Agencji do spraw Żywności i Leków zamierzał poddać pacjentów terapii genowej. Natychmiast zatrudniono go w Biosynie i wtedy przeprowadził w Chile

znany, niezwykle kontrowersyjny test szczepionki przeciwko wściekliźnie. Obecnie kierował w Biosynie działem badań i rozwoju produktów. Uważano, że w rzeczywistości chodzi o tak zwaną inżynierię odwrotną, że w jego laboratoriach rozkładane są na czynniki pierwsze produkty konkurencji, że analizuje się sposób ich działania, a następnie tworzy własne ich wersje. Tak naprawdę Dodgson stosował jeszcze szybszą metodę: szpiegostwo przemysłowe. Jego ludzie zajmowali się przede wszystkim szpiegowaniem w firmie InGen.

W latach osiemdziesiątych w kilku spółkach zajmujących się inżynierią genetyczną zaczęto zadawać sobie pytanie, co mogłoby być biologicznym odpowiednikiem walkmana skonstruowanego przez Sony – przełomowym produktem, który przyniosłby olbrzymie dochody. Firmy, o których mowa, nie interesowały się produkcją nowych leków czy ratowaniem ludzi, skupiały się na świecie rozrywki, sportu, rekreacji i wypoczynku, na kosmetykach, wreszcie na zwierzętach domowych. Spodziewano się, że w latach dziewięćdziesiątych pojawi się duży popyt na produkty biologiczne dla masowego użytkownika. W tym wyścigu o przyszłego konsumenta brały udział między innymi firmy InGen oraz Biosyn.

Biosyn miał i własne sukcesy. W laboratoriach Dodgsona wyhodowano jasne pstrągi, w ramach kontraktu zawartego z departamentem rybołówstwa i myślistwa stanu Idaho. Pstrągi te łatwiej było zauważyć w strumieniach i uznano je za krok naprzód w dziedzinie wędkarstwa. W każdym razie do wspomnianego departamentu przestały napływać skargi na brak pstrągów w rzekach. Jasne pstrągi czasami zdychały z powodu nadmiaru promieni słonecznych, a ich mięso było jakby nasiąknięte wodą i pozbawione smaku, ale o tym nie dyskutowano. W laboratoriach Biosynu pracowano zresztą nad rozwiązaniem tego problemu.

Drzwi się otworzyły i do sali wszedł Ron Meyer. Usiadł bez słowa. Dodgson wstał – teraz zebrało się kworum.

– Panowie, zebraliśmy się tutaj, ponieważ nadarza się sposobność, żeby uderzyć w InGen.

Lewis zwięźle wprowadził członków rady nadzorczej w temat. Wspomniał o tym, że InGen powstał w 1983 roku i że głównymi inwestorami byli Japończycy. Powiedział o zakupie przez InGen trzech superkomputerów Cray, o kostarykańskiej wyspie Nublar, o gromadzeniu zapasów bursztynu, o dofinansowywaniu sumami bezprecedensowej wysokości ogrodów zoologicznych na całym świecie, od Nowojorskiego Towarzystwa Zoologicznego po Park Narodowy Ranthapur w Indiach.

– Mimo wszystkich tych danych długo nie mieliśmy pojęcia, do czego InGen zmierza – mówił Dodgson. – Jasne było, że chodzi o zwierzęta. Co więcej, zatrudnili jako konsultantów naukowców specjalizujących się w badaniu przeszłości – paleobiologów, flogenetyków od DNA i tak dalej. Następnie, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym kupili nikomu nieznaną firmę Millipore Plastic Products z Nashville w stanie Tennessee. Okazuje się, że dziedziną działalności InGenu było wytwarzanie produktów używanych w rolnictwie i że wcześniej opatentował nowy rodzaj plastiku, o charakterystyce bardzo podobnej do tej, jaką mają skorupki ptasich jaj. Dało się ukształtować ten plastik tak, by powstało sztuczne jajko, i

hodować w nim embrion kurczęcia. Rok później InGen przejął całą produkcję tego plastiku – najważniejsza w nim jest obecność niezliczonych mikroporów – na własne potrzeby.

– To rzeczywiście bardzo interesujące... – próbował przerwać Dodgsonowi jeden z obecnych.

– Równolegle – ciągnął niezrażony Lewis – na wyspie Nublar rozpoczęto prace budowlane, zakrojone na wielką skalę roboty ziemne – w środkowej części wyspy utworzono na przykład trzykilometrowej długości sztuczne jezioro. Plany budynków, przeznaczonych głównie do rekreacji, opatrzone najwyższymi klauzulami poufności. Wszystko wskazuje jednak na to, że InGen zbudował na tej wyspie wielkie prywatne zoo.

– I co z tego, proszę pana? – spytał jeden z członków rady.

– To nie jest normalne zoo. To najbardziej niezwykle ogród zoologiczny na świecie. Wygląda na to, że InGen dokonał na prawdę niewiarygodnej rzeczy: udało im się sklonować wymarłe zwierzęta, stworzenia, które żyły w przeszłości.

– Jakie zwierzęta?

– Takie, które wykluwają się z jaj i potrzebują gigantycznych wybiegów.

– Jakie zwierzęta, pytam.

– Dinozaury. InGen klonuje dinozaury.

* * *

Członkowie rady byli skonsternowani. Niepotrzebnie, myślał Lewis. Zawsze tak jest z bogaczami – nie nadążają. Zainwestowali pieniądze w dziedzinę, której możliwości nie znają.

Dyskusja w literaturze specjalistycznej na temat klonowania dinozaurów rozpoczęła się w 1982 roku. A z każdym mijającym rokiem manipulowanie przy DNA stawało się coraz łatwiejsze. Pozyskano materiał genetyczny z mumii egipskich czy na przykład z zadu kwaggi – podgatunku zebry, który wymarł w Afryce w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego stulecia. W 1985 roku wydawało się już możliwe, że uda się zrekonstruować DNA kwaggi i wyhodować żywego osobnika. Jeśli wkrótce zostanie to zrobione, kwagga będzie pierwszym wymarłym zwierzęciem przywróconym światu wyłącznie dzięki rekonstrukcji jego DNA. Jeśli da się odtworzyć kwaggę, to co jeszcze? Mamuta? Tygrysa szablozębnego? Dodo?

A może nawet dinozaura?

Rzecz jasna nie słyszano o tym, żeby gdziekolwiek na świecie istniało DNA dinozaura. Jednak mając duże ilości kości dinozaurów, można by pozyskać fragmenty ich DNA. Dawniej myślano, że w procesie powstawania skamieniałości całe DNA ulega zniszczeniu, okazało się jednak, że to nieprawda. Jeśli uda się pozyskać wystarczającą ilość fragmentów DNA, teoretycznie powstanie możliwość sklonowania żywego zwierzęcia.

W 1982 roku związane z tym problemy wydawały się niemożliwe do przezwyciężenia w praktyce. Jednak bariera teoretyczna nie istniała. Zadanie było tylko bardzo trudne, kosztowne i raczej mogło się nie udać, niż udać. Ale z pewnością było możliwe, gdyby ktoś odpowiednio się postarał.

Najwidoczniej ludzie z InGenu postanowili spróbować.

– Oto, co zrobili – odezwał się znowu Lewis. – Stworzyli największą atrakcję turystyczną w historii ludzkości! Jak państwo wiecie, nawet zwykłe ogrody zoologiczne są ogromnie popularne. W zeszłym roku więcej Amerykanów odwiedziło zoo, niż kupiło bilet na mecz baseballowy czy futbolowy. Mówię o obu tych dyscyplinach razem wziętych. Szczególnie uwielbiają chodzić do zoo Japończycy – w ich kraju jest pięćdziesiąt ogrodów zoologicznych, a następne w budowie. Bilet wstępu do zoo InGenu może mieć dowolnie wysoką cenę. Dwa tysiące dolarów za dzień zwiedzania albo nawet i dziesięć tysięcy dolarów... Do tego dojdą różne gadzety: albumy ze zdjęciami, koszulki, gry wideo, czapeczki, wypchane zwierzęta, komiksy, wreszcie zwierzęta domowe.

– Zwierzęta domowe? – zdziwił się ktoś.

– Oczywiście. Jeśli InGen potrafi hodować pełnowymiarowe dinozaury, to potrafi także stworzyć miniaturowe, które mogą stać się zwierzątkami domowymi. Któreż dziecko nie chciałoby mieć w domu małego dinozaura? Maleńki, opatentowany dinozaur na ich wyłączną własność. InGen sprzedaje ich miliony. Zdołają wyposażyć je w takie cechy, że te stworzenia będą mogły żywić się tylko specjalną karmą produkowaną przez InGen...

– O Jezu... – jęknął ktoś inny.

– Właśnie. Zoo na wyspie jest tylko głównym ośrodkiem ogromnego przedsiębiorstwa.

– Mówi pan, że te dinozaury zostaną opatentowane?

– Tak. Obecnie można opatentować zmodyfikowane genetycznie zwierzęta. Tak stanowi wyrok Sądu Najwyższego z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku w sprawie, w której stroną był Uniwersytet Harvarda. InGen będzie właścicielem wszystkich dinozaurów i w dodatku nikomu innemu nie będzie wolno ich hodować.

– Dlaczego nie możemy wyhodować własnych dinozaurów? – padło pytanie.

– Teoretycznie możemy, tylko że InGen wyprzedza nas o pięć lat. Oceniam, że jest prawie niemożliwe, abyśmy dogonili ich przed rokiem dwutysięcznym... Oczywiście jeśli zdołamy zdobyć kilka spośród ich zwierząt, możemy stworzyć własne dinozaury metodą inżynierii odwrotnej, dokonując przy tym na tyle poważnych modyfikacji DNA, że patenty InGenu nie będą ich obejmowały.

– A zdołamy zdobyć ich dinozaury? Lewis milczał przez chwilę wymownie.

– Uważam, że tak – powiedział wreszcie.

– Nie będzie to nielegalne? – spytał jakiś mężczyzna, chrząkając znacząco.

– Och nie – zapewnił pospiesznie Dodgson. – Myślę o źródle, które dostarczy nam DNA, a równocześnie pozostawi nas poza wszelkimi oskarżeniami. Zemsta zawiedzionego pracownika, nieopatrzne wyrzucenie czegoś cennego do śmieci... Coś w tym rodzaju.

– Czy dysponuje pan już takim legalnym źródłem?

– Tak. Obawiam się jednak, że musimy natychmiast podjąć decyzję. Sytuacja w InGenie jest akurat chwilowo napięta, nasza akcja musi więc zostać przeprowadzona w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin – zakończył Lewis.

W sali zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na sekretarkę, która notowała oraz nagrywała przebieg rozmowy na dyktafon.

– Nie widzę potrzeby formalnego głosowania – powiedział Dodgson. – Chciałbym tylko wiedzieć, co państwo o tym myślą. Czy uważacie, że powinienem podjąć działania, czy nie?

Członkowie rady nadzorczej kolejno kiwali głowami. Nikt się nie odzywał. Nikt nie chciał zostać nagrany. Cała sala w milczeniu kiwała głowami.

– Dziękuję, że przyjechali państwo na to spotkanie. Resztą zajmę się ja – powiedział na pożegnanie Lewis.

LOTNISKO

Lewis Dodgson wszedł do kawiarni i rozejrzał się pospiesznie. Jego człowiek już tam był, czekał przy barze. Znajdowali się w hali odlotów lotniska w San Francisco. Lewis usiadł obok i postawił neseser na podłodze, pomiędzy sobą a swoim towarzyszem.

– Spóźnił się pan – odezwał się tamten. – Co to ma być, przebranie? – dodał ze śmiechem, zerkając na słomkowy kapelusz Dodgsona.

– Nigdy nic nie wiadomo – odpowiedział Lewis, tłumiąc złość. Cierpliwie prowadzi tego agenta już od pół roku, a ten z każdym spotkaniem staje się coraz bardziej niesympatyczny i arogancki. Dodgson nie mógł jednak nic z tym zrobić. Obaj wiedzieli, jak bardzo ryzykuje.

Zmodyfikowane DNA to najdroższa substancja na świecie, w przeliczeniu na jednostkę masy. Pojedyncza bakteria – obiekt tak mały, że widoczny tylko pod mikroskopem – zawierająca geny związane z wytwarzaniem streptokinazy, enzymu, który leczy zawały serca, albo na przykład białka podnoszącego odporność roślin uprawnych na mróz – może być warta i pięć miliardów dolarów, oczywiście dla odpowiedniego kupca.

To sprawiło, że powstała nowa i dziwna dziedzina szpiegostwa przemysłowego. Dodgson był jej mistrzem. W 1987 roku przekonał rozżaloną panią genetyk z firmy Cetus, by przeszła do Biosynu i zabrała ze sobą pięć szczepów genetycznie zmodyfikowanych bakterii. Kobieta po prostu umieściła kolejno po jednej kropli płynu zawierającego każdy ze szczepów na paznokciach jednej ręki i wyszła z laboratorium firmy Cetus.

Z InGenem nie mogło pójść tak łatwo, nie wystarczyło bowiem DNA zawarte w bakteriach. Lewis chciał dostać zamrożone embriony. Wiedział, że InGen strzeże ich na wszelkie, najbardziej wymyślne sposoby. Potrzebował pracownika InGenu, który ma dostęp do embrionów dinozaurów, chce je ukraść i jednocześnie będzie potrafił pokonać zabezpieczenia. Nie było łatwo znaleźć kogoś takiego.

Na początku roku Dodgson natrafił wreszcie na odpowiednią osobę – podatnego na jego wpływ pracownika InGenu. Nie miał on wprawdzie dostępu do materiału genetycznego, lecz Lewis podtrzymywał kontakt z tym człowiekiem. Spotykał się z nim co miesiąc w restauracji sieci Carlos and Charlie's w Dolinie Krzemowej i wyświadczał mu drobne przysługi. Lewis dowiedział się, że InGen ściąga właśnie na swoją wyspę wykonawców projektu i

konsultantów. Był to moment, na który Dodgson czekał – jego człowiek będzie miał bowiem dostęp do embrionów.

– Przejdźmy szybko do rzeczy. Za dziesięć minut muszę iść do samolotu – powiedział człowiek z InGenu.

– Czy chce pan, żebym jeszcze raz streścił panu sytuację i instrukcje? – spytał Dodgson.

– Nie! – zachnął się tamten. – Chcę zobaczyć pieniądze. Lewis podniósł neser i uchylił wieko. Mężczyzna spojrzał do środka obojętnym wzrokiem.

– Czy to cała suma? – spytał.

– Połowa. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– W porządku. – Mężczyzna odwrócił wzrok i dopił kawę. – Dobrze, panie doktorze.

Dodgson zatrzasnął neser.

– Płacę za wszystkie piętnaście gatunków, pamięta pan? – upewnił się.

– Pamiętam. Piętnaście zamrożonych embrionów, po jednym każdego z gatunków dinozaurów. Jak mam je przewieźć?

Lewis podał człowiekowi z InGenu dużą puszkę pianki do golenia firmy Gillette.

– To wszystko?

– Tak.

– Mogą sprawdzić mój bagaż.

Dodgson wzruszył ramionami.

– Proszę nacisnąć czubek.

Mężczyzna nacisnął plastikowy element u góry puszek i ze środka wydobyło się trochę białej pianki.

– Niezłe, niezłe... – pochwalił, wycierając piankę o krawędź.

– Puszka jest trochę cięższa niż normalna – poinformował Lewis. Jego ludzie przez ostatnie dwie doby bez przerwy nad nią pracowali. Pokazał, jak działa puszka.

– Dużo jest w puszcze substancji chłodzącej? – zapytał mężczyzna.

– Wystarczy na trzydzieści sześć godzin. Zanim tyle upłynie, embriony muszą już znajdować się w San José.

– To zależy od pańskiego człowieka i jego łodzi. Niech pan dopilnuje, żeby miał na pokładzie przenośną zamrażarkę.

– Dopilnuję.

– Omówmy jeszcze szczegóły zapłaty.

– Nic się nie zmieniło. Pięćdziesiąt tysięcy za każdy embrion. Jeśli okażą się zdolne do życia, dostanie pan drugie pięćdziesiąt tysięcy za każdy z nich.

– W porządku. Tylko niech łódź czeka we wschodnim porcie wyspy, w piątek wieczorem. Nie w północnym, bo tam cumują większe statki, które przywożą zapasy. We wschodnim. To właściwie przystań, służy do obsługi technicznej. Zapamiętał pan?

– Zapamiętałem. Kiedy znajdzie się pan w San José?

– Prawdopodobnie w sobotę. – Mężczyzna odsunął się od baru, by wstać.

- Czy na pewno wie pan, jak użyć... – zaniepokoił się Dodgson.
- Wiem, niech pan mi wierzy.
- Jeszcze jedno: sądzimy, że ludzie z wyspy utrzymują stały kontakt radiowy z siedzibą InGenu w Kalifornii, więc...
- Uwzględniłem to, proszę mi wierzyć – przerwał mu mężczyzna. – Niech się pan teraz uspokoi i szykuje resztę pieniędzy. Chcę dostać całość w niedzielę rano, na lotnisku w San José, w gotówce.
- Gotówka będzie tam na pana czekać – obiecał Lewis. – Proszę się nie martwić.

MALCOLM

Krótko przed północą wysoki, smukły, łysiejący trzydziestopięcioletni mężczyzna wysiadł z samolotu na lotnisku w Dallas. Był ubrany na czarno – miał czarną koszulę, czarne spodnie, skarpetki i adidas.

– Ach, pan profesor Malcolm – odezwał się z wymuszoną grzecznością Hammond. – Dzień dobry.

– Cześć, John – rzucił z uśmiechem Ian. – Tak, to ja, twój stary wróg.

Malcolm przywitał się z każdym po kolei, mówiąc:

– Miło mi pana poznać, poza tym poznaję matematykę. – Zwrócił uwagę, że Grant wydaje się tym szczerze rozbawiony.

Alan Grant z pewnością znał jego nazwisko, Ian był jednym z najsłynniejszych młodych matematyków, którzy otwarcie wyrażali zainteresowanie tym, „na jakich zasadach funkcjonuje rzeczywisty świat”. Ta grupa naukowców na kilka sposobów zerwała z tradycją matematyki jako nauki opierającej się tylko na czystym rozumowaniu, w oderwaniu od świata. Po pierwsze, stale używali jako narzędzi komputerów, na co krzywili się matematycy tradycjoniści. Po drugie, pracowali niemal wyłącznie na równaniach nieliniowych, skupiając się na rozwijającej się właśnie nowej dziedzinie – teorii chaosu. Po trzecie, duże znaczenie miał dla nich fakt, iż uprawiana przez nich matematyka opisuje coś, co istnieje w świecie rzeczywistym. Na koniec, jakby dla podkreślenia, iż opuścili uczelniane gabinety i ruszyli w świat, ubierali się i mówili w sposób, który jeden ze starych profesorów matematyki nazwał „godnym ubolewania przerostem ego”. Inaczej mówiąc, często zachowywali się jak gwiazdy rocka.

Malcolm zajął miejsce w samolocie. Na pytanie stewardesy, czy się czegoś napije, odpowiedział:

- Niskokalorycznej coca-coli. Wstrząśniętej, niezmieszanej.
- Przez otwarte drzwi maszyny wpadało gorące powietrze. W Dallas był oczywiście upał.
- Czy nie jest panu gorąco w czarnym ubraniu? – zainteresowała się Ellie.
- Jest pani bardzo piękna, pani doktor – odpowiedział Ian. – Mógłbym przez cały dzień wpatrywać się w pani nogi. Ale wracając do pani pytania: czarny to idealny kolor na upały.

Jeśli pamięta pani lekcję o ciele doskonale czarnym, podczas upału zachowuje się ono najlepiej – w ten sposób zyskuje najwięcej energii. Noszę się tylko na czarno lub szaro.

Ellie otworzyła szeroko usta, wpatrując się w Malcolma.

– Czarny i szary to kolory odpowiednie na każdą okazję – ciągnął. – A poza tym doskonale do siebie pasują. Nawet gdybym niechcący włożył szare skarpetki do czarnych spodni, nie będzie tragedii.

– Nie nudzą pana ubrania tylko w dwóch kolorach? – dociekała Ellie.

– Ani trochę. To mnie wyzwala. Uważam bowiem, że moje życie jest cenne i nie chcę tracić czasu na myślenie, w co się ubrać. Doprawdy, czy istnieje coś nudniejszego niż moda? Być może sport. Dorośli mężczyźni zawodowo uderzają jakieś piłki, a reszta świata wiwatuje na ich cześć. Jednak moda nuży mnie jeszcze bardziej niż sport.

– Pan profesor Malcolm ma skłonność do wyrażania zdecydowanych opinii – wytłumaczył Hammond.

– A poza tym ma bzika – dodał wesoło Malcolm. – Musicie jednak przyznać, że zagadnienia, które poruszyłem, nie są trywialne. To przerażające, jak wiele rzeczy ludzie zakładają z góry. Uważa się za oczywiste, że człowiek będzie w danej sytuacji zachowywał się tak a nie inaczej, że interesuje się tym samym co inni. Nikt nie zastanawia się, skąd biorą się takie założenia. Czyż to nie zdumiewające? W dobie społeczeństwa informacyjnego ludzie nie myślą. Przewiduje się, że niedługo przestaniemy używać papieru – a tymczasem tak naprawdę przestaliśmy myśleć.

– I ty po niego zadzwoniłeś! – mruknął Hammond do Gennaro, unosząc wymownie ręce.

– Całe szczęście – odparł Malcolm. – Bo zdaje mi się, że macie jakiś poważny problem.

– Nie mamy żadnego problemu – zaprzeczył szybko Hammond.

– Zawsze utrzymywałem, że nie da się wprowadzić w życie waszego pomysłu na tę wyspę – ciągnął Ian. – Przewidziałem to już na samym początku. – Włożył rękę do miękkiej skórzanej teczki. – Jestem pewny, że w tej chwili każde z nas zdaje sobie sprawę, jak to się skończy. Będziecie musieli zwinąć kostarykański interes.

– Zwinąć interes?! – Hammond zerwał się z fotela. – To śmieszne!

Malcolm wzruszył ramionami.

– Mam ze sobą kopie mojego opracowania sprzed lat, żebyście wszyscy mogli do niego zajrzeć. Mówię o pracy, którą wykonałem na zlecenie InGenu. Jej strona matematyczna jest dość złożona, ale mogę wam ją objaśnić. Wychodzisz? – spytał Hammonda.

– Idę do kabiny obok – odparł starszy pan. – Muszę zatelefonować w kilka miejsc.

– Cóż, przed nami długi lot – powiedział Ian do pozostałych. – Rozdam wam egzemplarze mojego opracowania. Będziecie mieli przynajmniej co czytać.

* * *

Zapadła noc, a samolot wciąż leciał.

Alan Grant słyszał o Malcolmie i wiedział, że ma on wielu wrogów. Potrafił zrozumieć, dlaczego niektórzy uważają jego sposób bycia za niemiły, a jego zastosowania teorii chaosu za zbyt arbitralne. Przejrzał opracowanie Malcolma, zerkając na równania, które zawierało.

– Dowodzi pan w tej pracy, że rozwój sytuacji na wyspie Johna Hammonda nieuchronnie zmierza do katastrofy? – upewnił się Gennaro.

– Zgadza się – potwierdził Ian.

– Z powodu teorii chaosu?

– Tak. A ściślej, z powodu zachowania się układu w przestrzeni fazowej.

– Może pan powiedzieć to po angielsku? – zachnął się Donald, rzucając dokument na stół.

– Oczywiście. Zobaczmy, od czego mam zacząć. Wie pan, co to jest równanie nieliniowe?

– Nie – odparł prawnik.

– A dziwny atraktor?

– Nie...

– Rozumiem. W takim razie zacznijmy od początku. – Ian zrobił małą pauzę, spoglądając w sufit. – Fizyka już od dawna znakomicie opisuje pewien typ zachowania się obiektów – na przykład ruch planet po orbitach, trajektorię statku kosmicznego zdążającego ku Księżycowi, ruch wahadła, toczącej się kuli i tym podobne. Wszystko to są ruchy regularne. Opisują je tak zwane równania liniowe, które matematycy potrafią z łatwością rozwiązać. Robimy to już od setek lat.

– Nadążam – wtrącił Donald.

– Istnieją jednak inne typy zachowań, z którymi fizyka źle sobie radzi. Na przykład wszystko, co wiąże się z turbulencjami – ruch wody wypływającej z dyszy, powietrza opływającego skrzydło samolotu, zmiany pogody, przepływ krwi przez serce. Zdarzenia o charakterze turbulentnym opisują równania nieliniowe, które trudno rozwiązać, a w istocie zazwyczaj nie da się ich rozwiązać. Dlatego fizyka dotąd nie rozumiała w pełni całej tej klasy zdarzeń. Jednak mniej więcej dziesięć lat temu sytuacja się zmieniła, powstała bowiem nowa teoria, która je opisuje. Nazwano ją teorią chaosu... Zrodziła się ona w wyniku prób stworzenia komputerowych modeli zmian pogody, które podjęto w latach sześćdziesiątych. Atmosfera ziemska i zachodzące w niej zjawiska pogodowe to bardzo skomplikowany układ, na który ma wpływ także powierzchnia ziemi i oddziaływanie słońca. Zachowanie się tego ogromnie złożonego układu zawsze wymykało się próbom opisu. Dlatego nie potrafimy przewidywać pogody w sposób pewny. Co ciekawe, przy okazji naukowcy dowiedzieli się na podstawie modeli komputerowych, że nawet gdyby dało się w pełni zrozumieć dynamikę zjawisk pogodowych, i tak nie da się ich nieomylnie przewidywać. Ścisłe przewidywanie pogody jest absolutnie niemożliwe, ponieważ zachowanie się układu jest niezmiernie wrażliwe na warunki początkowe.

– Przestałem rozumieć – przyznał Gennaro.

– Jeśli wystrzeli pan z armaty pocisk o określonej masie, z określoną prędkością, a lufa będzie nachylona pod określonym kątem, a następnie wystrzeli pan drugi pocisk – o niemal identycznej masie, z niemal identyczną prędkością oraz pod niemal identycznym kątem, to gdzie wyląduje ten drugi w stosunku do pierwszego?

– Bardzo blisko.

– Dokładnie. To przykład dynamiki liniowej.

– Rozumiem.

– Jednak w przypadku układu, jakim jest ziemska atmosfera, jeśli w danej chwili i miejscu mamy określoną temperaturę, prędkość wiatru i wilgotność, nie możemy przewidzieć, co stanie się po upływie dłuższego czasu. A więc jeśli innym razem zdarzy się, że w tym miejscu temperatura, prędkość wiatru i wilgotność będą identyczne, układ zachowa się zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Od stanu początkowego oba układy będą się dynamicznie zmieniać, różniąc się od siebie coraz bardziej. Po jakimś czasie w pierwszym przypadku mogą wystąpić burze, a w drugim pogoda będzie słoneczna. To przykład dynamiki nieliniowej. Układ jest ogromnie wrażliwy na warunki początkowe, to znaczy znikome różnice powiększają się z upływem czasu.

– Chyba rozumiem – mruknął Gennaro.

– W skrócie nazywamy to efektem motyla. Machanie skrzydełkami przez motyla w Pekinie może po pewnym czasie wpłynąć na pogodę w Nowym Jorku.

– To znaczy, że w teorii chaosu niczego nie da się przewidzieć? – spytał Donald.

– Niezupełnie. Otóż zdołaliśmy odnaleźć ukryte regularności w złożonym zachowaniu się skomplikowanych układów. Dlatego właśnie teoria chaosu stała się ostatnio tak popularna i stosuje się ją do analizy zachowań tak rozmaitych układów, jak giełda papierów wartościowych, agresywny tłum czy fale mózgowe u epileptyka. Wszystkich złożonych układów, których zachowań nie da się dokładnie przewidzieć. Możemy odnaleźć ukryty w nich porządek. Rozumie pan?

– Chyba tak. Ale na czym ten ukryty porządek polega?

– W zasadzie chodzi o dynamikę układu w przestrzeni fazowej.

– Jezus Maria, ale co to ma wspólnego z wyspą, na którą lecimy?! Dlaczego uważa pan, że wszystko się tam posypie? Tylko to chcę wiedzieć.

– Dojdę do tego – uspokoił Donalda Ian. Teoria chaosu mówi nam dwie rzeczy. Po pierwsze, że w zachowaniu się złożonego systemu – jak na przykład zjawisk pogodowych – tkwi ukryty porządek. Po drugie, coś jakby przeciwnego: to, że proste układy mogą zacząć zachowywać się w bardzo skomplikowany sposób. Przykładem tego drugiego aspektu zagadnienia jest zachowanie się kul bilardowych. Uderza pan kulę, a ona zaczyna odbijać się kolejno od boków stołu. Wydaje się, że to prosty układ, niemalże dający się opisać przez newtonowskie zasady dynamiki. Jeśli znamy siłę przyłożoną do kuli, masę kuli i potrafimy obliczyć kąty, pod jakimi kula będzie uderzała w ścianki, da się przewidzieć dalsze jej zachowanie. Będzie się odbijała i odbijała, lecz teoretycznie można obliczyć, w jakim punkcie

będzie znajdowała się w każdej danej chwili, nawet po, dajmy na to, trzech godzinach od uderzenia kijem.

– No tak...

– Lecz w praktyce – tłumaczył Malcolm – okazuje się, że nie da się przewidzieć zachowania kuli na więcej niż kilka sekund naprzód, ponieważ gdy tylko kula ruszy, na jej ruch zaczynają wpływać drobne nieregularności – maleńkie niedoskonałości jej kształtu, drobiutki wgłębienia i wybrzuszenia powierzchni stołu. Ich wpływ zaznacza się stopniowo coraz bardziej i po krótkim czasie staje się silniejszy niż to, co wynikało z teoretycznie dobrych obliczeń.

– Rozumiem...

– To samo stosuje się do układu, jakim są zwierzęta w zoo. Przedsięwzięcie, które John Hammond realizuje na swojej wyspie, to inny przykład pozornie prostego układu, który z czasem zacznie zachowywać się w sposób nieprzewidywalny.

– I wie pan to na podstawie...

– Teorii – dokończył Malcolm.

– A czy pańskie wnioski nie byłyby bardziej trafne, gdyby odwiedził pan wyspę i zobaczył, co rzeczywiście stworzył na niej John?

– Nie. To niepotrzebne. Szczegóły nie mają tu znaczenia. Sama teoria mówi mi, że sytuacja na tej wyspie szybko wymknie się spod kontroli i będzie rozwijać się w niemożliwy do przewidzenia sposób.

– Tak bardzo jest pan pewny swojej teorii? – indagował Donald.

– Och, absolutnie. Jestem jej stuprocentowo pewny. – Ian oparł się wygodnie. – Ta wyspa stanowi problem – dodał. – Prędzej czy później dojdzie do jakiejś katastrofy.

WYSPA NUBLAR

Wirniki śmigłowca zaczęły obracać się coraz szybciej przy akompaniamencie narastającego wycia. Na betonie płyty lotniska w San José tańczyły cienie. Alan Grant słyszał w słuchawkach, pośród trzasków, jak pilot rozmawia z wieżą.

W San José do ekipy dołączył Dennis Nedry. Przyleciał krótko przed nimi, żeby nie musieli czekać. Był to opasły, niechlujnie wyglądający mężczyzna. Wsiadł do helikoptera, jedząc czekoladowy baton. Palce miał ubrudzone czekoladą, a na jego koszuli można było zauważyć kawałeczki folii aluminiowej. Na powitanie wymamrotał, że zajmie się komputerami na wyspie. Nie zdobył się na podanie komukolwiek ręki.

Alan zobaczył przez plastikową, giętą szybę maszyny, że beton zaczyna się oddalać, a cień śmigłowca sunie po ziemi i podąża równolegle z nim na zachód, w stronę gór.

– Będziemy lecieli jakieś czterdzieści minut – poinformował Hammond.

Alan patrzył na pagórki w dole, które stawały się coraz wyższe. Śmigłowiec przeleciał przez warstwę niskich chmur i nagle znalazł się w słońcu. Szczyty gór były poszarpane. Grant

zdziwił się, że nie porasta ich żadna roślinność, na ich powierzchni widać było skutki działania erozji.

– W Kostaryce potrafią lepiej niż w innych krajach Ameryki Środkowej panować nad przyrostem naturalnym – opowiadał Hammond – a mimo to wycięli ogromny procent lasów, z czego większość w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Przeleciawszy nad pasmem gór, śmigłowiec znowu się zniżył, przebijając chmury. Wtedy Alan zobaczył plażę zachodniego wybrzeża kraju. Przelecieli nad jakąś wsią.

– Bahia Anasco – odezwał się pilot. – To wioska rybacka. A tam, wzdłuż wybrzeża – pokazał na północ – znajduje się rezerwat Cabo Blanco. Są tam piękne plaże. – To powiedziawszy, skręcił nad ocean. Przy plaży woda okazała się zielona, później jej kolor przeszedł w ciemną akwamarynę. Od powierzchni oceanu odbijało się intensywnym odblaskiem słońce. Była dziesiąta rano.

– Już za kilka minut naszym oczom powinna się ukazać wyspa Nublar – powiedział po jakimś czasie Hammond.

Zaczął tłumaczyć, że to nietypowa wyspa, ponieważ wyrasta prosto z dna oceanu i jest pochodzenia wulkanicznego.

– To widać – mówił. – Jest tu mnóstwo gejzerów, w wielu miejscach ziemia jest gorąca. Z tego powodu, a także z powodu szczególnego układu prądów morskich, nad wyspą stale unosi się mgła. Zaraz zobaczycie...o, już jest.

Śmigłowiec zniżył się i teraz sunął tuż nad wodą. Alan patrzył na zbliżającą się wyspę. Miała strome brzegi, jakby rzeczywiście wyrastała z oceanu. Była skalista i mocno pofałdowana.

– O Boże, wygląda jak Alcatraz – skomentował Malcolm.

Strome zbocza wzgórz Nublar porastał las. Drzewa osnuwał półprzezroczysty welon mgły, nadając wyspie tajemniczy wygląd.

– Jest o wiele większa niż Alcatraz – zaznaczył Hammond. – Ma trzynaście kilometrów długości, a jej szerokość dochodzi do pięciu kilometrów. Powierzchnia wynosi około pięćdziesięciu siedmiu kilometrów kwadratowych, co czyni z wyspy Nublar największy prywatny rezerwat przyrody w Ameryce Północnej.

Śmigłowiec znowu wleciał wyżej, kierując się ku północnemu krańcowi wyspy. Z góry mgła przesłaniała ją prawie całkowicie. Alan wytężał wzrok, żeby zobaczyć jak najwięcej.

– Zazwyczaj mgła nie jest tak gęsta... – mruknął zaniepokojony Hammond.

To właśnie na tym krańcu wyspy, do którego zbliżał się śmigłowiec, wzgórza były najwyższe: miały ponad sześćset metrów. Szczyty przesłaniała mgła, widać jednak było, że są poszarpane. Klify schodziły stromo do wody, w dole fale oceanu rozбивały się o skały. Helikopter wzniósł się wyżej.

– Niestety, musimy wylądować na wyspie – odezwał się znowu Hammond. – Nie lubię tego, bo niepokoiimy zwierzęta. A poza tym czasami lądowanie dostarcza silnych wrażeń...

– Zaczynamy schodzenie – zakomunikował pilot. – Trzymajcie się.

Maszyna zaczęła się zniżać i szybko osłonił ją całun mgły. W słuchawkach dały się słyszeć powtarzające się elektronicznie generowane piski. Nic nie było widać! Po chwili Alan zaczął wyodrębniać wzrokiem z mgły zielone gałęzie sosen. Niektóre z nich prawie muskały helikopter...

– Jak on chce tu wylądować? – spytał Malcolm.

Nikt nie odpowiedział. Pilot spojrzał szybko w lewo, potem w prawo, patrząc uważnie na drzewa. Były blisko, lecz maszyna ruszyła gwałtownie w dół.

– Boże! – jęknął Ian.

Piski stały się głośniejsze. Grant spojrzał na pilota – był bardzo skoncentrowany. Teraz Alan popatrzył na ziemię i zobaczył tuż pod sobą olbrzymi krzyż wymalowany odbłaskową farbą. W rogach krzyża błyskały jaskrawe lampy. Pilot lekko skorygował położenie śmigłowca i posadził go na lądowisku. Łoskot wirników zaczął stopniowo cichnąć, aż ustał.

Alan odetchnął głęboko i odpiął pas.

– Musimy lądować tak szybko ze względu na wiatr – wytłumaczył Hammond. – W okolicach szczytu tej góry często bardzo mocno wieje i... W każdym razie udało nam się bezpiecznie usiąść na ziemi.

Do helikoptera podbiegł rudy mężczyzna w czapce baseballowej. Odsunął drzwi i zawołał wesoło:

– Hej, jestem Ed Regis! Witam wszystkich na wyspie Nublar. Bardzo proszę, patrzcie pod nogi.

* * *

Od lądowiska wiodła wąska, biegnąca stokiem ścieżka. Powietrze było chłodne i wilgotne. W miarę jak przybysze schodzili coraz niżej, mgła wokół nich rzedniała. Obecnie Grant mógł rozejrzeć się po wyspie. Krajobraz przywodził mu na myśl północną część zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, Półwysep Olimpijski.

– Słusznie – zgodził się Regis. – Otaczający nas ekosystem to las deszczowy, w którym drzewa zrzucają liście na zimę. Roślinność zasadniczo różni się więc od tej, która występuje na pobliskim wybrzeżu Kostaryki, na stałym lądzie. Tam jest bardziej klasyczny tropikalny las deszczowy. Ale i większa część wyspy Nublar ma tropikalny klimat. W tym miejscu – w północnej części, wysoko na zboczach wzniesień – panuje specyficzny mikroklimat.

Nisko w dole widać było białe dachy dużych budynków otoczonych bujną zielenią. Alan był zaskoczony wysoką klasą architektoniczną zabudowań. Ich wybudowanie musiało kosztować mnóstwo wysiłku. Znalazł się poniżej mgły i widział wreszcie całą wyspę zwężającą się ku odległemu południowemu krańcowi. Tak jak powiedział Regis, większą część wyspy Nublar porastała dżungla.

W pewnej odległości znajdowało się nietypowe wysokie drzewo, wyrastające ponad palmy. Nie miało liści, tylko sam gładko wyginający się pień. Nagle ten pień poruszył się... i obrócił, żeby spojrzeć na przybyszów. Wtedy Alan zrozumiał, że to wcale nie drzewo.

Miał przed oczami smukłą, pełną gracji szyję gigantycznego zwierzęcia, wysokiego na jakieś piętnaście metrów!

Patrzył na dinozaura.

POWITANIE

– Boże!... – szepnęła Ellie. Grupka zatrzymała się i wszyscy wpatrywali się w górujące nad drzewami zwierzę. – O mój Boże!

Pierwszą myślą, jaka jej się nasunęła, było to, że dinozaur jest niewyobrażalnie piękny. W książkach przedstawiano dinozaury jako przerośnięte pulchne stwory, ale to zwierzę miało wdzięk, smukłą szyję, niemal eleganckie ruchy. Poruszało się dynamicznie, nie miało w sobie nic z niezdarności ani otępienia. Patrzyło na ludzi skupione, po czym wydało basowy odgłos przypominający trąbienie słonia. Zaraz potem ponad korony drzew uniosła się głowa drugiego zauropoda, i jeszcze trzeciego, i czwartego.

– Mój Boże! – powtarzała Ellie.

* * *

Donald Gennaro nie mógł wykrztusić słowa. Wiedział, że zobaczy dinozaury, teoretycznie wiedział o wszystkim od lat, jednak jakoś nigdy nie dowierzał, że naprawdę uda się je wyhodować. Patrzył zaszokowany. W jednej chwili zdał sobie sprawę z potęgi genetyki i związanych z nią nowych technologii. Dotąd uważał je głównie za egzaltowaną czczą gadaninę, którą starano się dobrze sprzedać. Ale te zwierzęta były po prostu gigantyczne! Wielkie jak budynki! I jest ich tak dużo! Prawdziwe, cholerne dinozaury! Tak prawdziwe, jak tylko można sobie wyobrazić!

Zarobimy na tej wyspie krocie. Zbijemy olbrzymią fortunę! – pomyślał.

Mam nadzieję, że jednak nie stanie się na niej nic złego...

* * *

Alan stał na ścieżce, na zboczu stromego wzgórza, owiewany wilgotną mgiełką, i wpatrywał się w szare szyje wystające ponad drzewa. Przypominały dźwigi. Trochę kręciło mu się w głowie, miał wrażenie, że ścieżka zrobiła się nagle zbyt stroma. Z trudem oddychał. Wszystko dlatego, że właśnie patrzył na coś, czego nigdy w życiu nie spodziewał się zobaczyć.

Widział przed sobą, w lekko zamglonym powietrzu, piękne apatozaury – średnich rozmiarów zauropody. Oszołomiony, przypomniał sobie podstawowe informacje o tych zwierzętach: roślinożerne, zamieszkiwały Amerykę Północną w okresie późnej jury. Potocznie zwane brontozaurami. Pierwszy raz szczątki apatozaura odnalazł E.D. Cope w 1876 roku w Montanie. Skamieliny apatozaurów znajdowano w rejonie formacji skalnej Morrison w stanie Kolorado, w Utah, w Oklahomie. Ostatnio Berman i McIntosh uznali apatozaury za jedne z diplodoków, kierując się budową czaszki. Dawniej sądzono, że

brontozaury-apatozaury spędzały większość czasu w płytkiej wodzie, co pomagało im podtrzymywać ciało mające bardzo duży ciężar. Zwierzę naprzeciwko Alana niewątpliwie nie stało w wodzie, a mimo to poruszało się zdecydowanie zbyt szybko jak na przypisywane mu przez naukowców możliwości. Było wyraźnie aktywne, głowa wraz z długą szyją wykonywała energiczne ruchy. Zdumiewające...

I nagle Alan wybuchnął śmiechem.

– Co się stało? – spytał Hammond. – O co chodzi?

Alan pokręcił tylko głową i nadal się śmiał. Nie potrafił wytłumaczyć zgromadzonemu, że dla niego zabawne jest to, iż już po niecałej minucie patrzenia na apatozaura zaczął akceptować go takim, jakim jest, i że teraz może odpowiedzieć na dotyczące tego zauropoda pytania, które nauka zadawała sobie od dawna.

Gdy się śmiał, ponad koronami palm pokazały się piąta i szósta szyja. Dinozaury najwyraźniej obserwowały ludzi. Przypominały Alanowi gigantyczne żyrafy – miały takie samo spojrzenie: przyjazne, lecz niezbyt inteligentne.

– Rozumiem, że to nie są roboty – odezwał się Malcolm. – Wyglądają jak żywe zwierzęta.

– Są jak najbardziej żywymi zwierzętami – potwierdził Hammond. – Przecież powinny być żywe, prawda?

Jeden z zauropodów znowu zatrąbił, a po chwili odpowiedziały mu inne.

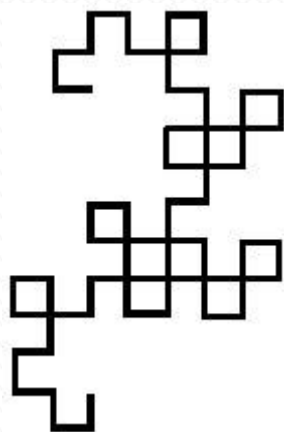
– Właśnie tak się nawołują – wyjaśnił Ed Regis. – A w tej chwili witają nas.

Alan stał bez ruchu, słuchając przez chwilę trąbienia dinozaurów. Był jak w transie.

– Pewnie zastanawiacie się, co teraz będziemy robili – przerwał tę magiczną chwilę Hammond. Ruszył w dół. – Zaplanowaliśmy dla was objazd wszystkich naszych obiektów, a późnym popołudniem wyprawę w głąb wyspy, żebyście zobaczyli żyjące w naszym parku dinozaury. Zjem z wami kolację, podczas której odpowiem na wszystkie pytania. A teraz proszę państwa o pójście z panem Regisem.

Przybysze ruszyli za Edem ku najbliższemu stojącemu budynkom. Nad ścieżką wisiała tablica z wymalowanym z pozoru niezdarną ręką napisem: *Witamy w Parku Jurajskim*.

ITERACJA TRZECIA



W miarę jak krzywa fraktalna się rozwija, można zaobserwować zarysy szczegółów jej struktury.

Ian Malcolm

PARK JURAJSKI

Idący znaleźli się w zielonym tunelu, który tworzyły palmy. Szli do głównego budynku ośrodka. Wszędzie rosły bujnie starannie porozmieszczane ludzką ręką rośliny, które pogłębiały wrażenie, że przybysze opuścili zwykły świat i znaleźli się w innym – w prehistorycznych tropikach.

– Są bardzo piękne – odezwała się do Granta Ellie.

– Owszem. Chciałbym zobaczyć je z bliska, obejrzeć ich pazury, poczuć dotyk ich skóry, pootwierać ich szczęki i zobaczyć zęby. Dopóki tego nie zrobię, nie będę do końca pewny. Ale wyglądają na udane.

– Zapewne to, co zobaczyliśmy, zmienia sytuację twojej dziedziny nauki – skomentował Malcolm.

Alan pokiwał głową.

– Diametralnie – potwierdził. – To zmienia wszystko.

Kości gigantycznych zwierząt odkryto po raz pierwszy przed stu pięćdziesięcioma laty w Europie, jednak od tamtego czasu badania nad dinozaurami były w zasadzie ćwiczeniami z dedukcji. Praca paleontologów przypominała działalność detektywów: szukało się tropu w znalezionych skamieniałościach, kościach i śladach łap dawno wymarłych olbrzymów.

Najlepszymi paleontologami byli ci, którzy potrafili najsprawniej wyciągać wnioski z przesłanek, jakimi dysponowali.

Na tym właśnie opierały się wszystkie wielkie dysputy paleontologiczne, w tym gorąca debata, której uczestnikiem był Grant: spór o to, czy dinozaury były stało- czy zmiennocieplne.

Zawsze klasyfikowano je jako gady, a gady są zmiennocieplne, a więc muszą czerpać ciepło ze środowiska, w którym przebywają. Metabolizm ssaków umożliwia produkcję ciepła i samoczynne podtrzymywanie temperatury ciała. Gady nie posiadają tej umiejętności. Jednak niektórzy naukowcy – prym w owej grupie wiedli John Ostrom i Robert Baker z Uniwersytetu Yale – zaczęli stawiać hipotezę, że znajdowane skamieniałości przeczą uznanej koncepcji dinozaurów jako powolnych, zmiennocieplnych zwierząt. Z niewielu danych wydedukowali coś zupełnie innego.

Po pierwsze, zwrócili uwagę na postawę dinozaurów. Jaszczurki i inne gady poruszają się na zgiętych nogach, z brzuchem przy ziemi, z której czerpią ciepło. Ponadto jaszczurki nie mają tyle siły, aby ustać na tylnych kończynach dłużej niż kilka sekund. Tymczasem nogi dinozaurów były proste, a wiele gatunków tych zwierząt chodziło tylko na dwóch tylnych nogach. Spośród współczesnych zwierząt w taki sposób poruszają się jedynie stałocieplne ssaki i ptaki. Postawa dinozaurów sugerowała więc, że były one stałocieplne.

Po drugie, wspomniana grupka naukowców przeanalizowała metabolizm dinozaurów, obliczając ciśnienie potrzebne, by wpompować krew na wysokość głowy brachiozaura – a szyje tych zwierząt miały po osiem metrów długości – i doszli do wniosku, że tak wysokie ciśnienie mogło wytworzyć jedynie czterokomorowe serce, a do tego konieczna była stałocieplność.

Zajęli się wreszcie skamieniałościami śladów stóp dinozaurów i oszacowali, że biegały one podobnie szybko jak człowiek. Taki sposób poruszania się musiał oznaczać stałocieplność. Ponadto znaleziono szczątki dinozaura za kręgiem polarnym. Współczesne gady nie mogą żyć w ujemnych temperaturach. Przy tym najnowsze analizy zachowań społecznych dinozaurów – w dużym stopniu oparte na pracy Alana Granta – prowadziły do wniosku, iż wiodły one złożone życie stadne i wychowywały młode. Współczesne gady tego nie robią. Samica żółwia porzuca jaja, a dinozaury prawdopodobnie pilnowały jaj.

Gorący spór na temat stało- bądź zmiennocieplności dinozaurów trwał od piętnastu lat, aż wreszcie przeważało nowe spojrzenie na te zwierzęta. Uznano powszechnie, że poruszały się szybko i prowadziły aktywny tryb życia. Animozje jednak nie wygasły. Byli badacze, którzy spotykając się na konferencjach naukowych, nie rozmawiali ze sobą.

Jeśli obecnie okazało się możliwe klonowanie dinozaurów, oznaczało to natychmiastową zmianę paradygmatu dziedziny, którą zajmował się Grant. Badania paleontologiczne dinozaurów się zakończyły. Nadszedł kres wszystkiego, co się dotąd działo – poczesnych miejsc, jakie zajmowały w wielkich muzealnych salach szkielety dinozaurów, szkolnych wycieczek, podczas których dzieci komentowały głośno wygląd szkieletów podekscytowane

ich rozmiarami. Koniec laboratoriów, w których badano kości nieżyjących od dawna zwierząt, hipotez stawianych w raportach i pismach naukowych.

– Nie wyglądasz na smutnego – zauważył Ian.

Alan pokręcił lekko głową, potwierdzając spostrzeżenie matematyka.

– Dyskutowaliśmy w naukowym gronie o tej możliwości – odpowiedział. – Wielu wyobrażało sobie, że nadejdzie taki dzień, lecz nikt nie przypuszczał, że stanie się to tak szybko.

– Oto historia naszego gatunku w skrócie – skomentował z ironicznym śmiechem Malcolm. – Wszyscy wiedzą, że coś się wydarzy, ale nikt się nie spodziewa, że zaraz.

Z miejsca, w którym się znajdowali, nie widzieli dinozaurów – wciąż słyszeli jednak ich ciche trąbienie.

– Kołaczę mi się w głowie tylko jedno pytanie – rzekł Alan. – Skąd oni wzięli DNA dinozaurów?

Dobrze wiedział, że w laboratoriach w Berkeley, Tokio czy Londynie poważnie spekulowano, iż z czasem stanie się możliwe sklonowanie wymarłego zwierzęcia, na przykład dinozaura, jeśli tylko będzie się dysponowało jego DNA. Problem polegał na tym, że wszystkie znane dinozaury dawno wymarły i znajdowano jedynie skamieniałości, a w procesie powstawania skamielin DNA ulega w większości zniszczeniu i zastępuje je materiał nieorganiczny. Oczywiście gdyby znaleziono dinozaura zamrożonego, zatopionego w torfie czy zmumifikowanego w środowisku pustynnym, mogłoby się okazać, że jego DNA da się pozyskać.

Jednak nikt dotąd nie znalazł zamrożonego ani zmumifikowanego dinozaura, więc klonowanie pozostawało jedynie teoretyczną możliwością. Nie było z czego klonować tych zwierząt. Cała współczesna technika okazywała się nieprzydatna. To tak, jakby mieć kserokopiarkę, ale nie dysponować żadnymi dokumentami do skopiowania.

– Nie da się odtworzyć prawdziwego dinozaura – odezwała się Ellie – bo nie ma skąd wziąć dinozaurzego DNA.

– Chyba że jest na to jakiś sposób, na który dotąd nie wpadliśmy – dodał Alan.

– Na przykład jaki?

– Nie wiem.

* * *

Za ogrodzeniem znajdował się basen, z którego woda spływała serią wodospadów do mniejszych skalnych basenów. Wokół rosły olbrzymie paprocie.

– Czy to nie jest niezwykle? – westchnął Ed Regis. – Szczególnie w mgliste dni atmosfera jest tu naprawdę prehistoryczna. To oczywiście prawdziwe jurajskie paprocie.

Ellie przystanęła i uważnie przyjrzała się roślinom. Rzeczywiście, patrzyła na paproć z gatunku *Serenna veriformans*, znajduwaną w dużych ilościach w skamielinach sprzed ponad dwustu milionów lat, obecnie występującą powszechnie tylko na wilgotnych obszarach

Brazylii i Kolumbii. Osoba, która postanowiła zasadzić je wokół tego basenu, nie zdawała sobie sprawy, że zarodniki tych paproci zawierają trujący, śmiertelnie niebezpieczny alkaloid, pochodną beta-karboliny. Nawet dotykane pięknych, zielonych, pierzastych liści może człowiekowi zaszkodzić. Gdyby jakieś dziecko zjadło garść listków, nie dałoby się go odratować. Roślina ta jest pięćdziesiąt razy silniej trująca niż oleander.

Ludzie podchodzą do roślin z wielką naiwnością, pomyślała Ellie. Wybierają je, kierując się jedynie ich wyglądem, jakby był to obraz na ścianę. W ogóle nie myślą o tym, że rośliny są żywe, że przez cały czas realizują funkcje życiowe takie jak oddychanie, odżywianie się, wydalanie, rozmnażanie. I bronienie się.

Ellie doskonale wiedziała, że w toku ewolucji rośliny rozwijały się, konkurując ze sobą, podobnie jak zwierzęta, a w niektórych przypadkach nawet bardziej agresywnie. Trująca substancja zawarta w paprociach, na które patrzyła, była tylko jednym z wielu przykładów bogatego arsenału broni chemicznej, w jaki z biegiem czasu wyposażył się świat roślin. Niektóre rośliny wydzielają terpeny zatruwające ziemię wokół nich, uniemożliwiając rozwinięcie się konkurentom. Inne posługiwały się alkaloidami, przez co nie mogły żywić się nimi owady ani większe zwierzęta (ani dzieci). Rośliny wydzielają wreszcie feromony służące im do porozumiewania się. Na przykład daglezwia zaatakowana przez chrząszcze wytwarza środek chemiczny, który uniemożliwiał owadom żerowanie na niej, co więcej, to samo robiły wszystkie daglezwie w okolicy, nawet w odległych rejonach danego lasu. Była to ich odpowiedź na ostrzeżenie w formie substancji, którą wydzielili drzewa zajęte przez szkodniki.

Ludzie, którzy wyobrażali sobie, że życie na ziemi to zwierzęta poruszające się na tle zieleni, popełniali poważny błąd. To zielone tło także żyło i było bardzo zapracowane. Rośliny rosły, poruszały się, obracały tak, aby padało na nie jak najwięcej promieni słonecznych. Oddziaływały także na zwierzęta – zniechęcały je do ataków, osłaniając się suchą korą albo broniąc kolcami. Inne pozwalały się pożerać, ale wykorzystywały to w swoim cyklu reprodukcyjnym: ich pyłek czy nasiona się rozprzestrzeniały. Życie roślin stanowiło bardzo złożony, dynamiczny proces, który zawsze fascynował Ellie, mimo że większość ludzi nie miała o nim pojęcia.

Skoro twórcy Parku Jurajskiego posadzili śmiertelnie trujące paprocie obok basenu, to znaczy, że nie cechowała ich należyta ostrożność.

– Czyż to nie wspaniałe? – odezwał się znowu Regis. – Spójrzcie przed siebie, widzicie? To nasz hotel Safari. – Ellie przyjrzała się uważnie rozległemu, niskiemu budynkowi o niezwyklej architekturze. Z jego dachu wyrastały rzędem szklane piramidy. – To właśnie tam będziecie nocowali.

* * *

Pokój Alana był wykończony na beżowo, rattanowe meble ozdabiała zielone, drukowane motywy kojarzące się z dżunglą. Właściwie słowo „wykończony” nie odpowiadało w pełni

prawdzie – w szafie znajdował się stos drewna, a na podłodze leżały kawałki kabli. W rogu stał już telewizor, na którym umieszczono kartkę z opisem:

Kanał	2:	Wzgórza Hipsylofodontów
Kanał	3:	Terytorium Triceratopsów
Kanał	4:	Bagno Zauropodów
Kanał	5:	Kraina Drapieżników
Kanał	6:	Południe Stegozaurów
Kanał	7:	Dolina Welociraptorów
Kanał	8:	Szczyt Pterozaurów

Jakieś za ładne te nazwy. Alan włączył telewizor, ale nie było żadnego programu. Wyłączył. Przeszedł do sypialni i rzucił walizkę na łóżko. Dokładnie nad łóżkiem znajdował się duży świetlik w kształcie piramidy. Stwarzało to wrażenie, jakby człowiek wybrał się pod namiot, a może raczej – spał pod gwiazdami. Niestety, efekt psuły cienie grubych stalowych prętów, które najwidoczniej osłaniały konstrukcję świetlika.

Alan zastanowił się. Widział plany hotelu i nie pamiętał, żeby na świetlikach były takie pręty. Przyjrzał się uważniej – wydawało się, że pręty dodano później, bo nie bardzo pasowały. Na zewnątrz szklanych ścian umieszczono czarne stalowe ramy z przyspawanymi prętami.

Niespokojny wrócił do salonu. Okno wychodziło na basen.

– Wiesz, że te paprocie są trujące? – usłyszał. Odwrócił się i stwierdził, że do jego pokoju weszła Ellie. – Zwróciłeś uwagę na detale tutaj?

– Dokonali zmian w stosunku do planów.

– Tak, chyba masz rację. – Ellie przeszła się wokół pokoju. – Okna są mniejsze, szyby wyglądają na pancerne – zobacz, jakie grube stalowe ramy. Na drzwiach jest blacha. To nie powinno być potrzebne... A zwróciłeś uwagę na płot, kiedy wchodziliśmy?

Alan pokiwał głową. Cały hotel otoczony był czterometrowej wysokości ogrodzeniem z prętów grubych na dwa i pół centymetra... Czarny, kolorem przywodzący na myśl stare okucia płot z wdziękiem obiegał hotel, lecz nawet praca dobrego architekta nie mogła zamaskować grubości ani wysokości prętów.

– Wydaje mi się, że tego płotu także nie było w planach – dodała Ellie. – Zmienili projekt, zamieniając ten hotel w fortecę.

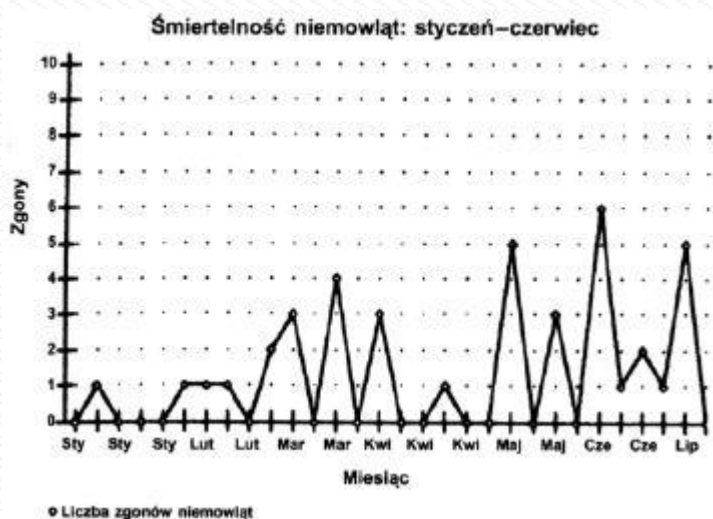
– Musimy koniecznie spytać dlaczego. – Alan spojrzał na zegarek. – Nasza wycieczka zaczyna się za dwadzieścia minut.

GDY NA ZIEMI PANOWAŁY DINOZAURY

Goście spotkali się w głównym budynku ośrodka. Był jednopiętrowy i szklany, z zewnętrznym szkieletem z anodowanego aluminium. Widać było, że architekt chciał stworzyć wrażenie, iż budynek jest supernowoczesny i bardzo zaawansowany technicznie.

W środku była nieduża sala konferencyjna, nad którą dominował robot – groźnie wyglądający model tyranozaura. Stał obok wejścia na wystawę zatytułowaną GDY NA ZIEMI PANOWAŁY DINOZAURY. Dalej znajdowały się inne ekspozycje: CO TO JEST DINOZAURO I ŚWIAT ERY MEZOZOICZNEJ. Wystawy nie były jednak jeszcze gotowe, po podłodze wily się różne przewody. Donald Gennaro wszedł na podwyższenie i zaczął mówić; jego głos odbijał się echem w niemal pustym pomieszczeniu. Słuchaczami byli Alan, Ellie i Ian, i jeszcze John Hammond, który usiadł z tyłu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

– Za chwilę zobaczymy wszystkie urządzenia parku – oznajmił Gennaro. – Jestem pewny, że pan John i jego ludzie będą starali się pokazać nam wszystko w jak najlepszym świetle. Dlatego zanim wyruszymy, chciałbym przypomnieć pokrótce, dlaczego tu jesteśmy i jaką decyzję muszę podjąć, jeszcze przed opuszczeniem przez nas wyspy Nublar. Jak wszyscy państwo zdajecie sobie sprawę, to wyspa, na której żyją wyhodowane dzięki inżynierii genetycznej dinozaury, poruszające się swobodnie w czymś na podobieństwo parku narodowego, mającego stać się atrakcją turystyczną. Park nie jest jeszcze otwarty dla turystów, ale nastąpi to w ciągu najbliższego roku... Mając to na uwadze, zadaję wam proste pytanie: czy ta wyspa jest bezpieczna? Czy będzie bezpieczna dla gości i czy nie ma zagrożenia, że dinozaury przedostaną się z niej do świata zewnętrznego? – Donald zgasił światło. – Są dwa raporty, które musimy przeanalizować. Po pierwsze, pan Alan, pan profesor Grant, zidentyfikował odkryte na stałym lądzie Kostaryki nieznane dotąd zwierzę jako dinozaura. Dysponujemy tylko fragmentem jego ciała. Został on odnaleziony w czerwcu, na plaży, po tym, jak prawdopodobnie właśnie to zwierzę pogryzło amerykańską dziewczynkę. Pan Alan później powie więcej na ten temat. Poprosiłem o przesłanie tego fragmentu zwierzęcia tutaj, w tej chwili znajduje się w laboratorium w Nowym Jorku. Będziemy mogli mu się przyjrzeć. Na razie zajmijmy się drugim dowodem... Kostarykańska służba zdrowia jest na bardzo wysokim poziomie, doskonale zorganizowana, gromadzi wszelkie dane. Ostatnio odnotowuje się w tym kraju doniesienia o pogryzieniach śpiących niemowląt przez jaszczurki. Pierwszy taki przypadek miał miejsce w marcu. Jaszczurki atakują także czasem starsze osoby, również podczas snu. Te ataki zdarzają się w wioskach na wybrzeżu, na odcinku od Ismaloyi do Puntarenas. Wprawdzie od końca marca nie było już udowodnionych przypadków pogryzień, jednak coś dziwnego dzieje się ze śmiertelnością niemowląt w miasteczkach zachodniego wybrzeża tego kraju. Oto wykres, który opublikowała państwowa służba zdrowia Kostaryki.



– Chciałbym zwrócić waszą uwagę na dwie rzeczy widoczne na tym wykresie – ciągnął Donald. – Po pierwsze, w styczniu i lutym śmiertelność niemowląt była niska, potem nastąpił skok w marcu, ale w kwietniu spadek do pierwotnego poziomu. Jednak od maja znów zaczyna się duży wzrost, który nie ustał w czerwcu – a w czerwcu została pogryziona ta amerykańska dziewczynka. Tutejsza służba zdrowia wyraźnie dostrzega, że pojawił się jakiś nowy czynnik, który zwiększył śmiertelność niemowląt, i uważa, że jej pracownicy z wybrzeża o tym czynniku nie donoszą. Drugą intrygującą cechą wykresu jest to, że następują naprzemienne wzrosty i spadki liczby zgonów niemowląt, w dwutygodniowym cyklu. Wskazuje to na obecność jakiegoś innego czynnika, który wpływa na działanie tego pierwszego. – Gennaro zapalił światło. – To tyle. Chciałbym, abyśmy zastanowili się nad przedstawionym stanem rzeczy. Czy są jakieś...

– Mogę oszczędzić wszystkim łamania głów – przerwał mu Ian Malcolm – i od razu wyjaśnić sprawę.

– Naprawdę? – zainteresował się Donald.

– Owszem. Po pierwsze, jest bardzo prawdopodobne, że zwierzęta już wydostały się z wyspy. – Na te słowa rozległo się soczyste przekleństwo Hammonda. – A po drugie, przedstawiony przed chwilą wykres śmiertelności niemowląt prawie na pewno nie ma z tym nic wspólnego.

– Skąd pan wie?

– Sam pan zauważył, że na wykresie występują na przemian szczyty i doliny. To charakterystyczny obraz wielu złożonych zjawisk. Choćby kapania wody z kranu. Jeśli jest tylko niedokręcony, woda kapie regularnie: kap, kap, kap... Ale jeżeli odkręci się go minimalnie bardziej, w przepływie pojawia się turbulencja i na przemian spadają duże i małe krople, w nierównych odstępach, o tak: KAP, kap... KAP, kap... Każdy z was może spróbować i się przekonać. Efektem turbulencji jest zmienność przebiegu zjawiska. Gdyby sporządzić wykres liczby przypadków dowolnej nowej choroby, która niedawno pojawiła się w jakiejś społeczności, jego charakterystyka byłaby właśnie taka, jak przed chwilą zobaczyliśmy.

– Dlaczego twoim zdaniem wykres nie obrazuje zgonów z powodu ataków dinozaurów, które uciekły z wyspy? – spytał Grant.

– Dlatego, że zjawisko ma charakter nieliniowy. Aby przebieg był nieliniowy, musiałyby uciec setki dinozaurów. A nie sądzę, że tyle uciekło. Wnioskuje więc, iż fluktuacje, które widzieliśmy na wykresie śmiertelności niemowląt, powoduje jakiś inny czynnik – na przykład nowa odmiana grypy.

– Ale mimo wszystko sądzi pan, że dinozaury wydostały się z wyspy?

– Tak, prawdopodobnie tak.

– Na jakiej podstawie?

– Przez samo to, co próbujecie tu robić. Ta wyspa to próba odtworzenia środowiska naturalnego z przeszłości. Małego odizolowanego świata, po którym swobodnie biegają dawno wymarłe stworzenia. Zgadza się?

– Tak.

– Z mojego punktu widzenia takie przedsięwzięcie jest niemożliwe do zrealizowania. Teoria matematyczna, która obejmuje taki przypadek, jest tak ewidentna, że nie trzeba prowadzić żadnych obliczeń. To trochę tak, jakby spytał mnie pan, czy od zarobionego miliarda dolarów będzie pan musiał zapłacić podatek. Nie trzeba wyciągać kalkulatora, żeby odpowiedzieć, że tak. Podobnie po prostu wiem, że tego rodzaju próba odtworzenia jakiegoś naturalnego środowiska i jeszcze odizolowania go od otoczenia nie może się powieść.

– Ale przecież na całym świecie są ogrody zoologiczne...

– Ogród zoologiczny to nie próba odtworzenia przyrody. Spójrzmy prawdzie w oczy. W zoo trzymane są okazy natury, które istnieją i bez niego, środowisko zaś modyfikuje się tylko w niewielkim stopniu, tworząc wybiegi dla zwierząt. A nawet te niewielkie zmiany często kończą się porażkami. Nieraz zdarza się, że zwierzęta uciekają. Ale przede wszystkim zoo nie jest dobrym modelem parku, w którym się znajdujemy. Tutaj podjęliście o wiele bardziej ambitną próbę. Prędzej można by ją porównać do budowy stacji kosmicznej na Ziemi.

– Nie rozumiem. – Donald pokręcił głową.

– To bardzo proste. Jeśli nie liczymy powietrza, które ma sobie swobodnie przepływać, park na tej wyspie ma być w założeniu całkowicie odizolowany od świata zewnętrznego. Nic nie może się z niego wydostawać – ani też nic innego nie powinno dostać się tutaj. Żyjące tu zwierzęta mają nie kontaktować się z większymi ekosystemami naszej planety, nie wkraczać w nie, nie uciekać.

– I nigdy żadne nie uciekło! – parsknął Hammond.

– Tak szczelna izolacja jest niemożliwa – orzekł Malcolm. – To jest po prostu niewykonalne.

– Wykonalne, przez cały czas bardzo o nią dbamy.

– Proszę o wybaczenie, ale nie wie pan, o czym pan mówi.

– Ty arogancki gnoju! – John Hammond wstał i wyszedł z sali.

– Panowie, panowie! – próbował ich uspokoić Gennaro.

– Przepraszam, ale i tak mam rację – nie dawał za wygraną Ian. – To, co zwiemy naturą, jest w istocie złożonym systemem o znacznie większym stopniu skomplikowania, niż jesteśmy gotowi zaakceptować. Tworzymy sobie uproszczony obraz przyrody, a następnie psujemy ją. Nie jestem ekologiem, ale musicie zrozumieć coś, czego najwyraźniej nie rozumiecie. Ile razy trzeba powtarzać tego rodzaju próby, ilu dowodów potrzeba? Ludzie zbudowali Tamę Asuańską, twierdząc, że egipska ziemia odżyje. Zamiast tego tama powoduje degradację żyznych gleb delty Nilu, jest przyczyną rozprzestrzeniania się pasożytów i ma rujnący wpływ na gospodarkę Egiptu. Zbudowano...

– Przepraszam – przerwał Malcolmowi Donald – ale chyba słyszę helikopter. Przypuszczam, że przywieźli szczątki zwierzęcia, które zidentyfikował pan profesor Grant. – Zszedł z podwyższenia i cała grupka wyszła z budynku.

* * *

Donald stał u podnóża góry i wrzeszczał, żeby przekrzyczeć odgłos śmigłowca:

– Co ty zrobiłeś?! – Żył nabrzmiały mu na szyi. – Kogo zaprosiłeś?!

– Spokojnie – ostrzegł Hammond.

– Czy ty do reszty zwariowałeś?! – wciąż krzyczał Gennaro.

– Słuchaj – stary John zbliżył się, żeby było go lepiej słychać – widzę, że musimy coś sobie wyjaśnić...

– Owszem, musimy! To nie jest piknik ani wycieczka krajoznawcza!

– To moja wyspa i mogę na nią zapraszać, kogo chcę!

– To jest inspekcja twojej wyspy, ponieważ ludzie, którzy zainwestowali w nią pieniądze, są poważnie zaniepokojeni, że sytuacja wymknęła się spod kontroli! Jesteśmy przekonani, iż jest tu bardzo niebezpiecznie...

– Nie zamkniesz mi tego parku, Donaldzie...

– Jeśli będę musiał, zrobię to.

– Tu jest bezpiecznie – upierał się Hammond – niezależnie od tego, co wygaduje ten cholerny matematyk.

– Nie jest...

– Pokażę wam, że jest.

– Chcę, żebyś kazał im wsiąść do helikoptera!

– Nie mogę, już wystartował. – John wskazał chmury. Rzeczywiście, terkot maszyny cichł.

– Cholera jasna! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że bez powodu ryzykujesz...

– Dobrze już, dobrze – przerwał Donaldowi Hammond. – Dokończymy tę rozmowę później. Nie chcę, żeby dzieciom zrobiło się smutno.

Alan odwrócił się i zobaczył dwoje dzieci schodzących po zboczu w towarzystwie Eda Regisa: mniej więcej jedenastoletniego chłopca w okularach i młodszą dziewczynkę. Miała siedem czy osiem lat, spod baseballowej czapeczki wysuwały się jasne włosy. Niosła na

ramieniu rękawicę baseballową. Dzieci zwinnie schodżyły do Hammonda i Gennaro, aż wreszcie zatrzymały się w pewnej odległości od nich.

– Jezu Chryste... – jęknął Donald.

– Nie przejmuj się tak – poradził mu John. – Ich rodzice się rozwodzą, chciałem, żeby dzieciaki spędziły przyjemny weekend.

Dziewczynka zamachała nieśmiało.

– Cześć, dziadku – powiedziała. – Przylecieliśmy.

OBJAZD

Tim Murphy od razu zauważył, że coś jest nie w porządku. Jego dziadek klócił się właśnie z jakimś młodszym, czerwonym ze złości człowiekiem. Trochę dalej stali inni dorośli i wyglądali, jakby się za nich wstydzili. Lex także wyczuła panujące napięcie. Nie miała odwagi ruszyć dalej, tylko stała i podrzucała piłeczkę.

– Chodź – odezwał się Tim, popychając lekko siostrzyczkę.

– Idź sam.

– Nie bądź cieniaską.

Lex spojrzała ze złością na brata, lecz tymczasem odezwał się Ed Regis:

– Przedstawię was wszystkim, a potem pojedziemy razem na wycieczkę.

– Muszę iść do łazienki – powiedziała Lex.

– Przedstawię was, tylko chwilę.

– Nie, ja muszę iść.

Ed przeszedł już jednak do czynu. Dziadek John ucałował wnuki, a potem stanęły oko w oko z silnym z wyglądu panem, który się z nim klócił. Nazywał się Donald Gennaro. Na imiona i nazwiska innych Tim nie zwrócił uwagi. Była też jedna pani, miała jasne włosy i krótkie spodenki, i jeszcze taki facet z brodą, w dżinsach i hawajskiej koszuli w palmy. Wyglądał jak podróżnik. Jeden pan był bardzo młody i bardzo gruby, i znał się na komputerach. I jeszcze stał tam taki chudy mężczyzna cały ubrany na czarno. Nie podał im ręki, tylko lekko się uklonił. Tim próbował ocenić ludzi, których właśnie poznał, patrząc na nogi tej pani, i nagle przypomniało mu się, że wie, kto to jest ten pan z brodą.

– Co tak otwierasz buzię? – odezwała się Lex.

– Znam tego pana! – odpowiedział Tim.

– No to co? Ja też go teraz znam.

– Nie... Ja mam jego książkę!

– O jakiej książce mówisz? – zapytał pan z brodą.

– Nazywa się *Zaginiony świat dinozaurów*.

– Tata mówi, że dinozaury rzuciły się Timowi na mózg – prychnęła Lex.

Tim nie słuchał siostry. Myślał o profesorze Alanie Grancie. To słynny naukowiec, jeden z głównych obrońców teorii, że dinozaury były stałocieplne. Prowadził dużo wykopalisk, w

Montanie, w Egg Hill – miejscu znanym z tego, że znaleziono tam bardzo dużo jaj dinozaurów. Profesor Grant znalazł najwięcej jaj dinozaurów na świecie. Umiał też dobrze rysować i sam ilustrował swoje książki.

– Dinozaury rzuciły ci się na mózg? – upewnił się profesor z brodą. – Będę z tobą szczerzy – mnie też.

– A tata mówi, że dinozaury są głupie – skomentowała Lex. – I że Tim powinien więcej wychodzić na dwór i uprawiać sport!

Tim zaczerwienił się ze wstydu.

– Miałaś iść do łazienki... – burknął.

– Zaraz pójde.

– A tak ci się spieszyło.

– Sama wiem, czy mi się spieszy, czy nie! – Lex oparła rączki na biodrach, tak jak robiła to mama, kiedy była najbardziej zła.

– Wiecie co? – wtrącił się Ed Regis – chodźmy może wszyscy do głównego budynku, a zaraz potem zaczniemy zwiedzanie. – Wszyscy posłusznie ruszyli. Tim usłyszał, jak ten Donald powiedział cicho do jego dziadka: – Mógłbym cię za to zniszczyć. – Obejrzał się i zobaczył, że koło niego idzie pan profesor Alan Grant.

– Ile masz lat, Tim? – zagadnął profesor.

– Jedenaście.

– Od dawna interesujesz się dinozaurami?

– Już całkiem długo. – Tim przełknął ślinę, trochę zawstydzony. – Czasami jeździmy do muzeów, jeśli uda mi się namówić tatę.

– Twój tata nie interesuje się zbytnio dinozaurami, prawda?

Tim skinął głową, a potem opowiedział panu profesorowi Grantowi o ostatniej wyprawie jego rodziny do Muzeum Historii Naturalnej.

* * *

Tata popatrzył na szkielet i powiedział:

– Ale wielki!

– Wcale nie, tato. To jest szkielet kamptozaura. To średni dinozaur.

– Ja tam się nie znam. Dla mnie jest wystarczająco duży.

– On nawet wcale nie jest dorosły, tato.

Tata zmrużył oczy i przyjrzał się szkieletowi.

– Pochodzi z okresu jury?

– O matko! Nie, z kredy.

– A czy to jakaś różnica?

– Nie no, mała – jakieś sto milionów lat – wyjaśnił ojcu Tim.

– Kreda była najpierw?

– Nie, tato. Najpierw była jura.

Tata cofnął się i nadal się przyglądał.

– Moim zdaniem jest wielki jak jasna cholera. – Popatrzył na Tima pytająco. Tim wiedział, że lepiej będzie, jeżeli zgodzi się z tatą, więc tylko mruknął coś pod nosem. Przeszli do następnych eksponatów.

Tim przystanął na dłużej przed szkieletem tyranozaura. To był największy drapieżnik, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

– No i co się tak wpatrujesz? – spytał w końcu tata.

– Liczę kręgi – odpowiedział Tim.

– Jakie kręgi?

– W kręgosłupie.

– Wiem, co to są kręgi – burknął ze złością tata. Postali jeszcze chwilę. – A po co je liczysz?

– Moim zdaniem coś tu się nie zgadza. Tyranozaury miały w ogonie tylko trzydzieści siedem kręgów. A ten ma więcej.

– Czy chcesz powiedzieć, że w Muzeum Historii Naturalnej źle złożyli szkielet? Wątpię.

– Źle. Tak nie wyglądał.

Tata podszedł ze złością do strażnika, który stał w kącie sali.

– Co ty powiedziałeś ojcu? – zaniepokoiła się mama.

– Nic złego. Powiedziałem tylko, że dinozaur ma źle złożony szkielet.

Tata wrócił z głupią miną, bo strażnik powiedział mu, że rzeczywiście ten szkielet ma za dużo kręgów w ogonie.

– Skąd wiedziałeś, ile powinno ich być? – spytał tata.

– Czytałem o tym w książce.

– Jestem naprawdę zdumiony, synku. – Ojciec dotknął jego ramienia i lekko je ścisnął. – Wiesz, ile kręgów w ogonie po winien mieć ten szkielet. Nigdy nie spotkałem takiego dziecka. Naprawdę dinozaury rzuciły ci się na mózg.

A potem powiedział, że chce zjechać na drugą połowę meczu Metsów w telewizji. Lex też chciała, więc szybko wyszli z muzeum. I przez to Tim wcale nie zobaczył wielu innych dinozaurów, które przede wszystkim chciał zobaczyć. No, ale z jego rodziną zawsze tak było.

* * *

To znaczy, tak było przedtem, przypomniał sobie Tim. Teraz tata rozwodzi się z mamą i pewnie niedługo wszystko będzie wyglądało inaczej. Tata już się od nich wyprowadził. Najpierw Timowi wydawało się, że to dziwne, że tata z nimi nie mieszka, ale potem nawet mu się to spodobało. Wydawało mu się, że mama ma jakiegoś pana, ale Tim nie był pewny i nie chciał mówić takich rzeczy Lex. Było jej okropnie smutno, bo chciała, żeby tata był z nimi. Ostatnio zrobiła się naprawdę nieznośna...

– Czy to był pięć tysięcy dwadzieścia siedem? – przerwał rozmyślenia Tima profesor Grant.

– Przepraszam, nie usłyszałem.

– Czy ten szkielet tyranozaura w muzeum to był numer pięć tysięcy dwadzieścia siedem?

– Tak! – ucieszył się Tim. – A skąd pan wie?

Profesor uśmiechnął się tylko przez brodę.

– Od lat mówią, że powinni poprawić te kręgi w jego ogonie. Ale teraz może to już nieważne.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, co jest na tej wyspie – odpowiedział profesor Grant. – Tu, na wyspie twojego dziadka.

Tim nie zrozumiał, o co chodzi panu profesorowi, więc pokręcił głową.

– Mama mówiła, że tu jest ośrodek wypoczynkowy, baseny, korty tenisowe i coś tam jeszcze.

– To nie jest zwykły ośrodek wypoczynkowy – powiedział profesor Grant. – Wyłumaczę ci wszystko podczas wycieczki.

* * *

No i teraz odpowiadam za dzieci! – myślał z niepokojem Ed Regis, nerwowo czekając, aż wszyscy się zbiorą. Starszy pan powiedział mu: „Pilnuj moich wnuków jak matka młodych, do końca weekendu za nie odpowiadasz”.

Edowi wcale się to nie podobało. Poza wszystkim czuł się zdegradowany. Nie jestem niańką, myślał ze złością. Ani przewodnikiem, choćby i dla VIP-ów. Jestem dyrektorem działu public relations Parku Jurajskiego i mam co robić przez cały rok, który dzieli nas od daty otwarcia obiektu. Sama współpraca z agencjami PR-owskimi z San Francisco i Londynu, i jeszcze tymi z Nowego Jorku i Tokio, wystarczy za cały etat. Tym bardziej że jeszcze nie można zdradzić, co stanowi istotę atrakcyjności parku. Firmy, z którymi współpracował, organizowały wstępne kampanie reklamowe i były bardzo niezadowolone, że nie mają konkretnych danych. Ludzi kreatywnych trzeba karmić czymś, na czym mogą się oprzeć. I potrzebują zachęty do dalszych wysiłków. Ed nie powinien tracić czasu na oprowadzanie naukowców.

To częsty problem specjalistów od public relations, myślał. Nikt nie postrzega człowieka jako zawodowca! Jestem na wyspie już od siedmiu miesięcy i ciągle wciskają mi jakieś idiotyczne zadania. Na przykład ten wypadek w styczniu. Powinien był zająć się tym Harding albo Owens, główny wykonawca. Co ja wiem o ratownictwie? Nie odpowiadam za robotników. Ani za dzieci. Teraz zrobili ze mnie przewodnika i niańkę! Odwrócił się i policzył zebranych. Brakowało jednej osoby. Po chwili zobaczył wychodzącą z łazienki młodą doktor o imieniu Ellie.

– Dobrze, uwaga! Zaczniemy zwiedzanie od piętra! – oznajmił donośnie.

* * *

Tim wchodził z dorosłymi za Regisem po czarnych, zawieszonych w powietrzu schodach. Wisiała na nich tablica z napisem:

**ZAKAZ WSTĘPU DLA GOŚCI
PIĘTRO TYLKO DLA PERSONELU**

Tim poczuł ogarniające go podniecenie. Po chwili byli już na piętrze i szli korytarzem. Jedna ściana była ze szkła i widać było za nią balkon, palmy i lekką mgłę. W drugiej ścianie były różne drzwi. Chłopiec czytał napisy na tabliczkach: DOWÓDCA STRAŻY PARKU... SZEFE OBSŁUGI GOŚCI.... DYREKTOR GENERALNY... To chyba biura. Dalej, w połowie długości korytarza, zobaczył szklaną ścianę z drzwiami i tablicą, która wyglądała tak:



Pod spodem znajdowały się jeszcze dwie inne tabliczki:

UWAGA!
SUBSTANCJE TERATOGENNE
WEJŚCIE NIEWSKAZANE DLA CIĘŻARNYCH KOBIET
BACZNOŚĆ!
NIEBEZPIECZNE IZOTOPY RADIOAKTYWNE
ŚRODOWISKO KANCEROGENNE

Tim był coraz bardziej podekscytowany. Wiedział, co to są substancje teratogenne! Kobieta może urodzić małego potworka! Próbował go sobie wyobrazić, ale wtedy rudy pan powiedział:

– Proszę nie przejmować się znakami, te tablice wiszą tu tylko ze względu na wymagania prawne. Zapewniam, że wszędzie jest całkowicie bezpiecznie.

Tim się zmartwił. Pan otworzył drzwi i wszyscy przeszli za szklaną ścianę. Po drugiej stronie stał strażnik.

– Zauważyliście państwo być może, że nie mamy na wyspie liczego personelu. Takie jest założenie – ograniczenie personelu do minimum. Możemy doglądać wszystkiego, dysponując zaledwie dwadzieścioro pracowników. Oczywiście będzie ich więcej, kiedy park zostanie otwarty dla gości, jednak w tej chwili jest nas na wyspie tylko dwadzieścioro, nie licząc państwa... A oto i nasza sterownia. Cały park kontrolujemy z tej właśnie sali.

Przybysze przystanęli i zajrzeli do ciemnego pomieszczenia, które przypominało centrum kontroli lotów NASA, tylko było mniejsze. Z sufitu zwieszała się przezroczysta świetlna tablica ze schematem parku, naprzeciwko niej był szereg stanowisk komputerowych. Na niektórych ekranach świeciły się dane, większość pokazywała różne miejsca parku. W pomieszczeniu było tylko dwóch ludzi, stali i rozmawiali.

– Mężczyzna po lewej to nasz naczelny inżynier, pan John Arnold. – Ed wskazał chudego mężczyznę w eleganckiej koszuli z krótkim rękawem i krawacie. – Ten drugi pan to szef naszej straży, Robert Muldoon – słynny biały myśliwy z Nairobi. – Muldoon był krępkim osobnikiem w polowym mundurze przypominającym wojskowy, z kieszeni jego bluzy wystawały ciemne okulary. Popatrzył na gości, skinął krótko głową i znów skupił uwagę na monitorach. – Z pewnością chcieliby państwo zajrzeć do tej sali – kontynuował Regis – jednak najpierw pokażę wam, jak uzyskujemy DNA dinozaurów.

* * *

Tabliczka na drzwiach głosiła: EKSTRAKCJA. Otwierały się przy użyciu karty, jak wszystkie drzwi w budynku, w którym mieściło się laboratorium. Regis przesunął kartę przez czytnik, zapaliło się zielone światelko i drzwi stanęły otworem.

Pomieszczenie było nieduże, skąpane w zielonym świetle. Czworo laborantów w fartuchach patrzyło w okulary stereoskopowych mikroskopów albo oglądało obrazy na monitorach o wysokiej rozdzielczości. Tim zdziwił się, że cały pokój jest wypełniony żółtymi kamieniami. Leżały na szklanych półkach, w tekturowych pudełkach i na tacach. Na każdym kamyku była karteczka z numerem.

Ed przedstawił szczupłego trzydziestoparoletniego mężczyznę; nazywał się Henry Wu.

– Pan doktor Wu to nasz naczelny genetyk. Pozwolę sobie przekazać mu pałeczkę, lepiej wytłumaczy państwu, co się tutaj dzieje.

– Spróbuję – odpowiedział z uśmiechem Wu. – Genetyka to dość skomplikowana dziedzina. W każdym razie na pewno zastanawiają się państwo, skąd bierzemy DNA, aby móc hodować dinozaury.

– Przyszło mi do głowy to pytanie – odrzekł Grant.

– W praktyce są dwa dostępne źródła – ciągnął Wu. – Czasami udaje się pozyskać DNA bezpośrednio z kości dinozaurów, przy wykorzystaniu metody ekstrakcji przeciwciał Loya.

– Jaka jest wydajność tej metody?

– Cóż, większa część rozpuszczalnych białek zostaje wypłukana w procesie powstawania skamieliny. Jednak około dwudziestu procent białek wciąż daje się pozyskać, co robimy, mieląc kości i stosując metodę Loya. Sam jej twórca pozyskiwał tą drogą białka ze szczątków wymarłych australijskich torbaczy, a także komórki krwi z prastarych szczątków ludzkich. To tak wyrafinowana technika, że można ją stosować, dysponując zaledwie pięćdziesięcioma nanogramami materiału. To pięćdziesiąt bilionowych części grama.

– I udało się panu dostosować metodę Loya do waszych potrzeb? – spytał Alan.

– Tylko jako dodatkowe źródło DNA. Jak zapewne pan sobie wyobraża, dwadzieścia procent białek nam nie wystarczy. Żeby sklonować dinozaura, potrzebne nam jego kompletne, uporządkowane DNA. Pozyskujemy je z tego. – Wu uniósł jeden z żółtawych kamyków. – Z bursztynu, skamieniałej żywicy, która powstała z soków prehistorycznych drzew.

Grant popatrzył na Ellie, a potem na Iana.

– Bardzo sprytnie – pochwalił Malcolm, skłaniając głowę.

– A ja nie rozumiem – przyznał Alan.

– Spływające soki drzew często natrafiają na owady – tłumaczył Wu. – Niejeden owad znalazł się w pułapce i przetrwał do naszych czasów zamknięty w bursztynie. Można w nim znaleźć najrozmaitsze gatunki owadów. Między innymi te, które gryzły większe zwierzęta i wysysały ich krew.

– Wysysały krew... – Alan otworzył szeroko usta. – Krew dinozaurów!

– Owszem, natrafiamy na takie.

– Owad wysysał krew dinozaura, a potem zakonserwował się w bursztynie... A niech mnie! – Alan pokręcił głową. – Ta metoda może być skuteczna.

– Zapewniam pana, że jest. – Wu przeszedł do jednego z mikroskopów. Laborant położył akurat na szkiełku kawałek bursztynu z zatopioną w środku muchą. Goście zobaczyli na monitorze, jak laborant wprowadza przez bursztyn długą igłę i wbija ją w ciało prehistorycznej muchy.

– Jeśli wewnątrz tego owada znajdują się komórki krwi jakiegoś innego zwierzęcia, być może uda nam się je z niego wydobyć i w ten sposób pozyskać paleo-DNA, to znaczy DNA wymarłego gatunku zwierzęcia – tłumaczył Wu. – Oczywiście nie będziemy mieli pewności, czym dysponujemy, dopóki nie dokonamy ekstrakcji DNA, nie zreplikujemy go i nie sprawdzimy, co powstanie. To powolny, długotrwały proces, ale zajmujemy się tym już od

pięciu lat i osiągnęliśmy sukcesy... W istocie pozyskanie tą metodą DNA dinozaura jest nieco łatwiejsze niż w przypadku DNA ssaka. Krwinki czerwone ssaków są bowiem komórkami bezjądrzastymi, a skoro nie mają jąder, nie ma w nich i DNA. Aby sklonować ssaka, trzeba by zatem znaleźć krwinkę białą – a tych jest znacznie mniej niż czerwonych. Krwinki czerwone dinozaurów mają natomiast jądra – podobnie jak krwinki czerwone ptaków. To jeden z wielu dowodów potwierdzających tezę, iż dinozaury to właściwie nie gady, ale raczej coś w rodzaju wielkich gruboskórnych ptaków.

Tim patrzył na profesora Granta, który chyba ciągle nie dowierzał panu doktorowi Wu. Dennis Nedry, ten gruby niechłuj, miał znudzoną minę, chyba nie interesowało go, co mówi pan doktor. Zerknął niecierpliwie w stronę wyjścia.

– Widzę, że pan Nedry wyobraża już sobie następny etap naszego procesu klonowania dinozaurów: identyfikację pozyskanego DNA – skomentował Wu. – Używamy do tego celu potężnych komputerów.

Goście przeszli wraz z doktorem Wu do klimatyzowanej sali, w której rozlegał się głośny szum. Na środku znajdowały się dwa dwumetrowej wysokości cylindry, a pod ścianami szeregi stalowych skrzynek sięgających dorosłym mniej więcej do pasa.

– Oto nasza najnowocześniejsza na świecie pralnia automatyczna – zażartował Wu. – Wszystkie te urządzenia pod ścianami to zautomatyzowane sekwencjonery DNA firmy Hamachi-Hood. Pracują z ogromną prędkością, sterowane przez superkomputery Cray XMP – to właśnie te dwie małe wieże pośrodku sali. Znajdujecie się państwo w miejscu, które można nazwać niezwykle wydajną fabryką genów.

W sali znajdowało się kilka monitorów, na których obrazy zmieniały się tak szybko, że trudno nawet było stwierdzić, co pokazują. Wu wcisnął klawisz jednego z komputerów, zatrzymując obraz na ekranie.

```

1  GCCTTCTGCG CGTTTTTCCA TAGGCTCCGC CCCCCTGACG AGCATCACAA AATCGACGCG
61  GGTGGCGAAA CCCGACAGGA CTATAAGAT ACCAGCGCTT TCCCCTGGA AGCTCCCTCG
121 TGTTCGACCC CTGCCGCTTA CCGGATACCT GTCCGCTTT CTCCCTTCGG GAGCGTGGC
181 TGCTACGCT GTAGGTATCT CAGTTCGGTG TAGGTCGTTG GCTCGAGCT GGGCTGTGTG
241 CGTTTCAGCC CGACCCCTGC GCCTTATCCG GTRACTATCG TCTTGAGTCC ACCCCGTA
301 AGTAGGACAG GTGCCGCGAG CGCTCTGGT CATTTTCGCG GAGGACCGCT TTCGCTGGAG
361 ATCGGCCTGT CGCTTGCGGT ATTGGGATC TTGCACGCCC TCCTCAGC CTTCGTCCT
421 CCACACGTTT CGCGGAGAG CAGCCATTA TCBCCGCAT GCGGCGCAC GCGCTGGCT
481 GCGCTTCGCG ACGCGAGGCT GATGGCCTT CCCATTATG ATTCTTCTCG CTTCCGCGCG
541 CCCGCTTGC AGCCATGCT GTCCAGGCA GTAGTGACG ACCATCAGG ACAGCTTCA
601 CCGCTCTTAC CAGCCTACT TCATCACTG GACCGTGTAT CGTACGCGA ATTTATGCCG
661 CACATGGAGC CGTTGCTGGC GTTTTTCCAT AGGCTCCGCC CCCCTGACGA GCATCACAAA
721 CAGTTCAGAG GTGGCGAAG CCACAGGAC TATAGGATA CCAGCGCTT CCCCCTGAAA
781 GCGCTCTCCT GTTCCGACCC TGCCGCTTAC CGGATACCTG TCCGCTTTC TCCCTTCGGG
841 CTTTCTCAAT GCTACGCTG TAGGTATCTC AGTTCGGTGT AGGTGCTTCG CTCGAGCTG
901 ACGACCCGCC CGTTCAGCCC GACCGCTCG CTTATCCGG TACTATCGT CTTGAGTCCA
961 ACACGACTTA ACGGTTTGGC ATGATTGTA GCGCGCGCCC TATACCTGT CTGCTCCGC
1021 GCGGTGCTG GAGCCGGGCC ACTCGACCT GATGGAAGC CGGCGGCACC TCGCTACCG
1081 CCAGGATTO GAGCCATCA ATTCTTGGG AGRAGTGTA ATGCGCAAC CAGCCCTTGG
1141 CCATCGGTC CGCATCTCC AGCAGCCGCA CGCGGCGAT CTCGGGAGC GTTGGTCTT
1201 GCGATGATC GTCT - CCTGTCTTG AGACCCGCG TAGCTGGCG GGTTCGCTT
1281 AGATGATC ACCGATACG GAGCGAGCT GAGCGACTG CTCTGCAA ACCTGCGA
1341 AACATGATG GTCTTGGT TCCGTGTTT GTAGGTCTG GAGCGCGGA AGTCAGGCC

```

– Oto przed państwem obraz struktury małego fragmentu prawdziwego dinozaurzego DNA – mówił Wu. – Proszę zauważyć, że nukleotydy w sekwencjach genowych DNA dinozaurów zawierają cztery podstawowe zasady – adeninę, tyminę, guaninę i cytozynę. Fragment DNA widoczny na ekranie prawdopodobnie zawiera informacje wystarczające do wytworzenia pojedynczego białka – dajmy na to, hormonu albo enzymu. Kompletna cząsteczka DNA zawiera około trzech miliardów uporządkowanych zasad! Gdybyśmy oglądali obraz DNA przez osiem godzin dziennie, robiąc takie zrzuty ekranu co jedną sekundę, obejrzenie całej helisy DNA zajęłoby nam dwa lata. Jest aż tak złożona... Widzą państwo akurat typowy przykład zrzutu ekranu. Ponieważ widzimy, że jest tu błąd – wskazał palcem – w linii oznaczonej jako tysiąc dwieście jeden. Większość pozyskiwanego przez nas DNA jest pofragmentowana i niekompletna. Pierwszą zatem rzeczą, jaką musimy z nim zrobić, jest naprawienie go – i tym zajmuje się komputer. DNA jest rozcinane za pomocą tak zwanych enzymów restrykcyjnych. Komputer dobiera odpowiednie enzymy, które dokonują podziału.

```

1  GCCTTGCTGGCGTTTTTCCATAGGCTCCGCCCCCTGACGAGCATCACAAATCGACCC
61  GGTGGCGAACCAGGACTATAAGATACCAGGCGTTTCCCCCTGGAGCTCCCTCG
      Nsp04
121  TGTTCGACCTGCCCTTACCGATACCTGTCCGCTTTCTCCCTTCGGAGCGTGGC
181  TGCTCAGCTGTAGGTATCTCAGTTCCGGTGTAGGTGTTCCCTCCAGCTGGGCTGTGTG
      B
      BrontIV
241  CCGTTCAGCCCGACCGCTGCCCTTATCCGGTACTATCGTCTTGAGTCCAGCCCGGTAA
301  AGTAGGACAGGTGCCGCGACGCTCTGGGTGATTTTCGGCGAGGACCGCTTTCCCTGGAG
      434 DnxT1
      AclIBn
361  ATCGGCTGTCCCTTCCGATATTCCGATCTTCCAGGCGCTCGCTCAGGCTTCGTCACT
421  CCAAGCGTTTCCGCGAGGACAGGCATTATCCCGGCGATGGCGCCGACGCGTGGCT
481  GCGTTCGCGACCGAGGCTGGATGGCTTCCCATTTATGATTCTTCTCCCTTCCGCGG
541  CCGCGTTCCAGGCGATGCTGTCCAGGCGGTAGATGACGACCATCAGGAGAGCTTCAA
601  CGGCTCTTACCGGCTACTTCGATCACTGGACCGCTGATCGTCAGGCGATTTATGCCG
      Nsp04
661  CACATGGACCGCTTGCTGCCGTTTTTCCATAGGCTCCGCCCCCTGACGAGCATCACAA
721  CAGTCAAGGTTGCCAACCAGGACTATAAGATACCAGGCGTTTCCCCCTGGAA
      924 CspII1
      DnaLdn
781  GCGCTCTCCTGTTCCGACCTGCCGTTACCGATACCTGTCCGCTTTCTCCCTTCGGG
841  CTTTCTCATGCTCAGCTGTAGGTATCTCAGTTCCGGTGTAGGTGTTCCCTCCAGCTG
901  ACGACCCCGGTTCCGCGACCGCTGCCCTTATCCGGTACTATCGTCTTGAGTCCA
961  ACACGACTTACGGGTTGCGATGGATTGTAGGCGCCGCGCTATACCTGTCTGGCTCCCC
1021  GCGGTGATGGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGG
1081  CCAAGATTTGGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGG
1141  CCGTCCGCTCCGCGATCTCCAGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGG
      1416 DnxT1
      Ssp4
1201  GCGCATGATCCTGCTACCTGTGTTGAGGACCGGCTAGGCTGGCGGGGTTGCCCTTACT
1281  ATGATCAGCGATACCGAGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGGCGG

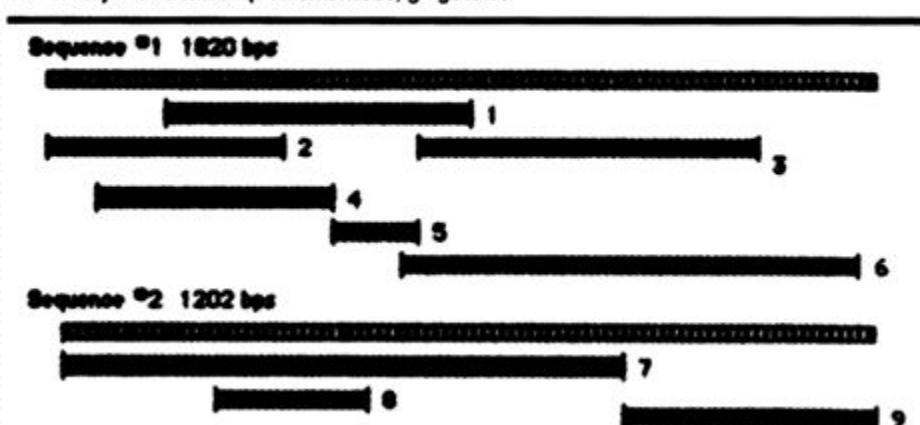
```

– A oto ten sam fragment DNA z widocznymi punktami, w których zostały zaaplikowane enzymy restrykcyjne – kontynuował doktor Wu. – Jeśli spojrzą państwo na linię tysiąc dwieście jeden, to zobaczą, że w miejscu występowania błędu pasmo DNA zostało rozcięte

przez dwa różne enzymy, inny na każdym końcu. W tej sprawie pozwalamy podejmować decyzje komputerom. Musimy jednak wiedzieć, jakie nukleotydy wstawić, aby załatać puste miejsce. Do tego celu trzeba zestawiać ze sobą rozmaite pocięte fragmenty, na przykład tak:

Porównanie odcinków kodu genetycznego

legenda: k=komplementarność, dk=komplementarność dłuższego odcinka,
zw=zweryfikowana komplementarność, g=gotowe



– Odnajdujemy inny fragment DNA, który pokrywa się z odcinkami sąsiadującymi z luką, i dzięki temu możemy ją zapełnić. Sami państwo widzą, że potrafimy wyszukiwać takie fragmenty i uzupełniać kod. Ciemne prostokąty widoczne na ekranie to przeanalizowane fragmenty dinozaurzego DNA, uprzednio pocięte przez enzymy restrykcyjne. Komputer rekombinuje kod, wyszukawszy jego zachodzące na siebie odcinki. Przypomina to trochę zabawę układanką, przy czym komputer jest w stanie naprawdę bardzo szybko dobierać odpowiednie elementy.

```

1  GCCTTGCCTGCGCTTTTTCGATAGGCTCCGCCCCCTGACGAGCATCACAAATCGACGC
61  GGTGCGGACCCGACGAGCTATAGAGATACGAGGCGTTTCCCCCTGGAGCTCCCTCG
121  TGTTCGACCCCTGCGCTTACCGATACCTGTCCGCTTTCTCCCTTCGGAGCGTGGC
181  TGCTACGCTGTAGGTATCTCAGTTCCGTTAGGTCGTTCCCTCCAGCTGGGCTGTGTG
241  CCGTTACGCGGACCCGCTGCGCTTATCCGTAACATATGTTCTTGTGTCACCCGCTAA
301  AGTAGGACAGGTGCGGACGCTCTGCGTATTTTCGGGAGGAGCCGCTTTCGCTGAGG
361  ATCGGCTGTGCTTTCGATATTCGATCTTGCAGGCGCTCGCTCAAGCTTCGTACT
421  CCAAGCTTTTCGGGAGGAGGCGCTTATCGCGGATGCGGCGGACGCTGCGCT
481  GCGCTTCGCGGAGGCTGATGCGCTTCCGATATGATCTTCTGCTTCCGCGG
541  CCGGCTTTCAGGCGCTGCTGTTCAGGAGGATGATGAGGATGAGGAGGCTTCGA
601  CGGCTCTTACGAGCTTACTTCGATGCTGAGCGCTGATGATGAGGAGGCTTATGCGG
661  CAGTTCAGGCTTCTGCTGCGCTTTTTCGATAGGCTCCGCCCCCTGACGAGCATCACAA
721  CAGTTCAGGCTTTCGAGGAGGCTATAGAGATACGAGGCGTTTCCCCCTGAGG
781  GCGCTCTGCTTTCGAGGCTTCCGCTTACCGATACCTGTCCGCTTTCTCCCTTCGGG
841  CTTTCTGATGCTCAGCTGTAGGTATCTCAGTTCCGTTAGGTCGTTCCCTCCAGCTG
901  AGGAGGCGGCGCTTCAGGCGGAGGCTGCGCTTATCCGTAACATATGTTCTTGTGCA
961  AGGAGCTTACGCGGCTTTCGATGATTTAGGCGGCGGCTTATGCTTGTGCTGCGG
1021  GCGGTCATGAGGCGGCGGAGCTGAGCTGATGAGGCGGCGGCGGAGCTGCTTACG
1081  CCAAGATTCAGGCGGATGATTTCTTCGAGGAGCTGATGAGGCGGAGGAGGCTTGG
1141  CGATGCGCTGCGGATCTTCAGGAGGCGGAGGCGGCGGAGCTTCCGAGGCTTGGCTCT
1201  GCGGATGATGCTGAGCTGTGCTTTCGAGGCGGCGGAGGCTGAGGCTGCGGAGGCTGCTTACT
1261  ATGATTCAGGATACGCGAGGAGGCTGAGGAGCTGCTGCTGAGGAGGCTTTCGAGCT
1321  ATGATGCTTTCGCTTTCGCTTTCGATAGGCTTTCGAGGAGGAGGATGAGGCGGCTG

```


– Z kolei na tym ekranie widzą państwo ten sam fragment kodu genetycznego co za pierwszym razem, ale już po dokonaniu przez komputer naprawy. Operacja, którą opisałem, trwała parę sekund. W konwencjonalnym laboratorium trzeba by mozolić się nad nią przez całe miesiące.

– I w ten sposób uzyskujecie całą cząsteczkę DNA? – zdziwił się Alan.

– Och, nie. To niemożliwe... Poczyniliśmy ogromne postępy od lat sześćdziesiątych, kiedy rozkodowanie maleńkiego fragmentu, jak ten na ekranie, zajmowało cztery lata, przy zaangażowaniu całego laboratorium. Dziś komputery w kilka godzin robią to za nas. Ale i tak cząsteczka DNA jest dla nich za duża. Rozpracowujemy dokładnie tylko te fragmenty, które są różne u różnych gatunków dinozaurów i które różnią się od DNA współczesnych zwierząt. Poszczególne gatunki różnią się od siebie tylko paroma procentami nukleotydów i właśnie te analizujemy. To i tak ogromna praca.

* * *

Dennis Nedry ziewnął. Już dawno doszedł do wniosku, że InGen musi zajmować się właśnie czymś w tym rodzaju. Pierwszy raz firma zwróciła się do niego kilka lat wcześniej – Nedry projektował system komputerowy parku. Klient poprosił wtedy, aby przygotował między innymi bazę danych, w której poszczególne rekordy będą miały po 3×10 pól. Dennis pomyślał, że to błąd, i zadzwonił do Palo Alto, by podano mu rzeczywiste wymagania względem bazy. Powiedziano mu jednak, że specyfikacja, jaką otrzymał, jest poprawna. Miał przygotować arkusze na trzy miliardy zmiennych każdy.

Już wcześniej zdobył duże doświadczenie w pracy nad rozbudowanymi systemami – wyrobił sobie markę jako twórca systemów zarządzania łącznością telefoniczną w kilku międzynarodowych korporacjach. Projektował już bazy na miliony rekordów. Jednak InGen żądał od niego czegoś znacznie większego...

Był tym tak zdumiony, że spotkał się z Barneyem Fellowsem z firmy Symbolics, której siedziba mieściła się koło kampusu Massachusetts Institute of Technology, najsłynniejszej uczelni technicznej świata.

– Słuchaj, Barneyu, do czego może być potrzebna baza o rekordach po trzy miliardy pól każdy? – spytał.

– Do niczego – odpowiedział ze śmiechem Barney. – Ktoś się pomylił. Wbił o jedno albo dwa zera za dużo.

– Nie, pytałem. Powiedzieli, że taka ma być.

– Porąbało ich. Tego nie da się w praktyce obsłużyć. Nawet gdyby mieli najszybsze dostępne procesory i gdybyś napisał najwydajniejsze algorytmy, wyszukiwanie będzie trwało kilka dni, a nawet tygodni.

– Właśnie – westchnął Dennis. – Wiem... Na szczęście nie ja mam napisać algorytmy, tylko zaprojektować arkusze danych i dobrać odpowiednią ilość pamięci dla systemu. Ale jestem bardzo ciekawy, do czego może służyć taka baza.

– Podpisałeś pewnie klauzulę poufności? – Barney ściągnął brwi.
– Tak. – Większość zleceń, które wykonywał Dennis, wiązała się z podpisywaniem takich klauzul.

- Czy możesz powiedzieć mi cokolwiek?
- To firma biotechnologiczna.
- Biotechnologia... W takim razie już wiem, to oczywiste – odrzekł Fellows.
- No i do czego to ma być?
- Do opisu cząsteczek DNA.

No co ty – zachnął się Dennis. – To niemożliwe, żeby chcieli szczegółowo analizować DNA! – Słyszał o Human Genome Project, zakrojonym na szeroką skalę przedsięwzięciu naukowym, którego celem było opisanie całej podwójnej helisy DNA człowieka. Miało to jednak zająć całe lata, a w ten niezwykły projekt zaangażowane były laboratoria całego świata. Wysiłki te rozmachem przywodziły na myśl projekt „Manhattan”, w którego wyniku powstała bomba atomowa... – Barneyu, to prywatna firma.

– Nie wyobrażam sobie niczego innego, do czego byłyby potrzebne rekordy o trzech miliardach pól – skwitował Fellows. – Może nie boją się wyzwań.

– Nie ulega wątpliwości, że nie...

– Mogą też analizować tylko fragmenty DNA, ale mają algorytmy, które zjadają gigantyczne ilości RAM-u.

To już zabrzmiało dla Dennisa bardziej sensownie. Niektóre techniki przeszukiwania baz danych angażują olbrzymie ilości pamięci operacyjnej.

– Wiesz, kto robi dla nich te algorytmy? – spytał Barney.

– Nie. Ta firma bardzo pilnie strzeże swoich tajemnic.

– Cóż, w każdym razie zgaduję, że będą robili coś z DNA – podsumował Fellows. – Na jakich maszynach ma opierać się

– Na kilku XMP.

– Kilku XMP?! To znaczy, że nie wystarczy im nawet Cray?! Odjęło mi mowę! – Barney myślał intensywnie, marszcząc czoło. – Słuchaj, możesz powiedzieć mi coś więcej?

– Przykro mi, ale nie.

Na tym rozmowa się zakończyła. Dennis wrócił do domu i zaprojektował system komputerowy dla InGenu. Zajęło mu to ponad rok – a nie pracował sam, miał swoich programistów. Robota była wyjątkowo trudna, bo ludzie z InGenu za nic nie chcieli mu powiedzieć, do czego będą służyć poszczególne moduły systemu. Wydawali mu tylko lakoniczne polecenia: „Proszę zaprojektować podsystem do przechowywania danych”. „Zaprojektujcie moduł graficzny”. Dostawał oczywiście specyfikację wymaganych parametrów elementów systemu, jednak nie wiedział, do czego konkretnie ma on służyć. Pracował więc właściwie po omacku.

Dlatego teraz Dennis nie dziwił się, że po uruchomieniu system stwarza problemy. Trudno, żeby tak nie było. Czego ci ludzie z InGenu się spodziewali? Wezwali go nagle,

spanikowani i niezadowoleni z niedoskonałości systemu, który stworzył. Denerwowało go to. Znow skupił uwagę na pokazie. Profesor Grant zapytał właśnie: Kiedy już komputer przeanalizuje odpowiednie odcinki DNA, skąd wiecie, z jakiego pochodzi ono zwierzęcia?

– Stosujemy dwie procedury – odpowiedział doktor Wu. – Po pierwsze, mapowanie flogenetyczne. Z upływem czasu DNA ewoluuje, podobnie jak wszystkie cechy danego gatunku – na przykład kończyny; każdy jego fizyczny atrybut. Potrafimy określić za pomocą komputera, gdzie mniej więcej położony jest dany, nieokreślony odcinek DNA na mapie ewoluujących cech. To bardzo czasochłonna metoda, ale takie postępowanie okazało się możliwe.

– A jaka jest druga procedura?

– Po prostu hodujemy zwierzę i patrzymy, co wyrosło. – Wu wzruszył ramionami. – Najczęściej postępujemy właśnie tak. Pokażę teraz państwu, jak hodujemy dinozaury.

* * *

Tim Murphy coraz bardziej się niecierpliwił. Interesował się techniką, ale i tak pomału przestawał słuchać, co mówi doktor Wu. Zaprowadził wycieczkę do drzwi z tabliczką z napisem ZAPŁADNIANIE.

Weszli i Tim znowu zobaczył jakichś laborantów i mikroskopy. Część sali, z tyłu, oświetlona była dziwnym fioletowym światłem. Doktor Wu powiedział, że to, co robili tu z DNA, wymagało przerywania mitozy komórek w precyzyjnie określonych momentach i że dlatego trzymają w tym laboratorium niektóre z najsilniejszych trucizn świata.

– Hemotoksyny, kolchicynoidy, beta-alkaloidy – mówił, pokazując szereg oświetlonych na fioletowo strzykawek. – Zabiją każde zwierzę w ciągu sekundy czy dwóch.

To zaciekało Tima, ale nie dowiedział się więcej o truciznach, bo pan Wu zaczął długo głądzić o tym, że wykorzystują niezapłodnione jaja krokodyli i zamieniają w nich DNA. Profesor Grant zadawał doktorowi Wu naukowe pytania, za trudne dla Tima. Przy ścianie stały duże zbiorniki z napisem CIEKŁY AZOT. Były też wielkie chłodnie, do których można było wejść. Miały półki, a na nich leżały zamrożone małe embriony, pozawijane w folię aluminiową.

Lex wyglądała na znudzoną. Dennis Nedry już ziewał. Nawet pani doktor Sattler chyba straciła zainteresowanie. Tim miał już dosyć tych wszystkich laboratoriów i skomplikowanego opowiadania doktora Wu. Chciał wreszcie zobaczyć dinozaury!

* * *

Na następnych drzwiach była tabliczka WYLĘGARNIA.

– Będzie trochę gorąco i wilgotno – uprzedził doktor Wu. – W wylęgarni utrzymujemy temperaturę trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza i wilgotność sto procent. Poza tym stężenie tlenu w powietrzu jest tutaj wyższe niż normalnie – wynosi prawie trzydzieści trzy procent.

– Jurajska atmosfera... – stwierdził profesor Grant.

– Tak. A przynajmniej zakładamy, że taka była. Jeśli ktoś z was będzie miał zamiar zemdleć, niech mi najpierw powie.

Wu przesunął kartę przez czytnik i drzwi otworzyły się z sykiem.

– Muszę w tym miejscu przypomnieć, że w tej sali nie wolno niczego dotykać. Niektóre jaja przepuszczają tłuszcze wytwarzane przez ludzką skórę. I uwaga na głowy. Przez cały czas w górze przemieszczają się czujniki.

Doktor otworzył drugie drzwi i Tim oraz reszta wycieczki weszli do ogromnej sali. Tu światło było czerwone i dosyć słabe. Na długich stołach leżały wielkie jaja, a dookoła nich unosiła się z sykiem para. Stołów nie było przez nią dobrze widać, w każdym razie jaja ruszały się trochę, wszystkie się kołysały.

– Jaja gadów zawierają dużo żółtka, ale w ogóle nie mają w sobie wody. Embriony muszą więc czerpać ją z otoczenia jaja – opowiadał Wu. – Dlatego omywamy je parą wodną.

Wyjaśnił następnie, że na każdym stole leży po sto pięćdziesiąt jaj, do których wprowadzono DNA pozyskane w tym samym okresie. Przy każdym stole była tabliczka z zakodowanym opisem partii, na przykład STEG-458/2 czy TRIC-390/4. Pracownicy wylęgarni brodzili po pas we mgle, wkładali w nią ręce i obracali jaja – każde musiało być obrócone co godzinę. Mierzili też temperaturę specjalnymi czujnikami. Pod sufitem wisiały kamery i czujniki ruchu. Po sali przemieszczało się także urządzenie do pomiaru temperatury, z długim, zwisającym, rurkowatym czujnikiem, który dotykał kolejno jaja po jajku. Wydawał pisk i ruszał dalej.

– Wyhodowaliśmy już w tej wylęgarni kilkanaście partii embrionów – mówił Wu – z czego udało się dochować w sumie dwieście trzydzieści osiem dinozaurów. Przeżywa mniej więcej jeden przecinek cztery procent embrionów, oczywiście chcemy ten współczynnik podwyższyć. Jednak musimy panować – z pomocą komputerów – nad mniej więcej pięciuset zmiennymi: stu dwudziestoma czynnikami środowiskowymi, około dwustoma czynnikami związanymi z wnętrzem każdego jaja, wreszcie prawie dwustoma cechami samego materiału genetycznego. Te jaja są plastikowe. Wprowadzamy do nich zarodki mechanicznie, i tu następuje wylęganie.

– Jak długo rośnie dinozaur?

– Zwierzęta dojrzewają szybko, pełne rozmiary osiągają w ciągu od dwóch do czterech lat. Mamy już w parku pewną liczbę dorosłych okazów.

– Co znaczą te cyferki?

– To oznaczenia poszczególnych partii jaj. Pierwsze cztery litery oznaczają gatunek zwierzęcia. TRIC – to triceratopsy, STEG – stegozaury i tak dalej.

– A co hodujecie na tym stole? – zainteresował się Alan, pokazując głową tabliczkę z napisem xxxx-0001/1. Pod spodem dopisane było ręcznie: *prawdop. celury*.

– W tych jajach jest pierwsza partia zarodków z nowego typu DNA. Nie jesteśmy pewni, co w nich wyrośnie. Zawsze tak jest z pierwszą partią. Jak pan widzi, podejrzewamy, że to mogą być celury, niewielkie roślinożerne dinozaury, jeśli dobrze pamiętam. Muszę przyznać,

że nie znam nazw tych wszystkich zwierząt. Odkryto już około trzystu rodzajów dinozaurów...

– Trzysta czterdzieści siedem! – odezwał się Tim. Alan się uśmiechnął.

– Czy w tej chwili coś się wylęga? – spytał.

– Akurat nie. Okres inkubacji różni się oczywiście w zależności od gatunku, ale ogólnie wynosi z grubsza dwa miesiące. Staramy się rozkładać w czasie wylęganie się zwierząt z każdej partii, żeby nasi pracownicy łatwiej radzili sobie z opieką nad nimi. Wyobrażacie sobie państwo, co by się tu działo, gdyby w ciągu kilku dni przychodziło na świat sto pięćdziesiąt małych dinozaurów? W rzeczywistości przeżywa niewiele embrionów... Właściwie te „iksy” mogą już zaraz zacząć się wylęgać, trudno powiedzieć, ile jeszcze dni zostało. Czy ktoś z państwa ma jeszcze jakieś pytania? Nie? W takim razie przejdziemy do dinozaurzego przedszkola, to znaczy miejsca, gdzie przebywają dinozaury, które niedawno się wykluły.

* * *

„Przedszkole” okazało się okrągłą salą o ścianach pomalowanych na białą. Stało w niej kilkanaście inkubatorów, takich jak na oddziałach położniczych w szpitalach, w tej chwili były jednak puste. Na podłodze leżały porzucane szmaty i różne zabawki dla zwierząt. Na środku siedziała odwrócona plecami do gości młoda, ubrana na białą kobieta.

– Co tu dzisiaj mamy, Kathy? – zagadnął ją doktor Wu.

– Niewiele. Tylko jednego małego welociraptora.

– Zobaczmy go.

Kathy wstała i odsunęła się na bok.

– Wygląda jak jaszczurka – skomentował Dennis Nedry.

Na podłodze stało zwierzę długości mniej więcej czterdziestu pięciu centymetrów, rozmiarami przypominało małą małpkę. Było ciemnożółte w brązowe pasy, przez co przywodziło na myśl tygrysa. Miało jaszczurczą głowę z długim pyskiem, stało jednak na tylnych, mocnych kończynach, pomagając sobie w zachowaniu równowagi grubym, prostym ogonem. Przednie, mniejsze kończyny wisiały w powietrzu. Zwierzę przechyliło łebek i patrzyło na wpatrujących się w nie ludzi.

– Welociraptor... – szepnął zdumiony Alan.

– *Velociraptor mongoliensis* – potwierdził Wu. – Drapieżnik. Ten osobnik ma dopiero sześć tygodni.

– Właśnie odkopałem szkielet takiego... – mruknął Grant, nachylając się nad stworzeniem, żeby lepiej mu się przyjrzeć. W tej samej chwili mały jaszczur skoczył tak wysoko, że przeleciał ponad głową Alana i wylądował w ramionach Tima.

– O matko!

– One potrafią skakać – skomentował Wu. – Małe welociraptory. Właściwie dorosłe też potrafią...

Tim zdołał złapać welociraptora i go przytulił. Zwierzak nie ważył dużo, może z kilogram. Był ciepły i miał bardzo suchą skórę. Nieduża głowa zwierzęcia znajdowała się kilkanaście centymetrów od buzi chłopca. Patrzyły na niego małe, ciemne, wylupiaсте oczy, a z pyska dziwnej jaszczurki błyskawicznie wysuwał się i chował rozdwojony język.

– Czy on mnie nie ugryzie?

– Nie. To jest ona. Jest bardzo miła.

– Jest pan pewny? – spytał Gennaro wyraźnie zaniepokojony.

– Och, całkowicie – uspokoił go Wu. – Przynajmniej tak będzie, dopóki trochę nie podrośnie. A nawet gdyby chciała, to w tym wieku welociraptory nie mają jeszcze zębów. Nawet zęba jajowego.

– Zęba jajowego? – zdziwił się Nedry.

– Większość dinozaurów wykluwa się z zębem jajowym na końcu nosa – to taki mały rożek, coś jakby malutki róg nosorożca, służy do rozbijania skorupy jaja. Ale welociraptory nie mają zęba jajowego, rozbijają jaja pyskami, są wystarczająco zaostrome. W naszym przypadku, kiedy już mały welociraptor wybije w jaju otwór, ludzie muszą pomóc mu wydostać się na zewnątrz.

– Musicie pomagać im w wykluwaniu się? – Alan pokręcił głową. – A jak to robią w parku?

– W parku? Co takiego?

– Kiedy rozmnażają się w parku. Zakładają gniazdo... i co wtedy? – dociekał Grant.

– Och, nie, nie są w stanie rozmnażać się samodzielnie. Żadne z naszych zwierząt nie może tego robić. Dlatego właśnie potrzebne nam to przedszkole. Wszystkie nowe osobniki w parku pochodzą z wylęgarni, którą przed chwilą oglądaliśmy.

– A dlaczego nie mogą się rozmnażać?

– Cóż, lepiej, żeby nie mogły. To bardzo ważne. Dbamy o to aż na dwa różne sposoby – zresztą we wszystkich innych wyjątkowo ważnych sprawach stosujemy równolegle dwie różne procedury. Jeśli chodzi o rozmnażanie, to nasze dinozaury nie są do niego zdolne z dwóch powodów. Po pierwsze, sterylizujemy je, napromieniowując każdego osobnika promieniami X.

– A po drugie?

– Wszystkie zwierzęta w Parku Jurajskim to samice. – Doktor Wu uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Chciałbym usłyszeć coś więcej na ten temat – odezwał się Ian Malcolm. – Wydaje mi się bowiem, że napromieniowywanie jest obarczone pewnym procentem niepewności. Może się zdarzyć, że dawka promieniowania zostanie niewłaściwie dobrana albo że zostanie ono skierowane na niewłaściwą okolicę ciała zwierzęcia...

– Ma pan rację – zgodził się Wu. – Jesteśmy jednak pewni, iż w każdym przypadku gonady zostały zniszczone.

– A czy sprawdzacie ich płęć? – dopytywał się Ian. – Upewniam się, że rzeczywiście nie ma męskich osobników? Czy ktoś, że tak powiem, zagłada dinozaurzycom pod spódnice? A tak w ogóle, jak określa się płęć dinozaura?

– Narządy płciowe dinozaurów są bardzo zróżnicowane w zależności od gatunku – u jednych łatwo rozpoznać płęć, u innych zewnętrzne różnice nie są tak wyraźne. Ale odpowiem panu inaczej: wiemy, że wyhodowaliśmy same samice, ponieważ takie zwierzęta projektujemy. To my dobieramy chromosomy i kontrolujemy rozwój zarodków wewnątrz jaj. Z punktu widzenia inżynierii genetycznej łatwiej jest wyhodować samicę. Zapewne wiecie państwo, że wszystkie embriony kręgowców – można powiedzieć: z natury – są żeńskie. Każdy z nas na początku był kobietą. Aby rozwijający się embrion przekształcił się w męski, potrzebny jest swego rodzaju dodatkowy proces – jak oddziaływanie w odpowiednim momencie określonego hormonu. Jeśli niczego w tym kierunku nie zrobimy, z embriona w naturalny sposób wyrośnie samica dinozaura – i tak się właśnie tutaj dzieje. Nieraz mówimy o naszych dinozaurach, używając męskich form – na przykład „tyranozaur” – ale tak naprawdę wszystkie są samicami. I proszę mi wierzyć, że nie są zdolne do rozmnażania się.

* * *

Mała welociraptorzyca prychnęła, a potem zaczęła ocierać się łebkiem o szyję Tima. Chłopiec zachichotał.

– Ona chce, żebyś ją nakarmił – wyjaśnił Wu.

– A co ona je?

– Myszy. Ale właśnie została nakarmiona, więc nie będziemy karmili jej znowu.

Zwierzę odchyliło głowę, popatrzyło na Tima, a potem poruszyło w powietrzu małymi przednimi łapkami. Tim widział, że każda zakończona jest trzema ruchliwymi palcami, a te – małymi szponami. Po chwili młoda samiczka znów przytuliła łebek do jego szyi.

Alan zbliżył się do chłopca i przyjrzał uważnie niecodziennemu stworzeniu. Wyciągnął rękę i dotknął jego małej trójpalczastej przedniej kończyny przypominającej ludzką rękę.

– Mogę? – spytał. Tim oddał mu zwierzę.

Alan odwrócił małą welociraptorzycę brzuchem do góry i obejrzał ją, podczas gdy ona wiała się i wierciła. Potem uniósł ją i popatrzył na nią z boku. Zwierzę pisnęło przeraźliwie.

– Ona tego nie lubi – odezwał się Ed Regis. – Nie lubi, kiedy trzyma się ją daleko od ciała.

Zwierzątko ciągle przeraźliwie piszczało, lecz Alan nie zwracał na to uwagi. Ścisnął jego ogon, starając się wyczuć szkielet.

– Panie profesorze! – skarcił Alana Regis. – Proszę przestać.

– Nie robię jej krzywdy.

– Profesorze, to nie są zwierzęta z naszego świata. W ich czasach nie było ludzi, którzy bawili się nimi, dotykali ich i miętosili.

– Ja się nią nie bawię.

– Proszę postawić ją na ziemi!

– Ależ...

– Już! – Regis się zdenerwował.

Alan oddał zwierzę chłopcu. Przestało piszczeć. Tim czuł, że teraz serduszko przytulającego się do niego stworzenia bije w przeraźliwym tempie.

– Przepraszam, panie profesorze – odezwał się znowu Ed. – Po prostu w okresie niemowlęcym te zwierzęta są bardzo delikatne. Kilka zdechło nam od samego stresu po wykluciu się. Naszym zdaniem zależy on od wydzielających się kortykosterydów. Zdarzało się, że ginęły w ciągu pięciu minut.

– Nie martw się, malutka – powiedział Tim, głaszcząc małą drapieżniczkę. – Już wszystko dobrze. – Serce zwierzątka wciąż biło bardzo szybko.

– Uważamy, że należy traktować nasze zwierzęta w jak najbardziej ludzki sposób – powiedział Regis. – To bardzo ważne. Obiecuję panu, że będzie pan miał jeszcze okazję badać je na wszelkie sposoby.

Alan nie mógł odejść od małej samicy welociraptora. Znowu nachylił się nad nią i ją obserwował.

Wtedy otworzyła małą paszczę i syknęła na niego z wściekłością.

– Jest fascynująca! – szepnął.

– Czy mogę tu zostać i się z nią pobawić? – spytał Tim.

– Nie teraz. – Ed spojrział na zegarek. – Już piętnasta. To dobra godzina na wycieczkę po parku, żebyście mogli zobaczyć wszystkie dinozaury w środowiskach, jakie dla nich zaprojektowaliśmy.

Tim wypuścił samiczkę, która odbiegła kilka metrów, chwyciła pyszczkiem szmatę i zaczęła szarpać ją małymi zębami.

STEROWNIA

Grupa zwiedzających ruszyła z powrotem do sterowni. Po drodze Ian Malcolm spytał doktora Wu:

– Ile gatunków dinozaurów wyhodował pan dotąd, panie doktorze?

– Trudno mi podać dokładną liczbę. Wydaje mi się, że aktualnie jest ich piętnaście. Piętnaście gatunków. Wiesz, ile ich jest, Ed?

– Piętnaście, zgadza się. – Ed pokiwał głową.

– Jak to, pan tego nie wie?! – spytał z oburzeniem Ian.

– Przestałem liczyć – uciął Wu. – Ale poza tym musicie państwo zdać sobie sprawę, że czasami wydaje nam się, że wyhodowaliśmy już w pełni prawidłowe zwierzę – w sensie prawidłowości jego DNA, bo to podstawa całej hodowli – i młody dinozaur rośnie przez pół roku, aż tu nagle marnieje i zdycha. Wtedy widzimy, że w jego DNA był jakiś błąd. Na przykład nie zadziałał gen, który powinien stymulować produkcję jakiegoś hormonu. W każdym razie coś jest nie tak z sekwencją genów determinującą rozwój zwierzęcia. Wtedy

dany gatunek wraca na deski kreślarskie, że tak powiem – zażartował. – Był moment, kiedy wydawało mi się, że wyhodowałem ponad dwadzieścia gatunków dinozaurów. Ale obecnie mamy ich tylko piętnaście.

A czy jednym z tych piętnastu gatunków jest... – Malcolm spojrzał na Granta i spytał: – Jak on się nazywa?

– Prokopsognat – odpowiedział Alan.

– Czy wyhodował pan także prokopsognaty... jeśli dobrze wymawiam? – spytał Ian.

– Och, tak. To bardzo charakterystyczne małe stworzenia. Narobiliśmy ich wyjątkowo dużo.

– Tak? A dlaczego?

– Cóż, chcemy, żeby Park Jurajski był jak najbardziej zbliżony do prehistorycznego środowiska naturalnego. W okresie jury żyło mnóstwo prokopsognatów, pełniły funkcję padlinożerców, tak jak dzisiaj szakale. Wyhodowaliśmy więc dużo prokopsognatów, żeby oczyszczały park.

– To sposób na pozbywanie się ciał padłych dinozaurów?

– Owszem. Jednak nie ma ich zbyt dużo, bo w parku żyje tylko dwieście trzydzieści kilka zwierząt. Głównym celem wyhodowania przez nas licznych prokopsognatów nie było usuwanie padliny.

– A czego?

– Hm – Wu chrząknął – na naszej wyspie żyje trochę ogromnych dinozaurów roślinożernych. Specjalnie staraliśmy się nie wyhodować żadnego z największych zauropodów, jednak i tak mamy kilka zwierząt ważących po trzydzieści parę ton. Tych, które ważą od pięciu do dziesięciu ton, jest zaś całkiem sporo. Zwierzęta takich rozmiarów stwarzają dwa problemy. Po pierwsze, trzeba je wykarmić – prawda jest taka, że musimy co dwa tygodnie przywozić na wyspę pożywienie dla nich. Jest fizycznie niemożliwe, żeby na tak niewielkiej wyspie rosło dostatecznie dużo roślin, aby wystarczyć dla wszystkich naszych dinozaurów... Drugim problemem są odchody. Nie wiem, czy widzieliście państwo odchody słonia, ale są naprawdę sporych rozmiarów. Jak stosy piłek do gry w futbol – tłumaczył obrazowo Wu. – A teraz proszę sobie wyobrazić odchody brontozaura, są dziesięć razy większe! Wreszcie pomyślcie państwo o stadzie brontozaurów, bo takie tu mamy. Do tego największe zwierzęta nie trawia pokarmu do końca, więc wydalają ogromne ilości. Wygląda na to, że w ciągu sześćdziesięciu milionów lat, które upłynęły od wymarcia dinozaurów, bakterie specjalizujące się w rozkładach ich odchodów także wyginęły. W każdym razie odchody zauropodów nie rozkładają się tak szybko...

– To rzeczywiście kłopot – zgodził się Ian.

– Oj, mogę pana zapewnić, że tak. – Tym razem Wu się nie uśmiechnął. – Długo głowiliśmy się nad efektywnym rozwiązaniem tego problemu. Być może wiecie, że w Afryce żyje chrząszcz, który żywi się odchodami słoni. Wielu innym gatunkom dużych zwierząt towarzyszą takie, które na drodze ewolucji przystosowały się do żywienia się ich

ekskrementami. Okazuje się, że prokopsognaty chętnie żywią się odchodami dużych roślinożernych dinozaurów i trawia te odchody lepiej. Natomiast odchody prokopsognatów rozkładają się szybko – współczesne bakterie radzą sobie z nimi doskonale. Rozwiązaliśmy nasz problem, kiedy udało nam się wyhodować odpowiednio dużo prokopsognatów.

– To znaczy ile?

– Nie pamiętam dokładnie, ale jeśli się nie mylę, staraliśmy się, żeby było ich pięćdziesiąt. Udało nam się osiągnąć taką czy też prawie taką liczebność ich populacji. Wylęgały się w trzech turach, w półrocznych odstępach.

– Trudno śledzić, gdzie przebywa każde z tych pięćdziesięciu zwierząt... – zauważył Malcolm.

– Właśnie do tego celu mamy sterownię i odpowiednie systemy. Obsługa sterowni pokaże państwu, jak dogłdamy naszych dinozaurów.

– Oczywiście. Ale gdyby któryś z małych prokopsognatów postanowił uciec z wyspy... – drążył Ian.

– Nie mogą uciec.

– Wiem. Ale gdyby jednak któryś uciekł...

– Ma pan na myśli zwierzę znalezione na plaży? – upewnił się doktor Wu, unosząc brwi. – To, które pogryzło małą Amerykankę?

– Owszem. Na przykład.

– Nie wiem, jak wytłumaczyć obecność tego zwierzęcia na plaży – wyznał Wu. – Jednak wiem, że to nie mogło być jedno z naszych, z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na nasze procedury kontrolne: komputery co kilka minut liczą wszystkie dinozaury, duże i małe. Gdyby któregoś brakowało, wiedzielibyśmy o tym natychmiast.

– A jaki jest drugi powód?

– Stały ląd leży ponad sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Pokonanie tej odległości statkiem zajmuje prawie cały dzień, a w świecie zewnętrznym nasze zwierzęta zdechłyby w ciągu mniej niż dwunastu godzin.

– Skąd ta pewność?

– Zadbalem o to. – Doktor Wu zaczął tracić cierpliwość. – Proszę posłuchać, nie jesteśmy idiotami. Zdajemy sobie sprawę, że dinozaury to zwierzęta prehistoryczne. Należały do ekosystemów, których już nie ma. Znikły przed milionami lat. We współczesnym świecie prawdopodobnie nie ma żadnych drapieżników, które byłyby w stanie regulować ich populację. Dlatego nie chcemy, żeby nasze zwierzęta mogły żyć całkiem samodzielnie. Wprowadziłem do ich genotypów zależność od lizyny. Dodałem każdemu z nich gen, który unieczynnia pewien enzym ważny dla metabolizowania białek. Wskutek tego organizmy naszych dinozaurów nie są zdolne do wytwarzania lizyny – to jeden z aminokwasów. Muszą czerpać ją z pożywienia. Dosypujemy im lizynę do karmy, w formie tabletek. Bez bogatego w lizynę pokarmu każde z naszych zwierząt zapadłoby w śpiączkę i zdechło w ciągu dwunastu

godzin. Czyli, krótko mówiąc, zmodyfikowaliśmy te dinozaury genetycznie tak, aby mogły żyć tylko u nas, w Parku Jurajskim. One wcale nie żyją na wolności. Są naszymi więźniami.

* * *

– A oto sterownia parku – powiedział Ed Regis. – Teraz wiedzą już państwo, skąd biorą się nasze dinozaury i zapewne zechcą obejrzeć sterownię, zanim udamy się do parku...

Nagle zawiesił głos – zobaczył przez grubą szybę, że w sterowni jest ciemno. Monitory nie świeciły się, z wyjątkiem trzech. Na dwóch migały jakieś cyfry, a trzeci pokazywał obraz dobijającego do wyspy statku.

– Co się dzieje? – mruknął Ed. – Cholera jasna, akurat cumują...

– Kto cumuje?

– Raz na dwa tygodnie przy pływa statek z zapasami – wyjaśnił Regis. – Nasza wyspa nie ma niestety naturalnego portu ani nawet porządnego nabrzeża. Gdy ocean jest wzburzony, trudno przybić bezpiecznie do brzegu. Zwykle jest to operacja, która trwa ładnych kilka minut. – Zapukał w szklaną ścianę, lecz ludzie przed ekranem nie zwrócili na to uwagi. – Chyba będziemy musieli poczekać...

– Panie doktorze – odezwała się Ellie do Henry'ego Wu – wspomniał pan, że nieraz zdarza się państwu wyhodować z pozoru normalne, zdrowe zwierzę, które jednak po pewnym czasie przestaje prawidłowo się rozwijać...

– Tak, obawiam się, że nie ma na to rady – odrzekł Wu. – Potrafmy duplikować DNA, jednak rozwój żywego organizmu to proces rozłożony w czasie i nie możemy mieć pewności, czy wszystko jest w porządku, dopóki dinozaur nie dorośnie.

– A skąd w ogóle wiadomo, czy wasze dinozaury są normalne? – wtrącił Alan. – Przecież nikt przed wami nigdy takich zwierząt nie widział.

– Nieraz myślę sobie to samo. – Wu uśmiechnął się w zadumie. – To niecodzienny paradoks. Mam nadzieję, że wkrótce paleontolodzy – wśród nich i pan, panie profesorze – będą porównywali nasze zwierzęta ze skamieniałościami i sprawdzali, czy budowa ciał dinozaurów z Parku Jurajskiego jest prawidłowa.

– Powiedział pan, panie doktorze – odezwała się znów Ellie – że ta mała samica welociraptora, którą przed chwilą oglądaliśmy, to *Velociraptor mongoliensis*?

– Bursztyn, z którego pozyskaliśmy DNA użyte do stworzenia jej, pochodzi z Chin.

– To bardzo interesujące – zauważył Alan. – Akurat przerwaliście mi odkopywanie szkieletu bardzo młodego antirrhopusu. Czy macie już dorosłe welociraptory?

– Jak najbardziej. Osiem dorosłych samic – pochwalił się Henry. – Są naprawdę bardzo drapieżne. Polują całym stadem.

– Zobaczymy je w parku?

– Nie... – Nagle doktor Wu stracił rezon. Zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie genetyk spojrzał na Regisa.

– Na razie nie można oglądać ich w parku – odezwał się pogodnym tonem Ed. – Welociraptory nie zostały jeszcze zintegrowane ze środowiskiem. Trzymamy je w zagrodzie.

– Czy będę mógł zobaczyć je tam, gdzie są?

– Hm, oczywiście, panie profesorze. Właściwie, skoro akurat w tej chwili czekamy – Regis spojrzął na zegarek – może obejrzy je pan teraz.

– Bardzo chętnie.

– Ja także chciałabym je zobaczyć – powiedziała Ellie.

– Ja też chcę iść! – wykrzyknął Tim.

– Musicie państwo obejść z tyłu ten budynek, minąć elektrownię i stację pomp, i zobaczycie zagrodę. Tylko proszę, nie podchodźcie zbyt blisko ogrodzenia. Ty też chcesz iść?

– spytał Ed małą Lex.

– Nie. – Dziewczynka przyjrzała mu się uważnie, po czym spytała: – Chce pan pograć ze mną w baseball? Pan będzie rzucał, a ja odbijała.

– Dobra, jasne – zgodził się Regis. – Chodźmy na dół i pobawimy się piłeczką. Zanim otworzą sterownię, minie jakiś czas.

* * *

Alan, Ellie i Ian obchodzili budynek, w którym mieściły się laboratoria, sterownia i recepcja. Dreptał za nimi wnuczek Johna Hammonda. Alan lubił dzieci – trudno, żeby było inaczej, bo to właśnie dzieci z reguły podchodziły do tematu dinozaurów z największym entuzjazmem. Kiedyś obserwował w muzeach dzieciaki, które wpatrywały się z otwartymi buziami w ogromne, górujące nad nimi szkielety. Zastanawiał się, co tak naprawdę oznacza ta dziecięca fascynacja olbrzymimi gadami. Doszedł do wniosku, że dzieci lubią dinozaury, ponieważ są one uosobieniem wielkości, niemożliwej do opanowania siły i potęgi, istotami, nad którymi nie ma się żadnej władzy. Czyli w skrócie – symbolem rodziców. Podobnie jak oni dinozaury fascynują dzieci i budzą ich lęk. Lecz przecież dzieci kochają rodziców. I kochają także dinozaury.

Alan miał również własną teorię na temat tego, dlaczego nieraz nawet małe dzieci uczą się nazw rodzin dinozaurów. Z niesłabnącą fascynacją obserwował trzylatki, które nagle wykrzykiwały na przykład: „Stegozaur!”. Uznał, że wymawianie przez dzieci skomplikowanych nazw olbrzymich zwierząt to demonstrowanie, że jednak ma się nad nimi jakiś rodzaj kontroli.

– Co wiesz o welociraptorach? – zagadnął przyjaźnie jedenastoletniego Tima.

– To małe drapieżniki, polowały stadami – odpowiedział chłopiec. – Tak samo jak deinonychy.

– Dobrze mówisz – pochwalił Alan. – Wiesz, ostatnio deinonychy zalicza się do welociraptorów. Dowody na to, że polowały w stadach, są tylko pośrednie. Po pierwsze, wnioskujemy to z wyglądu tych zwierząt – były szybkie i silne, choć jak na dinozaury nieduże; ważyły tylko od niecałych siedemdziesięciu do jakichś stu trzydziestu kilogramów.

Uznajemy więc, że aby upolować o wiele większe zwierzę, musiały rzucać się na nie całą grupą. Poza tym w paru miejscach znaleziono skamieniałości jednego, dużego, roślinożernego dinozaura w towarzystwie szkieletów kilku welociraptorów. To także sugeruje, że polowały w stadach. Poza tym welociraptory miały duże mózgi i były jednymi z najbardziej inteligentnych dinozaurów.

– Jak bardzo były inteligentne? – zainteresował się Ian Malcolm.

– Różni specjaliści mają na ten temat odmienne zdania. Podobnie jak ostatnio większość paleontologów uznała, że dinozaury były stałocieplne, tak i w sprawie ich inteligencji trwa dyskusja. Jednak niektórzy z nas uważają, iż były bardziej inteligentne, niż dotąd sądziliśmy. Nikt nie ma w tej sprawie całkowitej pewności.

Minęli strefę przeznaczoną dla zwiedzających. W powietrzu narastał szum głośno pracujących generatorów, można było wyczuć zapach benzyny. Za kępą gęsto rosnących palm stał duży, niski, betonowy budynek o stalowym dachu. Hałas najwyraźniej dochodził stamtąd. Zajrzeli do środka.

– Chyba mają tutaj generator – zauważyła Ellie.

– Duży jest... – stwierdził Alan.

Elektrownia parku sięgała dwa piętra poniżej poziomu parteru. Widać było mnóstwo wyjących turbin i biegnące pod ziemią rury. Maszyny skąpane były w jasnym elektrycznym świetle.

– Niemożliwe, żeby hotel i budynek administracji potrzebowały aż tyle prądu – ocenił Ian.

– Taka elektrownia wystarczyłaby do zasilenia sporego miasta.

– Może aż taką moc mają ich komputery?

– Niewykluczone...

Wtedy Alan usłyszał meczenie. Przeszedł parę metrów i zobaczył zagrodę z kozami. Przeliczył je szybko – było ich ponad pięćdziesiąt.

– Po co im kozy? – zdziwiła się Ellie.

– Nie mam pojęcia.

– Pewnie karmią nimi dinozaury – wysunął przypuszczenie Ian.

Szli dalej ścieżką prowadzącą przez gęsty bambusowy zagajnik.

Za nim znajdował się podwójny płot z siatki, wysoki na ponad trzy i pół metra, zwieńczony drutem kolczastym. Słysząc było ciche bzyczenie – płot najwyraźniej był pod napięciem.

Za płotem rosły gęste kępy dużych, mniej więcej półtorametrowej wysokości paproci. Alan usłyszał parsknięcie i jakby sapanie, rozległy się też zadziwiająco głośne kroki.

A potem zapadła cisza.

– Nic nie widzę... – poskarżył się cicho Tim.

– Ćśś...

Alan odczekał jeszcze kilka sekund. Było tak cicho, że słyszało się bzyczenie much. Wciąż nie było widać nic szczególnego.

I wtedy Ellie postukała go w ramię i pokazała palcem jakiś punkt.

Alan zobaczył pomiędzy paprociami łeb zwierzęcia. Stało nieruchomo, przyczajone w gęstwinie. Widać było dwoje dużych czarnych oczu. Patrzyły zimno na ludzi.

Łeb welociraptora był wydłużony – miał jakieś sześćdziesiąt centymetrów długości – paszcza była smukła. Widać było długi szereg nieosłoniętych zębów ciągnący się niemal do samego ujścia przewodu słuchowego – otworu pełniącego funkcję ucha. Łeb kojarzył się trochę z krokodylim czy raczej z powiększoną głową jaszczurki. Zwierzę wciąż stało bez ruchu, nawet nie mrugając. Miało suchą, lekko pomarszczoną, pokrytą brodawkami skórę. Jej ubarwienie było w zasadzie takie samo jak u młodych – żółte i brązowe pasy, podobne do tygrysich, tylko z dodatkiem ciemnoczerwonych plamek.

Wreszcie Alan zobaczył unoszącą się powolutku przednią kończynę zwierzęcia, która odsunęła na bok liście paproci. Pod skórą rysowały się potężne mięśnie. Kończyna zakończona była trzema palcami o dużych zakrzywionych szponach. Wyginała paproć miękkim powolnym ruchem.

Ona szykuje się do skoku, żeby na nas zapolować! – pomyślał Alan i poczuł na plecach zimny dreszcz.

Dla człowieka i innych ssaków widok atakujących gadów jest naprawdę przerażający – poruszają się zupełnie inaczej niż ssaki, sprawiają wrażenie potworów nie z tego świata. To nieruchomieją, to uderzają gwałtownie, rytm ich ruchów jest zaskakujący. Do tego spojrzenie gadów jest skrajnie beznamiętne, zimne. Nic dziwnego, że ludzie ich nie znoszą. Patrząc na aligatory czy inne duże gady, ludzie przenoszą się jakby na chwilę do innej rzeczywistości, na Ziemię przed milionami lat.

Welociraptor nie znał z kolei ludzkich zachowań. Nie wiedział, że jest obserwowany i...

Nagle nastąpił gwałtowny atak, jednocześnie z lewej i z prawej. Szarżujące welociraptory z przerażającą szybkością pokonały dziesięciometrowy dystans dzielący je od wewnętrznego płotu. W oczach Alana mignął rozmażany obraz ich muskularnych, wysokich na dwa metry sylwetek, prostych długich ogonów, dzięki którym zwierzęta utrzymywały równowagę, wreszcie szponiastych przednich kończyn i otwartych paszcz pełnych nierównych zębów.

Atakujące drapieżniki wydawały energiczne syki. Oba skoczyły niemal równocześnie i wtedy Alan zobaczył ich tylne nogi o szponach jak sztylety. Welociraptory uderzyły z impetem w płot, aż z dwóch stron posypały się iskry.

Drapieżne dinozaury odsunęły się, sycząc wściekle. Grupa zafascynowanych ludzi odruchowo zrobiła parę kroków do przodu. Wtedy rozpędził się gwałtownie trzeci welociraptor. Skoczył i trafił w ogrodzenie na wysokości ludzkiej piersi. Tim krzyknął przerażony, gdy sypnęły się na niego iskry. Trzy szybkie potwory podniosły się i odbiegły pomiędzy paprocie, sycząc złowrogo. Pozostała po nich tylko lekka, nieprzyjemna woń rozkładu i kwaśny dym.

– O kurczę! – wykrzyknął Tim.

– Ależ one są szybkie! – skomentowała Ellie.

– Polują w stadzie – stwierdził Alan, kręcąc głową. – Przed atakiem czają się wiedzione instynktem. Fascynujące!

– Nie powiedziałbym, że są szczególnie inteligentne – dodał Ian.

Zza płotu, gdzieś spomiędzy palm, znowu dobiegły przypominające parskanie syki. Spośród liści wychynęło powoli tym razem kilka łbów o długich smukłych paszczach – trzy, cztery, pięć... Alan widział, że drapieżniki uważnie ich obserwują. Patrzyły zimno.

Nadbiegł jakiś czarnoskóry mężczyzna w kombinezonie.

– Nic wam się nie stało?! – zawołał.

– Nie, wszystko w porządku – uspokoił go Alan.

– Uruchomiły nam się alarmy. – Pracownik parku omiótł wzorkiem osmalone, powgniatane odcinki płotu. – Welociraptory was zaatakowały? – upewnił się.

– Tak, trzy.

– Robią to za każdym razem. – Czarny mężczyzna pokiwał głową. – Wpadają na płot, razi je prąd, ale one zachowują się, jakby tego nie zauważały.

– Nie są szczególnie rożgarnięte, prawda? – wtrącił Ian.

Mężczyzna w kombinezonie spojrzał na niego, mrużąc oczy.

– Niech pan się cieszy, *señor*, że zatrzymało je to ogrodzenie – mruknął, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

* * *

Cały atak trwał najwyżej sześć sekund. Alan analizował to, co zobaczył. Przede wszystkim szokowała szybkość welociraptorów. Śmigały w takim tempie, że trudno było wyodrębnić poszczególne ruchy.

Grupa ludzi ruszyła z powrotem do budynku administracji.

– Są niezwykle szybkie – odezwał się Ian.

– Owszem – zgodził się Alan. – Nieporównanie szybsze niż jakiekolwiek spośród współczesnych gadów. Aligatory też wykonują błyskawiczne ruchy, ale są w stanie rzucać się naprzód na odległość nieprzekraczającą dwóch metrów. Duże jaszczurki, na przykład indonezyjskie warany z Komodo, biegają z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, potrafią więc dogonić człowieka – i raz po raz zagryzają kogoś na śmierć. Ale te welociraptory biegły z prędkością około stu kilometrów na godzinę.

– Są szybkie jak gepardy – ocenił Ian. – Sto, nawet i sto piętnaście kilometrów na godzinę.

– Dokładnie.

– A do tego mają błyskawiczny start. Przypominają mi ptaki.

– Zgadza się.

We współczesnym świecie zwierząt tak szybko rozpędzają się tylko bardzo małe ssaki, na przykład mangusty, które potrafią upolować kobrę. I oczywiście ptaki – sekretarze żywiące się głównie węzami, albo kazuary. Zachowanie szybkich jak błyskawice, zabójczych i

złowieszczo patrzących welociraptorów wywołało u Alana skojarzenie właśnie z kazuarami. Te podobne do strusi ptaki, żyjące na Nowej Gwinei, także mają niebezpieczne szpony.

– Można powiedzieć, że welociraptory wyglądają jak gady – mówię o ich skórze czy poszczególnych częściach ciała – kontynuował rozmowę Ian – ale poruszają się jak ptaki. Rozwijają podobną prędkość i są równie dobrymi myśliwymi. Czy tak?

– Owszem – potwierdził Alan. – Moim zdaniem wykazują mieszaninę cech gadzich i ptasich.

– Czy to cię zaskoczyło?

– Niespecjalnie. Dawno temu paleontolodzy uważali podobnie.

Nadnaturalnych rozmiarów kości znajdowano, począwszy od lat dwudziestych i trzydziestych dziewiętnastego wieku. Naukowcy czuli się w obowiązku wyjaśnić ich pochodzenie i początkowo sądzili, że to kości jakichś przerośniętych odmian współcześnie żyjących zwierząt. W tamtych czasach zakładano bowiem, iż żaden gatunek nie może wymrzeć, ponieważ zwierzęta stworzył Bóg i nie pozwoli, aby któreś z uczynionych przez Niego stworzeń wyginęły.

Z czasem stało się jasne, że ta religijna koncepcja nie odpowiada prawdzie i że olbrzymie kości należały do zwierząt, które już na Ziemi nie żyją. Powstało więc pytanie, jak te wymarłe zwierzęta wyglądały.

W 1842 roku czołowy brytyjski anatom Richard Owen nazwał je *dinosauria*, opierając się na greckich słowach „potworny” oraz „jaszczurka”. Zauważył, że dinozaury łączyły w sobie cechy jaszczurek, krokodyli i ptaków. W szczególności ich uda przypominały ptasie, nie jaszczurcze. Poza tym wyglądało na to, że wiele spośród gatunków dinozaurów chodziło tylko na dwóch tylnych kończynach, tak jak ptaki. Owen wyobraził sobie, że dinozaury poruszały się szybko i prowadziły aktywny tryb życia. Jego spojrzenie na te zwierzęta z przeszłości dominowało w nauce przez następne czterdzieści lat.

Później jednak odkopano jeszcze większe kości. Tak gigantyczne, że stworzenia, do których należały, musiały ważyć nawet po sto ton. Wtedy naukowcy zaczęli podejrzewać, że dinozaury były powolnymi i mało inteligentnymi olbrzymami, skazanymi na wymarcie. Z czasem przestano wyobrażać sobie życie dinozaurów jako podobne do życia ruchliwych ptaków nietotów, rozpowszechnił się obraz dinozaura ospałego gada. W ostatnich latach część paleontologów, w tym Alan Grant, zaczęła znowu skłaniać się ku koncepcji, iż dinozaury były zdecydowanie aktywnymi zwierzętami. Wielu kolegów Alana uznawało jego poglądy w tej kwestii za radykalne. Tymczasem stwierdził właśnie, iż rzeczywistość była o wiele bardziej radykalna: drapieżne welociraptory okazały się niezwykle szybkimi stworzeniami.

– Pytam o takie rzeczy, bo ciekaw jestem, czy zwierzęta, które przed chwilą widzieliśmy, cię przekonały – powiedział Ian. – Chodzi mi o to, czy to w ogóle były dinozaury.

– Powiedziałbym, że tak.

– A ten skoordynowany atak...

– Można było tego oczekiwać. – Alan wyjaśnił, że znajdowane skamieniałości pozwalają wysnuć wniosek, iż stadko welociraptorów potrafiło zabić półtonowego dinozaura, w tym na przykład tenontozaura, który umiał biegać równie szybko jak współczesny koń. Do tego potrzebna była oczywiście umiejętność przeprowadzania skoordynowanego ataku.

– Jak się porozumiewały, skoro nie wytworzyły języka? – zastanawiał się Ian.

– Och, do koordynacji polowania nie jest potrzebny język mówiony – wtrąciła Ellie. – Szympansy także polują w grupach na inne małpy, podchodząc je. Porozumiewają się przy tym tylko ruchami oczu.

– Czy te welociraptory rzeczywiście przeprowadziły atak na nas?

– Tak.

– Pozabijałyby nas i zjadły, gdyby nie było płotu? – chciał wiedzieć Malcolm.

– Tak sądzę...

– To ostatnie pytanie zadałem dlatego, że słyszałem, iż duże drapieżniki, na przykład lwy czy tygrysy, w naturalny sposób nie postrzegają człowieka jako pożywienia. Nie myłę się? Podobno muszą najpierw przy jakiejś okazji nauczyć się, że człowieka łatwo zabić. Dopiero kiedy to zapamiętają, stają się śmiertelnie niebezpieczne dla ludzi.

– Rzeczywiście, zdaje się, że to prawda – potwierdził Alan.

– Moim zdaniem te welociraptory nie powinny tak się spieszyć z polowaniem na nas – ocenił Ian. – Przecież pochodzą z czasów, kiedy jeszcze nie było ludzi ani w ogóle żadnych dużych ssaków. Bóg jeden wie, co myślą sobie takie dinozaury na nasz widok. Interesuje mnie jednak, czy te konkretne osobniki zdążyły się nauczyć, że łatwo jest zabić człowieka...

Zapadło nieprzyjemne milczenie.

– Tak czy owak, w tej chwili jestem wprost niezmiernie zainteresowany funkcjonalnością sterowni – podsumował Ian.

WERSJA 4.4

– Czy miałeś jakieś problemy z grupą? – spytał John Hammond.

– Nie – odparł Henry Wu – nie miałem najmniejszych.

– Przyjęli wszystko, co mówiłeś?

– A dlaczego mieliby nie przyjąć? Przecież nie mamy nic do ukrycia, jeśli nie będziemy zagłębiali się w szczegóły. No a w tych rzeczywiście tkwi diabeł. Chciałbym o tym z tobą porozmawiać. Możesz uznać całą sprawę za kwestię smaku.

Stary John zmarszczył nos, jakby poczuł jakiś nieprzyjemny zapach.

– Smaku? – powtórzył.

Stali w salonie eleganckiej willi Hammonda w północnej części wyspy. Rezydencja znajdowała się nieco na uboczu, przysłaniały ją palmy. Salon był wygodny, przestronny i widny. Znajdowało się w nim sześć monitorów, na których widać było żyjące w parku

dinozaury. Henry położył na stoliku dokument oznaczony: HODOWLA ZWIERZĄT – WERSJA 4.4.

John patrzył na niego jak cierpliwy ojciec. Henry miał dopiero trzydzieści trzy lata i pełną świadomość tego, iż Hammond jest jego pierwszym i jak dotąd jedynym pracodawcą. Zatrudnił go, gdy tylko Henry zrobił doktorat.

– Oczywiście to, o czym chcę mówić, ma pewne konsekwencje w praktyce – podjął Henry. – Otóż jestem zdania, że powinieneś rozważyć moje zalecenie dotyczące fazy drugiej. Musimy przejść na wersję cztery-cztery.

– Chcesz zastąpić wszystkie wyhodowane zwierzęta nowymi? – upewnił się John.

– Tak.

– Dlaczego? Czy coś z nimi nie tak?

– Nie, są w porządku. Problem tkwi w tym, że to prawdziwe dinozaury – odparł Wu.

– Poprosiłem cię, żebyś je wyhodował, Henry. I zrobiłeś to – przypomniał z uśmiechem John.

– Wiem. Tylko widzisz... – Henry nie wiedział, jak wyjaśnić sprawę Hammondowi, który bardzo rzadko odwiedzał wyspę. Sytuacja była bardzo złożona i Henry musiał mu ją odpowiednio przedstawić. – Aż do dziś prawie nikt na świecie nie widział żywego dinozaura – zaczął. – Nikt nie wie, jakie one naprawdę są...

– Zgadza się...

– A my mamy tutaj prawdziwe dinozaury. – Henry pokazał kolejne ekrany. – I pod pewnymi względami są one niezadowolające. Nieprzekonujące. Potrafię wyhodować lepsze.

– Pod jakimi względami?

– Po pierwsze, dinozaury za szybko biegają i chodzą. Ludzie nie są przyzwyczajeni do tego, że duże zwierzęta poruszają się tak dynamicznie. Obawiam się, że goście parku będą mieli wrażenie, iż okazy, które chcą obejrzeć, zachowują się jak w przyspieszonym filmie.

– Ale to są właśnie prawdziwe dinozaury, sam to powiedziałeś, Henry.

– Rzeczywiście. Z łatwością moglibyśmy jednak wyhodować powolniejsze, bardziej udomowione.

– Udomowione dinozaury?! – prychnął John. – Nikogo nie interesują udomowione dinozaury. Ludzie chcą zobaczyć autentyczne!

– Właśnie to staram ci się uświadomić: nie sądzę, aby naprawdę tego chcieli. Goście parku będą raczej pragnęli zobaczyć dinozaury odpowiadające ich wyobrażeniom – a to zupełnie inne zwierzęta.

Hammond ściągnął brwi.

– Widzisz, John, powtarzasz, że Park Jurajski ma dostarczać ludziom rozrywki – kontynuował Henry. – Rozrywka nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To wręcz jej antyteza.

– Henry – odpowiedział z westchnieniem John – znowu chcesz mnie wciągnąć w dyskusję na abstrakcyjne tematy? Wiesz, że lubię, kiedy wszystko jest proste. Mamy prawdziwe, realistyczne dinozaury i...

– Dokładnie rzecz biorąc, wcale tak nie jest – przerwał mu Wu. Zaczął nerwowo chodzić po salonie, raz po raz wskazując monitory. – Myślę, że nie powinniśmy się oszukiwać. Nie odtworzyliśmy tutaj przeszłości. Przeszłość minęła. Nie da się jej odtworzyć. To, co zrobiliśmy na tej wyspie, to rekonstrukcja przeszłości, a przynajmniej pewnego jej obrazu. I mówię ci, że możemy zrekonstruować ją w lepszej wersji.

– Lepszej niż taka, jaka była naprawdę?

– Dlaczego nie? Przecież wszystkie nasze zwierzęta już i tak są zmodyfikowane genetycznie. Wprowadziliśmy pewne geny po to, abyśmy mogli opatentować nasze dinozaury i żeby były zależne od dostarczanej z zewnątrz lizyny – tłumaczył Henry. – Zrobiliśmy też wszystko, żeby rosły i rozwijały się, a także by szybciej dorastały.

– Tego nie dało się uniknąć. – John wzruszył ramionami. – Nie mogliśmy przecież czekać tyle czasu. Musimy mieć na uwadze inwestorów.

– Nie przeczę. Ale pytam: dlaczego zakończyć modyfikacje tylko na tym? Dlaczego nie pójść dalej i nie stworzyć dokładnie takich dinozaurów, jakie chcielibyśmy, żeby były. Dinozaurów, które goście parku łatwiej zaakceptują i nad którymi będzie nam łatwiej panować. Bardziej powolnych i łagodniejszych.

– Ale wtedy nasze dinozaury nie byłyby prawdziwe – zauważył John.

– Teraz też nie są prawdziwe. W Parku Jurajskim nie ma nic z rzeczywistości sprzed milionów lat.

Wzruszył bezradnie ramionami. Widział, że nie przekona Hammonda. Stary John nigdy nie interesował się szczegółami technicznymi swojego dzieła, a to właśnie szczegółów dotyczyła dyskusja. Jak mu wytłumaczyć kwestię nieudanych wersji DNA, konieczności łatania dziur w kodzie genetycznym, odgadywania niektórych rzeczy – chyba całkiem celnego, ale jednak odgadywania. Pozyskiwane DNA dinozaurów można porównać ze starymi fotografiami, które się retuszuje. Rezultat bardzo przypomina dawny oryginał, ale oczyszczenie oraz wypełnienie pewnych miejsc wiąże się z...

– Wiesz co, Henry – przerwał bieg myśli Wu Hammond, obejmując go ramieniem. – Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale moim zdaniem po prostu masz pietra. Naprawdę ciężko pracujesz, już ładnych parę lat, i dokonałeś wielkiego dzieła. Wielkiego! Czas wreszcie pokazać je ludziom. Nic dziwnego, że się niepokoisz. Że masz wątpliwości. Jestem jednak przekonany, mój drogi Henry, że cały świat będzie bardzo zadowolony z twoich dinozaurów. Pełen podziwu. – Mówiąc to, Hammond popychał Henry'ego w stronę drzwi.

– Ale John, pamiętasz jak w osiemdziesiątym siódmym zaczęliśmy tworzyć system zabezpieczeń i kontroli nad zwierzętami? – nie ustępował Henry. – Wtedy nie mieliśmy jeszcze żadnych dorosłych dinozaurów, więc przewidzieliśmy, czego będziemy potrzebowali. Zamówiliśmy silne paralizatory, samochody z elektrycznymi ościeniami do poganiania bydła,

wyrzutnie rażących prądem sieci. Wszystko zostało wykonane w specjalnych wersjach, zgodnie z naszymi wymaganiami. Teraz mamy mnóstwo tych wszystkich urządzeń... i wszystkie okazały się zbyt powolne! Musimy wprowadzić jakieś poprawki. Wiesz, że Muldoon domaga się prawdziwego sprzętu wojskowego? Granatników przeciwpancernych i broni kierowanej laserowo.

– Nie mieszajmy w to Muldoona – uciął Hammond. – Ja nie niepokoję się tak jak on. To tylko zoo.

Zadzwonił telefon i John odszedł, żeby odebrać. Henry zastanawiał się nad innym sposobem przekonania Hammonda do swoich racji. Jednak teraz, kiedy po pięciu latach intensywnych prac Park Jurajski był prawie gotowy, John Hammond nie liczył się już ze zdaniem Henry'ego Wu.

* * *

Dawniej słuchał go bardzo uważnie. Szczególnie wtedy, gdy właśnie go zatrudnił. Henry Wu miał dwadzieścia osiem lat i obronił doktorat na Uniwersytecie Stanforda, jego promotorem był Norman Atherton.

Śmierć profesora Athertona sprawiła, że wszyscy, którzy pracowali w jego laboratorium, stracili nie tylko bliską osobę, ale także promotora i popiecznika. Nikt nie wiedział, co będzie dalej z finansowaniem laboratorium ani z przewodami doktorskimi. W laboratorium zapanowała niepewność, ludzie martwili się, co stanie się z ich karierami.

Dwa tygodnie po pogrzebie na uczelni pojawił się John Hammond. Przyjechał specjalnie, żeby spotkać się z Henrym Wu. Całe laboratorium wiedziało, że profesor utrzymywał znajomość z Hammondem, chociaż nikt nie znał szczegółów. Henry do końca życia nie zapomni bezpośredniości, z jaką zwrócił się do niego John Hammond.

– Norman zawsze powtarzał, że jesteś najlepszym genetykiem w jego laboratorium – oznajmił Hammond. – Jakie masz teraz plany?

– Nie wiem. Będę zajmował się pracą naukową.

– To znaczy, że chcesz dostać posadę na uniwersytecie?

– Tak.

– To błąd. Przynajmniej, jeśli naprawdę szanujesz swój talent. – Ze słów starszego pana biła wielka energia.

– Dlaczego? – zdumiał się Henry, mrugając szybko.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – ciągnął John. – Uniwersytety nie skupiają już największych umysłów kraju. Sama ta myśl jest niedorzeczna. Wyższe uczelnie to przechowalnia, w której niewiele się dzieje. Nie rób takiej zdziwionej miny. Wiesz dobrze, o czym mówię. Od czasu drugiej wojny światowej wszystkich naprawdę ważnych odkryć dokonano w laboratoriach prywatnych. Czy mowa o laserze, czy o tranzystorze, czy też o szczepionce przeciw chorobie Heinego-Medina, o układach scalonych, hologramach, komputerach osobistych, badaniach za pomocą rezonansu magnetycznego czy tomografii

komputerowej, i tak dalej i dalej. Uniwersytety po prostu przestały być miejscem, gdzie dzieją się istotne rzeczy. Stało się to już czterdzieści lat temu. Jeśli marzysz o dokonaniu czegoś ważnego w dziedzinie badań komputerowych czy genetyki, nie zostawaj na uczelni. Dobry Boże, nie!

Młodemu Henry'emu odjęło mowę.

– Czy ty masz pojęcie, przez co trzeba tu przejść, żeby rozpocząć nowy program badawczy? – rozprawiał Hammond. – Ile podań o granty musisz napisać, ile formularzy wypełnić, ile osób i gremiów musi kolejno wyrazić zgodę na najrozmaitsze rzeczy? Rada naukowa. Dziekan. Dział finansowy. A jeśli będziesz potrzebował większego laboratorium, co zrobisz? A może niezbędne okaże się zatrudnienie większej liczby asystentów? Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele to wszystko wymaga zachodu i jak długo się ciągnie? Naprawdę zdolny człowiek nie może sobie pozwolić na marnowanie cennego czasu na wypisywanie jakichś formularzy i czekanie na wyroki różnych rad. Życie jest na to za krótkie, a helisa DNA zbyt długa. Jeżeli chcesz pozostawić po sobie ślad w nauce, naprawdę czegoś dokonać, trzymaj się jak najdalej od uczelni.

W tamtych czasach Henry bardzo pragnął dokonać czegoś wielkiego. I spotkał Johna Hammonda. John z łatwością pozyskał młodego, wybitnego doktora.

– Mówię o prawdziwej pracy – ciągnął wówczas John – i o prawdziwych osiągnięciach. Co potrzebne jest naukowcowi do pracy? Przede wszystkim czas i pieniądze. Oferuję ci pięcioletni kontrakt i fundusze wysokości dziesięciu milionów dolarów rocznie. Razem pięćdziesiąt milionów dolarów. I nie będę ci mówił, jak masz je wydawać. O tym zdecydujesz ty. Wszyscy inni będą ci musieli ustępować.

Propozycja wydawała się zbyt piękna, aby była prawdziwa. Henry milczał przez dłuższą chwilę.

– Co będę musiał robić w zamian? – zapytał w końcu.

– Będziesz musiał zmierzyć się z niemożliwym. Spróbować dokonać czegoś, czego prawdopodobnie nie da się dokonać.

– O co konkretnie chodzi?

– Nie mogę w tej chwili zdradzić ci szczegółów, ale najogólniej mówiąc, cały zamysł wiąże się z klonowaniem gadów.

– Uważam, że to możliwe – odparł natychmiast Henry. – Gady są mniej skomplikowane niż ludzie. Od klonowania gadów dzieli nas prawdopodobnie dziesięć do piętnastu lat. Jeśli założymy, że w tym czasie genetyka poczyni znaczące postępy.

– Ja dysponuję tylko pięcioma latami – zastrzegł Hammond. – Oraz mnóstwem pieniędzy dla kogoś, kto odważy się natychmiast poświęcić próbom dokonania przełomu, o którym rozmawiamy.

– Czy będzie mi wolno opublikować wyniki moich badań?

– Po jakimś czasie.

– To znaczy nie na bieżąco?

– Nie.

– Ale kiedyś będę mógł to zrobić? – Henry nie chciał rezygnować z możliwości publikacji swojego przyszłego dzieła.

– Nie martw się – odparł w końcu ze śmiechem starszy pan. – Zapewniam cię, że jeśli ci się uda, o twoim sukcesie dowie się cały świat. Obiecuję ci to.

* * *

Rzeczywiście, w tej chwili wygląda na to, że cały świat usłyszy o moich dokonaniach, myślał Henry. Po pięciu latach nieprzerwanych wysiłków od otwarcia Parku Jurajskiego dla szerokiej publiczności dzieli ich zaledwie rok. Oczywiście podczas ostatnich pięciu lat nie wszystko przebiegało tak, jak obiecywał John Hammond. Zdarzało się, że mówiono Henry'emu, co ma robić, i wielokrotnie wywierano na niego ogromną presję, zmuszając do takiej a nie innej pracy. Sama praca także okazała się nie do końca zgodna z obietnicami. Nie dotyczyła nawet klonowania gadów, odkąd zrozumiano, że dinozaury są aż tak bardzo podobne do ptaków. Klonowanie ptaków to nie to samo, co klonowanie gadów – to pierwsze jest bowiem dużo trudniejsze. A przez ostatnie dwa lata Henry zajmował się głównie nadzorowaniem kilku zespołów naukowców oraz zestawu sterowanych komputerowo sekwencjonerów DNA. Nie był człowiekiem lubiącym zarządzać innymi. Nie na to liczył.

Niezależnie od tego odniósł sukces. Dokonał czegoś, co właściwie wszyscy uważali za niemożliwe, a przynajmniej niemożliwe do osiągnięcia w tak krótkim czasie. Henry uważał, że ponieważ zdobył ogromną wiedzę i doświadczenie i dokonał wielkiego dzieła, powinien mieć coś do powiedzenia na temat dalszego biegu spraw, że jego słowo powinno coś znaczyć. Tymczasem czuł, że jego wpływy z każdym dniem maleją. Żywe dinozaury już biegają. Procedury ich klonowania i hodowli zostały na tyle dopracowane, że można zacząć uważać je za rutynowe. John Hammond nie potrzebuje już Henry'ego Wu.

– To powinno załatwić sprawę – mówił do słuchawki Hammond. Słuchał przez chwilę rozmówcy, uśmiechając się jednocześnie do Henry'ego. – Dobrze. Tak, doskonale. – Rozłączył się. – O czym rozmawialiśmy, Henry?

– O fazie drugiej.

– Ach, rzeczywiście. Dyskutowaliśmy już o tym...

– Tak, ale nie wie pan...

– Przepraszam cię, ale wiem, Henry – prychnął John zniecierpliwiony. – Muszę ci otwarcie powiedzieć, że nie widzę powodu, aby ulepszać rzeczywistość. Wszystkie zmiany w genomach dinozaurów, jakich dotąd dokonaliśmy, wymusiło na nas prawo czy też innego rodzaju konieczności. Być może w przyszłości wprowadzimy jeszcze inne modyfikacje genetyczne, na przykład zwiększając odporność dinozaurów na choroby. Nie uważam jednak, że powinniśmy ulepszać zwierzęta w stosunku do tego, jakie naprawdę były, bo takie mamy widzimy się. W tej chwili w Parku Jurajskim żyją prawdziwe dinozaury. I właśnie to chcieliby

oglądać ludzie. Dokładnie takie powinny być. Prawdziwe. To nasz obowiązek, Henry. Wymaga tego uczciwość.

Stary John otworzył z uśmiechem drzwi, w ten sposób wypraszając Henry'ego z salonu.

STEROWNIA

Alan omiółł wzrokiem liczne monitory w pograżonym w półmroku pomieszczeniu. Czuł lekkie rozdrażnienie, bo nie przepadał za komputerami. Wiedział, że uważają go przez to za człowieka starej daty, ale nie dbał o to. Niektórzy z jego studentów mieli prawdziwy talent do komputerów, intuicję, której w tej dziedzinie Alan dotąd w sobie nie odkrył. Dla niego komputery pozostawały obcymi tajemniczymi maszynami. Trudności sprawiało mu nawet zrozumienie elementarnej różnicy między systemem operacyjnym i aplikacją. Nie pojmował świata komputerów i gubił się już na samym początku.

Spostrzegł, że Donald Gennaro czuje się w obecności komputerów komfortowo, Ian Malcolm zaś – jak ryba w wodzie. Komputery były jego naturalnym środowiskiem, najwyraźniej pojmował wszystko w lot.

– Chcecie poznać nasze systemy monitorowania zwierząt? – upewnił się John Arnold, obracając się wraz z fotelem. Arnold, naczelny inżynier Parku Jurajskiego, był chudym czterdziestopięcioletkiem. Odpalał papierosa od papierosa i sprawiał wrażenie nerwowego. – Są po prostu niesamowite! – wykrzyknął, po czym zapalił kolejnego papierosa.

– A konkretnie? – chciał wiedzieć Donald.

– Konkretnie pokażę wam, jak śledzimy nasze zwierzęta – odparł Arnold. – Wcisnął przycisk i na szklanej mapie pojawił się układ nierównych niebieskich linii. – To nasz młody tyranozaur – wyjaśnił. – Widzicie trasę, którą pokonał w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. – Wcisnął przycisk jeszcze raz. – A teraz poprzednich... I jeszcze poprzednich.

Mapa była teraz pełna kłębiących się linii, wyglądała, jakby pomazało ją dziecko. Młody tyranozaur poruszał się jednak tylko w określonym rejonie wyspy, niedaleko południowo-wschodniego krańca laguny.

– Z upływem czasu można zobaczyć, jakie mniej więcej terytorium uznaje za swoje – tłumaczył Arnold. – To młode, więc trzyma się blisko wody. I z daleka od dorosłego tyranozaura. Kiedy wyświetlamy trajektorie ruchów dużego i małego tyranozaura, widzimy, że ich ścieżki nigdy się nie przecinają.

– Gdzie jest w tej chwili ten duży? – zainteresował się Gennaro.

Inżynier wcisnął inny przycisk. Niebieskie linie na mapie znikły, zastąpiła je pojedyncza czerwona kropka i towarzyszący jej kod. Znajdowała się na północny wschód od laguny.

– O, tutaj – odrzekł John Arnold.

– A mały tyranozaur? – dopytywał się Donald.

– Pokażę wam aktualne położenie wszystkich dinozaurów w parku. – Na mapie rozbłysły różnokolorowe światełka, jak lampki na choince. Były ich dziesiątki, a każda oznaczona kodem. – Widzicie teraz każde z dwustu trzydziestu ośmiu zwierząt, które w tej chwili mamy.

– Jaka jest dokładność pomiaru?

– Półtora metra. – Arnold zaciągnął się papierosem. – Gdy jedzie się samochodem, za każdym razem odnajduje się poszczególne zwierzęta tam, gdzie pokazują komputery.

– Jak często uaktualniana jest ta mapa?

– Co trzydzieści sekund.

– Niezłe – pochwalił Gennaro. – Jestem pod wrażeniem. Jak to robicie?

– Rozmieściliśmy na obszarze całego parku czujniki ruchu. Większość z nich łączy ze sterownią kable, niektóre przesyłają dane drogą radiową. Oczywiście czujniki ruchu najczęściej nie wystarczają do określenia gatunku zwierzęcia, jednak komputer rozpoznaje je w czasie rzeczywistym na podstawie obrazów z kamer – nie musimy nawet patrzeć na monitory. System sam kontroluje położenie każdego dinozaura.

– Czy system kiedykolwiek się myli?

– Błędy zdarzają się tylko w przypadku niedawno wyklutych zwierząt. Czasami komputery mylą ich gatunki, bo ich obraz na monitorach jest malutki. Nie mamy z tym jednak większego problemu. Małe dinozaury zwykle trzymają się blisko stad dorosłych osobników. Poza tym system liczy zwierzęta poszczególnych gatunków.

– Jak to wygląda?

– Co piętnaście minut system sumuje liczbę zwierząt każdego gatunku i porównuje z założoną. Proszę zobaczyć.

Liczba wszystkich zwierząt		238	
Gatunek	Oczekiwana liczba	Znaleziono	Wersja
Tyranozaury	2	2	4.1
Majazaury	21	21	3.3
Stegozaury	4	4	3.9
Triceratopsy	8	8	3.1
Prokompsognaty	49	49	3.9
Otnielie	16	16	3.1
Welociraptory	8	8	3.0
Apatozaury	17	17	3.1
Hadrozaury	11	11	3.1
Dilofozaury	7	7	4.3
Pterozauury	6	6	4.3
Hipsylofodonty	33	33	2.9
Euoplocefale	16	16	4.0
Styrakozauury	18	18	3.9
Mikroceratusy	22	22	4.1
Suma	238	238	

– Co więcej – opowiadał Arnold – liczba poszczególnych dinozaurów nie jest określana na podstawie trajektorii ich ruchu. Procedura liczenia przebiega niezależnie. Takie było nasze założenie. System nie może popełnić błędu, ponieważ porównuje dane pozyskiwane na dwa różne sposoby. Gdyby któregoś osobnika brakowało, wiedzielibyśmy o tym w ciągu pięciu minut.

– Rozumiem. Czy takie zdarzenie zostało kiedykolwiek przetestowane? – spytał Ian Malcolm.

– Tak, w pewnym sensie... Kilka dinozaurów zdechło. Jedna otnielia zaplątała się w gałęzie drzewa i się udusiła. Zdechł też stegozaur, na tę chorobę jelit, która im dokucza. Innym razem hipsylofodont spadł ze skały i złamał szyję. W każdym przypadku, kiedy tylko zwierzę przestawało się poruszać, liczby zaczynały się nie zgadzać i system nas o tym powiadamiał.

– W ciągu pięciu minut?

– Tak.

– A co oznacza ta kolumna po prawej? – zainteresował się Alan.

– To wersje poszczególnych gatunków zwierząt. Najnowsze to wersja cztery-jeden i cztery-trzy. Rozważamy przejście na wersję cztery-cztery.

– Numerujecie wersje? To znaczy, chodzi o coś takiego jak z oprogramowaniem?

– Cóż, zgadza się. W pewnym sensie nasze podejście do dinozaurów jest takie jak do oprogramowania – przyznał John Arnold. – W miarę jak odkrywamy niedoskonałości kodu genetycznego, laboratorium doktora Wu jest zmuszone opracowywać nowe wersje zwierząt.

Idea, że zwierzęta można oznaczać numerami wersji, tak samo jak programy komputerowe, wzbudziła w Alanie nieokreślony niepokój. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale coś mu się zdecydowanie nie podobało. Przecież chodzi o żywe istoty...

Inżynier Arnold musiał zauważyć minę Alana, ponieważ powiedział:

– Panie profesorze, nie ma sensu zachwycać się tymi zwierzętami. Musimy wszyscy pamiętać, że zostały stworzone przez nas. Czasami zawierają w sobie błędy, więc po wykryciu błędu trzeba stworzyć poprawioną wersję dinozaura. Musimy oczywiście odnotowywać, która wersja danego gatunku aktualnie biega po parku.

– Jasne, że tak – odezwał się lekko zniecierpliwiony Ian. – Chciałbym wrócić do kwestii liczenia. Rozumiem, że także dokonywane jest na podstawie czujników ruchu?

– Tak.

– Czy zasięg czujników na pewno obejmuje cały park?

– Dziewięćdziesiąt dwa procent powierzchni wyspy, tego, co wystaje nad wodę – poinformował Arnold. – W kilku miejscach nie da się z nich korzystać. Na przykład nie wyczuwają prawidłowo tego, co dzieje się na powierzchni przepływającej przez dżungłę rzeki, z powodu ruchu wody oraz konwekcyjnych ruchów powietrza nad nią. Poza tym obejmują zasięgiem niemal wszystko. Jeśli któreś ze zwierząt wyjdzie poza sferę śledzoną

przez czujniki, system odnotuje to i będzie czekał na jego powrót. Jeśli dinozaur nie wróci, szybko uruchomi się alarm.

– Dobrze. System pokazuje, że macie czterdzieści dziewięć prokompsoognatów. Załóżmy, że podejrzewam, iż niektóre z nich to w rzeczywistości wcale nie prokompsoognaty, ale inne zwierzęta. Czy potrafi pan wykazać, że się mylę? – chciał wiedzieć Malcolm.

– Tak, i to na dwa sposoby. Po pierwsze, mogę śledzić ruchy wybranego zwierzęcia względem pozostałych. Prokompsoognaty przemieszczają się stadami. Mamy je w parku dwa. Wszystkie osobniki powinny znajdować się w obrębie stada A lub stada B.

– Zgoda, ale jednak...

– Drugi sposób to obserwacja wzrokowa za pośrednictwem kamer. – Arnold wcisnął kilka guzików i a jednym z monitorów zaczęły przeskakiwać obrazy kolejnych prokompsoognatów ponumerowanych od 1 do 49.

– Czy to zdjęcia?

– Tak, ale najnowsze. Zrobione najwyżej pięć minut temu.

– Czy to znaczy, że może pan oglądać wszystkie dinozaury, kiedy tylko pan chce?

– Owszem. W dowolnej chwili mogę zobaczyć po kolei na monitorze każdego dinozaura.

– A jak pilnujecie, żeby żaden dinozaur nie wydostał się z przeznaczonego dla niego obszaru? – chciał wiedzieć Gennaro. – Czy to może się zdarzyć?

– Absolutnie nie, proszę pana – zapewnił Arnold. – To bardzo drogie zwierzęta i dobrze ich pilnujemy. Każdy obszar jest otoczony więcej niż jedną barierą, która odgradza go od reszty wyspy. Po pierwsze, są fosy. – Wcisnął przycisk i na mapie rozbłysła sieć grubych pomarańczowych linii. – Najpłytsze z nich mają po cztery metry głębokości, poza tym jest w nich woda. W przypadku większych dinozaurów fosy są głębokie nawet na dziesięć metrów. Dalej mamy ogrodzenia pod napięciem. – Na tablicy pojawiły się jasnoczerwone linie. – W sumie jest na wyspie osiemdziesiąt kilometrów podłączonych do prądu płotów, mają po trzy i pół metra wysokości. Z tego trzydzieści pięć kilometrów to dodatkowy płot okalający całą wyspę. Napięcie na każdym płocie wynosi dziesięć tysięcy woltów – zwierzęta szybko się uczą, że nie należy zbliżać się do ogrodzenia...

– A gdyby któreś jednak wydostało się na zewnątrz? – nie ustępował Gennaro.

Arnold tylko parsknął i ze złością zgasił papierosa.

– Pytam tylko hipotetycznie – próbował załagodzić sytuację Gennaro. – Wyobraźmy sobie, że to się zdarzyło. Co wtedy?

– Wtedy sprowadzilibyśmy zwierza z powrotem na miejsce – odezwał się Muldoon, chrząkając. – Mamy silne paralizatory, sieci elektryczne, pociski usypiające. Wszystko to broń, która nie zabija, bo jak mówił pan Arnold, dinozaury są bardzo drogie.

Donald pokiwał głową.

– A gdyby jeden wydostał się poza wyspę?

– Zdechnie w ciągu niecałych dwunastu godzin – uspokoił go Arnold. – Nasze dinozaury są zmodyfikowane genetycznie. Nie mogą żyć na wolności.

– Chciałbym jeszcze zapytać o cały ten system kontroli, który nam pan pokazuje – powiedział Gennaro. – Czy ktoś mógłby dobrać się do niego i coś zmajsztrować?

– Nie, to odporny system. – Arnold pokręcił głową. – Serwer jest niezależny od wszystkiego, ma własne zasilanie główne i awaryjne. Nasz system nie ma połączenia z siecią poza wyspą, więc nie da się ingerować w niego z zewnątrz. Jest naprawdę bardzo bezpieczny.

Zapadło milczenie. Arnold zaciągnął się papierosem.

– To kawał systemu – dodał. – Porządna robota.

– To znaczy, że system funkcjonuje tak dobrze, że nie macie najmniejszych problemów? – odezwał się znowu Ian.

– Problemów mamy co niemiara, przez cały czas – odparł inżynier, unosząc brwi. – Ale nie takie, o jakie się martwicie. Wyobrażam sobie, że niepokoiacie się o to, że dinozaury nam uciekną, przedostaną się na kontynent i narobią bigosu. O to w ogóle się nie martwimy. Te zwierzaki są za delikatne, łatwo zdychają. Nie było ich sześćdziesiąt pięć milionów lat i nagle je odtworzyliśmy, no i znalazły się w zupełnie innym świecie niż ten z ich epoki. W tamtym radziły sobie doskonale. A tu musimy się namęczyć, żeby żyły i dobrze się czuły... Niech państwo pamiętają, że normalne ssaki czy gady ludzie trzymają w ogrodach zoologicznych już od setek lat, więc zdążyliśmy nabrać doświadczenia w opiece nad słońmi czy krokodylami. Dinozaura nikt jeszcze nigdy nie hodował, więc działamy trochę na ślepo. Najwięcej kłopotów mamy ze zdrowiem naszych zwierząt. Chorują.

– Chorują? – zaniepokoił się Gennaro. – A gdyby tak ktoś z gości parku zaraził się...

Arnold parsknął niecierpliwie.

– Zaraził się pan kiedyś grypą od aligatora? W żadnym zoo nie ma takiego problemu. I w naszym też nie. Martwimy się za to poważnie o zwierzęta. Musimy pilnować, żeby nie zdychały i nie zarażały innych osobników. Mamy przynajmniej programy, które śledzą i to. Chce pan obejrzeć na przykład kartę zdrowia dorosłego tyranozaura? Wykaz szczepionek, które dostał; albo zabiegów dentystycznych? To jest dopiero coś – powinniście zobaczyć, jak weterynarze czyszczą mu te wielkie kły, żeby nie dostał próchnicy.

– Może później – uciął Gennaro. – Na razie niech pan opowie nam jeszcze coś o urządzeniach mechanicznych parku.

– To znaczy o kolejkach?

„Kolejkach”?! Na dźwięk tego słowa Alan podniósł wzrok.

– Na razie jeszcze nie działają – wyjaśnił inżynier. – Ale mamy „Rejs rzeką przez dżunglę” – są to łódki ciągnięte na linie po zanurzonych pod wodą torach. Mamy też „Jazdę kolejką górską wśród pterozaurów”, ale ta trasa też jest nieczynna. Gdy otworzymy park, na początku będzie tylko trasa podstawowa – oglądanie dinozaurów. Zaraz sami odbędziecie państwo tę wycieczkę. Kolejki uruchomimy w ciągu mniej więcej pół roku do roku od otwarcia.

– Jak to? Tu mają być kolejki górskie jak w parku rozrywki? – zdziwił się Alan.

– To będzie zoologiczny park rozrywki. Rozrywką będą wycieczki po poszczególnych częściach parku, roboczo nazwaliśmy je kolejkami, i tyle.

Alan ściągnął brwi. Znowu poczuł się nieswojo. Nie podobała mu się idea dinozaurów jako atrakcji w parku rozrywki.

– Czy z tego pomieszczenia możecie sterować całym Parkiem Jurajskim? – dopytywał się Ian.

– Możemy. Gdybym musiał, mogę to robić sam – chwalił urządzenia Arnold. – Wszystko jest tu zautomatyzowane. Komputer sam śledzi zwierzęta, sam potrafi je karmić i uzupełniać im wodę w korytach. Można pozostawić go bez nadzoru nawet na czterdzieści osiem godzin.

– I cały ten system komputerowy zaprojektował pan Nedry? – spytał Malcolm.

Nedry siedział w tym czasie przy jednym ze stanowisk i stukał w klawiaturę, zjadając baton czekoladowy.

– Owszem – odezwał się, nie odrywając wzroku od monitora.

– To naprawdę piękny system! – oznajmił z dumą Arnold.

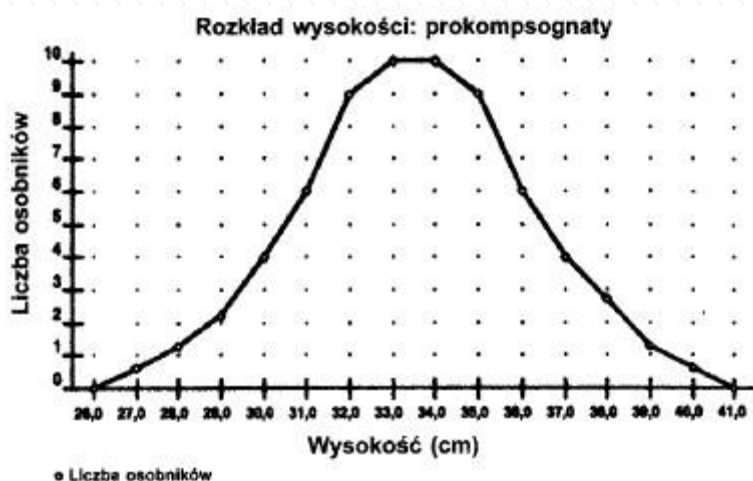
– Jest niezły – zgodził się Dennis trochę nieobecny. – Trzeba tylko poprawić w nim kilka drobiazgów.

– Proszę państwa, z tego co wiem, zaraz zaczynacie objazd wyspy – przypomniał inżynier.

– Jeżeli nie macie więcej pytań, to...

– Mam jeszcze jedno, ostatnie – przerwał mu Ian. – Czysto naukowe. Pokazał nam pan, jak śledzone są prokompsoognaty i że można zobaczyć każdego na monitorze. A czy da się uzyskać jakieś przekrojowe dane na ich temat, jako zbioru? Sprawdzić ich wymiary czy jakiegokolwiek inne cechy? Wysokość, ciężar czy...

Arnold postukał w klawiaturę i na monitorze pojawił się wykres:



– Wszystko, o czym pan mówi, możemy zobaczyć, i to bardzo szybko. W trakcie analizy obrazów z kamer komputer odnotowuje wymiary zwierząt i błyskawicznie obrabia dane. Jak państwo widzą, cechy populacji zwierząt charakteryzuje zwykły rozkład Poissona¹. Większość zwierząt ma – w tym przypadku wysokość – w okolicach średniej, a wyjątkowo dużych i wyjątkowo małych jest znacznie mniej.

- Nic zaskakującego – skwitował Malcolm.
- Nic. Każda zdrowa populacja osobników dowolnego gatunku w środowisku przyrodniczym wykazuje zróżnicowanie zgodne z rozkładem normalnym – potwierdził Arnold. – No dobrze – zapalił kolejnego papierosa – czy są jeszcze jakieś pytania?
- Ja nie mam – odpowiedział Ian. – Dowiedziałem się już wszystkiego, co było mi potrzebne.
- Goście wyszli ze sterowni.
- System wygląda na bardzo dobry – odezwał się do Malcolma Gennaro. – Nie wydaje mi się, żeby którekolwiek zwierzę miało szansę wydostania się z wyspy.
- Naprawdę? – zdziwił się Ian. – Myślałem, że to oczywiste, iż tak się stało.
- Jak to? Sądzi pan, że jakieś dinozaury uciekły? – Donald był przerażony.
- Wiem o tym.
- Ale w jaki sposób? Sam pan widział, że oni potrafią policzyć wszystkie, obserwują je. Przez cały czas kontrolują położenie każdego dinozaura. Niby jak miałyby uciec?
- Dla mnie to oczywiste – zapewnił z uśmiechem Malcolm. – To po prostu kwestia założeń.
- Założeń? – Gennaro ściągnął brwi.
- Owszem. Proszę posłuchać: Park Jurajski to w uproszczeniu zrealizowana przez naukowców i wykonawców próba stworzenia nowego, kompletnego środowiska biologicznego. Obsługa sterowni spodziewa się, że będzie obserwowała na ekranach zjawiska charakterystyczne dla dzikiej przyrody. Na przykład to, co widzieliśmy na pokazanym nam na końcu wykresie. Jeśli się nad tym choć chwilę zastanowić, ta ładnie układająca się krzywa rozkładu normalnego jest w przypadku tej konkretnej wyspy nadzwyczaj niepokojąca.
- Dlaczego?
- Na podstawie tego, co opowiedział nam wcześniej doktor Wu, na monitorach nie powinny się pojawiać wykresy o takim kształcie.
- Dlaczego? – chciał wiedzieć Donald.
- Dlatego, że taki typ wykresu charakteryzuje populację organizmów żyjących w środowisku naturalnym, którym Park Jurajski nie jest. To nie normalny świat, ale w założeniu kontrolowana imitacja świata naturalnego. To jest park zaplanowany precyzyjnie niczym japoński ogród. Na tej wyspie tak manipulowano środowiskiem biologicznym, żeby wydawało się bardziej naturalne niż sama natura.
- Obawiam się, że nie rozumiem – stwierdził ze złością Gennaro.
- Jestem pewny, że podczas objazdu wyspy zrozumie pan, o co mi chodzi.
- 1 Rozkład Poissona – rozkład dyskretny przedstawiający liczbę wystąpień zjawiska w czasie, w określonej liczbie prób, jeśli wystąpienia te są niezależne od siebie.

WYCIECZKA

– Uwaga, tędy proszę! – krzyknął Ed Regis. Kobieta stojąca obok niego rozdawała wszystkim korkowe hełmy. Miały tasemki z napisem „Park Jurajski” i małym niebieskim logo przedstawiającym dinozaura.

Z podziemnego garażu koło głównego budynku wyjechał szereg terenowych toyot land cruiserów. Nie miały kierowców i nie było słychać warkotu silników. Samochody podjeżdżały kolejno, sunąc cicho. Dwaj czarnoskórzy mężczyźni w strojach safari otwierali gościom drzwi.

– Proszę zajmować miejsca, od dwojga do czworga pasażerów w samochodzie – mówił nagrany głos. – Dzieciom poniżej dziesięciu lat musi towarzyszyć dorosły opiekun. Proszę zajmować miejsca, od dwojga...

Alan, Ellie, Ian i Donald Gennaro wsiedli do pierwszej toyoty. Tim popatrzył na nich, potem zerknął na siostrę. Lex uderzała piąstką o rękawicę baseballową.

– Czy mogę jechać z nimi? – spytał, pokazując prawie pełny samochód.

– Obawiam się, że ci państwo mają do omówienia pewne sprawy – odpowiedział Ed. – Techniczne.

– Interesuję się techniką – zapewnił Tim. – Chciałbym jechać z nimi.

– Będiesz mógł słuchać, co mówią – zdecydował Regis. – Uruchomimy połączenie radiowe między ich samochodem a naszym.

Podjechała druga toyota. Tim, Lex i Ed wsiedli do środka.

– To samochody elektryczne – wyjaśnił Regis. – Sterowane za pomocą ciągnącego się wzdłuż ich trasy podziemnego przewodu.

Tim ucieszył się, że usiadł z przodu, bo na tablicy rozdzielczej były dwa monitory i coś, co wyglądało jak czytnik CD-ROM. Był też radiotelefon i chyba nadajnik. Z dachu toyoty sterczały dwie anteny. W schowku pod tablicą leżały jakieś dziwne okulary.

Czarnoskórzy mężczyźni zamknęli drzwi i samochód ruszył z cichym szumem. Troje naukowców w samochodzie z przodu i pan Gennaro dyskutowali zawzięcie, wymachując rękami.

– Posłuchajmy, co mówią – mruknął pan Regis i włączył radio.

– Czy pan w ogóle wie, po co pan tu przyjechał?! – To był głos Donalda Gennaro, bardzo rozzłoszczonego.

– Doskonale wiem, po co tu jestem – odparł Ian.

– Przyleciał pan tu, żeby mądrze mi doradzić, a nie bawić się ze mną w zagadki logiczne! Jestem współwłaścicielem pięciu procent tej firmy i czuję się w obowiązku zadbać o to, żeby pan Hammond postępował odpowiedzialnie. A pan przyjeżdża i...

– Zgodnie z polityką ochrony środowiska Parku Jurajskiego – przerwał mu Ed, wciskając guzik interkomu – nasze samochody to elektryczna i lżejsza wersja toyoty land cruisera skonstruowana specjalnie dla nas w Osace. W przyszłości mamy nadzieję jeździć nimi wśród

zwierząt – tak jak robi się w afrykańskich parkach narodowych. Na razie jednak proszę rozsiąść się wygodnie i cieszyć wycieczką, podczas gdy samochody będą prowadzić się same... Dodam, że słychać państwa tutaj, z tyłu.

– Jezus Maria – jęknął Gennaro – muszę mieć możliwość swobodnej rozmowy! Nie prosiłem o przyjazd tych cholernych dzieci...

– Może jednak rozpoczniemy naszą automatycznie kierowaną wycieczkę? – uciął Ed, uśmiechając się nerwowo. Wcisnął przycisk i rozległy się fanfary, a na monitorach pojawił się napis WITAMY W PARKU JURAJSKIM! Następnie z głośnika popłynął dźwięczny męski głos: „Witamy w Parku Jurajskim! Wkraczacie państwo właśnie w zaginiony prehistoryczny świat z przeszłości, świat potężnych potworów, które w pradawnych czasach zniknęły z powierzchni Ziemi, lecz które państwo mają przywilej oglądać po raz pierwszy!”.

– To Richard Kiley – powiedział Ed. – Na nic nie żalowaliśmy funduszy.

Samochody miały kępę niskich pękatych palm. „Proszę najpierw zwrócić uwagę na niezwykle świat roślin, które państwa otaczają – mówił słynny amerykański lektor. – Te drzewa po obu stronach drogi to sagowce, prehistoryczni przodkowie palm. Sagowce były ulubionym przysmakiem dinozaurów. Możecie państwo także dostrzec benetyty i miłorzęby. W epoce dinozaurów rosły również bliższe naszym czasom drzewa, jak sosny czy świerki, a także cyprysy bagienne. Je również państwo zobaczycie”.

Toyota sunęła cicho pośród liści. Tim zwrócił uwagę na płoty i mury. Były przysłonięte zielenią, aby pasażerowie mieli wrażenie, że jadą przez prawdziwą dżunglę.

„Wyobrażamy sobie świat dinozaurów – kontynuował głos Richarda Kileya – jako środowisko, w którym olbrzymi zwierzęcy wegetarianie żyli w rozległych, bagnistych lasach porastających Ziemię w okresie kredy i jury, to jest około stu milionów lat temu. Jednak większość dinozaurów nie była tak wielka, jak się powszechnie sądzi. Najmniejsze spośród tych zwierząt nie przekraczały rozmiarami kota domowego, natomiast przeciętny dinozaur miał wielkość mniej więcej kucyka. Na początku odwiedzimy właśnie jeden z gatunków takich średniej wielkości dinozaurów. Będą to hipsylofodonty. Jeśli popatrzyacie państwo w lewo, być może już teraz uda się wam je wypatrzeć”.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w lewo.

Toyota zatrzymała się na wierzchołku niedużego, nieporośniętego drzewami wzniesienia, z którego rozciągał się widok na wschód. Pasażerowie zobaczyli łagodny zalesiony stok i nietypową łąkę – trawa była żółta i wysoka na mniej więcej metr. Dinozaurów nie było widać.

– Gdzie one są? – spytała Lex.

Tim zerknął na deskę rozdzielczą, bo na nadajniku czy też odbiorniku zamigwały światelka i zaszumiała stacja dysków. Na pewno w środku jest płyta i komputer pokładowy czyta jakieś dane. Chyba odbieramy te same dane co w sterowni, domyślił się chłopiec. Na monitorach pokazały się obrazy hipsylofodontów i napisy mówiące o tych zwierzętach.

„Hipsylofodonty były w świecie dinozaurów tym, czym dzisiaj są gazy – zaczął opowiadać basowy głos. – Nieduże i szybkie, biegały niegdyś po całym świecie, od

dzisiejszej Wielkiej Brytanii po Azję Środkową czy wreszcie Amerykę Północną. Sądzymy, że ten gatunek dinozaurów rozpowszechnił się tak bardzo, ponieważ zuchwy i zęby hipsylofodontów były lepiej przystosowane do rozdrabniania pokarmu roślinnego niż w przypadku ich konkurentów. Sama nazwa »hipsylofodont« oznacza »wysoki, grzebieniasty ząb«. Zwierzęta te zawdzięczają ją ostrym zębom o charakterystycznym kształcie. Możecie państwo dostrzec nasze dinozaury na otwartym obszarze przed wami, a być może także między gałęziami drzew".

– Dinozaury chodziły po drzewach?! – zdziwiła się Lex.

Tim obserwował przez lornetkę skraj lasu.

– Jest, na prawo! W połowie wysokości tego dużego zielonego pnia...

W cętkowanym półcieniu liści stało nieruchomo na gałęzi ciemnozielone zwierzę, wielkości mniej więcej pawiana. Z wyglądu przypominało jaszczurkę, która stanęła na tylnych nogach. Unosiło długi, trochę zwisający ogon, żeby nie spaść.

– To otnielia – rozpoznał Tim.

„Nieduże zwierzęta, które państwo widzą, to otnielie – powiedział głos. – Zostały tak nazwane na cześć dziewiętnastowiecznego pasjonata dinozaurów Othniela Marsha z Uniwersytetu Yale".

Tim stwierdził, że na wyższych gałęziach tego samego drzewa stoją jeszcze dwie otnielie. Były w zasadzie takiej samej wielkości i żadna się nie poruszała.

– Ale nuda! – poskarżyła się Lex. – One nic nie robią.

„Główna część stada znajduje się na porośniętym trawą obszarze poniżej państwa – mówił głos. – Możemy wywołać zwierzęta ich zwykłym okrzykiem godowym". Z głośnika przy płocie dobiegł długi nosowy okrzyk przypominający nawoływanie gęsi.

Natychmiast podniosło się kolejno z trawy sześć jaszczurczych głów. Były blisko, po lewej. Wyglądało to tak komicznie, że Tim się roześmiał.

Głowy się pochowały. Wtedy głośnik zaskrzeczał znowu i głowy powyskakiwały, jedna po drugiej, w tej samej kolejności co poprzednio. Robiło to naprawdę niezwykle wrażenie.

„Hipsylofodonty nie są szczególnie błyskotliwe. Ich inteligencję można porównać do krowiej".

Nieduże głowy były szarozielone, na smukłych szyjach widniały ciemnobrązowe i czarne cętki. Tim wyobraził sobie ciało każdego ze zwierząt. Muszą mieć około półtora metra długości – mniej więcej tyle co jelenie.

Niektóre żuły trawę, poruszając pyskami. Jedna otnielia podniosła kończynę przypominającą rękę i podrapała się w głowę. Przez chwilę wyglądała jak zamyślony człowiek. Jej kończyna miała pięć palców.

„Jeżeli na państwa oczach otnielie drapią się po głowach, to dlatego, że swędzi je skóra. Nasi weterynarze podejrzewają, że tym zwierzętom dokucza grzybica lub alergia. Na razie nie jesteśmy pewni, co powoduje ich kłopoty ze skórą. Wszak to pierwsze w historii ludzkości żywe dinozaury, które możemy badać".

Samochód ruszył z szumem i zgrzytem przekładni. Słyszając ten nieoczekiwany odgłos, hipsylofodonty zerwały się i zaczęły uciekać, skacząc jak kangury. Można było teraz zobaczyć otnielie w całej okazałości; miały masywne tylne kończyny i ogony. Po paru susach znikły.

„Przyjrzawszy się tym fascynującym roślinożernym stworzeniom, odwiedzimy teraz trochę większe dinozaury – zapowiedział głos. – O wiele większe”.

Dwie toyoty skierowały się na południe.

STEROWNIA

– Przekładnie zgrzytają – skomentował John Arnold w sterowni. – Niech mechanicy sprawdzą układy napędowe samochodów BB-cztery i BB-pięć, kiedy wrócą z trasy.

– Robi się, szefie – usłyszał z głośnika.

– Drobiazg – mruknął John Hammond, który przechadzał się po sali. Wyjrzał przez okno i popatrzył na dwa oddalające się land cruisery. W kącie stał Robert Muldoon i obserwował uważnie samochody.

– Nie ma drobiazgów, proszę pana – rzucił Arnold, odpychając się z fotelem od centralnego stanowiska. Zapalił jeszcze jednego papierosa. Inżynier Arnold był nerwowy z natury, jednak w tej chwili drażniło go prawie wszystko. Nie mógł przestać myśleć o tym, że właśnie po raz pierwszy park objeżdżają goście. Nawet on sam i jego ludzie rzadko zapuszczali się w głąb wyspy. Częściej robił to Harding, naczelny weterynarz. I jeszcze opiekunowie zwierząt, którzy jeździli do miejsc, gdzie podawano dinozaurom pożywienie. Poza tym ludzie pilnowali parku ze sterowni. Mając na uwadze obecność gości, Arnold niepokoił się o dziesiątki szczegółów.

John Arnold był inżynierem systemów, zaczynał pod koniec lat sześćdziesiątych od pracy przy rakietach balistycznych Polaris wystrzeliwanych z okrętów podwodnych. Później, kiedy urodziło mu się pierwsze dziecko, doszedł do wniosku, że źle się czuje, pomagając w tworzeniu nowych broni. Tymczasem koncern Disneya zaczął budować w swoich parkach rozrywki bardzo zaawansowane technicznie kolejki i inne urządzenia, zatrudniając także sporo specjalistów z dziedziny lotnictwa czy techniki kosmicznej. Arnold spożytkował więc swoje umiejętności przy budowie Disney World w Orlando, a później miał swój udział w powstaniu parków rozrywki Magic Mountain w Kalifornii, Old Country w Wirginii i Astroworld w Houston.

Ponieważ od lat pracował w kolejnych parkach rozrywki, jego spojrzenie na rzeczywistość stało się w końcu nieco skrzywione. Mawiał półzartem, że cały świat staje się powoli wielkim parkiem rozrywki.

„Paryż to też taki park rozrywki – skomentował pewnego razu swój urlop – tylko za drogi, a poza tym obsługa jest niemiła i ponura”.

Od dwóch lat pracował na wyspie, pomagając w stworzeniu Parku Jurajskiego. Jako inżynier systemów był przyzwyczajony do zadań rozpisanych na bardzo długi czas. Często mówił: „we wrześniu, kiedy otworzymy park”, mając na myśli wrzesień następnego roku. Ten następny wrzesień zbliżał się i Arnold nie był zadowolony z postępów prac. Wiedział z doświadczenia, że poprawienie działania jednej kolejki czy skorygowanie trasy dla turystów zajmuje nieraz więcej niż rok. A tu trzeba było doprowadzić do ładu cały park!

– Niepotrzebnie się pan tak niepokoi – odezwał się Hammond.

– Nie uważam, żeby wszystko było w porządku – zaproponował Arnold. – Musi pan zrozumieć, że z inżynierskiego punktu widzenia Park Jurajski to najbardziej zaawansowany park rozrywki w historii. Zadania są bardzo ambitne. Goście oczywiście nie będą zdawali sobie z tego sprawy, ale wystarczy, że ja sobie zdaję... Po pierwsze – zaczął wyliczać na palcach – mamy tu wszystkie niełatwe do rozwiązania zagadnienia typowe dla parków rozrywki, takie jak: obsługa techniczna pojazdów i tras, kontrola liczby oczekujących w kolejkach, transport, dystrybucja żywności, noclegi, sprzątanie i wywóz śmieci, bezpieczeństwo. Po drugie, mamy do opanowania wszystkie kwestie charakterystyczne dla dużego zoo: opiekę nad zwierzętami, ich zdrowie i dobrostan, żywienie i utrzymywanie ich w czystości, ochronę przed robakami, chorobami zakaźnymi, alergiami i niedomaganiem fizycznymi, kontrolę i naprawę ogrodzeń i fos i tak dalej... Wreszcie po trzecie, mamy problemy niespotykane dotąd na świecie, ponieważ zajmujemy się zwierzętami, których nikt do tej pory nigdzie nie hodował.

– Och... nie jest aż tak źle, jak pan to widzi – mruknął Hammond.

– Jest. Tylko pana tu prawie nie ma, więc pan nie wie – nie ustępował Arnold. – Tyranozaury piją wodę z zatoki i często od niej chorują – nie wiemy dlaczego. Samice triceratopsów walczą ze sobą na śmierć i życie, rywalizując o dominację nad stadem. Trzeba je rozdzielać na grupy mniejsze niż sześć sztuk. Też nie wiemy dlaczego akurat tak. Stegozaurom raz po raz wyskakują pęcherze na językach, męczy je także biegunka. Dwa już zdechły, a my ciągle nie mamy pojęcia, skąd im się to bierze. Hipsylofodonty dostają wysypki. A welociraptory...

– Tylko nie zaczynamy znowu o welociraptorach – przerwał mu Hammond. – Mam już dosyć słuchania, że to najbardziej agresywne stworzenia, o jakich słyszał świat!

– To prawda... – szepnęła Muldoon. – Powinniśmy je wszystkie pozabijać.

– Mówił pan, żeby założyć im obroże z nadajnikami – przypomniał starszy pan. – Zgodziłem się.

– Poprzegryzały je w mgnieniu oka – przypomniał Arnold. – Nawet jeżeli welociraptory nigdy nie zdołają pokonać zabezpieczeń, moim zdaniem musimy pogodzić się z tym, że przebywanie w Parku Jurajskim jest i będzie ryzykowne.

– Co pan plecie! – obruszył się Hammond. – Po czyjej pan jest właściwie stronie?

– Obecnie mamy w parku piętnaście gatunków dawno wymarłych zwierząt – kontynuował Arnold – i większość z nich jest niebezpieczna. Otwarcie „Rejsu rzeką przez dżunglę” jest

opóźnione z powodu dilofozaurów, a „Jazda kolejką górską wśród pterozaurów” nie będzie szybko czynna, bo pterodaktyle zachowują się w nieprzewidywalny sposób. To nie są kłopoty z mechaniką ani elektryką, tylko ze zwierzętami, proszę pana.

– Z mechaniką i elektryką też mieliście mnóstwo problemów i proszę nie zwać winy na zwierzęta – odciął się starszy pan.

– Tak, mieliśmy – przyznał Arnold. – Dobrze, że udało nam się w miarę dopracować system „Jazdy przez park” – podstawowej atrakcji. Automatyczne sterowanie samochodami z wykorzystaniem czujników ruchu i oprogramowania na dyskach optycznych korygowaliśmy tygodniami! Wymagało to mnóstwa pracy, a i tak słyszę, że przekładnie w samochodach zgrzytają, do cholery!

– Spójrzmy na całość zagadnienia z pewnej perspektywy – próbował uspokoić go Hammond. – Poprawi pan mechanikę i inne kwestie inżynierskie, a zwierzęta też z czasem zaczną zachowywać się jak należy. W końcu uda się je wytresować.

Było to jedno z najważniejszych założeń twórców parku przyjęte już na etapie planowania. Nawet najbardziej egzotyczne zwierzęta powinny zachowywać się tak samo jak te w ogrodach zoologicznych. Z czasem przyzwyczajają się do różnych czynności związanych z opieką nad nimi i odpowiednio reagują.

– A jak miewa się system komputerowy? – Starszy pan zwrócił się z tym pytaniem do Dennisa Nedry'ego. Otyły informatyk przez cały czas pracował przy stacji roboczej w kącie sali. – Te przekłete komputery przyprawiają nas o ból głowy!

– Poradzimy sobie – wymamrotał Nedry.

– O ile w ogóle dobrze napisał pan to całe oprogramowanie – burknął Hammond. Arnold oparł dłoń na ramieniu swojego chlebobdawcy. Lepiej było nie nastawiać wrogo Nedry'ego w momencie, kiedy wziął się do pracy.

– To bardzo rozbudowany system – wtrącił inżynier. – Błędy są nieuniknione.

Lista błędów liczyła aktualnie ponad sto trzydzieści pozycji. Niektóre z nich powodowały osobliwe problemy. Na przykład:

Program sterujący karmieniem zwierząt resetował się co dwanaście godzin, zamiast co dwadzieścia cztery. Do tego nie odnotowywał karmienia w niedziele. W rezultacie obsługa parku nie wiedziała, ile dokładnie jedzą poszczególne dinozaury.

Podsystem dostępu sterujący wszystkimi otwieranymi za pomocą karty drzwiami wyłączał się przy każdej awarii zasilania i nie uruchamiał po rozruchu zasilania awaryjnego. Działał tylko na głównym.

System oszczędności zasobów fizycznych, który miał przyciemniać oświetlenie po dwudziestej drugiej, spełniał swoje zadania tylko co drugi dzień, naprzemiennie.

Automatyczna analiza odchodów, którą prowadzono w celu wykrywania pasożytów w stolcach dinozaurów, nieustannie wykazywała, że wszystkie zwierzęta mają robaka *Phagostomum venulosum*, choć w rzeczywistości nie stwierdzano jego obecności u żadnego.

Niestety, komputer automatycznie dosypywał do karmy środek przeciw temu pasożytowi. Kiedy obsługa usuwała lek z zasobników, rozlegał się alarm, którego nie dało się wyłączyć.

I tak dalej, i dalej – błędów w działaniu systemu było całe mnóstwo.

Po wylądowaniu na wyspie Dennis miał wrażenie, że zdąży sam usunąć wszystkie błędy przed upływem niedzieli. Kiedy jednak zobaczył pełną ich listę, zbłądł. W tej chwili dzwonił właśnie do swoich programistów w Cambridge, polecając im, by zrezygnowali z wszelkich weekendowych planów i zasiedli do pracy od rana do wieczora, aż do poniedziałku. Zapowiedział już Arnoldowi, że będzie musiał wykorzystać wszystkie łącza telefoniczne wyspy do przesyłu danych.

John Arnold spojrział na pracującego informatyka i otworzył w swoim komputerze okno, na którym widział, co robi Nedry. Ufał twórcy systemu, lecz po prostu lubił wiedzieć, co się dzieje.

Popatrzył na monitor po prawej, pokazujący trajektorię poruszających się po parku samochodów. Dwie toyoty jechały teraz wzdłuż rzeki, po północnej stronie kopuły z latającymi dinozaurami oraz sektora dinozaurów ptasiomiedniczych.

* * *

„Jeśli spojrzycie państwo w lewo – mówił głos – zobaczycie kopułę ptaszarni Parku Jurajskiego. Nie jest ona jeszcze dostępna dla gości”. Tim zobaczył w pewnej odległości odbłaski słońca, które odbijało się od aluminiowego szkieletu budowli. „Wzdłuż naszej trasy płynie teraz w dole rzeka rodem z mezozoicznej dżungli. Jeśli wytyżycie wzrok, być może uda wam się dostrzec pewnego bardzo rzadkiego drapieżnika. Miejcie państwo oczy szeroko otwarte!”.

Na monitorach wewnątrz samochodu pokazał się obraz ptasiej z wyglądu głowy z ognistoczerwonym grzebieniem. Pasażerowie toyoty wyglądali mimo to przez okna. Samochód jechał wysokim górskim grzbietem, widać było, że rzeka w dole płynie szybko. Zasłaniały ją częściowo liście bujnych roślin porastających oba brzegi.

„I oto one. Stworzenia, na które w tej chwili państwo patrzą, to dilofozaury”.

Tim widział tylko jednego dilofozaura: przykucnął na tylnych nogach i pił wodę z rzeki. Był podobny do wszystkich mięsożernych dinozaurów: miał gruby ogon, mocne tylne nogi, umięśnione kończyny przednie, długą szyję. Mierzył mniej więcej trzy metry wysokości i był żółty w czarne cętki, jak lampart.

Jednak najbardziej podobała się Timowi głowa dilofozaura. Od jej czubka aż do nosa biegły dwa szerokie łukowate grzebienie, łączyły się na środku, tworząc literę „V”. Były czerwono-czarne, w pasy. Dilofozaur był przez to troszkę podobny do tukana albo papugi. Nagle zahukał, prawie jak sowa.

– Są bardzo ładne! – ucieszyła się Lex.

„Dilofozaury to jedne z najwcześniejszych mięsożernych dinozaurów. Sądono, że ich paszcze były za słabo umięśnione, aby mogły one zagryzać ofiary, wyobrażano więc sobie, że dilofozaury żywiły się głównie padliną. Okazuje się jednak, że są one jadowite”.

– O rany! – wykrzyknął z uśmiechem Tim. – Fajnie!

W powietrzu znowu rozległo się charakterystyczne pohuki.

– Proszę pana, czy one naprawdę są jadowite? – spytała mała Lex, wiercąc się niespokojnie w fotelu.

– Nie przejmuj się tym – odpowiedział Regis.

– Ale są?

– Cóż, to prawda – przyznał Ed.

„Podobnie jak współczesne nam gady w rodzaju helodermy arizońskiej czy grzechotnika dilofozaury wydzielają hemotoksynę z gruczołów usytuowanych w paszczy. W kilka minut od ukąszenia ofiara traci przytomność. Leżącą bez ruchu dilofozaur dobija. Czyni go to gatunkiem pięknym, lecz śmiercionośnym”.

Toyota ostro skręciła i zaczęła oddalać się od rzeki. Tim obejrzał się, mając nadzieję, że zobaczy jeszcze dinozaura. Niesamowite! Jadowite dinozaury! – myślał. Miał ochotę zatrzymać samochód, ale wszystko było automatyczne. Na pewno pan profesor Grant też chciałby tu przystanąć, mogę się założyć!

„Jeśli spojrzycie państwo na tę skarpe po lewej, zobaczycie Les Gigantes – miejsce, gdzie znajdzie się nasza wspaniała trzygwiazdkowa restauracja. Szef kuchni, Alain Richard, pozdrawia was ze słynnej francuskiej Le Beaumanicre. Rezerwujcie stoliki prosto z waszych pokoi hotelowych, wystarczy wybrać cyfrę cztery”.

Tim wpatrywał się w skarpe, ale niczego na niej nie było.

– Na razie nie ma restauracji – wyjaśnił Regis. – I jeszcze przez jakiś czas nie będzie. Budowa ma ruszyć dopiero w listopadzie.

„Kontynuujemy nasze prehistoryczne safari! Teraz złożymy wizytę roślinożernym dinozaurom z rzędu ptasiomiedniczych. Najpewniej już je widać, proszę popatrzeć w prawo”.

Tim spostrzegł dwa dinozaury, stały nieruchomo w cieniu dużego drzewa. To były triceratopsy. Miały rozmiary i kolor słoni, ale wyglądały bardziej agresywnie, postawą przypominając nosorożce. Nad każdym z oczu wyrastały im półtorametrowej długości rogi przypominające odwrócone słoniowe kły. Trzeci róg rósł pośrodku, blisko nosa. Także i z kształtu paszcz triceratopsy podobne były do nosorożców.

„W przeciwieństwie do pozostałych dinozaurów – opowiadał głos – triceratopsy mają kiepski wzrok. Są krótkowzroczne, jak współczesne nam nosorożce, i często zaskakują je poruszające się obiekty. Spróbowałyby wziąć na rogi nasz samochód, gdyby tylko stały na tyle blisko, by go dostrzec. Jednak mogą być państwo spokojni – w tym miejscu jesteście bezpieczni... Triceratopsy mają z tyłu łbów okazałe grzebienie kostne. Są one bardzo mocne. Każde z tych zwierząt waży około siedmiu ton. Na przekór wyglądowi to całkiem łagodne

stworzenia. Rozpoznają swoich opiekunów i pozwalają się głaskać. Najbardziej lubią, kiedy drapie sieje w zady".

– Dlaczego one w ogóle się nie ruszają? – poskarżyła się Lex. Odsunęła szybę i krzyknęła:
– Hej, ty głupi dinozaurze! No, rusz się!

– Nie drażnij zwierząt, Lex – skarcił ją Ed.

– Dlaczego? Przecież są głupie. Stoją jak na obrazku w książce.

„Przeciwwagą dla tych pocziwych stworów z wymarłego świata będzie dinozaur, którego zobaczycie państwo już za moment. To najsłynniejszy drapieżnik w historii Ziemi, olbrzymi mięsożerny jaszczur, budzący grozę tyranozaur!".

– O, super! Tyranozaur! – ucieszył się Tim.

– Mam nadzieję, że będzie ciekawszy od tych mułów – mruknęła Lex, odwracając się plecami do triceratopsów.

Samochód jechał dalej.

TYRANOZAURO

„Król drapieżników ukształtował się w końcowym okresie historii dinozaurów. Panowały one na Ziemi przez sto dwadzieścia milionów lat, lecz tyranozaury istniały jedynie przez ostatnie piętnaście z tych stu dwudziestu milionów".

Toyoty zatrzymały się na stoku wzgórza. W dole rozciągał się zalesiony obszar schodzący aż do laguny. Słońce zaczynało właśnie niknąć za zamglonym horyzontem. Cały pełny malowniczych wzniesień Park Jurajski skąpany był teraz w miękkim świetle, cienie coraz bardziej się wydłużały. Na powierzchni laguny skrzyły się różowe rozbłyski. Nieco dalej na południe widać było pełne wdzięku szyje apatozaurów. Stały nad samym brzegiem oceanu, a w łagodnie falującej wodzie odbijały się ich masywne cielska. Było cicho, jeśli nie liczyć grania cykad. Spoglądając na ten bajkowy krajobraz, można było niemal uwierzyć, że człowiek przeniósł się w przeszłość o dziesiątki milionów lat i znalazł w zaginionym, od dawna nieistniejącym świecie.

– Robi wrażenie, prawda? – przerwał ciszę Ed Regis, wciskając guzik interkomu. – Lubię przyjeżdżać tu czasem wieczorami. Siadam i patrzę.

– Gdzie jest tyranozaur? – spytał Alan, któremu piękne widoki wcale nie poprawiły humoru.

– To dobre pytanie. Małego tyranozaura często widać stąd, jak brodzi w wodzie. Pełno tam ryb, a mały nauczył się je łapać. Robi to w interesujący sposób: nie używa przednich kończyn, tylko zanurza łeb w wodzie, jak ptaki.

– Jest mały?

– Tak. Mamy dwuletniego tyranozaura, osiągnął na razie mniej więcej jedną trzecią rozmiarów dorosłego osobnika. Mały ma dwa i pół metra wysokości i waży półtorej tony. Ale jest też dorosły tyranozaur. Nie widzę go...

– Może poluje na apatozaury? – podsunął Alan. W głośniku rozległ się zniekształcony śmiech Regisa.

– Robiłby to, gdyby tylko mógł, może mi pan wierzyć. Czasami staje nad wodą i wpatruje się w wielkie apatozaury, poruszając palcami tych swoich małych rączek, wyraźnie zestresowany. Tyranozaury są oddzielone od wszystkich innych dinozaurów, ich terytorium ograniczają oczywiście fosy i płoty. Zbudowaliśmy je tak, że trudno je zobaczyć, ale możecie mi wierzyć, że groźny tyranozaur nigdzie sobie nie pójdzie.

– Skoro jest, to w takim razie gdzie?

– Ukrywa się – odparł Regis. – Jest trochę nieśmiały.

– Słucham? – zdumiał się Ian. – Tyranozaur jest nieśmiały?!

– Wie pan, on generalnie się chowa. Prawie nigdy nie widać go na otwartej przestrzeni, szczególnie w ciągu dnia.

– Dlaczego?

– Przypuszczamy, że dlatego, iż ma wrażliwą skórę i łatwo dostaje poparzeń słonecznych. Teraz to Malcolm się roześmiał.

– Niszczycie wiele złudzeń – westchnął Alan.

– Nie sądzę, żeby odjechał pan stąd rozczarowany. Proszę chwilę zaczekać – poradził Ed.

Rozległo się ciche meczenie. Na samym środku łąki wyjechała spod ziemi klatka z kozą. Zaraz potem siłowniki hydrauliczne wciągnęły pręty klatki pod powierzchnię i mecząca żałośnie koza została sama. Była uwiązana.

– Pojawi się najpóźniej za kilka minut – zapowiedział Regis. Goście w napięciu wyglądali przez okna samochodów.

* * *

– Patrzcie – powiedział Hammond, obserwując widok na jednym z monitorów sterowni. – Aż wychylają się z okien, tak są zaciekawieni. Nie mogą się doczekać. Przyjechali tu właśnie po to, żeby stanąć oko w oko z niebezpiecznymi potworami.

– Dokładnie tego się obawiam – mruknął Muldoon, okręcając nerwowo klucze wokół palca. Z niepokojem obserwował dwa land cruisery. Pierwszy raz w Parku Jurajskim znajdowali się goście. Denerwował się nie mniej niż Arnold.

Robert Muldoon był potężnym pięćdziesięcioletnim mężczyzną o niebieskich oczach i szarawych włosach. Dorastał w Kenii. Większą część życia spędził, wzorem swojego ojca, jako przewodnik myśliwych, którzy wybierali się do Afryki łowić grubą zwierzynę. Od 1980 roku pracował przede wszystkim dla organizacji związanych z ochroną środowiska oraz pomagał przy tworzeniu ogrodów zoologicznych, jako specjalista od dzikich afrykańskich zwierząt. Zyskał nawet pewną sławę, napisano o nim artykuł w londyńskim „Sunday Timesie”. Jego kluczowym zdaniem było: *Robert Muldoon jest dla dyrekcji ogrodów zoologicznych tym, kim Robert Trent Jones dla właścicieli pól golfowych. To projektant, którego wiedza i umiejętności nie mają sobie równych.*

W 1986 roku Muldoon był konsultantem pewnej firmy z San Francisco, która tworzyła prywatny park dzikich zwierząt na północnoamerykańskiej wyspie. Wyzaczył tam granice terytoriów dla różnych gatunków – lwów, słoni, zebra i hipopotamów – oraz określił, jak powinno wyglądać środowisko odpowiednie dla każdego z nich. Ustalił też, które gatunki można trzymać razem, a które muszą być rozdzielone. Dla Roberta było to zwykłe komercyjne zlecenie, nie budziło u niego większych emocji. Bardziej interesował go wówczas indyjski park TigerWorld w południowym Kaszmirze.

Wreszcie, przed rokiem zaproponowano mu stanowisko naczelnego strażnika zwierząt w Parku Jurajskim. Robert zapragnął akurat w tamtym czasie na stałe opuścić Afrykę, oferowano mu znakomitą pensję, więc podpisał roczny kontrakt. Był bardzo zdumiony, gdy okazało się, że w Parku Jurajskim żyją prawdziwe prehistoryczne dinozaury przywrócone światu dzięki inżynierii genetycznej.

Praca okazała się oczywiście bardzo ciekawa. Jednak spędziwszy całe dekady na Czarnym Łądzie, Robert spoglądał na zwierzęta niewzruszony, bez romantycznych uniesień. Prowadziło to często do konfliktów pomiędzy nim a ludźmi z zarządzającej Parkiem Jurajskim firmy w Kalifornii. Zwłaszcza z tym małym służbistą, który w tej chwili stał obok Roberta w sterowni. Muldoon uważał, że kontrola nad dinozaurami żyjącymi w rozległym parku to problem nie mniej istotny i trudny niż klonowanie tych zwierząt w laboratorium.

Zdaniem Roberta niektóre dinozaury były zbyt niebezpieczne, aby wypuszczać je na stałe do parku. Niebezpieczeństwo wzmagał dodatkowo fakt, że wciąż niewiele wiadano o tych zwierzętach. Na przykład nikomu nie przyszło do głowy, że dilofozaury mogą być jadowite. Okazało się to dopiero, gdy zaobserwowano ich sposób polowania na żyjące na wyspie szczury – dilofozaury kąsały je i cofały się, czekając, aż szczur zdechnie. I nawet wtedy nikt nie podejrzewał, że dilofozaury potrafią pluć jadem. Do czasu, aż jeden z ich opiekunów stracił prawie całkowicie wzrok, trafiony jadem w oczy.

Hammond zgodził się po tym wypadku na przebadanie jadu dilofozaura. Wykryto w nim aż siedem trujących enzymów. Ustalono też, że zwierzę to potrafi pluć jadem na odległość do piętnastu metrów. Oznaczało to, iż gościom Parku Jurajskiego grozi utrata wzroku. Zarząd parku zdecydował się usunąć dilofozaurom gruczoły jadowe, ale weterynarze, mimo dwukrotnych prób – za każdym razem schwytano innego osobnika – nie zdołali tego zrobić. Nadal nie wiadomo, gdzie te gruczoły jadowe się znajdują. Można to ustalić tylko w trakcie sekcji ciała dilofozaura, tymczasem kierownictwo parku nie pozwalało zabić ani jednej sztuki.

Jeszcze bardziej niepokoiły Roberta welociraptory. Były urodzonymi drapieżnikami – nigdy nie przepuszczały okazji do polowania. Zabijały nawet wtedy, gdy nie były głodne, tylko dlatego, że dochodził do głosu ich instynkt zabijania. Były szybkie, potrafiły wytrwale biegać i zaskakująco wysoko i daleko skakać. Na wszystkich czterech kończynach miały śmiertelnie niebezpieczne szpony – jeden ruch przedniej kończyny welociraptora wystarczył, by rozplatać człowieka i wypruć jego wnętrzności. Szczęki welociraptorów były bardzo mocne, zwierzęta te nie zagryzały, ale wyszarpywały ostrymi zębami fragmenty ciał ofiar. Do

tego nieporównanie przewyższały inteligencją pozostałe dinozaury. Wydawały się stworzone także do wydostawania się z klatek...

Każdy opiekun zwierząt w zoo wie, że niektóre z nich ze szczególną łatwością wydostają się z zamknięcia. Niektóre, jak małpy czy słonie, potrafią otworzyć drzwi klatki. Inne – na przykład dzikie świny – są na tyle inteligentne, że unoszą pyskami skoble bram. Pewne przypadki były zaskakujące – kto by pomyślał, że zręcznym otwieraczem klatek jest pancernik olbrzymi? Albo łos? A jednak łosie potrafią manipulować pyskami prawie tak samo zręcznie jak słonie trąbami. Łosie uciekają raz po raz, mają do tego prawdziwy talent.

Tak się składało, że welociraptory też go miały.

Ich inteligencja co najmniej dorównywała szympansej. I podobnie jak szympanse miały chwytny kończyny, „dłonie”, którymi potrafiły otwierać drzwi i manipulować przedmiotami. Prawdopodobieństwo ich ucieczki było zdaniem Roberta bardzo wysokie. Kiedy wreszcie do niej doszło, tak jak się obawiał, pojedynczy uwolniony welociraptor uciekinier zabił dwóch robotników budowlanych i okaleczył trzeciego, zanim udało się go schwycić. Po tym wypadku przebudowano hotel: otoczono go wysokim ogrodzeniem, w oknach zainstalowano pancerne szyby. Zagrodę dla welociraptorów wyposażono w dodatkowe czujniki, aby ostrzegały przed ucieczką, zanim do niej dojdzie.

Robert domagał się prawdziwej śmiertelnej broni, w tym naramiennych wyrzutni rakiet przeciwpancernych LAW. Myśliwi dobrze wiedzą, jak trudno jest powalić czterotonowego słonia afrykańskiego, a niektóre dinozaury są dziesięciokrotnie cięższe! Zarząd był w szoku i podkreślał, że wyspa musi pozostać całkowicie wolna od broni. Dopiero gdy Muldoon zagroził zerwaniem kontraktu i wyjawieniem wszystkiego mediom, firma poszła na kompromis. W dobrze zamkniętej piwnicy znalazły się dwie specjalnie zaprojektowane wyrzutnie naprowadzanych laserowo rakiet. Klucze do niej miał tylko Robert.

Właśnie te klucze okręcał teraz nerwowo wokół palca.

– Schodzę na dół – rzucił.

John Arnold skinął głową, nie odrywając wzroku od monitorów. Toyoty wciąż stały na szczycie wzgórza. Zwiedzający czekali, aż pojawi się tyranozaur.

– Hej, stary! – zawołał z kąta sali Dennis Nedry. – Gdy będziesz wracał, przynieś mi jakąś colę, dobra?

* * *

Alan czekał w milczeniu, nie wysiadając z samochodu. Koza meczała coraz głośniejsze i coraz bardziej niespokojne. Zaczęła szarpać się nerwowo na postronku, a potem biegać we wszystkie strony.

– Co teraz będzie? – odezwał się przez radio głos przerażonej dziewczynki. – Czy tyranozaur zje kozę?!

– Myślę, że tak – odpowiedział jej drugi głos. Ellie ściszyła radio. W powietrzu zawisła nieprzyjemna woń rozkładu. Dolatywała z dołu.

– Jest – szepnął Alan.

Koza znajdowała się jakieś trzydzieści metrów od najbliższych drzew. Dinozaur musiał czaić się gdzieś między nimi, choć Alan wciąż nie mógł go dostrzec. Nagle zdał sobie sprawę, że patrzył zbyt nisko – łeb zwierzęcia krył się pośród wierzchołków koron palm, zawieszony sześć metrów nad ziemią.

– Boże! – sapnął Ian. – Jest wielki jak dom!

Alan wpatrywał się w gigantyczny, kanciasty, cętkowany, czerwonobrazowy łeb, długi na półtora metra, w olbrzymią paszczę i zęby. Paszcza otworzyła się i zamknęła, ale tyranozaur nie ruszał się z miejsca.

– Długo będzie czekał? – spytał cicho Malcolm.

– Może jeszcze ze trzy, cztery minuty. A może...

Nagle tyranozaur skoczył, nie wydając żadnego dźwięku, i oczom obserwatorów ukazało się całe jego olbrzymie cielsko. Dystans dzielący go od kozy pokonał czterema susami. Schylił się i przegryzł zwierzęciu szyję. Meczanie natychmiast ustało i zapadła upiorna cisza.

Potwór patrzył na zabita kozę i nagle się zawahał. Uniósł łeb i rozejrzał się na wszystkie strony. W końcu zaczął wpatrywać się nieruchomo w stojący wysoko ponad nim samochód.

– Czy on nas widzi? – szepnął Ian.

– Och, jak najbardziej – odparł z głośnika Regis. – Zobaczmy, czy zje kozę na naszych oczach, czy zaciągnie ją między drzewa.

Tyranozaur znowu się pochylił i powąchał martwą kozę. Wtem zaczął głośno jakiś ptak. Dinozaur poderwał głowę i znowu zaczął się szybko rozglądać.

– Rusza głową jak ptak – zauważyła Ellie.

Tyranozaur wciąż wyraźnie się wahał.

– Czego on się boi? – wyszeptał Malcolm.

– Pewnie drugiego tyranozaura – odparł również szeptem Alan. Duże drapieżniki, jak lwy czy tygrysy, często po upolowaniu ofiary stają się ostrożne. Nagle zachowują się, jakby coś im groziło. Dziewiętnastowieczni zoologowie wyobrażali sobie, że zwierzęta czują się winne z powodu tego, co zrobiły. Późniejsi badacze dowiedli jednak, jak wielkim wysiłkiem jest dla drapieżników dopadnięcie ofiary. Bieg i atak poprzedzają często całe godziny cierpliwego podchodzenia i wyczekiwania w ukryciu. Same ataki także bardzo często okazują się nieudane. Przyroda nie jest aż tak czerwona od krwi, jak wyobrażają sobie niektórzy – najczęściej potencjalnym ofiarom udaje się uciec. Kiedy mięsożerny zwierz powali wreszcie wyczekiwany obiad, rozgląda się ostrożnie, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma drugiego drapieżnika, który mógłby zaatakować go i zabrać zdobycz. Tyranozaur obawiał się zapewne, że w pobliżu jest jakiś przedstawiciel jego gatunku.

Olbrzymi potwór znowu się pochylił, po czym przydepnął masywną tylną kończyną ciała kozy, aby je przytrzymać, i wyszarpnął paszczą duży kawał mięsa z boku zwierzęcia.

– Został na miejscu – skomentował cicho Regis. – Doskonale się składa.

Tyranozaur uniósł łeb, podczas gdy w jego paszczy widoczne były ociekające krwią szczątki kozy. Popatrzył na samochód i zaczął przeżuwać. Pasażerowie usłyszeli makabryczny odgłos miażdżonych kości.

– Blee! – rozległ się w radiu głosik małej Lex. – Obrzydlistwo!

Ostrożność najwyraźniej przeważała – tyranozaur wziął do paszczy resztki kozy i wciąż nie wydając żadnych dźwięków, zaniósł je do lasu.

„Panie i panowie, oto *Tyrannosaurus rex* – król drapieżników!”

Toyoty ruszyły jak na komendę i cicho wjechały pomiędzy drzewa.

– To było fantastyczne! – skomentował Ian Malcolm, opierając się wygodnie.

Donald Gennaro otarł tylko czoło. Był błydy.

STEROWNIA

Do sterowni wszedł Henry Wu. Zobaczył, że wszyscy siedzą w skupieniu, nasłuchując głosów dochodzących z radia.

– Matko Boska, jeżeli takie lub podobne zwierzę sforsuje zabezpieczenia – mówił Gennaro – nic go nie zatrzyma!

– No nie, nie miałyby jak tego zrobić...

– To prawdziwy olbrzym, jest drapieżny i nie ma naturalnych wrogów...

– Mój Boże, wyobraźcie sobie tylko... Trzeba się nad tym zastanowić.

– Co za cholerni ludzie! – zdenerwował się Hammond. – Wszystko widzą w czarnych kolorach!

– Znowu martwią się, że któryś z naszych dinozaurów ucieknie? – odezwał się Wu. – Nie rozumiem tego. Przecież już zobaczyli, że wszystko jest pod kontrolą. Poczynając od modyfikacji genetycznych u zwierząt, aż po ultranowoczesne wyposażenie parku.

Wzruszył ramionami. Był głęboko przekonany, że w parku wszystko funkcjonuje dobrze i że zrekonstruowane przez niego kopalne DNA też jest w ogólnych zarysach dobre. Nie jest oczywiście wolne od jednostkowych błędów w kodzie powodujących specyficzne problemy fenotypowe: nie wydziela się jakiś enzym czy nie syntetyzuje określone białko. Każdy z tych problemów da się wyeliminować drogą wprowadzenia niewielkiej zmiany w kodzie genetycznym kolejnej wersji zwierząt.

Inne problemy Parku Jurajskiego także nie były zbyt poważne. Nie było kłopotów z monitorowaniem zwierząt czy kontrolowaniem ich, nie groziło tak podstawowe i poważne niebezpieczeństwo, jakim byłaby możliwość ucieczki któregoś z dinozaurów. Henry był urażony tym, że ktoś może podejrzewać go o nieodpowiedzialne współtworzenie aż tak niedoskonałego systemu.

– Wszystko przez tego Malcolma – mruknął Hammond. – To on nastawia ich przeciwko nam. Od samego początku był niezadowolony z tego, co robimy. Hołubi tę swoją teorię, że

złożonych systemów nie da się kontrolować i że naśladowanie natury jest niemożliwe. On chyba ma jakieś problemy ze sobą. Przecież my tylko budujemy tutaj zoo. Na świecie jest pełno ogrodów zoologicznych i jakoś wszystkie dobrze funkcjonują. Ale Ian Malcolm musi dowieść, że jego teoria jest słuszna, albo przynajmniej za nią zginąć. Mam nadzieję, że nie nastraszy Donalda Gennaro tak bardzo, że ten będzie się starał nie dopuścić do otwarcia Parku Jurajskiego.

– Gennaro może to zrobić? – zaniepokoił się Wu.

– Może się o to starać, ale nas nie powstrzyma. Może próbować zniechęcić japońskich inwestorów albo narobić smrodu w San José, alarmując rząd Kostaryki. Na pewno jest w stanie narobić nam kłopotów.

John Arnold zgasił energicznie papierosa.

– Poczekajmy i zobaczmy, co się będzie działo – zaproponował. – Wierzymy w nasze przedsięwzięcie. Przekonajmy się, czy nam się uda.

* * *

Robert Muldoon wysiadł z windy, przywitał skinieniem głowy stojącego na parterze strażnika i zszedł po schodach do piwnicy. Zapalił światło. W podziemnym garażu stały w równych rzędach dwadzieścia cztery napędzane prądem toyoty land cruiser. W przyszłości miały nieustannie krążyć po parku, po zamkniętym torze, wożąc kolejne grupy gości, którzy będą wsiadali i wysiadali przy głównym budynku.

W kącie stał także jeep z wymalowanym czerwonym pasem – jeden z dwóch benzynowych samochodów w parku. Drugi zabrał rano Harding, weterynarz. Dwa jeepy nie były ograniczone żadnymi podziemnymi kablami, można więc było nimi jeździć wszędzie, także tu, gdzie przebywały dinozaury. Ukośne czerwone pasy na samochodach z jakiegoś powodu odstraszały triceratopsy, które wcześniej miały skłonność do szarżowania w ich stronę.

Robert minął jeepa, docierając do nieoznakowanych stalowych drzwi zbrojowni. Przekręcił klucz i pchnął masywne drzwi. Pod ścianami pomieszczenia stały regały z bronią. Muldoon sięgnął po naramienną wyrzutnię rakiet marki Randler i skrzynkę pocisków z gazem. Pod pachę wetknął jeszcze dwie szare rakiety.

Zamknął drzwi i położył broń na tylnym siedzeniu jeepa. Wyjeżdżając z garażu, usłyszał w oddali pomruk burzy.

* * *

– Chyba będzie padać – stwierdził Ed, spoglądając na niebo. Dwie toyoty zatrzymały się tym razem w pobliżu bagna, gdzie żyły zauropody. Na skraju laguny pasło się okazałe stado apatozaurów: przeżuwały liście górnych części koron palm. Całkiem blisko zwiedzający dostrzegli kilka kaczodziobych hadrozaurów. W porównaniu z olbrzymimi apatozaurami wydawały się niewielkie.

Tim doskonale wiedział, że hadrozaury są duże, lecz apatozaury naprawdę ogromne. Ich nieproporcjonalnie małe głowy wznosiły się na wysokość piętnastu metrów, osadzone na długich szyjach.

„Te wielkie dinozaury, które obserwują państwo teraz, są potocznie nazywane brontozaurami – opowiadał głos. – Naukowcy nazywają je jednak apatozaurami. Każdy z nich waży ponad trzydzieści ton, czyli tyle, ile całe stado słoni. Być może nie uszło państwa uwagi, że apatozaury lubią przebywać przy samej lagunie, gdzie ziemia nie jest bagnista. Unikają zapuszczania się na bagno, co przeczy książkowej wiedzy. Apatozaury lubią suchy ląd”.

– To brontozaury, Lex, największe ze wszystkich dinozaurów! – odezwał się przyjaźnie Ed. Timowi nawet nie chciało się go poprawiać. Wiedział, że brachiozaury były prawie trzy razy większe od apatozaurów. Niektórzy naukowcy uważali, że ultrazaury i sejsmozaury były jeszcze większe od brachiozaurów. Jeden sejsmozaur mógł ważyć nawet sto ton!

Na tle apatozaurów stały, równoległe do nich, hadrozaury. Unosiły się na tylnych nogach, żeby sięgnąć liści drzew, ponieważ były mniejsze. Jak na tak wielkie stworzenia poruszały się bardzo zwinnie. Wokół dorosłych hadrozaurów dreptało kilka małych. Podnosiły i zjadały liście, które wypadły z pysków dorosłym osobnikom.

„W naszym Parku Jurajskim dinozaury nie rozmnażają się – obwieścił głos z nagrania. – Młode, które państwo widzą, zostały przez nas wypuszczone przed kilkoma miesiącami, już po wykluciu się z jaj. Mimo to dorosłe hadrozaury się nimi opiekują”.

Nagle rozległ się przeciągły grzmot. Niebo pociemniało, chmury wisiały teraz nisko i wyglądały złowieszczo.

– Tak, raczej na pewno będzie padać – orzekł Ed.

Samochód ruszył. Tim obejrzał się, żeby jeszcze raz popatrzeć na hadrozaury. I nagle, z boku, zobaczył szybko biegnące płowe zwierzę z brązowymi pasami na grzbiecie. Chłopiec natychmiast rozpoznał, co to za gatunek.

– Ej, zatrzymajmy się! – krzyknął.

– Co się stało? – spytał Ed.

– Niech ten samochód się zatrzyma, teraz!

„Jedziemy dalej, aby obejrzeć ostatnie spośród naszych wielkich prehistorycznych zwierząt – stegozaury” – mówił tymczasem głos.

– Co się dzieje, Tim?

– Tam, na polu! Widziałem!

– Co widziałeś?

– Welociraptora! Na tamtym polu!

„Stegozaury to roślinożerne stworzenia ze środkowej jury, ukształtowały się przed mniej więcej stu siedemdziesięcioma milionami lat – ciągnął głos. – Mamy w Parku Jurajskim kilka stegozaurów. Ich wygląd niewątpliwie zwraca uwagę”.

– Nie sądzę, Tim – uspokoił chłopca Regis. – To nie był welociraptor.

- Przecież widziałem! Niech pan zatrzyma samochód!
- W głośniku rozgorzała dyskusja:
- Tim mówi, że zobaczył welociraptora!
- Gdzie? – To byli profesorowie Grant i Malcolm.
- Z tyłu, na tamtym polu.
- To zawróćmy i przyjrzyjmy się.
- Nie możemy zawrócić – przypomniał Ed. – Jedyne, co możemy, to jechać dalej. Tak są zaprogramowane samochody.
- I nie możemy się cofnąć? – zdziwił się Alan.
- Nie. To jest coś w rodzaju kolejki z wagonikami.
- Tim, mówi profesor Malcolm. Mam do ciebie pytanie: w jakim wieku był twoim zdaniem ten welociraptor?
- Starszy od tego malutkiego, którego trzymałem na sali. Ale młodszy od tych dużych, które atakowały nas za płotem. Miały ze dwa metry wysokości, a ten miał może metr...
- Dziękuję ci, to mi wystarczy.
- Widziałem go tylko przez mniej więcej sekundę – tłumaczył się Tim.
- Jestem pewny, że to nie był welociraptor – upierał się Regis. – Nie mogło tam być welociraptora. To pewnie jedna z otnieli. One zawsze przeskakują przez płoty. Trudno je upilnować.
- Wiem, jak wygląda welociraptor i widziałem go – nie ustępował Tim.
- Jestem głodna! – poskarżyła się Lex, wyginając usta w podkówkę.

* * *

- Jak myślisz, co ten malec zobaczył? – spytał zaniepokojony John Arnold.
- Myślę, że to musiała być otnielia – odrzekł Henry Wu.
- Arnold skinął głową.
- Trudno śledzić otnielie, bo przez większość czasu kryją się w koronach drzew – westchnął. Kontrola położenia otnieli nie była tak skuteczna jak w przypadku pozostałych dinozaurów. Czujniki na przemian traciły z oczu poszczególne osobniki i odnajdywały je w zależności od tego, czy zwierzęta wspinały się na drzewa, czy też z nich schodziły.
- Nie mogę pogodzić się z tym, że stworzyliśmy tak cudowny, naprawdę fantastyczny park, a nasi pierwsi goście zachowują się w nim jak inspektorzy! – narzekał Hammond. – Szukają tylko problemów, wcale nie dostrzegając cudowności tego, co widzą.
- To ich problem – stwierdził Arnold. – Nie potrafimy sprawić, żeby doświadczali cudownych uczuć.
- Tymczasem w jednym z głośników trzasnęło, po czym odezwał się głos:
- Słuchaj, John, zgłasza się „Anne B” z doku. Jeszcze nie skończyliśmy rozładunku, ale patrzę na te chmury burzowe na południe od nas i... Wolałbym tu nie cumować, kiedy fale będą jeszcze większe niż teraz.

Arnold poparzył na monitor pokazujący statek do przewozu zapasów zacumowany do nabrzeża po wschodniej stronie wyspy.

– A dużo ci jeszcze zostało na pokładzie, Jim? – spytał, wcisnąwszy guzik mikrofonu.

– Jeszcze trzy ostatnie skrzynie ze sprzętem. Nie sprawdzałem opisu zawartości, ale myślę, że możecie poczekać na nią jeszcze dwa tygodnie. Wiesz, że nie ma tu należytej ochrony przed falami, a do stałego lądu mamy prawie sto mil morskich...

– Mam rozumieć, że prosisz o pozwolenie na odpłynięcie?

– Tak, John.

– Potrzebny mi ten sprzęt – odezwał się Hammond. – To wyposażenie laboratoryjne. Chcę je tutaj mieć.

– Rozumiem – odrzekł Arnold. – Tylko że równocześnie nie chciał pan zainwestować w falochron, który osłaniałby przystań. Nie mamy w związku z tym bezpiecznej przystani. Jeśli fale będą większe, statek roztrzaska się o nabrzeże. Widziałem już jednostki tonące z tego powodu. W przypadku zatonięcia statku pojawiają się dodatkowe koszty: trzeba kupić inny i jeszcze wydobyć ten zatopiony, żeby nie tarasował przystani. Nie da się znowu korzystać z nabrzeża, jeśli się tego nie zrobi.

– To niech odpływają – burknął Hammond, machając ręką.

– „Anne B”, masz pozwolenie na wyjście w morze – poinformował przez radio John Arnold.

– Do zobaczenia za dwa tygodnie – rzucił kapitan.

Na monitorze można było zobaczyć wzmożony ruch – to załoga statku oddawała cumy. Arnold skupił uwagę na monitorze naprzeciwko głównego stanowiska. Toyoty wyjechały spomiędzy drzew i posuwały się pośród płożącej się pary.

– Gdzie to jest? – spytał Hammond – Tam, gdzie przejeżdżają.

– Wygląda na południowy kraniec wyspy. – Na południu ślady aktywności wulkanicznej były wyraźniejsze niż w północnej części wyspy Nublar. – To znaczy, że za chwilę dotrą do stegozaurów. Na pewno zatrzymają się i zobaczą, co robi Harding.

STEGOZAUR

Land cruiser stanął i Ellie mogła dokładniej przyjrzeć się stegozaurowi, częściowo przesłoniętemu przez gejzery pary. Stał zupełnie nieruchomo, nie wydając żadnych odgłosów. Obok niego ktoś zaparkował jeepa z wymalowanym czerwonym pasem.

– Muszę przyznać, że ten stwór wygląda zabawnie – pochwalił Ian.

Stegozaur miał sześć metrów długości i nadzwyczaj pękatą sylwetkę, przez cały jego grzbiet ciągnął się grzebień ze sterczących pionowo kostnych płyt. Ogon wyposażony był dodatkowo na końcu w budzące respekt metrowe kolce. Szyja zwężała się, a na jej końcu sterczała absurdalnie mała głowa. Łeb stegozaura przywodził na myśl konia o wyjątkowo głupkowatym wyrazie pyska.

Po chwili zza dinozaura wyłonił się człowiek.

– To nasz weterynarz, doktor Harding – poinformował przez radio Ed Regis. – Znieczulił stegozaura, dlatego zwierzę się nie rusza. Jest chore.

Alan wysiadał już z samochodu i podbiegł do nieruchomego olbrzyma. Ellie też wysiadła. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że z drugiej toyoty wyskakują dzieci.

– Na co on jest chory? – spytał Tim.

– Nie wiedzą – odparła Ellie.

Wielkie, pokryte skórą płyty rozmieszczone wzdłuż kręgosłupa stegozaura nieco opadły. Zwierz oddychał powoli, z wysiłkiem, słychać było, że przeszkadza mu w tym jakaś wydzielina.

– Można się od niego zarazić? – chciała wiedzieć Lex.

Nikt jej nie odpowiedział. Zbliżyli się do małej głowy pokaźnego dinozaura. Alan klęczał przy niej, ramię w ramię z weterynarzem. Zaglądali zwierzęciu do pyska.

– Ale duży stwór! – skomentowała Lex, marszcząc noseć. – I śmierdzący!

– Rzeczywiście – zgodziła się Ellie. Już wcześniej zwróciła uwagę na nietypowy odór towarzyszący stegozaurowi. Przypominał trochę zapach psującej się ryby, a jeszcze bardziej coś, co знаła, ale czego nie mogła skojarzyć. Hm, nie wahała nigdy wcześniej stegozaura, więc być może to jego naturalny zapach? Wątpiła w to jednak. Większość zwierząt roślinożernych nie pachnie szczególnie intensywnie, podobnie jak ich odchody. Zwierzęta, które naprawdę śmierdzą, to mięsożercy.

– Czy on śmierdzi, bo jest chory? – dopytywała się Lex.

– To możliwe. Poza tym pan weterynarz zaaplikował mu środek uspokajający.

– Ellie, popatrz na jego język! – odezwał się Alan.

Ciemny, purpurowy język stegozaura zwieszał się smętnie z jego pyska. Weterynarz oświetlił jęzor latarką i Ellie zobaczyła na nim drobne srebrzyste pęcherzyki.

– Małe pęcherzyki. Interesujące – mruknęła.

– Te stegozaury przysparzają nam sporo zmartwień – odezwał się doktor Harding. – Ciągłe chorują.

– Jakie mają objawy? – spytała z troską Ellie. Podrapała język chorego potwora paznokciem i z rozerwanych pęcherzyków wydobyła się przezroczysta ciecz.

– Ojej! – sapnęła Lex.

– Zaburzenia równowagi i orientacji, trudności z oddychaniem i bardzo silna biegunka – wyliczył weterynarz. – Wygląda na to, że zdarza im się to mniej więcej co półtora miesiąca.

– Czy one pasą się przez cały czas?

– Och, tak. Zwierzę tych rozmiarów, żeby funkcjonować, musi zjadać minimum dwieście pięćdziesiąt kilogramów materii roślinnej dziennie. Stegozaury pasą się właściwie bez przerwy.

– W takim razie raczej nie chodzi o zatrucie roślinami – zawyrokowała Ellie. – Gdyby rosły tu jakieś toksyczne rośliny, stegozaury byłyby chore przez cały czas, a nie co półtora miesiąca.

– Właściwie one chorują dokładnie co sześć tygodni – sprecyzował Harding.

– Mogę? – Ellie wyjęła mu z ręki latarkę. – Czy środek uspokajający wywiera spodziewany wpływ na źrenice? – Zaświeciła stegozaurovi prosto w oczy.

– Tak, występuje efekt miotyczny.

– Przecież jego źrenice są rozszerzone.

Harding przyjrzał się uważnie. Nie było wątpliwości: źrenice stegozaura były rozszerzone i nie reagowały na światło latarki.

– A niech mnie! – zdumiał się weterynarz. – To skutek zastosowanych przeze mnie środków farmakologicznych.

– Jestem tego samego zdania. – Ellie wyprostowała się i rozejrzała po okolicy. – Jak duży jest obszar, po którym mogą poruszać się stegozaury?

– Ma około trzynastu kilometrów kwadratowych.

– Czy jesteśmy mniej więcej w środku? – Ellie i pozostali znajdowali się na rozległej łące. Tu i ówdzie widoczne były wystające skały oraz gejzery, z których wydobywała się para.

– Większa część ich terytorium jest tam, na północ i wschód stąd – odpowiedział Harding.

– Ale kiedy chorują, zwykle przebywają mniej więcej tutaj.

Ciekawa zagadka! – pomyślała Ellie. Jak wytłumaczyć okresowość zatrucia stegozaurów?

– Widzi pan te niewysokie, niewinnie wyglądające krzaki? – spytała, pokazując szerokim gestem łąkę.

– Melie. – Weterynarz pokiwał głową. – Wiemy, że są trujące. Ale stegozaury ich nie jedzą.

– Jest pan pewny?

– Tak. Obserwujemy je na monitorach, a poza tym badałem ich odchody, żeby mieć całkowitą pewność. Nasze zwierzęta nigdy nie żywią się tymi krzakami.

Miodla pospolita – roślina zwana też melią, bzem indyjskim lub rajskim drzewem – zawiera kilka różnych toksycznych alkaloidów. Chińczycy wykorzystywali ją do trucia ryb.

– Nie jedzą ich – powtórzył weterynarz.

– To interesujące – odparła Ellie – ponieważ inaczej powiedziałabym, że to zwierzę wykazuje objawy charakterystyczne dla zatrucia miodłą: osłupienie, pęcherzyki na błonach śluzowych i rozszerzone źrenice. – Ruszyła w stronę krzaków i pochyliła się nad nimi, żeby lepiej im się przyjrzeć.

– Ma pan rację, miodle są całe, nie ma na nich śladów żerowania stegozaura – oznajmiła po powrocie.

– Poza tym stegozaury chorują co półtora miesiąca – przypomniał weterynarz.

– A jak często tu przychodzą?

– Mniej więcej raz w tygodniu. Pasąc się, okrążają powoli swoje terytorium. Obejście całego zajmuje im około tygodnia.

– Ale nie chorują częściej, tylko co sześć tygodni?

– Właśnie.

– Ale nuda! – poskarżyła się mała Lex.

– Cicho – próbował uspokoić siostrę Tim. – Doktor Sattler myśli.

– Jak na razie bez rezultatu – westchnęła Ellie i ruszyła przez łąkę.

– Może ktoś porzuca ze mną piłeczką? – zaproponowała głośno Lex.

Ellie wpatrywała się w trawę. W wielu miejscach przez glebę przebijała się skała. Słychać było szum oceanu, musiał być niedaleko, z lewej. Wśród skał leżały jagody miodly. Może stegozaury po prostu jedzą te jagody? – zastanawiała się Ellie. Wątpiła w to jednak, ponieważ jagody miodly są niezdanie gorzkie.

– Znalazłaś coś? – spytał Alan idący tuż za nią.

– Tylko skały – odparła z westchnieniem, odwracając głowę. – Musimy być blisko plaży, bo wszystkie kamienie są wygładzone. Leżą w śmiesznych stosikach.

– W śmiesznych stosikach? – upewnił się Alan.

– No wszędzie, patrz, tu jest jeden.

Pokazała stosik i jednocześnie zdała sobie sprawę, na co patrzy. Kamienie były zaokrąglone, ale nie z powodu bliskości oceanu. Stosiki kamieni nie mogły powstać przypadkowo, wyglądały, jakby ktoś je poukładał.

A w rzeczywistości wypłuł – to były gastrolity.

Dużo ptaków czy krokodyli połyka kamyki, które gromadzą się w ich żołądkach mięśniowych. Mięśnie ściskające żołądek powodują przemieszczanie się kamieni i rozdrabnianie przez nie pokarmu roślinnego, zanim trafi do dalszej części układu pokarmowego. Kamienie pomagają więc zwierzętom w trawieniu. Niektórzy badacze uważali, że dinozaury również posługiwały się gastrolitami. Po pierwsze, roślinożerne dinozaury miały zbyt małe i nieodpowiedniego kształtu zęby, by mogły dokładnie przeżuwać pokarm. Zakładano, że raczej połykały go w całości, a włókna roślinne były rozdrabniane dopiero dzięki gastrolitom. Znajdowano zresztą szkielety dinozaurów ze stosikami niewielkich kamieni w odpowiednim miejscu. Nie zweryfikowano jednak ostatecznie tej tezy...

– To są gastrolity – ocenił Alan.

– Rzeczywiście, to samo sobie pomyślałam. Stegozaury połykają kamienie, a po paru tygodniach stają się one pewnie zbyt gładkie, więc zwracają je, pozostawiając właśnie taki stosik, i połykają inne. Przy okazji połykają niechcący jagody miodly i chorują.

– A niech cię... – mruknął z podziwem Alan. – Założę się, że masz rację.

Popatrzył na stosik kamieni i zaczął brać do rąk wiedziony instynktem paleontologa. Nagle zamarł.

– Ellie, zobacz!

* * *

– Dawaj, kochasiu! Prosto w rękawicę! – pokrzykiwała Lex. Donald Gennaro posłusznie rzucił piłeczkę.

Odrzuciła mu ją tak mocno, że zabolą go ręka.

– Ostrożnie, nie mam rękawicy! – przypomniał.

– Ale z ciebie leszcz! – skomentowała pogardliwie dziewczynka.

Rozżłoszczony cisnął piłeczkę i usłyszał donośny odgłos jej uderzenia o skórzaną rękawicę.

– No, teraz trochę lepiej – pochwaliła go Lex.

Donald bawił się z dziewczynką tuż obok półprzytomnego stegozaura. Równocześnie rozmawiał z Malcolmem.

– Na ile ten chory dinozaur pasuje do pańskiej teorii? – spytał.

– Jego choroba była do przewidzenia – odparł Ian.

– Czy jest cokolwiek, czego ta pańska teoria nie przewiduje? – zirytował się lekko Donald, kręcąc głową.

– Proszę posłuchać, teoria, o której mówię, nie ma nic wspólnego ze mną. To teoria chaosu. Ja tylko zauważam, że nikt nie ma ochoty zaakceptować konsekwencji reguł matematyki. A mają one bardzo istotne skutki dla ludzkiego życia. Związki teorii chaosu z życiem praktycznym są nieporównanie ściślejsze niż w przypadku zasady nieoznaczoności Heisenberga czy twierdzenia Gödla, o których wszyscy rozprawiają. Te dwa ostatnie problemy mają raczej akademicki czy też filozoficzny charakter. Za to teoria chaosu opisuje nasze realne, codzienne życie. Wie pan, z jakiego konkretnego powodu powstały komputery?

– Nie wiem.

– Dawaj, wywal mi dziurę w rękawicy! – darła się Lex.

– Pierwsze komputery skonstruowano pod koniec lat czterdziestych, gdyż niektórzy matematycy, tacy jak John von Neumann, sądzili, że jeśli człowiek będzie dysponował komputerem, to stanie się maszyną zdolną do równoczesnej analizy bardzo wielu zmiennych, i na przykład będzie możliwe rzetelne przewidywanie pogody. Mechanizmy zmienności pogody miały zostać ostatecznie wyjaśnione. Ludzie dawali wiarę tej mrzonce jeszcze przez następne czterdzieści lat. Sądziło się, że nieomyłne przewidywanie to tylko kwestia dokładnej obserwacji poszczególnych czynników. Że jeśli będziemy mieli dostatecznie dużo danych, da się przewidzieć drogą wyliczeń praktycznie wszystko. Naukowcy byli o tym przekonani już od czasów Newtona.

– No i?

– Teoria chaosu całkowicie obala ten mit. Głosi ona, że pewnych typów zjawisk nigdy nie da się przewidzieć. Na przykład nie jest możliwe wiarygodne przewidywanie pogody na więcej niż kilka dni naprzód. Wszystkie pieniądze, jakie w ciągu minionych kilkudziesięciu lat wydano na prognozy długoterminowe – w sumie około pół miliarda dolarów – to

pieniądze wyrzucone w błoto. Pomyłka głupca. Próby dalekosiężnego przewidywania pogody są z samego założenia równie bezowocne jak próby przemienienia ołowiu w złoto. Dziś, gdy myślimy o alchemikach z minionych wieków, uśmiechamy się pobłaźliwie, i tak samo przyszłe pokolenia będą śmiać się z naszej naiwności. Próbowaliśmy bowiem osiągnąć coś, co jest po prostu niemożliwe, i wydaliśmy na to mnóstwo pieniędzy. W rzeczywistości istnieją bowiem całe obszerne kategorie zjawisk, które są nieprzewidywalne ze względu na sam swój charakter.

– Tego dotyczy teoria chaosu?

– Tak. To zdumiewające, jak niewielu ludzi ma ochotę o tym słuchać. Przekazałem wszystkie te wiadomości Johnowi Hammondowi na długo przed tym, nim wbito na tej wyspie pierwszą łopatę. Chce pan zrekonstruować DNA prehistorycznych zwierząt, wyhodować je i wypuścić, żeby biegały po wyspie? Piękna idea. Niezwykłe, cudowne marzenie. A raczej mrzonka. Dlatego że sprawy nie potoczą się tak, jak to zaplanował. Rozwój wydarzeń jest w tym przypadku z natury nieprzewidywalny, tak samo jak przyszłe zmiany pogody.

– I powiedział pan to Hammondowi? – upewnił się Gennaro.

– Owszem. Mówiłem mu także, gdzie pojawią się odstępstwa od założonego biegu wypadków. Pierwszy nieprzewidywalny obszar zdarzeń to oczywiście dostosowanie wyhodowanych dinozaurów do środowiska. Ten stegozaur obok nas to zwierzę sprzed stu milionów lat. Nie jest przystosowany do życia w dzisiejszym świecie. W międzyczasie zmienił się skład atmosfery, natężenie docierających do powierzchni Ziemi promieni słonecznych, obecnie żyją inne niż w tamtej epoce owady, rozlegają się inne dźwięki, rośliny też się zmieniły. Po prostu zmieniło się wszystko. W powietrzu jest mniej tlenu. Ten biedny stwór czuje się jak człowiek na wysokości trzech tysięcy metrów. Proszę tylko posłuchać, jak sapie!

– A jakie są inne nieprzewidywalne obszary?

– Najogólniej mówiąc, problemem jest zdolność obsługi parku do kontroli rozprzestrzeniania się form życia. Historia ewolucji uczy nas, iż życie pokonuje wszelkie bariery. Uwalnia się. Rozprzestrzenia na nowe obszary, stwarzając rozmaite problemy, a nawet niebezpieczeństwa. Życie zawsze znajdzie sobie jakiś sposób. – Ian pokręcił głową. – Nie chcę odgrywać filozofa, ale tak się rzeczy mają.

Gennaro odwrócił głowę. Profesor Grant i doktor Sattler, którzy stali na łące, krzyczeli coś i wymachiwali rękami.

* * *

– Przyniosłeś mi colę? – spytał Dennis Nedry na widok wracającego do sterowni Muldoona.

Robertowi nawet nie chciało się odpowiadać. Podeszedł do głównego monitora i sprawdził, co dzieje się z gośćmi. Z głośnika dobiegał z przerwami głos Hardinga:

– ...stegoza... nareszcie... rozwiążą... teraz...

– Są na południowym krańcu wyspy – wyjaśnił John Arnold. – Dlatego sygnał trochę zanika. Przełączę ich na inny kanał. Ale goście odkryli, dlaczego stegozaury chorują. Jedzą jakieś trujące jagody.

Hammond pokiwał głową.

– Wiedziałem, że prędzej czy później rozwiążemy ten problem – powiedział.

* * *

– Nie wygląda zbyt efektownie – mruknął Donald, oglądając trzymany w ręku biały odłamek czegoś większego. Odłamek był wielkości znaczka pocztowego. – Jesteś pewny, Alanie? – spytał poufale.

– Absolutnie pewny – potwierdził Alan. – Ten fragment identyfikuje jednoznacznie wzór widoczny na wewnętrznej powierzchni, czyli po tej lekko wklęsłej stronie. Odwróć go. Widzisz? Jest niewyraźny, jakby utworzony z wypukłych linii opisujących nieregularne trójkąty.

– Widzę...

– Znalazłem dwa jaja z takim wzorem na stanowisku w Montanie.

– Mówisz, że to kawałek skorupy jaja dinozaura?

– Z całą pewnością.

– Nasze dinozaury nie mogą się rozmnażać – stwierdził kategorycznie Harding, kręcąc głową.

– Najwyraźniej mogą – skwitował Gennaro.

– To musiało być jajo ptaka – ocenił weterynarz. – Na wyspie Nublar żyje ich kilkadziesiąt gatunków.

Teraz to Alan zaprzeczył ruchem głowy.

– Spójrzcie, jaki jest promień krzywizny – powiedział. – Ten fragment jest prawie płaski. To znaczy, że jajo było bardzo duże. I jaka gruba skorupa! To było jajo dinozaura – no, chyba że macie tu strusie.

– To niemożliwe, żeby dinozaury w Parku Jurajskim się rozmnażały – upierał się weterynarz. – Mamy wyłącznie samice!

– Ja wiem tylko tyle, że to fragment jaja dinozaura – nie ustępował Alan.

– Potrafisz określić gatunek? – spytał Malcolm.

– Owszem. To było jajo welociraptora.

STEROWNIA

– Co za bzdury! – prychnął Hammond, słuchając dolatujących z głośnika słów. – Na pewno znaleźli jajo jakiegoś ptaka. Przecież to nie może być nic innego.

W radiu trzasnęło i dał się słyszeć głos Malcolma:

– Przeprowadźmy mały test, zgoda? Poprośmy pana Arnolda, żeby polecił systemowi policzyć dinozaury.

– Teraz?

– Tak, teraz. Rozumiem, że da się przesłać na monitor w samochodzie tabelę z wynikami liczenia. Mógłby pan to zrobić?

– Nie ma sprawy. – Arnold wydał systemowi polecenia i po chwili na ekranach pojawiła się tabela:

Liczba wszystkich zwierząt		238	
Gatunek	Oczekiwana liczba	Znaleziono	Wersja
Tyranozaury	2	2	4.1
Majazaury	21	21	3.3
Stegozaury	4	4	3.9
Triceratopsy	8	8	3.1
Prokompsognaty	49	49	3.9
Otnielie	16	16	3.1
Welociraptory	8	8	3.0
Apatozaury	17	17	3.1
Hadrozaury	11	11	3.1
Dilofozaury	7	7	4.3
Pterozaurow	6	6	4.3
Hipsylofodonty	33	33	2.9
Euoplocefale	16	16	4.0
Styrakozaurow	18	18	3.9
Mikroceratusy	22	22	4.1
Suma	238	238	

– Mam nadzieję, że jest pan zadowolony – zadrwił Hammond. – Widzi pan u siebie tabelę?

– Widzimy, widzimy – odpowiedział Ian.

– Jak zwykle wszystko się zgadza – skomentował z nieskrywaną satysfakcją starszy pan.

– A teraz – kontynuował Ian – czy możemy polecić systemowi, by poszukał innej liczby zwierząt?

– Jakiej? – spytał Arnold.

– Dwustu trzydziestu dziewięciu.

– Chwileczkę... – John Arnold ściągnął brwi. Wkrótce na monitorach pojawiła się taka wersja tabeli:

Liczba wszystkich zwierząt		238	
Gatunek	Oczekiwana liczba	Znaleziono	Wersja
Tyranozaury	2	2	4.1
Majazaury	21	21	3.3
Stegozaury	4	4	3.9
Triceratopsy	8	8	3.1
Prokompsognaty	49	50	3.9
Otnielie	16	16	3.1
Welociraptory	8	8	3.0
Apatozaury	17	17	3.1
Hadrozaury	11	11	3.1
Dilofozauy	7	7	4.3
Pterozauy	6	6	4.3
Hipsylofodonty	33	33	2.9
Euoplocefale	16	16	4.0
Styrakozauy	18	18	3.9
Mikroceratusy	22	22	4.1
Suma	238	239	

- Co to ma być?! – wykrzyknął ze złością Hammond, wpatrując się z bliska w ekran.
- Znalezliśmy jeszcze jednego prokompsognata.
- Skąd się wziął?!
- Nie wiem!
- A teraz – odezwał się przez radio Malcolm – czy może pan poprosić system, żeby poszukał, dajmy na to, trzystu dinozaurów?
- Co on wygaduje?! – zdenerwował się Hammond. – Trzystu?! – Mówił coraz głośniej. – O co mu w ogóle chodzi?!
- Momencik. To potrwa kilka minut – zapowiedział Arnold. Wydał odpowiednie polecenia. Najpierw pojawił się wers informujący o całkowitej liczbie dinozaurów:

Liczba wszystkich zwierząt		239

- Nie rozumiem, do czego on zmierza... – sapnął Hammond.
- Obawiam się, że ja rozumiem... – John Arnold wpatrywał się w napięciu w ekran. Pokazywana liczba stopniowo rosła.

- Dwieście czterdzieści cztery? – zdumiał się Hammond. – Co tu się dzieje?
- Komputer liczy zwierzęta w Parku Jurajskim – wyjaśnił Henry Wu. – Wszystkie zwierzęta...
- Myślałem, że zawsze liczył wszystkie! – Hammond odwrócił się gwałtownie. – Nedry! To też pan spieprzył?!
- Nie – zaprzeczył Dennis, podnosząc wzrok. – System pozwala na wprowadzenie żądanej sumy wszystkich zwierząt, aby proces liczenia odbywał się szybciej. To udogodnienie, a nie błąd.
- On ma rację – wtrącił Arnold. – Po prostu zawsze szukaliśmy dwustu trzydziestu ośmiu dinozaurów, ponieważ zakładaliśmy, że nie może być ich więcej.
- Na ekranie widniało tymczasem:

- Chwileczkę, przecież nasze dinozaury nie mogą się rozmnażać – zauważył Hammond. – Komputer liczy pewnie myszy albo nie wiem co.
- Też tak myślę – zgodził się Arnold. – To prawie na pewno błąd systemu śledzenia. Wkrótce zobaczymy, co doliczył system.
- Na pewno nie mogą się rozmnażać, prawda? – Hammond popatrzył w oczy Henry'emu Wu.
- Nie mogą.

- Skąd się tego tyle bierze? – zdumiał się Arnold.
- Nie mam pojęcia – przyznał Henry Wu.
- Wszyscy patrzyli na wzrastającą wciąż liczbę wyszukanych zwierząt.

- Jezus Maria, ile ich w sumie będzie?! – jęknął Donald. – Jestem głodna! – poskarżyła się Lex. – Kiedy wrócimy?
- Już niedługo, mała. Na monitorach zaczął tymczasem migać komunikat:

WYSTĄPIŁ BŁĄD – param. wyszukiwania. Nie znaleziono 300 zwierząt.

- „Błąd” – przeczytał na głos Hammond, kiwając głową. – Tak myślałem! Od początku miałem przeczucie, że jest tu jakiś błąd.
- Jednak po chwili na ekranie pojawiła się pełna tabela:

Liczba wszystkich zwierząt		292	
Gatunek	Oczekiwana liczba	Znaleziono	Wersja
Tyranozaury	2	2	4.1
Majazaury	21	22	3.3
Stegozaury	4	4	3.9
Triceratopsy	8	8	3.1
Prokompognaty	49	65	??
Otnielie	16	23	??
Welociraptory	8	37	??
Apatozaury	17	17	3.1
Hadrozaury	11	11	3.1
Dilofozaury	7	7	4.3
Pterozzaury	6	6	4.3
Hipsylofodonty	33	34	??
Euoplocefale	16	16	4.0
Styrakozaury	18	18	3.9
Mikroceratusy	22	22	4.1
Suma	238	292	

– Widzicie teraz, na czym polega niedoskonałość waszych procedur – odezwał się z trzeszczącego radia Ian Malcolm. – Polecaliście systemowi wyszukiwanie tylko oczekiwanej liczby dinozaurów. Martwiliście się, że utracicie część z nich i stosowaliście procedurę, która ostrzegała was za każdym razem, kiedy liczba zwierząt okazywała się zbyt mała. Jednak problem jest odwrotny: w rzeczywistości macie o wiele więcej dinozaurów, niż wam się wydawało.

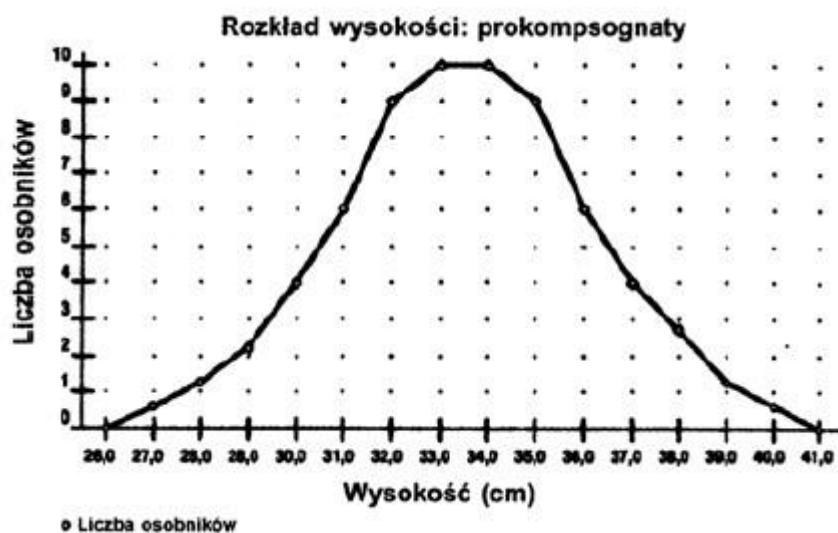
– Jezus Maria! – jęknął Arnold.

– Nie może być więcej dinozaurów – upierał się doktor Wu. – Wiemy, ile dokładnie wypuściliśmy. Jakim sposobem mogłoby ich być więcej?

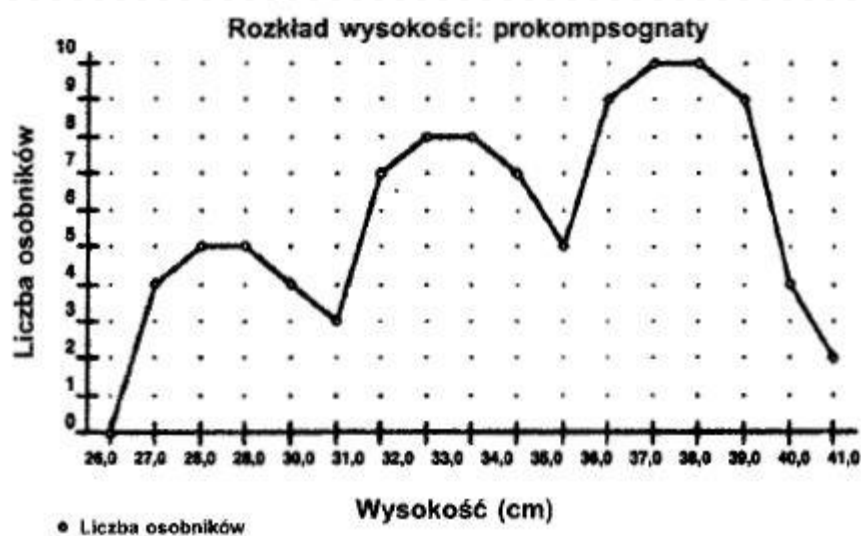
– Obawiam się, że taki sposób istnieje: rozmnażają się – podsumował Ian.

– Nie.

– Jeśli nie wystarczy ci dodatkowo znaleziona przez Alana Granta skorupa, możecie udowodnić moją tezę sami, na podstawie posiadanych przez was danych. Popatrz na rozkład wysokości prokompognatów w ich populacji. John Arnold zaraz ci go pokaże.



- Jak nazwałbyś taki wykres? – spytał Ian.
- Krzywa Poissona – odpowiedział Wu. – Rozkład normalny.
- Właśnie. Ale opowiadałeś nam, zdaje się, że hodowałeś prokompsoognaty w trzech seriach. W półrocznych odstępach, czy tak?
- Tak...
- W takim razie wykres ich wysokości powinien mieć trzy maksima lokalne, po jednym dla każdej z wypuszczonych serii osobników. – Malcolm postukał w klawiaturę. – Powinien wyglądać tak:



- A jednak wyszukiwanie zwierząt nie daje takiego rezultatu – ciągnął Ian. – Obserwacja prokompsoognatów żyjących w parku daje rozkład normalny, charakterystyczny dla rozmnażającej się populacji. Twoje prokompsoognaty się mnożą.
- Nie rozumiem, jak to się dzieje. – Henry pokręcił głową.
- A jednak się rozmnażają, tak samo jak otnielie, majazaury, hipsylofodonty... no i welociraptory.
- Boże, po wyspie biegają swobodnie welociraptory! – krzyknął przerażony Muldoon.

– Nie jest tak źle – spróbował rozładować sytuację Hammond. – Wzrost liczby osobników nastąpił tylko w przypadku trzech... – popatrzył uważniej na ekran – nie, pięciu gatunków. W przypadku dwóch przybyło niewiele osobników.

– Co pan mówi?! – obruszył się Wu. – Nie zdaje pan sobie sprawy, co to oznacza!

– Zdaję, i to bardzo dobrze. Spieprzyłeś sprawę, Henry.

– Na pewno nie.

– Przecież dinozaury w parku się rozmnażają...

– Ale to wyłącznie samice! – upierał się Henry. – Nie mogą się rozmnażać. W systemie musi być jakiś błąd. Popatrzcie na te liczby. Duże dinozaury nie rozmnożyły się, są tylko małe wzrosty liczby majazaur i hipsylofodontów. A mniejsze zwierzęta rozmnożyły się aż tak bardzo? To bez sensu. Na pewno liczenie jest błędne.

– Wprost przeciwnie – wtrącił z głośnika Alan. – Moim zdaniem takie a nie inne liczby potwierdzają, że dinozaury się rozmnażają. W siedmiu różnych miejscach na wyspie.

MIEJSCA LĘGOWE

Niebo ciemniało coraz bardziej. Z oddali doleciał kolejny grzmot. Alan i pozostali goście parku zaglądali do jeepa, wpatrując się w monitor na desce rozdzielczej.

– W siedmiu miejscach?! – jęknął Wu.

– Miejscach lęgowych, inaczej gniazdach – potwierdził Alan. – Zakładam, że przeciętny lęg składa się z ośmiu–dwunastu jaj. Na podstawie danych, które widzimy, oceniam, że prokopsognaty mają dwa gniazda, welociraptory też dwa, otnielie jedno, hipsylofodonty i majazaury także po jednym.

– Gdzie są te gniazda?

– Będziemy je musieli znaleźć. Dinozaury odbywają lęgi w ustronnych miejscach.

– Ale dlaczego dużych dinozaurów jest tak mało? – dopytywał się Henry. – Jeśli jest gdzieś gniazdo majazaur, w którym samica złożyła osiem do dwunastu jaj, w parku powinno być osiem do dwunastu nowych majazaur, a nie jedna.

– Zgadza się – potwierdził Alan. – Tylko że welociraptory i prokopsognaty, które biegają po całym parku, prawdopodobnie pożerają jaja większych dinozaurów, a także świeżo wyklute młode.

– Nigdy niczego takiego nie zaobserwowaliśmy – powiedział John Arnold.

– Welociraptory prowadzą nocny tryb życia. Czy obserwujecie zwierzęta także w nocy? – zapytał Alan.

Zapadło długie milczenie.

– Podejrzywałem, że nie – skwitował Alan.

– Ale twoja hipoteza i tak się nie klei – upierał się Henry – bo niemożliwe, żeby pięćdziesiąt dodatkowych zwierząt mogło się wyżywić jajami z paru gniazd.

– Niemożliwe. Zapewne jedzą także coś innego, na przykład niewielkie gryzonie. Myszy i szczury. Co wy na to?

I znowu zapadło milczenie.

– Niech zgadnę – ciągnął Alan – kiedy zaczęliście budowę parku, mieliście kłopot ze szczurami, ale z upływem czasu jakoś zniknął.

– Rzeczywiście! Tak było...

– I nigdy nie przyszło wam do głowy, żeby zbadać dlaczego?

– Zakładaliśmy po prostu... – zaczął Arnold.

– Słuchajcie – przerwał mu Henry – tak czy owak, pozostaje faktem, że wszystkie dinozaury są samicami. Nie mogą się rozmnażać.

Alan już zastanawiał się nad tą kwestią. Kiedyś czytał o bardzo interesujących niemieckich badaniach. Miał wrażenie, że ich wyniki mogą być kluczem do rozwiązania zagadki.

– Kiedy rekonstruowałeś DNA dinozaurów, pracowałeś z jego małymi fragmentami, prawda? – upewnił się.

– Tak.

– Czy aby zrekonstruować całą cząsteczkę DNA, musiałeś czasem posługiwać się fragmentami jej łańcucha pochodzącymi od innych gatunków zwierząt?

– Czasami tak – potwierdził Wu. – Był to jedyny sposób na osiągnięcie celu. Czasami używaliśmy DNA ptaków – najrozmaitszych gatunków – czasami gadów.

– A płazów? W szczególności żab.

– Niewykluczone, musiałbym sprawdzić.

– Sprawdź, bo myślę, że właśnie tu leży wyjaśnienie całej sytuacji.

– Żabie DNA? – zdziwił się Ian. – Dlaczego?

– Słuchajcie – odezwał się Gennaro – to intrygująca dyskusja, ale nie zapomnijmy o podstawowym pytaniu: czy jakieś dinozaury wydostały się z wyspy?

– Nie możemy tego stwierdzić na podstawie danych, jakimi dysponujemy – odpowiedział Alan.

– To jak się tego dowiemy?

– Ja znam tylko jeden sposób – odparł Grant. – Trzeba odnaleźć wszystkie gniazda dinozaurów, przyjrzeć im się z bliska i policzyć, z ilu jaj pochodzą pozostałe tam fragmenty skorup. W ten sposób być może ustalimy, ile dinozaurów wykuło się w parku. Wtedy można będzie spróbować ocenić, dlaczego niektórych brakuje.

– I tak nie dowiesz się tą metodą, czy brakujące dinozaury zostały zagryzione, zdechły z przyczyn naturalnych czy też uciekły z wyspy – zauważył Ian.

– To prawda, ale zawsze będziemy mieli dzięki temu więcej danych. Poza tym sądzę, że przyglądając się uważniej wykresom obrazującym populacje poszczególnych gatunków dinozaurów, zdołamy odczytać z nich więcej informacji – ocenił Alan.

– Jak znaleźć gniazda dinozaurów?

– Myślę, że pomoże nam w tym system śledzenia zwierząt.

– Możemy już wracać? – wtrąciła się Lex. – Jestem głodna!

– Tak, wracajmy. – Alan uśmiechnął się do dziewczynki. – Byłaś bardzo cierpliwa.

– Za jakieś dwadzieścia minut będziesz siedziała przy stole i zjadała – obiecał Ed Regis i pierwszy ruszył w stronę samochodów.

– Ja bym jeszcze chwilę została – odezwała się Ellie. – Porobię zdjęcia stegozaurowi aparatem doktora Hardinga. Pęcherzyki w paszczy zwierzęcia powinny do jutra zniknąć.

– Ja wolę wracać – powiedział Alan. – Pojadę z dziećmi.

– Ja też wracam – dodał Ian.

– A ja chyba zostanę – oznajmił Donald. – Wrócę jeepem z panem Hardingiem i panią Ellie.

– Dobrze, to my jedziemy.

– Dlaczego prawnik zdecydował się zostać? – zdziwił się Ian, idąc obok Alana.

– Może ze względu na Ellie. – Alan wzruszył ramionami.

– Tak myślisz? Ze względu na te szorty?

– Nie pierwszy raz tak się dzieje.

Doszli do samochodów.

– Teraz ja chcę jechać z profesorem Grantem – odezwał się Tim.

– Niestety, pan profesor i ja musimy porozmawiać – odparł Ian.

– Będę tylko siedział i słuchał, i nic nie mówił – obiecał chłopiec.

– To będzie prywatna rozmowa – uciął Ian.

– Wiesz co, Tim? – odezwał się Ed. – To niech panowie profesorowie siedzą sobie we dwóch w drugim samochodzie, a my pojedziemy pierwszym i będziesz mógł założyć gogle noktowizyjne. Patrzyłeś kiedyś przez takie? To specjalne okulary z bardzo czułymi kamerami CCD, dzięki którym widzi się w ciemności.

– Fajnie! – ucieszył się Tim i ruszył do pierwszej toyoty.

– Ej, ja też chcę założyć takie gogle! – krzyknęła Lex.

– Nie.

– To niesprawiedliwe! Ty zawsze dostajesz wszystko, co chcesz!

Ed popatrzył na dzieci.

– Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądała jazda do ośrodka... – mruknął.

Alan i Ian wsiedli do drugiej toyoty. W tym samym momencie na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu.

– Ruszajmy – ponaglił Ed. – Mam ochotę na kolację. Wypiłbym też kieliszek bananowego daiquiri. Co wy na to, panowie? Napijecie się daiquiri? – Postukał w maskę samochodu. – Do zobaczenia przed głównym budynkiem. – Pobiegnął do pierwszej toyoty i wsiadł.

Zamigało czerwone światelko na desce rozdzielczej i oba samochody ruszyły z cichym szumem elektrycznych silników.

Zaczynało się ściemniać. Malcolm siedział zamyślony i milczący jak nigdy.

– Dostrzegasz, że twoja teoria się sprawdza? – zagadnął go Alan.

– Prawdę mówiąc, trochę się boję. Coś mi mówi, że jesteśmy w niebezpiecznym momencie.

– Dlaczego?

– Intuicja.

– To matematycy wierzą w intuicję?

– Och, tak. Intuicja jest bardzo ważna. Myślałem w tej chwili o fraktalach. Wiesz, co to są fraktale?

– Prawdę mówiąc, nie wiem – przyznał Alan.

– To szczególne twory geometryczne, odkrył je Mandelbrot. Zwykła geometria euklidesowa, której każdy uczy się w szkole, dotyczy prostokątów, sześciątów czy kul. Geometria fraktalna opisuje, jak się zdaje, wiele prawdziwych, występujących w świecie wokół nas obiektów. Góry czy chmury to fraktale. Takie mają kształty. Fraktale mają zatem pewien związek z rzeczywistością... Mandelbrot odkrył niezwykłą, ciekawą i ważną rzecz – to, że fraktale wyglądają niemal identycznie niezależnie od skali, w jakiej się je ogląda.

– Od skali?

– Na przykład potężna góra widziana z dużej odległości ma charakterystyczny nieregularny kształt góry. Jeśli się do niej podejdzie i przyjrzy się samemu szczytowi, okaże się, że ma on podobny kształt do całej góry. W ten sposób można zbliżać się do szczytu coraz bardziej, obejmując wzrokiem coraz mniejszy kawałek skały – aż do tych mikroskopijnej wielkości – i za każdym razem będą one miały prawie taki sam kształt jak cała góra.

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo cię to niepokoi. – Alan ziewnął. Wyczuł w powietrzu woń siarki unoszącą się w pobliżu parujących gejzerów. Droga zbliżyła się do brzegu wyspy, teraz widać było z niej plażę i ocean.

– Skłania to do określonego sposobu patrzenia na różne rzeczy – odpowiedział Ian. – Mandelbrot odkrył olbrzymie podobieństwo tego, co najmniejsze, do tego, co największe. Otóż to podobieństwo dotyczy także zdarzeń.

– Zdarzeń? – zdziwił się Alan.

– Pomyślmy na przykład o cenach bawełny. W dokumentach giełdy są dokładnie odnotowane ceny bawełny na przestrzeni ponad stu ostatnich lat. Kiedy zaczyna się analizować te zmiany, można zauważyć, że wykres zmian cen bawełny w ciągu dnia ma w zasadzie taki sam kształt jak wykres tychże zmian w ciągu tygodnia, a także na przestrzeni roku czy nawet dziesięciu lat. I tak jest z różnymi rzeczami. Jeden dzień jest podobny do całego życia człowieka. Zaczynasz coś robić, ale w końcu zajmujesz się czymś innym. Zamierzałeś załatwić jakąś sprawę, ale nie zrobiłeś tego. Człowiek, który ma za sobą długie życie, obserwuje pod jego koniec, że cała jego ziemská egzystencja miała przypadkowy,

chaotyczny wymiar. Całe ludzkie życie ma podobny kształt jak jeden dzień będący jego częścią.

– Można i tak patrzeć na sprawy – zgodził się Alan.

– Nie można, tylko trzeba. A przynajmniej to jedyna droga, by zaobserwować rzeczywistość taką, jaka jest naprawdę. Widzisz, teoria fraktali, myśl o podobieństwie skal, zawiera w sobie także aspekt rekurencji, powtarzania się rzeczy w różnych skalach, i to, że zdarzenia są nieprzewidywalne. Ich bieg może zmienić się nagle, całkiem bez ostrzeżenia.

– Aha...

– Człowiek ma jednak tendencję do uspokajania siebie samego i wyobrażania sobie, że gwałtowne, niespodziewane zmiany to coś wyjątkowego, jakby zewnętrznego względem normalnego biegu rzeczy. Mówię na przykład o wypadkach samochodowych czy śmiertelnej chorobie – pozostają one poza naszą kontrolą. Nie myślimy o nagłej, radykalnej, irracjonalnej zmianie jako o czymś nieodrodnie wbudowanym w samą tkankę istnienia. Jednak tak właśnie jest – przekonywał Ian. – Teoria chaosu uczy nas, że linearny bieg zdarzeń, który wydaje nam się niemal czymś zagwarantowanym – we wszystkich dziedzinach, od fizyki aż po akcję powieści czy filmu – po prostu w praktyce nie występuje. Postrzeganie świata jako linearnego jest błędne. Prawdziwe życie to nie seria połączonych ze sobą zdarzeń, pojawiających się grzecznie jedno po drugim jak paciorki naszyjnika. Życie jest w istocie serią oddziaływań o takim charakterze, że jedno niepozorne zdarzenie może zmienić cały szereg następnych w zupełnie nieprzewidywalny, w tym także tragiczny sposób. – Ian oparł się wygodnie i popatrzył na toyotę jadącą przed nimi. – To ważka prawda opisująca strukturę całego wszechświata. Jednak z jakiegoś powodu koniecznie wolimy zachowywać się, jakby nie była ona prawdą.

Nagle oba samochody gwałtownie zahamowały.

– Co się stało? – spytał Alan.

Dzieci w aucie z przodu wskazywały z ożywieniem ocean. W pewnej odległości od brzegu, pod niskimi chmurami widać było ciemną sylwetkę statku zaopatrzeniowego, który zmierzał z powrotem w stronę Puntarenas.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – zainteresował się Ian. Alan włączył krótkofalówkę i usłyszał, jak mała Lex wołała podniecona:

– Tam, tam, Timmy! Widzisz? Jest tam!

– Chyba mówią o tym statku... – Ian wytężył wzrok.

– Chyba tak.

Regis wyskoczył z samochodu i podbiegł do toyoty Alana i Iana.

– Przepraszam was, ale dzieci są tak podekscytowane, że nie słuchają. Macie tu lornetki?

– Co się stało?

– Mała Lex mówi, że widzi na statku jakieś zwierzę.

* * *

Alan złapał lornetkę i oparł łokcie na krawędzi okna samochodu. Przesunął spojrzeniem wzdłuż kadłuba statku. Było już tak ciemno, że widać było głównie sylwetę jednostki. W pewnej chwili zapaliły się jej światła pozycyjne, odcinając się kolorami od ciemnopurpurowego nieba.

– I co, widzisz coś? – niecierpliwił się Ed.

– Nie.

– Są nisko – powiedziała z głośnika Lex. – Patrzcie nisko. Alan pochylił lornetkę niżej i obserwował kadłub tuż ponad linią wody. Statek był szeroki, wzdłuż całej jego długości biegnął nadburcie. Alan z trudem rozróżniał szczegóły.

– Nic nie wi...

– Ale ja widzę! – przerwała mu niecierpliwie dziewczynka. – Są blisko tyłu! Patrz blisko tyłu statku!

– Jak to możliwe, że te dzieci tak dobrze widzą? – zdziwił się Ian.

– Dzieci widzą lepiej niż my – odpowiedział Alan. – Dawno zapomnieliśmy, że nasz wzrok był kiedyś tak ostry jak ich wzrok teraz.

Przesunął płynnie lornetkę w stronę rufy statku i nagle zobaczył dinozaury! Bawiły się ze sobą, biegając między majaczącym w mroku wyposażeniem jednostki. Alan widział je tylko przez chwilę, ale nawet w tak słabym świetle zdążył dostrzec, że poruszały się tylko na tylnych kończynach, utrzymując równowagę dzięki grubym ogonom. Miały może po pół metra wysokości czy też odrobinę więcej...

– No i co, widzisz wreszcie? – dopytywała się Lex.

– Widzę.

– Co to za dinozaury?

– Welociraptory. Młode. Dostrzegłem dwa, ale może być ich więcej.

– Jezus Maria! – wykrzyknął Ed. – Przecież ten statek płynie na stały ląd!

– Nie ma co się tym tak podniecać – uspokoił go Ian, wzruszając ramionami. – Wywołajcie przez radio kapitana i powiedzcie, żeby zawrócił.

Ed sięgnął do samochodu po krótkofalówkę. Rozległy się donośne gwizdy i trzaski. Ed zmieniał kanały.

– Ta krótkofalówka chyba się zepsuła – stwierdził. – Nic z tego.

Podbiegł do pierwszego samochodu i wskoczył do środka. Po chwili powiedział sfrustrowany:

– W obydwu krótkofalówkach tylko wyje. Nie mogę wywołać statku.

– W każdym razie jedźmy już – skwitował Alan.

* * *

Robert Muldoon stał przy wielkich oknach sterowni i patrzył na park. Punktualnie o dziewiętnastej na całej wyspie Nublar zapaliły się kwarcowe reflektory, zamieniając Park Jurański w istny klejnot przyrody, iskrzący się aż do południowego krańca wyspy. Robert

uwielbiał ten moment, to była dla niego najprzyjemniejsza pora dnia. W głośnikach rozlegały się radiowe trzaski.

– Auta znowu ruszyły – zameldował Arnold. – Wracają do nas.

– Dlaczego się zatrzymali? – spytał Hammond. – I dlaczego nie możemy się z nimi porozumieć?

– Nie wiem. Może powylączali krótkofalówki.

– To pewnie z powodu burzy – uznał Robert. – Burze powodują zakłócenia radiowe.

– Za dwadzieścia minut tutaj będą – powiedział starszy pan. – Lepiej dajcie znać kucharzom, żeby przygotowali jedzenie. Dzieci na pewno zgłodniały.

John Arnold podniósł słuchawkę i usłyszał nieprzerwany monotonny szum.

– Co to jest? Co się dzieje?!

– O Jezu, odłóż tę słuchawkę, człowieku, bo przerwiesz strumień danych! – rzucił Dennis Nedry.

– Zająłeś wszystkie linie telefoniczne? Nawet sieć wewnętrzną?!

– Zająłem wszystkie linie, które łączą wyspę ze światem zewnętrznym – wyjaśnił Dennis.

– Ale połączenia wewnętrzne powinny być możliwe.

– Wygląda na to, że nie są.

– No to przepraszam. Zwolnię wam parę linii pod koniec następnej transmisji, to będzie za jakiś kwadransik. – Dennis ziewnął. – Posiedzę tu chyba ciurkiem do końca niedzieli... No, to skoczę se po tę colę. – Sięgnął po torbę i ruszył do drzwi. – Tylko nie dotykajcie mojego komputera, dobra?

I wyszedł.

– Co za odrażający typ! – skomentował starszy pan.

– Fakt – przyznał Arnold. – Ale chyba wie, co robi.

* * *

Jasne reflektory terenowych toyot sprawiały, że w mglistych oparach wydobywających się z gejzerów tworzyły się małe tęcze.

– Ile czasu trwa rejs statku stąd do stałego lądu? – spytał przez radio Alan.

– Mniej więcej osiemnaście godzin – odpowiedział Ed. – Statek dobrze radzi sobie z wysoką falą. – Spojrzał na zegarek. – Powinien dobić do brzegu jutro koło jedenastej.

Alan się skrzywił.

– Nadal nie możesz wywołać jego załogi?

– Jak dotąd mi się nie udało.

– A czy możesz połączyć się z Hardingiem?

– Też nie, próbowałem. Może wyłączył krótkofalówkę?

– To znaczy, że nikt oprócz nas nie będzie wiedział, że na tym statku są welociraptory. – Ian pokręcił głową.

– Próbuję wywołać kogokolwiek – zapewnił Ed. – Jezus Maria, przecież te potwory nie mogą znaleźć się na wybrzeżu!

– Ile czasu będziemy jeszcze jechali?

– Stąd... jeszcze jakieś szesnaście czy siedemnaście minut – ocenił Regis.

Wzdłuż całej trasy porozmieszczane były reflektory. Alan czuł się, jakby jechał przez jasnozielony tunel z liści. Na przednią szybę skapywały wielkie krople deszczu. Nagle samochód zwolnił i się zatrzymał.

– Co teraz będzie? – spytał.

– Nie chcę się już zatrzymywać – poskarżyła się Lex. – Po co stoimy?

I wtedy niespodziewanie w całym parku zgasło światło. Zapanowała nieprzenikniona ciemność.

– Ej, co jest?! – krzyknęła Lex.

– Pewnie tylko wyłączyło się zasilanie czy coś – odpowiedział Ed. – Reflektory na pewno zaraz się zapalą.

* * *

– Co się dzieje, do cholery? – John Arnold wpatrywał się w monitory.

– Co się stało? – zawtórował mu Muldoon. – Awaria zasilania?

– Tak, ale tylko w głębi wyspy. W całym naszym budynku jest prąd, wszystko działa. Za to na dworze – nic. Oświetlenie, kamery... po prostu nic.

Monitory przestały pokazywać cokolwiek.

– A co z samochodami?

– Land cruisery zatrzymały się gdzieś w okolicach terenu dla tyranosaurów.

– No to zadzwoń do mechaników i powiedz, żeby przywrócili zasilanie.

John podniósł słuchawkę jednego z telefonów i usłyszał odgłosy transmisji danych – to „rozmawiały” ze sobą komputery Nedry'ego.

– Telefony są zajęte przez tego cholernego Nedry'ego. Nedry! Gdzie on się, do diabła, podział?!

* * *

Dennis otworzył drzwi z napisem ZAPŁADNIANIE. Awaria zasilania w głębi parku wiązała się z wyłączeniem wszystkich otwieranych na karty zamków – w tej chwili wszystkie drzwi w budynku otwierały się po naciśnięciu klamki.

Duża część błędów w systemie komputerowym Parku Jurajskiego powodowała właśnie problemy związane z systemem bezpieczeństwa. Dennis zastanawiał się, czy ktoś wie, że powiązanie otwarcia zamków z awarią prądu nie było błędem, ale że specjalnie to zaprogramował. Wbudował w ten sposób w system coś w rodzaju wyjścia ewakuacyjnego. Mało który twórca dużego systemu komputerowego opiera się pokusie zostawienia sobie możliwości włamania się doń. Poza tym tak nakazywał zdrowy rozsądek – jeśli

niedoświadczeni użytkownicy zablokują dostęp do systemu, nie będą potrafili się do niego dostać i wezwą jego twórcę na pomoc, zawsze będzie można jej udzielić i naprawić, co trzeba. Wreszcie był to rodzaj budzącego emocje podpisu, coś w rodzaju specyficznego „tu byłem”.

W przypadku Parku Jurajskiego Dennisowi chodziło głównie o zabezpieczenie się na przyszłość. Twórcy tego przedsięwzięcia denerwowali go: na zaawansowanym etapie realizacji projektu kierownictwo InGenu zażądało poważnych zmian w systemie, a jednocześnie wcale nie zamierzało za nie płacić, tylko upierało się, że obejmuje je podpisana na początku umowa. Grożono Dennisowi procesami, wysłano listy do innych jego klientów, w których powiadamiano, iż nie można na nim polegać. Po prostu go szantażowano. Ostatecznie Nedry był zmuszony przelknąć złość i wprowadzić zmiany, których domagał się Hammond.

Dlatego gdy do Dennisa zwrócił się Lewis Dodgson z Biosynu, ten uważnie go wysłuchał. Co więcej, mógł zgodnie z prawdą pochwalić się, iż potrafi obejść zabezpieczenia Parku Jurajskiego. Mógł dostać się do każdego pomieszczenia na wyspie i do każdego fragmentu jej systemu komputerowego z tego prostego powodu, iż tak go, na wszelki wypadek, zaprogramował.

Wszedł do sali, gdzie zapładniano jaja. Była pusta – zgodnie z jego przypuszczeniami wszyscy pracownicy poszli na kolację. Dennis rozpiął torbę i wyjął spreparowaną puszkę pianki do golenia Gillette. Odkręcił dolną część. Wnętrze puszek było podzielone na kilkanaście cylindrycznych pojemniczków.

Założył grube, chroniące przed ekstremalnymi temperaturami rękawice i otworzył drzwi chłodni. Widniał na nich napis: ZDOLNY DO ŻYCIA MATERIAŁ BIOLOGICZNY – TEMP. MIN. -10°C. Chłodnia miała rozmiary dużej szafy, w środku znajdowały się półki sięgające od podłogi do sufitu. Większość z nich była zastawiona odczynnikami i różnymi cieczami w plastikowych torebkach. Pod jedną ze ścian stała nieduża zamrażarka zawierająca ciekły azot. Dennis otworzył jej grube ceramiczne drzwi i wśród białych oparów azotu wysunął się ze środka stelaż z małymi folkami.

Embriony były opisane: „Stegozaur”, „Apatozaur”, „Hadrozaur”, „Tyranozaur”... Każdy z nich tkwił w szklanej fiole, owinięty folią aluminiową. Probówki zamknięto korkami z polimeru. Dennis szybko wyjął po dwie folki z embrionami każdego z rodzajów dinozaurów i umieścił je w przerobionej puszcze po piance.

Skończywszy, zmontował puszkę, a następnie przekręcił wierzchnią część. Rozległ się syk gazu i puszka natychmiast pokryła się szronem. Dodgson zapowiedział, że zawarta w puszcze substancja chłodząca utrzyma embriony w stanie zamrożenia przez trzydzieści sześć godzin. Wystarczy, aby znaleźć się w San José, myślał Dennis.

Opuścił chłodnię i schował puszkę do torby, a potem wyszedł z laboratorium na korytarz. Cała kradzież zajęła mu niecałe dwie minuty. Wyobrażał już sobie konsternację w sterowni; z pewnością znajdujący się tam ludzie pomału zaczynają zdawać sobie sprawę z sytuacji. Kody

bezpieczeństwa zostały zmienione, wszystkie linie telefoniczne zajęte... Doprowadzenie systemu do normalnego funkcjonowania zajęłoby im parę godzin. Ale za kilka minut wrócę do sterowni i wszystko naprawię, myślał.

I nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, co zrobiłem w międzyczasie.

Uśmiechając się pod nosem, Dennis zszedł na parter, kiwnął głową w stronę strażnika i ruszył dalej, do piwnicy. Minął równe rzędy elektrycznych toyot i podszedł do benzynowego jeepa. Wsiadając do niego, zobaczył, że na fotelu pasażera leży jakaś dziwna rura. Przypominała z wyglądu wyrzutnię rakiet. Dennis przekręcił kluczyk w stacyjce i spojrzał na zegarek.

Trzy minuty jazdy stąd do przystani na wschodnim wybrzeżu wyspy, liczył. I trzy minuty na powrót do sterowni parku. To naprawdę chwila.

* * *

– Cholera jasna! – wściekał się Arnold, bezskutecznie próbując wydawać polecenia systemowi. – Nic nie działa normalnie!

Muldoon wciąż stał przy oknie. Oświetlenie wyspy zgasło, nie licząc otoczenia głównego kompleksu budynków. Zobaczył kilku pracowników biegnących, by schronić się przed deszczem. Chyba nikt nie zdawał sobie sprawy, że dzieje się coś złego. Robert popatrzył na hotel – tam świeciło się wszystko, co trzeba.

– Niedobrze! – jęknął John Arnold. – Naprawdę niedobrze!

– Co się dzieje? – Robert popatrzył na Johna, odwracając głowę. Nie zobaczył wyjeżdżającego z podziemnego garażu jeepa, który ruszył na wschód drogą służącą do obsługi technicznej parku.

– Ten idiota Nedry wyłączył wszystkie systemy bezpieczeństwa! – krzyknął John. – Cały budynek stoi otworem! Zamki w drzwiach nie działają i można otworzyć każde pomieszczenie!

– Powiadomię ochronę – rzucił Robert.

– To jeszcze nie jest najgorsza wiadomość – ciągnął Arnold. – Najgorsze jest to, że kiedy wyłączy się system bezpieczeństwa, wyłączają się też wszystkie ogrodzenia w parku.

– Słucham?

– Wyłącza się napięcie na płotach! W tej chwili na całej wyspie żadne z ogrodzeń nie jest pod napięciem.

– To znaczy, że...

– Właśnie tak! Dinozaury mogą sobie uciekać. – John zapalił papierosa. – Pewnie żaden tego nie robi, ale nigdy nic nie wiadomo...

– Lepiej pojedę po ludzi w tych dwóch samochodach i ich sprowadzę – powiedział Robert, idąc w stronę drzwi.

Zbiegł po schodach do garażu. Tak naprawdę nie martwił się zbyt o brak napięcia na płotach. Większość dinozaurów przebywała bowiem na swoich terytoriach od co najmniej

dziewięciu miesięcy i nieraz dotykały już ogrodzeń, doznając solidnego porażenia prądem. Robert dobrze wiedział, że zwierzęta bardzo szybko uczą się unikać przykrych zdarzeń. Gołębiowi laboratoryjnemu wystarczy do tego zaledwie dwa, najwyżej trzy bardzo nieprzyjemne bodźce, myślał. Mało prawdopodobne, aby dinozaurom nagle przyszło do łbów podejść teraz do płotów.

Bardziej niepokoił się tym, co zrobią goście, którzy nagle utknęli w ciemnym parku. Lepiej, żeby nie wysiadali z samochodów, bo kiedy pojawi się napięcie, land cruisery ruszą, niezależnie od tego, czy ktoś będzie w nich siedział, czy nie. Ci ludzie mogą zostać sami w środku parku, myślał Robert. Na szczęście pada, więc wątpię, żeby wysiadali. Ale nigdy nic nie wiadomo.

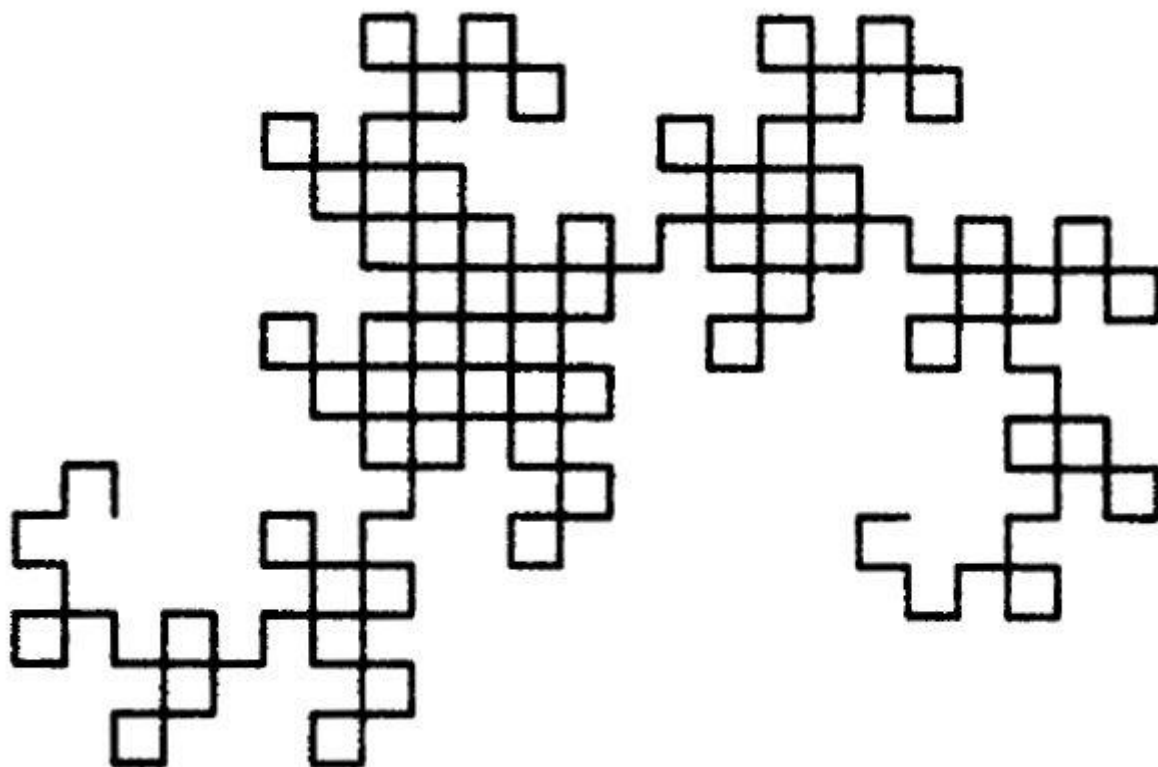
Biegł w stronę jeepa. Dobrze, że zawczasu wrzuciłem do środka wyrzutnię rakiet, pomyślał. Dojadę do nich w mgnieniu...

Jak to?!

– Co jest, do cholery?! – krzyknął. Ze zdumieniem wpatrywał się w puste miejsce parkingowe. Jeepa nie było!

Co tu się dzieje?!

ITERACJA CZWARTA



W nieunikniony sposób zaczyna się ujawniać ściśle związana z charakterem zjawiska niestabilność.

Ian Malcolm

GŁÓWNA DROGA

Deszcz bębnił głośno w dach samochodu. Tim stwierdził, że gogle noktowizyjne, które ma na głowie, są ciężkie. Sięgnął do gałki koło ucha i zwiększył wzmocnienie obrazu. Błysnęło nagle światło, a potem Tim zobaczył zielony obraz toyoty z dwoma profesorami. Fajnie to wygląda!

Pan profesor Grant wyjrzał przez przednią szybę, po czym sięgnął po krótkofalówkę. W głośniku rozległy się trzaski, a potem głos pana profesora:

- Widzicie nas?
- Ja widzę – powiedział Tim do mikrofonu.
- Wszystko w porządku?
- Tak, panie profesorze.
- Nie wysiadajcie z samochodu.

– Dobrze, nie będziemy wysiadali.

– Leje jak z cebra! – burknął pan Regis. – Pewnie, że zostaniemy w samochodzie.

Tim popatrzył na liście. W goglach wydawały się jasne, za nimi widać było kawałek płotu. Samochody zatrzymały się w połowie pagórka, to znaczy, że są gdzieś blisko tyranozaurów. Ale by było, zobaczyć tyranozaura przez te gogle! – myślał Tim. Naprawdę to byłby niezły widok! Może tyranozaur podszedłby akurat do płotu, żeby na nas popatrzeć? Ciekawe, czy przez gogle oczy tyranozaura by świeciły? Byłby niezły czad!

Tyranozaura nie było jednak widać, więc po chwili Tim odwrócił głowę. Nikt się nie odzywał, tylko deszcz walił w dach toyoty. Woda zalewała okna tak bardzo, że nie było dobrze widać nawet w goglach noktowizyjnych!

– Jak długo tu stoimy? – spytał profesor Malcolm.

– Nie wiem, ze cztery, pięć minut.

– Zastanawiam się, co się stało.

– Może to spięcie spowodowane deszczem?

– Ale awaria nastąpiła, zanim się rozpadło.

Znów nastała chwila ciszy.

– Ale nie ma błyskawic, prawda? – spytała cicho przestraszona Lex. Zawsze bała się piorunów i teraz siedziała niespokojnie, ściskając nerwowo rękawicę baseballową.

– Słucham? Nie zrozumieliśmy dobrze... – rozległ się głos profesora Granta.

– To tylko moja siostra coś powiedziała – wyjaśnił Tim.

– Aha.

Tim znowu popatrzył uważnie pomiędzy liście, ale niczego tam nie było, w każdym razie na pewno niczego tak wielkiego jak tyranozaur. Czy tyranozaury chodzą po ciemku? Czy prowadzą nocny tryb życia? Tim nie wiedział. Miał przeczucie, że tyranozaury nie boją się ani złej pogody, ani nocy, ani dnia. Na pewno wszystko im jedno, jaka jest pora.

Deszcz ciągle lał.

– Ale ulewa! – odezwał się Regis. – Nieźle się rozpadło...

– Jestem głodna! – przypomniała Lex.

– Wiem, malutka, ale na razie utknęliśmy tutaj. Te samochody napędza prąd z kabla, który biegnie pod drogą.

– Jak długo będziemy stali?

– Aż naprawią prąd.

Tim słuchał, jak pada deszcz, i zachciało mu się spać. Ziewnął i odwrócił głowę. I wtedy nagle samochód zatrząsł się i rozległ się taki odgłos, jak gdyby spadło coś ciężkiego. Chłopiec odwrócił szybko głowę i zobaczył, jak między samochodami przebiegło coś wielkiego i ciężkiego.

– O Boże! – krzyknął.

– Co to było?

– Coś wielkiego jak samochód!

- Tim! Jesteś tam? Słyszysz mnie?
- Tak, słyszę, jestem.
- Widziałeś, co to było?
- Nie, uciekło.
- Co to, do licha, było? – odezwał się profesor Malcolm.
- Tim, czy masz na głowie gogle noktowizyjne?
- Tak. Będę się rozglądał – obiecał Tim.
- Czy to był tyranozaur? – zapytał Regis.
- Chyba nie, bo to przebiegło przez drogę.
- I nie widziałeś, co to było? – upewnił się Regis.
- Nie.

Tim poczuł się winny, że nie zdążył rozpoznać gatunku dinozaura. Nagle błysnęła błyskawica, która poraziła jego oczy jasnozielonym blaskiem. Zamrugał i zaczął liczyć, żeby wiedzieć, jak daleko jest burza.

Minęły dwie sekundy, kiedy huknął potężny grzmot. Burza jest tuż-tuż!

- Nieee! – Lex zaczęła płakać ze strachu.
- Nie bój się, Lex, to tylko błyskawica – pocieszył ją Regis.

Tim znowu patrzył uważnie między liście. Deszcz sprawiał, że liście się ruszały, właściwie wszystko się ruszało jak zwierzęta! Ale Tim wypatrywał między li...

Zobaczył, że za liśćmi coś jest.

Podniósł głowę. Za płotem stało ogromne zwierzę, grube, i miało takie jakby górkę, nierówną skórę, trochę jak kora drzewa. Ale to na pewno nie było drzewo... Tim patrzył coraz wyżej...

Zobaczył gigantyczny łeb tyranozaura. Stwór stał i patrzył nad płotem na samochody. Znowu błysnęło, a wtedy potwór obrócił łeb i ryknął grubym głosem.

- Tim?
- Słucham, panie profesorze.
- Czy widzisz, co to jest?
- Tak.

Timowi wydawało się, że profesor Grant mówi tak, żeby Lex się nie bała.

- Co się teraz dzieje?
 - Nic. – Tim przyglądał się uważnie tyranozaurowi przez gogle noktowizyjne. – Stoi sobie po drugiej stronie płotu.
 - Prawie nic nie widzimy.
 - Ja widzę bardzo dobrze. Stoi i nic nie robi.
 - Aha...
- Lex nie przestawała płakać.

Przez chwilę nic się nie działo, tylko Tim patrzył na tyranozaura. Ależ on ma wielką tę paszczę! Nagle tyranozaur popatrzył na pierwszy samochód, potem na drugi i znowu na pierwszy. Teraz chyba zerkał wprost na Tima...

Oczy tyranozaura świeciły jasnozielono! Tak wyglądały, kiedy patrzyło się na nie przez gogle.

Tim poczuł dreszcz. Spojrzał w dół i zobaczył mniejszą, ale bardzo umięśnioną górną łapę tyranozaura. Tyranozaur machnął nią, a potem złapał za płot.

– Boże! – krzyknął pan Regis, wyglądając przez okno.

* * *

Największy drapieznik, jaki kiedykolwiek chodził po Ziemi... Najstraszliwszy atak w historii ludzkości... – myśli kołatały się w głowie przyzwyczajonego do opowiadania historii Eda. Poczuł, że trzęsą mu się kolana. Dygotał tak bardzo, że nogawki jego spodni łopotały jak fagi na wietrze. Był potwornie przerażony. Chciał natychmiast znaleźć się gdzie indziej. Spośród osób siedzących w samochodach tylko on wiedział, jak naprawdę wygląda atak dinozaura na człowieka. Co dzieje się z ludźmi... Widział poszarpane ciała tych, których zabił welociraptor. Stały mu teraz przed oczami... Ale to nie był welociraptor, tylko tyranozaur! Olbrzymi potwór, o wiele większy od welociraptora! Największe mięsożerne zwierzę, jakie kiedykolwiek stąpało po Ziemi!

Jezus Maria!

Ryk tyranozaura, prawdziwej Godzilli z innego, wymarłego świata, był tak przerażający, że Ed poczuł ciepło rozchodzące się po spodniach i stwierdził, że zmoczył się ze strachu. Zawstydził się, ale wciąż potwornie się bał. Jednak wiedział, że musi coś zrobić. Coś trzeba zrobić! Jego drżące ręce biegały po desce rozdzielczej.

– O Jezu! – jęknął znowu.

* * *

– Nie wyrażaj się. – Lex pogroziła palcem.

Tim usłyszał, że otwierają się drzwi, więc odwrócił wzrok od tyranozaura. W goglach błysnęły poziome kreski, a potem Tim zobaczył, że Regis otwiera drzwi samochodu i wyskakuje na deszcz, kuląc się.

– Hej, dokąd idziesz? – spytała Lex.

Regis tylko skręcił i biegł, żeby jak najszybciej oddalić się od tyranozaura. Szybko zniknął w lesie. Zostawił otwarte drzwi; deszcz moczył fotele toyoty.

– On uciekł! – krzyknęła Lex. – Dokąd on pobiegł? Zostawił nas samych!

– Zamknij drzwi – polecił Tim, ale tak się bał, że też zaczął krzyczeć: – On uciekł! Zostawił nas samych!

– Tim, co tam się dzieje?! – zapytał przez radio profesor Grant. – Tim?

Chłopiec wyciągnął rękę, żeby zamknąć drzwi, ale nie mógł sięgnąć, bo siedział na tylnym siedzeniu. Znów popatrzył na tyranozaura. Akurat błysnęła kolejna błyskawica, więc przez chwilę widać było dobrze ciemny kształt potwora i białe, rażące w oczy niebo.

– Co się stało, Tim?!

– On uciekł i nas zostawił!

Tim mrugał szybko, żeby znowu zacząć widzieć. Kiedy mógł już patrzeć na tyranozaura, ten ciągle stał, nie ruszał się i był bardzo wielki. Po jego paszczy ściekała woda. Trzymał się niby-ręką płotu...

On trzyma się płotu! Tim zrozumiał, że płot też nie jest teraz pod napięciem!

– Lex, zamknij wreszcie te drzwi!

– Tim! – krzyknął do mikrofonu profesor Grant.

– Jestem, panie profesorze.

– Co się dzieje?

– Pan Regis uciekł.

– Słucham?!

– Uciekł do lasu. Chyba zobaczył, że w płocie nie ma prądu – wyjaśnił Tim.

– Jak to: nie ma prądu? – To był profesor Malcolm. – Czy on powiedział, że płot nie jest teraz pod napięciem?!

– Lex, zamknij drzwi! – krzyczał Tim, ale Lex płakała tylko i krzyczała: – On uciekł i nas zostawił! – I wyła dalej. Tim wysiadł na deszcz i zamknął przednie drzwi samochodu. Huknął grzmot i znowu błysnęło. W świetle błyskawicy Tim zobaczył, że tyranozaur miażdży płot olbrzymią tylną nogą!

– Tim!

Tim wskoczył do toyoty. Natychmiast uderzył grzmot tak potężny, że zupełnie zagłuszył trzask zamykających się drzwi.

– Tim, jesteś tam?!

– Jestem! – rzucił chłopiec do mikrofonu. – Lex, zablokuj jedno i drugie drzwi i siedź w środku. I bądź cicho!

Tyranozaur obrócił głowę i niezdarnie zrobił krok do przodu. Jego ostre szpony zaczęły o druty rozwalonego płotu. Lex dopiero teraz zobaczyła tyranozaura i natychmiast przestała krzyczeć i się wiercić. Patrzyła tylko przerażona, wytrzeszczając oczy.

– Tim! – odezwał się profesor Grant.

– Jestem.

– Zostańcie w samochodzie, pochylcie się nisko i bądźcie cicho. Nie ruszajcie się i nie hałasujcie.

– Dobrze.

– Nic nie powinno wam się stać. Raczej nie da rady otworzyć samochodu.

– Dobra!

– Tylko siedźcie cicho, żeby nie zwracać jego uwagi.

– Dobrze. Słyszysz, Lex?

Dziewczynka pokiwała głową. Cały czas patrzyła na tyranozaura. A on ryknął po raz drugi. Znow błysnęło i było widać, że tyranozaur wyplątał się, zrobił wielki krok do przodu, i teraz stał między samochodami. Zasłonił zupełnie toyotę profesora Granta. Tim widział tylko wielkie cielsko, a głównie grube, umięśnione nogi o nierównej skórze, po jej grudkach spływał deszcz. Łeb tyranozaura musiał być gdzieś wysoko.

Tyranozaur znowu zrobił krok, podchodząc do samochodu Tima i Lex. Teraz stał tam, gdzie przed chwilą Tim, kiedy zamykał drzwi. I tam gdzie wyskoczył Regis. Tyranozaur nie szedł dalej, tylko opuścił paszczę prawie do ziemi...

Tim obejrzał się za siebie i zobaczył, że dwaj panowie profesorowie patrzą z niepokojem w jego stronę.

Głowa tyranozaura uniosła się trochę, otworzył pysk i prawie przytknął go do bocznych szyb samochodu. W świetle błyskawicy Tim i Lex zobaczyli wielkie gadzie oko patrzące bez wyrazu. Ruszało się.

Tyranozaur zagląda do ich samochodu!

Lex zaczęła sapać z przerażenia. Tim złapał ją za rękę. Miał nadzieję, że siostra będzie siedziała cicho! Dinozaur patrzył i patrzył. A może on nas dobrze nie widzi? – pomyślał Tim. Wreszcie łeb i paszcza uniosły się i znikły.

– Tim! – szepnęła Lex.

– Cicho. Nie martw się, on chyba nas nie zauważył.

Tim spojrział na profesora Granta, ale nagle samochód gwałtownie podskoczył, a przednia szyba popękała jak pajęczyzna! To tyranozaur walnął paszczą w maskę! Tim aż przewrócił się na siedzenie i spadły mu gogle.

Zerwał się szybko i zamrugał, bo prawie nic nie widział. Poczuł w ustach ciepłą krew.

– Lex? – Nigdzie nie widział siostry.

Tyranozaur stał przed samochodem, widać było, jak jego pierś unosi się i opada, kiedy oddychał. Poruszał szponami na górnych kończynach.

– Lex! – Tim usłyszał, że Lex jęczy. Pewnie leży pod przednim siedzeniem.

Wtedy olbrzymi łeb dinozaura znowu się opuścił, aż zasłonił cały widok za popękaną przednią szybą. Tyranozaur walnął paszczą w maskę land cruisera. Tim złapał się przedniego siedzenia, bo samochód zaczął strasznie się kołysać. Potwór uderzył w maskę jeszcze dwa razy, zrobiła się bardzo pogięta.

A potem zrobił krok i znowu był z boku. Teraz jedyne, co Tim widział przez boczne szyby samochodu, to uniesiony gruby ogon tyranozaura. Potwór prychnął i prawie równocześnie huknął grzmot. I nagle tyranozaur złapał w paszczę koło zapasowe zamontowane na tylnych drzwiach i oderwał je. Tył samochodu podniósł się na chwilę i opadł w błoto.

– Tim! – krzyknął profesor Grant. – Żyjesz?

– Żyję, nic nam nie jest! – odkrzyknął Tim, odczepiając krótkofalówkę od deski rozdzielczej. Równocześnie rozległ się okropny zgrzyt – to tyranozaur przejechał szponami

po dachu toyoty. Serce Tima waliło jak młotem. Dinozaur zasłaniał cały widok z prawej, widać było tylko grubą pomarszczoną skórę podobną do skóry krokodyla. Oparł cielsko o samochód, który kołysał się teraz w rytm jego oddechu. Słyszał było głośny szcęk resorów i blach nadwozia.

Lex znowu jęknęła. Tim odłożył krótkofalówkę i spróbował przepelznąć pomiędzy oparciami przednich foteli. Tyranozaur tymczasem ryknął i dach wgiął się do środka. Tim poczuł nagle w głowie silny ból i poleciał na podłogę samochodu, prosto na wystający tunel wału napędowego. Zobaczył, że obok niego leży siostra. Przeraził się. Cały bok głowy miała we krwi i chyba była nieprzytomna!

Samochód znowu zatrząsł się gwałtownie i na siedzenia posypały się kawałki szyby. Zaraz potem Tim poczuł, że pada na niego deszcz. Podniósł wzrok i zobaczył, że przedniej szyby już nie ma, a tuż za dziurą po szybie widnieje ogromny łeb tyranozaura.

On patrzył na Tima!

Chłopiec poczuł nieprzyjemny dreszcz i zaraz potem łeb ruszył w jego stronę, a paszcza się otwierała. Zęby dinozaura zgrzytnęły o blachę samochodu. Tim poczuł gorący, śmierdzący oddech potwora, do samochodu wsunął się jego wielki gruby jęzor. Był mokry, uderzył o fotele i wtedy na Tima połała się gorąca ślina.

Zaraz potem rozległ się straszliwy hałas – to tyranozaur zaryczał, prosto do samochodu!

I nagle olbrzymi łeb zniknął.

Tim podniósł się ostrożnie, uważając, żeby nie uderzyć głową o wgięty do środka dach. Z prawej strony było dosyć miejsca, by usiąść w fotelu. Tyranozaur stał tuż przy przednim zderzaku. Chyba był zdziwiony tym, co się stało. Z jego paszczy lała się krew.

Znowu popatrzył na Tima, przekręcając łeb, żeby dobrze przyjrzeć się jednym okiem. A potem łeb i paszcza przysunęły się do przodu i boku toyoty. Dinozaur zaglądał do środka. Jego krew lała się na maskę, mieszając się z deszczem.

On mnie nie zje, bo jest za wielki! – pomyślał Tim.

Wtedy łeb cofnął się i w świetle błyskawicy Tim zobaczył, że dinozaur podnosi olbrzymią tylną nogę. Zaraz potem widok za oknem jakby poleciał na bok i samochód przewrócił się oknami w błoto! Nieprzytomna Lex uderzyła w boczną szybę. Tim spadł koło siostry i walnął się w głowę tak mocno, że zaczęło mu się w niej kręcić. Znowu zobaczył paszczę tyranozaura, potwór złapał za boczne słupki z drugiej strony, podniósł land cruisera z ziemi i zaczął nim trząść!

– Tim! – krzyknęła Lex prosto do ucha Tima. Aż go zabolalo. Ocknęła się nagle. Chłopiec przytulił ją, a tyranozaur puścił samochód. Tim poczuł okropny, ostry ból w boku, bo Lex spadła na niego. Potem samochód znowu zaczął się unosić, pod dziwnym kątem. – Tim! – krzyknęła przerażona Lex i Tim zobaczył, że w dole otwierają się drzwi i jego młodsza siostra wypada z samochodu w błoto. Zanim zdążył krzyknąć, poczuł się jak na karuzeli. Pnie palm jakby poleciały w dół, mijając go, potem skrzyły w bok, później zobaczył błoto – i było

bardzo daleko w dole! Tyranozaur znowu ryknął, dmuchając gorącym powietrzem. Tim zobaczył jeszcze jego rozgniewane oko i czubki palm, i...

Rozległ się okropny odgłos darcia metalu i samochód wypadł dinozaurowi z paszczy. Żołądek podskoczył Timowi do gardła, tak szybko spadał razem z samochodem. I nagle zrobiło się zupełnie czarno i cicho.

* * *

– Jezus Maria, co się stało z tym samochodem?! – krzyknął przerażony Ian.

Alan mrugał szybko. Widział w świetle kolejnej błyskawicy, że toyota przed nimi zniknęła. Nie mógł w to uwierzyć. Wyteżył wzrok, żeby zobaczyć coś po ciemku przez zalewaną deszczem szybę. Cielsko tyranozaura jest tak ogromne, że pewnie zasłoniło...

Nie! Błysnęło znowu i Alan stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że pierwszego land cruisera nie ma!

– Co się z nimi stało? – spytał Ian.

– Nie wiem...

Wtedy Alan usłyszał stłumiony krzyk dziewczynki. Dinozaur stał na środku pograżonej w ciemności drogi. Pochylił głowę i zaczął węszyć, niemal dotykając paszczą ziemi. Nic więcej nie było widać.

A może on... je coś, co leży na ziemi?!

– Widzisz, co on robi? – dopytywał się Ian.

– Nie za bardzo. – Alan znowu słyszał tylko bębnienie deszczu o dach samochodu. Nasłuchiwał, czy mała Lex znowu krzyknie, ale więcej się nie odezwała. Ian i Alan siedzieli bez ruchu, wyteżając słuch.

– Czy to była ta mała? – odezwał się w końcu Ian. – Wydawało mi się, że to ona.

– Tak, to była ona.

– Czy on...

– Nie wiem. – Nagle Alan poczuł się bardzo zmęczony. Widział przez deszcz, jak tyranozaur podchodzi do nich. Jego kroki nie były szybkie, ale ogromne...

– Wiesz co, w takich chwilach człowiek sobie myśli, że być może wymarłe zwierzęta powinny na zawsze pozostać wymarłe... Nie uważasz? – powiedział Ian.

– Tak. – Alan czuł, że serce wali mu jak młotem.

– Ee... Czy masz jakieś sugestie, co powinniśmy teraz zrobić?

– Nic nie przychodzi mi do głowy – wyznał Alan.

Nagle Ian otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i rzucił się do ucieczki. Alan wiedział, że jest już za późno – tyranozaur stoi zbyt blisko. Ciemność rozdarła kolejna błyskawica i przerażony Alan zobaczył, jak dinozaur z rykiem rzuca się do ataku.

Ian biegł. Z początku słychać było, jak rozchlapuje butami błoto. Tyranozaur doskoczył do niego i schylił olbrzymi łeb. Zaraz potem Ian poleciał w powietrze jak szmaciana lalka.

W tym samym czasie Alan także wyskoczył z samochodu, znajdując się nagle pośród zimnej, bijącej w niego mocno ulewy. Tyranozaur był odwrócony do niego tyłem, w powietrzu poruszał się jego olbrzymi ogon. Alan zamierzał skoczyć w las, ale zwierzę nagle odwróciło się i ryknęło.

Alan zamarł...

Stał mokry obok nieruchomej toyoty. Nic go nie osłaniało, drapieżny dinozaur był dwa, dwa i pół metra od niego. Olbrzymie zwierzę znów zaryczało. Z tej odległości ryk tyranozaura był przerażająco głośny! Alan zaczął trząść się ze strachu i zimna. Ścisnął kurczowo krawędź drzwi samochodu, żeby przestały dygotać mu ręce.

Tyranozaur ryknął kolejny raz, ale na razie nie atakował Alana. Pochylił głowę i przyjrzał się uważnie samochodowi jednym okiem, potem drugim... I nic.

Po prostu stał.

Co się dzieje? – zastanawiał się przerażony Alan.

Zwierzę otworzyło i zamknęło straszliwą paszczę, ryknęło raz jeszcze, po czym nagle uniosło gigantyczną tylną nogę i uderzyło nią w dach samochodu. Rozległ się okropny zgrzyt metalu i wielkie szpony zsunęły się z toyoty i opadły tuż obok wciąż znieruchomiałego Alana.

Noga dinozaura rozchlapała mnóstwo błota. Jego łeb zniżył się powoli. Tyranozaur zaglądał do samochodu i parskał. Najpierw patrzył przez przednią szybę, potem przesunął paszczę wzdłuż boku land cruisera, po drodze zamykając z traskiem drzwi. Gigantyczna paszcza sunęła prosto na Alana, któremu ze strachu kręciło się w głowie. Poczuł smrodliwy oddech drapieżnika, między jego kłami gniło mięso wcześniejszych ofiar.

Alan napiął się, wiedząc, co nastąpi za moment...

Straszliwa paszcza minęła go, zbliżając się do tyłu samochodu. Alan zamrugał z niedowierzania. Wciąż jest cały.

Co się dzieje?!

Czy to możliwe, że on mnie po prostu nie widzi?! – zastanawiał się. Tak właśnie zachowywał się tyranozaur. Ale jakim sposobem? Alan zerknął do tyłu i zobaczył, że potwór wacha zamontowane z tyłu terenowego land cruisera koło zapasowe. Pchnął lekko oponę paszczą, a potem jego łeb zaczął sunąć z powrotem w stronę Alana.

Tym razem się zatrzymał... Z oddalonych o kilkanaście centymetrów od Alana czarnych nozdrzy wydobywał się gorący oddech. Tyranozaur jednak nie węszył. Po prostu oddychał. I chyba był zakłopotany...

On mnie nie widzi! – pocieszał się w myślach Alan. Nie widzi mnie, kiedy się nie ruszam! I nagle akademicka część umysłu Granta odnalazła odpowiedź na pytanie, dlaczego dinozaur nie wi...

Nagle wielka paszcza otworzyła się tuż przed nim, po czym powędrowała w górę... Alan z całych sił zaciskał pięści i zagryzał wargi, żeby tylko wytrzymać i nie poruszyć się ani nie wydać dźwięku.

Tyranozaur ryknął głębokim basem!

Alan zaczynał rozumieć zachowanie zwierzęcia. Nie widzi go. Podejrzewał, że Alan jest blisko, próbuje więc przerazić go rykiem, żeby poruszył się i zdradził swoje położenie. Jeśli tylko będę stał bez ruchu, pozostanę dla niego niewidzialny! – myślał w napięciu.

Sfrustrowany dinozaur podniósł nagle nogę i kopnął land cruisera, przewracając go. Alan poczuł rozdzierający ból i miał nader nietypowe uczucie, że leci. Wydawało mu się, że dzieje się to powoli, tak że miał mnóstwo czasu, aby poczuć ogarniający go stopniowo chłód i przyjrzeć się błotowi, które zbliżało się, aż wreszcie uderzyło go z całym impetem w twarz.

POWRÓT

– Cholera jasna – zaklął Harding. – Patrzcie.

Jeep zatrzymał się i siedzący w nim ludzie zobaczyli w żółtawym świetle reflektorów, przez mokrą, wycieraną szybko pracującymi wycieraczkami szybę, że drogę blokuje okazałe zwalone drzewo.

– Musiał trafić je piorun. To potężne drzewo! – zauważył Donald Gennaro.

– Nie mamy jak go minąć – stwierdził Harding. – Wezwę Johna Arnolda. – Sięgnął po radiotelefon i zmienił kanał. – Halo, John... Hej, John, jesteś tam?!

Słyszał tylko nietypowe, nieprzerwane zakłócenia.

– Dziwne – mruknął. – Żaden z kanałów radiowych nie działa...

– To też na pewno przez burzę – ocenił Donald.

– Pewnie ma pan rację.

– Niech pan spróbuje jeszcze wywołać toyoty – zaproponowała Ellie.

– Nic z tego – westchnął Harding, kiedy zmienianie kanałów nic nie dało. – Auta wróciły już pewnie do garażu i nie mamy ich w zasięgu. Słuchajcie, moim zdaniem nie powinniśmy tu siedzieć. Zanim obsługa techniczna wyśle odpowiednią ekipę i usunie drzewo, minie kilka godzin.

Weterynarz wyłączył radio i wrzucił wsteczny bieg.

– Co pan robi? – spytała Ellie.

– Wracam do ostatniego skrzyżowania dróg. Pojedziemy drogą dla obsługi. Na szczęście mamy na wyspie i takie drogi. – Jedna sieć dróg jest dla zwiedzających, a drugą jeżdżą opiekunowie zwierząt, ciężarówki z paszą i tak dalej. Droga, którą pojedziemy, jest odrobinę dłuższa i widoki z niej są dużo gorsze, ale i tak może będzie dla was ciekawa. Jeżeli ulewa osłabnie, być może zobaczymy niektóre dinozaury, teraz, po ciemku. Powinniśmy znaleźć się w głównym budynku za jakieś pół godziny, może czterdzieści minut. Jeśli nie pomyłę drogi.

Udało mu się zawrócić i ruszył z powrotem ku południowej części wyspy.

* * *

Wraz z kolejnym błyskiem pioruna w sterowni zgasły nagle wszystkie monitory. John Arnold omal nie zerwał się z fotela. Jezu, awaria w takim momencie?! Nie teraz! Jeszcze

tylko tego brakowało – awarii wszystkich systemów wskutek burzy! Każdy z głównych przewodów zasilających był zabezpieczony przeciwprzepięciowo, jednak John nie miał pewności, jak zabezpieczone są modemy używane w tej chwili przez Nedry'ego. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że można przepalić system komputerowy przez modem: napięcie pochodzące od pioruna może zostać przyłożone do płyty głównej także za pośrednictwem linii telefonicznej. Bzyk – i nie ma komputera... Płyty głównej, RAM-u, twardego dysku...

Monitory zamigotały, po czym komputery uruchomiły się kolejno. John westchnął z ulgą, opadając na oparcie fotela.

Dokąd ten Nedry poszedł? – zastanawiał się. Już przed pięcioma minutami John polecił strażnikom odszukać informatyka. Ten grubas siedzi pewnie na kiblu i ogląda komiks! – wyobraził sobie. Wartownicy jednak nie wracali ani nie meldowali się przez radio.

Przecież gdyby Nedry był w budynku, znaleźliby go w ciągu pięciu minut! – pomyślał John.

– Ktoś zabrał jeepa, kurwa mać! – zaklął od drzwi Robert Muldoon. – Połączyłeś się z gośćmi w land cruiserach?

– Nie mogę ich wywołać – odpowiedział John. – Muszę posługiwać się tą konsolą, bo główna nie działa. To słabe urządzenie, ale powinno wystarczyć. Próbowałem na wszystkich sześciu kanałach. Przecież mają w samochodach radia. Nie wiem, dlaczego nie odpowiadają.

– Niedobrze – ocenił Robert.

– Jeśli uważasz, że trzeba po nich jechać, weź jakąś furgonetkę albo wóz serwisowy.

– Bardzo chętnie, tylko że wszystkie stoją w garażu dwa kilometry stąd! A co z Hardingiem?

– Chyba wraca.

– Jeżeli wraca, to on zabierze gości z land cruiserów, bo spotka ich po drodze.

– Pewnie tak będzie – zgodził się Arnold.

– Czy ktoś przekazał już Hammondowi, że jego wnuki do tej pory nie wróciły?

– Nie! Nie chcę, żeby ten sukinsyn biegał mi tu po sterowni i wrzeszczał. Na razie nic złego się nie stało. Po prostu toyoty utknęły w drodze z powodu awarii zasilania i stoją na deszczu. Goście mogą sobie trochę poczekać, Harding ich przywiezie. Albo wcześniej uda nam się znaleźć tego gnojka Nedry'ego i skłonić go do przywrócenia systemu do normalnego stanu.

– A co, nie możesz sobie poradzić z systemem? – upewnił się Robert.

John pokręcił głową.

– Próbowałem, ale nic z tego, Nedry coś w nim zmienił. Nie wiem dobrze co. Jeśli będę musiał analizować kod, doprowadzenie wszystkiego do ładu zajmie mi kilka godzin. Potrzebny jest Nedry. Trzeba natychmiast znaleźć tego gnojka.

NEDRY

Na bramie wisiała tablica z napisem: BACZNOŚĆ! OGRODZENIE POD NAPIĘCIEM 10 000 V, lecz Dennis otworzył bramę niczym nieosłoniętą ręką. Wrócił do jeepa, przejechał przez bramę, wysiadł i zamknął ją.

Znalazł się w ten sposób w samym Parku Jurajskim, jakieś półtora kilometra od przystani na wschodnim brzegu wyspy. Ruszył energicznie, wciskając mocno pedały gazu i pochylając się, żeby lepiej widzieć przez zalewaną deszczem szybę. Droga była wąska, wiedział, że przekracza bezpieczną prędkość, jednak nie mógł sobie pozwolić na opóźnienie. Ze wszystkich stron śmigały liście gęsto rosnących drzew. Wkrótce powinien jednak zobaczyć plażę i ocean, pojawia się po lewej.

Cholerna burza! – myślał niezadowolony. Może wszystko zepsuć. A jeśli z powodu burzy na przystani nie będzie czekać łódź Dodgsona? Jeśli okaże się, że nie dotarła na czas, cały plan spali na panewce. Nie mogę przecież przebywać na przystani dłużej niż chwilę, bo ci ze sterowni zaczną mnie szukać i nabiorą podejrzeń. Najważniejsze, żebym przekazał puszkę z embrionami i wrócił do sterowni w ciągu kilku minut, zanim ktokolwiek zwróci uwagę na to, że mnie nie ma. Plan jest dobry. Sam go przecież obmyśliłem, zastanowiłem się nad każdym szczegółem. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zarobię półtora miliona dolarów. Tyle bym zarobił w ciągu dziesięciu lat pracy, i to brutto! Jednorazowy zastrzyk gotówki w postaci półtorej bańki zmieni moje życie raz na zawsze. Naprawdę zachowywałem wielką ostrożność i zabezpieczyłem się podczas ostatniego spotkania z Dodgsonem na lotnisku w San Francisco, tuż przed odlotem. Nabujałem mu, że chcę zobaczyć pieniądze, i nagrałem kolesia, na taśmie pada jego nazwisko. Teraz Dodgson nie będzie mógł zapomnieć wypłacić mi drugiej połowy sumy! Dostanie chłopak, razem z embrionami, kopię tego nagrania, więc zorientuje się, o co chodzi. Pomyślałem o wszystkim!

To znaczy prawie o wszystkim. Nie przewidziałem tej burzy.

Nagle coś przebiegło przez drogę. W świetle reflektorów wydawało się białe. Wyglądało jak duży szczur. To chyba musiał być opos. Dziwne, że żyją tu oposy, przecież dinozaury powinny je pozjadać.

Gdzie ta cholerna przystań?!

Dennis jechał szybko, a mimo to wciąż nie widział morza. Jadę już ponad pięć minut. Naprawdę powinienem wreszcie dotrzeć do przystani! – myślał. Pomyliłem drogę? Oj, chyba nie. Przecież nie widziałem żadnych rozwidleń.

To gdzie ta przystań?!

Minąwszy kolejny zakręt, Dennis stwierdził z przerażeniem, że droga kończy się nagle na dwumetrowej betonowej barierze! Wcisnął z całych sił hamulec, jeep stracił przyczepność w błocie, zarzucił... Dennis myślał przez moment, że uderzy z impetem w beton... właściwie wiedział, że tak będzie! Zakręcił kierownicą w ostatnim przytomnym odruchu i samochód

zatrzymał się ostatecznie przed zaporą. Reflektory oświetlały beton z odległości trzydziestu centymetrów.

Dennis znieruchomiał na moment, słysząc tylko wciąż pracujące wycieraczki. Nabrał powietrza i powoli je wypuścił. Obejrzał się za siebie. Nie ma wątpliwości, że zablądziłem. Mogę się cofnąć i poszukać właściwego skrętu, tylko że to za długo potrwa...

Lepiej wysiadę i się rozejrzę. Może jestem blisko celu.

Wyskoczył z jeepa i poczuł ciężkie krople deszczu uderzające w czubek jego głowy. Burza tropikalna, myślał, prawdziwa, leje tak, że aż boli. Popatrzył na zegarek, podświetlając tarczę. Minęło sześć minut. Gdzie ja, do cholery, jestem? Obszedł betonową zaporę. Po jej drugiej stronie do szumu deszczu dołączył energiczny chlupot wody. Czy takie dźwięki może wydawać ocean? Dennis ruszył truchtem, a jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności. Gęsta dżungla po obu stronach, wielkie krople wody bijące w liście...

Chlupot stawał się coraz głośniejszy. Dennis podążał w jego stronę i nagle liście się rozstały, ziemia pod stopami zrobiła się miękka i oczom Dennisa ukazał się ciemny nurt rzeki. Rzeka! To jest rzeka płynąca środkiem dżungli!

Cholera jasna! W którym miejscu rzeki jestem? Płyń praktycznie przez całą wyspę. Dennis znowu spojrzął na zegarek. Minęło siedem minut.

– No to mamy problem! – powiedział na głos.

Odpowiedziało mu ciche pohukiwanie sowy, jakby z nim rozmawiała.

Nie przejmował się sową, tylko martwił o powodzenie swojego planu. Czas mi się skończył! Nie mam wyboru, muszę wracać. Trzeba zrezygnować z pierwotnego planu, dotrzeć do sterowni, przywrócić normalne funkcjonowanie systemu komputerowego, skontaktować się w jakiś sposób z Dodgsonem i uzgodnić przekazanie puszek z embrionami na jutrzejszy wieczór. W tym samym miejscu co dziś. Muszę dobrze się zorganizować, żeby się udało, ale powinno się udać. System rejestruje wszystkie połączenia, więc po wymianie informacji z Dodgsonem będę musiał znowu włamać się do systemu i skasować zapis. A w każdym razie nie mogę łączyć teraz po parku ani chwili dłużej, bo nie wytłumaczę się z tak długiej nieobecności.

Ruszył do samochodu, widział blask jego reflektorów. Był przemoknięty i bardzo niezadowolony. Znowu usłyszał ciche pohukiwanie sowy. Tym razem przystanął. To chyba nie jest sowa... Wydawało się, że ptak czy też zupełnie inne zwierzę znajduje się bardzo blisko, gdzieś między drzewami po prawej!

Nasłuchiwał i usłyszał trzask łamanej gałęzi. Znowu cisza. Dennis czekał. Trzasnęła druga gałąź, nieco bliżej. Chyba coś dużego szło powoli przez dżunglę w jego kierunku...

Duże i blisko – duży dinozaur!

Uciekaj! – pomyślał Dennis.

Zerwał się do biegu. Oczywiście robił przy tym mnóstwo hałasu, ale i tak słyszał gałęzie łamiące się pod nogami wielkiego zwierzęcia. Zahukało znowu! Zbliżało się coraz bardziej!

Dennis potknął się raz i drugi o wystające korzenie, łapał się mokrych liści i rozgarniał gałęzie. Widział już jeepa i snopy światła rozświetlające teren wokół betonowej zapory. To dodało Dennisowi otuchy. Za chwilę wsiądę do samochodu i odjadę, gdzie pieprz rośnie! – ucieszył się. Minął betonową ścianę i...

Zamarł. Dinozaur wyprzedził go i stał tam.

Nie był bardzo blisko, jakieś dwanaście metrów od Dennisa, na skraju oświetlonego reflektorami obszaru. Dennis nie był na wycieczce po wyspie i nie znał gatunków dinozaurów, ale ten był jakiś dziwny. Miał ze trzy metry wysokości i był żółty w czarne kropki, a najbardziej zwracały uwagę dwa duże czerwone grzebienie na jego głowie tworzące literę „V”. Dinozaur nie ruszał się, ale zahukał cicho jeszcze raz.

Nedry stał, czekając, aż potwór rzuci się na niego, ale atak nie następował. Może on boi się światła reflektorów? Tak jak różne drapieżniki trzymają się z dala od ogniska...

Dinozaur wpatrywał się w niego, nagle szarpnął gwałtownie łbem i zaraz potem coś mokrego uderzyło Dennisa w pierś. Pochylił głowę i zobaczył na przemoczonej koszuli jęzor gęstej, spienionej, ściekającej powoli cieczy. Dotknął jej odruchowo, nie rozumiejąc, co się stało...

To plwocina...

Ten dinozaur mnie opluł!

Ale paskudne! Dennis znowu popatrzył na dinozaura, akurat kiedy ten ponownie szarpnął głową. Druga porcja gęstej, mokrej śliny trafiła Dennisa w szyję, tuż nad kołnierzykiem. Starł ją.

Wstrętne jak cholera! – myślał. Tymczasem skóra na szyi zaczynała go palić. I dłoń też! Jakby to był kwas, a nie ślina...

Dennis otworzył drzwi jeepa, zerkając niespokojnie na dinozaura. Nie miał pewności, czy zwierzę nie rzuci się do ataku. W tej samej chwili poczuł nagle straszliwy, niesłychanie ostry ból oczu, zupełnie jakby ktoś wbił mu w oczy igły sięgające aż do tyłu czaszki! Zacisnął z całych sił powieki i aż sapnął z bólu. Zasłonił odruchowo oczy rękami i poczuł, że po policzkach ścieka mu gęsta plwocina dinozaura.

Ten dinozaur napluł mi w oczy!

Ból stał się tak silny, że Dennis osunął się na kolana. Poczuł, że traci orientację, sapał. Upadł na bok, aż poczuł na policzku zimne błoto. Jego oddech stał się płytki, świszczący. Narastający, straszliwy ból świdrował mu oczy, mimo że z całych sił zaciskał powieki! Przed oczami zaczęły mu migać białe błyskawice!

Ziemia się zatrzęsała – to dinozaur ruszył, pohukując spokojnie. Mimo potwornego bólu Dennis z ogromnym wysiłkiem otworzył oczy, ale wciąż widział tylko białe błyski na czarnym tle. Dotarło do niego, co to oznacza.

Ośleplem!

Pohukiwanie stało się głośniejsze. Dennis z najwyższym trudem podniósł się z ziemi, chwiejąc się z powodu mdłości i zawrotów głowy. Pomagał sobie, opierając się o blachę

samochodu. Czuł, po prostu czuł, że dinozaur jest bardzo blisko, słyszał nawet chyba jego cichy charczący oddech.

Ale nic nie widział!

Nie widział zupełnie nic i był przerażony jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

Wyciągnął ręce i zaczął wymachiwać nimi na oślep, jakby mógł w ten sposób powstrzymać nieunikniony atak dinozaura.

A potem znowu poczuł uderzenie bólu, wprost rozdzierającego, jakby ktoś wbił mu w brzuch rozpalone do czerwoności ostrze noża. Zatoczył się i na oślep wyczuł dłońmi rozdarcie koszuli i jeszcze jakąś grubą śliską masę, zaskakująco ciepłą... Zdał sobie sprawę, że trzyma własne wnętrzności! Przerazenie Dennisa nie miało granic. Dinozaur rozorał mu brzuch. Wypadły mu wnętrzności i...

Dennis znowu osunął się na ziemię, a właściwie na coś pochylego i zimnego... to łapa dinozaura! Ułamek sekundy później poczuł kolejne klingi bólu – dwie, po obu stronach głowy. Ten nowy ból wzmagął się, podczas gdy ciężkie ciało Dennisa zostało podniesione z ziemi. Zdażył jeszcze zdać sobie sprawę, że jego głowa znajduje się w paszczy dinozaura! Miał nadzieję, że ten potworny ból nie potrwa zbyt długo!

Była to ostatnia myśl Dennisa Nedry'ego.

BUNGALOW

– Napijesz się jeszcze kawy? – spytał uprzejmie John Hammond.

– Nie, dziękuję. – Henry Wu oparł się wygodnie. – Nie zmieszczę już nic więcej...

Siedzieli w jadalni bungalowu Hammonda, niedaleko budynku laboratoriów, lecz w przyjemnym ustroniu. Henry musiał przyznać, że starszy pan zbudował sobie naprawdę elegancki dom, o oszczędnej, geometrycznej, niemal japońskiej architekturze. Obiad był naprawdę wyśmienity – i to pomimo że nie było jeszcze najlepszych kucharzy!

Henry czuł jednak niepokój. Starszy pan był bowiem inny niż dotąd. Rozmawiając przy posiłku, Henry przez cały czas próbował określić, na czym ta zamiana polega. Stary John rozwodził się długo nad poszczególnymi kwestiami, powtarzał się, opowiadał znane już Henry'emu historie. Poza tym stan emocjonalny Hammonda zmieniał się w trakcie rozmowy. John raz był rozwścieczony, to znów przechodził w rzewny sentymentalizm. Choć właściwie to wszystko nie było aż tak dziwne, kiedy wzięło się pod uwagę wiek tego człowieka. Przecież John Hammond ma już prawie siedemdziesiąt siedem lat!

Jednak to nie wszystko... Starszy pan z uporem unikał pewnych tematów i jednocześnie nalegał, żeby sprawy toczyły się tak, jak on sobie tego życzy. A na koniec w ogóle nie chciał rozmawiać o aktualnej sytuacji w Parku Jurajskim.

Henry był oszołomiony dowodami na to, że dinozaury w parku się rozmnażają, choć nie dopuszczał jeszcze do siebie myśli, iż zostało to już ostatecznie udowodnione. Kiedy profesor Grant spytał go o DNA żab, Henry zamierzał natychmiast iść do laboratorium i sprawdzić w

systemie, których zwierząt DNA ze sobą łączono. Jeśli dinozaury rzeczywiście się rozmnażają, to znaczy, że wszystkie stosowane przez ludzi Henry'ego metody są bardzo niedoskonałe – zarówno te, którymi posługiwano się przy odtwarzaniu DNA dinozaurów, jak i kontrolowaniu ich rozwoju. W świetle tego, co się okazało, nawet genetyczna zależność biegających po parku zwierząt od lizyny wcale nie jest taka pewna! Jeśli wyhodowane dinozaury mogą się rozmnażać i jeszcze do tego przeżyć bez lizyny dostarczanej im przez ludzi...

Tak, Henry bardzo chciał natychmiast sprawdzić pewne ważne dane! Jednak starszy pan uparł się, aby Henry koniecznie najpierw zjadł z nim kolację.

– Ależ, Henry, z pewnością znajdziesz jeszcze miejsce na lody – nalegał Hammond. – Maria robi najwyśmienitsze lody imbirowe, jakie można sobie wyobrazić.

– Dobrze... – mruknął Henry, spoglądając na piękną cichą służącą. Odprowadził ją wzrokiem do drzwi, a kiedy znikła, odruchowo przeniósł spojrzenie na monitor wiszący na ścianie. Ekran był ciemny.

– Monitor nie ma sygnału – zauważył.

– Naprawdę? – John obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić. – To na pewno z powodu burzy. – Sięgnął po telefon. – Spytam o to Johna Arnolda.

Nawet Henry usłyszał dobiegający ze słuchawki szum zakłóceń. Hammond wzruszył ramionami i odłożył ją.

– Najwidoczniej telefony też się zepsuły – stwierdził. – A może to Nedry ciągle przesyła dane. Ma sporo błędów do naprawienia w ten weekend. To geniusz w swojej dziedzinie, ale musieliśmy go bardzo mocno naciskać, szczególnie pod koniec, żeby dopracował wszystko jak należy.

– Może lepiej pójść do sterowni i sprawdzę, co się dzieje – zaproponował Henry.

– Nie, po co? Nie ma potrzeby.

Znowu pojawiła się Maria. Niosła dwa talerze z lodami.

– Musisz chociaż trochę spróbować, Henry – namawiał John. – Jest w nich świeży imbir ze wschodniej części wyspy. Oto słabość starszego człowieka: lody. Myślę jednak, że i tobie...

Henry posłusznie zatopił łyżeczkę w lodach. Nagle okna pojaśniały i zaraz potem uderzył grom.

– To było blisko! – stwierdził Henry. – Mam nadzieję, że twoje wnuki nie boją się burzy.

– Wątpię – mruknął John i skosztował lodów. – Ale wiesz, niepokoją mnie pewne kwestie dotyczące parku.

Henry poczuł ulgę. Być może stary John jednak zdaje sobie sprawę, że nie należy dłużej negować faktów.

– Jakie?

– Widzisz, tak naprawdę Park Jurajski powstał przede wszystkim z myślą o dzieciach. Na całym świecie dzieci uwielbiają dinozaury i przyjeżdżając tutaj, będą zachwycone! Ich małe

buzie będą tryskać radością, kiedy nareszcie na własne oczy zobaczą ogromne dinozaury, które zawsze sobie wyobrażały. Ale obawiam się... Cóż, obawiam się, że tego nie dożyję, Henry. Niewykluczone, że nie będę żył dostatecznie długo, żeby zobaczyć radość na twarzach dzieci.

– Hm, myślę, że są też inne problemy... – odpowiedział ostrożnie Henry.

– Żaden z pozostałych problemów nie doskwiera mi tak bardzo jak ten – ciągnął starszy pan. – Być może nie ujrzę dziecięcych twarzyczek rozjaśnionych uśmiechami, kiedy malcy będą odwiedzali Park Jurajski. Odnieśliśmy wspaniały sukces. Udało nam się osiągnąć to, co sobie wymarzyliśmy. Pamiętasz? Na samym początku chcieliśmy po prostu wykorzystać nową, nowo narodzoną dziedzinę nauki – biotechnologię – w celach zarobkowych. W rzeczy samej, zarobić mnóstwo pieniędzy.

Henry dobrze wiedział, że Hammond wygłosi teraz jedno ze swoich powtarzanych od lat przemówień.

– Wiem o tym wszystkim, John – przerwał mu, unosząc dłoń.

– Henry, gdybyś to ty założył firmę biotechnologiczną, czym byś się zajął? – zmienił temat starszy pan. – Czy może wytwarzaniem produktów, których zadaniem byłaby pomoc ludzkości, walka z chorobami? Po stokroć nie! To koszmarny pomysł. Bardzo kiepski sposób wykorzystania nowej technologii. – John pokręcił głową. – Ale pamiętasz dobrze pierwsze firmy biotechnologiczne, jak Genentech czy Cetus. Wszystkie zostały założone po to, by produkować nowe rodzaje leków. Środki, które mają pomagać ludzkości. Szlachetna, szczytna idea. Niestety, produkcja leków wiąże się z określonymi ograniczeniami. Po pierwsze, samo testowanie nowego leku przez Agencję do spraw Żywności i Leków trwa pięć do ośmiu lat – jeśli ma się szczęście. Wprowadzenie ich na rynek wiąże się z jeszcze większymi problemami. Przypuśćmy, że stworzyłeś cudowny lek na raka czy choroby serca, coś takiego, co udało się wyprodukować firmie Genentech. I założmy, że chcesz zarabiać tysiąc albo dwa tysiące dolarów na jednej dawce leku. Możesz przecież wyobrażać sobie, że masz do tego pełne prawo, że to twój przywilej, w końcu to ty stworzyłeś ten lek, wydałeś mnóstwo pieniędzy na badania, więc powinieneś móc żądać za niego, ile tylko chcesz. Ale jak myślisz, czy rząd ci na to pozwoli? Nie, Henry. Chorzy nie będą płacili po tysiąc dolarów za dawkę niezbędnego im leku i nie będą ci wdzięczni, tylko oburzeni. Blue Cross nie obejmie twojego leku refundacją. Będą wołali wszem wobec, że to rozbój w biały dzień. I wtedy coś się stanie: odrzucą twój wniosek patentowy albo będą opóźniali dopuszczenie leku do obrotu. Zrobią coś takiego, żebyś uznał, iż bardziej opłaci ci się sprzedawać lek po niższej cenie. I zrobisz to. Z punktu widzenia człowieka interesu pomaganie ludzkości to bardzo ryzykowny interes. Ja nigdy bym się tym nie zajął!

Także i to Henry słyszał już wcześniej. John Hammond mówił prawdę: niektóre nowe leki, które powstały dzięki biotechnologii, nie wchodziły na rynek z powodu długotrwałych opóźnień w procesie dopuszczania ich do obrotu czy kłopotów z opatentowaniem.

– Pomyśl teraz, jak inaczej przedstawia się sytuacja, kiedy zajmujesz się rozrywką – ciągnął John. – Rozrywka nie jest niezbędna i dlatego nie jest to dziedzina objęta nadzorem rządu. Jeśli będę sobie życzył po pięć tysięcy dolarów za dzień spędzony w moim parku, kto mi tego zabroni? Przecież nikt nie musi tu przyjeżdżać. Wygórowana cena nie będzie postrzegana jako rozbój w biały dzień, wprost przeciwnie – dodatkowo podniesie atrakcyjność parku. Wizyta w Parku Jurajskim stanie się symbolem wysokiego statusu materialnego, czymś, co Amerykanie masowo uwielbiają! Podobnie Japończycy. Zresztą oni mają znacznie więcej pieniędzy.

Hammond dokończył lody i Maria cicho zabrała talerz.

– Ona nie jest stąd, wiesz? To Haitanka, a jej matka jest Francuzką – zdradził starszy pan. – W każdym razie, przypominasz sobie chyba, Henry, że pierwotną przyczyną, dla której wyznaczyłem swojej firmie akurat taki, a nie inny cel, była perspektywiczna wolność od wszelkich ingerencji władz. Jakiegokolwiek kraju.

– Skoro zesłiliśmy na temat krajów...

– Wzięliśmy już w leasing rozległy obszar na Azorach – poinformował z uśmiechem John, nie pozwalając sobie przerwać. – Stworzymy tam drugi Park Jurajski, dla Europejczyków. I jak już od dawna wiesz, objęliśmy także we władanie wyspę niedaleko Guam, gdzie będzie Park Jurajski obsługujący Japonię. Budowa naszych dwóch następnych Parków Jurajskich ruszy na początku przyszłego roku. W ciągu najbliższych czterech lat otwarte zostaną wszystkie trzy. Nasze bezpośrednie obroty przekroczą wówczas dziesięć miliardów dolarów rocznie, a sprzedaż pamiątek, programów telewizyjnych i praw do różnych pomniejszych rzeczy powinna dawać nam drugie tyle. Nie widzę powodu, abyśmy zawracali sobie głowę tworzeniem zwierzątek domowych dla dzieci. A donoszą mi, że właśnie o to podejrzewa nas Lew Dodgson.

– Dwadzieścia miliardów dolarów rocznie! – zadumał się Wu, kręcąc głową.

– To moje ostrożne szacunki – zaznaczył Hammond. – Nie ma sensu przesadnie spekulować – dorzucił z uśmiechem. – Może chcesz dokładkę lodów, Henry?

* * *

– Znaleźliście go? – spytał John Arnold na widok wchodzącego do sterowni strażnika.

– Nie, proszę pana.

– To go znajdźcie!

– Myślę, że nie ma go w tym budynku...

– To szukajcie w hotelu, w stacji pomp, we wszystkich innych budynkach, wszędzie, ale go znajdźcie!

– Chodzi o to, że... – Strażnik był wyraźnie onieśmiewiony. – Pan Nedry to ten taki gruby, prawda?

– Tak, to ten obleśny grubas!

– Ee... Jimmy, ten, który stoi w głównym holu, powiedział, że widział, jak ten gruby schodził do garażu.

– Do garażu? – Muldoon obrócił się na pięcie. – Kiedy?!

– Jakieś dziesięć, piętnaście minut temu.

– Jezus Maria!

* * *

Jeep zahamował gwałtownie.

– Przepraszam... – mruknął Harding.

W świetle reflektorów Ellie zobaczyła przełazące powoli przez drogę stado apatozaurów. Było ich sześć, a wszystkie wielkie jak budynki. I jeszcze niedawno wyklute maleństwo rozmiarów dużego konia. Apatozaury posuwały się naprzód spokojnie i bez pośpiechu, żaden nie odwrócił nawet głowy w stronę reflektorów jeepa. Tylko młode w pewnej chwili przystanęło, wychleptało językiem trochę wody z kałuży, po czym ruszyło dalej.

Stado słońi wystraszyłoby się nadjeżdżającego nagle samochodu; słonie zaczęłyby trąbić i krążyć wokół młodego, żeby je ochronić. Ale apatozaury nie okazywały najmniejszych oznak strachu.

– Czy one nas nie widzą? – zdumiała się Ellie.

– Nie całkiem – potwierdził Harding. – To znaczy w ściśle fizycznym sensie widzą nas, oczywiście, ale nic dla nich nie znaczymy. Prawie nigdy nie wyjeżdżamy do parku po zapadnięciu zmroku, więc zwierzęta nie mają żadnych doświadczeń z samochodami. Dla nich jesteśmy zaledwie nietypowym, śmierdzącym obiektem znajdującym się w pobliżu. Nie postrzegają nas jako zagrożenia, więc nie jesteśmy dla nich interesujący. Zdarzało mi się już wracać nocą od chorego zwierzęcia i czekać nawet ponad godzinę, aż te wielgachne stwory zleżą z drogi...

– I nie ma pan na nie żadnego sposobu?

Harding uśmiechnął się tajemniczo.

– Ostatnio puszcza im ryk tyranozaura. To sprawia, że przyspieszają. Nie żeby szczególnie przejmowały się tyranozaurami – apatozaury są tak wielkie, że żadne drapieżniki nie są dla nich groźne. Jednym machnięciem ogona mogą złamać tyranozaurowi kark. Zdają sobie z tego sprawę. Tyranozaury też.

– Ale powiedział pan, że nas widzą. To znaczy, gdybyśmy wysiedli z samochodu...

– Pewnie by nie zareagowały. – Harding wzruszył ramionami. – Dinozaury mają doskonałą ostrość wzroku, ale równocześnie ten zmysł działa u nich tak jak u płazów – jest wyczulony na ruch. Obiektów nieruchomych nie widzą prawie wcale.

Olbrzymie zwierzęta szły wolno przed siebie, skóra na ich majestatycznych cielskach połyskiwała w deszczu.

– Chyba już możemy ruszać – stwierdził wreszcie Harding, wrzucając bieg.

* * *

– Myślę, że może się okazać, iż także Park Jurajski wywoła negatywne reakcje władz i próby ograniczenia naszej działalności – odezwał się Henry Wu. – Tak jak dzieje się to w przypadku leków firmy Genentech.

Przeszli z Hammondem do salonu i obserwowali burzę przez ogromne okna.

– Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób miałyby do tego dojść – odpowiedział stary John.

– Niewykluczone, że będą się tego domagały środowiska naukowe. Mogą nawet dążyć do tego, aby zakazano ci kontynuacji twoich działań.

– Nie mogą tego zrobić! – Hammond pogroził Henry'emu palcem. – A wiesz, dlaczego będą mieli ochotę spróbować? Oczywiście dlatego, że im zależy tylko na prowadzeniu badań. Naukowcy zawsze chcą tylko prowadzić badania, a nie osiągnąć coś naprawdę. Nie zależy im na dokonaniu postępu, a tylko na „prowadzeniu badań”. Cóż, czeka ich niespodzianka.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby tak na to patrzeć – przyznał Henry.

– Z pewnością prowadzenie badań byłoby dla naukowców interesujące – podjął z westchnieniem Hammond. – Jednak jest pewien kluczowy aspekt sprawy: nasze zwierzęta są o wiele za drogie, żeby można było prowadzić sobie na nich badania. Technologia, którą stosujemy, jest naprawdę cudowna, ale równocześnie przerażająco kosztowna. Fakty są takie, mój Henry, że jedynym sposobem utrzymywania dinozaurów jest wykorzystywanie ich w rozrywce. Tak po prostu jest. – John wzruszył ramionami.

– Ale jeśli mimo wszystko dojdzie do prób zamknięcia... – zaczął Wu.

– Zastanów się trochę nad realiami – przerwał mu z irytacją Hammond. – Nie jesteśmy w Stanach Zjednoczonych ani nawet w Kostaryce. To moja wyspa. Jestem jej właścicielem. I nic nie powstrzyma mnie przed otwarciem Parku Jurajskiego ku uciesze dzieci z całego świata. Przynajmniej dzieci z zamożnych rodzin... – uściślił ze śmiechem. – Mówię ci, dzieciaki będą zachwycone!

* * *

Ellie siedziała na tylnej kanapie jeepa i wyglądała przez okno. Minęło już dwadzieścia minut od momentu, kiedy ruszyli po napotkaniu apatozaurów, i nie widzieli po drodze niczego szczególnego. Tylko dżungla i deszcz.

– Jesteśmy teraz blisko rzeki – odezwał się zza kierownicy Harding. – Płynie gdzieś po lewej.

Nagle znowu gwałtownie zahamował. Samochód zatrzymał się z poślizgiem przed stadkiem małych zielonych stworzeń.

– Cóż, macie dzisiaj prawdziwe przedstawienie – skomentował weterynarz. – To są prokopsognaty.

Szkoda, że Alan ich nie widzi! – pomyślała Ellie. To właśnie faks zdjęcia rentgenowskiego fragmentu prokopsognata oglądali w Montanie. Ciemnozielone stworki odskoczyły gromadnie na przeciwną stronę drogi, przycupnęły i poodwracały łebki w

stronę jeepa, ćwierkając chórem. Stały na tylnych łapkach. Nie minęła chwila, a umilkły i pobiegły dalej.

– Dziwne – ocenił Harding. – Ciekawe, dokąd tak pędzą? Prokomsognaty prowadzą dzienny tryb życia. Wieczorem wspinają się na drzewo i siedzą aż do rana.

– To co tu robiły?

– Nie mam pojęcia. Chociaż z drugiej strony prokomsognaty są padlinożerne, jak na przykład myszołowy. Potrafią wyczuć zapach zdychającego zwierzęcia z odległości kilku kilometrów.

– To znaczy, że biegną do jakiegoś zdychającego zwierzęcia?

– Tak. Do zdychającego albo już padłego.

– Może pojedziemy za nimi? – zaproponowała Ellie.

– Niezły pomysł... Ciekaw jestem, dokąd zmierzają. Dlaczego nie?

To powiedziawszy, Harding zawrócił i ruszył śladem prokomsognatów.

TIM

Tim Murphy leżał w zniszczonym land cruiserze, powoli odzyskując przytomność. Czuł, że w jego policzek wbija się klamka drzwi. Jedynym pragnieniem chłopca było: spać. Poruszył się, żeby lepiej się ułożyć, i wtedy poczuł ostry ból kości policzka. Właściwie bolało go wszystko: ręce, nogi, a najbardziej głowa. Pulsował w niej bardzo przykry ból, tak przykry, że Tim miał znowu ochotę zasnąć.

Uniół się trochę na łokciu, otworzył oczy i nagle zwymiotował prosto na swoją koszulkę. Wytarł buzię ręką, wymioty były wstrętne. Naprawdę bardzo bolała go głowa, kręciło mu się w niej i go mdliło. Miał poczucie, jakby cały świat się kołysał, że on sam płynie jakąś chwiejącą się łodzią.

Jęknął i położył się na plecach, jak najdalej od własnych wymiotów. Przez ten ból głowy oddychał krótko i szybko. I przez cały czas było mu niedobrze, jakby spadał. Znowu otworzył oczy i spróbował się rozejrzeć.

Był w land cruiserze. Samochód musiał przewrócić się na bok, bo Tim leżał na drzwiach, a w górze była kierownica, nad którą poruszały się na wietrze gałęzie drzewa. Deszcz prawie ustał, ale krople ciągle spadały na niego przez dziurę po wybitej przedniej szybie.

Popatrzył z zaciekawieniem na kawałki szkła. Nie pamiętał, jak to się stało, że szyba się stłukła. Nie pamiętał – to znaczy nie wiedział, co było po tym, jak rozmawiał przez radio z profesorem Grantem, kiedy stali bez prądu na drodze w dwóch toyotach i kiedy podszedł do nich tyranozaur. To była ostatnia rzecz, którą pamiętał Tim.

Znowu zrobiło mu się niedobrze... Zamknął oczy i poczekał, aż to minie. Zwrócił uwagę na rozlegające się przez cały czas skrzypienie, jakby był na drewnianym statku. Timowi kręciło się w głowie i mdliło go, ale naprawdę czuł, jakby samochód ruszał się w dół i w górę.

Otworzył oczy po raz trzeci i zobaczył, że toyota rzeczywiście się rusza! Leży na boku i się kiwa.

Samochód przesuwiał się i wracał!

Tim podniósł się ostrożnie i stanął na drzwiach. Wyrzał przez dziurę po przedniej szybie i zobaczył gęste liście poruszające się na wietrze. Między liśćmi były przerwy i Tim zobaczył ziemię... jakieś sześć metrów pod nim!

Nie rozumiał, co to znaczy, tylko patrzył. Aha. Samochód leży na boku, na gałęziach dużego drzewa, pięć czy sześć metrów nad ziemią. Wieje silny wiatr, więc gałęzie i samochód się kołyszą...

– Do licha! – zaklął chłopiec. I co ja teraz zrobię?!

Stanął na palcach i zbliżył twarz do dziury po szybie, żeby lepiej się przyjrzeć. Złapał się kierownicy, ale ta przekręciła się, rozległ się głośny trzask i samochód obniżył się prawie o metr! Tim popatrzył teraz przez potrzaskaną szybę w drzwiach, na których stał.

– O, do licha! – krzyknął znowu. – O cholera!

Gałęzie znowu trzasnęły głośno i samochód obniżył się jeszcze może o trzydzieści centymetrów.

Muszę stąd uciekać! – pomyślał Tim.

Popatrzył uważnie pod nogi i zobaczył, że stoi na klamce. Drzwi były wygięte i chociaż panowały ciemności, widział, że nie dadzą się otworzyć. Spróbował odsunąć potłuczoną szybę, ale się nie dało. A może uda się otworzyć tylne drzwi? – pomyślał. Pochylił się nad siedzeniem i toyota znowu się zachwiała.

Tim powoli wyciągnął rękę i złapał za klamkę tylnych drzwi.

Też nie dały się ruszyć. Jak ja stąd wyjdę?

Nagle usłyszał parsknięcie jakiegoś zwierzęcia. Popatrzył w dół i zobaczył wielkie ciemne cielsko. To nie tyranozaur. Ten dinozaur był gruby i jakby sapał, poruszając powoli ogonem. Tim zobaczył na jego końcu długie kolce.

To stegozaur – widocznie wyzdrowiał i wstał. Ciekawe, gdzie są Gennaro i doktor Sattler. Ostatnio byli przy stegozaurze. Ile czasu minęło? Tim popatrzył na zegarek, ale okazało się, że pękł i nie działa. Tim zdjął go i wyrzucił.

Stegozaur szedł i sapał. Po chwili znowu słychać było tylko wiatr szumiący w liściach i trzask gałęzi pod kołyszącą się toyotą.

Muszę się stąd wydostać, przypomniał sobie Tim.

Jeszcze raz złapał za klamkę tylnych drzwi i pociągnął z całej siły, jednak nie chciały się otworzyć. Nagle zobaczył, że blokujący je kołek jest wciśnięty. Chłopiec wyciągnął go, szarpnął za klamkę jeszcze raz – i wtedy drzwi otworzyły się i opadły w dół. Oparły się na gałęzi niecały metr niżej.

Wyjście było dosyć wąskie, ale Tim pomyślał, że chyba się zmieści. Wstrzymał oddech i powolutku, ostrożnie, przepelzł między oparciami przednich foteli. Gałęzie trzeszczały, ale

samochód nie spadał niżej. Chłopiec złapał się słupków drzwi i opuścił powoli, aż położył się na pochylonych drzwiach. Nogi dyndały mu w powietrzu... Wyczuł gałąź i stanął na niej.

Gałąź ugięła się jednak i drzwi otworzyły się szerzej... i Tim wypadł z samochodu. Liście uderzały go w twarz, drapiąc w policzki. Walnął brzuchem w gałąź, a potem w jeszcze jedną, uderzając się w głowę tak boleśnie, że zobaczył gwiazdy!

Spadł niżej i nareszcie wylądował na czymś płasko. Uderzenie było tak mocne, że przez chwilę nie mógł oddychać. Zorientował się, że wisi teraz na grubej gałęzi. Okropnie bolał go brzuch!

Na górze rozległ się kolejny trzask i Tim podniósł głowę. Ciemny kształt land cruiser'a wisiał jakieś półtora metra nad nim.

Gałąź trzasnęła znowu i toyota troszkę się obniżyła...

Tim zebrał wszystkie siły i zaczął zsuwać się po gałęzi. Kiedyś lubił chodzić po drzewach, dobrze mu to szło. A to jest drzewo idealne do schodzenia, bo gałęzie rosną blisko siebie i można na nich stawać prawie jak na schodach...

Trzask! Tr...r...r... – rozległo się w górze. Toyota obniżała się teraz coraz bardziej!

Tim schodził z drzewa najszybciej, jak tylko mógł. Ślizgał się na mokrych gałęziach, ręce lepiły mu się od żywicy. Pokonał może metr, kiedy gałąź z samochodem trzasnęła ostatni raz i toyota płynnym ruchem zjechała przodem w dół. Duży zielony wlot powietrza i reflektory wisiały teraz nad Timem, i... land cruiser spadł z gałęzi!

Potężny samochód trafił w grubą gałąź, na której przedtem leżał Tim, i zatrzymał się na niej!

Chłopiec patrzył na wiszący piętnaście centymetrów nad nim samochód z wgiętym przodem, który wyglądał teraz jak potwór robiący groźną minę! Na policzek Tima kapął olej...

Tim zobaczył, że jest jeszcze ze trzy metry nad ziemią, więc zrobił krok w dół – a nad nim... gałąź z samochodem wyginała się coraz bardziej... aż pękła! Toyota runęła w dół! Tim zdawał sobie sprawę, że nie zdąży zejść i... puścił się...

Poleciał w dół.

Uderzył bokiem o konar. Obracając się, walnął o inny. Bolało go już chyba wszędzie! Słyszał nad sobą spadający samochód, niczym pędzącego na niego dinozaura! W końcu Tim uderzył ramieniem w ziemię. Była nawet miękka... Z całych sił odturlał się na bok i złapał pnia. Land cruiser stoczył się z drzewa i z hukiem miazdzonego metalu uderzył w ziemię! Poszły z niego iskry, które poparzyły Tima i syczały na mokrej ziemi.

* * *

Tim wstał powoli... Znowu usłyszał sapanie – to wracał stegozaur. Chyba zaciekał go samochód, który spadł z drzewa. Stwór wyglądał bardzo głupio, kiedy szedł – wysuwał do przodu małą główkę i trzymał ją nisko. Widać było, jak ruszają się te duże płyty na jego

grzbiecie, ułożone w dwóch rzędach. Właściwie wyglądał jak ogromniasty żółw. I tak się zachowywał; to znaczy wyglądał tak samo głupio i też był powolny.

Tim podniósł kamień i rzucił w stegozaura.

– Poszedł! – krzyknął.

Kamień stuknął w płytę na grzbiecie ogromnego zwierza, ale ten nadal szedł w stronę Tima.

– Uciekaj! Już! – wrzeszczał chłopiec. W końcu podniósł drugi kamień i rzucił.

Tym razem trafił stegozaura prosto w łeb! Powolny dinozaur stęknął, a potem odwrócił się, bardzo powoli, i położył tam, skąd przyszedł.

Tim oparł się o wrak land cruisera i rozejrzał się. Była noc. Muszę wrócić do wszystkich, myślał, ale nie chcę się zgubić. Jestem gdzieś w Parku Jurajskim, chyba niedaleko tej najszerzej drogi. Żeby tylko wiedział, w którą stronę do niej iść...

Nagle przypomniał sobie o goglach noktowizyjnych.

Pochylił się i zajrzał do rozbitej toyoty jeszcze raz, przez otwór po przedniej szybie. Znalazł gogle i krótkofalówkę. Była pęknięta i nie działała, więc ją odłożył. Gogle na szczęście się nie zepsuły. Tim włączył je i zobaczył zielony obraz dżungli.

Rozejrzał się i od razu zauważył po lewej zniszczony płot. Podeszedł do niego. Płot miał trzy i pół metra wysokości, ale tyranozaur całkowicie go spłaszczył. Tim przebiegł po zmiażdżonym płocie, przecisnął się między gęstymi liśćmi i po chwili znalazł się na głównej drodze.

Zobaczył zielony obraz drugiego land cruisera, który leżał na boku. Tim podbiegł do samochodu, wziął głęboki oddech i zajrzał do środka. Toyota była pusta. Ani śladu profesora Granta i profesora Malcolma.

Dokąd uciekli?

Gdzie się wszyscy podzieli?!

Tim poczuł nagle ogarniającą go panikę. Stał sam na drodze w środku dżungli, w nocy, koło pustego, przewróconego samochodu terenowego. Zaczął obracać się wkoło, aż świat widziany przez gogle migotał na zielono. Zauważył, że koło drogi leży coś jasnego. To czapka baseballowa jego siostry. Tim wytarł czapkę z błota.

– Lex! – zawołał.

Krzyknął tak głośno, jak tylko mógł, nie przejmując się tym, że mogą go usłyszeć dinozaury. Wytężał słuch, ale słyszał tylko wiatr i krople deszczu.

– Lex!

Przypominał sobie, że siostra była z nim w samochodzie, kiedy zaatakował ich tyranozaur. Czy nie wychodziła z toyoty, czy zaczęła uciekać? Przebieg wydarzeń podczas ataku był jakiś taki zagmatwany. Tim nie był pewny, co się dokładnie działo. Zastanowił się nad tym i zrobiło mu się nieprzyjemnie. Stał bez ruchu i aż sapnął z przerażenia.

– Lex!

Przez chwilę wydawało mu się, że dookoła pociemniało. Nagle poczuł lekki smutek. Usiadł w zimnym, mokrym błocie na środku drogi i zaczął płakać. Kiedy trochę pochlupał, usłyszał czyjś płacz. Ktoś szlochał cichutko, parę kroków dalej, przy drodze.

* * *

– Ile czasu minęło, odkąd nastąpiła awaria? – spytał Robert Muldoon, wracając do sterowni z czarną skrzynką w ręku.

– Pół godziny.

– Zaraz powinien nadjechać jeep Hardinga.

John Arnold zgasił papierosa.

– Na pewno zaraz przyjadą – powiedział.

– Ciągłe nie ma śladu Nedry'ego?

– Nie, nadal nic nie wiadomo.

Robert otworzył skrzynkę – w środku było sześć krótkofalówek.

– Rozdam je ludziom w tym budynku – oznajmił, podając jedną Johnowi. – A tu jest ładowarka. To są nasze awaryjne radiotelefony, ale oczywiście nikt nie pomyślał, że powinny mieć naładowane akumulatory. Ładuj je przez jakieś dwadzieścia minut, a potem spróbuj wywołać samochody przez krótkofalówkę.

* * *

Henry Wu otworzył drzwi opatrzone tabliczką ZAPŁADNIANIE i wszedł do pogrążonego w ciemności laboratorium. Nikogo nie było – laboranci musieli jeszcze być na kolacji. Podeszedł do komputera i wywołał bazę danych dotyczących DNA. Danych nie dało się oczywiście wydrukować – DNA to tak wielka cząsteczka, że informacje na temat każdego z gatunków wyhodowanych dinozaurów zajmowały po dziesięć gigabajtów, tym bardziej że komputery wyliczały i odnotowywały kolejne przybliżenia łańcucha genetycznego. Henry zamierzał sprawdzić wszystkie piętnaście gatunków, miał więc do przeszukania naprawdę gigantyczną ilość informacji.

Ciągle nie był pewny, dlaczego zdaniem profesora Granta kluczowe znaczenie ma obecność zabiego DNA. Nawet Henry często nie potrafił rozróżnić DNA pochodzącego od różnych zwierząt – w końcu DNA wszystkich istot żywych jest w przeważającej części identyczne. To substancja pochodząca z bardzo dawnych czasów. Ludzie spacerujący po ulicach dzisiejszego świata, kołyszący na rękach swoje różowe potomstwo, rzadko zastanawiają się nad tym, że DNA, które stanowi rdzeń tego wszystkiego, to związek chemiczny niemal tak wiekowy jak sama Ziemia. Ewolucja cząsteczki DNA w zasadniczej części zakończyła się już ponad dwa miliardy lat temu. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło – doszło jedynie trochę kombinacji bardzo starych genów, naprawdę niedużo.

Kiedy porównuje się DNA człowieka i prostej bakterii, można dostrzec, że różnią się one zaledwie w mniej więcej dziesięciu procentach. Ta zasadnicza niezmiennność DNA ośmieliła

Henry'ego Wu – wykorzystywał fragmenty kodu genetycznego dowolnych żywych istot. Odtwarzając dinozaury, traktował DNA jak rzeźbiarz glinę: tworzył to, co chciał, łącząc różne kawałki materiału.

Uruchomił program przeszukiwania bazy danych. Wiedział, że będzie musiał poczekać około dwóch, trzech minut, więc zaczął chodzić po laboratorium, z przyzwyczajenia kontrolując przyrządy. Zwrócił uwagę na graficzny rejestrator temperatury chłodni umieszczony przy jej drzwiach – na wykresie była wyraźna „iglica”. Znaczyło to, że ktoś był ostatnio w chłodni, w ciągu minionej półgodziny. Dziwne, pomyślał Henry. Któż wchodziłby tam wieczorem?

Komputer pisnął, sygnalizując zakończenie pierwszego przeszukiwania. Henry podszedł, by sprawdzić wyniki, i kiedy spojrzał na widniejącą na monitorze tabelę, natychmiast zapomniał o chłodni.

PRZESZUKIWANIE DNA – ALGORYTM LEITZKEGO

DNA – kryteria wyszuk. wersji: RANA (wszystkie – dług. fragm. > 0)	
DNA zawieraj. fragm. RANA	Wersje
Majazaury	2.1–2.9
Prokompsoognaty	3.0–3.7
Otnielie	3.1–3.3
Welociraptory	1.0–3.0
Hipsylofodonty	2.4–2.7

Wyniki były jasne: wszystkie rozmnażające się dinozaury mają fragmenty łańcucha DNA pochodzące od żab – po łacinie *rana*. I żaden z pozostałych dinozaurów nie odziedziczył po Henrym odcinków żabiego DNA. Henry i tak nie rozumiał, dlaczego spowodowało ono, iż dinozaury mogą się rozmnażać, ale nabrał pewności, że profesor Grant się nie mylił: dinozaury w parku się rozmnażają.

Henry pobiegł do sterowni.

LEX

Lex siedziała skulona w środku wielkiej, szerokiej na metr betonowej rury, która przechodziła pod drogą. Trzymała w buzi rękawicę baseballową i kołysała się w przód i w tył, uderzając głową o beton. Było ciemno, ale Tim dobrze widział, bo miał gogle noktowizyjne. Jego siostra nie wyglądała na ranną. Tim poczuł ogromną ulgę!

– Lex, to ja, Tim! – zawołał.

Nie odpowiedziała, tylko nadal stukała głową o beton.

– Chodź! Wyjdź stąd.

Teraz Lex pokręciła główką. Było widać, że jest bardzo przestraszona.

– Lex, jeżeli wyjdiesz, pozwolę ci założyć gogle noktowizyjne.

Znowu pokręciła główką.

– Zobacz, co mam. – Tim podniósł rękę. Dziewczynka popatrzyła w jego stronę, ale nie zrozumiała, o co chodzi, pewnie nie widziała po ciemku. – To twoja piłeczka, Lex. Znalazłem ją.

– No to co?

Tim zastanowił się chwilę.

– Musi ci tam być niewygodnie – powiedział. – I zimno. Nie chciałabyś wyjść?

Lex wciąż uderzała głową o beton.

– Dlaczego nie chcesz wyjść?

– Bo tam są dizonaury.

Tim trochę się przestraszył. Kiedy Lex była mała, często mówiła „dizonaury” – ale to było dawno temu!

– Dinozaury poszły – odpowiedział.

– Ale jest ten wielki. Tyranozaur.

– Poszedł.

– Dokąd?

– Nie wiem, ale nie ma go tu. – Tim miał nadzieję, że to prawda.

Lex i tak się nie ruszała, i znów zaczęła uderzać główką w ścianę. Tim usiadł w trawie przy końcu rury, żeby siostra go widziała. Trawa była mokra. Skulił się, obejmując kolana, i czekał. Nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

– Będę tu siedział – odezwał się. – I odpoczywał.

– Czy jest tam koło ciebie tata?

– Nie... – Tim poczuł się dziwnie, słysząc, co mówi Lex. – Tata jest daleko, w domu.

– A mama?

– Nie, nie ma tu mamy.

– A jacyś dorośli są?

– Na razie nie ma, ale na pewno niedługo przyjdą. Pewnie już idą czy jadą.

Lex zaczęła się ruszać – i wyszła z rury. Trzęsła się z zimna, na czole miała zaschniętą krew. Poza tym wydawało się, że nic jej nie jest.

Rozejrzała się ze zdziwieniem.

– Gdzie jest profesor Grant? – zapytała.

– Nie wiem.

– Przedtem tu był.

– Był tutaj? Kiedy?

– Przedtem! Widziałam go, kiedy siedziałam w rurze.

– Dokąd poszedł?

– Skąd ja mam wiedzieć? – Lex zmarszczyła noseć. – Hej! – zawołała. – Heej! Panie profesor Grant!

Tim przestraszył się trochę, że krzyk przywoła tyranozaura, ale zaraz potem usłyszał, że pan profesor odpowiada Lex! Jego głos dochodził od strony rozbitego land cruisera, tego, który spadł z drzewa, prawie na Tima. Tim zobaczył na zielono, przez gogle, że profesor Grant się do nich zbliża. Miał podartą koszulę, ale chyba nic mu się nie stało.

– Dzięki Bogu! Szukałem was – powiedział.

* * *

Ed podniósł się, drżąc. Startł z twarzy i rąk zimne błoto. Minione pół godziny było naprawdę okropne! Spędził je na stoku wzgórza, poniżej drogi, wciśnięty między wielkie głazy. Wiedział, że to nie najlepsza kryjówka, ale jeszcze nie tak dawno był spanikowany i nie myślał dostatecznie jasno. Leżał z błocie i marzył. Próbował jakoś się opanować, ale nie mógł zapomnieć widoku tyranozaura, który szarżował w stronę land cruisera. To znaczy w jego stronę.

Ed nie pamiętał dokładnie, co stało się potem. Przypominał sobie, że mała Lex krzyknęła coś, a on się nie zatrzymał, bo nie był w stanie! Uciekał i uciekał. Zbiegłszy z drogi, stracił grunt pod nogami i stoczył się z pagórka, aż wreszcie wylądował na jakichś głazach. Wydawało mu się, że może wpełznąć między nie i się schować. Szczelina była dostatecznie szeroka, więc to zrobił. Sapał, przez cały czas myśląc z przerażeniem tylko o tym, jak umknąć tyranozaurowi! W końcu, kiedy tak tkwił między głazami jak jakiś szczur, nieco się uspokoił. Wtedy zdał sobie sprawę, że zostawił dzieci na pożarcie tyranozaurowi, a sam uciekł. Że ratował tylko własną skórę. Wiedział, że powinien wrócić na drogę i spróbować uratować dzieci. Zawsze wyobrażał sobie, że jest odważny i w dramatycznych sytuacjach zachowuje zimną krew, ale za każdym razem, kiedy próbował się opanować i zmusić siebie samego do powrotu na drogę, nie wychodziło mu. Wpadał w panikę i miał kłopoty z oddychaniem. Więc nie ruszał się z kryjówki.

Pocieszał się, że sytuacja i tak jest beznadziejna. Jeśli dzieci ciągle są na drodze, to na pewno już nie żyją, i tak nic dla nich nie robi, więc równie dobrze może tkwić tu, gdzie tkwi. Nikt się nie dowie, co się stało. Naprawdę nic nie mógł zrobić – od samego początku. Siedział więc między kamieniami przez pół godziny, próbując opanować panikę. Starał się przy tym nie myśleć o tym, czy dinozaur zabił dzieci, ani o tym, jak zareaguje Hammond, gdy się o wszystkim dowie.

Ed poruszył się w końcu, kiedy zwrócił uwagę na dziwne uczucie w ustach. Zdrętwiały mu z jednej strony i piekły – może rozciął je, kiedy upadł? Ed dotknął ich i wyczuł opuchliznę. Była jakaś dziwna, ale nie bolała. Nagle zdał sobie sprawę, że ten nabrzmiały fragment ciała to pijawka, która karmi się krwią z jego ust. Właściwie miał ją częściowo w ustach. Poczł mdłości i z drżeniem oderwał pijawkę. Ciepła krew napłynęła mu do ust. Wypluł ją z obrzydzeniem i odrzucił pijawkę jak najdalej. Stwierdził, że na jego przedramieniu siedzi druga. Oderwał ją i zobaczył, że pozostał po niej krwawy ślad. O Jezus, na pewno cały jestem w pijawkach! – przeraził się. Oblazły mnie, kiedy się turlałem. Na tych

wzgórzach roi się od pijawek, w szczelinach skalnych też! Zaraz, co mówią robotnicy? Że pijawki wchodzą człowiekowi pod majtki, bo lubią ciemne i ciepłe miejsca. Wpełzają ludziom prosto do...

– Hej! – usłyszał.

Zapomniał o pijawkach. To był czyjś głos, niezbyt daleko.

– Heej! Panie profesor Grant!

Jezu, to ta mała dziewczynka!

Ed zwrócił uwagę na ton jej głosu. Nie wydawała się przerażona ani cierpiąca z bólu. Po prostu wołała, zdecydowanie, jak to ona. Skoro tak, musiało stać się coś, co spowodowało, że tyranozaur zaprzestał ataku. Niewykluczone, że dwaj profesorowie także przeżyli. Może nawet wszyscy przeżyli! Ed natychmiast zebrał się w sobie, niczym pijany rozrabiaka, którego policjanci prowadzą właśnie do radiowozu. Poczuł się lepiej, gdyż wiedział już, co robić. Co musi zrobić. Wydostając się spomiędzy głązów, obmyślał następny krok – układał sobie w głowie odpowiednie słowa, żeby zapanować nad rozwojem wypadków.

Ponownie oczyścił twarz i dłonie z błota, które zdradzało, że jeszcze przed chwilą się ukrywał. Nie wstydził się, że schował się przed tyranozaurem, jednak musi przejąć kierownictwo. Zaczął wspinać się w stronę drogi, lecz kiedy wyszedł spomiędzy liści, okazało się, że się zgubił. Nie zobaczył samochodów; jakimś sposobem znalazł się u stóp wzgórza. Dwie toyoty musiały być na jego wierzchołku.

Ed znowu zaczął się wspinać. Było tak cicho, że kiedy stąpał po małych kałużkach, słyszał plusk. Ale nie słyszał już dziewczynki. Dlaczego przestała wołać? Doszedł do wniosku, że może właśnie stało jej się coś złego... Hm, jeśli tak, nie powinienem wracać do drogi, pomyślał. Może tyranozaur wciąż się tam kręci? Taak, przecież od stóp wzgórza jest znacznie bliżej do głównego kompleksu budynków niż od szczytu pagórka.

Cisza była tak głęboka, że aż złowroźna.

Ed zawrócił i skierował się w stronę ośrodka.

* * *

Alan przesunął dłońmi po rączkach i nóżkach dziewczynki, ściskając lekko każdą kończynę. Najwyraźniej nic jej nie bolało. Wprost niebywałe – poza rozcięciem na czole Lex wydawała się zupełnie cała i zdrowa!

– Mówiłam ci, że nic mi się nie stało! – powiedziała z wyrzutem.

– Musiałem sprawdzić...

Chłopiec miał trochę mniej szczęścia – nos Tima był spuchnięty i obolały, Alan podejrzewał złamanie. Prawe ramię było mocno posiniaczone i także opuchnięte. Na szczęście nogi miał zdrowe. To bardzo ważne – dzieci są zdolne do marszu.

Sam Alan nie miał większych obrażeń poza rozcięciem na prawej piersi, od szpona na olbrzymiej dolnej kończynie tyranozaura. Skóra na piersi paliła go przy każdym oddechu, ale rozcięcie było powierzchowne i nie ograniczało jego ruchów.

Zastanawiał się, czy uderzenie pozbawiło go przytomności, bo nie mógł sobie przypomnieć wydarzeń poprzedzających moment, kiedy się ocknął. Wiedział, że usiadł z jękiem i stwierdził, iż znajduje się między drzewami, jakieś dziesięć metrów od samochodu. Rozcięcie na piersi krwawiło, więc przykładał do niego liście, i wkrótce krew przestała lecieć. Alan podniósł się i zaczął szukać Iana Malcolma i dzieci. Nie wierzył, że żyje. Pomału przypominał sobie poszczególne obrazy i próbował złożyć je w całość. Wiedział, że tyranozaur powinien być z łatwością pozabijać ich wszystkich. Dlaczego żyją?

– Jestem głodna! – poskarżyła się Lex.

– Ja też – odpowiedział. – Czas wracać do cywilizacji. Poza tym musimy powiedzieć obsłudze parku o tym, co widzieliśmy na statku.

– To oni jeszcze nie wiedzą? – zdziwił się Tim.

– Nie. Trzeba iść i koniecznie ich o tym powiadomić.

– No to chodźmy tą drogą, prowadzi prosto do hotelu – zdecydował Tim, pokazując w dół pagórka. – Jeżeli po nas wyjechali, to się z nimi spotkamy.

Alan zastanowił się nad tą propozycją. Nie mógł przestać myśleć o ciemnym kształcie, który przebiegł między samochodami, zanim zaatakował ich tyranozaur. Co to było za zwierzę? Alanowi przychodziła do głowy tylko jedna odpowiedź: mały tyranozaur.

– Lepiej nie, wiesz? – odparł. – Wzdłuż drogi po obu stronach ciągną się wysokie płoty. Jeżeli przed nami na drodze jest tyranozaur – duży albo ten mały – nie będziemy mieli dokąd uciec.

– To co, mamy tu czekać?

– Tak będzie lepiej. Poczekajmy, aż ktoś nadjedzie.

– Jestem głodna! – przypomniała Lex.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo – pocieszył ją Alan.

– Ja nie chcę tu zostać! – oświadczyła dziewczynka. Nagle usłyszeli kaszel jakiegoś mężczyzny dochodzący od stóp wzgórza.

– Zostańcie tu! – rzucił Alan i skoczył naprzód, żeby spojrzeć w dół stoku.

– Zostań tu! – zawtórował mu Tim i pobiegł za nim.

Lex też pobiegła.

– Nie zostawiajcie mnie samej! Ech, ci faceci!

Alan szybkim ruchem zasłonił dziewczynce usta. Szarpnęła się, żeby zaprotestować, ale on pokręcił w milczeniu głową i pokazał w dół wzgórza.

* * *

Widzieli z góry Eda Regisa. Stał nieruchomo. W lesie panowała cisza – hałasujące zwykle cykady i rechoczące żaby nagle umilkły. Słyszać było tylko wiatr i cichy szelest liści.

Lex znowu chciała coś powiedzieć, lecz Alan pociągnął ją w stronę najbliższego drzewa i kucnął pomiędzy wystającymi, sękatymi korzeniami. Tim poszedł w ich ślady. Alan przyłożył palec do ust i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy koło drzewa nic się nie czai.

Schodząca ze wzgórza droga była pogrążona w ciemności, tańczyło na niej tylko przeświecające między liśćmi światło księżyca. Regisa nie było już widać. Alan poszukał go wzrokiem i po dłuższej chwili dostrzegł go. Specjalista od PR stał przycięsniety do grubego drzewa, zupełnie nieruchomo.

Złowrogiej ciszy w lesie nie mącił najcichszy nawet szmer.

Lex niecierpliwie pociągnęła Alana za koszulę, chcąc się dowiedzieć, co się dzieje. Nagle dał się słyszeć energiczny wydech czy jakby ciche parsknięcie. Było niewiele głośniejsze od szumu wiatru, lecz Lex także je usłyszała, bo przestała się wiercić.

Sapnięcie odezwało się znowu. Trochę przypominało Alanowi oddech konia.

Alan patrzył na Regisa. Widział poruszające się na pniu drzewa cienie liści. Nagle zorientował się, że rzuca na nie cień coś jeszcze, coś nieruchomego. To był cień prostokątnego łba i łukowato wygiętej szyi!

Zwierzę sapnęło po raz trzeci.

Tim wychylił się powoli, żeby lepiej widzieć. Lex także...

Trzasnęła gałąź i na drogę wyszedł tyranozaur. To było młode – miało około dwóch i pół metra wysokości, poruszało się niezdarne, przywodząc na myśl... szczeniaka. Przystawało po każdym kroku i węszyło w powietrzu. Zwierzę minęło drzewo, za którym stał Regis – chyba go nie zauważyło. Alan zobaczył, że Regis rozluźnia się trochę i odwraca głowę, żeby popatrzeć za odchodzącym stworem.

Mały tyranozaur zniknął w mroku. Regis chyba się uspokajał. Przestał trzymać się drzewa. Wciąż było cicho i Ed stał przy drzewie jeszcze przez jakieś pół minuty. Wreszcie odezwała się pojedyncza żaba, po niej cykada, i zaraz odpowiedział jej cały, rozbrzmiewający zwykle w dżungli chór. Regis odsunął się od drzewa, rozprostowując ramiona, i wyszedł na drogę. Spojrzał jeszcze tam, gdzie zniknął młodziutki drapieżnik.

Atak nastąpił z lewej!

Młody tyranozaur ryknął i uderzył Regisa łbem, przewracając go. Ed krzyknął z przerażenia i zdołał się podnieść, ale mały potwór skoczył i najwyraźniej przygwoździł go tylną nogą, Regis siedział bowiem przez chwilę na drodze, krzyczał na młodego tyranozaura i wymachiwał rękami, ale nie uciekał. Młode wyglądało na zdumione natężeniem dźwięków i ruchami swojej małej ofiary. Pochyliło łeb i zaczęło z ciekawością wąchać Regisa, podczas gdy on walił pięściami w pokątną paszczę i tak rosłego drapieżnika.

– Poszedł! Uciekaj! Wynocha! – darł się Ed. Dinozaur cofnął się, dzięki czemu Regis mógł wstać. – No! Słyszysz?! Poszedł stąd! Już! – Ed cofał się powoli. Młody tyranozaur spoglądał z ciekawością na małe hałaśliwe zwierzę naprzeciwko siebie. A potem – kiedy Ed odszedł jeszcze kilka kroków – skoczył i znowu go przewrócił.

On się z nim bawi! – pomyślał Alan.

– Heej! – krzyknął znowu Regis. Stwór nie kąsał go, tylko pozwolił mu wstać. Ed odskoczył i cofając się, wrzeszczał: – Ty głupku! Zjeżdżaj! No już cię nie ma! – Zachowywał się trochę jak treser lwów.

Młody drapieżnik ryknął, ale nie ruszał do ataku, więc Ed skierował się ku gęstwinie po prawej. Po paru krokach zniknąłby dinozaurowi z oczu.

– Won! Poszedł! – darł się. Niestety, w ostatniej chwili tyranozaur skoczył naprzód i Regis runął na plecy. – Przestań wreszcie! – Młode zwierzę pochyliło głowę i wtedy Ed przestał wołać. Krzyknął teraz straszliwie, nienaturalnie wysokim głosem!

Krzyk urwał się nagle i młody tyranozaur podniósł głowę. Z jego paszczy zwisał poszarpany kawał ludzkiego ciała.

– O, nie! – szepnęła Lex, a Tim odwrócił się szybko, bo zrobiło mu się niedobrze. Nagły ruch sprawił, że gogle noktowizyjne spadły z brzękiem na ziemię.

Młody tyranozaur usłyszał hałas i spojrzał na szczyt pagórka. Tim podniósł gogle, a Alan złapał dzieci za ręce i wszyscy razem rzucili się do ucieczki.

STEROWNIA

Prokampsognaty biegly skrajem pogrążonej w ciemności drogi, a w małej odległości za nimi jechał prowadzony przez Hardinga jeep.

– Chyba widzę światło... – odezwała się w pewnej chwili Ellie.

– Rzeczywiście... – Harding wyteżył wzrok. – To wygląda prawie jak... reflektory samochodu.

Nagle w radiu zaszumiało, trzasnęło i rozległ się głos Johna Arnolda:

– ...ście tam?

– O, jest! Nareszcie! – ucieszył się Harding. Wcisnął przycisk mikrofonu. – Tak, John, jesteśmy. Koło rzeki. Jedziemy za prokampsognatami. Ciekawe, doką...

– ...bny jest wasz samochód – przerwał mu John pośród trzasków.

– Co on mówi? – spytał Gennaro.

– Coś o samochodzie – odpowiedziała Ellie. To ona zwykle odbierała telefony na wykopaliskach, a ponieważ łącze było radiowe i miało słabą jakość, nauczyła się rozumieć urywki wypowiedzi. – Chyba że potrzebny jest im nasz samochód.

– John, jesteś tam? – odezwał się znowu Harding. – Nie słyszać cię dobrze. John?

Uderzył piorun, powodując przeciągły szum w radiu.

– ...gdzie ...ście? – W głosie Arnolda słyszać było napięcie.

– Jesteśmy półtora kilometra na północ od terenu hipsylofodontów, niedaleko rzeki. Jedziemy za stadem prokampsognatów.

– Nie! Cholera jasn... wracajcie... raz!

– Chyba mają kłopoty – oceniła Ellie, ściągając brwi. – Może powinniśmy zawrócić?

– John wszędzie widzi kłopoty, bez przerwy – mruknął Harding, wzruszając ramionami. – Wiecie, jak to jest z inżynierami. Chcą, żeby wszystko działało się dokładnie według instrukcji obsługi. – Wcisnął guzik mikrofonu. – Co mówiłeś, John? Powtórz, dobrze?

Nastąpiła seria trzasków, którą wzmógł piorun. Huknął grzmot.

– ...bert Muldoon musi... asz samochó... ..raz! – usłyszeli w końcu.

– On chyba mówi, że Muldoon potrzebuje naszego samochodu – zrozumiał Donald. Nachmurzył się.

– Tak to zabrzmiało... – zgodziła się Ellie.

– Ale dlaczego? Przecież to bez sensu – ocenił Harding.

– ...utknęli... Muldoon chce... mochód...

– Rozumiem. Toyoty utknęły w drodze, pewnie z powodu burzy – domyśliła się Ellie. – Muldoon na pewno chce pojechać naszym samochodem i odwiedzić resztę wycieczki do ośrodka.

– A nie może wziąć innego samochodu? – Harding znowu wzruszył ramionami. Wcisnął guzik i rzucił: – John, powiedz Robertowi, żeby wziął drugiego jeepa. Stoi w garażu.

– Nie... chajcie m... snej cholery! ...chód... – W radiu naprawdę okropnie trzeszczało.

– Powiedziałem, że w garażu jest drugi jeep! – krzyknął Harding. – Słyszysz, John? Niech Robert zejdzie do garażu!

– ...edry wz... – Szumy dominowały nad przekazem.

– Nie dogadamy się z nim – mruknął Harding. – No dobrze, John – zgodził się z rezygnacją. – Już zawracamy! – Puścił przycisk. – Wolałbym usłyszeć, dlaczego tak domagają się naszego samochodu.

Zawrócili. Po dziesięciu minutach jazdy zobaczyli światła hotelu. Harding zatrzymał jeepa przed budynkiem recepcji. Muldoon czekał już na dworze. Ruszył w ich stronę, krzycząc coś i wymachując rękami.

* * *

– Arnold, ty cholerny sukinsynu! – darł się Hammond. – Napraw ten system zaraz i niech mój park działa normalnie! Gdzie są moje wnuki?! Sprowadź je natychmiast z powrotem, słyszysz?! – Starszy pan wrzeszczał bez przerwy i tupał małymi nóżkami już od co najmniej dwóch minut! W kącie stał oszołomiony Henry Wu.

– Proszę pana... – odezwał się Arnold – Robert Muldoon właśnie wyruszył, żeby sprowadzić tu pańskie wnuki.

To powiedziawszy, odwrócił się i zapalił papierosa. Hammond był taki sam jak wszyscy inni członkowie władz firm, których John poznał. Dyrektorzy zawsze zachowują się tak samo – wszystko jedno, czy chodzi o tych z koncernu Disneya, czy o admirałów z marynarki. Żaden z tych ludzi nie rozumie zagadnień technicznych i wszystkim wydaje się, że jeżeli sobie po wrzeszczą, to sprawy potoczą się zgodnie z ich życzeniami.

Może i było to skuteczne, jeśli ktoś krzyczał na sekretarkę, żeby szybciej wezwała limuzynę, ale systemy komputerowe nie przejmują się tym, że ktoś na nie wrzeszczy. Problemy, z którymi zmagał się w tej chwili John Arnold, nie mogły wskutek krzyku zmniejszyć się choćby odrobinę. Na sieciach energetycznych wrzaski także nie robią najmniejszego wrażenia. Tak się składa, iż żadne z urządzeń technicznych nie jest wrażliwe

na ludzkie emocje. Jeśli zachowanie Hammonda może w jakiś sposób wpłynąć na bieg spraw, to najwyżej negatywnie, ponieważ Arnold był już właściwie pewny, że Nedry nie wróci i że będzie musiał sam rozgryzać kod komputerowy i wykryć przyczyny awarii. To zadanie żmudne i niełatwe. John potrzebuje spokoju.

– Może zejdzie pan do restauracji i napije się kawy – zaproponował. – Powiadomimy pana, kiedy będziemy mieli jakiegokolwiek nowe informacje.

– Nie chcę, żeby nastąpił tu jakiś efekt Malcolma! – burknął starszy pan.

– Proszę się nie martwić efektem Malcolma. Czy pozwoli mi pan spokojnie popracować? – odpowiedział Arnold.

– Niech cię cholera weźmie!

– Powiadomię pana, kiedy tylko będę miał jakieś wieści od pana Muldoona – zapewnił John, po czym wydał systemowi kilka komend. Zwykle obrazy na monitorach ustąpiły miejsca zupełnie innym.

```
*/Jurassic Park Main Modules/  
*/  
*/ Call Libs  
Include: biostat.sys  
Include: sysrom.vst  
Include: net.sys  
Include: pwr.mdl  
*/  
*/Initialize  
SetMain [42]2002/9A{total CoreSysop %4 [vig. 7*tty]]  
if ValidMeter(mH) (**mH).MeterVis return  
Term Call 909 c.lev {void MeterVis $303} Random(3#*MaxFid)  
on SetSystem(IDn) set shp_val.obj to lim(Val{d}SumVal  
  if SetMeter(mH) (**mH).ValdidMeter(Vdd) return  
  on SetSystem(Telcom) set mxopl.obj to lim(Val{pd})NextVal
```

John wyszedł właśnie z systemu komputerowego Parku Jurajskiego – przestał go obsługiwać i zamiast tego zagłębił się w samą jego strukturę – w kod, za którego pomocą zaprogramowano działanie systemu. Arnold doskonale zdawał sobie sprawę, że oprogramowanie systemu składa się w sumie z ponad pół miliona linii kodu, i ani trochę go to nie cieszyło. Tym bardziej że kodowi w większości przypadków nie towarzyszyły żadne objaśnienia.

– Co robisz? – zainteresował się Henry, podchodząc bliżej.

– Sprawdzam kod systemu.

– Ręcznie? Do śmierci nie skończysz.

– Nie musisz mi mówić, chłopie... – westchnął John.

DROGA

Muldoon wziął zakręt z tak dużą prędkością, że mknący po błocie jeep wpadł w poślizg. Donald aż zacisnął pięści ze strachu. Pędzili właśnie szczytem urwiska, wysoko nad niewidoczną w ciemnościach rzeką. Przez chwilę droga biegła prosto, więc Muldoon jeszcze bardziej przyspieszył! Prowadził w wielkim skupieniu.

– Daleko jeszcze? – spytał Donald.

– Trzy, cztery kilometry.

Ellie i Harding weszli do budynku, a Gennaro zaproponował Muldoonowi, że pojedzie razem z nim. Samochód zarzucił na zakręcie.

– Mija już godzina, od czasu kiedy ostatni raz mieliśmy kontakt z ludźmi w toyotach – odezwał się Robert.

– Mają przecież radia... – zdziwił się Donald.

– Nie możemy ich wywołać.

– Gdybym tkwił przez godzinę na deszczu, w unieruchomionym samochodzie, na pewno próbowałbym wezwać przez radio pomoc... – myślał na głos Donald, ściągając brwi.

– Ja też – mruknął Muldoon.

Gennaro pokręcił głową.

– Naprawdę myślisz, że mogło im się stać coś złego? – spytał.

– Możliwe, że nic, ale byłbym spokojniejszy, gdybym ich zobaczył całych i zdrowych. Niedługo powinniśmy na nich natrafić.

Minęli kolejny zakręt i oczom Donalda ukazało się wzgórze, na które wspinała się droga. U jego podstawy, wśród paproci, leżało coś białego.

– Czekaj! Stój! – rzucił. Robert zahamował. Donald wyskoczył z samochodu i w świetle jego reflektorów zobaczył, że biały przedmiot to ubranie, z tym że...

Stanął jak wryty. Z odległości niecałych dwóch metrów doskonale widział, na co patrzy... Powoli podszedł do znaleziska.

– Co to jest?! – krzyknął Muldoon, wychylając się przez okno samochodu.

– Noga!

Noga była nienaturalnie blada, białosina. Kończyła się krwawym kikutem w miejscu kolana. Na drugim końcu była biała skarpetka i brązowy mokasyn. Donald przypomniał sobie, że takie buty chyba nosił Regis...

Robert wyskoczył z samochodu i podbiegł do towarzysza.

– Jezus Maria! – jęknął, kucając nad nogą. Wyciągnął ją spomiędzy liści i ustawił w świetle reflektorów. Krew z kikuta połała mu się po dłoni. Metr za plecami Muldoona Gennaro skulił się, zacisnął powieki i spróbował spokojnie oddychać, żeby opanować mdłości.

– Donald! – rzucił niecierpliwie Robert.

– Co?

– Odsuń się, zasłaniasz światło.

Donald odetchnął głęboko i odszedł na bok. Kiedy znowu otworzył oczy, Muldoon wciąż przyglądał się kikutowi.

– Rozerwało ją w stawie kolanowym – stwierdził. – Nie odgryzł jej, tylko oderwał. Ot co! – Robert wyprostował się i opuszczył znaną nogę raną w dół, żeby reszta krwi spłynęła między paprocie. Poplamił zakrwawioną białą skarpetkę. Donaldowi znowu zrobiło się niedobrze.

– Nie ma wątpliwości, zabił go tyranozaur – orzekł Muldoon. Zerknął na wierzchołek wzgórza, a potem przyjrzał się Donaldowi. – W porządku? Możesz jechać dalej?

– Tak... – wykrztusił Gennaro. – Dam radę.

Robert ruszył do jeepa, zabierając nogę.

– Weźmiemy ją chyba – powiedział. – Nie powinniśmy jej tu tak zostawiać. O Jezu, ale będę miał uwalany samochód. Zobacz, czy nie ma tam w bagażniku jakiegoś brezentu albo chociaż gazety.

Donald otworzył bagażnik i zaczął grzebać w znajdujących się tam rzeczach. Cieszył się, że choć przez moment ma jakieś inne zajęcie niż myślenie o nodze. Skupił się na tym, jak zapakować znaleziony przedmiot... W bagażniku była płócienna torba z narzędziami, felga, jakieś pudło...

– Są dwie plastikowe płachty – poinformował.

– Daj jedną. – Muldoon zawinął nogę, trzymając się z dala od samochodu, po czym podał Donaldowi bezkształtny pakunek. Gennaro zdumiał się, jak ciężka jest ludzka łydka... – Włóż ją normalnie do środka – ponaglił go Robert. – Wciśnij ją, jeśli jest gdzie, żeby się nie turlała.

– Dobrze! – Donald schował nogę do bagażnika, a Muldoon, nie czekając, usiadł za kierownicą. Ruszyli energicznie. Jeep wjechał z wyciem silnika na wzgórze i już po chwili reflektory przestały oświetlać liście i opadły na drogę.

– Boże! – sapnął Muldoon.

Donald zobaczył, że na środku drogi leży przewrócona na bok toyota land cruiser. Drugiej nie było widać.

– A gdzie drugi samochód? – zdziwił się.

Robert się rozejrzał.

– Tam. – Pokazał odległy o kilka metrów zmiażdżony wrak, leżący u stóp drzewa.

– Jak ona się tam znalazła?!

– Tyranozaur nią rzucił.

– Rzucił?! – powtórzył zdumiony Donald.

– Obejrzyjmy lepiej wszystko – mruknął ponuro Robert, wysiadając z jeepa. Najpierw podbiegli z zapalonymi latarkami do zmiażdżonego wraka.

Z toyoty niewiele zostało. Donald na wszelki wypadek pozwolił, by Muldoon pierwszy zajrzał do środka.

– Nie bój się, raczej nikogo tam nie znajdziemy – pocieszył go Robert.

– Nie?

– Nee – zapewnił Muldoon, po czym zaczął opowiadać o swoich przygodach w Afryce, zaczynając od tego, że pięć razy widział w afrykańskim buszu pozostałości po atakach dzikich zwierząt na ludzi. Za pierwszym razem lampart rozdarł namiot i porwał trzyletnie dziecko. Druga napaść miała miejsce w Amboseli, a sprawcą był bawół. Później Muldoon dwukrotnie oglądał skutki ataków lwów. Zdarzyła się też napaść krokodyla – to z kolei było na północy, niedaleko Meru. Za każdym razem pozostało bardzo niewiele śladów.

– Niedoświadczeni ludzie – tłumaczył Muldoon – wyobrażają sobie morze krwi i pourywane ręce i nogi w namiotach, strużki krwi wiodące głęboko w busz, porozrzucane, zmięte, skrwawione ubrania... Tymczasem najczęściej nie zostaje po prostu nic, szczególnie jeśli ofiarą zwierzęcia pada niemowlę lub małe dziecko. Ofiara znika, jak gdyby poszła do buszu i więcej nie wróciła. Drapieżnik potrafi zabić dziecko poprzez samo potrząsanie nim; łamie się szyja. Zwykle nie ma żadnych śladów krwi. Ani też ubrań czy czegokolwiek innego, co może pozostać po człowieku. Czasem tylko leży gdzieś urwany guzik od koszuli czy blaszka z podeszwy buta. Najczęściej jednak nie ma nic.

Drapieżniki pożerają dzieci – bo zwykle wybierają na ofiary właśnie dzieci – i nic po takim dziecku nie zostaje. Koniec końców Muldoon uważał, że prawie na pewno nie znajdą żadnego śladu po wnukach Hammonda.

Robert zajrzał do zmiażdżonego land cruisera.

– A niech to licho – zaklął tylko.

* * *

Robert próbował wyciągnąć wnioski z tego, co widział. Przednia szyba toyoty została wybita, a mimo to w pobliżu samochodu prawie nie było szkła. Widział je za to wcześniej, na drodze. To znaczy, że szyba musiała wylecieć najpierw, a potem tyranozaur podniósł paszczą toyotę i rzucił ją tutaj. Ależ ten samochód jest rozpieprzony! Robert poświecił latarką do środka.

– Pusty? – wykrztusił Donald.

– Nie do końca – odpowiedział Robert, oświetlając rozbitą krótkofalówkę i jeszcze jakiś mały, czarny, łukowato wygięty przedmiot. Przednie drzwi land cruisera były powyginane i nie dało się ich otworzyć, ale Robert wszedł do środka przez tylne i przeczołgał się ponad oparciami przednich foteli, żeby podnieść ów czarny przedmiot.

– To zegarek! – oznajmił głośno, przyglądając się znalezisku w świetle latarki. Zegarek był elektroniczny, z tych tanich, miał pęknięty wyświetlacz. Taki zegarek pasował do wnuczka Hammonda, chociaż Robert nie mógł mieć pewności, że chodziło o chłopca. W każdym razie zegarek należał chyba do jednego z dzieci.

– Co takiego? Zegarek? – dopytywał się Gennaro.

– Tak. I radiotelefon, ale rozwalony.

- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Ma. Zaraz... – Robert pociągnął nosem. We wraku samochodu unosił się nieprzyjemny kwaskowaty zapach. Poszukał latarką jego źródła – to były wymiociny. Na drzwiach. Dotknął wymiocin – były całkiem świeże. – Być może jedno z dzieci żyje – powiadomił.
- Skąd wiesz?
- Z powodu tego zegarka. – Robert podał towarzyszkowi zegarek i Donald obejrzał go uważnie w świetle latarki.
- Pękła obudowa i wyświetlacz – zauważył.
- Właśnie. A pasek cały.
- No i co z tego?
- Dziecko zdjęło zegarek i go wyrzuciło.
- A może rozbiło zegarek przed napaścią tyranozaura?
- Nie. Matryce LCD są bardzo twarde. Żeby pękły, trzeba bardzo mocno uderzyć. To się stało podczas ataku tyranozaura.
- No i wtedy dziecko zdjęło zniszczony zegarek...
- Zastanów się, chłopie, gdyby atakował cię tyranozaur, czy traciłbyś czas na zdejmowanie rozbitego zegarka?
- To może zegarek ześlizgnął się z ręki?
- Prawie się nie zdarza, żeby komuś zerwało z ręki zegarek bez uszkodzenia paska. Chyba że urywa też dłoni. Zobacz, pasek jest cały. Dzieciak zobaczył, że ma zniszczony zegarek, więc go wyrzucił. To znaczy, że miał czas to zrobić.
- W takim razie kiedy miał ten czas?
- Kiedy dinozaur przestał atakować – tłumaczył Muldoon. – Tyranozaur odszedł, a chłopiec musiał ciągle być w samochodzie. Poza tym w środku jest rozbita krótkofalówka. Gdyby była cała, na pewno wzięłyby ją ze sobą, to mały bystrzak.
- Skoro jest taki bystry, to dokąd poszedł? – spytał z powątpiewaniem Gennaro. – Ja na jego miejscu zostałbym tutaj i czekał na pomoc.
- Niegłupi pomysł, ale może chłopiec nie mógł tu zostać. Może tyranozaur wrócił albo pojawił się jeszcze jakiś inny dinozaur. Tak czy inaczej, coś skłoniło dzieciaka do tego, żeby jednak stąd pójść.
- Dokąd mógł pójść?
- Może uda nam się to ustalić – zakończył Robert i truchtem wrócił na drogę.

* * *

Donald przyglądał się, jak Muldoon wpatruje się z bliska w ziemię, przyświecając sobie latarką. Pochylił się tak nisko, że jego twarz znajdowała się chyba z piętnaście centymetrów od błota. Naprawdę wydawało mu się, że natrafił na jakiś ślad i że jedno z wnuków Hammonda żyje. Prowadzone przez Muldoona poszukiwania nie robiły na Donaldzie wrażenia. Wystarczył mu widok odgryzionej łydki Regisa. Przeżywszy szok po znalezieniu

części ludzkiej nogi, Donald postanowił, że Park Jurajski nigdy nie zostanie otwarty, tylko zniszczony. A Robert Muldoon chyba niepotrzebnie robił sobie nadzieje, bo przecież...

– Widzisz te ślady? – przerwał rozmyślania Donalda Robert.

– Jakie znowu ślady? – burknął Gennaro.

– Te tutaj. Zobacz, dorosły mężczyzna szedł od drogi w naszą stronę. Widać, jakie miał buty...

Donald widział tylko błoto i kałuże odbijające światło latarek.

– Zobacz – prowadził go Robert – ślady tego mężczyzny idą tutaj, i w tym miejscu dochodzą do nich ślady małych bucików, i jeszcze średnich. Chodzili w kółko, jedne nachodzą na drugie... pewnie stali i rozmawiali. O, zobacz – chyba zaczęli biec, w tę stronę.

– Robert pokazał ruchem ręki. – Do lasu.

– W tym błocie każdy może zobaczyć, co chce – westchnął Donald, kręcąc głową.

Robert podniósł się i cofnął się o krok, po czym jeszcze raz spojrzał na błoto przed sobą.

– Mów co uważasz, ale mogę się założyć, że przynajmniej jedno z dzieci przeżyło. A może nawet oboje, i jeszcze dorosły. O ile oczywiście to nie są ślady Eda Regisa. Musimy przeszukać park.

– Teraz?

Muldoon nie odpowiedział, tylko odszedł w stronę górki miękkiej ziemi, koło betonowej rury do odprowadzania deszczu.

– Co ta mała miała na sobie? – spytał, znowu kucając.

– Jezu, nie mam pojęcia! – jęknął Donald.

Robert posuwał się powoli skrajem drogi. Chwilę później odezwało się jakby rzęzenie czy może sapanie... w każdym razie na pewno był to odgłos jakiegoś zwierzęcia!

– Słyszysz? – szepnął Donald, przerażony. – Lepiej stąd...

– Ćśś! – uciszył go Robert i nasłuchiwał uważnie.

– To tylko wiatr...

Wtedy rzęzenie odezwało się po raz drugi, nieco wyraźniej. To nie wiatr. Odgłos dochodził spomiędzy liści naprzeciwko Donalda, z miejsca znajdującego się blisko drogi. To chyba nie zwierzę... Robert na wszelki wypadek i tak posuwał się bardzo powoli. W pewnej chwili zamachał latarką i krzyknął, ale sapanie nie ucichło. Robert odsunął na bok liście palmy.

– Co to jest? – spytał Gennaro. – To profesor Malcolm.

* * *

Malcolm leżał na plecach, blady jak ściana, z półotwartymi ustami. Jego oddech był urywany i świszczący. Robert podał Donaldowi latarkę, nachylił się i zaczął obmacywać ciało matematyka.

– Nie mogę znaleźć rany – powiedział. – Głowa cała, pierś i ręce też...

Donald oświetlił nogi Malcolma.

– Założył sobie opaskę uciskową... – stwierdził.

Prawe udo lana ścisnął mocno pasek od spodni. Donald poświecił jeszcze niżej – prawa stopa Malcolma była wygięta pod nienaturalnym kątem na zewnątrz, a spodnie były przesiąknięte krwią. Robert delikatnie dotknął kostki matematyka i wtedy Malcolm jęknął.

Robert wyprostował się i zastanowił, co robić. Niewykluczone, że Malcolm ma inne urazy, na przykład złamany kręgosłup. Przeniesienie go może oznaczać dla niego śmierć. Jeśli jednak zostawią rannego tutaj, umrze wskutek wstrząsu. Dobrze, że zachował dość przytomności umysłu, aby ścisnąć nogę paskiem, inaczej już wykrwawiłby się na śmierć. Zresztą pewnie i tak umrze. Równie dobrze można go ruszyć, ocenił Robert.

Gennaro pomógł mu podnieść matematyka i zarzucili go sobie na ramiona. Malcolm jęczał i sapał urywanym oddechem.

– Lex – wykrztusił. – Lex... poszła... Lex...

– Kto to jest Lex? – spytał Robert.

– Ta mała dziewczynka – wyjaśnił Donald.

Zanieśli Malcolma do jeepa i położyli na tylnej kanapie. Donald poprawił opaskę uciskową na nodze profesora. Malcolm znowu jęknął. Wtedy Robert podwinął zakrwawioną nogawkę i zobaczył zmiażdżone krwiste ciało i wystający z niego ostry, jasny kawałek kości.

– Musimy zawieźć go do ośrodka – zdecydował.

– Chcesz odjechać bez dzieci? – zdziwił się Donald.

– Jeżeli uciekły do lasu, mamy do przeszukania pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych. – Robert pokręcił głową. – Jedynym sposobem skutecznego przeszukania parku jest uruchomienie czujników ruchu. Jeśli dzieci żyją i chodzą po lesie, czujniki je wykryją, i wtedy pojedziemy od razu, dokąd trzeba, i przywieziemy je. Za to jeżeli natychmiast nie zawieziemy profesora do ośrodka, umrze.

– To znaczy, że będziemy musieli tu wrócić?

– Tak, myślę, że tak.

Zajęli miejsca z przodu.

– Powiesz Hammondowi, że nadal nie wiadomo, co z jego wnukami? – spytał Donald.

– Nie, ty to zrobisz – odparł Robert.

STEROWNIA

Donald spoglądał na starego Hammonda, który siedział z nim w pustej restauracji ośrodka.

– Więc Muldoon sądzi, że Tim i Lex są gdzieś w lesie? – upewnił się Hammond, spokojnie zając lodów.

– Tak, tak uważa.

– W takim razie na pewno ich znajdziemy.

– Mam nadzieję... – Donald zwrócił uwagę, że starszy pan celowo skupia się na niespiesznym jedzeniu lodów. Przeszedł go zimny dreszcz.

– A ja jestem pewny – odparł Hammond. – W końcu to park dla dzieci, ciągle to wszystkim powtarzam.

– Tak, ale rozumiesz, że dzieci zaginęły? – upewnił się Donald.

– Zaginęły?! – zachnął się starszy pan. – Oczywiście, że rozumiem! Nie jestem otepiałym starcem. – Westchnął. – Słuchaj, Donaldzie, nie tragizujmy. Mamy małe kłopoty z powodu burzy czy jeszcze czegoś i w związku z tym doszło do nieszczęśliwego, smutnego wypadku. Ale to wszystko. Rozwiązujemy problem. Arnold naprawi system komputerowy, Muldoon znajdzie moje wnuki i nie wątpię, że wróci z nimi, zanim skończymy jeść te lody. Więc proponuję, żebyśmy spokojnie posiedzieli i poczekali na rozwój wypadków, dobrze?

– Jak uważasz – westchnął Donald.

* * *

– Czego właściwie szukasz? – spytał Henry Wu, wpatrując się w monitor.

– Myślę, że Nedry dobrał się do kodu systemu i coś wpisał – wyjaśnił John. – Szukam co i gdzie.

– Rozumiem. A spróbowałeś wszystkich innych możliwości niż na piechotę?

– To znaczy?

– Czy zabezpieczenia systemu wciąż są aktywne? Możesz włączyć keycheck?

– O Jezu, no jasne! – Arnold strzelił palcami. – Keycheck musi działać! Zabezpieczenia systemu da się wyłączyć tylko z centralnej konsoli.

– Jeśli działa keycheck, to możesz po prostu sprawdzić, co zrobił Nedry – skwitował Henry.

– Pewnie, że mogę! – John wpisał kilka komend. Dlaczego o tym nie pomyślałem?! – złościł się. Przecież to oczywiste! System komputerowy Parku Jurajskiego miał wbudowanych kilka rodzajów zabezpieczeń. Jednym z nich był podprogram keycheck, który odnotowywał każde stuknięcie w klawisze. Wprowadzono go, by łatwiej było usuwać błędy w oprogramowaniu, ale pozostawiono go na stałe, ponieważ przy okazji stanowi istotne zabezpieczenie systemu.

Już po chwili na ekranie pojawił się rejestr wszystkich komend wprowadzonych przez Dennisa Nedry'ego tego dnia:

13,42,121,32,88,77,19,13,122,13,44,52,77,90,13,99,13,100,13,109,55,103
144,13,99,87,60,13,44,12,09,13,43,63,13,46,57,89,103,122,13,44,52,88,9
31,13,21,13,57,98,100,102,103,13,112,13,146,13,13,13,77,67,88,23,13,13
system
nedry
goto command level
nedry
040/#xy/67&
mr goodbytes
security
keycheck off
safety off
sl off
security
white_rbt.obj

– Tylko tyle?! – zdumiał się John. – Sprawiał wrażenie, jakby mozolił się nad systemem kilka godzin, a on się tylko opierdalał?!

– Tak, najwyraźniej po prostu zabijał czas – zgodził się Wu. – Aż w końcu postanowił przystąpić do działania.

Seria liczb na górze ekranu reprezentowała w kodzie ASCII poszczególne klawisze, które wciskał Nedry na początku, z poziomu zwykłego użytkownika systemu. Znaczyło to, że zaczął od „rozglądania się” – a od twórcy systemu można by oczekiwać czegoś innego...

– Może Nedry chciał się zorientować, czy ktoś przed nim wprowadził jakieś zmiany? – wysunął przypuszczenie Henry.

– Niewykluczone. – John analizował już listę komend. – A teraz my możemy zorientować się, co on nawyczyniał... system – w tym miejscu Nedry wydał komendę przejścia na poziom architektury systemu. Komputer spytał go o nazwisko, dlatego wpisał nedry. Później wydał polecenie go to command level, żądając w ten sposób dostępu do poziomu najbardziej uprzywilejowanego użytkownika. Wymagało to powtórzenia nazwiska, a następnie podania bardziej skomplikowanego, dwupoziomowego hasła:

nedry
040/xy/67&
mr goodbytes

Wpisawszy powyższe, Nedry mógł już wydawać systemowi dowolne komendy. Następnie wpisał security, przechodząc do poziomu sterowania zabezpieczeniami. Dalsze trzy komendy wyglądały tak:

keycheck off
safety off
sl off

– To trzy kolejne próby wyłączenia zabezpieczeń systemu – ocenił Henry. – Nie chciał, żeby ktokolwiek mógł sprawdzić, co potem zrobił.

– Dokładnie – zgodził się John. – Jak widać, nie wie, że obecnie nie da się już wyłączyć zabezpieczeń, chyba że siedzi się przy głównym stanowisku i ręcznie przestawia przełączniki.

Po zarejestrowaniu trzech nieodpowiednich komend system zaczął niepokoić się postępowaniem Nedry'ego. Ponieważ jednak podał on właściwe hasła, komputer uznał, iż Nedry potrzebuje wskazówek – przecież próbował wydawać polecenia niedostępne ze stanowiska, przy którym siedział. System spytał więc Nedry'ego, czym chce sterować, dlatego informatyk znów odpowiedział: security. System zezwolił mu na pozostanie na poziomie sterowania zabezpieczeniami.

– I na końcu mamy gwóźdź programu. – Henry wskazał ostatnią z wydanych przez Nedry'ego komend:

whte-rbt.obj

– Co to za diabeł? – zdziwił się Arnold. White rabbit? Biały królik? To chyba jakiś psikus, który Nedry wkomponował w system!

– Chodzi o obiekt – zauważył Henry. W terminologii komputerowej obiekt oznaczał pewien blok kodu, który można było przemieścić i używać go – tak jak można przestawić krzesło w sali. Obiektem mógł być na przykład zestaw komend potrzebnych do narysowania obrazka, odświeżenia ekranu czy wykonania pewnego rodzaju obliczenia.

– Odszukajmy ten obiekt w kodzie – zaproponował John. – Może uda nam się stwierdzić, do czego służy. – Przeszedł na poziom narzędzi i wpisał:

```
FIND WHITE-RBT.OBJ
```

System odpowiedział po chwili:

```
OBJECT NOT FOUND IN LIBRARIES
```

– Nie ma takiego obiektu w zasobach – powiedział John.

– W takim razie wyszukaj go w samym kodzie – poradził Henry.

Arnold wydał polecenie:

```
FIND/LISTINGS: WHITE-RBT.OBJ
```

Ekran zaczął migotać – zmieniały się na nim błyskawicznie kolejne strony kodu. Trwało to niecałą minutę, aż wreszcie obraz się zatrzymał.

– Mamy – mruknął Henry. – To jednak nie obiekt, ale komenda.

Na monitorze widniał fragment kodu i strzałka, która wskazywała jedną z jego linii:

```
curV = GetHandl {ssm.dt} tempRgn {itm.dd2}.
curH = GetHandl {ssd.itl} tempRgn2 {itm.dd4}.
on DrawMeter(!gN) set shp_val.obj to lim(Val{d})-Xval.
if ValidMeter(mH) (**mH).MeterVis return.
if Meterhandl(vGT) ((DrawBack(tY)) return.
limitDat.4 = maxBits (%33) to {limit .04} set on.
limitDat.5 = setzero, setfive, 0 {limit .2 - var(szh)}.
→on whte_rbt.obj call link.sst {security, perimeter} set to off.
vertRange = {maxRange+setlim} tempVgn(fdn-&bb+$404).
horRange = {maxRange-setlim/2} tempHgn(fdn-&dd+$105).
void DrawMeter send_screen.obj print.
```

- A to skurwysyn! – zaklął John.
- To nie jest błąd w kodzie... – zauważył Henry, kręcąc głową.
- Pewnie, że nie! To klucz, który otworzył temu pierdolonemu grubasowi wszystkie drzwi i bramy! – wściekał się Arnold. – Zamaskował tę komendę, żeby wyglądała jak obiekt, a tymczasem wyłącza ona równocześnie wszystkie systemy zabezpieczeń parku i napięcie na ogrodzeniach! W tej chwili Nedry może wejść wszędzie!
- Musimy być w stanie ponownie włączyć zabezpieczenia – ocenił Henry.
- Jasne, to wykonalne. – John ściągnął brwi. – Trzeba tylko wydedukować, jak wygląda odpowiednia komenda. Odszukam, gdzie jeszcze występuje w kodzie komenda dotycząca równocześnie zasilania płotów prądem i innych systemów zabezpieczeń. Może to naprowadzi nas na rozwiązanie problemu.
- Wiesz co? – Henry nagle wstał. – Rób to, a ja pójdę do chłodni z embrionami i je policzę. Zdaje się, że przed mniej więcej godziną ktoś tam zaglądał!

* * *

Ellie była w hotelu, w swoim pokoju. Zamierzała właśnie zdjąć przemoczone ubranie, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Alan? – spytała. Otworzyła drzwi i zobaczyła Muldoona, trzymał pod pachą jakiś pakunek – coś owiniętego plastikową płachtą. Dowódca ochrony Parku Jurajskiego był cały mokry i ubłocony.

– Przepraszam, ale potrzebujemy pani pomocy – odezwał się. – Dwie toyoty z resztą gości zostały przed godziną zaatakowane przez tyranozaura. Znaleźliśmy profesora Malcolma, przywieźliśmy go tutaj, ale został bardzo ciężko ranny w nogę i jest w szoku. Wciąż nieprzytomny. Położyłem go do łóżka w jego pokoju. Zaraz będzie u niego Harding.

- Harding? A co z pozostałymi?!
- Jeszcze nikogo innego nie odnaleźliśmy... – odpowiedział powoli Muldoon.
- Boże!
- Podejrzewamy jednak, że profesor Grant i dzieci żyją. Prawdopodobnie uciekli do lasu.
- Skąd to wiadomo?
- Na to wskazują ślady. W każdym razie profesor Malcolm potrzebuje pomocy.
- Dlaczego Harding? Lepszy byłby normalny lekarz.
- Nie mamy na wyspie lekarza. Harding to najlepszy specjalista, jakim dysponujemy.
- Przecież możecie wezwać lekarza z zewnątrz...
- Niestety, telefony nie działają. – Muldoon pokręcił głową. – Nie możemy skontaktować się ze światem zewnętrznym. – Poprawił pakunek pod pachą.
- Co to jest? – zainteresowała się Ellie.
- Nieważne. Proszę iść do pokoju pana Malcolma i pomóc Hardingowi. Jeśli pani może. To powiedziawszy, Muldoon odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Zaszokowana Ellie usiadła na łóżku. Nie należała do kobiet, które łatwo wpadają w panikę, i wiedziała, że Alan wyszedł cało z kilku niebezpiecznych sytuacji. Raz zgubił się na pustkowiu i nie było go cztery dni. Okazało się, że ziemia na stoku się osunęła i jego terenówka stoczyła się trzydzieści metrów w dół do parowu. Alan złamał przy tym nogę. W dodatku nie miał wody. Ale mimo wszystko wrócił, i to stąpając na złamanej nodze...

No, ale dzieci...

Ellie pokręciła głową, odpędzając negatywne myśli. Dzieci są pewnie razem z Alanem. Jeśli znaleźli się w lesie, trudno wyobrazić sobie lepszego przewodnika po Parku Jurajskim niż ekspert od dinozaurów.

W PARKU

– Jestem zmęczona – poskarżyła się Lex. – Nieś mnie, panie profesorze.

– Jesteś za duża, żebym mógł cię nieść – odpowiedział Alan.

– Ale jestem zmęczona!

– Dobrze... – Alan wziął dziewczynkę na ręce. – Ooch, ale ty jesteś ciężka!

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Była pełnia, księżyc przysłaniała lekka mgiełka. Niewyraźne cienie szły przed trojgiem wędrowców podążających przez łąkę do ciemnego lasu. Alan próbował wydedukować, gdzie są. Przeszedł z dziećmi po szczątkach płotu zmiażdżonego przez tyranozaura, więc muszą znajdować się w części parku przeznaczonej dla tych właśnie zwierząt. To zdecydowanie niedobre miejsce dla ludzi. Alan przypominał sobie trajektorię ruchów tyranozaura, którą oglądał wcześniej na tablicy świetlnej – splecione linie pokrywały niewielki obszar. Jesteśmy właśnie na tym obszarze! – myślał z niepokojem.

Pamiętał równocześnie, że w sektorze dla tyranozaurów nie było żadnych innych dinozaurów. Kiedy przekroczymy kolejny płot czy też fosę, będziemy na zewnątrz, myślał.

Na razie nie było widać żadnych płotów ani fos.

Dziewczynka oparła główkę na ramieniu Alana i po chwili zaczęła chrapać. Tim dreptał obok w milczeniu.

– Jak się trzymasz, Tim? – zagadnął Alan.

– Trzymam się. Ale chyba jesteśmy na wybiegu dla tyranozaurów.

– Nie ma wątpliwości. Mam nadzieję, że wkrótce się z niego wydostaniemy.

– Myśli pan, że powinniśmy wchodzić do tego lasu? – spytał z niepokojem chłopiec. Ciemny las z bliska nie wyglądał zachęcająco.

– Tak, ponieważ uważam, że będziemy mogli orientować się według numerów na czujnikach ruchu – wyjaśnił Alan.

Czujniki ruchu były zielonymi skrzyneczkami zawieszonymi mniej więcej na wysokości pasa dorosłego człowieka. Niektóre stały na statywach, większość przymocowano do drzew. Widać było, że nie pracują, awaria zasilania najwidoczniej nie została jeszcze usunięta. Każdy

czujnik miał obiektyw, a pod nim wymalowany farbą symbol. Alan zobaczył przed sobą w świetle księżyca czujnik oznaczony jako T/S/04.

Weszli do lasu. Drzewa były ogromne. Księżyc świecił na tyle jasno, że można było dostrzec mgiełkę snującą się między wystającymi korzeniami. Widok był piękny, jednak trzeba było uważnie patrzeć pod nogi. Alan wyszukiwał wzrokiem kolejne czujniki. Minęli T/S/03 i T/S/02, doszli do T/S/01. Dziewczynka zaczynała mu ciążyć. Miał nadzieję, że T/S/01 będzie znajdował się przy skraju obszaru dla tyranosaurów, jednak stał w środku lasu. Następny czujnik miał oznaczenie T/N/01, kolejny – T/N/02. Alan zrozumiał, że jedynka oznacza chyba bliskość centralnego punktu sektora, a druga litera – stronę świata. Idziemy z południa na północ, myślał. Dlatego cyfry będą teraz rosnąć.

– Przynajmniej idziemy w dobrą stronę – ucieszył się Tim.

– Masz rację, dziękuję za pocieszenie – odpowiedział Alan.

Chłopiec uśmiechnął się, po czym potknął o przysłoniętą mgłą gałąź. Przez chwilę szli w milczeniu.

– Moi rodzice się rozwodzą – odezwał się w końcu.

– Coś takiego – mruknął Alan.

– Tata wyprowadził się miesiąc temu. Teraz ma własny dom w Mili Valley.

– Co ty powiesz.

– Już nie nosi Lex. W ogóle już nie bierze jej na ręce.

– I ten człowiek mówi, że dinozaury rzuciły ci się na mózg?

– Właśnie – westchnął chłopiec.

– Tęsknisz za nim? – spytał Alan.

– Nie za bardzo. No, czasami. Ona bardziej za nim tęskni.

– Kto? Mama?

– Nie, Lex. Mama ma nowego chłopaka. To jej kolega z pracy.

Znowu szli w milczeniu, mijając T/N/03 i T/N/04.

– Poznałeś go? – spytał po chwili Alan.

– Tak...

– I jaki jest?

– Nawet fajny. Młodszy od mojego taty, ale zupełnie łysy.

– Jak cię traktuje?

– Nie wiem. Chyba dobrze. To znaczy chyba się stara, żebym go lubił. Nie wiem, co będzie dalej. Czasami mama mówi, że będziemy musieli sprzedać dom i się wyprowadzić. Ale czasami się kłóć, późno wieczorem. Siedzę w swoim pokoju przy komputerze i gram, ale i tak słyszę.

– Coś takiego...

– A pan jest rozwiedziony?

– Nie. Moja żona umarła już przed laty.

– I teraz pana dziewczyną jest pani doktor Sattler?

– Nie. – Alan uśmiechnął się w ciemnościach. – To moja studentka.

– Jak to? To ona jeszcze studiuje?

– Uczy się ode mnie na uniwersytecie. – Alan przystanął i przełożył Lex na drugie ramię. Ruszyli dalej i minęli czujniki T/N/05 i T/N/06. W pewnej chwili Alan zwrócił uwagę na odległy grzmot – burza przesunęła się na południe. Teraz w lesie było cicho, jeśli nie liczyć grania cykad i kumkania rzekotek drzewnych.

– Ma pan dzieci? – zagadnął znowu Tim.

– Nie mam.

– Ożeni się pan z doktor Sattler?

– Nie. Pani Ellie wychodzi w przyszłym roku za mąż za pewnego sympatycznego lekarza z Chicago.

– Och... – Tim był chyba zdziwiony. Znowu zamilkł.

– To z kim pan się ożeni? – spytał wreszcie.

– Przypuszczam, że już z nikim.

– Ja też się z nikim nie ożenię – zadeklarował Tim.

Szli dalej.

– Myśli pan, że będziemy szli całą noc? – spytał po pewnym czasie Tim.

– Chyba nie dam rady. Będziemy musieli zatrzymać się na odpoczynek, przynajmniej parogodzinny. – Alan spojrzał na zegarek. – Ale dobrze nam idzie. Mamy jeszcze piętnaście godzin na powrót, bo za mniej więcej tyle czasu statek dopłynie do portu.

– Kiedy się zatrzymamy? – chciał wiedzieć Tim.

Alan już się nad tym zastanawiał. Początkowo uznał, że najbezpieczniej byłoby wspiąć się na drzewo i spróbować się na nim zdrzemnąć. Tylko że aby nie dosięgnąć! ich tyranozaur, trzeba wejść bardzo wysoko. Lex mogłaby spać podczas snu. Poza tym Alan wątpił, czy zdoła wypocząć na twardej gałęzi.

Trzeba znaleźć naprawdę bezpieczne miejsce do spania. Alan przypomniał sobie, że na oglądanych przez niego w samolocie mapach były zaznaczone budynki i że na każdym z obszarów, gdzie żyją dinozaury, znajdowało się ich kilka. Nie wiedział, jak te budynki wyglądają, ponieważ w dokumentach nie było ich planów. Nie zapamiętał też dokładnej lokalizacji poszczególnych budowli, były po prostu rozsiane po parku. Mogą znajdować się w pobliżu jednej z nich...

Idąc wytrwale, powinni dotrzeć do granicy sektora dla tyranozaurów, jednak odnalezienie budynku wymaga podjęcia innych działań. Jak go znaleźć?

– Tim, czy mógłbyś potrzymać przez chwilę siostrę? Wejdę na drzewo i się rozejrzę.

* * *

Alan siedział wysoko w koronie drzewa. Dotarł do miejsca, z którego roztaczał się rozległy widok. Ze wszystkich stron rosły drzewa. Ale okazało się, że znajdują się zaskakująco blisko skraju lasu. Wystarczyło iść nieco dalej. W niedużej odległości za

drzewami ciągnął się płot i betonowa fosa. Za nimi znajdowała się ogromna łąka – prawdopodobnie był to sektor dla zauropodów. Za łąką znowu widać było drzewa, a jeszcze dalej – przymglone światło księżyca odbijało się od powierzchni oceanu.

Nagle do uszu Alana dotarł cichy, odległy ryk dinozaura. Alan założył gogle noktowizyjne i się rozejrzał. Widać było wyraźnie jaśniejszą fosę, a za nią to, czego szukał: ciemniejszy pas drogi dla pracowników parku. Prowadziła do niskiego prostokątnego budynku. Stał niedaleko, może czterysta metrów od drzewa, na którym siedział.

Zszedł z drzewa i usłyszał, że Lex pociąga nosem.

– Co się stało? – spytał.

– Dinozaur zaryczał! – jęknęła dziewczynka.

– Jest daleko i nie będzie nas niepokoił. Obudziłaś się już? To chodźmy.

Podeszli do płotu. Miał trzy i pół metra wysokości i był zwieńczony drutem kolczastym. Bezpośrednio za ogrodzeniem znajdowała się fosa. Lex popatrzyła nieśmiało w górę.

– Dasz radę wejść na ten płot? – spytał Alan.

– No pewnie! – odpowiedziała natychmiast. Podała mu rękawicę baseballową i czapeczkę i zaczęła się wspinać. – Ale założę się, że Tim nie da rady.

– Zamknij się! – warknął Tim.

– Bo Tim boi się wysokości!

– Nie boję się.

– Naprawdę? – spytała z góry Lex.

– Naprawdę.

– No to chodź i mnie złap.

Alan spojrział na chłopca – mimo ciemności widać było, że Tim zbliadł.

– Dasz radę pokonać ten płot? – spytał Alan.

– Dam.

– Pomóc ci?

– Timmy bojący dudek! – zadrwiła Lex.

– Ty wstrętna idiotko! – zezłościł się Tim i zaczął się wspinać.

* * *

– Ale zimno! – poskarżyła się dziewczynka. Stali po pas w nieprzyjemnie pachnącej wodzie na dnie głębokiej betonowej fosy. Szarża przez płot okazała się udana, tylko Tim rozdarł koszulkę o drut kolczasty. Ześlizgnęli się bezpiecznie do fosy. Alan zastanawiał się teraz, jak się z niej wydostać.

– Fajnie, że udało mi się zdenerwować Tima, żeby przelazł przez płot – skomentowała dziewczynka. – Bo on się naprawdę boi.

– Dzięki za pomoc – mruknął chłopiec. Widać było, że w wodzie pływają jakieś glony. Szli fosą, oglądając betonową ścianę po drugiej stronie. Była gładka, niemożliwe, żeby na nią weszli...

– Faj! – Lex skrzywiła się, pokazując palcem wodę.

– Glony cię nie ugryzą, Lex.

Alan znalazł w końcu miejsce, w którym na ścianie rosło jakieś pnącze, a beton był popękany. Uwiesił się na pnącej roślinie – utrzymała go.

– Chodźcie na górę, dzieci – zachęcił. Wspięli się i znaleźli na otwartej przestrzeni. Już po kilku minutach dotarli do gruntowej drogi, skręcili w prawo i doszli do budynku. Minęli dwa kolejne czujniki ruchu, Alan zauważył z niepokojem, że wciąż nie pracują. Oświetlenie także ciągle nie działało. Minęły już przecież ponad dwie godziny od wystąpienia awarii, a jeszcze nie zdołano jej usunąć.

Znow usłyszeli w oddali ryk tyranozaura.

– Czy on jest blisko? – spytała z lękiem dziewczynka.

– Nie – zaprzeczył stanowczo Alan. – Jesteśmy teraz w innej części parku niż on.

Zeszli po porośniętej trawą skarpie i zbliżyli się do budynku.

W ciemności prezentował się posępnie. Był betonowy i przypominał bunkier.

– Co tu jest? – spytała Lex.

– Bezpieczne schronienie – odpowiedział Alan. Miał nadzieję, że to prawda.

Wejście stanowiła krata z bardzo grubych prętów, można było wjechać do środka ciężarówką. Wnętrze budynku stanowiło pojedyncze pomieszczenie. Znajdowały się w nim stogi trawy, beły siana i różne maszyny.

Krata była zamknięta na okazałą kłódkę. Alan zaczął ją oglądać, a tymczasem Lex przeszła bokiem przez kratę.

– Chodźcie! – zachęciła ich.

Tim także się przecisnął.

– Pan chyba też da radę, profesorze – ocenił.

Nie pomylił się. Alan poczuł się trochę ściśnięty, ale zdołał wejść do budynku. Kiedy tylko znalazł się w środku, poczuł, że jest wyczerpany.

– Ciekawe, czy jest tu coś do jedzenia – zastanawiała się Lex.

– Tylko siano – skwitował Alan. Wziął jedną z beł i rozłożył siano na posadzce, żeby utworzyło coś w rodzaju materaca. W środku beły siana było ciepło. Alan położył się na nim, dzieci też; Lex skuliła się i zamknęła oczy, a brat objął ją ramieniem. Z oddali doleciało ciche trąbienie zauropodów.

Nie minęła chwila, a dzieci spały głębokim snem. Alan spojrzał na zegarek, ale było tak ciemno, że nie zdołał odczytać, która jest godzina. Od śpiących dzieci biło ciepło. Alan zamknął oczy i zasnął.

STEROWNIA

Robert Muldoon i Donald Gennaro weszli do sterowni. W tym samym momencie John Arnold klasnął i wykrzyknął:

- Mam cię, ty gnido!
- Co się dzieje? – spytał Donald.

Arnold pokazał palcem monitor i Donald zobaczył taki oto obraz:

```
Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
if Link(Vg1,Vg2) set Lim(Vg1,Vg2) return
if Link(Vg2,Vg1) set Lim(Vg2,Vg1) return
→on white_rbt.obj link set security (Vg1), perimeter (Vg2)
limitDat.1 = maxBits (%22) to {limit .04} set on
limitDat.2 = setzero, setfive, 0 {limit .2—var(dzh)}
→on fini.obj call link.sst {security, perimeter} set to on
→on fini.obj set link.sst {security, perimeter} restore
→on fini.obj delete line rf white_rbt.obj, fini.obj
Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
limitDat.4 = maxBits (%33) to {limit .04} set on
limitDat.5 = setzero, setfive, 0 {limit .2—var(szh)}
```

- To jest to!
- Co takiego? – chciał wiedzieć Donald, nie rozumiejąc nic a nic z tego, co widzi na ekranie.
- Wreszcie znalazłem komendę, która przywraca normalną wersję kodu systemu. To fini.obj. Po jej wpisaniu przywrócone zostaje działanie systemów bezpieczeństwa i jednocześnie zasilanie płotów.
- Dobrze – pochwalił Muldoon.
- To nie wszystko. Zaraz potem ta komenda kasuje jeszcze linie kodu, które wiązały się ze wszystkimi wprowadzonymi zmianami. To znaczy, zaciera za sobą ślady. Sprytnie.
- Nie znam się zbytnio na komputerach – przyznał Donald, kręcąc głową. Wiedział tylko tyle, że jeśli firma zajmująca się najnowszymi technologiami musi zagłębiać się w kod źródłowy swojego systemu, to znaczy, że ma bardzo poważne kłopoty.
- Patrzcie, co się teraz będzie działo. – John wpisał komendę:

FINI.OBJ

Ekran mignął i kod natychmiast się zmienił. Teraz wyglądał tak:

```

Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
if Link(Vg1,Vg2) set Lim(Vg1,Vg2) return
if Link(Vg2,Vg1) set Lim(Vg2,Vg1) return
limitDat.1 = maxBits (%22) to {limit .04} set on
limitDat.2 = setzero, setfive, 0 {limit .2—var(dzh)}
Vg1 = GetHandl {dat.dt} tempCall {itm.temp}
Vg2 = GetHandl {dat.itl} tempCall {itm.temp}
limitDat.4 = maxBits (%33) to {limit .04} set on
limitDat.5 = setzero, setfive, 0 {limit .2—var(szh)}

```

Robert pokazał za okna.

– Zobaczcie! – wykrzyknął radośnie. Widać było, jak w całym parku zapalają się niemal równocześnie potężne kwarcowe reflektory. Trzej mężczyźni podeszli do okien i sycili oczy widokiem.

– Działa jak piorun! – cieszył się John.

– Czy to znaczy, że ogrodzenia znowu są pod napięciem? – upewnił się Donald.

– Mogę się założyć, że tak – potwierdził Arnold. – Dojście do pełnej mocy zajmie parę sekund, bo mamy w sumie osiemdziesiąt kilometrów płotów i generator musi naładować kolejne kondensatory. Ale w ciągu pół minuty wszystko powinno działać normalnie. – John pokazał przezroczysty ekran z naniesioną mapą parku.

Na mapie zapalały się kolejne odcinki czerwonych linii, rozbiegając się od symbolu elektrowni. Ogródzenia znów były pod napięciem.

– Co z czujnikami ruchu? – spytał Donald.

– Też działają. Minie kilka minut, zanim komputer wszystko policzy, ale na pewno. Do dwudziestej pierwszej trzydzieści cały park znów będzie pod naszą obserwacją.

* * *

Alan otworzył oczy. Przez kratę wpadało do budynku jaskrawe niebieskawe światło. Naprawiono zasilanie! Spojrzał na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Spałem tylko kilka minut, pomyślał. Postanowił przespać się jeszcze kwadrans, a potem wyjść na łąkę, stanąć naprzeciwko czujnika ruchu i pomachać rękami, żeby czujnik zarejestrował jego obecność. Obsługa sterowni powinna go dostrzec i wysłać samochód, który zawiezie jego i dzieci do ośrodka. Wtedy Alan powie Johnowi Arnoldowi, żeby zawrócił statek. A później będzie można wreszcie wyspać się w hotelu.

Zaraz wyjdę, zdecydował Alan. Ziewnął i zamknął oczy.

* * *

– Nie jest tak źle – skomentował John Arnold, przyglądając się mapie. – W całym parku są tylko trzy odcinki bez prądu. Myślałem, że będzie dużo gorzej.

– Odcinki bez prądu? – powtórzył pytająco Donald.

– W przypadku zwarcia następuje automatyczne odcięcie zasilania na danym odcinku płotu. Jak pan widzi, tu mamy wyłączony odcinek, w sektorze dwunastym, przy głównej drodze.

– To tam tyranozaur rozdeptał płot – stwierdził Muldoon.

– Właśnie. A tu nie działa drugi odcinek. To sektor jedenasty, koło magazynu z paszą dla zauropodów.

– Dlaczego tam też jest awaria? – zainteresował się Gennaro.

– Bóg jeden wie. Pewnie piorun albo przewrócone drzewo. – Za chwilę możemy spróbować sprawdzić to za pomocą kamer. Jest jeszcze trzeci wyłączony odcinek, o tu, nad rzeką. Też nie wiem, dlaczego się wyłączył.

Nagle na oczach Donalda mapa zaczęła zapełniać się zielonymi kropkami, przy których zapalały się oznaczenia.

– Co to jest? – zdziwił się.

– Nasze dinozaury. Znowu działają czujniki ruchu, komputer identyfikuje kolejno wszystkie zwierzęta. Ludzi też wykryje.

– Mówi pan o profesorze Grancie i dzieciach... – Donald wpatrywał się w mapę.

– Tak. Ustawiliśmy całkowitą liczbę zwierząt na czterysta. W ten sposób, jeśli gdzieś chodzą ludzie, komputer zarejestruje ich jako dodatkowe zwierzęta. – John także przyglądał się uważnie mapie. – Ale na razie nie widzę, żeby ich wykrył.

– Dlaczego trwa to tyle czasu? – niecierpliwił się Donald.

– Musi pan zdać sobie sprawę, jak dużo jest w parku rozmaitych poruszających się, nieistotnych dla nas obiektów: gałęzie na wietrze, ptaki, różne inne rzeczy. System musi wyeliminować wszystkie ruchy tła. Myślę, że nie zajmie to więcej niż... O, liczenie skończone.

– Dzieci nie widać? – upewnił się Donald.

John jeszcze raz przyjrzał się uważnie mapie.

– Nie. W tej chwili system nie odnotowuje obecności niczego innego niż dinozaury. Pewnie nasza trójka schroniła się na drzewie czy w jakimś innym, niewidocznym dla nas miejscu. Ja bym się jeszcze nie martwił. Kilku dinozaurów system także jeszcze nie wykrył, w tym dorosłego tyranozaura. Najpewniej dlatego, że te zwierzęta śpią i się nie poruszają. Ludzie też mogą w tej chwili spać. Tego nie wiemy.

– Trzeba działać dalej – skwitował Robert, kręcąc głową. – Naprawić ogrodzenia i sprowadzić zwierzęta na właściwe wybiegi. Z tego co widzę na mapie, pięć dinozaurów znajduje się nie tam, gdzie powinno. Idę pokierować ekipami technicznymi.

– Niech pan może sprawdzi, w jakim stanie jest profesor Malcolm – powiedział Arnold do Gennaro. – Proszę mu powiedzieć, że mniej więcej za godzinę Robert Muldoon będzie potrzebował jego pomocy. Niech profesor nadzoruje sprowadzanie dinozaurów do odpowiednich sektorów. A ja powiadomię teraz pana Hammonda o sytuacji.

Donald minął potężną bramę i wszedł do hotelu Safari. Na korytarzu spotkał doktor Ellie Sattler, niosła ręczniki i miskę gorącej wody.

– Idę z kuchni – odezwała się. – Gotujemy tam wodę do opatrunków.

– W jakim on jest stanie? – spytał Donald.

– Zaskakująco dobrym.

Gennaro poszedł za Ellie do pokoju Iana. Zdumiał się, słysząc śmiech matematyka. Leżał na plecach, a Harding podłączał mu kroplówkę. Malcolm właśnie kończył opowiadać jakiś dowcip. Weterynarz roześmiał się szczerze.

– Och, pan Gennaro – powitał Donalda Ian. – Przyszedł pan w odwiedziny. Teraz rozumie pan, jak kończą się próby wzięcia nóg za pas.

Donald zbliżył się niepewnie.

– Jest na morfinie, dałem mu silną dawkę – powiedział Harding.

– Za małą, bo jestem na słabym haju – skomentował Malcolm. – Skąpi mi dragów. I jak, znaleźli już pozostałych?

– Jeszcze nie – odparł Donald. – Ale cieszę się, widząc pana w tak dobrym stanie.

– A jak mam się czuć, mając otwarte złamanie nogi i prawdopodobnie zakażenie, które zaczyna pachnieć raczej, hm, paskudnie? Zawsze powtarzam, że jeśli człowiek straci poczucie humoru...

Donald się uśmiechnął.

– Pamięta pan, co się stało? – spytał.

– Oczywiście, że tak! Czy sądzi pan, że może wylecieć komuś z głowy fakt, iż został ugryziony przez tyranozaura? Doprawdy, chcę pana zapewnić, że coś takiego pamięta się do końca życia. Choć w moim przypadku być może nie będzie oznaczało to zbyt długiego czasu. W każdym razie pamiętam.

Malcolm opowiedział, jak wyskoczył z toyoty na deszcz i uciekał, a tyranozaur go gonił.

– To moja wina – przyznał – bo dinozaur był za blisko, ale wpadłem w panikę. Tak czy inaczej, złapał mnie w paszczę i podniósł z ziemi.

– Jak pana złapał? – zainteresował się Donald.

– Za tułów. – Ian podciągnął koszulę. Od jego ramienia aż do pępka biegły półkołem ranki klute otoczone sińcami. – Podniósł mnie wysoko, potrząsnął mną okrutnie i rzucił. Nic poważnego mi się nie stało, poza tym że byłem naprawdę przerażony. Oczywiście dopóki nie wypuścił mnie z powrotem na ziemię. Nogę złamałem, upadając. W porównaniu z tym ugryzienie nie było takie złe. – Westchnął.

– Większość dużych drapieżnych dinozaurów nie ma zbyt mocnych szczęk – skomentował Harding. – Ich prawdziwa siła tkwi w mięśniach szyi. Szczęki służą głównie do przytrzymywania. Drapieżnik zabija, wykręcając ciało ofiary i rozrywając je. Pan profesor

jest dla tyranozaura na tyle małym zwierzęciem, że wystarczyło nim porządnie potrząsnąć i rzucić.

– Obawiam się, że to prawda – zgodził się Ian. – Wątpię, abym wciąż żył, gdyby ta Godzilla przyłożyła się porządnie do zlikwidowania mnie. Prawdę mówiąc, robiła wrażenie niezdary, jeśli chodzi o polowanie na cokolwiek mniejszego niż samochód czy kamienica.

– Uważa pan, że tyranozaur nie był zdecydowany pana zabić?

– Mówię to z prawdziwym bólem, jednak nie czuję, abym całkowicie skupił na sobie jego uwagę. Za to on skupił moją w zupełności. Ale cóż, on waży z osiem ton, a ja nie.

Donald popatrzył na Hardinga.

– Ekipy będą teraz naprawiać płoty – poinformował. – John Arnold mówił, że Muldoonowi przyda się pańska pomoc przy przemieszczeniu zwierząt na właściwe wybiegi.

– Dobrze – zgodził się weterynarz.

– Zgoda, jeśli tylko zostawicie mi panią doktor i dużo morfiny – wtrącił się Ian. – No i jeżeli nie wystąpił efekt Malcolma.

– Jaki znowu efekt Malcolma? – zdziwił się Gennaro.

– Skromność zabrania mi opisać wam szczegóły zjawiska noszącego moje nazwisko – odparł Ian, po czym ziewnął, zamknął oczy i zasnął.

Ellie wyszła z Donaldem na korytarz.

– Niech pan nie da mu się oszukać – szepnęła. – Profesor Malcolm bardzo przejmuje się swoim stanem. Kiedy będzie tu helikopter?

– Helikopter?

– Trzeba operować mu nogę. Niech pan powie, żeby wzywali helikopter, i dopilnuje, żeby jak najszybciej wywieźć profesora Malcolma z wyspy.

PARK

Przenośny generator zatrząsł się i zaczął terkotać, i zaraz potem rozbłysły kwarcowe reflektory na długich teleskopowych wysięgnikach. Parę metrów od Roberta Muldoona płynęła wartko rzeka. Robert wrócił do furgonetki i zobaczył, że jeden z jego pomocników trzyma dużą piłę elektryczną.

– Nie, Carlos – odezwał się Robert. – Tylko liny. Nie trzeba ciąć.

Przyjrzał się ogrodzeniu. Trudno było znaleźć miejsce zwarcia, bo uszkodzenie płotu nie było duże – oparło się o niego tylko małe drzewo o gałęziach i liściach przypominających pióra. Posadzono w tym miejscu kilka drzew tego gatunku, by zasłaniały płot. To jedno zostało ustabilizowane linami i śrubami rzymskimi, ale podczas burzy liny pozrywały się, śruby poleciały na płot i w ten sposób doszło do spięcia. Oczywiście ogrodnicy użyli niewłaściwych materiałów, bo teoretycznie koło płotów stosowano tylko liny w plastikowej osłonie i ceramiczne śruby, jednak ktoś najwyraźniej nie przestrzegał obowiązujących w parku norm.

Zadanie wyglądało na proste. Wystarczyło podnieść drzewo, usunąć stalowe liny i oznakować miejsce, aby ogrodnicy ustabilizowali drzewo rano. Dwadzieścia minut i będzie po krzyku, ocenił Muldoon. I bardzo dobrze, że nie więcej, bo dilofozaury zawsze trzymają się blisko rzeki. Co z tego, że ekipę oddziela od nich płot, skoro dilofozaur może plunąć jadem przez siatkę i kogoś oślepić?

– *Señor*, widział pan światła? – spytał jeden z robotników, Ramón.

– Jakie światła? – odpowiedział Robert.

Ramón pokazał na wschód, na las.

– Zobaczyłem je, jak wychodziliśmy. Teraz też widać, tylko bardzo słabo. Widzi pan? Wyglądają jak reflektory stojącego samochodu.

Robert zmrużył oczy. Widział jakąś poświatę, ale chyba był to po prostu jeden z reflektorów oświetlających park.

– Potem się tym zajmiemy – zdecydował. – Na razie trzeba podnieść to drzewo.

* * *

Nastrój Johna Arnolda poprawiał się. W parku zaczęto zaprowadzać porządek. Robert kierował naprawą ogrodzeń, stary Hammond pojechał z Hardingiem nadzorować sprowadzanie dinozaurów na właściwe obszary. John był wprawdzie zmęczony, ale nabrał ochoty na rozmowę z prawnikiem.

– Martwił się pan o efekt Malcolma? – zagadnął.

– Po prostu jestem ciekaw, co to jest – odpowiedział Gennaro.

– Pewnie chce pan ode mnie usłyszeć, dlaczego Malcolm się myli.

– Chciałbym – przyznał Donald.

– To zagadnienie techniczne – ostrzegł Arnold, zapalając papierosa.

– Niech pan spróbuje mi je wytłumaczyć.

– Dobrze. Teoria chaosu dotyczy układów nieliniowych. Obecnie obejmuje ona zadziwiająco szeroki wachlarz zagadnień, poczynawszy od giełdy papierów wartościowych aż po rytm serca. Jest bardzo modna. To znaczy modne jest stosowanie jej do wszystkich złożonych systemów, w których zachowanie może być nieprzewidywalne. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Profesor Ian Malcolm to matematyk, który specjalizuje się właśnie w teorii chaosu. Bardzo zabawny i sympatyczny gość. Ale on nie tylko ubiera się na czarno, ale jeszcze modeluje komputerowo zachowanie się różnych skomplikowanych układów. Pan Hammond kocha nowinki techniczne i naukowe, dlatego zatrudnił Malcolma, żeby ten stworzył komputerowy model układu, jakim jest Park Jurajski. Malcolm to zrobił. Modele Malcolma można oglądać na monitorze, to rozmaite kształty w przestrzeni fazowej. Widział je pan?

– Nie.

– Ich wygląd kojarzy się trochę ze zwichrowaną śrubą statku. Według Malcolma każdy układ ewoluuje, trzymając się powierzchni śruby. Rozumie pan?

– Niezupełnie.

– Powiedzmy, że spuszcza na wierzch dłoni kroplę wody – tłumaczył John, unosząc rękę. – Kropla spłynie z mojej ręki. Może w stronę nadgarstka, może w stronę kciuka, a może gdzieś pomiędzy palcami. Nie wiem na pewno którądy, ale wiem, że cały czas będzie się trzymać powierzchni mojej ręki. Nie ma innej możliwości.

– Rozumiem.

– Według teorii chaosu cały układ zachowuje się podobnie jak kropla płynąca po powierzchni o skomplikowanym kształcie, przypominającym śrubę. Kropla ta może zdążać spiralnie ku środkowi śruby albo oddalać się od środka, zmierzając do jej krawędzi. Może robić rozmaite, bardzo różne rzeczy. Ale nigdy nie opuści powierzchni śruby.

– No tak – zgodził się Donald.

– Modele Malcolma mają najczęściej strome wybrzuszenia – miejsca, w których kropla gwałtownie przyspieszy. Nasz profesor nazwał skromnie to przyspieszenie efektem Malcolma. Kiedy do niego dojdzie, cały układ może zostać gwałtownie unicestwiony. Właśnie to Malcolm powiedział o Parku Jurajskim – że z samej jego teorii wynika jego nieodłączna niestabilność.

– Nieodłączna niestabilność... – powtórzył Donald. – I co się stało, kiedy Malcolm pokazał ten model parku?

– Uznaliśmy, że jest niedobry – odparł John – i nie zaprzataliśmy nim głowy. W końcu mamy tu prawdziwy, żywy układ, a nie jakiś model komputerowy.

* * *

Z pętli zwieszał się zielony łeb hipsylofodonta oświetlonego ostrym kwarcowym światłem. Jęzor dinozaura zwisał, a oczy pozbawione były wyrazu.

– Ostrożnie, ostrożnie! – krzyczał John Hammond, podczas gdy operator dźwigu podnosił zwierzę.

Harding stęknął z wysiłku i odchylił łeb zwierzęcia tak, by podtrzymywała go skórzana uprząż. Nie chciał, żeby przez tętnicę szyjną hipsylofodonta płynęło zbyt mało krwi. Dźwig uniósł dinozaura w powietrze, aby przenieść go na niedużą ciężarówkę. Hipsylofodont był driozaurem, należał do mniejszych zwierząt w parku – miał nieco ponad dwa metry długości i ważył jakieś dwieście dwadzieścia kilogramów. Był zielony w brązowe cętki. Zwierzę oddychało wolno, ale chyba nic złego się z nim nie działo. Harding trafił je chwilę wcześniej nabojem ze środkiem uspokajającym i chyba dobrze odmierzył dawkę. Dobór dawki dla dinozaura nie był taki prosty. Zbyt mała oznaczała, że ogromne zwierzę ucieknie, a potem upadnie w lesie, gdzie nie da się go podnieść. Zbyt duża wiązała się z ryzykiem zatrzymania akcji serca. Ten hipsylofodont skoczył gwałtownie, po czym przewrócił się i leżał nieruchomo. Idealna dawka.

– Uwaga, ostrożnie! – krzyknął Hammond.

– Proszę pana, proszę się uspokoić – odezwał się Harding.

– Powinni uważać.

– Ależ uważają. – Harding wspiął się na platformę ciężarówki i osadził opuszczanego dinozaura w drugiej uprzęży, której zadaniem było unieruchomienie go. Założył zwierzęciu kołnierz do monitorowania pracy serca, sięgnął po ogromny elektroniczny termometr i wetknął go w odbył hipsylofodonta. Po chwili rozległ się pisk i Harding odnotował temperaturę: 35,5 stopnia.

– Jak ona się czuje? – spytał zaniepokojony Hammond.

– Dobrze. Temperatura spadła tylko o półtora stopnia.

– To za dużo, za dużo! – denerwował się starszy pan.

– Przecież nie chce pan, żeby się obudziła, zeskoczyła z ciężarówki i uciekła! – odparł ze złością Harding.

Poprzednim miejscem pracy Hardinga było zoo w San Diego, gdzie pełnił funkcję naczelnego weterynarza. Był uznawany za najlepszego na świecie specjalistę od opieki weterynaryjnej nad ptakami. Latał jako konsultant do ogrodów zoologicznych na całym świecie – do Europy, Indii, Japonii – i leczył egzotyczne ptaki. Kiedy ten dziwny starszy człowieczek zaproponował mu pracę w prywatnym parku ze zwierzętami, Harding nie okazał zainteresowania. Ale kiedy dowiedział się, czego Hammond dokonał... Nie mógł przepuścić takiej okazji! Harding miał pasję naukowca i zamierzał napisać pierwszy na świecie podręcznik weterynarii traktujący o leczeniu dinozaurów. Pod koniec dwudziestego wieku weterynaria była już rozbudowaną nauką, a szpitale dla zwierząt w najlepszych ogrodach zoologicznych świata niewiele różniły się od szpitali, w których leczy się ludzi. Nowe podręczniki weterynarii to w zasadzie ulepszone wersje starych, niewiele pozostało w tej dziedzinie światów do odkrycia. Tymczasem zaoferowano Hardingowi niepowtarzalną szansę leczenia i opieki nad zwierzętami zupełnie nowego taksonu. To jest coś!

Harding nigdy nie pożałował podjętej decyzji. Dowiedział się bardzo dużo na temat chorób dinozaurów i ich leczenia. Dlatego nie miał teraz ochoty wysłuchiwać pouczeń Hammonda.

Samica hipsylofodonta parsknęła i zaczęła napinać mięśnie. Jej oczy nie reagowały jeszcze na bodźce, ale nadszedł czas, by zawieźć ją do miejsca przeznaczenia.

– Wsiadajcie do samochodów! – zawołał Harding. – Ruszajmy z tą małą na jej wybieg.

* * *

– Układy żywe – opowiadał John Arnold – różnią się od nieożywionych. Przede wszystkim układy złożone z organizmów żywych nigdy nie są w równowadze. Są z samej definicji niestabilne, choć mogą wydawać się stabilne. W rzeczywistości wszystko stale porusza się i zmienia. W pewnym sensie przez cały czas są o krok od unicestwienia.

– Ale przecież w żywych organizmach wiele rzeczy jest stałych – zaprotestował Donald. – Na przykład temperatura ciała czy...

– Temperatura ciała nieustannie się zmienia – przerwał mu John. – Nieustannie. W cyklach dobowych – najniższa jest rano, najwyższa po południu. Do tego zmienia się wraz z nastrojem zwierzęcia, w przypadku wystąpienia choroby, zmienia się podczas wysiłku fizycznego, zależy od temperatury otoczenia, od sposobu odżywiania się. Bez przerwy wzrasta lub maleje. Fluktuacje są niewielkie – na wykresie byłoby widać lekko nierówną, falującą linię. Dlatego, że w każdym momencie oddziałują pewne czynniki, które podnoszą temperaturę ciała, i inne, które ją obniżają. Niestabilność temperatury ciała jest nieodrodną cechą każdego żywego organizmu. Podobnie jest ze wszystkimi innymi jego cechami.

– Chce pan przez to powiedzieć...

– Malcolm to tylko teoretyk – ciągnął Arnold. – Gabinetowy profesor. Stworzył elegancki model matematyczny, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że to, co on postrzega jako wady, niebezpieczeństwa grożące naszemu układowi, to w rzeczywistości rzeczy, które są w nim niezbędne. Podam inny przykład. Pracowałem kiedyś przy rakietach i zmagaliśmy się z problemem zwiększającego się przechyłu. Chodziło o to, że wprawdzie opuszczając wyrzutnię, rakietka była przechylona tylko w minimalnym stopniu, jednak układ był niestabilny – przechył zwiększał się i wiadomo było, że za każdym razem w pewnym momencie rakietka przestanie już korygować trajektorię lotu i skręci w nieprzewidywalną stronę. To cecha charakterystyczna dla układów mechanicznych – niewielkie zachwianie potrafi powiększać się tak, że cały układ się rozpada. Okazuje się, że w przypadku układów złożonych z żywych organizmów analogiczne niewielkie zachwiania są bardzo potrzebne, a układ pozostaje zdrowy i koryguje odchylenia. Malcolm nie potrafił dotąd tego zrozumieć.

– Jest pan pewny? Mam wrażenie, że zasadniczo rozróżnia żywe i nieożywione układy...
– zastanawiał się Donald.

– Proszę popatrzeć, przed panem jest dowód. – John pokazał monitory. – Za niecałą godzinę Park Jurajski znowu będzie funkcjonował jak przedtem. W tej chwili jedyna rzecz, którą jeszcze się nie zajęliśmy, to zablokowane linie telefoniczne. Musimy znaleźć i usunąć przyczynę, dla której nie działają. Wszystko inne będzie już wkrótce pracować jak należy. I to są fakty, a nie jakaś teoria.

* * *

Igła wsunęła się głęboko w szyję półprzytomnego drioaura i Harding wstrzyknął zwierzęciu dawkę medryny. Zwierzę natychmiast zaczęło powracać do stanu pełnej świadomości, parsknęło raz i drugi, po czym zaczęło wierzgać muskularnymi dolnymi kończynami.

– Cofnąć się, uwaga! – krzyknął Harding, odskakując. – Wszyscy do tyłu!

Dinozaur wstał niepewnie jak alkoholik, który właśnie wytrzeźwiał. Potrząsnął głową i zamrugał, widząc ostre światło kwarcowe i stojących naprzeciwko ludzi.

– Ślini się... – zauważył z niepokojem Hammond.

– Tylko chwilowo, to zaraz minie – uspokoił Harding.

Driozaur kaszlnął, po czym ruszył powoli przez łąkę, oddalając się od światła.

– Dlaczego nie skacze? – spytał starszy pan.

– Będzie skakać. Powrót do całkiem normalnego stanu zajmie jej około godziny. Nic jej się nie stało. – Harding ruszył do samochodu. – Chodźmy teraz po stegozaura.

* * *

Muldoon patrzył, jak robotnicy wbijają w ziemię ostatnie paliki, po czym liny napięły się i drzewo zostało podniesione z płotu. Teraz lepiej widać było szerniałe pasma na metalowej siatce, w miejscu, gdzie doszło do spięcia. W dolnej części płotu popękało kilka ceramicznych izolatorów. Trzeba będzie je wymienić. Zanim robotnicy się do tego zabiorą, napięcie na całym ogrodzeniu musi zostać wyłączone.

– Sterownia? Mówi Robert. Jesteśmy gotowi do naprawy płotu.

– Dobra, wyłączam wasz płot – odpowiedział John Arnold.

Robert spojrział na zegarek i w tym samym momencie usłyszał ciche pohukiwanie. Przypominało odgłos, jaki wydają sowy, ale dobrze wiedział, że to dilofozaury. Podeszedł do Ramóna.

– Kończcie jak najszybciej – polecił. – Powinniśmy prędko naprawić pozostałe odcinki ogrodzeń.

* * *

Minęła godzina. Donald spoglądał na świetlną mapę zawieszoną w sterowni. Kropki i towarzyszące im oznaczenia zmieniały pozycje.

– Jak w tej chwili wygląda sytuacja? – zapytał.

– Próbuję naprawić telefony – mruknął ze swojego stanowiska Arnold. – Żebyśmy mogli wezwać pomoc dla Malcolma.

– Miałem na myśli mapę.

John podniósł wzrok.

– Wygląda na to, że przewieźli na miejsca już prawie wszystkie dinozaury i naprawili dwa odcinki płotu. Tak jak panu mówiłem, park powraca do normalnego funkcjonowania. Nie ma katastrofy, nie ma efektu Malcolma. Pozostał do naprawienia jeszcze tylko jeden odcinek ogrodzenia.

– John! – odezwał się w głośniku Robert Muldoon.

– Tak?

– Widziałeś, jak wygląda ten pieprzony płot?

– Moment...

Donald zobaczył na jednym z monitorów szerokie ujęcie łąki. W tle, pośród falujących na wietrze traw, widać było betonowy dach magazynu.

– To jest budynek do obsługi technicznej zauropodów – wyjaśnił John. – Mamy takie budynki na każdym z wybiegów. Trzymamy w nich sprzęt, paszę i tak dalej. – Obraz zaczął się przemieszczać. – A teraz obracamy kamerę, żeby obejrzeć ogrodzenie.

Donald zobaczył dobrze oświetloną metalową siatkę; na pewnym odcinku została zmiażdżona, leżała płasko w trawie. Obok, koło jeepa, kręcili się ludzie.

– O cholera, wygląda na to, że tyranozaur wlaź na teren zauropodów! – wykrzyknął John.

– Ma dzisiaj sutą kolację – mruknął Muldoon.

– Trzeba go stamtąd wywieźć.

– Niby jak? Nie mam tu nic, czym mógłbym poskromić tyranozaura. Naprawimy ogrodzenie, ale na teren zauropodów wejdziemy dopiero rano.

– Hammondowi się to nie spodoba.

– Pogadamy o tym, jak wrócę – uciął Muldoon.

* * *

– Ile zauropodów zabije tyranozaur? – spytał starszy pan, chodząc nerwowo po sterowni.

– Pewnie tylko jednego – odrzekł Harding. – Zauropody są wielkie. Upolowawszy jednego, tyranozaur będzie miał jedzenie na kilka dni.

– Musimy go powstrzymać, i to zaraz! – gorączkował się Hammond.

– Ja się tam nie wybieram, dopóki nie będzie świeciło słońce – powiedział Muldoon, kręcąc głową.

Starszy pan zaczął kołysać się na piętach. Zawsze to robił, kiedy był rozgniewany.

– Zapomina pan, że to ja jestem pańskim szefem? – rzucił.

– Nie, proszę pana. Ale tam jest dorosły tyranozaur. Jak zamierza go pan poskromić?

– Mamy przecież karabiny z pociskami usypiającymi.

– Które zawierają po dwadzieścia centymetrów sześciennych środka uspokajającego – dokończył Robert. – Taki pocisk wystarczy, by powalić zwierzę o wadze dwustu, może i dwustu pięćdziesięciu kilogramów. Ale tyranozaur waży osiem ton! Nawet nie poczuje.

– Zamówił pan cięższą broń...

– Owszem, trzy sztuki, tylko że pan zgodził się zapłacić za jedną, którą zabrał ze sobą Nedry, kiedy wziął samochód i wsiąkł.

– Co za brak rozwagi! – skomentował Hammond. – Kto do tego dopuścił?

– To nie ja zaufałem Nedry'emu, proszę pana.

– Mówi pan, że w tej chwili nie ma sposobu powstrzymania tyranozaura?

– Dokładnie.

– To śmieszne!

– Przecież to pański park, i to pan nie chciał, żeby ktokolwiek był w stanie zrobić krzywdę pańskim kosztownym dinozaurom – przypomniał Robert. – No, to teraz ma pan tyranozaura na wybiegu z zauropodami i nic nie może pan na to poradzić, choćby się pan zeszał. – To powiedziawszy, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Chwileczkę! – Hammond wybiegł za Muldoonem.

Donald popatrzył uważnie na monitory. Z korytarza dobiegały odgłosy kłótni.

– Obawiam się, że jednak nie ma pan jeszcze kontroli nad parkiem – mruknął do Arnolda.

– Niech pan nie żartuje! – John zapalił papierosa. – Pewnie, że mamy kontrolę, a do świtu już niedaleko. Może i stracimy kilka zwierząt, zanim uda się odstawić tyranozaura tam, gdzie jego miejsce, ale proszę mi wierzyć, że panujemy nad sytuacją.

ŚWIT

Alan usłyszał jakieś głośnie zgrzyty i się obudził. Zaraz potem rozległ się szczeł metalu. Otworzył oczy i zobaczył naprzeciwko siebie pracujący przenośnik i unoszącą się ukośnie belę siana. Za nią jechała druga i trzecia. Łoskot maszyny urwał się równie nagle, jak się zaczął. W magazynie znowu zapadła cisza.

Alan ziewnął i przeciągnął się, a jego twarz natychmiast wykrzywił grymas bólu, który pomógł mu oprzytomnieć. Podniósł głowę i zorientował się, że przez okna wpada miękkie światło dnia. Przespałem całą noc! – uświadomił sobie. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że jest piąta rano. Jeszcze prawie sześć godzin, zanim statek dotrze do portu, obliczył. Przewrócił się na plecy i jęknął. Łupało go w głowie, całe ciało bolało go tak, jakby go pobito. Coś zgrzytnęło w kącie niczym obracające się zardzewiałe koło zębate. Zaraz potem rozległ się chichot Lex.

Alan podniósł się i rozejrzał po magazynie. Zrobiło się widno i można było dobrze przyjrzeć się stogom siana i różnym zapasom. Na jednej ze ścian wisiała szara metalowa skrzynka oraz tabliczka z napisem: BUDYNEK TECHNICZNY, ZAUROPODY (04). A więc jesteśmy na terenie dla zauropodów, nie pomyliłem się, stwierdził. Otworzył skrzyneczkę i zobaczył telefon. Podniósł słuchawkę. Niestety, usłyszał tylko szum zakłóceń. Najwyraźniej telefonów jeszcze nie naprawiono.

– No jedz, Ralph – odezwała się Lex. – Nie bądź świnią.

Alan obszedł stóg i zobaczył, że przy kracie wejściowej stoi Lex i trzyma w wyciągniętych rękach siano. Podawała je przez kraty zwierzęciu, które wygląda jak duża różowa świnka. To ono piszczalo jak zardzewiałe koło! Alan rozpoznał w zwierzęciu młodziutkiego triceratopsa, nie miał jeszcze rogów, tylko kostny kołnierz, który wyglądał jak żabot. Młody triceratops miał bardzo łagodne spojrzenie. Wsadzał pysk przez kraty i patrzył na dziewczynkę, a ona podawała mu kolejne garście siana.

– No widzisz, jakie dobre? Są tu całe góry siana, nie martw się. – Dziewczynka pogłaskała dinozaura po pysku. – Ralph lubi siano, prawda?

Odwróciła się i zobaczyła Alana.

– To jest mój przyjaciel Ralph – przedstawiła zwierzę. – Ralph lubi siano.

Alan zrobił krok do przodu i skrzywił się z bólu.

– Okropnie pan wygląda – oceniła Lex.

- I okropnie się czuję.
- Tim wygląda tak samo okropnie. Ma spuchnięty cały nos!
- Gdzie jest Tim?
- Siusia. Pokarmi pan ze mną Ralpa?

Mały triceratops spoglądał na Alana i przeżuwał siano. Wystawało mu z obu stron pyska i sypało się na ziemię.

- On okropnie brzydko je – poskarżyła się Lex. – I jest bardzo głodny.

Triceratops skończył jeść, oblizał paszczę i otworzył ją, czekając na kolejną porcję. Widać było, że ma cienkie ostre zęby. Jego pysk przypominał kształtem dziób papugi.

– Poczekaj troszkę – powiedziała Lex i sięgnęła po siano. – Prawdę mówiąc, Ralph, ty jesz, jakby mama nic ci nie dawała.

- Dlaczego nazwałeś go Ralph? – zainteresował się Alan.
- Bo wygląda jak Ralph z mojej klasy.

Alan zbliżył się do kraty i ostrożnie dotknął skóry na szyi zwierzęcia.

– Niech pan się nie boi, może pan go pogłaskać. Ralph lubi, kiedy się go głaszcze. Prawda, Ralph?

Skóra młodego dinozaura była sucha, ciepła i nieco szorstka. Alan pogłaskał triceratopsa, a ten kwiknął i zamerdał grubym ogonem. Głaskanie sprawiało mu wyraźną przyjemność.

– Bardzo oswojony – skomentowała Lex, podczas gdy Ralph spoglądał to na nią, to na Alana, jedząc spokojnie. Alan przypomniał sobie, że dinozaury nie boją się ludzi, bo nie mają z nimi negatywnych doświadczeń. – Może mogłabym na nim pojeździć? – zastanawiała się na głos dziewczynka.

- Lepiej tego nie rób.
- Założę się, że by mi pozwolił. Ale fajnie by było pojeździć na dinozaurze.

Alan popatrzył przez kraty na łąkę. Z minuty na minutę robiło się coraz jaśniej. Czas wyjść i zwrócić na siebie uwagę jednego z czujników ruchu, pomyślał. Zanim po nas przyjadą, może upłynąć kolejna godzina. Nie podobało mu się, że telefony nadal nie działają.

Nagle rozległo się basowe parsknięcie, jakby parsknął jakiś wielki koń. W tej samej chwili mały triceratops się ożywił. Próbował cofnąć łeb, ale wcześniej przecisnął go przez kratę i teraz zaczepił się o nią kostnym kołnierzem. Kwiczał przestraszony.

Basowe parsknięcie powtórzyło się i było głośniejsze. Ralph zaczął szarpać się do tyłu, wierząc się i gwałtownie poruszając łbem, żeby się uwolnić.

- Ralph, nie denerwuj się – uspokajała go Lex.

– Pomożemy mu – zdecydował Alan, objął łeb młodego triceratopsa i pchnął mocno, próbując ustawić odpowiednio kostną kryzę. Zgrzytnęła o kratę i zwierzę cofnęło się, tracąc równowagę, i przewróciło na bok. Zaraz potem zasłonił je cień i w polu widzenia Alana i Lex pojawiła się wielka noga, grubsza niż pień drzewa. Miała pięć półokrągłych paznokci, jak noga słonia.

Ralph podniósł łeb i kwiknął. Wtedy zniżył się dwumetrowy łeb o trzech długich białych rogach i dużych brązowych oczach. Dwa rogi wyrastały nad oczami, a jeden, najmniejszy, na końcu nosa olbrzymia. To był dorosły triceratops. Popatrzył na Lex i Alana, mrugając powoli, a potem znów skupił uwagę na Ralphie. Wysunął różowy jęzor i polizał młode. Ralph kwiknął i zaczął ocierać się o wielką nogę. Wyglądał na szczęśliwego.

– Czy to jest jego mama? – spytała Lex.

– Wygląda na to, że tak – potwierdził Alan.

– A może mamę też nakarmimy? – zaproponowała dziewczynka.

Wielki triceratops odpychał już jednak pyskiem Ralpha od krat.

– Chyba nie – mruknął Alan.

Mały triceratops odwrócił się zadem do ludzi i podreptał naprzód. Okazałych rozmiarów mama od czasu do czasu korygowała pyskiem kierunek jego marszu. Zwierzęta szły po wielkiej łące.

– Pa pa, Ralph! – zawołała Lex, machając rączką. Tymczasem zza rogu wychynął Tim.

– Wiecie co, dzieci? – odezwał się Alan. – Pójdę na to wzgórze, żeby zarejestrowały mnie czujniki ruchu. Wtedy ktoś po nas przyjedzie. Zaczekajcie tu na mnie.

– Nie! – zaprotestowała Lex.

– Dlaczego nie? Tu jesteście bezpieczni.

– Nie zostawisz nas. Prawda, Timmy?

– Prawda – potwierdził Tim.

– No dobrze, chodźcie – ustąpił Alan.

Przecisnęli się przez kratę i znaleźli się na łące.

* * *

Słońce jeszcze nie wstało, ale świt miał nadejść lada chwila. Powietrze było ciepłe i wilgotne, nad ziemią unosiła się mgiełka.

W oddali widać było samicę triceratopsa i młode, które szły w kierunku stada dużych kaczodziobych hadrozaurów jedzących liście drzew rosnących nad brzegiem laguny.

Niektóre hadrozaury stały po kolana w wodzie i piły, opuszczając płaskie łby. Było bezwietrznie, w wodzie odbijały się pijące dinozaury. Unosiły łby i obracały je. Na samym brzegu stało młode. Zrobiło kilka kroków, kwiknęło i przydreptało z powrotem. Dorosłe osobniki przyglądały się temu spokojnie.

Nieco dalej na południe pasły się inne hadrozaury, które jadły niższe rośliny. Czasami unosiły się na tylnych nogach i opierały przednimi o pnie drzew, aby sięgnąć pyskami wyższych gałęzi. W oddali widać było olbrzymiego, wyrastającego ponad drzewa apatozaura. Jego nieproporcjonalnie mała głowa obracała się na długiej szyi. Scena była tak sielska, że nawet Alanowi trudno było myśleć o jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

– O rany! – krzyknęła Lex, kucając. Tuż nad trojgiem ludzi śmignęły dwie gigantyczne czerwone ważki. Rozpiętość ich skrzydeł wynosiła mniej więcej metr osiemdziesiąt. – Co to było?!

– Ważki – odpowiedział Alan. – W okresie jury żyły ogromnych rozmiarów owady.

– Czy one gryzą? – spytała dziewczynka.

– Myślę, że nie.

Tim wyciągnął rękę i jedna z ważek na niej usiadła. Niewyobrażalnie wielki owad był ciężki.

– Ugryzie cię! – ostrzegła Lex, ale ważka zamachała tylko powoli przezroczystymi skrzydłami o czerwonych żyłkach, a kiedy Tim poruszył ręką, odleciała.

– Dokąd mamy iść? – spytała Lex.

– Tam.

Ruszyli przez łąkę. Dotarli do czarnej skrzynki umocowanej na solidnym metalowym trójnogu. Alan stanął naprzeciwko czujnika ruchu i zamachał ręką. Nic się nie działo. Skoro wciąż nie działają telefony, to może czujniki ruchu również nie? – zmartwił się.

– Chodźcie, wypróbujemy następny – zdecydował, pokazując skrzynkę położoną nieco dalej. W oddali rozległ się ryk dużego dinozaura.

* * *

– Cholera, nie mogę tego ściierwa znaleźć! – denerwował się John Arnold, popijając kawę i wpatrując się podkrążonymi oczami w monitor. Wyłączył obraz z kamer i znów przeszukiwał kod systemu. Czuł się wyczerpany, pracował od dwunastu godzin bez przerwy.

– Czego nie możesz znaleźć? – zainteresował się Henry Wu, który wrócił właśnie z laboratorium.

– Nie mogę naprawić telefonów. Ciągłe nie działają. Nedry musiał coś z nimi zrobić.

Henry podniósł słuchawkę najbliższego aparatu i usłyszał charakterystyczny szum i piski.

– To brzmi jak transmisja danych przez modem.

– Ale to jest coś innego – odpowiedział John. – Byłem w piwnicy i powylaçałem wszystkie modemy. To sztucznie generowane zakłócenia, które tylko brzmią jak transmisja danych.

– To znaczy, że coś zagłusza linie telefoniczne?

– Można tak powiedzieć. Nedry zrobił to bardzo skutecznie. Musiał wpisać jakąś specjalną komendę w kod systemu, a ja nie mogę jej znaleźć, bo uruchomienie przeze mnie czujników i zasilania ogrodzeń wiązało się z wykasowaniem fragmentu kodu z ekranu. Najwyraźniej jednak komenda wyłączająca telefony nadal jest aktywna i tkwi gdzieś w pamięci komputerów.

– No to co? – Henry wzruszył ramionami. – Zresetuj system i w ten sposób wyczyścisz pamięć z dodatków.

– Jeszcze nigdy tego nie robiłem... – odparł John. – I jakoś mi się do tego nie spieszy. Być może po ponownym uruchomieniu systemu wszystko się włączy i będzie działać jak należy – a być może wcale nie... Nie jestem informatykiem. Ty też nie. No i nie możemy z żadnym porozmawiać, bo telefony nie działają.

– Jeżeli komenda tkwi w pamięci operacyjnej, nie widać jej w kodzie systemu. Możesz zrobić zrzut RAM-u i przeszukać zapis. Tylko że nie wiesz, czego szukasz. Myślę, że jedynym wyjściem będzie zresetowanie systemu – ocenił Henry.

– Telefony wciąż nie działają – poskarżył się Gennaro, wchodząc do sterowni.

– Pracuję nad tym.

– Pracuje pan nad tym już od północy, a tymczasem stan profesora Malcolma się pogarsza. On musi znaleźć się pod opieką lekarzy.

– To znaczy, że jednak muszę zresetować system – uznał John. – Chociaż nie jestem pewny, czy wszystko się z powrotem powłączy.

– Słuchaj, człowieku – Donald tracił cierpliwość – w hotelu leży ranny, który umrze, jeżeli nie trafi do szpitala. A nie trafi, dopóki nie będą działać telefony. Prawdopodobnie i tak umarli już od wczoraj cztery osoby. Zamykajmy system i niech telefony wreszcie działają!

John się wahał.

– Na co czekamy? – ponaglał go Gennaro.

– Po prostu... zabezpieczenia systemu nie pozwalają na wyłączenie go.

– No to wyłącz zabezpieczenia systemu! Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że facet umrze, jeżeli nie zostanie natychmiast przewieziony do szpitala?

– No dobra – sapnął Arnold.

Podszedł do głównej tablicy rozdzielczej i otworzył drzwiczki, odsłaniając metalowe przełączniki pozabezpieczane osłaniającymi je częściowo metalowymi klapkami. Kolejno powyłączał wszystkie.

– Sami o to prosiliście, to teraz macie! – burknął i przestawił dźwignię głównego wyłącznika.

Zapadła ciemność. Żaden z monitorów nawet się nie jarzył.

– Długo będziemy tak stali? – spytał Donald, ledwo widząc swoich dwóch towarzyszy.

– Pół minuty.

* * *

– Ale coś śmierdzi! – zauważyła w pewnej chwili Lex.

– Słucham? – odezwał się Alan.

– No przecież śmierdzi! Jakby zgniłe śmiecie.

Alan się zawahał. Popatrzył w stronę pobliskich drzew, ale nie wyodrębnił żadnego szczególnego ruchu. Nawet liście właściwie się nie poruszały, bo ranek był prawie bezwietrzny, cichy i spokojny.

– Chyba ci się wydaje – powiedział.

– Wcale że nie!

Wtedy rozległo się trąbienie. To odezwał się jeden z kaczodziobych dinozaurów za ich plecami. Zawtórował mu drugi, potem trzeci, aż wreszcie całe stado trąbiło przeraźliwie. Zwierzęta były bardzo podekscytowane, wierciły się, wybiegały z wody, okrążały młode, żeby je chronić...

One też czują ten zapach, pomyślał Alan.

I nagle spomiędzy odległych o jakieś pięćdziesiąt metrów drzew, w pobliżu wody, wypadł z rykiem tyranozaur! Sadził gigantycznymi susami przez łąkę, nie zwracając uwagi na Alana i dzieci. Minął ich, wyraźnie atakując hadrozaury.

– Mówiłam ci! – krzyknęła Lex. – Dlaczego nikt mnie nie słucha?!

Hadrozaury trąbiły, zrywając się gromadnie do ucieczki. Ziemia pod stopami Alana zaczęła drżeć.

– Szybko, dzieci! – rzucił, biorąc Lex na rękę. Uciekali z Timem ile sił w nogach. Alan widział kątem oka, że tyranozaur jest już blisko hadrozaurów, a te, bez przerwy rycząc, machają mięsistymi ogonami, starając się bronić. Potem rozległ się trzask łamanych gałęzi. Alan znowu spojrzał za siebie i zobaczył, że hadrozaury szarżują na oślep.

* * *

John Arnold spojrzał na zegarek. Mimo ciemności zobaczył, że upłynęło już trzydzieści sekund. Pamięć operacyjna powinna być czysta. Przesunął dźwignię głównego wyłącznika.

Nic się nie wydarzyło. John poczuł ścisk w żołądku. Przesunął dźwignię na „wyłączony” i jeszcze raz spróbował włączyć system. Nic. Poczuł, że po czole ścieka mu pot.

– Co się dzieje?! – zaniepokoił się Donald.

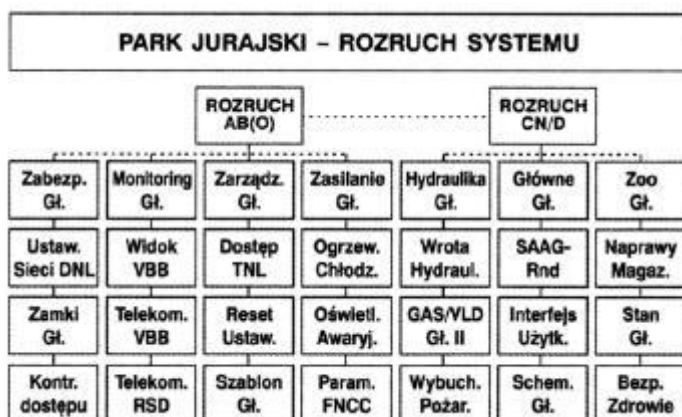
– O cholera! – Johnowi przypomniało się, że aby uruchomić system, najpierw trzeba z powrotem powłączyć jego zabezpieczenia. Poprzekładał więc mniejsze dźwignienki, zabezpieczył je, wstrzymał oddech i po raz trzeci spróbował włączyć system.

W sterowni natychmiast zapaliło się światło.

Serwer pisnął.

Komputery zaczęły szumieć.

– Dzięki Bogu! – westchnął z ulgą John i skoczył do monitora przy stanowisku głównym. Na ekranie widniały rzędy pól oznaczających poszczególne podsystemy:



Donald sięgnął po słuchawkę telefonu, ale tym razem nie usłyszał niczego. Ani zakłóceń, ani sygnału.

– Co jest? – spytał zirytowany.

– Momencik – odparł John. – Po zresetowaniu systemu trzeba ręcznie powłączyć wszystkie moduły. – Natychmiast wziął się do pracy.

– A dlaczego ręcznie? – chciał wiedzieć Gennaro.

– Człowieku, dasz mi choć chwilę spokoju?!

– W zamyśle system ma pracować bez żadnych przerw – wyjaśnił Wu. – Dlatego, skoro jednak został zresetowany, zakłada, że coś w nim źle działa i wymaga, aby uruchomić wszystko po kolei. To jest zabezpieczenie, ponieważ w przeciwnym wypadku, gdyby jakiś podsystem powodował awarię całości, w ogóle nie dałoby się niczego uruchomić – system startowałby, padał, startował znowu, padał i tak w kółko.

– Dobra, jedziemy! – ogłosił John.

Donald podniósł słuchawkę i zaczął wystukiwać numer, ale jego ręka znieruchomiała. Pokazał jeden z monitorów.

– Matko Boska, patrzcie!

John nie odrywał jednak wzroku od mapy, na której cała grupa ciasno skupionych kropek koło laguny zaczęła przemieszczać się ruchem przypominającym wir.

– Co się dzieje? – spytał Donald.

– To kaczodziobe – odpowiedział grobowym głosem Arnold. – Coś je spłoszyło.

* * *

Hadrozaury gnały z zastraszającą prędkością, wielkie, jeden obok drugiego. Trąbiły, ryczały, młode z piskiem starały się uniknąć zdeptania. Stado wzbijało olbrzymią chmurę żółtawego pyłu. Tyranozaura nie było widać.

Kaczodziobe gnały prosto na Alana i dzieci...

Alan rzucił się w stronę wystającej skały, obok której rosła kępa dużych drzew iglastych. Dźwigał Lex, Tim biegł tuż obok. Ziemia drżała pod ich stopami, ryk zbliżającego się stada był ogłuszający jak łoskot odrzutowców na lotnisku! Aż uszy bolały. Lex krzyczała coś, ale

nie było jej słyszeć. Wspięli się na skałę i zaraz potem rozpedzone stado otoczyło ją ze wszystkich stron.

Alan patrzył na przerażająco potężne nogi pięciotonowych hadrozaurów, lecz po chwili znaleźli się w obłoku pyłu i niczego już nie widział. Wyobrażał sobie, a momentami dostrzegał olbrzymie cielska, niewiarygodnych rozmiarów kończyny, słyszał basowe ryki przerażenia i bólu. Stado skręcało. Jeden z dinozaurów uderzył w skałę i obok Alana i dzieci stoczył się wielki kamień.

Niewiele było widać. Troje ludzi uczeplonych skały słuchało odgłosów wydawanych przez przerażone hadzaury – i jeszcze złowieszczonego ryku tyranozaura. Lex wbiła mocno paluszki w ramię Alana.

Kolejny hadrozaur uderzył w skałę, tym razem ogromnym ogonem, z którego trysnęła gorąca krew. Po chwili odgłosy walki zaczęły przenosić się w lewo. W końcu Alan stwierdził, że powinni wejść na najwyższe z drzew. Wspinali się szybko, wyszukując gałęzie wzrokiem i dotykiem, pośród kłębow kurzu wzbijanych przez tratujące się nawzajem hadzaury. Kiedy znaleźli się na wysokości jakichś sześciu metrów, Lex złapała się mocno Alana i za nic nie chciała wejść wyżej. Tim też miał już chyba dość. Alan ocenił, że być może są już wystarczająco wysoko. Szerokie grzbiety kaczodziobych migały w dole. Dinozaury wciąż krążyły i trąbiły niemiłosiernie. Alan oparł się o chropowatą korę i zakaszłał, krztusząc się pyłem. Zamknął oczy i czekał, aż walka ustanie.

* * *

John obrócił kamerę, ponieważ stado się przemieściło. Kurz powoli opadał. Zobaczył, że hadzaury rozproszyły się, a tyranozaur przestał je ścigać. Skoro tak, to znaczy, że musiał upolować jednego z kaczodziobych. Kręcił się teraz w pobliżu laguny.

– Wezwijcie lepiej Roberta Muldoona – rzucił John. – Niech tam pojedzie i zobaczy z bliska, jak źle wygląda sytuacja...

– Znajdę go. – Donald ruszył do drzwi.

PARK

Coś dziwnie trzaskało, trochę jak drewno w kominku. Równocześnie Alan poczuł, że coś ciepłego i wilgotnego poślaskotało go w kostkę. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą gigantyczny beżowy łeb! Był wydłużony – zwężał się, kończąc się zabawnie wyglądającą paszczą, która przypominała kształtem dziób kaczki. Ponad dziobem patrzyły potulnie, krowim spojrzeniem, wielkie wybałuszone oczy. Dziób – czy też paszcza – otwierał się nieco i przeżuwał gałęzie wyrastające z konara, na którym siedział Alan. Dostrzegał duże, płaskie zęby hadzaura. Przeżuwał tak blisko, że jego ciepła warga znów poślaskotała Alana w nogę.

Alan był zaszokowany, że widzi hadzaura z tak bliska. Nie bał się go, bo wszystkie kaczodziobe dinozaury były roślinożerne – a już ten osobnik zdecydowanie zachowywał się jak zwykła krowa. Mimo olbrzymich rozmiarów sprawiał wrażenie tak spokojnego i

łagodnego, że Alan wcale się go nie bał. Postanowił nie poruszać się i obserwować, jak hadrozaur je.

Wrażenie, jakie dinozaur wywierał na Alanie, było tym silniejsze, że Alan rozpoznawał w nim majazaurę, zwierzę z późnej kredy, którego szkielet znaleziono po raz pierwszy... w Montanie. To właśnie Alan, wraz z Johnem Homerem, był autorem pierwszego opisu tego gatunku! Majazaury miały charakterystyczny kształt paszczy: wyglądały, jakby stale się uśmiechały. Ich nazwa oznaczała „dobre matki – jaszczurki”, ponieważ znaleziska wskazywały, iż zwierzęta te opiekowały się jajami i młodymi.

Nagle rozległo się pełne skargi ćwierkanie i wielka głowa się zniżyła. Alan wychylił się odrobinę i zobaczył, że pomiędzy nogami majazaury drepce młode, ciemnobeżowe w czarne plamki. Dorosła samica opuściła łeb nisko nad ziemię i czekała, a wtedy młode stanęło na tylnych kończynach, przednimi opierając się o paszczę matki, i sięgnęło dziobem po wystające z jej dzioba gałązki. Zjadało ze smakiem, a jego matka czekała, aż młode skończy i opadnie na cztery kończyny.

Wreszcie ogromny łeb podjechał w górę i znowu znalazł się obok Alana. Majazaura odgryzła kolejną porcję gałęzi. Alan przyjrzał się z zaciekawieniem dwóm wydłużonym otworom nosowym na dziobie. Najwyraźniej majazaura w ogóle nie czuje mojego zapachu, myślał. Lewe oko stworzenia patrzyło prosto na niego, a jednak z jakiegoś powodu dinozaur w ogóle na obecność Alana nie reagował!

Przypomniało mu się, że wieczorem tyranozaur też go nie widział. Alan postanowił przeprowadzić mały eksperyment.

Zakaszła.

Majazaura natychmiast zamarła w połowie kęsa. Jej łeb i paszcza ani drgnęły, tylko oko poruszało się, szukając źródła dźwięku. Po chwili stwór najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma zagrożenia, ponieważ wrócił do żucia.

Niezwykłe! – cieszył się Alan.

– Ojejku, co to jest?! – krzyknęła nagle Lex, otworzywszy oczy. Alan przytrzymał ją, żeby nie spadła.

Hadrozaur natychmiast zatrąbił na alarm tak donośnie, że dziewczynka o mało nie runęła na ziemię. Majazaura odsunęła pospiesznie łeb od drzewa i zatrąbiła drugi raz.

– Nie denerwuj jej – poradził Tim siedzący jeden konar wyżej.

Mała majazaura ćwierkała i biegała dookoła nóg matki, a ta wycofała się parę kroków, pochyliła łeb i zaczęła wpatrywać się podejrzliwie w gałąź, na której siedzieli Alan i Lex. Dinozaur wyglądał naprawdę komicznie ze swoją wiecznie uśmiechniętą dziobatą paszczą.

– Czy ona jest głupia? – zainteresowała się Lex.

– Nie. Po prostu zdziwiłaś ją krzykiem.

– No, a czy ona pozwoli nam zejść z tego drzewa, czy nie?

Hadrozaur wciąż stał ledwie o trzy metry od nich. Zatrąbił.

Alanowi przyszło na myśl, że zwierzę próbuje nastraszyć jego i dzieci, ale że w gruncie rzeczy nie wie, co powinno zrobić. Majazaura wyglądała na zakłopotaną i trochę niespokojną. Przez następną minutę wszyscy czekali w milczeniu. W końcu dinozaur zbliżył się znowu do gałęzi i rozwarł niegroźną paszczę, aby powrócić do zajadania gałązek.

– Mam tego dosyć, ja stąd idę! – oznajmiła Lex i zaczęła schodzić z drzewa. Na nowo przerażona jej ruchem majazaura zatrąbiła kolejny raz.

Alan obserwował to z zachwytem naukowca. Niebywałe! Ona naprawdę nas nie widzi, kiedy się nie ruszamy, a do tego po minucie zapomina, że przed chwilą tu byliśmy! Zachowanie tyranozaura wskazywało również, iż widzi on dokładnie w taki sam sposób jak płazy. Badania nad żabami wykazały, że płazy widzą tylko poruszające się obiekty, na przykład owady. Jeżeli coś się nie rusza, nie widzą tego wcale. I oto Alan doszedł do wniosku, że to samo dotyczy dinozaurów!

W każdym razie majazaura uznała już chyba, że dziwne stworki schodzące z drzewa są niepokojące, ponieważ zatrąbiła na finał, trąciła dziobem młode i poczłapała w bezpieczniejsze miejsce. W pewnej chwili przystanęła, obejrzała się jeszcze i ruszyła dalej.

Alan i dzieci znów znaleźli się na ziemi. Lex zaczęła otrząpywać się z pyłu. Wszyscy byli nim pokryci. Trawa wokół nich została doszczętnie zdeptana. Widać było smugi krwi, a w powietrzu unosiła się nieprzyjemna kwaskowata woń.

– Lepiej stąd chodźmy – odezwał się Alan, spojrzawszy na zegarek.

– Ja się więcej nie ruszam z tej stodoły! – oznajmiła Lex.

– Musimy iść do ośrodka.

– Dlaczego?

– Dlatego, że trzeba przekazać innym wiadomość o welociraptorach na statku. Czujniki ruchu nie działają, chyba nas nie wykryły. Musimy więc wrócić do ośrodka na piechotę. Nie mamy innego wyjścia.

– Nie możemy wziąć pontonu? – spytał Tim.

– Jakiego pontonu?

Chłopiec pokazał magazyn odległy o zaledwie dwadzieścia metrów.

– Tam jest ponton.

Alan natychmiast doszedł do wniosku, że użycie pontonu będzie korzystne: zrobiła się siódma rano, mają do przejścia jeszcze przynajmniej trzynaście kilometrów, a pontonem po rzece z pewnością pokonają je szybciej, niż brnąć na piechotę przez trawy i las.

– Chodźmy po niego – zdecydował Alan.

* * *

John Arnold przełączył system śledzenia na wyszukiwanie zwierząt przez kamery. Przeczesywały park – na monitorach co dwie sekundy pojawiały się nowe obrazy. Oglądanie ich męczyło, ale był to najszybszy sposób na odnalezienie jeepa, którego wziął Nedry. Robert nie dawał Johnowi spokoju, stanowczo nalegając, aby zrobić to jak najszybciej. W tej chwili

Muldoon razem z Donaldem Gennaro pojechali obejrzeć pobożowisko w miejscu, gdzie tyranozaur zaatakował hadrozaury. Robert nie zapominał jednak o Nedrym, jeepie i znajdującej się w samochodzie wyrzutni rakiet, którą bardzo chciał odzyskać. Ponieważ zrobiło się jasno, poszukiwania stały się dużo łatwiejsze.

– Panie Arnold, chciałbym zamienić z panem słowo – odezwał się nagle z głośnika Hammond, niczym głos Boga.

– Może zechce pan przyjść tutaj? – zaproponował Arnold.

– Nie. Proszę przyjść do nas. Jestem w laboratorium genetycznym razem z doktorem Henrym. Czekamy na pana.

John westchnął i odszedł od monitorów.

* * *

Alan poruszał się ostrożnie w zastawionym sprzętem kącie budynku – przecisnął się obok dwudziestolitrowych beczek ze środkiem chwastobójczym, urządzeń do przycinania drzew, opon do samochodu terenowego, zwojów siatki ogrodzeniowej, pięćdziesięciokilowych worków z nawozem, stosów brunatnych ceramicznych izolatorów, pustych baniek po oleju, przenośnych lamp i kabli.

– Nie widzę żadnego pontonu – stwierdził.

– Dalej.

Dalej były worki z cementem, miedziane rury, zielona siatka maskująca... i dwa plastikowe wiosła wiszące na hakach.

– Dobra, gdzie ten ponton?

– Musi tu gdzieś być... – odpowiedział Tim.

– To znaczy, że wcale nie widziałeś pontonu?

– Myślałem, że skoro są wiosła, to jest też ponton.

Alan zaczął rozglądać się pośród zmagazynowanych rzeczy, jednak pontonu nie było. Znalazł za to zwój map poplamionych od pleśni. Leżały w metalowej szafce wiszącej na ścianie. Rozłożył mapy na podłodze, odganiając piękny okaz pająka, i zaczął analizować swoje położenie.

– Jestem głodna... – poskarżyła się cichutko Lex.

– Za chwileczkę...

Mapy przedstawiały z dużą dokładnością część wyspy, w której Alan i dzieci obecnie się znajdowali. Laguna zwężała się aż do lejkowatego ujścia rzeki – widzieli ją wcześniej. Rzeka skręcała zaś na północ, przepływała prosto przez ptaszarnię z latającymi dinozaurami, a potem mijała hotel w odległości jakichś siedmiuset metrów.

Jak najszybciej dotrzeć do laguny? Według mapy z tyłu magazynu są drzwi. Alan rozejrzał się i spostrzegł wrota, przez które można było przejechać samochodem. Kiedy je otworzył, zobaczył asfaltową drogę prowadzącą prosto do laguny. Biegła wykopem, żeby nie

było jej widać z łąki. Na końcu krótkiej drogi znajdowała się przystań oraz duża tablica z napisem „PONTONY”.

– Patrzcie! – Tim podał Alanowi metalową skrzynkę. W środku był pistolet na sprężone powietrze i pas z materiału z sześcioma pociskami usypiającymi, oznaczonymi MORO-709.

– Dobra robota, stary – pochwalił młodszego kolegę Alan. Założył pas i zatknął pistolet za pasek spodni.

– Czy to są naboje usypiające?

– Tak sądzę.

– No i gdzie te pontony? – dopytywała się Lex.

– Chyba nad wodą – stwierdził Alan. Ruszyli wykopem. Tim niósł na ramieniu wiosła.

– Mam nadzieję, że ten ponton jest duży, bo ja nie umiem pływać – wyznała Lex.

– Nie musisz się tym martwić – pocieszył ją Alan.

– A może złapiemy jakieś ryby? – zastanawiała się dziewczynka.

Ruszyli. Teren nad nimi był pochyły – wykop robił się na pewnym odcinku głębszy. Usłyszeli rytmiczne parskanie czy też chrapanie, w wykopie trudno jednak było zorientować się, skąd dochodzi.

– Czy tam na pewno są pontony? – spytała cicho Lex, marszcząc nos.

– Powinny być – odparł Alan.

W miarę jak posuwali się naprzód, przypominające chrapanie odgłosy stawały się coraz wyraźniejsze. Wreszcie dotarli do małej betonowej przystani i... Alan zamarł.

Na przystani był tyranozaur!

Siedział w pionowej postawie w cieniu drzewa, wyciągając przed siebie masywne tylne kończyny. Oczy tyranozaura były otwarte, jednak patrzyły niemo, groźna paszcza zaś unosiła się i opadała powoli, w rytm oddechu śpiącego drapieżnika. Odgłosom chrapania towarzyszyło donośne bzykanie całych chmar much, które unosiły się wokół łba tyranozaura, pełzały mu po półotwartej paszczy i zakrwawionych zębach – a także po skrwawionym cielsku upolowanego hadrozaura, które leżało na boku obok swojego zabójcy.

Tyranozaur był tuż obok, może z siedem metrów od Alana i dzieci. Alan początkowo był pewny, że drapieżnik ich zobaczył, jednak zupełny brak jego reakcji uświadomił mu, że pomimo pozycji siedzącej zwierzę śpi.

Alan dał dzieciom znak, żeby stały nieruchomo, a sam powolutku ruszył w głąb przystani, tuż przed nosem tyranozaura, który wciąż chrapał sobie w najlepsze.

Przy końcu przystani stała zielona drewniana szopa, której kolor zlewał się z liśćmi. Alan cicho otworzył zamykane na skobel drzwi i zajrzał do środka. Na ścianie wisiało kilka pomarańczowych kamizelek ratunkowych, niżej leżały zwoje siatki ogrodzeniowej, liny, a na samym środku dwa duże gumowe prostopadłościennymi przedmioty spięte ciasno pasami.

Pontony!

Alan popatrzył na Lex.

„Nie ma?” – wymówiła bezgłośnie.

Pokiwał z uśmiechem głową.

Tyranozaur machnął tymczasem górną kończyną, odpędzając muchy; jednak więcej się nie ruszał. Alan wytargał więc jeden ze złożonych pontonów na nabrzeże – był zaskakująco ciężki. Porozpinał pasy, znalazł zbiornik z gazem i odkręcił zawór. Ponton zaczął szybko rosnąć, czemu towarzyszył głośny syk. Na koniec guma strzeliła głośno, kiedy ponton osiągnął pełne rozmiary.

Alan odwrócił się przerażony i patrzył na tyranozaura.

Potwór sapnął basem, potem parsknął i zaczął się ruszać! Alan już chciał rzucić się do ucieczki, ale tyranozaur umościł się tylko wygodniej, opierając o pień drzewa, po czym odbiło mu się przeciągle.

Lex wykrzywiła z obrzydzeniem buzię i zaczęła się wachlować rączką.

Alan spociał się ze strachu. Pociągnął ponton i wrzucił go do wody. Oczywiście rozległ się głośny plusk!

Tyranozaur nadal spał...

Alan uwiązał ponton i wrócił do szopy po dwie kamizelki ratunkowe. Włożył je do pontonu i zamachał do dzieci.

Błada ze strachu Lex pokręciła główką.

Alan kiwał na dziewczynkę, żeby mimo wszystko podeszła.

Gigantyczny drapieżnik spał.

Alan pokazał Lex, że jej współczuje, po czym dzieci podeszły cicho i wsiadły do pontonu. Włożyły kamizelki ratunkowe, podczas gdy Alan odwiązał cumę i odepchnął ponton od nabrzeża. Prąd zniósł ich dalej od brzegu. Alan umieścił wiosła w dulkach. Stopniowo oddalali się od przystani...

Lex oparła się o burtę pontonu i odetchnęła z ulgą, lecz zaraz zrobiła niespokojną minę i zasłoniła dłonią usta. Zaczęła się trząść – powstrzymywała kaszel!

Że też zawsze musi kaszleć w najmniej odpowiednich momentach!

– Lex! – szepnął ostrzegawczo Tim, wpatrując się nerwowo w tyranozaura.

Dziewczynka rozpaczliwie kręciła głową, pokazując, że drapie ją w gardle. Przydałoby jej się trochę wody. Alan wiosłował, więc Tim wychylił się i zaczerpnął ręką odrobinę wody z laguny.

Lex jednak zakaszłała głośno! Tim przeraził się, jakby kaszel jego siostry miał siłę grzmotu.

Tyranozaur ziewnął leniwie i podrapał się tylną nogą za uchem – przypominało to zachowanie psów... Ziewnął znowu, najwyraźniej bardzo senny po sutym posiłku, i... obudził się powoli.

Na pontonie rozlegał się stłumiony kaszel Lex.

– Cicho, do licha!... – rzucił gniewnym szeptem Tim.

– Nie mogę... – wykrztusiła Lex i znowu zakaszłała. Alan wiosłował ile sił, kierując się ku środkowi laguny.

Tyranozaur podniósł się na nogi.

– Nie mogłam przestać kaszleć, nie mogłam! – tłumaczyła zrozpaczona Lex.

– Ćśś!

Alan pracował wiosłami najenergiczniej, jak mógł.

– Co za różnica – skwitowała dziewczynka. – Przecież on nie umie pływać.

– Oczywiście, że umie, ty idiotko! – uświadomił siostrze Tim. W tej samej chwili tyranozaur stanął na nabrzeżu i wskoczył do wody. Już po chwili sunął szybko w ich kierunku!

– Skąd ja mogłam wiedzieć?! – bąknęła dziewczynka.

– We wszystkich książkach jest napisane, że tyranozaury umiały pływać! – pouczał Tim. – W ogóle wszystkie gady pływają!

– A węże? Chyba węże nie?

– Węże też pływają, ty debilko! – denerwował się chłopiec.

– Uspokójcie się, dzieci, i złapcie się czegoś mocno! – zakomenderował Alan. Przyglądał się tyranozaurowi, ciekaw, jak pływa. Woda sięgała zwierzęciu do piersi, ale trzymał wielki łeb zaskakująco wysoko. Nagle Alan zorientował się, że na razie tyranozaur wcale nie płynie, tylko idzie po dnie – zanurzał się bowiem stopniowo coraz głębiej, i już po chwili nad wodę wystawały tylko jego oczy i nozdrza. Z tej perspektywy wyglądał jak płynący krokodyl. I płynął jak krokodyl, poruszając wielkim ogonem. Można było to stwierdzić po ruchu spienionej wody za tyranozaurem. Od czasu do czasu wyłaniał się fragment grzbietu zwierzęcia albo małe garby biegnące wzdłuż jego ogona.

Dokładnie jak krokodyl, ocenił Alan. Ta konstatacja była bardzo niepokojąca – to najpotężniejszy krokodyl świata!

– Przepraszam! – krzyczała Lex. – Panie profesorze, ja nie chciałam!

Alan obejrzał się przez ramię. Znajdowali się blisko ujścia rzeki – szerokość laguny wynosiła w tym miejscu zaledwie około stu metrów. Byli już prawie na środku. Jeśli będą płynęli dalej w tym samym kierunku, woda zacznie robić się coraz płytsza. Idąc po dnie, tyranozaur porusza się szybciej, niż gdy płynie. Alan skręcił więc na północ.

– Co my robimy?!

Tyranozaur był już tylko parę metrów od nich. Alan słyszał jego urywany oddech. Zerknął na wiosła... Były lekkie i plastikowe, nie nadawały się do obrony.

Tyranozaur odchylił łeb i rozwarł paszczę, ukazując rzędy zakrzywionych zębów, a potem raptownie rzucił się naprzód, zatraskując paszczę tuż obok pontonu! Ponton zakołysał się mocno na fali. Tyranozaur zniknął im tymczasem z oczu, pozostawiając po sobie tylko bąble powietrza.

– Utopił się? – spytała dziewczynka.

– Nie – pozbawił ją złudzeń Alan.

Znów widział bąble, a potem jeszcze małą falę sunącą w stronę pontonu.

– Trzymajcie się! – krzyknął Alan, podczas gdy ogromny łeb zaczął unosić ponton od spodu. Ponton zakreślił się gwałtownie i z głośnym chlupnięciem opadł na wodę.

– Niech pan coś zrobi! – krzyczała przerażona Lex. – Niech pan coś zrobi!

Alan wyciągnął pistolet i pocisk usypiający. Był śmiesznie mały w porównaniu z ogromem atakującego ich zwierzęcia. Mimo wszystko, gdyby udało się trafić je w czułe miejsce, w oko czy choćby nozdrza, być może...

Tyranozaur wynurzył łeb obok pontonu, otworzył paszczę i ryknął! Alan wymierzył i strzelił w odpowiedzi. Strzykawka wbiła się w pysk tyranozaura. Potrząsnął łbem i ryknął po raz drugi.

Niespodziewanie odpowiedział mu z oddali ryk innego dinozaura. Alan obejrzał się i zobaczył, że na brzegu stoi mały tyranozaur. Przyszedł do zabitego hadrozaura, żeby go sobie przywłaszczyć... Odgryzł kęs mięsa, a następnie uniósł łeb i znowu zaryczał.

Dorosły tyranozaur obserwował tę scenę. Zareagował natychmiast! Zawrócił i ruszył z powrotem do brzegu, żeby odebrać zdobycz złodziejowi.

– Odpływa! – ucieszyła się Lex i klasnęła. – Odpływa! Ha, ha! Ty głupi dinozaurze!

Stojące na brzegu młode zaryczało butnie. To jeszcze bardziej rozwścieczyło dorosłego osobnika. Energicznie wyskoczył z wody, rozbryzgując całe jej fontanny, i pognął w górę stoku. Mały tyranozaur obrócił łeb i zaczął uciekać, porywając w paszczy kawałek upolowanego hadrozaura.

Duży tyranozaur nie przestawał gonić rabusia. Minął swoją nieruchomą ofiarę i zniknął za szczytem wzniesienia. Do uszu pasażerów pontonu dotarł jego złowrogi ryk. Alan wiosłował tymczasem przez lagunę ku rzece.

Wreszcie odłożył wiosła i wyczerpany położył się na plecach, dysząc ciężko. Zmęczył się tak bardzo, że przez dłuższą chwilę leżał i sapał.

– Nic się panu nie stało? – spytała dziewczynka.

– Możesz od tej chwili robić, co będę ci mówił? – spytał, sapiąc.

– Doobra – westchnęła przeciągle, jakby żądanie Alana było zupełnie niedorzeczne. Włożyła rękę do wody. – Przestał pan wiosłować – zauważyła.

– Zmęczyłem się.

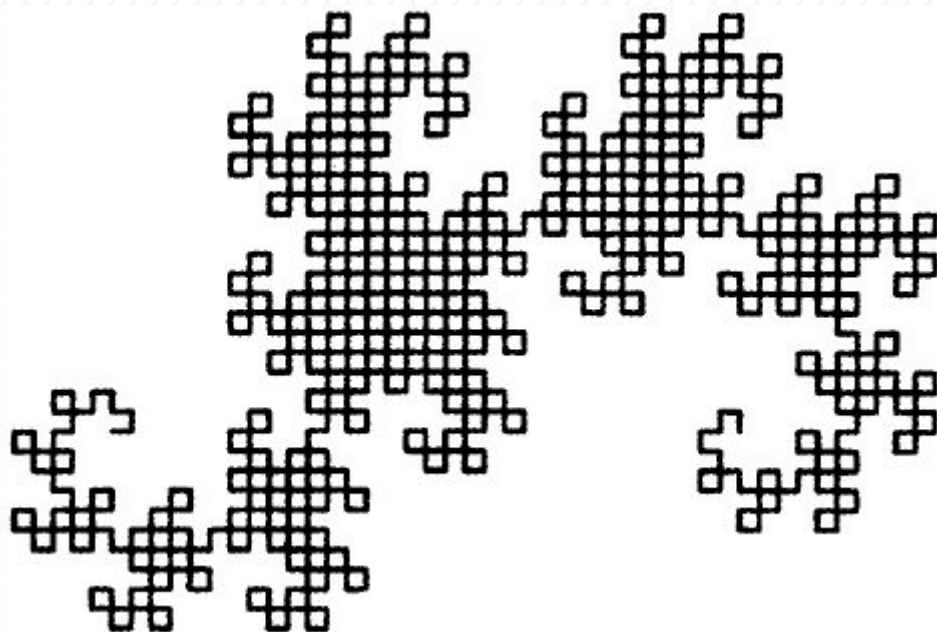
– To dlaczego ciągle płyniemy?

Alan uniósł się na łokciach. Dziewczynka ma rację – ponton posuwa się w stałym tempie na północ.

– Widocznie jest tutaj prąd – stwierdził. Prąd niósł ich w stronę hotelu. Alan popatrzył na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że jest piętnaście po siódmej. Odkąd ostatnio patrzył na zegarek, minął zaledwie kwadrans! Miał poczucie, jakby to były dwie godziny.

Położył się, opierając się o burtę pontonu, zamknął oczy i zasnął.

ITERACJA PIĄTA



W pewnym momencie niestabilność układu gwałtownie się zwiększa.

Ian Malcolm

POSZUKIWANIA

Donald siedział w jeepie i z niedowierzaniem patrzył na zdeptaną łąkę i falujący od gorąca obraz kępy palm. Wokół bzyczały niezliczone muchy. Łąka przypominała pole bitwy – w promieniu stu metrów każde źdźbło trawy zostało wdeptane w ziemię, jedna duża palma została wyrwana z korzeniami. W zdeptanej trawie wyróżniały się wielkie, ciemne plamy krwi. Krew zboczyła także skałę koło kępy drzew.

– Trudno o bardziej oczywiste ślady – mruknął siedzący obok Donalda Muldoon. – Tyranozaur był tutaj i zajął się hadrozaurami. – To powiedziawszy, pociągnął z butelki łyk whisky. – Cholernie dużo tu much.

Stali i się rozglądali.

Donald zabębnił palcami w deskę rozdzielczą.

– Na co czekamy? – spytał.

Wytrawny myśliwy nie odpowiedział od razu.

– Tyranozaur jest gdzieś niedaleko – odezwał się w końcu, mrużąc oczy w porannym słońcu i obserwując okolicę. – Nie mamy żadnej broni, która by się na niego nadawała.

– Na szczęście siedzimy w jeepie.

– Tyranozaur potrafi biegać szybciej niż jedzie jeep – poinformował Donalda Robert i pokręcił głową. – Kiedy włączymy napęd na cztery koła i zjedziemy z drogi na łąkę, będziemy w stanie jechać z prędkością najwyżej pięćdziesięciu – no, może nawet sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Tyranozaur dopadnie nas natychmiast. Taka prędkość to dla niego żaden problem. – Muldoon westchnął. – W tej chwili nie widać, żeby cokolwiek się tu ruszało. Jesteś gotów na ryzyko?

– Jestem – odpowiedział Donald.

Robert uruchomił silnik. Na ten odgłos ze zdeptanej trawy poderwały się niespodziewanie dwie małe otnielie. Robert objeżdżał szerokim kręgiem stratowany obszar, po czym, kontynuując jazdę spiralnym torem, zbliżał się powoli do jego środka. Dwaj towarzysze dotarli do miejsca, w którym przed chwilą siedziały otnielie. Robert zatrzymał samochód i wysiadł. Ruszył przed siebie, oddalając się od jeepa, aż w końcu stanął, sprawiając, że do lotu poderwało się duże stado much.

– Co tam jest?! – krzyknął Donald.

– Przynieś krótkofalówkę!

Donald wyskoczył z jeepa i podbiegł do Muldoona z radiotelefonem w ręku. Już z oddali wyczuł na wpół cierpki, na wpół słodkawy odór wczesnej fazy rozkładu. W trawie leżał ciemny zakrwawiony kształt, widać było wystające pod dziwnym kątem nogi zwierzęcia.

– Młody hadrozaur – stwierdził Robert. – Stado krążyło razem, ale ten mały został i tyranozaur go zabił.

– Skąd wiesz? – spytał Donald. Ciało martwego stwora rzeczywiście wyglądało na bardzo pogryzione. Donald patrzył na wielkie rany szarpane.

– Są ekskrementy – odparł Robert. – Widzisz te duże bobki, takie białawe? To są odchody hadrozaura. Białe od kwasu moczowego. A tutaj – pokazał sięgający ich kolan wzgórek – odchody tyranozaura.

– Może tyranozaur przyszedł tu dopiero później? – wysunął przypuszczenie Donald.

– Przyjrzyj się ugryzieniom. Widzisz te małe, tutaj? – Pokazał palcem. – To ukąszenia otnieli. Nie krwawią, zostały więc zadane już po śmierci ofiary przez zwierzęta padlinożerne – właśnie otnielie. Mały hadrozaur zdechł w wyniku przegryzienia mu szyi – widać takie wielkie rozcięcie nad łopatkami – niewątpliwie przez tyranozaura.

Donald pochylił się nieco i przyglądał z bliska martwemu zwierzęciu o połamanych kończynach. Był zaszokowany.

– Halo, sterownia! – odezwał się tymczasem do radiotelefonu Muldoon.

– Jestem, tu John – odpowiedział głos Arnolda.

– Znaleźliśmy kolejnego zabitego hadrozaura, to młode – poinformował Robert. Kucnął, nie zważając na muchy, i odczytał wytatuowane na spodniej części nogi zwierzęcia oznaczenie: HD/09.

– Słuchaj, Robert, mam coś dla ciebie – odpowiedział John.

- Tak? Co jest?
- Właśnie znalazłem Nedry'ego.

* * *

Jeep pędził drogą wiodącą wschodnią częścią wyspy, pod śmigającymi w górze palmami. Skręcił w węższą drogę dla obsługi prowadzącą ku rzece. Było gorąco, dżungla nieprzyjemnie pachniała zgnilizną. Robert wywołał na wbudowanym w deskę rozdzielczą monitorze mapę z naniesioną siatką geograficzną.

- Odszukali go kamerami – wyjaśnił. – Sektor tysiąc sto cztery, prosto przed nami. Po chwili Donald zobaczył betonową zaporę i zaparkowanego obok niej jeepa.
- Ten gnojek musiał pomylić drogę – ocenił Robert.
- Co on dokładnie ukradł? – spytał Donald.
- Piętnaście embrionów. Tak twierdzi Henry Wu. Zdajesz sobie sprawę, ile one są warte? Donald pokręcił głową.
- Gdzieś pomiędzy dwoma a dziesięcioma milionami dolarów, z grubsza licząc. Cholerna kupa kasy.

Podjechali do jeepa i wtedy Donald zobaczył leżące obok ciało.

Było zielone i wyglądało dziwnie. Nagle zielone, małe kształty oderwały się od niego i uciekły. Robert zatrzymał samochód.

- To prokopsognaty – wyjaśnił. – Dopadły go pierwsze.

Donald i Robert wysiedli z samochodu. Kilkanaście małych drapieżnych dinozaurów, nie większych od kaczek, przyciąło się na skraju lasu, ćwierkając zawzięcie.

Dennis Nedry leżał na plecach, a jego pucułowata chłopcęca twarz była napuchnięta i czerwona. Wokół rozwartych szeroko ust i grubego języka latały muchy. Ciało informatyka wyglądało okropnie – z rozprutego brzucha wylewały się wnętrzności, jedna z nóg została zjedzona. Donald odwrócił szybko głowę. Jego wzrok znowu padł na stado prokopsognatów, które przyciąły się na tylnych, większych nogach i przyglądały ciekawie jemu i Robertowi, z całkiem bliska. Małe dinozaury miały jakby miniaturowe wersje ludzkich rąk z pięcioma palcami! Ocierały małutkimi dłońmi pyszczki. Wyglądały jak jakieś małe mutanty...

- A niech to, to nie prokopsognaty – odezwał się Muldoon.
- Słucham?
- Widzisz te brzydkie plamy na jego koszuli i twarzy? Śmierdzą jak stare wymioty, czujesz?

Donald przewrócił tylko oczami. Czuł aż nazbyt dobrze.

- To jest ślina dilofozaurów – wyjaśnił Robert. – Ślina z jadem. Widać, jak wyżarła mu oczy. Patrz, poczerwieniała mu skóra. Plunięcie w oczy bardzo boli, ale się od tego nie umiera. Człowiek ma jakieś dwie godziny na przemycie oczu środkiem z odtrutką, trzymamy ją w różnych miejscach parku, na wszelki wypadek. Skurwysyn w ogóle się nie przejmował.

Dilofozaury najpierw go oślepiły, a potem rozplątały mu brzuch. Nieprzyjemna śmierć. Może jest jednak na tym świecie jakaś sprawiedliwość.

Donald otworzył drzwi drugiego jeepa i wyciągnął z niego ręczną wyrzutnię rakiet, przy akompaniamencie pisków podskakujących z podniecenia prokomsognatów. Wyjął też ciężką metalową skrzynkę.

– Mamy broń – oznajmił. – A co to jest? – Podał Robertowi dwa czarne podłużne przedmioty.

– Jak to co? Rakiety do wyrzutni. Chyba widać. – Donald cofnął się gwałtownie. – Uważaj, bo zaraz w coś wleziesz – ostrzegł go Muldoon.

Donald obszedł ostrożnie ciało Nedry'ego. Robert przełożył wyrzutnię do jeepa, którym przyjechali, i usiadł za kierownicą.

– Jedźmy już.

– A co z nim? – spytał Donald, pokazując ruchem głowy ciało informatyka.

– Co za różnica? Na razie mamy na głowie inne problemy – burknął Robert i zaczął zawracać. Donald obejrzał się i zobaczył, że prokomsognaty wróciły do przerwane go posiłku. Jeden wskoczył Nedry'emu na otwarte usta i wyskubał kawałeczek nosa.

* * *

Rzeka stawiała się coraz węższa. Brzegi zbliżały się, aż w końcu liście drzew rosnących po obu jej stronach utworzyły dach, przesłaniając światło słońca. Tim słyszał odgłosy różnych ptaków i widział śmigające wśród gałęzi małe ćwierkające dinozaury. Przez większość czasu było jednak cicho i gorąco, mimo osłaniających przed słońcem liści.

Alan znowu spojrzął na zegarek. Ósma rano.

Rzeka niosła ich spokojnie z prądem, wokół przesuwały się plamy światła. Ponton płynął chyba nawet trochę szybciej niż przedtem. Alan czuł się już wystarczająco wypoczęty. Leżał na plecach, zupełnie przytomny, i patrzył na przesuwane się korony drzew. Zwrócił uwagę, że stojąca na dziobie pontonu Lex unosi rączki.

– Co robisz? – spytał.

– Możemy pojeść te jagody? – spytała dziewczynka, wskazując zwieszające się nisko gałęzie, na których rosły kiście czerwonych jagód.

– Nie – rzucił krótko.

– Dlaczego? Te małe dinozaury je jedzą. – Pokazała małe biegające po gałęziach stworzenia.

– Lex, nie wolno.

Dziewczynka westchnęła niezadowolona.

– Szkoda, że nie ma tu taty! – oznajmiła. – Tata zawsze wie, co robić.

– Co ty gadasz? – zdumiał się Tim. – Nasz tata nigdy nie wie, co robić!

– Wie. – Lex popatrzyła na przesuwane się obok drzewa o wystających z wody korzeniach. – Lubi cię mniej niż mnie, ale to nie znaczy... – Urwała, widząc, że jej brat ze

smutkiem odwraca głowę. – Nie martw się, ciebie też lubi, chociaż nie uprawiasz sportu i nie grasz na komputerze.

– Nasz tata ciągle mówi tylko o sporcie – poskarżył się Alanowi Tim.

Alan skinął głową. Obserwował bardzo małe, mniej więcej sześćdziesięciocentymetrowej wysokości, bladożółte dinozaury, które przeskakiwały pomiędzy gałęziami. Ich łebki zakończone były paszczkami w kształcie dziobów. Zwierzęta te kojarzyły się Alanowi z papugami.

– Wiecie, co to za dinozaury? – odezwał się Tim. – Mikroceratusy.

– I co w tym ciekawego? – skwitowała Lex.

– Myślałem, że cię zainteresowały.

– Tylko bardzo mali chłopcy interesują się dinozaurami.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Tak mówi tata.

Tim zaczął krzyczeć na siostrę, lecz Alan uniósł szybko rękę.

– Cicho! – rzucił. – Przestańcie na chwilę...

– Co? – obruszyła się Lex. – Mogę robić, co...

Umilkła i usłyszała mrozący krew w żyłach skrzek. Dobiegał ze strony, w którą płynęli.

* * *

– Gdzie ten cholerny tyranozaur? – pytał przez radio Robert. – Nigdzie go nie widać. – Wrócili z Donaldem na teren dla zauropodów, do stratowanego przez hadrozaury miejsca. Nie mogli zlokalizować tyranozaura.

– Już sprawdzam – obiecał John Arnold i się wyłączył.

– „Już sprawdzam” – powtórzył ironicznie Robert. – Nie mógł sprawdzić wcześniej? Przecież przez cały czas powinien go śledzić!

– Skąd ja mam wiedzieć? – Donald wzruszył ramionami.

– Nie pokazał się – zameldował po chwili Arnold.

– Co to ma znaczyć: „nie pokazał się”?

– Nie ma go na żadnym monitorze. Czujniki ruchu też go nie wykryją.

– Tyle mamy pożytku z cholernych czujników ruchu – burknął Robert. – A profesora Granta i dzieci widzisz?

– Ich także czujniki nie wykrywają.

– To co mamy dalej robić, hę? – spytał z irytacją Robert.

– Czekać – poradził rezolutnie John.

* * *

– Patrzcie! Patrzcie!

Oczom płynących pontonem ukazała się ogromna przezroczysta kopuła ptaszarni z latającymi dinozaurami. Alan widział ją wcześniej z daleka, ale nie zdawał sobie sprawy, że

to budowla wprost niewyobrażalnych rozmiarów, miała chyba z pół kilometra średnicy! Przez lekką mgłę można było dostrzec błyszczący szkielet kopuły przywodzący na myśl siatkę geograficzną globusa. Alan próbował oszacować, ile może ważyć szkło czy też przezroczysty plastik, ale kiedy ponton podpłynął do kopuły, okazało się, że nie ma żadnych szyb, jedynie szkielet i rozpięta na nim od wewnątrz metalowa siatka.

- Chyba nie dokończyli budowy – skomentowała Lex.
- Wydaje mi się, że ta kopuła ma taka być – ocenił Alan.
- No to wszystkie ptaki mogą wyfrunąć.
- Nie wyfruną, jeżeli są odpowiednio duże...

Prąd zaniósł ich pod kopułę. Podnieśli głowy. Rzeka przepływała przez środek ptaszarni. Szczyt kopuły znajdował się tak wysoko, że ledwo było go widać przez mgiełkę.

– Pamiętam, że na mapach był tu drugi hotel – powiedział Alan. Chwilę później zobaczyli wystający ponad drzewa dach.

- Chce pan profesor, żebyśmy się tu zatrzymali? – upewnił się Tim.
- Może jest tam telefon albo chociaż czujniki ruchu. – Alan zaczął wiosłować w stronę brzegu. – Musimy skontaktować się ze sterownią parku. Mamy coraz mniej czasu.

Wyszli niezdarne na błotnisty brzeg. Alan wyciągnął ponton z wody. Przywiązał go liną do drzewa, po czym ruszyli w trójkę przez gęsty palmowy las.

PTASZARNIA

– Nie rozumiem tego – mówił do słuchawki John Arnold – ale nie ma śladu ani tyranozaura, ani profesora Granta czy dzieci.

Wypił kolejny łyk kawy. Wokół niego zebrało się przed monitorami całkiem sporo tekturowych talerzy, na których leżały niedojedzone kanapki. John czuł się wyczerpany. Była ósma rano, sobota. Odkąd Nedry narobił bigosu w systemie komputerowym parku, minęło czternaście godzin! John mozolnie uruchamiał wszystkie podsystemy, jeden po drugim.

– Wszystkie urządzenia Parku Jurajskiego pracują normalnie – oznajmił. – Telefony też działają. Wezwałem lekarza, żeby się tobą zajął, chłopie.

Ian Malcolm zakaszlał. Leżał w swoim pokoju w hotelu i rozmawiał z Arnoldem.

- Ale mówisz, że czujniki ruchu nie widzą wszystkiego co trzeba? – upewnił się.
- No, nie widzę tego, co bym chciał – przyznał John.
- Na przykład tyranozaura?
- Tyranozaur po prostu znikł. Pojawił się dwadzieścia minut temu. Był przy samej lagunie, przesuwiał się wzdłuż brzegu, a potem zniknął z mapy. Nie wiem, co się dzieje, chyba że znowu zasnął!

- No i nie ma Alana Granta i dzieci.
- Ani widu, ani słychu.

– Myślę, że wytłumaczenie jest proste – ocenił Ian. – Czujniki ruchu nie obejmują zasięgiem całego obszaru, który powinien być stale obserwowany.

– Ależ skąd! – obruszył się John. – Obejmują dziewięćdziesiąt dwa procent wyspy.

– A dokładniej jej części lądowej – uściślił Ian. – Gdyby nanieść na mapę pozostałe osiem procent, okazałoby się, że to spójny topologicznie obszar. Mam w tej chwili na myśli, że jego poszczególne elementy są ze sobą połączone, stanowią całość. Dzięki temu teoretycznie dany dinozaur może poruszać się po całym parku, niewykryty. Wystarczy, że będzie trzymał się rzeki, brzegu oceanu czy na przykład dróg dla obsługi technicznej.

– Może i masz rację – zgodził się John – ale przecież zwierzęta są za mało inteligentne, żeby o tym wiedzieć.

– Poziom inteligencji dinozaurów nie jest dobrze znany – zauważył Ian.

– Myślisz, że Alan i dzieci trzymają się właśnie plaży czy sieci dróg dla obsługi?

– Skądże. Alan jest bez wątpienia inteligentny i robi, co może, żebyś go wykrył. Możesz mieć pewność, że na widok każdego czujnika ruchu wymachuje rękami i każe dzieciom robić to samo. Tylko że nasza trójka może mieć kłopoty innego rodzaju... Albo idą samym brzegiem rzeki.

– Nie widzę tego. Brzegi rzeki są zarośnięte, nie da się tamtędy iść.

– Ale rzeka doprowadziłaby ich tutaj, prawda?

– No tak. Z tym że nie jest to najbezpieczniejsza trasa, z powodu ptaszarni.

– Właśnie. Dlaczego ptaszarni nie było w programie wycieczki? – zapytał Ian.

– Mamy problemy z jej otwarciem. Początkowo planowaliśmy tam hotel z pokojami na wysokości koron drzew, żeby goście mogli obserwować latające pterodaktyle. Mamy w tej chwili w ptaszarni cztery pterodaktyle, dokładniej – cearadaktyle. To gatunek dużych pterodaktyli, polują na ryby.

– I co dalej?

– Cóż, budynek hotelu powstał, tylko po wypuszczeniu cearadaktyli do ptaszarni, żeby się tam zaaklimatyzowały, okazało się, że popełniliśmy błąd. Jedzą wprawdzie ryby, ale poza tym cechuje je wyjątkowo silny terytorializm.

– Co robią?

– Zaciekle walczą między sobą o terytorium i atakują wszystkie zwierzęta, które zapuszczają się na oznakowany przez nie teren.

– W jaki sposób atakują? – zainteresował się Ian.

– Bardzo efektowny. Najpierw wznoszą się lotem ślizgowym aż pod sam szczyt kopuły, a potem składają skrzydła i nurkują. Wąż po piętnaście kilo, ale przy tej prędkości to jak spadająca tona cegieł. Znokautowały paru robotników, poraniły ich.

– A taki spadający pterodaktyl sam nie odnosi obrażeń?

– Jakoś do tej pory żaden nie odniósł.

– No to kiepsko, jeśli dzieci są w tej chwili w ptaszarni...

– Nie ma ich tam – odpowiedział Arnold. – To znaczy, mam taką nadzieję.

– To ma być hotel? – zakpiła Lex. – To jakaś rudera!

Hotel Pteratops stał pod kopułą ptaszarni. Był bardzo nietypową budowlą – zawieszony wysoko ponad ziemią na grubych, drewnianych flarach, wystawał ponad rozległą kępę rosnących w dole jodeł. Niestety, nie ukończono go. Pozostawiono go w stanie surowym, okna pozabijano deskami. Poza tym zarówno budynek, jak i drzewa poplamione były szerokimi białymi smugami.

– Mam wrażenie, że z jakiegoś powodu budowę przerwano – ocenił Alan. Rozczarowanie sytuacją pozostawił dla siebie. Spojrzał na zegarek. – Chodźcie, wracamy do pontonu.

Gdy szli, ponad drzewami pojawiło się słońce. Poranek od razu zrobił się weselszy. Alan patrzył na cienie metalowej konstrukcji kopuły i zwrócił uwagę, że wszędzie zarówno ziemia, jak i drzewa poznaczone są pasmami tej samej, jak gdyby kredowej substancji, która upstrzyła nieukończony hotel. W powietrzu wisiał specyficzny kwaskowy odór.

– Ale tu śmierdzi – odezwała się Lex. – Co to jest, to białe?

– Wygląda na odchody gadów. Pewnie latających.

– Dlaczego nie skończyli budowy hotelu? – chciała wiedzieć dziewczynka.

– Nie wiem.

Mijali polankę, na której rosły kolorowe kwiaty. Nagle usłyszeli przeciągły basowy gwizd. Z drugiej strony lasu odpowiedział mu drugi.

– Co to?

– Nie wiem – powtórzył Alan.

Zaraz potem zobaczył w trawie cień chmurki – tylko że ten cień szybko się przesuwał. Kiedy się do nich zbliżył, Alan podniósł głowę i zobaczył jakby olbrzymiego ptaka, który zasłaniał słońce, szybując w górę...

– O rany! – krzyknęła Lex. – Czy to jest pterodaktyl?

– Tak – odpowiedział Tim.

Alan nic nie mówił zachwycony widokiem tak ogromnego latającego zwierzęcia. Pterodaktyl szybował, wydał kolejny basowy gwizd, zatoczył pełne gracji półkole, znowu szybując w stronę Alana i dzieci.

– Dlaczego nie byliśmy tu podczas wycieczki? – zdumiał się Tim.

Alan zadawał sobie to samo pytanie. Latające dinozaury były niezwykle piękne! Dosłownie płynęły w powietrzu. Po chwili do pterodaktyla dołączył drugi, a potem jeszcze trzeci i czwarty!

– Może dlatego, że nie dokończyli hotelu? – zastanawiała się Lex.

To nie są zwykłe pterodaktyle, pomyślał Alan. Są zbyt duże. To muszą być cearadaktyle – duże latające gady z wczesnej kredy. Kiedy unosiły się wysoko, przypominały małe samoloty. Gdy zeszły niżej, Alan mógł obejrzeć je dokładniej. Oceniał rozpiętość ich skrzydeł na jakieś

pięć metrów. Miały pokryty futrem tułów i krokodyle głowy. Cearadaktyle żywiły się rybami, przypominał sobie. Szkielety znajdowano w Ameryce Południowej i Meksyku.

Lex osłoniła dłonią oczy i przyjrzała się uważniej niezwykłym stworzeniom.

– Czy one nie zrobią nam nic złego? – spytała.

– Nie sądzę – odparł Alan. – Żywią się rybami.

Jakby na dane hasło jeden z pterodaktyli zniżył się spiralnym lotem i śmignął tuż ponad trojgiem ludzi, pozostawiając za sobą gorący pęd powietrza i nieprzyjemny kwaskowaty odór.

– O kurczę! – wykrzyknęła dziewczynka. – Ale one są wielkie! Na pewno nic nam nie zrobią? – upewniła się.

– Jestem przekonany, że nie.

Po chwili nad głową Alana śmignął drugi cearadaktyl, szybciej niż pierwszy. Nadleciał od tyłu. Alan zdążył zobaczyć na ułamek sekundy jego wyposażony w zęby dziób i przyjrzeć się lepiej futrzastemu tułowiowi. Cearadaktyl kojarzył się także z rozrośniętym do gigantycznych rozmiarów nietoperzem. Jednak równocześnie Alan był zachwycony delikatną budową tych zwierząt. Podkreślały ją ogromna rozpiętość skrzydeł i przezroczystość cieniutkiej błony, która stanowiła ich powierzchnię.

– Aau! – krzyknęła nagle Lex. – Ugryzł mnie!

– Słucham?

– Ugryzł mnie! On mnie ugryzł! – krzyczała dziewczynka. Rzeczywiście, na jej palcach była krew!

Alan podniósł wzrok i zobaczył, że wysoko w górze dwa pozostałe pterodaktyle składają skrzydła, zmieniając się nagle w dwa niewielkie pociski, które runęły na niego z wysoka, gwałtownie nabierając prędkości!

– Uciekamy! – krzyknął, łapiąc dzieci za ręce. Pobiegli przez polanę, słysząc zbliżający się basowy gwizd. Alan rzucił się w ostatniej chwili na ziemię, pociągając dzieci za sobą. Dwa cearadaktyle śmignęły tuż ponad nimi, z łopotem skrzydeł, skrzeczając przeraźliwie! Alan poczuł przy tym, że szpony rozdierają tył jego koszuli!

Zerwał się, podniósł z ziemi Lex i rzucili się do dalszej ucieczki. Dwa pierwsze pterodaktyle krążyły już znowu wysoko nad ich głowami, po czym powtórzyły manewr poprzednich, składając skrzydła... I znów w ostatniej chwili Alan pociągnął dzieci na ziemię. Upadli, a tuż nad nimi znowu mignęły dwa olbrzymie cienie!

– Faj! – jęknęła Lex, zobaczywszy na sobie odchody pterodaktyla.

– Szybko! – ponaglił ją Alan, zrywając się.

Zaczynał biec, kiedy Lex krzyknęła przeraźliwie. Odwrócił głowę i zobaczył, że jeden z gadów złapał ją szponami za ramionka! Olbrzymie skórzaste skrzydła cearadaktyla były mocno po obu stronach dziewczynki! Pterodaktyl wyraźnie próbował unieść Lex, okazała się jednak dla niego za ciężka. Niestety, przy okazji dziobał ją smukłą, wydłużoną paszczą w główkę!

Dziewczynka wrzeszczała, machając na oślep rączkami. Alan zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy – rzucił się na cearadaktyla. Latający gad upadł, a Alan runął na niego całym ciałem. Futrzasty stwór skrzeczał i wił się, Alan czuł na sobie uderzenia ogromnych skrzydeł; robił uniki, żeby nie trafił go dziób. Wrażenia były podobne do tych, jakie miewał, siedząc w namiocie podczas burzy piaskowej: nic nie widział ani nie słyszał, tylko trzepot i skrzek, i bicie tych wielkich skórzanych membran! Wyposażone w szpony nogi gada drapały mu mocno pierś. Lex wciąż krzyczała. Alan odepchnął się w końcu od cearadaktyla, a ten, wydając okropne odgłosy, bił wciąż skrzydłami, próbując się podnieść, to znaczy odwrócić się grzbietem do góry. W końcu złożył skrzydła na podobieństwo nietoperza i przetoczył się na brzuch. Podniósł się na czymś w rodzaju cienkich przednich nóg stanowiących zarazem szkielet skrzydeł... i zaczął iść w stronę Alana. Alan otworzył usta ze zdumienia.

Latający gad potrafił używać skrzydeł jako nóg! Spekulacje Lederera okazały się prawdą! Jednak Alan nie miał czasu na rozmyślanie, ponieważ pozostałe trzy cearadaktyle znowu nurkowały. Kręciło mu się w głowie, chwiało się. Z przerażeniem zobaczył uciekającą Lex, która próbowała osłaniać główkę rękami, i krzyczącego z całych sił Tima.

Pierwszy z cearadaktyli runął na Lex, a wtedy dziewczynka rzuciła coś w jego stronę i nagle latający gad wydał basowy gwizd i zaczął wzbijać się w górę! Pozostałe dwa cearadaktyle zrobiły to samo – natychmiast przerwały atak i zaczęły ścigać pierwszego! Wreszcie czwarty – ten, z którym przed chwilą zmagał się na ziemi Alan – niezdarnie wznosił się w powietrze i także odleciał. Alan obserwował, co dzieje się u szczytu kopuły. Pierwszy pterodaktyl uciekał, a trzy pozostałe goniły go zawzięcie, skrzecząc wściekle.

Na polance chwilowo zapanował spokój.

– Co się stało? – spytał zdumiony Alan.

– Porwały moją rękawicę – wyjaśniła Lex. – Specjalnej edycji, z podpisem Darryla Strawberry'ego.

Ruszyli dalej do rzeki. Tim objął siostrzyczkę ramieniem.

– Nic ci się nie stało?

– Pewnie, że nic, ty baranie! – prychnęła, wyszarpując się. – Niech się udławiają moją rękawicą i zdechną! – rzuciła jeszcze, gniewnie patrząc w niebo.

– Dobry pomysł! – zgodził się Tim. – Ja też mam nadzieję, że zdechną.

Zobaczyli ponton i rzekę. Alan spojrzał na zegarek. Ósma trzydzieści. Na powrót do ośrodka pozostały dwie i pół godziny.

* * *

Lex wydała radosny okrzyk, kiedy ponton wypłynął poza obręb srebrzystej kopuły ptaszarni. Zaraz potem rzeka znowu stała się węższa i korony drzew jak przedtem spotkały się w górze. To był najwęższy z dotychczasowych odcinków rzeki, w niektórych miejscach miała zaledwie ze trzy metry szerokości. Prąd stał się bardziej wartki. Lex wyciągała rączkę, bawiąc się dotykaniem szybko mijanych gałęzi.

Alan opierał się wygodnie o burtę pontonu, słuchając bulgotu wody pod ciepłym gumowym dnem. Rejs był bardzo przyjemny. Pęd pontonu pozwalał odczuwać lekki podmuch dający miłe wytchnienie ludziom podróżującym w dusznym tunelu pod baldachimem zielonych drzew. A poza tym większa prędkość oznaczała, że dotrą na miejsce wcześniej.

Alan nie potrafił ocenić, jak daleko już dopłynęli, ale musieli przebyć około dziesięciu kilometrów od miejsca, w którym stał magazyn w sektorze dla zauropodów. Może trochę mniej. W każdym razie mogli znajdować się teraz zaledwie o godzinę marszu od hotelu. Jednak po tym, co wydarzyło się w ptaszarni, Alan nie miał ochoty opuszczać rzeki. Teraz było bardzo przyjemnie.

– Ciekawe, co się stało z Ralphem – odezwała się w pewnej chwili Lex. – Pewnie tyranozaur go zagryzł albo coś go stratowało.

– Na pewno nic mu nie jest i czuje się świetnie.

– Ciekawe, czy pozwoliłby mi, żebym na nim pojeździła. – Dziewczynka westchnęła, senna z powodu upału. – To by była zabawa, pojeździć na Ralphie...

– Panie profesorze – zmienił temat Tim – gdy byliśmy wczoraj przy stegozaurze...

– Tak?

– Spytał pan, czy korzystali z DNA żab. Dlaczego?

– Dlatego że okazało się, iż dinozaury w parku się rozmnażają. To dla obsługi parku niewytłumaczalne, ponieważ napromieniowują ich organy płciowe, a poza tym wyhodowali tylko samice.

– No właśnie.

– Widzisz, z napromieniowywaniem często bywa tak, że nie odnosi zamierzonego skutku. Pewnie i tu okazało się nieskuteczne. Ale oczywiście same samice i tak nie mogłyby się rozmnażać, prawda?

– Prawda! – zgodził się Tim.

– Otóż w królestwie zwierząt rozmnażanie płciowe przybiera zadziwiająco rozmaite formy – zaczął opowiadać Alan.

– Tim bardzo interesuje się seksem! – poinformowała Lex.

Tim nie skomentował tego, Alan również.

– Między innymi – kontynuował – wiele gatunków zwierząt rozmnaża się płciowo, ale bez tego, co nazywamy seksem. Osobnik męski wypuszcza spermatofor – gęstą substancję zawierającą plemniki – natomiast samica podejmuje ją w późniejszym czasie. Taki sposób przekazywania DNA nie wymaga dużych różnic w budowie fizycznej pomiędzy samicami a samcami, jakie zwykle wyobrażają sobie ludzie. Samce i samice licznych gatunków zwierząt są bardziej podobne do siebie niż w przypadku ludzi.

– Aha. – Tim pokiwał z zaciekawieniem głową. – A jak jest z żabami?

Nagle, wśród wznoszących się ponad nimi koron drzew, odezwał się chór skrzekliwych pisków – to mikroceratusy krzyczały na alarm, skacząc nerwowo po gałęziach. Z lewej,

spomiędzy liści, wychynął nagle olbrzymi łeb tyranozaura! Straszliwa paszcza zamknęła się tuż obok pontonu. Lex zaczęła wyć ze strachu, a Alan gwałtownie pracował wiosłem, aby odbić do przeciwnego brzegu. Rzeka miała jednak tylko trzy metry szerokości. Tyranozaur utknął tymczasem pomiędzy gęsto rosnącymi drzewami. Szarpał się i przekrzywiał łeb, rycząc gniewnie. W końcu się uwolnił.

Po chwili za szpalerem gęsto rosnących nad samym brzegiem drzew kroczyła olbrzymia, ciemna sylwetka tyranozaura. Szukał następnego szerszego miejsca, przez które zdołałby się precisnąć. Mikroceratusy przebiegały tymczasem na przeciwny brzeg i podskakiwały tam ze strachu, hałasując i rozbiegając się. Alan, Tim i Lex patrzyli przerażeni na tyranozaura, czuli się zupełnie bezradni. Na szczęście drzewa cały czas rosły bardzo gęsto. Tyranozaur wyprzedził ponton i znalazł nieco większy otwór. Spróbował zaatakować po raz drugi, trzęsąc wściekle gałęziami.

Nie mógł się zmieścić.

Odszedł w końcu, choć wciąż podążał raczej z biegiem rzeki niż w przeciwną stronę.

– Nienawidzę gada! – syknęła Lex.

Wstrząśnięty Alan opadł na burtę. Wiedział, że gdyby drzewa nie rosły tak gęsto, w żaden sposób nie zdołałby ocalić dzieci ani siebie. Tymczasem rzeka zrobiła się niewiele szersza od pontonu. Teraz naprawdę płynęli jak w tunelu. Gumowe burty zaczęły ocierać się raz po raz o błoto czy korzenie. Nurt był niezwykle wartki.

Prawie dziewiąta, stwierdził Alan, spoglądając na zegarek. Mknęli w dół rzeki.

– Ojej! Co to znowu jest?! – wykrzyknęła Lex.

Alan usłyszał warczenie jakiegoś zwierzęcia, a potem pohukiwanie, które powtórzyło się dwa razy. Odgłosy dobiegały zza najbliższego zakrętu. Alan słuchał uważnie – pohukiwanie odezwało się po raz trzeci.

– Co to? – dopytywała się Lex.

– Nie wiem, ale jest ich kilka – ocenił Alan, po czym dobił do przeciwnego brzegu, łapiąc za gałąź, aby zatrzymać ponton. Nieznany dinozaur znowu warknął i znów zawtórowało mu pohukiwanie.

– Hukają jak stado sów – stwierdził Tim.

* * *

– Nie nadszedł jeszcze czas na kolejną dawkę morfiny? – jęknął Ian.

– Jeszcze nie – odpowiedziała Ellie.

Ian westchnął.

– Ile mamy tu wody? – spytał po chwili.

– Nie wiem. W kranie wody nie brakuje.

– Nie, mam na myśli zapasy wody w jakichś zbiornikach czy beczkach. Czy w ogóle jakieś są?

– Chyba nie ma. – Ellie wzruszyła ramionami.

– Idź po kolei do wszystkich pokoi na tym piętrze i ponapełniaj wanny wodą – polecił Ian.

Ellie ściągnęła brwi.

– Zorientuj się także, czy mamy tu jakieś krótkofalówki, latarki, zapalki, puszki z gazem do gotowania i inne tego typu rzeczy.

– Rozejrzę się – zgodziła się Ellie. – Spodziewasz się trzęsienia ziemi?

– Mniej więcej. Efekt Malcolma wiąże się ze zmianami o charakterze katastrofy.

– Ale przecież John Arnold mówi, że wszystkie podsystemy pracują normalnie.

– Właśnie wtedy występuje efekt Malcolma.

– Chyba nie szanujesz za bardzo Johna Arnolda, prawda?

– Jest w porządku. To inżynier. Henry Wu też. Ale obaj są technikami. Brakuje im inteligencji. Są ćwierćinteligentami. Widzą tylko aktualną sytuację. Nie myślą szerzej, i jeszcze nazywają to skupianiem się na swoich zadaniach. Lecz przez to w ogóle nie dostrzegają całości. Konsekwencji własnych działań. Stąd właśnie biorą się takie wyspy – z posługiwania się ćwierćinteligencją. Przecież nie można stworzyć zwierzęcia i nie spodziewać się, że będzie zachowywało się jak zwierzę, czyli w sposób nieprzewidywalny. Że nagle ucieknie. Oni w ogóle nie zdają sobie sprawy, że tak jest.

– Nie sądzisz, że takie widzenie spraw jest w ogóle charakterystyczne dla naszej natury? – spytała Ellie.

– Boże, skąd! – zaprzeczył zdecydowanie Ian. – To tak jakby powiedzieć, że w naturze człowieka leży jedzenie na śniadanie jajek na bekonie. Nic z tych rzeczy, moja droga. Tylko w krajach anglosaskich tak się jada, a większa część reszty świata patrzy na angielskie śniadanie z obrzydzeniem. – Ian skrzywił się nagle z bólu. – Ta morfina robi ze mnie filozofa.

– Chcesz wody?

– Nie. Słuchaj, powiem ci, na czym polega problem z inżynierami i naukowcami. Naukowcy wypracowali wprawdzie bardzo złożone formy pieprzenia o tym, jak bardzo zależy im na poszukiwaniu prawdy o świecie. Owszem, poszukują jej, ale nie to nimi kieruje. Ani naukowców, ani inżynierów nie pcha do pracy przede wszystkim pragnienie poszukiwania prawdy czy też inne abstrakcje. W rzeczywistości chcą konkretnych osiągnięć, dlatego skupiają się na tym, czy to a to da się zrobić, zamiast zatrzymać się na chwilę i zadać sobie pytanie, czy to a to w ogóle powinno się robić? Tego rodzaju rozważania uważają za bezcelowe, bo to dla nich wygodne. „Jeśli ja tego nie zrobię, zrobi to ktoś inny”, mówią. Wierzą, że odkrycie naukowe to coś nieuniknionego. A skoro tak, każdy stara się dokonać go pierwszy. Na tym polega cała gra zwana nauką. Nawet odkrycie o czysto naukowym charakterze ma cechy pewnego rodzaju agresji, jest inwazyjne. Wymaga poważnego sprzętu i w sposób dosłowny zmienia świat. Akceleratory cząstek zmieniają krajobraz i produkują odpady promieniotwórcze. Astronauci zostawili śmieci na Księżycu. Zawsze pozostaje jakiś dowód na to, że naukowcy byli tu czy tam i dokonali swojego odkrycia. Każde odkrycie to gwałt na naturze. Zawsze! I naukowcy pragną, żeby tak było, muszą wtykać te swoje

przyrządy. Muszą zostawić swój ślad. Nie wystarcza im obserwacja. Nie potrafią ograniczyć się do podziwiania. Po prostu nie mieszczą się w naturalnym porządku, nie pasują do niego. Koniecznie muszą sprawić, żeby zdarzyło się coś sprzecznego z naturą. Na tym właśnie polega praca naukowca. A obecnie żyjemy w świecie, w którym całe społeczeństwa starają się postępować w sposób naukowy. – Ian westchnął i opadł na poduszkę.

– Nie sądzisz, że trochę przesadzasz... – zaczęła Ellie.

– A jak wygląda miejsce po waszych wykopaliskach, powiedzmy, rok po ich zakończeniu? – przerwał Ian.

– Bardzo brzydko – przyznała.

– Nie sadzicie z powrotem roślin, nie rekultywujecie ziemi?

– No nie.

– A dlaczego nie?

– Nie wiem. – Ellie wzruszyła ramionami. – Pewnie nie ma na to pieniędzy.

– Są pieniądze tylko na kopanie, ale na naprawianie tego, co zepsuliście, już nie?

– Hm, przecież kopimy na pełnym pustkowiu, gdzie nic nie ma.

– „Pełnym pustkowiu”. „Nic”. Nic, tylko śmiecie, produkty uboczne, skutki uboczne. – Ian pokręcił głową. – Cały czas próbuję ci wytłumaczyć, że naukowcy chcą, żeby było właśnie tak. Pragną wytwarzać śmiecie, chcą, żeby w ziemi pozostały blizny, a na ziemi skutki uboczne. W ten sposób czują większą pewność siebie. Takie myślenie jest wpisane w samą tkankę nauki i jest wielkim nieszczęściem, coraz większą katastrofą.

– Co zatem należy zrobić? – spytała Ellie.

– Pozbądźmy się ćwierćinteligentów. Odbierzmy im władzę.

– Przecież wówczas pozbawilibyśmy się wszystkich korzyści, jakie...

– Jakich korzyści? – Ian nie dawał jej dojść do słowa. – Liczba godzin, które przeciętna kobieta poświęca dziennie na prace domowe, nie zmieniła się od tysiąc dziewięćset trzydziestego roku mimo całego postępu – skonstruowania odkurzaczy, pralek automatycznych, suszarek, zgniataczy śmieci, niegniotących się tkanin, zorganizowania wywozu śmieci. Dlaczego sprzątanie mieszkania wciąż zajmuje tyle samo czasu co w tysiąc dziewięćset trzydziestym?

Ellie milczała.

– Dlatego, że w rzeczywistości nie dokonał się żaden postęp – perorował Ian. – Ludzie, którzy przed trzydziestoma tysiącami lat stworzyli rysunki naskalne w Lascaux, pracowali po dwadzieścia godzin w tygodniu. Tyle wystarczyło, aby mieli co jeść, gdzie się schronić i w co się ubrać. Przez resztę czasu mogli się bawić, spać czy też robić wszystko inne, na co mieli akurat ochotę. Do tego żyli w praktycznie naturalnym świecie, dysponując czystym powietrzem i wodą, oglądali piękne drzewa i zachody słońca. Pomyśl tylko – dwadzieścia godzin w tygodniu! Trzydzieści tysięcy lat temu.

– Chciałbyś odwrócić bieg historii?

– Nie. Chciałbym, żeby ludzie się przebudzili. Od czterystu lat rozwijamy naukę w nowoczesnym znaczeniu tego słowa i po upływie tak długiego czasu powinniśmy już wiedzieć, do czego nauka się nadaje, a czemu szkodzi. Czas na zmiany.

– Zanim zniszczymy Ziemię? – upewniła się Ellie.

– O rany! – westchnął Ian, zamykając oczy. – Akurat to jest ostatnia rzecz, o jaką mógłbym się martwić.

* * *

Alan przytrzymał ponton, łapiąc się kolejnych gałęzi. W ten sposób powolutku i ostrożnie posuwali się naprzód. Nietypowe odgłosy powtarzały się. I w końcu zobaczyli dinozaury.

– To chyba te jadowite?! – upewnił się Tim.

– Tak, dilofozaury.

Na brzegu rzeki stały dwa dilofozaury. Miały mniej więcej po trzy metry wysokości i ciekawe ubarwienie – żółto-czarne cętki, chociaż dolne części ich brzuchów były jaskrawozielone. Do tego na łbach miały po dwa czerwone grzebienie tworzące literę „V” między oczami a nosem zwierzęcia. Przypominały przez to ptaki; wrażenie było tym silniejsze, że miały ptasie ruchy. Dilofozaury schylały się, aby napić się wody z rzeki, a kiedy unosiły łby, warczały i pohukiwały.

– Czy powinniśmy iść dalej pieszo? – spytała Lex.

Alan pokręcił głową. Dilofozaury były znacznie mniejsze niż tyranozaur i mieściły się między nadbrzeżnymi drzewami. Do tego wydawały się szybkie – można było wywnioskować to z ich ruchów, kiedy warczały i pohukiwały na siebie nawzajem.

– Ale nie przepłyniemy koło nich, a one są jadowite! – zauważyła dziewczynka.

– Musimy jakoś to zrobić – odpowiedział Alan. Dilofozaury piły tymczasem i pohukiwały. Wyglądało na to, że odprawiają coś w rodzaju rytuału. Zwierzę po lewej pochylało się, piło, a potem, odsłaniając długie rzędy ostrych zębów, pohukiwało. Wtedy zwierzę z prawej odpowiadało takim samym odgłosem, pochylało się i piło, jakby powtarzając zachowanie pierwszego w odwróconym porządku. Sekwencja się powtarzała.

Alan zwrócił uwagę, że dilofozaur po prawej jest mniejszy, ma mniejsze cętki na grzbiecie i grzebień w bledszym odcieniu czerwieni.

– A niech to. To jest rytuał godowy!

– Damy radę je minąć? – spytał Tim.

– Teraz nie. Stoją za blisko wody.

Alan wiedział, że rytuały godowe niektórych zwierząt trwają po kilka godzin. Para zwierząt powtarza sekwencję zachowań, nie jedząc, nie zwracając uwagi na cokolwiek innego. Popatrzył na zegarek: dwadzieścia po dziewiątej.

– Co robimy? – chciał wiedzieć Tim.

– Nie wiem – przyznał z westchnieniem Alan.

Usiadł na dnie pontonu, ale akurat wtedy dilofozaury zaczęły na przemian trąbić i ryczeć, wyraźnie czymś podekscytowane. Podniósł wzrok i zobaczył, że odwróciły łby od rzeki.

– Co się dzieje? – zapytała Lex.

– Chyba przychodzi odsiecz – stwierdził z uśmiechem Alan i odepchnął ponton od brzegu. – Dzieciaki, leżeć płasko na dnie pontonu, nie ruszać się i nie wydawać żadnych dźwięków, cokolwiek będzie się działo, dobra? Przepłyniemy najszybciej jak się da.

Ponton ruszył z prądem, ku pohukującym dilofozaurom. Lex spoglądała z dołu na Alana. Ponton szybko zbliżał się do zwierząt. Wprawdzie wciąż patrzyły w przeciwną stronę, jednak Alan przygotował pistolet i pociski usypiające.

Poculi specyficzną woń, słodką, ale równocześnie przyprawiającą o mdłości. Kojarzyła się trochę z zaschniętymi wymiocinami. Pohukiwanie było teraz głośniejsze. Ponton minął ostatni zakręt rzeki i... Alanowi aż zaparło dech w piersiach. Dilofozaury znajdowały się zaledwie dwa, trzy metry od niego! Interesowały się wyraźnie czymś, co było odrobinę dalej, między drzewami.

Tak jak podejrzewał, pohukiwały na tyranozaura, który próbował przedrzeć się przez zagradzające mu drogę drzewa. Przeszępowały z podniecenia z nogi na nogę. Ponton minął je i wtedy na chwilę odór stał się nieznosny. Tyranozaur ryknął, chyba na widok pontonu, lecz Alan i dzieci już zdążyli...

Rozległ się głuchy odgłos i ponton zatrzymał się nagle, osiadając na mieliźnie tuż za dilofozaurami.

– No to klops! – szepnęła Lex.

Słyszał było, jak guma trze o dno; ponton ruszył jednak dalej. Znów oddalali się od dilofozaurów! Tyranozaur ryknął po raz drugi i poniechał dalszych prób ataku. Odszedł. Jeden z dilofozaurów popatrzył zdziwionym spojrzeniem i zahukał. Drugi mu zawtórował.

Ponton oddalał się od nich.

TYRANOZAURO

Jeep posuwał się naprzód, podskakując na łące. Słońce paliło niemiłosiernie. Robert i Donald oddalali się od ściany gęsto rosnących palm wyznaczających bieg rzeki. W tej chwili byli jakieś sto metrów od nich. Samochód wjechał na nieduże wzniesienie i Muldoon zahamował, żeby się rozejrzeć.

– Jezu, ale gorąco – mruknął, ocierając czoło wierzchem dłoni. Pociągnął łyk whisky i zaoferował butelkę Donaldowi. Ten pokręcił głową i rozglądał się po falującym od gorąca horyzoncie. Potem spojrzał na monitor, który pokazywał widoki z kamer systemu monitorowania parku. Nigdzie nie było śladu profesora Granta ani dzieci. Ani tyranozaura.

– Robert – odezwał się z głośnika John Arnold.

– Tak? – zgłosił się Muldoon.

– Masz uruchomiony komputer? Znalazłem tyranozaura. Jest w kwadracie czterysta czterdzieści dwa, przesuwaj się w stronę czterysta czterdzieści trzy.

– Moment... – Robert wywołał odpowiedni obraz na monitorze. – Dobra, widzę. Idź wzdłuż rzeki. – Największy drapieżnik w parku przemyczał między drzewami rosnącymi w pobliżu rzeki, kierując się na północ.

– Tylko ostrożnie z nim. Uśpij go i nic więcej.

– Nie martw się. – Robert zmrużył oczy. – Nie zrobię mu krzywdy.

– Pamiętaj, że to nasza największa atrakcja turystyczna – przestrzegł go John.

Robert wyłączył radio.

– To skończony idiota! – prychnął. – Oni jeszcze myślą o turystach! – Uruchomił silnik. – Jedźmy na spotkanie z tyranozaurow. Damy mu taki strzał, że odleci.

Jeep podskakiwał gwałtownie na nierównym podłożu.

– Zachowujesz się, jakbyś nie mógł się doczekać – zauważył Donald.

– Od dawna chciałem wbić szpilę temu skurwysynowi – odpowiedział Robert. – Nareszcie będę miał okazję.

W pewnej chwili jeep zahamował gwałtownie. Donald zobaczył tyranozaura – dokładnie naprzeciwko. Niesamowite zwierzę szło między nadrzecznymi palmami.

Robert wypił dwoma łykami resztę whisky i rzucił butelkę na tylne siedzenie. Sięgnął po broń. Donald spojrzał na monitor i zobaczył na ekranie zarówno samochód, w którym właśnie siedział, jak i tyranozaura. Gdzieś między drzewami musi być kamera.

– Jeśli chcesz pomóc, możesz otworzyć te pojemniki, które masz pod nogami.

Donald nachylił się i uniósł wieko stalowej skrzyneczki wyłożonej wewnątrz pianką. W otulinie z pianki umieszczono cztery cylindryczne przedmioty, mniej więcej litrowej objętości każdy. Na wszystkich cylindrach znajdowało się oznaczenie: MORO- -709. Donald wyjął pierwszy z brzegu.

– Odkręcasz końcówkę i nakręcasz igłę – poinstruował go Robert.

Donald odszukał plastikowy pakiet z wielkimi igłami średnicy koniuszków jego palców. Nakręcił igłę na pojemnik. Na jego drugim końcu był okrągły ołowiany obciążnik.

– To jest tłok – wyjaśnił Robert. – Przy uderzeniu wypycha zawartość siłą bezwładności. – Przytrzymał kolanami karabin pneumatyczny. Ciemnoszara broń o bardzo grubej lufie przywodziła na myśl wyrzutnię rakiet przeciwpancernych.

– Co to jest MORO-siedemset dziewięć? – spytał Donald.

– Standardowy środek uspokajający do obojętniania zwierząt, używany w ogrodach zoologicznych na całym świecie. Na początek spróbujemy dawki litrowej. – Robert otworzył zamek. W miejscu na pocisk zmieściłaby się jego pięść. Załadował gigantyczną strzykawkę do karabinu i zatrzasknął go. – Powinno wystarczyć. Na przeciętnego słonia potrzeba około dwustu mililitrów, ale słon waży tylko dwie, trzy tony. Tyranozaur waży osiem i jest nieporównanie bardziej agresywny. To także ma wpływ na wielkość dawki.

– Jak to?

– Dobór dawki środka uspokajającego, który ma obezwładnić zwierzę, zależy od masy zwierzęcia oraz jego temperamentu. Jeżeli taką samą dawką siedemsetdziesiątą potraktujemy słonia, hipopotama i nosorożca, skutki będą różne. Słoń znieruchomieje – będzie stał jak słup soli. Hipopotama spowolnisz – będzie bardzo senny, ale nie przestanie się poruszać. A nosorożec tylko się wścieknie, jak byk na korridzie. Z drugiej strony, kiedy ściga się nosorożca samochodem przez pięć minut, bydlę pada martwe z wyczerpania. Zadziwiające połączenie wytrzymałości i delikatności.

Robert ruszył, podjeżdżając powoli w stronę rzeki i tyranozaura.

– Wszystkie zwierzęta, które przed chwilą wymieniałem, to ssaki – ciągnął. – O postępowaniu ze ssakami wiadomo mnóstwo, bo zoo na całym świecie żyją głównie z pokazywania dużych ssaków – lwów, tygrysów, niedźwiedzi, słoni. O gadach wiemy nieporównanie mniej. A o dinozaurach nic. Bo dinozaury to zupełna nowość.

– Ty uważasz dinozaury za gady? – upewnił się Donald.

– Nie. – Robert zmienił bieg. – Właściwie dinozaury nie pasują do żadnej z gromad współczesnych zwierząt. – Zakręcił kierownicą, żeby ominąć skałę. – I bardzo różnią się między sobą, podobnie jak dzisiejsze ssaki. Niektóre dinozaury są łagodne i sympatyczne, inne groźne i agresywne. Niektóre mają dobry wzrok, inne kiepsko widzą. Jedne są naprawdę tępe, a część jest bardzo, ale to bardzo inteligentna.

– Na przykład welociraptory?

– Są bystre – zgodził się Robert, kiwając głową. – Niezwykle bystre. Wierz mi, stary, że nasze obecne kłopoty to nic w porównaniu z tym, co by było, gdyby poza swój wybieg wydostały się welociraptory. Dobra, bliżej do Reksia nie podjedziemy.

Tyranozaur przystanął właśnie i wsadzał łeb między gałęzie, patrząc na rzekę. Próbował przecisnąć się między zbyt gęsto rosnącymi drzewami. Cofnął się, przeszedł parę kroków i spróbował znowu.

– Co on tam takiego ciekawego zobaczył? – zastanawiał się Donald.

– Bóg raczy wiedzieć. Może ma ochotę dorwać mikroceratusy, które biegają tam sobie po gałęziach. Miałyby z nim niezłą zabawę, zmęczyłby się.

Jeep zatrzymał się około pięćdziesięciu metrów od tyranozaura. Robert zawrócił, ale nie wyłączał silnika.

– Siadaj za kierownicą – polecił Donaldowi. – I zapnij pas. – Wyjął ze skrzynki drugi pojemnik ze środkiem uspokajającym i umocował go przy pasku. Wysiadł.

– Dużo razy już to robiłeś? – spytał Donald, przesiadając się za kierownicę.

Muldoon beknął.

– Nigdy – odparł. – Spróbuję go trafić tuż za przewodem słuchowym. Zobaczymy, co będzie dalej. – To powiedziawszy, odszedł na odległość dziesięciu metrów i przyklęknął w trawie na jedno kolano. Oparł wielki karabin o ramię i podniósł duży celownik optyczny. Wycelował w tyranozaura, który ciągle nie zwracał uwagi na Roberta i Donalda.

Syknął gaz i z karabinu wyleciała w stronę tyranozaura biała smuga. Wydawało się jednak, że strzał nie odniósł żadnego skutku.

Jednak po chwili tyranozaur odwrócił się powoli i spojrzał zaciekawiony na ludzi. Zaczął obracać głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał przyjrzeć im się to jednym, to drugim okiem.

Robert ładował do karabinu drugi pojemnik.

– Trafiłeś? – upewnił się Donald.

– Chybiłem. – Robert pokręcił głową. – Cholerne celowniki laserowe... Zobacz, czy w skrzynce jest bateria.

– Słucham?!

– Bateria! Mniej więcej wielkości twojego palca. Z szarym napisem.

Donald pochylił się, żeby zajrzeć do metalowej skrzynki. Silnik pracował na wolnych obrotach, jeep się trząsł. Donald nie mógł znaleźć żadnej baterii, tymczasem tyranozaur ryknął, co przeraziło Donalda. Basowy odgłos niósł się po lesie, dając wyobrażenie o rozmiarach klatki piersiowej zwierzęcia. Donald wyprostował się szybko, złapał mocno kierownicę, kładąc drugą rękę na dźwigni biegów.

– Robert! Tu John Arnold. Zjeżdżajcie stamtąd, odbiór! – powiedział głos z głośnika.

– Wiem, co robię – rzucił Robert.

Tymczasem tyranozaur ruszył do ataku.

Muldoon nie wpadł w panikę. Przeciwnie, na widok szarżującego potwora powoli uniósł broń, wymierzył starannie i wystrzelił. Z karabinu znów wyleciała smuga dymu.

I znów bez skutku: tyranozaur wciąż gnał naprzód!

Teraz Robert zerwał się na równe nogi i skoczył w stronę jeepa, krzycząc:

– Ruszaj, ruszaj!

Donald wrzucił bieg, a Robert dopadł do klamki. Tyranozaur zbliżał się szybko. Robert zdołał otworzyć drzwi i wspiąć się do przyspieszającego auta.

– Decha, Donald, dawaj! – ponaglał Robert. Donald wcisnął pedał gazu w podłogę, podczas gdy jeep poskoczył tak niebezpiecznie, że przez chwilę widać było przez szybę tylko niebo. Potem opadli na ziemię i znów ruszyli gwałtownie do przodu. Donald kierował samochód ku kępie drzew. Po chwili zobaczył w lusterku, że ryczący wściekle tyranozaur odwraca się, rezygnując z pościgu.

– Jezus Maria! – jęknął Donald, zwalniając.

– Mógłbym przysiąc, że za drugim razem go trafiłem. – Robert pokręcił głową.

– Powiedziałbym, że nie – mruknął Donald.

– Igła musiała się złamać, zanim środek uspokajający został wstrzyknięty.

– Przyznaj się, stary, chybiłeś.

– No dobra – zgodził się z westchnieniem Robert. – Chybiłem. Cholerna bateria w celowniku była wyczerpana. To moja wina. Powinienem był sprawdzić. Wracajmy po więcej pocisków.

Donald skierował jeepa na północ, w stronę hotelu.

– Halo, sterownia – odezwał się do mikrofonu Robert.

– Jestem – odpowiedział głos Arnolda.

– Wracamy do bazy.

* * *

Rzeka była teraz wąska i rwąca. Ponton przyspieszał coraz bardziej. Jego ruch zaczynał przywozić na myśl jazdę kolejką w wesołym miasteczku.

Lex wydała radosny okrzyk.

– Szybciej, szybciej! – krzyczała z radości, trzymając się mocno burty.

Alan zmrużył oczy i wytężył wzrok. Rzeka nie poszerzała się, natomiast w oddali drzewa kończyły się nagle i widać było jaskrawe światło słońca. Dał się słyszeć jakby odległy szum czy ryk, a woda jakby się urywała.

Ponton nieustannie przyspieszał. Alan rzucił się do wioseł.

– Co się dzieje?!

– Wodospad.

Zaraz potem ponton wyskoczył spod zielonego baldachimu na ostre światło słońca. Wartki prąd niósł ich prosto ku krawędzi wodospadu, którego ryk wypełnił im uszy! Alan wiosłował z całych sił, lecz jedyne, co uzyskał, to kręcenie się pontonu wokół osi. Sunęli nieuchronnie na wodospad.

– Nie umiem pływać! – krzyknęła dziewczynka, przysuwając się jak najbliżej Alana. Zauważył, że jej kamizelka ratunkowa jest rozpięta, było już jednak za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić. Z przerażeniem przybliżyli się błyskawicznie do krawędzi wodospadu. Jego ryk był teraz ogłuszający! Alan wbił z rozmachem wiosło jak najgłębiej w wodę, a ono oparło się o dno i stanęli na samej krawędzi wodospadu. Ponton trząsł się, ale nie posuwał dalej. Alan z całych sił starał się utrzymać go na wiośle. Zerknął w dół. Zobaczył, że woda kotłuje się jakieś piętnaście metrów pod nimi!

A poza tym na środku białej kipieli stał tyranozaur.

Lex zaczęła wrzeszczeć, ponton zakręcił się, jego rufa opadła, a przód się uniósł; Alan czuł, że wylatuje w powietrze. Widział dzieci, niebo i wodę, słyszał ryk. Potem żołądek podjechał mu do gardła – spadał! Zamachał rękami zawieszony w powietrzu. Nagle świat stał się dziwnie cichy, jakby zatrzymany w kadrze...

* * *

Alanowi wydawało się, że spada przez całe minuty. Mógł przyjrzeć się uważnie Lex. Dziewczynka zacisnęła piąstki na pomarańczowej kamizelce, lecąc obok Alana. Zdążył także obejrzeć Tima, który patrzył prosto w dół. Wreszcie popatrzył na białe rozbryzgi kotłującej się gwałtownie wody, do których się zbliżał.

A potem coś klapnęło i zabolalo Alana tak, jakby ktoś dał mu porządnego klapsa. Poczuł zimno wody i zobaczył białe, gotujące się bąble. Koziółkował, wirował, przed jego oczami przesunęła się noga tyranozaura. Minął ją i zaczął wypływać wyżej, oddalając się od spadającej wody. Wreszcie wyrzuciło go na powierzchnię. Wyteżył siły i popłynął w stronę brzegu. Złapał się rozgrzanej skały, ale prąd go od niej oderwał. Alan chwycił mocno gałąź. Zdołał wyjść z rzeki i wyczołgał się na płaską skałę, szorując po niej brzuchem. Odwrócił się, sapiąc, i zobaczył, że brązowy ponton mija go. Za pontonem płynął niesiony prądem Tim, próbując się zatrzymać. Alan wyciągnął rękę i złapał chłopca. Udało mu się wyciągnąć go na brzeg. Tim kaszlał i drżał.

Alan popatrzył w stronę wodospadu i zobaczył, jak tyranozaur zanurza łeb. Po chwili głowa potwora zatrzęsała się, rozbryzgując wodę – trzymał coś w paszczy.

Wyprostował się i Alan zobaczył, że tym czymś jest pomarańczowa kamizelka ratunkowa Lex.

* * *

Chwilę później za długim ogonem tyranozaura wypłynęła na powierzchnię Lex. Jej buzia była zanurzona w wodzie; prąd niośł ją w stronę Alana. Alan skoczył do wody. Udało mu się wyciągnąć bezwładne ciało Lex na skały. Jej twarz była szara, z ust wylewała się woda.

Alan nachylił się, żeby przeprowadzić sztuczne oddychanie, ale dziewczynka zakaszłała, potem zwymiotowała żółtozieloną cieczą, znowu zakaszłała i zamrugowała...

– Cześć. – Uśmiechnęła się słabo. – Udało się.

Tim rozplakał się ze wzruszenia. Lex zakaszłała jeszcze raz.

– Przestań, czego beczysz?

– Bo tak.

– Martwiliśmy się o ciebie – powiedział Alan.

Rzeką płynęły jakieś małe jasne przedmioty – to tyranozaur darł na strzępy kamizelkę ratunkową. Wciąż stał odwrócony przodem do wodospadu. Mógł jednak spojrzeć w przeciwną stronę i wtedy...

– Szybko – rzucił Alan.

– Dokąd idziemy? – chciała wiedzieć dziewczynka.

– Rusz się! – Alan rozglądał się za kryjówką. W dole rzeki rozciągała się łąka, na której nie było gdzie się schronić. Z przeciwnej strony stał tyranozaur. Pośrodku biegła w górę ścieżka prowadząca w okolice wodospadu.

A na ścieżce Alan zobaczył wyraźny ślad męskiego buta. Mężczyzna szedł niedawno pod górę.

Tyranozaur odwrócił się w końcu, ryknął i zaczął rozglądać się po łące. Chyba zrozumiał, że zdobycz mu się wymknęła. Patrzył z biegiem rzeki, podczas gdy Alan i dzieci przycupnęli pośród rozłożystych paproci porastających brzeg. W końcu ruszyli ścieżką w górę.

– Dokąd idziemy? – znów zapytała Lex. – Przecież wracamy.

– Wiem!

Znaleźli się bliżej wodospadu, jego ryk znowu był głośny. Skały zrobiły się śliskie, a ścieżka – błotnista. W powietrzu wisiała mgiełka. Szło się jakby w chmurze. Wydawało się, że ścieżka wiedzie prosto do spadającej wody. Okazało się jednak, że prowadzi za wodospad.

Tyranozaur wciąż stał tyłem do nich – tym razem patrzył w dół rzeki. Alan, Lex i Tim spieszyli się. Kiedy wchodzili za zasłonę wody, Alan spostrzegł, że tyranozaur się odwraca. Jednak oni znaleźli się już za srebrzystą, nieprzejrzystą wodną kurtyną.

Alan rozejrzał się i zdumiony zobaczył skalną wnękę wielkości małego pokoiku, wypełnioną maszynami. Pracowały pompy, były też duże filtry i rury. Wszystko było zimne i pokryte kropelkami wody.

– Zobaczył nas?! – spytała Lex. Musiała krzyczeć, żeby było ją słychać przez huk wody. – Gdzie my jesteśmy? Co to jest? Czy tyranozaur nas widział?

– Moment – rzucił Alan i przyjrzał się uważniej maszynom. Pompy były napędzane elektrycznie, a skoro doprowadzono tu elektryczność, może jest i telefon. Zaczął przeszukiwać wnękę.

– Co robisz? – dopytywała się Lex.

– Szukam telefonu – wyjaśnił Alan. Dochodziła dziesiąta. Została zaledwie godzina. Po jej upływie statek z welociraptorami przybije do kostarykańskiego portu.

W tylnej ścianie wnęki były metalowe drzwi z napisem TECHN 04, lecz nie chciały się otworzyć. Obok wisiał czytnik kart, a także szereg metalowych skrzynek. Alan pootwierał je, lecz telefonu ani karty do otwierania drzwi nie było – tylko wyłączniki i liczniki.

Dopiero teraz zauważył skrzyneczkę po przeciwległej stronie drzwi. W środku była upstrzona pleśnią klawiatura numeryczna. Chyba można za jej pomocą otworzyć drzwi. Alan miał przecucie, że za drzwiami będzie telefon. Zauważył, że ktoś wydrapał wewnątrz skrzyneczki liczbę 1023. Wprowadził kolejno cztery podpowiedziane przez kogoś cyfry i drzwi otworzyły się z sykiem! W środku było ciemno. Alan zobaczył betonowe schody prowadzące w dół. Na ścianie wymalowano za pomocą szablonu napis: POJAZD TECHN 04/22 ŁADOW, oraz strzałkę wskazującą na dół. Czyżby czekał tam samochód?

– Chodźcie, dzieci.

– Nie ma mowy – odparła mała Lex. – Tam nie ma światła. Nie idę.

– Trudno. – Nie było czasu na sprzeczkę. – Zostańcie, a ja zaraz wrócę.

– Dokąd idziesz?! – przeraziła się dziewczynka.

Alan zrobił krok do przodu i drzwi zatrzasnęły się z piskiem elektronicznego zamka. Znalazł się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Odwrócił się ostrożnie i dotknął wilgotnego metalu drzwi. Nie mógł wymacać żadnej klamki czy zasuwy. Zaczął szukać po omacku na ścianach wyłącznika, skrzyneczki, czegokolwiek.

Nie znalazł niczego.

Walcząc z paniką, natrafił palcami na jakiś zimny, metalowy, cylindryczny przedmiot, który na jednym końcu się poszerzał. To latarka! Zapalił ją i zdziwił się, jak jasny jest snop światła! Alan obejrzał drzwi – nie wyglądało na to, żeby potrafił je otworzyć. Raczej będą musiały zrobić to dzieci.

Ruszył najpierw w dół po schodach. Były mokre i śliskie od pleśni. Pokonał kilkanaście stopni i nagle usłyszał jakby węszenie i stukot szponów idącego po betonie zwierzęcia. Wyciągnął pistolet z pociskami obezwładniającymi i ostrożnie ruszył dalej.

Minął zakręt schodów i poświecił latarką przed siebie. Światło odbiło się od czegoś dziwnego. Tak, to był pojazd! Elektryczny samochodzik, taki jak wózki golfowe. Stał przodem do drugiego tunelu, który wyglądał, jakby ciągnął się pod wyspą przez wiele kilometrów. Obok kierownicy pojazdu świeciła się czerwona lampka – być może znaczy to, że akumulatory są naładowane?

Znowu rozległo się węszenie... Alan odwrócił się na pięcie i zobaczył zrywający się ku niemu kształt i otwartą paszczę! Nie myśląc, wystrzelił. Zwierz runął na Alana, przewracając go. Snop światła latarki skakał na wszystkie strony, omiatając ściany. Dinozaur się nie ruszał. Alan przyjrzał mu się i poczuł się dziwnie.

Na betonie leżał mały welociraptor, najwyżej dwuletni. Miał nieco ponad pół metra wysokości i wagę mniej więcej średniej wielkości psa. Oddychał z trudem, strzykawka sterczała mu spod żuchwy. Dawka środka uspokajającego była zapewne zbyt duża jak na masę jego ciała. Alan wyciągnął rękę i szybko wyjął strzykawkę. Welociraptor patrzył na niego szklanymi oczami.

Alan miał nieodparte wrażenie, że zwierzę jest wyjątkowo inteligentne. W jego oczach malowało się coś w rodzaju łagodności, coś zupełnie innego niż to, co Alan widział u dorosłych welociraptorów za płotem. Poglaskał małego dinozaura po łbie, a ten zaczął drzeć. I nagle Alan stwierdził ze zdumieniem, że młody welociraptor to samiec.

Młody samiec! Genitalia nie pozostawiały wątpliwości. To zwierzę musiało wykluć się z jaja gdzieś w parku!

Podekscytowany odkryciem Alan szybko ruszył z powrotem po schodach. Na górze jeszcze raz obejrzał w świetle latarki drzwi i ściany. Uświadomił sobie, że nie wyjdzie na zewnątrz, jeśli dzieciom nie przyjdzie do głowy otworzyć drzwi. Słyszał ich ciche głosy – wciąż stały po drugiej stronie.

* * *

- Panie profesorze! – krzyczała Lex, bijąc piąstkami w drzwi. – Panie profesorze!
- Spokojnie, wróci – pocieszył ją Tim.
- Dokąd on poszedł?
- Słuchaj, pan profesor Grant wie, co robi. Dosłownie za chwilę wróci.
- Już powinien wrócić! – upierała się Lex, biorąc się pod boki. Tupnęła.

I nagle ścianę wody przebił łeb ryczącego tyranozaura! Tim patrzył przerażony, jak potwór otwiera paszczę. Lex rzuciła się na ziemię. Tyranozaur pokręcił łbem i się schował. Widać było jednak na wodzie jego cień.

Tim pociągnął Lex głębiej do wnęki. W tym samym momencie straszliwa paszcza znowu przebiła wodospad, rozbryzgując wodę, i we wnęce mignął gruby jęzor. Tyranozaur i tym razem cofnął łeb.

Lex przytuliła się do brata, drżąc ze strachu.

– Nienawidzę go!

Przyłgnęli do ściany, ale wnęka miała zaledwie metr głębokości i większość miejsca zajmowały maszyny. Nie było gdzie się schować!

Łeb tyranozaura pojawił się po raz trzeci – tym razem powoli. Potwór oparł paszczę na skalnej półce, parsknął i dyszał. Jego oczy przesłaniała ściana wody.

Tyranozaur węszył!

– Co on robi? – szepnęła Lex.

– Ćśśś...

Szczęki rozwarły się powoli i wysunął się z nich język przypominający węża. Gruby, niebieskoczarny, rozdwojony na końcu... Miał ponad metr długości i bez trudu sięgał do tylnej ściany wnęki. Przesunął się ze zgrzytem po okrągłych obudowach filtrów. Tim i Lex stali przyciśnięci do rur.

Wtedy jęzor przesunął się powoli w lewo i znów w prawo, uderzając z mokrym plaśnięciem o jedną z maszyn. Potrafił napinać się i poruszać w skomplikowany sposób, jak trąba słonia. Znów przesunął się z prawej... i przejechał po nogach Lex!

– Ooch! – sapnęła z przerażenia i obrzydzenia.

Jęzor zatrzymał się, zwinął, po czym zaczął sunąć jak wąż po nodze i boku dziewczynki.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł ją szeptem Tim.

Język tyranozaura dotknął policzka Lex, przejechał po ramieniu Tima, wreszcie owinał się dookoła jego głowy. Tim zamknął oczy, czując na twarzy mięsisty język i ślinę tyranozaura! Gorący, mokry jęzor śmierdział jak mocz.

Tyranozaur zaczął powoli ciągnąć Tima w stronę otwartej paszczy!

– Timmy!

Tim nie mógł odpowiedzieć, bo jego usta zasłaniał czarny język potwora. Otworzył oczy. Widział, ale nie mógł mówić. Siostra pociągnęła go za ramię.

– Timmy, chodź!

Jęzor wciągnął go w paszczę. Tyranozaur parsknął i Tim poczuł na nogach gorący oddech. Lex też go ciągnęła, ale nie miała takiej siły jak język tyranozaura. Tim wyrwał się siostrze i złapał jęzor obiema rękami, próbując zsunąć go sobie z głowy. Nie mógł go ruszyć. Wbił nogi w skalną półkę, jednak ciągle się po niej przesunął.

Lex objęła brata i zaczęła ciągnąć z całej siły w tył, krzycząc. Nie mogli nic zrobić. Tim miał przed oczami gwiazdy. Poczuł dziwny spokój. Wiedział, co będzie dalej, i że tak się po prostu stanie.

– Timmy?

I nagle jęzor zwiotczał i odwinął się, opadając bezwładnie na skalną półkę. Tim zobaczył na swoim ubraniu obrzydliwą spienioną ślinę. Paszcza tyranozaura zamknęła się, przygryzając język, z którego trysnęła ciemna krew! Z nozdrzy potwora dobywało się sapanie.

– Co on wyprawia?! – krzyknęła przerażona Lex.

Ogromniasty łeb tyranozaura powolutku zaczął się cofać. Jego szczeka złościła w błocie głęboki ślad. Wreszcie znikła za ścianą wody.

STEROWNIA

– No, to okiełznaliśmy tyranozaura – skomentował z ulgą John Arnold. Opadł na oparcie fotela i z uśmiechem zapalił ostatniego papierosa z paczki, zgniatając ją. Oto koniec kłopotów – w Parku Jurajskim znów zapanował porządek. Wystarczy przewieźć nieprzytomnego tyranozaura, gdzie jego miejsce.

– Skurwysyn – zaklął Robert, wpatrując się w monitor. – A jednak go trafiłem! – Odwrócił się i spojrzał na Donalda. – Potrzeba było godziny, żeby środek uspokajający zwałił go z nóg.

– W tej pozycji tyranozaur może się utopić – zauważył Henry, obserwując widok na ekranie.

– Nie utonie – zapewnił Robert. – Nigdy nie widziałem zwierzęcia, które byłoby trudniej zabić.

– Obawiam się, że trzeba tam pojechać i przewieźć go na wybieg – zauważył John.

– Zrobimy to – potwierdził Robert, choć wcale nie był z tego zadowolony.

– To drogie zwierzę.

– Wiem, że jest wart grubą kasę – burknął Robert.

John odwrócił głowę i popatrzył triumfująco na Donalda.

– Chciałbym zaznaczyć, że właśnie opanowaliśmy sytuację w Parku Jurajskim – powiedział. – Niezależnie od tego, co przewidywał model matematyczny profesora Malcolma. Mamy teraz pełną kontrolę nad wydarzeniami.

– A to co? – Donald wskazał ekran za głową inżyniera.

Arnold popatrzył. W lewym górnym rogu ekranu wyświetlały się komunikaty dotyczące stanu systemu, czyli zwykle po prostu nic. Lecz teraz John ze zdumieniem zobaczył, że miga żółty napis: NISKI STAN ZASIL. AWARYJ. Z początku nie rozumiał, o co chodzi. Dlaczego miałyby być jakieś kłopoty z zasilaniem awaryjnym, skoro wszystko pracuje na głównym?

Może system przeprowadził rutynową kontrolę zasilania awaryjnego i okazało się, że akumulatory są bliskie rozładowania lub może w zbiornikach było niewiele paliwa.

– Henry, zobacz – John pokazał komunikat.

– Dlaczego park pracuje na zasilaniu awaryjnym? – zdziwił się Henry.

– Jak to? Nie pracuje.

– Wygląda na to, że pracuje.

– Niemożliwe.

– Wydrukuj zapis stanu systemu. – System komputerowy Parku Jurajskiego odnotowywał poszczególne zdarzenia z ostatnich paru godzin i można było wydrukować ich listę.

John wcisnął guzik, zaszumiała drukarka. Henry podszedł do niej.

John wpatrywał się w ekran – komunikat się zmienił. Przestał migać, stał się czerwony i głosił: WYCZERP. ZASIL. AWARYJ. Towarzyszyły temu cyfry: odliczanie od dwudziestu w dół.

– Co się, do diabła, dzieje?!

* * *

Tim podszedł powoli do skraju wodospadu i ostrożnie wyjrzał poza krawędź wodnej ściany. Zobaczył unoszącego się bezwładnie na wodzie tyranozaura, leżał na boku.

– Mam nadzieję, że zdechł – odezwała się Lex.

Nie zdechł – Tim widział, że pierś potwora się porusza, a jego niby-ręka drga. Ale na pewno zwierzęciu coś się stało. Po chwili Tim zauważył chyba małą białą strzykawkę wbity w tylną część łba dinozaura, koło otworu słuchowego.

– Ktoś strzelił w niego pociskiem usypiającym – wyjaśnił siostrze Tim.

– Całe szczęście, bo o mało nas nie zjadł!

Tim przyglądał się oddychającemu z trudem tyranozaurowi. Zdziwił się, ale widok olbrzymiego stwora w tak opłakanym stanie zasmucił go. Tim nie chciał, żeby dinozaur umarł.

– To nie jego wina – szepnął.

– Nie, w ogóle! – zadrwiła Lex. – O mało nas nie zjadł, i to nie jego wina!

– To drapieżnik – zwierzę mięsożerne. Robi to, co musi.

– Jakbyś siedział teraz w jego brzuchu, tobyś tak nie powiedział.

Huk wodospadu się zmienił. Do tej pory prawie ogłuszał, a teraz przycichł. Strumień wody zrobił się cieńszy, potem tylko ciurkało... aż przestało.

– Timmy, wodospad przestał lecieć! – zdziwiła się Lex.

Woda kapiała tylko jak z niedokręconego kranu. Tim i Lex stali przy pełnej maszynie wewnątrz skał i patrzyli w dół.

– Przecież wodospad nie może przestać lecieć – zauważyła Lex.

– Musieli wyłączyć. – Tim pokręcił głową. – Ktoś wyłączył pompy. Maszyny za ich plecami cichły jedna po drugiej, kolorowe światelka na nich gasły. Na koniec coś szczęknięło i drzwi z napisem TECHN 04 otworzyły się powoli.

Wyszedł z nich profesor Grant.

– Dobra robota, dzieciaki – pochwalił. – Udało wam się otworzyć!

– My nic nie zrobiliśmy – odpowiedziała Lex.

– Wyłączył się prąd – wyjaśnił Tim.

– Wszystko jedno. Chodźcie zobaczyć, co znalazłem.

* * *

John patrzył zaszokowany, jak wszystkie monitory gromadnie gasną, a wraz z nimi – oświetlenie sterowni. Wszyscy zaczęli krzyczeć. Robert odsunął żaluzje, żeby wpuścić do środka światło słońca. Henry pokazał wydruk.

– Patrz – mruknął.

Godz.	Zdarzenie	Stan Systemu
5:12:44	Zabezpieczenie 1 wyl.	Praca
5:12:45	Zabezpieczenie 2 wyl.	Praca
5:12:46	Zabezpieczenie 3 wyl.	Praca
5:12:51	Komenda zamk. syst.	Wyłączony
5:13:48	Komenda uruchom. syst.	Wyłączony
5:13:55	Zabezpieczenie 1 wł.	Wyłączony
5:13:57	Zabezpieczenie 2 wł.	Wyłączony
5:13:59	Zabezpieczenie 3 wł.	Wyłączony
5:14:08	Komenda zamk. syst.	Rozruch – zasil. awaryj.
5:14:18	Monitoring gł.	Praca – zasil. awaryj.
5:14:19	Zabezp. gł.	Praca – zasil. awaryj.
5:14:22	Zarządz. gł.	Praca – zasil. awaryj.
5:14:24	Laborat. gł.	Praca – zasil. awaryj.
5:14:29	Telekom. VBB.	Praca – zasil. awaryj.
5:14:32	Schem. Gł.	Praca – zasil. awaryj.
5:14:37	Widok	Praca – zasil. awaryj.
5:14:44	Kontrola stanu	Praca – zasil. awaryj.
5:14:57	Ostrzeż. Stan Ogrodz.	Praca – zasil. awaryj.
9:11:37	Ostrzeż. paliwo zasil. awaryj. (20%)	Praca – zasil. awaryj.
9:33:19	Ostrzeż. paliwo zasil. awaryj. (10%)	Praca – zasil. awaryj.
9:53:19	Ostrzeż. paliwo zasil. awaryj. (1%)	Praca – zasil. awaryj.
9:53:39	Ostrzeż. paliwo zasil. awaryj. (0%)	Wyłączony.

– Zamknąłeś system o piątej trzynastie rano – tłumaczył Henry. – A kiedy znowu go uruchomiłeś, zaczął pracować na zasilaniu awaryjnym.

– Jezus Maria! – jęknął John.

Od piątej rano system ani przez chwilę nie pracował na zasilaniu głównym – w zamian uruchomiło się awaryjne! Właściwie to wcale nie było dziwne, raczej normalne! Tak

obmyślili to twórcy systemu: najpierw uruchamiał się generator zapasowy, a potem za jego pomocą powinno się włączyć główny! Dlatego, że do rozruchu głównego generatora potrzebna jest duża moc.

John Arnold nigdy wcześniej nie miał okazji wyłączać głównego zasilania. Kiedy znów zapaliło się światło i zaczęły pracować komputery, nie przyszło mu do głowy, że zasilanie główne nie uruchomiło się samoczynnie!

Trzeba było zrobić to ręcznie, w związku z tym przez cały czas, kiedy szukali tyranozaura i robili mnóstwo innych rzeczy, wszystkie urządzenia parku pracowały na zasilaniu awaryjnym. To bardzo źle, ponieważ... Dopiero teraz John zdał sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji swojego niedopatrzenia!

– Co znaczy to ostrzeżenie? – spytał Robert, pokazując wers:

05:14:57 Ostrzeż. Stan Ogrodz.

Praca – zasil. awaryj.

– To znaczy, że system pokazał na monitorach ostrzeżenie o stanie płotów – odpowiedział John.

– Widziałeś je?

– Nie. – John pokręcił głową. – Musiałem rozmawiać z tobą, kiedy byłeś w terenie. Nie widziałem.

– Ale co to konkretnie znaczy? Ostrzeżenie o stanie ogrodzeń.

– Hm, nie zdawałem sobie sprawy, ale urządzenia parku pracowały na zasilaniu awaryjnym. Zapasowy generator jest za słaby, żeby zasilać ogrodzenia, więc system automatycznie ich nie włączał.

– Płoty nie były pod napięciem? – Robert ściągnął brwi.

– Nie.

– Żaden? Od piątej rano? Przez całe pięć godzin?!

– No tak.

– I ogrodzenie wybiegu welociraptorów też nie?

– Też nie – przyznał z westchnieniem John.

– Jezu Chryste, pięć godzin! – jęknął Robert. – Welociraptory mogą w tej chwili biegać swobodnie po parku!

Kiedy tylko skończył zdanie, usłyszeli z oddali wrzask. Robert natychmiast zaczął wydawać polecenia, chodząc szybko po sterowni i rozdając wszystkim krótkofalówki.

– John, biegnij do elektrowni i uruchamiaj zasilanie główne. Henry, siedź tutaj, tylko ty umiesz radzić sobie ze wszystkimi komputerami. Panie Hammond – proszę wrócić do hotelu. Bez dyskusji, już. Zamknąć bramę i nie wychodzić poza nią, dopóki się nie odezwę. Muszę razem z Johnem zająć się welociraptorami. – Spojrzał na Donalda. – Znowu gotowy na ryzyko?

– Nie za bardzo... – przyznał Donald blady jak ściana.

– Dobra. Do hotelu. Ruszać się, wszyscy!

– Ale co pan chce zrobić z moimi dinozaurami? – jęknął Hammond.

– Pytanie jest inne: co one robią z nami.

To powiedziawszy, Robert wypadł na korytarz i pobiegł do swojego gabinetu. Za nim popędził Donald.

– Zmieniłeś zdanie? – warknął Robert.

– Przyda ci się pomoc.

– Niewykluczone. – Robert otworzył drzwi opatrzone napisem NADZÓR ZWIERZĄT, złapał wyrzutnię raket i otworzył klapę wbudowaną w ścianę. Za nią czekało sześć raket i sześć cylindrycznych pojemników.

– Z pieprzonymi welociraptorami jest tak – odezwał się znowu Robert – że ich układ nerwowy jest rozproszony. Nie zdychają szybko, nawet trafione prosto w mózg. I mają bardzo mocną budowę – grube żebra, przez które trudno wcelować w serce. Trudno je też obezwładnić, uszkadzając nogę czy zad. Wykrwawiają się bardzo powoli. – Robert zaczął wrzucać rakiety do pojemników. Podał Donaldowi szeroki pas z materiału. – Załóż to.

Donald zapiął mocno pas, a Robert podał mu rakiety w pojemnikach.

– W zasadzie jedynym pewnym sposobem zabicia welociraptora jest rozerwanie go rakieta na strzepy – tłumaczył. – Niestety, raket mamy tylko sześć, a welociraptorów w zagrodzie osiem. Chodźmy. Trzymaj się blisko mnie, bo to ty masz rakiety.

Robert wypadł na korytarz i znowu ruszył biegiem, po drodze spoglądając ponad galerią na drogę prowadzącą do elektrowni. Donald biegł za Robertem, już dysząc. Zbiegli na parter, wypadli na dwór i stanęli jak wryci.

John Arnold tkwił oparty plecami o budynek elektrowni. Naprzeciwko niego stały trzy welociraptory! John złapał jakiś kij i wymachiwał nim, krzycząc. Welociraptory rozstawiły się: jeden został pośrodku, dwa odeszły na boki. Płynne ruchy, skoordynowana akcja. Donald zadrżał ze strachu.

Welociraptory atakują razem!

Robert klęknął i umieścił sobie wyrzutnię na ramieniu.

– Ładuj! – rozkazał.

Donald włożył rakieta w cylindrycznym pojemniku do wyrzutni. Bzyknęła iskra – i nic.

– Jezu, włożyłeś ją tyłem do przodu! – krzyknął Robert, pochylając wyrzutnię, i rakiet wypadła prosto w ręce Donalda, który załadował znowu, tym razem prawidłowo.

Welociraptory warczały na Johna – i nagle jeden wybuchł. Jego pierś poleciała w górę, krew obryzgała ścianę elektrowni, jakby ktoś rzucił w nią olbrzymim pomidorem. Zad, nogi i ogon zwierzęcia opadły na ziemię w konwulsjach.

– To je obudziło – mruknął Robert.

John oderwał się od ściany i ruszył pędem do drzwi budynku. Pozostałe dwa welociraptory odwróciły się i rzuciły w stronę Donalda i Roberta, znowu się rozstawiając, aby zaatakować z dwóch stron. Równocześnie rozległy się wrzaski od strony hotelu.

– To może być katastrofa! – jęknął Donald.

– Ładuj!

* * *

Henry usłyszał jeden, potem drugi wybuch. Popatrzył na drzwi sterowni. Zaczął chodzić między konsolami, przystanął. Chciał uciekać, ale wiedział, że powinien zostać. Bo jeśli John zdoła uruchomić zapasowy generator choćby na minutę, to on będzie mógł uruchomić ze sterowni główny generator.

Muszę zostać! – myślał.

Usłyszał krzyk. To chyba Robert.

* * *

Uciekając, Robert poczuł okropny ból w kostce. Stoczył się ze skarpy i wylądował na nogach. Obejrzał się i zobaczył, że Donald ucieka w przeciwną stronę, do lasu. Welociraptory dały mu spokój – skupiły się na Robercie. Były niecałe dwadzieścia metrów od niego. Krzyczał na cały głos i biegł, zastanawiając się, dokąd, u diabła, miałby uciec. Wiedział, że dinozaury dopadną go najwyżej za dziesięć sekund.

Dziesięć sekund.

Może nawet mniej.

* * *

Ellie musiała pomóc Ianowi obrócić się. Harding zrobił mu kolejny zastrzyk z morfiny, po którym Ian westchnął i opadł na plecy – chyba z każdą minutą był coraz słabszy. Z krótkofalówki dobiegały wrzaski i stłumione odgłosy wybuchów.

– W jakim jest stanie? – spytał John Hammond, wchodząc do pokoju.

– Trzyma się – odpowiedział Harding. – Trochę majaczy.

– Nic podobnego – zaprzeczył Ian. – Mam całkowicie jasny umysł. – Słuchali przez chwilę odgłosów dochodzących z głośnika. – To brzmi jak wojna.

– Welociraptory wydostały się z zagrody – wyjaśnił Hammond.

– Doprawdy? – Oddech Iana był płytki. – Jakże mogło do tego dojść?

– Pomyłka w obsłudze systemu. John Arnold nie zdawał sobie sprawy, że urządzenia parku pracują na zasilaniu awaryjnym i napięcie na płotach było wyłączone.

– Coś takiego?

– Idź do diabła, ty wyniosła szujo! – wściekł się starszy pan.

– O ile sobie dobrze przypominam, przewidziałem, że skuteczność ogrodzeń zawiedzie – dodał Ian.

– A niech to szlag – westchnął Hammond, siadając i kręcąc głową. – Z pewnością nie uszło pańskiej uwagi, że to, co staramy się tu osiągnąć, to właściwie bardzo prosta rzecz. Przed kilkoma laty ja i moi współpracownicy doszliśmy do wniosku, że jest możliwe odtwarzanie DNA wymarłych zwierząt, klonowanie ich i hodowanie. Wydało nam się to cudowną ideą, jakby podróżą w czasie, jedyną tego rodzaju możliwością na świecie.

Potrafiliśmy ożywić dinozaury. I ponieważ było to dla nas aż tak ekscytujące oraz równocześnie możliwe, przystąpiliśmy do dzieła. Objęliśmy w posiadanie tę wyspę i zrealizowaliśmy nasz pomysł. Wszystko to jest bardzo proste.

– Proste? – zadrwił Ian. Nie wiadomo, skąd miał siłę, by podnieść się na łokciach. – „Proste”. Jest pan jeszcze większym głupcem, niż myślałem. A uważałem pana za bardzo wielkiego głupca.

– Ianie... – próbowała uspokoić go Ellie i sprawić, by się położył. Ian nie zamierzał jednak się poddać. Wskazał głośnik, z którego wciąż dobiegały krzyki i wrzaski.

– I co tam się dzieje? Tam jest realizowana pańska prosta idea. Jakże prosta. Tworzy pan nowe formy życia, o których nic pan nie wie. Doktor Henry Wu nie zna nawet nazw zwierząt, które klonuje! Nie obchodzą go takie szczegóły jak nazwa zwierzęcia, nie mówiąc o tym, czym konkretnie to zwierzę jest! W krótkim czasie wyhodowaliście dużą ich liczbę, nie uczycie się o nich niczego, a mimo to oczekujecie, że będą wobec was uległe, ponieważ to wy je stworzyliście i w związku z tym wydaje wam się, że jesteście ich właścicielami. Zapominacie, że one żyją, są inteligentne i nie mogą być wam uległe. Zapominacie, jak mało o nich wiecie, z jaką niekompetencją zabieracie się do rzeczy, które z taką łatwością nazwał pan prostymi. Dobry Boże!

Ian opadł na poduszkę i zakaszał.

– Czy wie pan, na czym polega zło władzy, jaką mają naukowcy? – ciągnął. – Owa władza to jedna z form odziedziczonego bogactwa. A wie pan, jakimi dupkami są ludzie bogaci od urodzenia? Zawsze.

– O czym on mówi? – zirytował się Hammond.

Harding machnął ręką na znak, że Malcolm bredzi, lecz ten spojrzał z ukosa i odpowiedział na pytanie:

– Wyjaśnię panu, o czym mówię. Otóż władza wymaga na ogół poważnych poświęceń ze strony tego, kto jej pragnie. Taki człowiek przechodzi przez stopień, można powiedzieć, czeladnika, awans wymaga od niego wieloletniej dyscypliny. Niezależnie od tego, o jaką władzę chodzi. Czy chce się zostać prezesem spółki, posiadaczem czarnego pasa w karate, czy też wielkim autorytetem duchowym, aby osiągnąć to, czego się pragnie, trzeba poświęcić na to mnóstwo czasu, nauki i wysiłku. I konieczna staje się rezygnacja z wielu innych rzeczy. Cel musi być najważniejszy. A kiedy już wreszcie się go osiągnie, nikt go człowiekowi nie odbierze, ponieważ zamieszkuje on w człowieku jako rezultat długotrwałej dyscypliny... Interesującą cechą całego owego procesu jest to, że w czasie, w którym ktoś zdobył umiejętność zabijania ludzi gołymi rękami, równocześnie dojrzał w takim stopniu, że nigdy nie użyje tej umiejętności w nierozważny sposób. A więc tego rodzaju władza ma immanentnie wbudowaną samokontrolę. Dyscyplina konieczna do osiągnięcia celu zmienia człowieka na tyle, że nie będzie nadużywał władzy. Jednak z władzą naukowca jest podobnie jak z odziedziczoną fortuną – bez konieczności długotrwałego utrzymywania dyscypliny zdobyło się coś, czego potęgą jest znaczna. Przeczytał pan wyniki badań innych naukowców i

od razu może pan robić następny krok. Już w bardzo młodym wieku. Można osiągać szybkie postępy. W tym przypadku samodyscyplina utrzymywana przez całe dekady życia nie jest konieczna. I nie ma czegoś takiego jak mistrzostwo – starych naukowców zwyczajnie się ignoruje. Nie ma mowy o żadnej pokorze wobec natury. W nauce obowiązuje filozofia „wzbogać się jak najszybciej” „jak najprędzej stań się sławny”. Oszukuj, kłam, fałszuj, wszystko jest dozwolone. I przez twoje własne sumienie, i w oczach twoich kolegów. Nikt nie będzie cię krytykował, nikt nie postępuje według żadnych standardów! Wszyscy próbują jedynie tego samego: dokonać czegoś wielkiego i osiągnąć to jak najszybciej. Naukowiec może stanąć na ramionach olbrzymów i dzięki temu szybko czegoś dokonać. Człowiek nawet nie wie, co zrobił, a już zdążył to ogłosić, opatentować i sprzedać. A nabywca? On ma w sobie jeszcze mniej dyscypliny niż naukowiec. Nabywca zwyczajnie kupuje sobie daną władzę, jak każdy towar. Nawet nie przechodzi mu przez myśl, że w całej sprawie może być potrzebna jakakolwiek dyscyplina.

– Wiecie, o czym on mówi? – spytał Hammond.

Ellie pokiwała głową.

– A ja nie mam pojęcia.

– Ujmę to prościej – odpowiedział Ian. – Mistrz karate nie zabija ludzi gołymi rękami. Nie traci nad sobą panowania i nie morduje żony. Zabójca to osoba, która nie ma w sobie dyscypliny, hamulców i która nabyła swoją władzę w postaci taniej spluwy. I właśnie ten drugi rodzaj władzy mają naukowcy. Taki jest duch nauki, ona na to zezwala. I dlatego pan myśli sobie, że stworzenie Parku Jurajskiego jest proste.

– Bo było proste! – zdenerwował się starszy pan.

– Tak? To dlaczego wszystko się posypało?

* * *

John Arnold, któremu kręciło się w głowie od straszliwego napięcia, otworzył drzwi elektrowni i znalazł się w środku. Jezu, zupełnie ciemno! Powinienem był przecież domyślić się, że nie będzie tu światła... Owiało go chłodne powietrze, w dole ziała ogromna, sięgająca dwa piętra poniżej poziomu ziemi czeluść. Muszę znaleźć pomost, myślał. Ostrożnie, bo inaczej spadnę i skrećę kark.

Pomost.

Próbował wymacać drogę, czując się jak ślepiec, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że zadanie jest niewykonalne. Musi jakimś sposobem oświetlić elektrownię. Wrócił do drzwi i uchylił je na dziesięć centymetrów. Dawało to wystarczającą ilość światła. Tylko że drzwi same się zamykały. John zdjął but i wcisnął go między drzwi a framugę.

Ruszył w stronę całkiem dobrze widocznego pomostu. Szedł po nierównej metalowej powierzchni, słysząc, jak stuka w nią tylko jeden jego but. Przynajmniej widzę, pocieszał się. Zobaczył przed sobą schody prowadzące w dół, do generatorów. Jeszcze dziesięć metrów.

Nagle znów zrobiło się ciemno.

John odwrócił się i zobaczył, że snop światła został zasłonięty przez welociraptora. Groźny dinozaur pochylił głowę i uważnie powąchał but.

* * *

Henry chodził tam i z powrotem po sterowni. Dotykał palcami klawiatur komputerów, ekranów. Nie był w stanie się zatrzymać. O mało nie oszalał ze zdenerwowania.

Powtórzył sobie kolejne kroki, jakie będzie musiał podjąć. Trzeba działać szybko. Kiedy tylko uruchomi się pierwszy komputer, wywołam...

– Henry! – dobiegł z krótkofalówki zniekształcony głos.

– Jestem! – zgłosił się.

– Jest prąd? – To był Muldoon. Mówił jakoś inaczej niż zwykle. Jakby mniej stanowczo, z mniejszą energią.

– Nie – odpowiedział Henry, uśmiechając się. Cieszył się, że Robert żyje.

– Johnowi chyba udało się dostać do elektrowni. Ale nie wiem, co dalej.

– A gdzie ty jesteś?

– Tkwię.

– Słucham?

– Tkwię wciśnięty w pieprzoną rurę! Mam tu bardzo zainteresowane mną towarzystwo.

* * *

Prawie zatykam tę rurę, myślał Robert. Koło budynków leżał stos rur kanalizacyjnych. Robert zdążył wsunąć się do najbliższej z nich, czołgając się jak potulna ofiara. Rury miały metr średnicy, Robertowi cholernie trudno było się do takiej zmieścić. Ale przynajmniej welociraptory nie miały jak do niej wejść.

Tym bardziej że odstrzelił jednemu nogę, bo był za bardzo ciekawy, co jest w rurze. Drapieżnik odleciał na bok z rykiem bólu i teraz jego pobratymcy traktowali Roberta z respektem. Żałował tylko, że nie zaczekał z naciśnięciem spustu, aż welociraptor pokaże łeb w wylocie rury.

Robert miał jeszcze szansę się tego doczekać, bo teraz koło stosu rur kręciły się trzy czy cztery welociraptory, warczały i ryczały z różnych stron.

– Tak, towarzystwo mi nie odpuszcza – potwierdził, mówiąc do krótkofalówki.

– Czy John ma przy sobie radio? – spytał Henry.

– Wątpię. Siedź tam po prostu i wszystko przeczekaj.

Robert wpelzł do rury tyłem i nie wiedział, co jest za nim. Wypełniał rurę na tyle, że nie mógł się obrócić. Miał nadzieję, iż żaden welociraptor nie zdoła dosięgnąć do jego nóg. Jezus Maria... Zdecydowanie nie podobała mu się myśl, że drapieżnik mógłby wyszarpać mu nogi...

* * *

John cofał się pomostem, a welociraptor zbliżał się niespiesznie oddalony o trzy metry od niego. Było ciemno, ale John dobrze słyszał stukot śmiercionośnych szponów o metal.

Zwierzę najwyraźniej zachowywało ostrożność. John wiedział, że welociraptory mają dobry wzrok, jednak metalowe podłoże i nieznane zapachy maszyn peszyły drapieżnika. Jego niepewność to moja jedyna szansa! – myślał John. Jeśli zdołam dotrzeć do schodów i zejść piętro niżej... Przecież welociraptor nie będzie umiał zejść po wąskich i stromych schodach.

John obejrzał się przez ramię. Pogrążone w półmroku schody były dwa kroki za nim.

Udało się! Złapał się poręczy i zaczął zbiegać po metalowych stopniach prawie tak stromych jak drabina. Wreszcie poczuł pod stopami beton. Welociraptor warczał, sfrustrowany, siedem metrów wyżej, na pomoście.

– Kiepska sprawa, chłopie – rzucił pod adresem zwierzęcia John i odwrócił się w stronę maszyn. Akurat bardzo blisko schodów stał zapasowy generator. Nawet przy tak nikłym świetle było go widać.

Nagle za plecami Johna rozległo się głucho uderzenie. John się odwrócił.

Na betonie stał welociraptor. I warczał.

Zeskoczył ze schodów!

John rozejrzał się za jakąś bronią, ale nagle został przewrócony potężnym uderzeniem na plecy. Coś ciężkiego przyciskało mu pierś, nie mógł oddychać. Zrozumiał, że drapieżnik na nim stoi! Potem poczuł, jak duże szpony orzą jego pierś, owionął go nieświeży oddech wydobywający się z pochylającej się nad nim paszczy... Otworzył usta, żeby wrzasnąć!

* * *

Ellie ścisnęła obiema dłońmi krótkofalówkę i nasłuchiwała. Do hotelu przybiegło dwóch kolejnych kostarykańskich robotników; chyba wiedzieli, że tu będą bezpieczni. Jednak w ciągu ostatnich kilku minut nie pojawił się nikt więcej. I na dworze zrobiło się ciszej.

– Ile czasu minęło? – odezwał się w radiu głos Roberta Muldoona.

– Niecałe pięć minut – odpowiedział doktor Henry Wu.

– Do tej pory John zdążyłby już uruchomić generator – ocenił Muldoon. – Nie wiadomo, czy to robi. Masz jakieś pomysły?

– Nie.

– A wiesz, co z Donaldem?

– Jestem. – To zgłosił się Gennaro.

– Gdzie jesteś, kurwa mać?

– Idę do elektrowni. Życz mi szczęścia.

* * *

Donald kucnął w krzakach i nasłuchiwał. Tuż przed nim biegła wysadzana drzewami ścieżka prowadząca do głównego budynku. Elektrownia była na wschód od niego. W gałęziach ćwierkały ptaki, wokół unosiła się lekka mgiełka. Donald usłyszał ryk

welociraptora, ale odległy, dobiegł gdzieś z prawej. Donald podniósł się i skoczył między drzewa, oddalając się od ścieżki.

W uszach rozbrzmiewały mu słowa Roberta Muldoona: „Gotowy na ryzyko?”.

Nie za bardzo.

Cóż, Donald nie był przygotowany na stawianie czoła śmiertelnemu niebezpieczeństwu. Jednak przynajmniej miał plan, choć to, czy uda się go zrealizować, było bardzo niepewne. Jeśli będę się trzymał na północ od głównego kompleksu budynków, myślał, podejdę do elektrowni od tyłu. Wszystkie welociraptory są pewnie blisko pozostałych budynków, na południe od tamtego miejsca. Nie mają powodu węszyć po dżungli.

A przynajmniej taką mam nadzieję.

Donald szedł najciszej, jak umiał, przestraszony tym, że mimo wszystko robi okropnie dużo hałasu. Z trudem zmusił się do zwolnienia kroku, serce waliło mu jak młotem. Zarośla były bardzo gęste, ograniczały widoczność do dwóch metrów. Zaczął się niepokoić, że minie elektrownię i nie będzie mógł jej znaleźć. Po chwili dostrzegł jednak z prawej wznoszący się ponad palmami szczyt budynku.

Zbliżył się do niego i obszedł jego róg. Odnalazł drzwi i zajrzał do środka – w elektrowni było bardzo ciemno. Potknął się o coś. Męski but.

Donald ściągnął brwi. Otworzył drzwi na całą szerokość i ruszył w głąb pomieszczenia. Przed sobą zobaczył pomost. Co dalej? Przecież nie wiem, gdzie jest generator. A krótkofalówkę zgubiłem po drodze.

Cholera jasna!

Może gdzieś tutaj jest jakaś krótkofalówka? A jeśli nie, znajdę po prostu generator, myślał. Wiedział, jak wygląda generator. Pewnie był gdzieś na dole, poniżej poziomu ziemi. Donald odnalazł schodki.

Na dole było jeszcze ciemniej, prawie nic nie widział. Szedł po omacku, dotykając jakichś rur i osłaniając głowę, żeby się nie uderzyć.

Nagle usłyszał warczenie jakiegoś zwierzęcia! Zamarł. Nasłuchiwał, ale odgłos się nie powtórzył. Donald ostrożnie ruszył naprzód. Poczuł, że coś kapie mu na rękę. Było ciepłe, chyba ciepła woda. Dotknął cieczy.

Lepka. Powąchał.

Krew!

Spojrzał w górę i zobaczył welociraptora siedzącego z metr nad jego głową na rurach, jak na grzędzie. Krew kapiała z jego szponów. Czy jest ranny? Donald poczuł się tak, jakby dalszy rozwój wypadków w ogóle go nie dotyczył. A potem rzucił się do ucieczki – ale welociraptor od razu skoczył mu na plecy, przygniatając go.

Donald był masywnym i silnym mężczyzną. Napiął mięśnie i zrzucił z siebie drapieżnika, po czym odtoczył się po betonie w przeciwną stronę. Spojrzał i zobaczył, że dinozaur leży na boku i dyszy.

Tak, jest ranny. Donald nie wiedział dlaczego, ale coś stało się welociraptorowi w nogę.

Zabij go!

Donald zerwał się i rozejrzał w poszukiwaniu jakiejś broni. Drapieżnik wciąż leżał i dyszał. Co tu mogłoby posłużyć za broń?! Kiedy Donald znowu się odwrócił, zwierzęcia nie było.

Jednak zaraz potem w podziemnej sali rozległ się ryk.

Donald zatoczył pełne koło, wyciągając ręce na boki. Nagle poczuł ostry ból w prawej dłoni.

Zęby. Potwór z przeszłości właśnie go gryzł!

Dinozaur szarpnął łbem i Donald upadł na beton.

* * *

Ian był zlany potem. Leżał w łóżku i słuchał rozmów prowadzonych przez krótkofalówki.

– Jest coś? – spytał Robert Muldoon. – Czy cokolwiek tu działa?

– Nie, i nic o nikim nie wiem – odparł Henry Wu.

– Kurwa.

Znów nastąpiła pauza.

– Nie mogę się doczekać, aż usłyszę, jaki jest jego nowy plan – powiedział z westchnieniem Ian.

– Chciałbym, żeby wszyscy znaleźli się w hotelu – odezwał się znowu Muldoon – i żebyśmy mogli się tam przegrupować. Ale nie wiem, jak to zrobić.

– Przed budynkiem, w którym jestem, stoi jeep – powiadomił Henry. – Gdybym do ciebie podjechał, zdołałbyś wskoczyć?

– Może. Ale wtedy opuściłbyś swoją placówkę w sterowni.

– I tak na wiele się tu nie przydadę.

– Niestety, to prawda – westchnął Ian. – Sterownia bez prądu to nie sterownia.

– Dobra – zdecydował Robert. – Spróbujmy. Ale nie wygląda to dobrze.

– To w ogóle nie wygląda dobrze – dodał swoje leżący w łóżku Ian. – To wygląda na katastrofę.

– Welociraptory będą nas gonić – zauważył Henry.

– I tak nie mamy innego wyjścia – skwitował Robert. – Leć do jeepa.

Krótkofalówka ucichła, Ian zamknął oczy i oddychał powoli, żeby zebrać siły.

– Uspokój się – szepnęła Ellie. – Po prostu nie przejmuj się tak.

– Wiecie, o czym tak naprawdę wszyscy rozmawiamy? – zaczął znowu Ian. – Wszystkie te próby zapanowania nad sytuacją... To zachodnie podejsście, które jest realizowane od pięciuset lat, miało swój początek we Florencji, która była wówczas najbardziej dynamicznym miastem-państwem na świecie. Wtedy ekscytująca wydała się idea, która legła u podstaw nauki, nowy sposób patrzenia na rzeczywistość – taki, iż jest ona obiektywna i nie zależy od wierzeń człowieka czy jego narodowości, lecz podlega racjonalnym regułom. Założenie to dało ludziom bardzo obiecujące nadzieje na przyszłość. Dominujący od wielu

stuleci średniowieczny sposób myślenia dobiegł końca. Średniowieczny świat feudalnej polityki, religijnych dogmatów i uprzedzeń padł na kolana przed nowo powstałą nauką. Doszło do tego głównie z powodu istotnej dysfunkcjonalności średniowiecznego świata. Ten stary świat nie był efektywny ekonomicznie, nie starczał już ludziom za pożywkę intelektualną i nie pasował do nowego świata, który już zaczynał funkcjonować.

Ian zakaszał.

– Natomiast dziś – podjął – to nauka stanowi system wierzeń obowiązujący już od setek lat. I podobnie jak dawniej system średniowieczny tak dziś nauka przestaje powoli przystawać do współczesnego świata. Urosła w tak wielką siłę, że zaczynamy dostrzegać granice jej możliwych praktycznych zastosowań. W dużym stopniu właśnie dzięki nauce miliardy ludzi żyją obecnie we wspólnym, małym świecie, gęsto zaludnionym, komunikując się ze sobą. Jednak nauka nie jest w stanie pomóc nam w podejmowaniu decyzji w sprawie tego, co powinniśmy z tym światem robić ani jak żyć. Naukowcy potrafią zbudować reaktor atomowy, jednak nie umieją nam powiedzieć, że nie powinniśmy go budować. Tworzą pestycydy, ale nie mówią, żeby ich nie używać. I nasz mały świat zaczyna się robić bardzo zanieczyszczony – powietrze, woda, ziemia – a wszystko to z powodu nauki, nad którą nikt nie potrafi zapanować. – Ian westchnął. – Przynajmniej to jest oczywiste dla wszystkich.

Zapadło milczenie, Ian leżał z zamkniętymi oczami i oddychał z wysiłkiem. Po chwili Ellie wydało się, że matematyk w końcu zasnął. Jednak on znowu się zerwał.

– Równocześnie znikło wielkie intelektualne usprawiedliwienie nauki – mówił dalej. – Od czasów Newtona i Kartezjusza nauka zdążyła roztoczyć przed nami wizję całkowitej kontroli nad wszystkim. Niosła ze sobą przeświadczenie, iż rozumiejąc prawa rządzące naturą, zdołamy z czasem zapanować nad każdym zjawiskiem. Jednak z biegiem dwudziestego wieku ów paradygmat zaczął się chwiać i pogrąża się w upadku, z którego już się nie podniesie. Najpierw Heisenberg sformułował zasadę nieoznaczoności, która ustaliła granice tego, czego możemy się dowiedzieć o świecie subatomowym. Cóż z tego? – możemy rzec. Nikt z nas nie żyje w świecie subatomowym, więc ta nieoznaczoność nie ma dla nas żadnego praktycznego znaczenia. Później przyszło twierdzenie Gödla, wyznaczając granice matematyki – a ta jest językiem formalnym nauki. Wcześniej matematycy sądzili, że ich język cechuje szczególna, immanentna prawdziwość, którą można wyprowadzić z praw logiki. Obecnie wiemy, iż to, co nazywamy rozumowaniem, jest jedynie czymś w rodzaju gry o arbitralnych zasadach. Nie jest ono tak wyjątkowe, jak nam się wydawało. Wreszcie pojawiła się teoria chaosu. Dowodzi ona, iż nasze życie codzienne cechuje nieodrodna nieprzewidywalność. Zaskakuje nas ono jak burza, której nadejścia nie da się w sposób pewny przewidzieć. I tak wielka, pięćsetletnia wizja nauki jako narzędzia, za którego pomocą da się kontrolować cały świat, legła w naszym stuleciu w gruzach, okazując się mrzonką. A wraz z nią znikło usprawiedliwienie dla działań naukowców, racjonalny powód, dla którego powinni prowadzić swoje badania. I dla którego my powinniśmy posłusznie akceptować to, co robią. Dawniej nauka twierdziła, że wprawdzie nie wie jeszcze wszystkiego, ale z

upływem czasu będzie wiedzieć. Teraz wiemy, że to nieprawda. Czcza przechwałka. Błędne przekonanie, równie głupie jak to, które żywi dziecko skaczące z dachu w przeświadczeniu, iż będzie latało.

– Mówi pan zaskakujące rzeczy – skomentował Hammond, kręcąc głową.

– Jesteśmy świadkami schyłku ery nauki – podsumowywał Ian. – Nauka zjada swój własny ogon, niszczy sama siebie, podobnie jak było z ośrodkami innych przestarzałych paradygmatów. Wciąż zwiększając swoją potęgę, nauka dowodzi równocześnie, iż jest niezdolna do zyskania totalnej kontroli nad wszystkim. A dziś wszystko dzieje się w ogromnym tempie. Pięćdziesiąt lat temu każdy podniecał się bombą atomową. To była moc! Nikt nie potrafił wyobrazić sobie większej. Jednak zaledwie dekadę po skonstruowaniu bomby atomowej zaczęliśmy wchodzić w po siadanie władzy nad kodem genetycznym organizmów. Potęga genetyki jest daleko większa niż ta, jaką ma broń jądrowa. I wkrótce ta władza znajdzie się w rękach każdego człowieka. Traf w nie w zestawach dla pasjonatów ogrodnictwa. W szkolnych laboratoriach. W tanich laboratoriach, z których korzystać będą terroryści i dyktatorzy. Zmusi to każdego do postawienia sobie tego samego pytania: co powinienem zrobić z potęgą, którą mam w rękach? I to właśnie najważniejsze pytanie, na które nauka nie potrafi udzielić odpowiedzi.

– I co będzie potem? – spytała Ellie.

– Zmiana – skwitował Ian, wzruszając ramionami.

– Jakiego rodzaju?

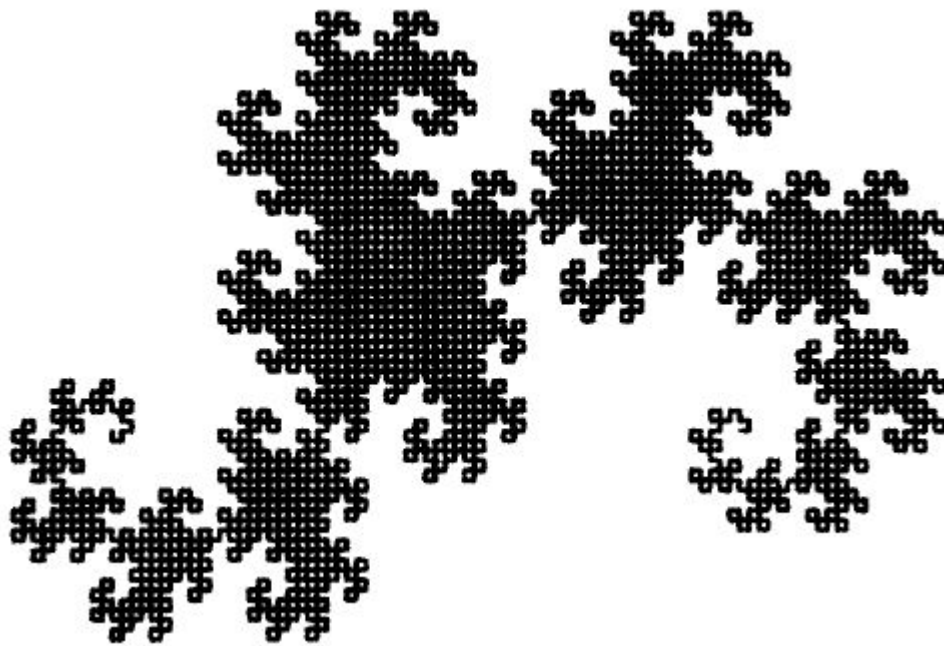
– Wszystkie poważne zmiany są podobne do śmierci. Nie wiadomo, co jest po drugiej stronie, dopóki człowiek się tam nie znajdzie. – Ian zamknął oczy.

– Biedny człowiek... – westchnął Hammond, kręcąc głową.

Ian także westchnął i powiedział jeszcze:

– Czy zdaje pan sobie sprawę, jak mało prawdopodobne jest to, że opuści pan tę wyspę żywy? Dotyczy to zresztą nie tylko pana, ale każdego z nas.

ITERACJA SZÓSTA



Ponowne ustabilizowanie układu może okazać się niemożliwe.

Ian Malcolm

POWRÓT

Elektryczny silnik wył na wysokich obrotach i mały samochodzik pędził ciemnym podziemnym tunelem. Alan wciskał pedał przyspieszenia do oporu. W tunelu nie było nic, tylko gładkie ściany, i od czasu do czasu kratki wentylacyjne, przez które wpadało niewiele światła, ponieważ otwory były ukształtowane tak, aby do środka nie lał się deszcz. Jednak było też coś, co zwróciło uwagę Alana: w wielu miejscach widniały wyschnięte, białawe, zwierzęce odchody. Nie ulegało wątpliwości, że w tunelu przebywały liczne zwierzęta.

Siedząca obok Alana Lex oświetliła latarką tył pojazdu, gdzie leżał mały welociraptor.

- Dlaczego on tak sapie? – spytała.
- Dlatego, że trafiłem go pociskiem ze środkiem uspokajającym.
- I on teraz zdechnie?
- Mam nadzieję, że nie.
- Po co go zabieramy?
- Żeby udowodnić ludziom z ośrodka, że dinozaury w parku naprawdę się rozmnażają.
- A skąd pan wie?

- Stąd, że ten jest młody. A poza tym to chłopiec.
- Naprawdę? – Lex z zainteresowaniem popatrzyła na nietypowe zwierzę.
- Tak. Poświeć no mi tutaj, dobrze? – Alan pokazał rękę z zegarkiem. – Która godzina?
- Yy... Piętnaście po dziesiątej.
- Dobrze.
- Mamy tylko czterdzieści pięć minut na zawiadomienie kapitana statku! – przypomniał

Tim.

– Zdążymy w ostatniej chwili – uspokoił Alan. – Myślę, że już dojeżdżamy do ośrodka. – Nie był pewny, ale miał wrażenie, że tunel zaczyna się łagodnie wznosić. Tak było. I nagle zalało ich jaskrawe światło słońca.

- O rany! – wykrzyknął Tim.

Oczom jadących ukazała się wielka, przysłonięta lekką mgiełką budowla. Alan od razu rozpoznał w niej główny budynek ośrodka mieszczący laboratoria, sterownię parku i recepcję. Wjechali z tunelu prosto do garażu!

– Hurra! – zawołała radośnie dziewczynka. – Udało się! Ha! – Podskakiwała na siedzeniu, podczas gdy Alan parkował. Przy jednej ze ścian stały klatki na zwierzęta, więc wspólnie przenieśli do jednej półprzutomnego welociraptora i nalali mu wody do miski. Ruszyli po schodach na górę, na parter, gdzie było główne wejście.

– Zjem hamburgera! – oznajmiła Lex. – I frytki! I koktajl mleczny, czekoladowy! I już nie będzie dinozaurów! Hurraa!

Gdy znaleźli się na parterze, stanęli jak wryci.

* * *

Szklane drzwi budynku miały powybijane szyby, a do holu wpełzła mgiełka. Tablica z napisem GDY NA ZIEMI PANOWAŁY DINOZAURY wisiała przekrzywiona na jednym haku, skrzypiąc na wietrze. Duży robot ucieleśniający tyranozaura leżał przewrócony, jego kończyny sterczały w powietrzu, a spod rozdartej powłoki wyzierały rurki szkieletu i kable. Na dworze oprócz palm było widać we mgle jakieś niewyraźne kształty.

Tim i Lex odruchowo schowali się za metalowym biurkiem wartownika. Alan sięgnął po leżącą tam krótkofalówkę i wypróbował kolejno wszystkie kanały, powtarzając:

- Mówi profesor Grant. Halo, jest tam kto? Tu Grant, czy ktoś mnie słyszy?
- Lex wpatrywała się w nogi martwego wartownika leżącego po prawej stronie biurka.
- Halo! Tu profesor Grant. Halo?!
- Lex pochyliła się, żeby zobaczyć więcej.
- Nie patrz tam! – Alan złapał dziewczynkę za rękaw.
- Czy on umarł? Co to jest to coś na podłodze? Krew?
- Tak.
- Dlaczego krew nie jest prawie wcale czerwona?
- Przestań, to makabryczne! – syknął Tim.

- To znaczy jakie? To nie moja wina.
- Jezu, to pan?! – odezwał się z krótkofalówki jakiś głos.
- Alan? Alan, to ty?! – zawtórowała mu zaraz potem Ellie.
- Tak, jestem w ośrodku – odpowiedział Alan.
- Dzięki Bogu! – westchnęła Ellie. – Nic ci się nie stało?
- Nie, jestem cały i zdrowy.
- Co z dziećmi? Widziałeś je gdzieś?
- Dzieci są ze mną. Też całe i zdrowe.
- Boże, dzięki!

Lex kucnęła tymczasem i zaglądała za biurko. Alan klepnął ją lekko otwartą dłońią w kostkę.

- Z powrotem! – rozkazał.
- Gdzie jesteś? – dopytywała się Ellie.
- W holu. W głównym budynku, w holu.
- Matko, oni są tutaj! – krzyknął w głośniku doktor Henry Wu.
- Alanie, słuchaj – przejęła znowu inicjatywę Ellie. – Welociraptory wydostały się z zagrody. Potrafią otwierać drzwi. Mogą być w tym samym budynku co ty.
- No to pięknie! – mruknął Alan. – Gdzie jesteś?
- Jesteśmy w hotelu.
- A co z innymi? Z Muldoonem, ze wszystkimi?
- Zginęło kilku ludzi. Ale wszystkim innym udało się przedostać do hotelu.
- Czy telefony działają? – chciał wiedzieć Alan.
- Nie. System się wyłączył. Nic nie działa.
- Jak się go uruchamia?
- Cały czas próbujemy to zrobić.
- Musimy uruchomić system, i to natychmiast! Bo jeśli się to nie uda, za pół godziny welociraptory znajdą się na stałym lądzie, w porcie! – Alan opowiedział o tym, że on i dzieci widzieli młode welociraptory na statku. Nagle przerwał mu głos Muldoona:
- Chłopie, nie rozumiesz, co się dzieje. Nie zostało nam wszystkim pół godziny.
- Jak to?!
- Welociraptory nas ścigały. Mamy w tej chwili dwa na dachu hotelu.
- To co? Nie dostanę się do środka.
- Dostaną. – Robert zakaszał. – Nie przewidziano, że dinozaury mogą się znaleźć na dachu. Ktoś musiał posadzić drzewo za blisko ogrodzenia, bo przedostały się przez nie, a potem na dach. Stalowe pręty zabezpieczające świetliki powinny być pod napięciem, ale oczywiście elektrownia nie działa, więc welociraptory właśnie przegryzają pręty.
- Jak to: przegryzają pręty? – dziwił się Alan. Ściągnął brwi i próbował to sobie wyobrazić. – Ile czasu może im to zająć?

– Nacisk, jaki wywierają zaciskające się szczęki welociraptora, sięga piętnastu tysięcy funtów na cal kwadratowy. Są jak hieny, przegryzają stal.

– Jak szybko? – powtórzył pytanie Alan.

– Myślę, że mamy jeszcze jakieś dziesięć do piętnastu minut, zanim zdołają wygryźć otwór wystarczający do tego, żeby przedostać się do wnętrza hotelu – ocenił Muldoon. – A kiedy to zrobią... Chwileczkę...

Rozmowa nagle się zakończyła.

Welociraptory przegryzły właśnie pierwszy pręt zabezpieczający świetlik nad łóżkiem Iana. Jeden z drapieżników chwycił zębami wolny koniec pręta i odgiął go. Wielka tylna noga dinozaura opadła na szybę i świetlik pękł, obsypując Iana szkłem. Ellie zaczęła zbierać z pościeli największe kawałki.

– Boże, ależ one są brzydkie!... – mruknął Ian, spoglądając w górę.

Kiedy nie było już świetlika, zebrani w pokoju zaczęli słyszeć parskanie i warczenie welociraptorów oraz zgrzyt ich zębów o metal. Na pozostałych prętach widać było jaśniejsze i cieńsze nadgryzione miejsca. Na pościel Iana i stolik obok niego kapła spieniona ślina.

– Przynajmniej jeszcze nie mogą wskoczyć do środka – próbowała pocieszać ich Ellie – zanim nie przegryzą drugiego pręta.

– Gdyby profesor Grant zdołał przedostać się do elektrowni... – odezwał się w krótkofalówce głos doktora Wu.

– Akurat! – warknął Muldoon, kuśtykając po pokoju na skróconej nodze. – Nie zdąży dobiec. Ani uruchomić generatora. Nie ma sposobu powstrzymania tego wszystkiego.

– Jest... – powiedział niewyraźnie Ian, kaszląc. Jego głos ścichł niemal do szeptu.

– Co on powiedział? – spytał Robert.

– Jest – powtórzył Ian. – Moż...

– Co może?

– Uwagę... odwr... – Ian się skrzywił.

– Jak?

– Podbiec... do płotu...

– Tak? I co dalej?

– Wystawić... ręce... za pręty. – Ian uśmiechnął się słabo.

– Jezu... – Robert odwrócił wzrok.

– Zaraz, on ma rację – zawtórował Ianowi Henry Wu. – Tu są tylko dwa welociraptory. To znaczy, że poza ogrodzeniem hotelu co najmniej cztery. Moglibyśmy wyjść i odwrócić uwagę pozostałych.

– I co dalej?

– Wtedy Alan mógłby dobiec do elektrowni i uruchomić generator.

– A potem jeszcze wrócić, wbiec do sterowni i odpalić system?

– Dokładnie.

– Nie zdąży – ocenił Robert.

– Ale gdybyśmy zdołali zwabić welociraptory tutaj – kontynuował myśl Henry – może nawet odciągnąć uwagę tych, które są przy świetliku, mogłoby się udać. Warto spróbować.

– Przynęta... – mruknął Robert.

– Właśnie.

– Kto będzie przynętą? Ja się nie nadaję, bo kuleję.

– Ja – zaofiarował się Henry.

– Nie, bo tylko ty znasz się na komputerach. Będziesz musiał zdalnie pokierować profesorem Grantem, przez radio.

– W takim razie ja będę przynętą – odezwał się Harding.

– Nie, Ian pana potrzebuje – sprzeciwiła się Ellie. – Ja to zrobię.

– Wątpię – skomentował Robert. – Wszędzie dookoła ciebie będą welociraptory, i jeszcze te na dachu...

Ellie już poprawiała sznurowadła.

– Tylko nie mówcie Alanowi, bo będzie się denerwował – poprosiła.

* * *

W holu panowała cisza, mgiełka była nieprzyjemnie zimna. Krótkofalówka milczała już od paru minut.

– Dlaczego nic nie mówią? – spytał Tim.

– Jestem głodna – westchnęła Lex.

– Próbują wymyślić jakiś plan – wyjaśnił Alan.

– Profesorze Grant? – odezwało się wreszcie radio. – Mówi doktor Wu. Jest pan tam?

– Jestem.

– Proszę słuchać. Widzi pan, co jest za szybami w tylnej ścianie budynku, w którym pan jest?

Alan popatrzył. Za szklaną ścianą były palmy i mgła.

– Widzę.

Między tymi palmami jest ścieżka, prowadzi prosto do elektrowni. Są tam generatory i różne inne urządzenia. Widział pan chyba wczoraj budynek elektrowni?

– Widziałem. – To było wczoraj? – pomyślał zdumiony Alan. Wydawało mu się, że od chwili kiedy zaglądał do budynku elektrowni, upłynęły całe lata.

– Dobrze – ciągnął Henry. – Wydaje nam się, że zdołamy zwabić wszystkie welociraptory tutaj, w pobliże hotelu. Nie mamy pewności, czy się uda, więc proszę być ostrożnym. Proszę ruszyć dopiero za pięć minut.

– Dobra.

– Dzieci może pan zostawić w restauracji, raczej nic im się nie stanie. I niech cały czas ma pan przy sobie krótkofalówkę.

– Dobrze.

– Ale gdy wyjdzie pan z budynku, proszę ją wyłączyć, żeby nie wydawała żadnych dźwięków. Kiedy będzie pan w budynku elektrowni, proszę ją włączyć i wywołać mnie.

– Zgoda – zakończył Alan i ruszył z dziećmi w stronę restauracji.

– Chcę hamburgera – odezwała się Lex.

– Nie ma prądu, więc raczej nie ma go jak podgrzać – uświadomił dziewczynce Alan.

– No to loda.

– Tim, będziesz musiał zostać z Lex i opiekować się nią.

– Dobrze.

– A ja muszę na chwilę wyjść – zapowiedział Alan.

– Wiem...

Weszli do restauracji i zobaczyli kwadratowe stoliki, krzesła, stalowe drzwi kuchni na dużych zawiasach, kasę, stojak z gumą do żucia i słodyczami.

– Uwaga, dzieci, chcę, żebyście zostały tutaj, choćby nie wiem, co się działo – rozkazał Alan. – Zrozumiano?

– Niech pan zostawi nam radio – odpowiedziała Lex.

– Nie mogę, jest mi bardzo potrzebne. Po prostu siedźcie tu. Nie będzie mnie tylko przez jakieś pięć minut. Dobra?

– Dobra... – zgodziła się dziewczynka.

Alan zamknął drzwi i w restauracji zapanowała ciemność.

– Zapal światło. – Lex ścisnęła rękę brata.

– Nie mogę, nie ma prądu – odpowiedział Tim, zakładając gogle noktowizyjne.

– Ty masz gogle, a ja?

– Trzymaj mnie za rękę. Poszukamy jedzenia – odrzekł Tim i ruszył z Lex za bar. Widział teraz na zielono stoliki i krzesła. Kasa świeciła jaśniejszą zielenią, i stojak z batonami też było widać. Tim wziął kilka batonów.

– Ja nie chcę batona – poskarżyła się Lex – tylko lody. Przecież ci mówiłam.

I tak je weź.

– No dobrze, dobrze – burknęła.

Tim włożył do kieszeni kilka batonów i ruszyli dalej. Lex pociągnęła go za rękaw.

– Nic nie widzę!

– Prowadzę cię. Po prostu się mnie trzymaj.

– To idź wolniej!

Tim popatrzył na podwójne metalowe drzwi z okrągłymi okienkami. Za nimi musi być kuchnia. Pchnął drzwi i sprężyna otworzyła je szeroko.

* * *

Ellie wyszła z hotelu i owiała ją zimna mgła. Serce tłukło jej się w piersi, mimo że wiedziała, iż w obrębie ogrodzenia pozostaje bezpieczna. Jego pręty przeświecały przez mgłę.

Nie było widać zbyt dużo. Widoczność sięgała może dwudziestu metrów, dalej było mleko. W polu widzenia Ellie nie było żadnego welociraptora. W ogrodzie i lesie panowała niezwykła cisza.

– Ej! – krzyknęła Ellie, trochę niepewnie.

– Wątpię, żeby to wystarczyło – odezwał się od drzwi Muldoon, opierając się o framugę. – Trzeba narobić porządnego hałasu. – Przykuśtykał, podpierając się wykręconym z czegoś prętem, po czym zaczął uderzać nim w pręty ogrodzenia, jak kucharz, który bije w patelnię, żeby zawołać wszystkich na posiłek. – Chodźcie! Obiad na stole! – zawołał.

– Bardzo zabawne – mruknęła Ellie. Zerknęła nerwowo w stronę dachu. Welociraptorów nie było widać.

– Nie znają angielskiego, ale chyba rozumieją, o czym mówię – odparł Robert, szczerząc zęby.

Ellie była przerażona i dobry humor Roberta ją denerwował. Popatrzyła w stronę budynku recepcji, był zasnuty mgłą. Muldoon znowu zaczął uderzać prętem w płot. Wtedy Ellie dostrzegła we mgle jakiś cień. To był welociraptor.

– Pierwszy klient! – ogłosił Muldoon.

Welociraptor zniknął, lecz po chwili znowu się pojawił, ale nie podchodził bliżej. Wydawał się dziwnie niezainteresowany dobiegającym od strony ogrodzenia hałasem. Ellie zaczęła się martwić. Jeśli nie zdołają zwabić welociraptorów w sąsiedztwo hotelu, Alan znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Za bardzo hałasujesz – powiedziała w końcu.

– Nie marudź – burknął Robert.

– Mówię poważnie.

– Znam te zwierzęta.

– Jesteś pijany – ucięła Ellie. – Pozwól, że jednak ja się tym zajmę.

– Ciekawe jak.

Ellie nie odpowiadała, tylko ruszyła w stronę bramy.

– Podobno welociraptory są bardzo inteligentne? – upewniła się.

– Wyjątkowo. Co najmniej tak jak szympansy.

– Mają dobry słuch?

– Znakomity.

– To może skojarzą ten odgłos. – Ellie otworzyła bramę. Przerdzewiałe od wilgoci zawiasy zaskrzypiały głośno. Ellie zamknęła bramę i uchyliła ją znowu, żeby skrzypienie się powtórzyło. Nie zamykała.

– Ja bym zamknął bramę – ostrzegł Robert. – Jeśli koniecznie chcesz, żeby była otwarta, poczekaj, aż przyniosę wyrzutnię rakiet.

– To przynieś.

– Rakiety ma Donald Gennaro – z westchnieniem przypomniał sobie Robert.

– W takim razie patrz uważnie. – Ellie wyszła za ogrodzenie. Serce biło jej tak mocno, że ledwo czuła żwir pod stopami. Oddalała się od płotu. Przerazająco szybko zniknął we mgle.

– Dziewczyno, do cholery, nie rób tego! – krzyknął za nią Muldoon w pijackim podnieceniu. Dokładnie tego oczekiwała.

– Nie nazywaj mnie dziewczyną! – odkrzyknęła.

– Będę cię nazywał, jak chcę!

Ellie nie słuchała go, tylko rozglądała się uważnie, w ogromnym napięciu. Znajdowała się przynajmniej dwadzieścia metrów od płotu. Widziała, jak mgła przesuwana się między liśćmi. Kolory jakby wyblakły. Ellie była tak napięta, że aż rozboleły ją mięśnie łydek i ramion. Wyteżała wzrok.

– Słyszysz mnie, do diabła?! – wrzeszczał Muldoon.

Jak szybkie i bystre są welociraptory? – zastanawiała się. Czy zdążą odciąć mi drogę ucieczki? Nie jestem tak daleko od płotu...

Zaatakowały! Bezgłośnie...

Pierwszy z drapieżników wybiegł z zarośli pod drzewem, z lewej. Ellie rzuciła się do ucieczki. Kątem oka zobaczyła, że drugi atakuje ją z przeciwnej strony, wystawiając szpony, najwyraźniej z zamiarem złapania jej. Ellie pędziła jak sprinterka, tymczasem bliższy z welociraptorów się przewrócił. Nie oglądała się na niego, tylko jak najszybciej poruszała nogami. Widziała już pręty płotu i Muldoona, który otworzył szeroko bramę i wyciągał ręce, krzycząc coś. Złapał Ellie za ramię i pociągnął z taką siłą, że runęła na ziemię. Odwróciła się i zobaczyła welociraptora uderzającego w ogrodzenie, a zaraz potem drugiego i jeszcze trzeciego.

– Dobra robota! – pochwalił Robert. Drażnił welociraptory, naśladując ich warczenie, co doprowadzało je do szału. Rzucały się na płot, skakały, jeden rozpędził się tak, że niewiele brakowało, a wskoczyłby do środka. – Chryste, ależ one potrafią skakać! Niewiele skurwysynowi brakowało.

Ellie podniosła się, zerknęła na zadrapania na swoim ciele – po jej nodze ciekła strużka krwi. Jednak przede wszystkim liczyła w myśli welociraptory: trzy tutaj i dwa na dachu to pięć.

A więc gdzieś podziwia się jeszcze jeden.

– Pomóż mi, żeby się nie znudziły! – ponaglił ją Muldoon. – Musimy utrzymać ich zainteresowanie.

* * *

Alan wyszedł z głównego budynku ośrodka i pobiegł przez mgłę. Zobaczył wśród palm ścieżkę i skierował się nią na północ. Po chwili z mgły wyłoniła się elektrownia.

Nie widział żadnych drzwi. Obszedł róg budynku i zobaczył przysłoniętą roślinami rampę dla ciężarówek. Zbliżył się. Rampa kończyła się stalowymi, podnoszonymi wrotami. Były

zamknięte. Zeskoczył więc z rampy i biegł dalej. Wreszcie odnalazł zwykłe drzwi. Były uchylone i zastawione męskim butem.

Wszedł do budynku i wyteżył wzrok – w środku było ciemno. Zaczął nasłuchiwać, ale niczego nie usłyszał. Włączył więc krótkofalówkę.

– Tu Alan Grant, jestem w elektrowni – zameldował.

* * *

Henry patrzył w wybity świetlik. Wciąż stały nad nim dwa welociraptory, ale zainteresował je hałas, który robili Robert i młoda doktor Sattler. Podszedł do okna. Trzy drapieżniki ciągle próbowały atakować płot. Ellie Sattler biegła tam i z powrotem po właściwej stronie ogrodzenia, bezpieczna. Welociraptory chyba nie były już jednak takie wściekle. Sprawiały wrażenie, jakby się z nią bawiły. Odbiegały od płotu, warczały, zniżały łby, dreptały przez chwilę, a potem rozpędzały się i skakały na ogrodzenie. Chyba się popisywały, choć pewnie miałyby ochotę dopaść ofiarę.

– Jak ptaki – skomentował Robert. – Stroszą piórka.

– To inteligentne zwierzęta – zgodził się Henry. – Widzą, że nie mogą zrobić jej krzywdy.

– ...rowni – odezwał się głos z krótkofalówki.

– Słucham? – Henry wziął radiotelefon ze stołu. – Profesor Grant?

– Jestem w elektrowni – powtórzył Grant. – Mów mi Alan.

– Dobrze, Alanie. Jeśli stoisz przy drzwiach we wschodniej ścianie budynku, masz przed sobą mnóstwo rur. – Henry zamknął oczy, żeby wyobrazić sobie wnętrze elektrowni. – Na wprost jest duża klatka schodowa, na środku pomieszczenia. Schody idą dwa piętra w dół. Po lewej jest metalowy pomost z barierką.

– Widzę.

– Idź pomostem.

– Idę. – W krótkofalówce rozległ się cichy odgłos stąpania po metalowej kracie.

– Po niecałych dziesięciu metrach jest drugi pomost odchodzący w prawo.

– Jest.

– Skręć w niego.

– Już.

– Dojdiesz teraz do drabinki, będzie po lewej. Prowadzi w dół.

– Jest drabinka.

– Zejdź po niej.

Cisza. Henry przesunął dłonią po wilgotnych włosach. Robert wykrzywił w napięciu twarz.

– Dobrze, jestem na dole – zameldował Alan.

– Świetnie. To teraz powinienesz widzieć przed sobą dwa duże żółte zbiorniki z napisami ŁATWOPALNE.

– Są. Pod spodem jest coś napisane... To po hiszpańsku.

– Tak, to te zbiorniki. Jest w nich paliwo do generatora. Jeden zbiornik został opróżniony i trzeba przełączyć generator na drugi. Ze zbiorników, od dom, wychodzi taka biała rura.

– Z PCW, cztery cale?

– Tak. Idź wzdłuż rury.

– Idę... Ach!

– Co się stało?

– Nic, uderzyłem się w głowę. – Cisza.

– Hej, wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu... uderzyłem się w głowę. Jak głupek.

– Idź dalej wzdłuż rury.

– Dobrze, dobrze. – Alan chyba trochę się zirytował. – Rura kończy się dużą aluminiową maszyną z otworami do zasysania powietrza i napisem HONDA. Wygląda na generator.

– To jest generator – potwierdził Henry. – Podejdź do niego z boku, zobaczysz małą tablicę z dwoma przyciskami.

– Są, czerwony i żółty.

– Zgadza się. Najpierw naciśnij żółty i nie puszczając go, wciśnij czerwony.

– Dobrze...

Cisza się przedłużała. Kiedy minęła prawie minuta, Henry i Robert spojrzeli po sobie.

– Alan? – odezwał się wreszcie Henry.

– Nie działa – powiadomił Grant.

– A trzymałeś żółty przycisk i jednocześnie wciśnąłeś czerwony?

– Tak! – Alan był zdenerwowany. – Zrobiłem dokładnie to, co powiedziałaś. Zaszumiało, zaczęło jakby szybko pstrykać, a potem jedno i drugie ucichło.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Już próbowałem. Nie działa.

– Chwileczkę. – Henry ściągnął brwi. – Wygląda na to, że urządzenie rozruchowe jest sprawne, tylko generator z jakiegoś powodu nie może się rozkręcić... Alanie?

– No jestem.

– Przejdź na koniec generatora, do miejsca, gdzie wchodzi do niego ta plastikowa rura.

– W porządku... Jestem. Rura wchodzi do takiego czarnego cylindra, wygląda na pompę paliwa.

– To jest pompa paliwa – potwierdził Henry. – Poszukaj na niej małego zaworu, u góry.

– Zaworu?

– Wystaje u góry, jakby metalowy kranik.

– Kranik jest, tylko z boku, nie u góry.

– Może być z boku. Przekręć go.

– Uchodzi powietrze.

– Dobrze, odczekaj, aż...

– ...a teraz wypływa ciecz i śmierdzi jak gaz.

– Zamknij zawór. – Henry popatrzył na Roberta i pokręcił głową. – W pompie nie było paliwa. Alanie?

– Tak?

– Spróbuj teraz powtórzyć akcję z przyciskami.

Chwilę później w krótkofalówce rozległy się stłumione odgłosy uruchamiającego się generatora. Nabral obrotów i zaczął równo pracować.

– Chodzi – zameldował Alan.

– Dobra robota, stary! Spisałeś się na medal!

– I co dalej? – spytał Alan bez cienia radości. – Nawet tutaj nie zapaliło się światło.

– Wróć do głównego budynku, idź do sterowni. Uruchomisz po kolei wszystkie systemy, poprowadzę cię przez radio.

– Teraz mam to zrobić?

– Tak.

– Dobra. Odezwę się, kiedy będę na miejscu.

Zapadła cisza.

– Alanie?

Alan musiał chyba wyłączyć krótkofalówkę.

* * *

Tim otworzył metalowe drzwi i wszedł do kuchni. Na środku pomieszczenia był duży metalowy stół, po lewej ogromna kuchenka z mnóstwem palników i jeszcze lodówki, do których można było wejść. Zaczął je otwierać i szukać lodów. Z lodówek leciała para. Powietrze było bardzo wilgotne.

– Dlaczego kuchenka się pali? – zdumiała się Lex, puszcżając rękę Tima.

– Nie pali się.

– Ale są takie malutkie niebieskie płomyki...

– To są płomyki do zapalania palników.

– Jak to? – W ich domu kuchenka była elektryczna.

– Nieważne. – Tim otworzył następną lodówkę. – Ale to dobrze, bo to znaczy, że jest gaz i mogę ci coś ugotować. – W tej lodówce było mnóstwo rzeczy – kartony mleka, całe stopy warzyw, steki, ryby... Ale lodów nie było. – Nadal chcesz lody?

– Przecież mówię i mówię.

Kolejna lodówka była wyjątkowo olbrzymia. Z błyszczącej stali i miała grubą poziomą dźwignię. Tim otworzył drzwi i zobaczył, że to właściwie cały pokój, do którego można wejść. W środku było okropnie zimno.

– Timmy...

– Zaczekaj chwilę, przecież szukam ci lodów! – odpowiedział Tim zdenerwowany.

– Timmy, tu coś jest.

Lex szeptała i dopiero po chwili Tim zrozumiał, o co jej chodzi. Wybiegł z chłodni i zobaczył Lex. Stała koło metalowego stołu i patrzyła na drzwi kuchni.

Nagle usłyszał cichy syk, jakby bardzo dużego węża. Syk zrobił się głośniejszy, a potem ścichł. Ledwo go było słychać. A może to wiatr? Tim wiedział jednak, że to nie wiatr.

– Timmy, ja się boję...

Tim podszedł powolutku do drzwi kuchni i spojrzał przez okienko.

Przez gogle noktowizyjne zobaczył ustawione zielone stoliki – i welociraptora chodzącego miękko i cicho pomiędzy nimi. Słychać było tylko jego oddech.

* * *

Alan wymacał sobie drogę wśród rur, kierując się z powrotem do drabinki. Nie dość, że było ciemno, to generator hałasował, przez co jeszcze trudniej było mu się orientować, gdzie jest. Dotarł wreszcie do drabinki i ruszył po stopniach. Nagle zdał sobie sprawę, że oprócz łoskotu generatora słyszy coś jeszcze.

Przystanął i wytężył słuch.

To był krzyk mężczyzny. Głos należał chyba do Donalda Gennaro.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął Alan.

– Tu! – Tak, to Donald. – W ciężarówce!

Alan nie widział żadnej ciężarówki. Zmrużył oczy, wytężając wzrok. Widział jakieś zielone, lekko połyskujące kształty poruszające się w ciemności. Zobaczył też ciężarówkę. Ruszył w jej stronę.

* * *

Cisza była bardzo niepokojąca.

Welociraptor był wzrostu dorosłego mężczyzny i bardzo mocno zbudowany. Jego niesamowicie umięśnione nogi i ogon raz po raz chowały się za stołami. Ale górną część tułowia też miał umięśnioną. Przyciskał swoje dinozaurze ręce do boków, szpony zwisały w dół. Na grzbiecie welociraptora opalizował wzór z cętek. Drapieżnik był wyraźnie pobudzony, rozglądał się, ruszając gwałtownie głową, jak ptak. Kiedy szedł, jego łeb przesuwiał się w przód i w tył, a ogon unosił się i opadał. Welociraptor naprawdę był podobny do ptaka.

Ogromny i cichy drapieżny ptak!

W sali restauracyjnej było przecież ciemno, a mimo to dinozaur nie wpadał na stoły – musiał mieć dobry wzrok. Od czasu do czasu przystawał, pochylał łeb i węszył, a potem szybkim ruchem znowu podnosił łeb.

Tim patrzył jeszcze chwilę – welociraptor szedł w stronę kuchni. Może wyczuwał zapach Tima i Lex? We wszystkich książkach było napisane, że dinozaury miały słaby węch – ale ten ma chyba całkiem dobry. A poza tym, co mogli wiedzieć autorzy książek? To jest prawdziwy dinozaur.

Który zbliżał się do Tima.

Tim cofnął się parę kroków.

– I co, jest tam coś? – szepnęła Lex.

Tim nie odpowiadał, tylko wepchnął siostrę pod stół stojący w rogu, za wielkim koszem na śmieci. Nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Nie ruszaj się stąd! – A potem pobiegł do lodówki.

Złapał kilka zimnych steków i skoczył do drzwi kuchni. Cicho położył na podłodze pierwszy stek, cofnął się parę kroków, położył drugi...

Widział przez gogle, że Lex wygląda zza kosza. Zamachał do niej, żeby schowała głowę. Położył na podłodze jeszcze dwa steki, posuwając się w głąb pomieszczenia.

Syczący oddech welociraptora stał się głośniejszy, a potem na drzwiach pojawiła się szponiasta łapa i do kuchni zajrzała duża głowa, rozglądając się ostrożnie. Welociraptor przystanął.

Tim kucał akurat w drugim końcu kuchni, koło nogi stalowego stołu. Nie zdążył się schować – jego głowa i ramiona wystawały ponad stół. Welociraptor może go zobaczyć!

Tim powoli zaczął zniżać się pod stół... i wtedy drapieżnik znowu szarpnął łbem i popatrzył prosto na Tima!

Chłopiec zamarł. Nie schował się jeszcze do końca, ale pomyślał, że lepiej będzie się nie ruszać.

Groźne zwierzę ciągle stało bez ruchu w drzwiach.

Węszyło.

Tu jest ciemniej i on kiepsko widzi, myślał Tim. Woli być ostrożny.

Doleciał do niego jakby zgniły zapach gada. Welociraptor ziewnął, ukazując rzędy ostrych jak brzytwy zębów. Znowu popatrzył prosto przed siebie, po czym spojrzał w prawo i w lewo. Jego duże, wystające oczy poruszały się.

Serce Tima biło bardzo mocno! Duży drapieżnik w kuchni wydawał się straszniejszy niż w lesie. Był wielki, poruszał się z szybkością błyskawicy, śmierdział i miał taki syczący oddech...

Z bliska przerażał o wiele bardziej niż tyranozaur. Tyranozaur był gigantyczny i miał wielką siłę, ale nie sprawiał wrażenia zbyt inteligentnego. Welociraptor natomiast przypominał rozmiarami człowieka, a jego wygląd i ruchy zdradzały dużą inteligencję i szybkość. Miał oczy mordercy... Tim bał się oczu welociraptora prawie tak samo jak jego zębów.

Dinozaur zaczął węszyć. Wszedł do kuchni, ruszając w stronę Lex. Musiał jakoś ją wywachać! Serce Tima zabiło gwałtownie.

Welociraptor przystanął i powoli pochylił łeb. Znalazł stek!

Tim chciał się schylić i przyjrzeć się zwierzęciu spod stołu, ale bał się ruszyć. Kucał w niewygodnej pozycji, słysząc chrupanie kości. To był stek z kością, ale welociraptor zjadł cały...

Ptasia głowa uniosła się szybko i rozejrzała. Zwierzę znowu węszyło. Zobaczyło drugi stek i natychmiast do niego podeszło. Pochyliło się... Cisza. Velociraptor nie zjadł steku.

Unióś głowę. Tim już nie czuł nóg, ale przecież nie mógł się ruszyć. Dlaczego on nie zjadł steku? – zastanawiał się. Może nie smakuje mu wołowina albo steki są za zimne? A może dlatego, że się nie ruszają, tylko są padliną? Pewnie velociraptor zrozumiał, że to pułapka, albo wywachał Lex, albo mnie, albo mnie zobaczył...

Dinozaur szybkim ruchem podszedł do trzeciego steku, pochylił łeb, podniósł go i ruszył dalej.

Tim wstrzymał oddech, bo potwór był teraz może półtora metra od niego! Widać było, jak drgają mięśnie na boku zwierzęcia. Na szponach velociraptora była zaschnięta krew. Cętki na jego grzbiecie układały się w prążki, miał pomarszczoną szyję...

Znowu węszył. Przekrzywił łeb i spojrzał prosto na Tima. Chłopiec był tak przerażony, że o mało nie jęknął. Napiął się cały i patrzył, a tymczasem oko gada poruszało się, oglądając kuchnię. Rozległo się kolejne pociągnięcie nosem.

No to klops, pomyślał Tim.

Velociraptor znowu popatrzył przed siebie i podszedł do piątego steku. Lex, tylko się nie ruszaj, proszę cię, nie ruszaj się, Lex!

Drapieżnik powąchał stek i poszedł dalej – znalazł się naprzeciwko otwartej chłodni, z której wylatywała para, snując się koło nóg potwora. Velociraptor podniósł nogę, po czym postawił ją cicho. Nie wie, co zrobić. Boi się zimna. Nie wejdzie, bo tam jest za zimno! – zmartwił się Tim.

Dinozaur jednak wszedł do lodówki. Powoli – najpierw znikł jego łeb, potem tułów, a na końcu ogon.

Tim skoczył i wpadł z całej siły na drzwi chłodni, żeby jak najszybciej się zatrzasnęły! O kurczę, przycięłem mu koniec ogona, nie zamknę drzwi! – przeraził się. Velociraptor ryknął tak głośno, że Tim odskoczył, ale ogona już nie było widać. Tim zatrzasnął szybko drzwi i usłyszał szcęk metalu. Udało się!

– Lex, Lex! – krzyknął. Dinozaur zaczął tłuc od środka w drzwi, aż huczało. W środku też jest klamka, i jeśli velociraptor w nią walnie, drzwi się otworzą! Trzeba zamknąć je porządnie.

– Lex!

– Czego chcesz?! – Lex podbiegła do Tima.

Tim z całej siły podnosił klamkę.

– Tu jest zawlecza, taka mała! – krzyknął. – Włóż ją!

Dinozaur ryczał jak lew, jednak jego ryk był teraz stłumiony, bo dochodził ze środka lodówki. Wpadł chyba całym impetem na drzwi!

– Nic nie widzę! – poskarżyła się Lex.

Zawlecza dyndała pod klamką na łańcuszku.

– Tu jest!

– Ale ja nie widzę! – Dopiero teraz Timowi przypomniało się, że przecież siostra nie ma gogli.

– Wymacaj ją!

Mała rączka Lex uniosła się i złapała jego rękę, szukając zawlecзки. Dopiero kiedy Lex znalazła się blisko Tima, widział, jak bardzo się boi. Sapała ze strachu, a tymczasem welociraptor rozpedził się i wpadł na drzwi po raz drugi, aż się otworzyły. O Boże! – jednak chyba tego się nie spodziewał, bo już zrobił kilka kroków w tył, żeby skoczyć trzeci raz i Tim zdążył zatrzęsnać drzwi.

– Jest! – krzyknęła Lex. Trzymała zawleczkę i przelożyła ją przez dziurkę. Zawlecзка wypadła.

– Włóż ją od góry, trzeba włożyć ją od góry!

Lex znowu chwyciła zawleczkę, obróciła ją w górę i włożyła do dziurki od góry.

Zamknięty!

Welociraptor ryknął. Tim i Lex odeszli od drzwi chłodni, a wtedy dinozaur znów się na nie rzucił. Potężne zawiasy zaskrzypiały, ale nic się nie stało. Niemożliwe, żeby dinozaur otworzył te drzwi, myślał Tim. Zamknęliśmy go w lodówce! Westchnął z ulgą.

– Chodźmy stąd – powiedział do siostry, złapał ją za rękę i wybiegli z kuchni.

* * *

– Żebyś ty je widział! – opowiadał z ożywieniem Donald Gennaro, podczas gdy Alan prowadził go do wyjścia z elektrowni. – Było ich chyba ze dwadzieścia parę! Tych prokopsognatów. Musiałem schować się przed nimi do ciężarówki. Oblazły całą szybę! Siedziały i czekały, jak jakieś sępy! Ale gdy przyszedłeś, uciekły.

– Bo to są zwierzęta padlinożerne – wyjaśnił Alan. – Nie zaatakują niczego, co się rusza, a już na pewno żadnego zwierzęcia, które wydaje im się silne. Żywią się tylko padliną, ewentualnie zwierzętami, które już umierają, a przynajmniej nie ruszają się.

Wchodzili po drabince.

– Co się stało z tym welociraptorem, który cię atakował? – chciał wiedzieć Alan.

– Nie wiem.

– Ale czy wyszedł z budynku?

– Nie widziałem. Udało mi się uciec, bo był ranny. Pewnie Robert postrzelił go w nogę. Krew ciekła welociraptorowi z nogi. No, ale potem... Nie wiem. Może wyszedł? A może zdechł gdzieś tutaj. Naprawdę nie widziałem.

– A może czai się tu żywy.

* * *

Henry obserwował przez okno szalejące za płotem welociraptory. Wydawało się, że wesoło bawią się z Ellie w kotka i myszkę. Trwało to już bardzo długo, zbyt długo.

Henry'emu przyszło do głowy, że może zwierzęta starają się odwracać uwagę Ellie, tak jak ona odwracała ich uwagę?

Henry nie studiował nigdy zachowań dinozaurów. Po co? Dla niego zachowanie było tylko funkcją określonego kodu genetycznego, tak samo jak synteza białek. Poza tym zachowania nie da się dokładnie przewidzieć ani kontrolować, no, chyba że za pomocą brutalnej ingerencji, takiej jak wprowadzona przez niego zależność od pewnego składnika zawartego w pożywieniu, wynikająca z zablokowania syntezy ważnego dla życia enzymu. Jednak nie można przecież popatrzyć na cząsteczkę DNA i przewidzieć zachowania zwierzęcia. To niemożliwe.

Dlatego praca Henry'ego miała czysto empiryczny charakter. Majstrował przy DNA i patrzył, co z niego wyrastało. Był trochę jak mechanik precyzyjny, który stara się naprawić zabytkowy zegar odziedziczony po dziadku. W jednym i w drugim przypadku człowiek zajmuje się czymś, co pochodzi z przeszłości, składa się z innych niż dzisiejsze materiałów i funkcjonuje według niespotykanych obecnie zasad. Nie można być do końca pewnym, dlaczego coś działa dokładnie tak, a nie inaczej, a poza tym było już wielokrotnie reperowane i modyfikowane – w przypadku dinozaurów przez prawa ewolucji, działające przez miliony lat. Mechanik poprawia coś w starym zegarze i patrzy, czy w wyniku tego zegar chodzi choć trochę lepiej. A Henry majstrował przy DNA dinozaurów, a później dowiadywał się, czy w wyniku jego ingerencji zwierzęta zachowują się znośniej, czy nie. Próbował poprawiać ich zachowanie tylko w przypadkach nastroczających największych trudności, jak wpadanie przez zwierzęta na płoty pod napięciem albo ocieranie się o drzewa aż do zdarcia skóry. Kiedy okazywało się, że dinozaury robią coś takiego, siadał do deski kreślarskiej, czyli komputera.

Dyscyplina nauki, którą uprawiał Henry, miała ograniczone możliwości, i to sprawiało, że żyjące w Parku Jurajskim zwierzęta w dużym stopniu pozostawały dla niego tajemnicą. Wcale nie był pewny, czy ich zachowanie jest takie, jakie było w przypadku ich oryginalnych, żyjących w przeszłości wersji. Nie było możliwe uzyskanie dokładnej odpowiedzi na to pytanie.

Henry nie chciał tego przyznać, ale w gruncie rzeczy odkrycie, że dinozaury w parku się rozmnażają, opromieniło jego dzieło nowym blaskiem. Bo przecież zwierzę, które potrafi się rozmnażać, w fundamentalnym stopniu funkcjonuje sprawnie. Stanowi dowód, że Henry prawidłowo poskładał ze sobą poszczególne kawałki układanki. Odtworzył zwierzęta sprzed wielu milionów lat, i to z taką precyzją, że są zdolne do reprodukcji!

Niezależnie od tego niepokoiła go przedłużająca się gra prowadzona przez welociraptory za płotem. To bardzo inteligentne zwierzęta, a inteligentne istoty szybko się nudzą. Są też zdolne do planowania i...

- Gdzie jest Ellie? – spytał Harding, wychodząc z pokoju profesora Malcolma.
- Ciągłe na dworze.
- To niech lepiej wróci. Welociraptory odeszły od świetlika.

– Kiedy?

– Przed chwilą.

Henry otworzył drzwi budynku.

– Ellie, wracaj, szybko! – krzyknął.

Ellie popatrzyła na niego zdziwiona.

– Spokojnie, wszystko jest pod kontrolą.

– Natychmiast!

Pokręciła głową.

– Wiem, co robię – zapewniła.

– Wracaj tu, do licha, już!

Robertowi nie podobało się, że Henry stoi w drzwiach i trzyma je tak, że pozostają otwarte. Robert chciał krzyknąć, żeby tego nie robił, ale zanim to zrobił, kątem oka zobaczył spadający z góry kształt. Henry poleciał na trawę, rozległ się krzyk Ellie... Robert skoczył do drzwi. Henry leżał na plecach i... jego brzuch był już rozcięty, a welociraptor wyszarpywał mu paszczą wnętrzności, mimo że Henry jeszcze żył i wyciągał słabnące ręce z zamiarem odepchnięcia wielkiego groźnego łba! Drapieżnik zjadał Henry'ego żywcem. Ellie przestała krzyczeć i zaczęła biec wzdłuż płotu. Przerażony Robert zatrzasnął drzwi. Kręciło mu się trochę w głowie. Atak był tak niespodziewany i błyskawiczny!

– Czy on zeskoczył z dachu? – To był Harding.

Robert skinął głową. Wyrzwał przez okno i zobaczył, że trzy welociraptory znajdujące się za płotem odbiegają. Jakoś nie chciało im się ścigać Ellie. Biegły w stronę głównego budynku ośrodka.

* * *

Alan przystanął przy rogu budynku elektrowni i wytężył wzrok, próbując zobaczyć, mimo mgły, co się dzieje. Słychać było warczenie welociraptorów, najwyraźniej się zbliżały. Zobaczył ich sylwetki – przebiegały w pewnej odległości, mijając Alana i Donalda. Kierowały się do centrali ośrodka.

Alan spojrzał na Donalda, a ten pokręcił energicznie głową.

Alan nachylił się więc i szepnął mu do ucha:

– Nie mamy wyboru. Musimy uruchomić system.

I odważnie ruszył przed siebie.

Minęła sekunda. Donald poszedł za Alanem.

* * *

Ellie nie traciła czasu na zastanawianie się. Kiedy welociraptory skoczyły z dachu prosto na Henry'ego Wu, obróciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki w stronę przeciwnego krańca budynku. Przestrzeń między ogrodzeniem a ścianą miała może z pięć metrów szerokości. Ellie nie słyszała ścigających ją welociraptorów, a jedynie własny oddech. Skręciła za róg,

złapała się gałęzi i zaczęła się podciągać. Z czymś w rodzaju dziwnej euforii patrzyła, jak jej nogi unoszą się powyżej jej twarzy... a potem zahaczyła nimi o wyższą gałąź i wciągnęła się szybko, napinając mięśnie brzucha.

Znajdowała się teraz trzy i pół metra nad ziemią. Welociraptorów wciąż nie było widać. Ellie chciała odetchnąć z ulgą, lecz wtedy pod drzewem znalazł się pierwszy stwór. Miał zakrwawioną paszczę, coś z niej zwisało; chyba wnętrzności. Ellie wspinała się szybko po drzewie. Po paru sekundach była na wysokości dachu hotelu. Spojrzała w dół.

Na drzewo wspinały się dwa welociraptory!

Zobaczyła żwir, którym posypany był dach, i sterczące we mgle piramidy świetlików. Krawędź dachu była tylko trochę ponad metr od niej... A na dachu znajdowały się drzwi. Ellie skoczyła i wylądowała na żwirze. Podrapała sobie przy tym twarz, a mimo to wciąż czuła tylko nietypową euforię, jakby grała w jakąś grę, którą zamierzała wygrać. Pobiegła do drzwi, słysząc trzęsące się gwałtownie liście – welociraptory muszą jeszcze być na drzewie. Złapała za klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Z powodu euforii Ellie dopiero po chwili zrozumiała, co to oznacza. Zamknięte drzwi. Jestem na dachu... Nie mogę z niego zejść. Drzwi są zamknięte!

Sfrustrowana uderzyła pięścią w drzwi, po czym pobiegła przez dach w nadziei, że zobaczy jakieś inne wejście do budynku... Zobaczyła jednak tylko przeświecający zielonkawo przez mgłę basen i pas betonu wokół niego szeroki na trzy, trzy i pół metra. Nie doskoczę, oceniła. Nie widziała żadnych innych drzew rosnących blisko dachu, żadnych schodów, klapy, żadnej drogi ucieczki!

Odwróciła się i zobaczyła, że welociraptory bez większego wysiłku przeskakują z drzewa na dach! Pobiegła na przeciwny koniec budynku. Tam też nie było żadnych drzwi.

Welociraptory zaczęły podchodzić do niej cicho i powoli, rozstawiając się między szklanymi piramidami. Popatrzyła w dół, na basen. Ponad trzymetrowy pas betonu... Nie doskoczę.

Ellie spojrzała na dwa dinozaury. W jej głowie kołatały się myśli: czy zawsze tak jest? Że jakiś z pozoru drobny błąd powoduje katastrofę? Wciąż czuła podniecenie, lekko kręciło jej się w głowie, jakby nie dowierzała, że welociraptory za moment naprawdę ją dopadną i na tym zakończy się jej życie. Wydawało się to nieprawdopodobne. Nagle zrobiło jej się wesoło. Naprawdę nie mogła uwierzyć w to, co się za chwilę wydarzy.

Zwierzęta zawarczały, jedno po drugim. Ellie zaczęła się cofać w stronę krawędzi dachu, a potem nabrała powietrza i rzuciła się do biegu. Widziała zbliżający się skraj dachu i wylaniający się zza niego basen; pomyślała „nie doskoczę”, a potem „co za różnica?”, i skoczyła.

Spadała.

Poczuła całym ciałem silne uderzenie i zimno. Jestem pod wodą! – zrozumiała. Udało mi się doskoczyć! Wypłynęła na powierzchnię i obejrzała się. Z krawędzi dachu spoglądały na nią welociraptory. Wiedziała, że skoro ona zdołała przed chwilą dokonać takiego wyczynu,

welociraptory z łatwością go powtórzą. Czy one potrafią pływać? – zastanawiała się, rozbryzgując wodę. Była pewna, że tak. Przypuszczała, że pływają na podobnej zasadzie jak krokodyle.

Welociraptory odwróciły się od krawędzi dachu...

– Ellie? – usłyszała z oddali głos Hardinga. Musiał otworzyć od środka drzwi prowadzące na dach i welociraptory zawróciły, żeby zaatakować jego!

Najszybciej jak mogła podpłynęła do brzegu, wyszła z basenu i pobiegła w stronę drzwi hotelu.

* * *

Harding wbiegł po schodach na dach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Bez namysłu otworzył drzwi i zawołał:

– Ellie! – Dopiero potem przystanął i rozejrzał się pośród przepływającej pomiędzy szklanymi piramidami mgły. Welociraptorów nie było widać. – Ellie!

Za dużo myślał o młodej doktor. Dopiero po chwili zrozumiał, że popełnił błąd, bo przecież welociraptory powinny znajdować się w jego polu widzenia! Zaraz potem dosięgła go zakończona szponami łapa, wbijając mu się boleśnie w pierś. Ból był rozdzierający, ale Harding zdołał zebrać wszystkie siły i oderwać się od szponów, a potem pociągnąć drzwi i przytrzasnąć zieloną łapą.

– Ellie, jest tutaj! – krzyknął z dołu Robert.

Welociraptor po drugiej stronie drzwi zawarczał. Harding popchnął drzwi i przytrzasnął mu kończynę jeszcze raz. Wtedy szpony się schowały. Zamknął błyskawicznie drzwi. Opadł na podłogę i zaniósł się kaszlem.

* * *

– Dokąd idziemy? – spytała Lex. Tim zaprowadził ją na piętro budynku. Był tam długi korytarz.

– Do sterowni – odpowiedział Tim.

– A gdzie to jest?

– Gdzieś tutaj. – Tim patrzył na tabliczki na drzwiach: DOWÓDCA STRAŻY PARKU, SZEFE OBSŁUGI GOŚCI, DYREKTOR GENERALNY, GŁÓWNY KSIĘGOWY...

Wreszcie doszli do szklanych drzwi z napisem:

ZAKAZ WSTĘPU DLA GOŚCI
WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU

Przy drzwiach był czytnik kart magnetycznych, ale Tim po prostu popchnął drzwi i otworzył.

– Jak je otworzyłeś? – zdumiała się Lex.

- Nie ma prądu – wyjaśnił siostrze.
- A po co idziemy do sterowni?
- Poszukamy radiotelefonu. Musimy się z kimś porozumieć.

Tim pamiętał część korytarza znajdującą się za szklanymi drzwiami. Był tu podczas wycieczki. Lex biegła truchtem obok niego. W pewnej chwili usłyszeli warczenie welociraptorów. Były chyba coraz bliżej. Zaraz potem usłyszał, jak wpadają na szyby parteru.

- One tam są! – jęknęła Lex.
- Nie martw się.
- A co one tam robią?
- Wszystko jedno co, na razie...

NADZÓR ZWIERZĄT... DYREKTOR TECHNICZNY... STEROWNIA.

– To tutaj. – Tim otworzył drzwi. Sterownia wyglądała tak samo jak przedtem. Na środku były główne stanowiska – stały tam cztery fotele, a przed nimi cztery monitory. W sterowni było ciemno, tylko monitory się świeciły, na wszystkich widniał taki sam zestaw kolorowych prostokątów.

- No co? Jest radiotelefon? – spytała Lex.

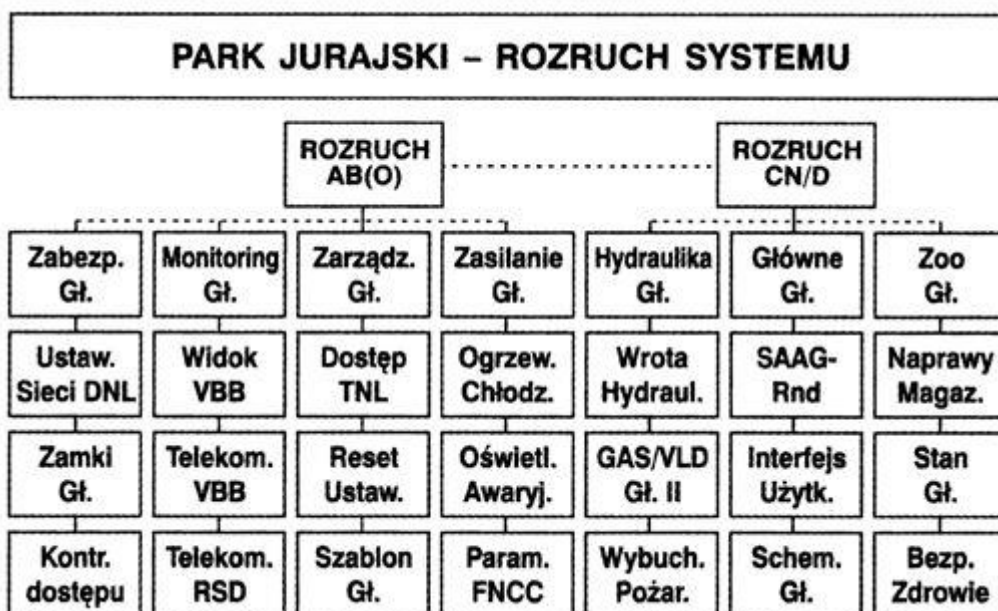
Tim zdążył już zapomnieć o radiotelefonie. Podeszedł do monitorów. Skoro pracują, to znaczy, że...

- Jest prąd!
- Oj! – szepnęła Lex.
- Co znowu?
- Stanęłam na czyimś uchu.

Nawet nie zauważyłem, że leży tu ktoś zabity, pomyślał Tim, odwracając się. Zobaczył na podłodze ludzkie ucho.

- To obrzydliwe – wykrztusiła Lex.
- Nie przejmuj się tym. – Tim znowu skupił się na komputerach.
- A gdzie reszta tego kogoś?
- To naprawdę nie jest teraz ważne.

Tim przyjrzał się uważnie świecącemu się na monitorach schematowi:



– Lepiej niczego nie naciskaj, Timmy – ostrzegła Lex.

– Nie martw się, nie naciskam.

Tim widział już duże komputery, na przykład u taty w pracy. Takie komputery sterowały i pilnowały działania wszystkich urządzeń: wind, zamków, zabezpieczeń, kaloryferów, klimatyzacji. Na tych u taty też wyświetlały się na monitorach schematy, tylko przeważnie to, co było na nich napisane, łatwiej było zrozumieć. Można też było wcisnąć „Pomoc” i dowiedzieć się, o co chodzi, jeżeli się czegoś nie rozumiało. Tu nigdzie nie było widać napisu „Pomoc”. Tim dokładnie to sprawdził.

Zobaczył tylko cyfrowy zegar w lewym górnym rogu ekranu. Była 10:47:22, liczba pokazująca sekundy rosła. Za trzynaście minut statek dopłyne do portu! Tim bardziej jednak bał się teraz o ludzi, którzy byli w hotelu.

Usłyszał zakłócenia, jak w radiu. Odwrócił się i zobaczył, że Lex trzyma krótkofalówkę i kręci gałkami.

– Jak to działa? Chyba coś źle kręcę.

– Daj.

– Moje! Ja znalazłam.

– Lex, daj mi radiotelefon.

– Ja pierwsza!

– Lex!

Nagle z głośnika zawołał głos pana Muldoona:

– Co się tam u was dzieje?!

Lex przestraszyła się i upuściła krótkofalówkę.

* * *

Alan cofnął się i kucnął między drzewami. Zobaczył, że warczące welociraptory skaczą na szklane ściany głównego budynku ośrodka, uderzając w nie łbami. Dziwne – ryczały, ale co jakiś czas przystawały na chwilę i kręciły głowami, jakby słyszały jakieś ciche dźwięki. I wtedy popiskiwały żałośnie.

- Co one robią? – zdziwił się Donald.
- Chyba chcą się dostać do restauracji.
- A co tam takiego ciekawego?
- Zostawiłem tam dzieci.
- Myślisz, że rozbiją te szyby?
- Nie, chyba nie zdołają.

Alan patrzył na zachowanie welociraptorów. W pewnej chwili usłyszał ściszony odgłos radiotelefonu i drapieżniki od razu zaczęły rzucać się z większym podnieceniem. Skakały coraz wyżej i wyżej, aż nagle jeden z nich bez wysiłku złapał się galerii i wskoczył na nią, a potem wszedł z niej do wnętrza budynku, na pierwsze piętro!

* * *

Tim podniósł upuszczony przez siostrę radiotelefon.

- Halo? Halo! – odezwał się.
- Tim, to ty? – upewnił się pan Muldoon.
- Tak.
- Gdzie jesteście?
- W sterowni. Jest prąd!
- To doskonale, Tim!
- Jeżeli ktoś mi powie, jak wszystko włączyć, to usiądę przy komputerze i włączę – powiadomił Tim.

Zapadła cisza.

- Halo? Słyszysz mnie pan?
- Tak. Wiesz... mamy mały kłopot. Nikt n... nikt z nas tutaj nie zna się na systemie komputerowym parku.
- Jak to? Żartuje pan?! Nikt się nie zna?! – Tim nie rozumiał, jak to możliwe.
- Nie. – Muldoon znowu umilkł. – Słuchaj, wydaje mi się, że trzeba wejść w te... ustawienia, to znaczy włączyć ustawienia... Znasz się trochę na komputerach?

Tim popatrzył na ekran. Lex szturchnęła go w ramię.

- Powiedz mu, że nie! – poradziła teatralnym szeptem.
- Trochę się znam. Coś tam wiem...
- To spróbuj – poprosił Muldoon. – Naprawdę nikt z nas tutaj nie wie, jak się włącza system. Profesor Grant też nie zna się na komputerach.
- Rozumiem. Spróbuję. – Tim popatrzył na wyświetlany schemat.
- Tim, przecież nie wiesz, jak to zrobić! – martwiła się Lex.

– Wiem.

– Jak naprawdę wiesz, to włącz – zgodziła się.

– To chwilę potrwa – zapowiedział, przysuwając fotel bliżej stołu. Chciał poruszyć kursorem, ale się nie dało. Zaczął naciskać różne przyciski. Nic. Ekran przez cały czas był taki sam.

– No i co? – niecierpliwiła się Lex.

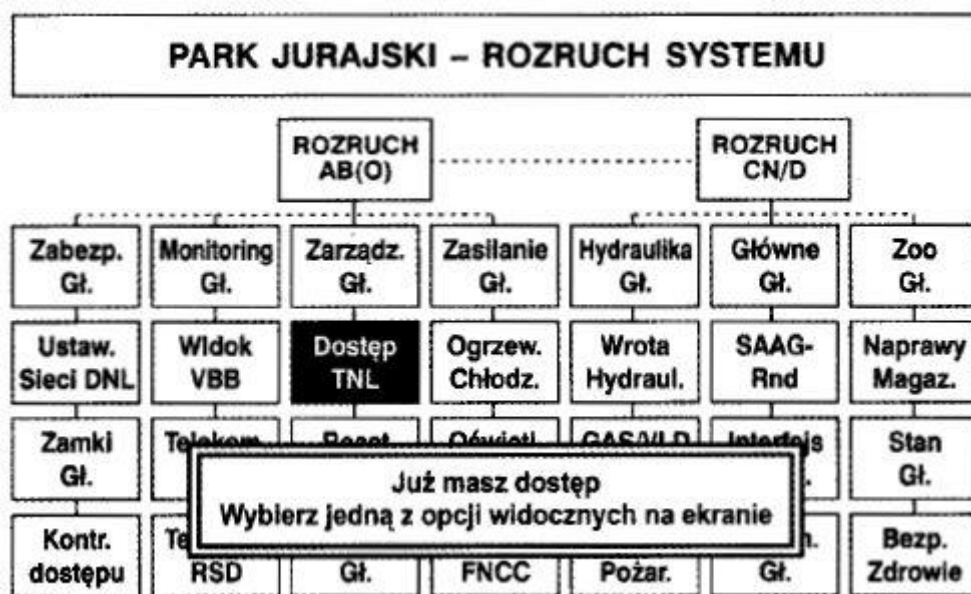
– Coś tu nie działa – zmartwił się Tim, ściągając brwi.

– Nie umiesz włączyć, Timmy.

Tim przyjrzał się uważnie komputerowi. Klawiatura wyglądała normalnie, jak na pececie, monitor był duży i kolorowy, ale zamontowany w czymś... Chłopiec przyjrzał się uważnie i zobaczył, że dookoła ekranu świeci się jakby mnóstwo malutkich i słabiotkich czerwonych światełek...

Co to jest, takie dziwne czerwone światło dookoła ekranu? – zastanawiał się. Wyciągnął palec i zobaczył na nim słaby czerwony blask.

Palec Tima dotknął monitora i wtedy rozległ się pisk, a na ekranie pojawił się taki obraz:



Po chwili ramka z komunikatem znikła i ekran wyglądał tak samo jak przedtem.

– Co to było? – spytała Lex. – Co zrobiłeś? Dotknąłeś czegoś...

Dotknąłem ekranu! Tim zrozumiał, że ma przed sobą ekran dotykowy. Czerwone światło służy pewnie do wykrywania położenia jego palców. Nigdy nie pracował przy takim ekranie, ale czytał o nich w czasopiśmie. Wybrał opcję „Reset Ustaw”.

Tym razem na monitorze wyświetlił się komunikat:

„System został zresetowany. Wybierz jedną z opcji widocznych na ekranie”.

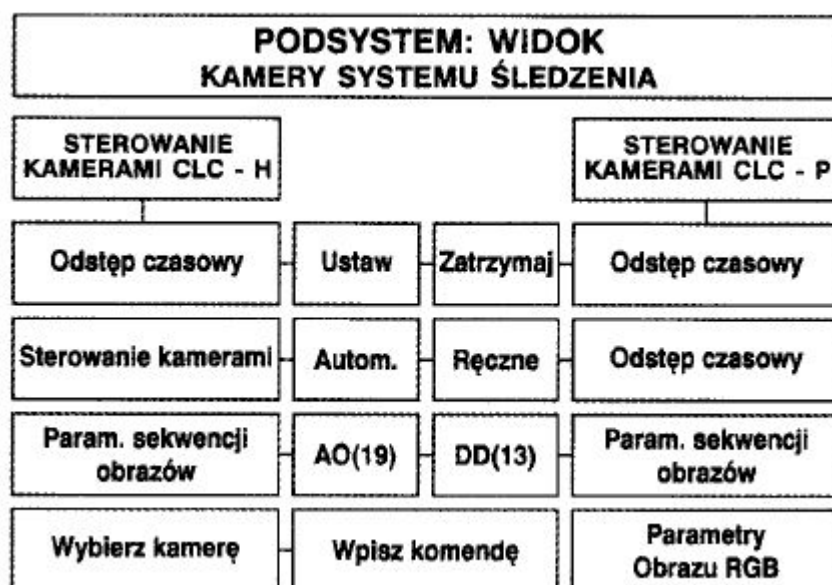
W radiotelefonie zaczęło się odzywać warczenie welociraptorów.

– Ja chcę zobaczyć – oznajmiła Lex. – Powinieneś nacisnąć „Widok”.

– Nie, Lex.

– A ja chcę „Widok”. – Tim nie zdążył złapać siostry za rękę. Nacisnęła „Widok”.

Na ekranie pojawił się zupełnie inny obraz:



– Wielkie mi co – prychnęła Lex.

– Przestajesz?

– Patrz, działa! Ha!

Na monitorach w całej sali ukazały się widoki z kamer w różnych częściach parku. Większość kamer pokazywała głównie zamgloną zielen, ale mignął też obraz hotelu, na którego dachu stał welociraptor, i jeszcze świecące jasno słońce i statek, a właściwie jego dziób.

– Zaraz, co to było? – Tim pochylił się do przodu.

– Co?

– Ten obraz.

Monitor pokazywał już jednak widok z innej kamery. Teraz na ekranie pojawiały się po kolei pokoje hotelowe. W jednym z nich Tim zobaczył leżącego w łóżku profesora Malcolma i...

– Zatrzymaj! Widzę ich – rzuciła Lex.

Tim dotknął ekranu w kilku miejscach. Rozwinęły się różne menu niższych rzędów.

– Czekaj, bo wszystko popsujesz!

– Zamknij się! Co ty wiesz o komputerach?!

Tim patrzył na listę kamer. Było tam między innymi napisane: HOTEL SAFARI: LV2-4, a także POKŁAD STATKU (VND). Wcisnął wybrane przyciski.

Na monitorach obok pojawiły się obrazy – najpierw dziób statku zaopatrzeniowego i wodę przed nim. W tle był ląd – budynki i port. Tim poznał go: Puntarenas. Leciał nad tym portem poprzedniego dnia śmigłowcem. Jeszcze kilka minut i statek wejdzie do portu!

Uwagę Tima przyciągnął inny obraz: dach hotelu owiany szarawą mgłą i welociraptory. Chowały się za piramidami, ale widać było, jak szybko podnoszą i opuszczają głowy.

I jeszcze trzeci widok: pokój, w którym w łóżku leżał profesor Malcolm, a obok stała Ellie. Oboje patrzyli w górę. Do pokoju wszedł akurat pan Muldoon i też popatrzył w górę. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Widzą nas! – stwierdziła Lex.

– Raczej nie...

W głośniku radiotelefonu trzasnęło i widoczny na ekranie pan Muldoon podniósł do ust krótkofalówkę.

– Halo? Tim?

– Jestem – zgłosił się Tim.

– Słuchaj, nie mamy dużo czasu. – Głos pana Muldoona był jakiś dziwny. – Lepiej będzie, jak szybko włączysz napięcie na ogrodzeniach. – Zaraz potem odezwało się w głośniku warczenie welociraptorów, a na ekranie pojawiła się u góry głowa jednego z nich. Chyba wsunął łeb przez wybitą szybę w piramidce! Kłapnął paszczą.

– Ojej, Timmy! – przestraszyła się Lex. – Włącz to napięcie!

WYSOKIE NAPIĘCIE

Tim próbował wrócić do głównego menu, ale zgubił się po drodze. W systemach komputerowych, które znał, była zwykle opcja „Powrót do głównego menu” albo chociaż „Powrót do poprzedniego menu”. Tu niczego takiego nie widział. Nie miał pojęcia, jak wraca się na wyższe poziomy menu w tym systemie. Domyślał się, że jest w nim pomoc, ale nie wiedział, jak się w nią wchodzi. Jakby tego było mało, Lex podskakiwała koło niego i krzyczała mu do ucha! Denerwowała go.

W końcu udało mu się trafić na główne menu. Sam nie wiedział, jaką drogą do niego doszedł, ale doszedł! Zastanowił się, którą opcję powinien teraz wybrać.

– Timmy, zrób coś!

– Zamkniesz się wreszcie? Przecież się staram! – Wybrał „Szablon Gł.". Na ekranie pojawił się bardzo skomplikowany schemat, na którym było mnóstwo prostokątów i strzałek.

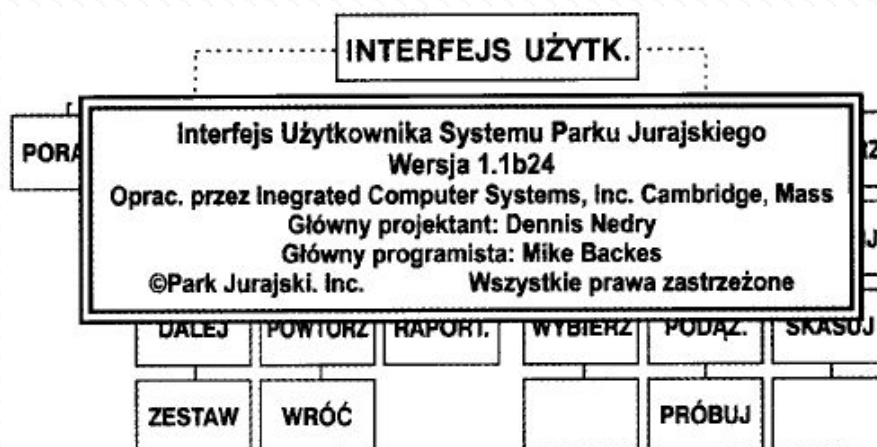
Nie, to nie to. Niedobrze.

Zobaczył opcję: „Interfejs Użytk.". Skorzystał z niej i zobaczył takie menu:

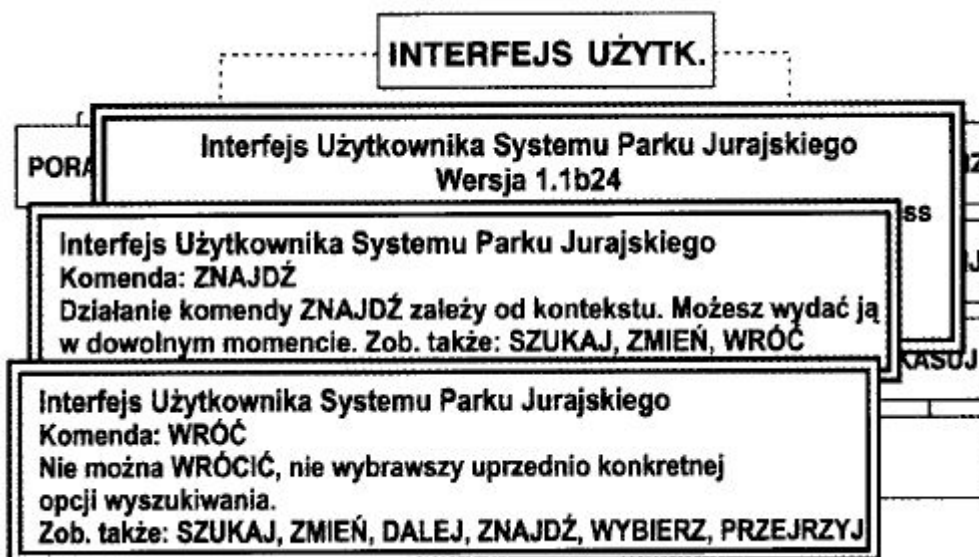


– Co to jest? – chciała wiedzieć Lex. – Dlaczego nie włączasz wysokiego napięcia?

Tim postanowił nie zwracać uwagi na to, co mówi siostra. Może w tym systemie pomoc nazywa się „Info”? – pomyślał. Wybrał „Info”.

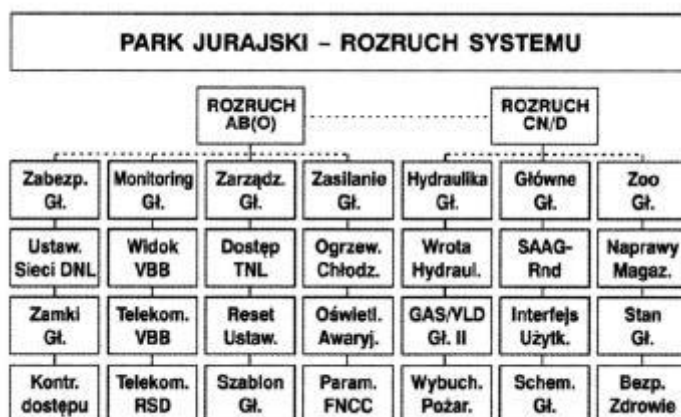


– Timmy! – Tim wybrał komendę „Znajdź”. Nie, to zupełnie nie to. Na szczęście mógł nacisnąć „Wróć”.



– Jak ci leci, Tim? – spytał z krótkofalówki pan Muldoon. Tim nie tracił czasu na odpowiadanie. Jak najszybciej starał się odnaleźć właściwe menu.

I nagle znowu znalazł się w głównym.



Tim przyjrzał się uważnie opcjom. Z wysokim napięciem skojarzył mu się klawisz „Zasilanie Gł.” i jeszcze może „Ustaw. Sieci DNL”. Mogło się też przydać skorzystanie z menu „Bezp. Zdrowie” oraz „Zamki Gł.”. Znów usłyszał ryki welociraptorów. Musiał szybko dokonać właściwego wyboru. Wcisnął „Ustaw. Sieci DNL” i aż jęknął!

USTAW. SIECI DNL					
PARAMETRY – OPCJE			PARAMETRY STANDARDOWE		
SIEĆ ELEKTRYCZNA – OBWÓD (H)					
WARTOŚCI SIECI	A4	B4	C7	D4	E9
WARTOŚCI SIECI	C9	R5	D5	E3	G4
SIEĆ ELEKTRYCZNA – OBWÓD (P)					
WARTOŚCI SIECI	A2	B3	C6	D11	E2
WARTOŚCI SIECI	C9	R5	D5	E3	G4
WARTOŚCI SIECI	A8	B1	C8	D8	E8
WARTOŚCI SIECI	P4	R8	P4	E5	L6
SIEĆ ELEKTRYCZNA – OBWÓD (M)					
WARTOŚCI SIECI	A1	B1	C1	D2	E2
WARTOŚCI SIECI	C4	R4	D4	E5	G6

Tim nie wiedział, co powinien zrobić. Wybrał PARAMETRY STANDARDOWE.

PARAMETRY STANDARDOWE

Obwody Parku	B4-C6	Obwody Graniczne	C2-D2
Obwody Zwierzęta	BB-07	Obwody Zagród	R4-R4
Obwody Hoteli	F4-D4	Obwody Techn.	E5-L6
Obwody Główne	C4-G7	Obwody Czujn.	D5-G4
Obwody Użytk.	AH-B5	Obwody Jądra	AI-CI
Integralność obwodów nieprzetestowana			
Obwody Bezpieczeństwa – stale autom.			

Pokręcił głową. Co dalej? Po chwili zrozumiał, że patrzy na bardzo ważną informację: wskazówkę, jakie może być oznaczenie obwodu budynku hotelu! To były chyba współrzędne. Wybrał sieć F4.

SIEĆ ELEKTR. F4 (HOTEL SAFARI)

KOMENDA NIE MOŻE BYĆ WYKONANA. BŁĄD 505

(Napięcie niekompatybilne z wybraną komendą. Zob. instrukcja, p. 4.09–4.11)

- Nie działa – zmartwiła się Lex.
- Wiem! – Tim dokonał innego wyboru. Znowu to samo:

SIEĆ ELEKTR. D4 (HOTEL SAFARI)

KOMENDA NIE MOŻE BYĆ WYKONANA. BŁĄD 505

(Napięcie niekompatybilne z wybraną komendą. Zob. instrukcja, p. 4.09–4.11)

Próbował zachować spokój i myśleć. Chciał włączyć daną sieć, ale za każdym razem wyskakiwał komunikat o błędzie. Napięcie jest niekompatybilne z komendą, którą wydaję? A dlaczego? Co to oznacza?

- Timmy... – Lex ciągnęła go za rękaw.
- Nie teraz.
- Teraz! – Siostra z całej siły odciągała Tima od monitora. Wtedy zwrócił uwagę na warczenie welociraptorów. Dobiegało z korytarza.

* * *

Welociraptory już prawie przegryzły drugi pręt nad łóżkiem Iana. W tej chwili między prętami mieściły się ich łby. Wsuwały je więc do wnętrza pokoju i warczały na ludzi z góry, po czym wracały do przegryzania metalu.

- Już niedługo, trzy, cztery minuty – ocenił Ian. Sięgnął po radiotelefon. – Tim, jesteś? – odezwał się do niego.

Odpowiedziała mu cisza.

* * *

Tim wyrzwał ostrożnie za drzwi sterowni i zobaczył welociraptora na końcu korytarza, przy balkonie. Jak to? Jakim cudem on zdołał wydostać się z lodówki?!

Wtedy na balkonie znalazł się drugi welociraptor i Tim już wiedział – żaden z dwóch welociraptorów nie był tym z lodówki. Te wskoczyły na balkon z dworu. Widział, jak ten drugi ląduje na barierce. Tim nie wierzył własnym oczom. Te drapieżniki skaczą trzy metry w górę! Nie, chyba jeszcze więcej. Siła mięśni ich nóg jest niesamowita!

– Mówiłeś, że one nie...

– Ćśś! – Tim próbował się skupić, ale właściwie patrzył tylko przerażony i zaszokowany, jak na balkon wskakuje trzeci potwór. Zaczęły tłoczyć się na korytarzu, a potem razem ruszyły w stronę Tima i Lex.

Tim popchnął plecami drzwi, żeby wejść do sterowni, ale nie miał siły ich otworzyć.

– Zamknęły się – szepnęła Lex. – Widzisz? – Lex pokazała na czytnik kart. Świeciła się na nim czerwona lampka. Jak to się stało, że zamki nagle się włączyły? – Ty głupku, zamknąłeś nas na korytarzu!

Tim się rozejrzał. Widział kilka innych drzwi i przy wszystkich świeciły się czerwone kropki. Nie ma dokąd uciec.

Zwrócił uwagę na leżącego dalej na korytarzu zabitego strażnika. Widać było przy jego pasku białą kartę do otwierania drzwi.

– Chodź. – Tim podbiegł z Lex do strażnika, wyjął zabitemu kartę i odwrócił się. No tak! Welociraptory oczywiście ich zobaczyły i teraz, warcząc, zagradzają drogę do sterowni... Ruszyły naprzód, rozstawiając się i kiwając głowami jak idące ptaki...

Zaraz rzucą się do ataku.

Tim zrobił jedyne, co mu przyszło do głowy: otworzył kartą najbliższe drzwi, wepchnął siostrę do środka i skoczył za nią. Patrzył, jak drzwi zamykają się za nimi, jakby w zwolnionym tempie, a welociraptory z sykiem zrywają się do skoku.

HOTEL

Ian oddychał głęboko, jakby każdy kolejny oddech miał być jego ostatnim, i wpatrywał się tępo w drapieżniki nad sobą. Harding zmierzył mu ciśnienie, ściągnął brwi, zmierzył znowu. Ellie drżała z zimna i strachu, owinięta kocem. Muldoon siedział na podłodze oparty o ścianę. Stary Hammond też patrzył w górę i nic nie mówił. Jak zbawienia wyczekiwali głosu z radiotelefonu.

– Co się stało z Timem? – odezwał się Hammond. – Nie odzywa się.

– Kto to wie?

– Ależ one są brzydkie – powtórzył Ian. – Naprawdę brzydkie!

– Kto by pomyślał, że to wszystko tak się skończy? – szepnął starszy pan i pokręcił głową.
– Ian – odezwała się Ellie.
– Wyliczyłem to – uściślił Ian.
– Daj spokój – westchnął Hammond. – Powtarza tylko: „A nie mówiłem?”. Przecież nikt nie chciał, żeby do tego doszło.

– To nie zależy od chcenia – podjął dyskusję Ian, nie otwierając oczu. Mówił powoli z powodu dużej dawki morfiny. – To kwestia wyobraźni, tego, co człowiek spodziewa się osiągnąć. Czy myśliwy w dżungli, który wyprawia się po jedzenie dla swojej kobiety i dzieci, wyobraża sobie, że całkowicie zapanuje nad przyrodą? Nie. Dla niego przyroda to coś, co go przerasta, nie podlega jego kontroli. Być może modli się on do zjawisk przyrody, na przykład o płodność, do lasu, który go otacza i żywi. Modli się dlatego, że wie, iż nie kontroluje otoczenia. Jest skazany na łaskę bądź niełaskę natury. Tymczasem pan postanowił, że nie będzie skazany na łaskę natury, tylko będzie ją kontrolował, i już w tym momencie zaczął pan wpadać w kłopoty po prostu dlatego, że tego celu nie da się osiągnąć. Mimo to stworzył pan dzieło, które niejako samo wymaga od pana, aby próbował pan osiągnąć ten cel. Nie da się. W żadnej chwili nie kontrolował pan natury i nigdy nie zdoła pan nią w zawładnąć. Proszę nie mieszać różnych kategorii rzeczy. Można zbudować statek, ale nie można zrobić oceanu. Można skonstruować samolot, ale nie powietrze. Pańska potęga jest znacznie mniejsza, niż pan sądził, oddawszy swój rozum marzeniom.

– Nie rozumiem, o co mu chodzi – przyznał z westchnieniem Hammond. – Dokąd poszedł Tim? Wydawało mi się, że to bardzo odpowiedzialny chłopiec.

– Na pewno próbuje opanować sytuację – odrzekł Robert. – Jak my wszyscy.

– I profesor Grant. Co się stało z Grantem?

* * *

Alan dotarł do tylnego wejścia głównego budynku ośrodka, do tych samych drzwi, przez które wyszedł dwadzieścia minut wcześniej. Pociągnął za nie – zamknięte. Zobaczył przy drzwiach czerwoną kontrolkę. Cholera, włączyły się zamki elektroniczne! Pobiegł na front budynku. Szyby w drzwiach były stłuczone, więc mógł wejść do holu przez dziurę. Przystanął koło biurka wartownika i przez chwilę słuchał jednostajnego szumu dochodzącego z głośnika krótkofalówki. Ruszył do kuchni, żeby poszukać dzieci. Drzwi restauracji i kuchni były szeroko otwarte. Ani śladu Tima i Lex.

Alan wbiegł po schodach na piętro. Dotarł do szklanych drzwi z napisem ZAKAZ WSTĘPU DLA GOŚCI. Zamknięte. Potrzebuje karty magnetycznej.

Jak tu wejść?

W głębi korytarza usłyszał warczenie welociraptorów.

* * *

Tim poczuł na policzku dotyk skórzastej gadziej skóry, szpony rozdarły mu koszulkę i upadł na plecy, krzycząc z przerażenia.

– Timmy! – darła się Lex.

Tim zdołał się podnieść. Małutki welociraptor skoczył mu na ramię, ćwierkał i pisał ze strachu. Jesteśmy w przedszkolu dla dinozaurów! – zrozumiał Tim. Na podłodze leżały zabawki: żółta piłka, lalka, grzechotka.

– To jest ten mały welociraptor – poinformowała Tima Lex, pokazując zwierzątko, które ścisnęło go za ramię.

Młodziutki drapieżnik przytulił łebek do jego szyi. Pewnie zdycha tu z głodu, pomyślał ze współczuciem chłopiec.

Lex podeszła bliżej, a wtedy stworzenie przeskoczyło na jej ramię i otarło się łebkiem o jej szyję.

– Dlaczego on się tak tuli? – zdziwiła się Lex. – Boi się?

– Nie wiem.

Oddała zwierzątko bratu. Ćwierkało i pisało, podskakując na jego ramieniu. Rozglądało się, kręcąc łebkiem. Było bardzo zaniepokojone.

– Tim – szepnęła Lex.

Drzwi pokoju nie zamknęły się do końca. Właśnie wchodził przez nie duży welociraptor! A za nim drugi.

Młode zaćwierkało i podskoczyło wysoko. Trzeba uciekać, pomyślał Tim. Może młode odciągnie uwagę dużych? Przecież to dziecko ich gatunku. Rzucił zwierzątko przez salę prosto pod nogi dorosłych osobników. Jeden z nich opuścił łeb i delikatnie powąchał malca.

Tim złapał siostrę za rękę i pociągnął w głąb pomieszczenia. Gdyby tak były tu inne drzwi, prowadzące...

Nagle rozległ się straszliwy pisk. Tim obejrzał się i zobaczył młode w paszczy dorosłego welociraptora! Drugi przyskoczył i zaczął ciągnąć młode za nóżki, próbując wyrwać je towarzyszowi. Welociraptory zaczęły walczyć o piszące przeraźliwie młode, na podłogę lała się krew...

– One go zjadły – wykrztusiła przerażona Lex.

Welociraptory ciągle walczyły o to, co pozostało z małego stworka – cofały się, a potem wpadały na siebie łbami. Tim odwrócił się i znalazł niezamknięte drzwi. Przeszli przez nie z Lex i znaleźli się w sąsiednim pomieszczeniu.

Zielone światło... Tim przypomniał sobie, że to laboratorium, gdzie uzyskiwano DNA z różnych rzeczy. Nie było nikogo, tylko rzędy mikroskopów stereoskopowych i duże monitory, na których widniały czarno-białe powiększone obrazy owadów, much i komarów, które miliony lat temu ugryzły dinozaura i wyssały z niego krew. Z tej właśnie krwi powstały dinozaury, które opanowały teraz cały Park Jurajski. Tim i Lex biegli przez laboratorium, słysząc warczenie i ryki ścigających ich welociraptorów. Wypadli przez następne drzwi i znaleźli się w wąskim korytarzu. W tych drzwiach musiał być chyba alarm, bo zaczęła bucieć

syrena, a pod sufitem migały czerwone światła. Zwykle oświetlenie korytarza było zgaszone, więc koło Tima robiło się na przemian czerwono i ciemno. W przerwach między buczeniem syreny słychać było warczenie welociraptorów. Ciągłe nas gonią! Lex jęczała ze strachu. Tim zobaczył kolejne drzwi z symbolem skażenia biologicznego. Otworzył je i zderzył się z jakimś dużym zwierzęciem! Lex wrzasnęła...

– Spokojnie, dzieci – rozległ głos profesora Granta. Tim mrugał z niedowierzaniem. Z góry patrzył na niego pan Alan, a obok stał Donald Gennaro.

* * *

Alan spędził na korytarzu prawie dwie minuty, zanim pomyślał, że powinien znaleźć kartę magnetyczną przy ciele strażnika w holu. Zbiegł na parter, odnalazł kartę i wrócił z nią na górę. Otworzył szklane drzwi przedzielające korytarz i szybkim krokiem skierował się w stronę, z której dochodziły odgłosy welociraptorów. Zorientował się, że drapieżniki walczą ze sobą w przedszkolu dla zwierząt. Pomyślał, że dzieci uciekły pewnie do sąsiedniej sali, i pobiegł do laboratorium ekstrakcji DNA.

I tam się spotkali.

Welociraptory przestały walczyć i ruszyły ich śladem, wchodząc właśnie do sali. Przystanęły niepewnie zaskoczone widokiem kilkorga ludzi. Alan pchnął dzieci w ramiona Donalda.

– Zabierz je w bezpieczne miejsce – rzucił.

– Ale...

– Tam. – Alan pokazał drzwi za plecami. – Zabierz je do sterowni, jeśli zdołasz. Tam powinniście być bezpieczni.

– A ty co zrobisz? – spytał Donald.

Welociraptory wciąż stały przy drzwiach. Alan zwrócił uwagę, że zawsze najpierw czekają, zbierają się i razem ruszają naprzód. Atakują w skoordynowany sposób. No i ruszyły.

– Mam plan, uciekajcie.

Donald z dziećmi wycofali się do drzwi. Welociraptory zbliżały się powoli do Alana, mijając superkomputery i monitory, na których migały niekończące się sekwencje rozszyfrowywanego kodu genetycznego. Drapieżniki bez wahania szły naprzód w nienaturalnym dla nich otoczeniu, raz po raz pochylając łby i wachając podłogę.

Alan usłyszał za plecami szcęk zamka. Obejrzał się. Donald i dzieci stali za szklanymi drzwiami i patrzyli na niego. Donald pokręcił głową.

Alan zrozumiał komunikat: za Donaldem nie ma drzwi, przez które można się przedostać do sterowni. Dzieci i Donald znajdowali się w pułapce, z której nie ma wyjścia.

Czyli muszę poradzić sobie z welociraptorami.

* * *

Alan zaczął iść powoli, tak aby odciągnąć drapieżniki od Donalda i dzieci. W ścianie sali dostrzegł jeszcze jedne drzwi z napisem DO LABORATORIUM. Alan miał pewien pomysł. Na drzwiach widniał niebieski symbol ryzyka skażenia biologicznego. Welociraptory się zbliżały... Alan wykonał nagły zwrot, rzucając się do drzwi. Otworzył je, wpadł do ciepłego, cichego pomieszczenia i zatrzasnął drzwi za sobą!

* * *

Rozejrzał się. Tak! Właśnie tu chciał się znaleźć – w wylęgarni. Lampy emitujące podczerwień, długie stoły, szeregi dinozaurzych jaj i płożąca się między nimi mgła. Usłyszał pracę mechanizmów kołyszących jajami. Mgła spływała ze stołów i rozwiewała się nad podłogą.

Alan przebiegł przez wylęgarnię. Na drugim końcu było laboratorium oddzielone szklaną ścianą. Tam oświetlenie stanowiły lampy emitujące ultrafiolet i ubranie Alana zaczęło jarzyć się na fioletowo. Ogarnął wzrokiem butle z odczynnikami, zlewki, pipety, płytki laboratoryjne, cały sprzęt.

Welociraptory weszły do wylęgarni. Najpierw zachowywały się niepewnie, wciągały przesycone wilgocią powietrze, patrzyły na długie chwiejące się stoły pełne jaj. Pierwszy z drapieżników otarł górną kończyną paszczę z krwi. Posuwały się powoli, między długimi stołami. Szły razem jak oddział sił specjalnych. Raz po raz opuszczały głowy i zaglądały pod stoły.

Szukają mnie.

Alan kucnął, cofnął się w głąb laboratorium i odnalazł metalową osłonę z namalowaną czaszką i piszczelami oraz napisem UWAGA! TOKSYNY BIOGENICZNE, WYMAGANY POZIOM ZABEZPIECZENIE A4. Pamiętał, jak Ed Regis mówił, że to tak silne trucizny, iż parę cząsteczek natychmiast zabiłoby człowieka.

Alan nie mógł wsunąć dłoni pod osłonę, a nie było za co złapać, żeby ją podnieść. Uniósł się odrobinę i stwierdził, że welociraptory wciąż rozglądają się między stołami wylęgarni.

Jeszcze raz przyjrzał się osłonie i zobaczył, że w stole jest klapka, taka jak przy gniazdkach w łazience. Uniósł ją i zobaczył przycisk. Wcisnął go.

Syknięto i osłona podjechała pod sufit. Oczom Alana ukazały się szklane półki i rzędy butli oznakowanych czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Patrzył na etykiety: CCK-55, TETRAALFASEKRETYNA, TYMOLEWINA X-1612... W fioletowym świetle płynny jarzył się zielonkawo. Obok znajdował się szklany talerz z małymi strzykawkami. W każdej była odrobina zielonej fosforyzującej cieczy. Nie prostując nóg, Alan sięgnął po jedną ze strzykawek i ściągnął zębami plastikową osłonkę igły. Była cienka.

Ruszył w stronę drapieżników.

Całe życie prowadził badania nad dinozaurami, a teraz będzie miał okazję przekonać się, ile tak naprawdę wie. Pamiętał, że welociraptory to względnie niewielkie mięsożerne dinozaury, podobnie jak owiraptory i dromeozaury. Od dawna uważano, że owiraptory i

dromeozaury wyjadały jaja z gniazd innych zwierząt. Niektóre spośród dzisiejszych ptaków też tak robią. Zatem welociraptor także powinien zjeść jajo innego dinozaura, jeśli będzie miał okazję.

Alan zbliżył się powoli do najbliższego stołu, włożył ręce w parującą mgiełkę i podniósł okazałe jajo, zbliżone rozmiarami do piłki futbolowej, kremowe w bladoróżowe cętki. Trzymając je, ostrożnie przebił igłą skorupę i wstrzyknął zawartość strzykawki do jaja. Od razu nabrało bladoniebieskiego poblasku.

Schylił się i zobaczył pod stołem nogi welociraptorów i rozwiewającą się mgłę. Potoczył jajo po podłodze w stronę drapieżników. Na cichy dźwięk toczącego się jaja uniosły łby i zaczęły się rozglądać. Po chwili wróciły do przeszukiwania sali. Jajo zatrzymało się kilka metrów od najbliższego welociraptora.

Niech to diabli!

Alan musiał sięgnąć po drugie jajo, wstrzyknąć resztę trucizny i potoczyć jajo po podłodze. Tym razem jajo zatrzymało się tuż pod nogami welociraptora. Chwiało się, trącąc go w szpon.

Dinozaur spojrzał w dół zaskoczony niespodziewanym prezentem. Pochylił łeb i powąchał fosforyzujące jajo, dotknął lekko pyskiem, żeby się potoczyło.

Zignorował je. Uniósł łeb i ruszył powoli dalej, rozglądając się tak samo jak przedtem.

Nic z tego!

Alan sięgnął po trzecie jajo i zaaplikował mu zawartość drugiej strzykawki. Potoczył je, szybciej, jakby rzucał kulą do kręgli. Jajo turlało się głośno po podłodze.

Jeden z drapieżników opuścił szybko łeb, zobaczył jajo i instynktownie zaczął je gonić. Paszcza potwora rozwarła się i zmiażdżyła skorupę.

Zwierzę uniosło łeb, podczas gdy z paszczy ściekało mu mętne białko. Oblizał pysk i parsknął, po czym odgryzł następny kawałek skorupy i zaczął wypijać jajo językiem. Niestety, na razie z dinozaurem nie działo się nic złego. Nachylał się nad jajem i... zobaczył Alana! Musiał zobaczyć, bo warknął groźnie.

A potem rzucił się do biegu, zbliżając się do Alana w niesłychanym tempie! Alan był w szoku. Wtem welociraptor sapnął dziwnie, zagulgotał i padł prosto na paszczę. Jego masywny ogon zaczął uderzać o podłogę w przedśmiertnych konwulsjach. Mały potwór dławił się i charczał, z paszczy ciekła mu piana, głowa też tłukła o podłogę; ogon robił okropny hałas.

Załatwiłem jednego, pomyślał Alan.

Jednak welociraptor wcale tak szybko nie zdechł. Jego agonია się przedłużała. Alan sięgnął po jeszcze jedno jajo. Pozostałe welociraptory stały nieruchomo, słuchając odgłosów wydawanych przez umierającego pobratymca. Poodwracały łby, a potem jeden z nich podszedł do konającego, żeby mu się przyjrzeć.

Zdychającym welociraptorem wstrząsały teraz straszliwe drgawki, jęczał żałośnie. Z jego paszczy wyciekło tyle piany, że ledwie było widać łeb, którym jeszcze raz uderzył o podłogę i jęknął.

Drapieżnik stojący nad nim przyglądał mu się uważnie, zaskoczony tym, co dzieje się z jego towarzyszem. Ostrożnie obejrzał z bliska pogrążoną w pianie głowę, przesunął spojrzeniem po podskakującej szyi, drżącej piersi i kończynach.

A potem wyszarpał kawał ciała z umięśnionej nogi.

Ginące zwierzę zawarczało jeszcze i niespodziewanie uniosło łeb, zatapiając zęby w szyi tego, które zaczęło je dobijać.

Załatwiłem dwa, pomyślał Alan.

Jednak welociraptor, który stał na nogach, zdołał uwolnić szyję, choć lała się z niej krew. Zadał zdychającemu dinozaurowi zabójczy cios, rozcinając szponem tylnej kończyny jego brzuch. Natychmiast wylały się z niego wnętrzności grube jak węże. Salę wypełnił straszliwy skowyt umierającego zwierzęcia. Lecz krwawiący z szyi napastnik odwrócił się, jakby nagle stracił energię potrzebną do kontynuacji ataku.

Wolał podejść do jarzącego się niebieskim blaskiem jaja! Alan zobaczył je w unoszącej się paszczy dinozaura. Na jego oczach welociraptor zmiażdżył skorupę i fosforyzujące białko skapnęło mu pomiędzy zębów.

A jednak dwa, pomyślał Alan.

Drugi welociraptor niemal natychmiast zaczął zdychać! Kaszlnął i runął paszczą w dół, przewracając długi stół z jajami! Kilkadziesiąt jaj potoczyło się po podłodze na wszystkie strony. Alan patrzył na nie z lękiem.

Został przecież jeszcze trzeci welociraptor.

Alan miał wprawdzie i trzecią strzykawkę, jednak po podłodze toczyło się tyle jaj, że musiał wymyślić coś nowego. Zastanawiał się co, a tymczasem drapieżnik warknął ze złością. Zobaczył go!

Dinozaur nie ruszał się jednak przez dłuższą chwilę, tylko wpatrywał się w Alana. A potem zaczął powoli iść w jego stronę. Opuszczał i unosił łeb, sprawdzając, co znajduje się pod stołami. Szedł ostrożnie, zachowując się zupełnie inaczej niż w grupie. Jednak ciągle nie spuszczał wzroku z Alana.

Alan się rozejrzył. Nie miał gdzie się ukryć. Nie mógł nic zrobić!

Wpatrywał się w przeciwnika i oddalał w bok. Starał się, żeby pomiędzy nim a welociraptorem znajdowało się jak najwięcej stołów. Powoli przemieszczał się w lewo.

Drapieżnik kroczył naprzód, w ciemnoczerwonym świetle lamp. Słychać było jego syczący oddech.

Alan zmiażdżył nogą jakieś jajo, podeszwy kleiły mu się od żółtka. Przykucnął i poczuł, że uwiera go krótkofalówka.

Krótkofalówka!

Złapał ją, włączył i odezwał się:

– Halo, tu Alan Grant.

– Alan? – To Ellie. – Alan!

– Słuchaj – szepnął. – Mów do mnie.

– Alan, to ty?

– Mów! – polecił Alan, po czym pchnął radiotelefon w stronę zbliżającego się welociraptora, a sam kucnął koło nogi stołu.

– Alanie... Proszę, i ty mów do mnie.

Nastąpiła pauza. Dinozaur szedł dalej, sycząc. Krótkofalówka milczała.

Co jest? Ellie nie rozumiała, o co mi chodzi! Drapieżnik był coraz bliżej.

– Alan.

Zniekształcony głos z radiotelefonu zatrzymał go w miejscu. Zwierzę zaczęło węszyć, czując, że w sali jest ktoś jeszcze.

– Alanie, to ja. Nie wiem, czy mnie słyszysz.

Welociraptor odwrócił się i zbliżył się do krótkofalówki.

– Alanie, proszę cię.

Dlaczego nie rzuciłem tego radia dalej?! Odwróciłem uwagę drapieżnika, ale i tak jest blisko... Potężna noga znalazła się tuż przed Alanem. Widział gruzelkowatą skórę o bladzielonym ubarwieniu i zakrzepłą krew na zakrzywionym szponie. Czuć było silny gadzi odór.

– Alanie, słyszysz mnie? Alanie?

Welociraptor schylił łeb i ostrożnie trącił paszczą krótkofalówkę odwrócony tyłem do Alana. Masywny ogon znalazł się bezpośrednio nad jego głową. Wtedy Alan płynnym ruchem wbił igłę strzykawki głęboko w mięsień ogona i wcisnął tłoczek.

Drapieżnik warknął i podskoczył. Z przerażającą szybkością odwrócił się i rozwarł paszczę. Złapał nią nogę stołu i szarpnął łbem z taką siłą, że przesunął stół. Alan przewrócił się na plecy. Był teraz zupełnie odsłonięty. Dinozaur stanął nad nim, uniósł łeb, aż zadzwoniły świecące na czerwono lampy, kołysząc się na wszystkie strony...

– Alan?!

Welociraptor cofnął się i podniósł tylną kończynę, żeby zadać śmiertelny cios szponem. Alan przetoczył się na bok i wielka noga drapieżnika uderzyła w podłogę. A jednak Alan poczuł ostry, palący ból między łopatkami i ciepłą krew na koszuli i plecach. Uciekał, tocząc się po podłodze, tłukąc dinozaurze jaja. Jego ręce i twarz lepiły się od białka. Welociraptor zadał cios po raz drugi – sprasowując krótkofalówkę, aż posypały się iskry. Warknął wściekle i kopnął po raz trzeci, podczas gdy Alan zatrzymał się na ścianie. Nie miał już dokąd uciec.

Drapieżnik uniósł nogę po raz ostatni i... przewrócił się na ogon. Zaczął charczeć, tocząc pianę z paszczy.

Wtedy do wylęgarni weszli Donald i dzieci. Alan ostrzegł ich ruchem ręki, żeby trzymali się z daleka. Dziewczynka popatrzyła na zdychającego welociraptora.

– O rany! – wykrzyknęła z podziwem.

Donald podszedł i pomógł Alanowi wstać. Wszyscy czym prędzej pobiegli do sterowni.

STEROWNIA

Tim ze zdumieniem stwierdził, że część elementów menu na monitorze przy głównym stanowisku miga.

– Co się dzieje? – zdziwiła się Lex.

SIEĆ ELEKTR. D4 (HOTEL SAFARI)
KOMENDA NIE MOŻE BYĆ WYKONANA. BŁĄD 505
(Napięcie niekompatybilne z wybraną komendą. Zob. instrukcja,
p. 4.09–4.11)

Tim zobaczył, że profesor Grant wpatruje się w ekran, jakby niczego nie rozumiał, i niepewnie zbliża rękę do klawiatury.

– Nie znam się na komputerach – wyznał i pokręcił głową.

Tim usiadł w fotelu i zaczął sterować systemem, dotykając ekranu. Wywołał obraz statku, który wchodził już do portu w Puntarenas. Był może ze dwieście metrów od nabrzeża. Na innym monitorze pojawił się widok pokoju hotelowego i zwieszających się z okna w suficie łbów welociraptorów. W krótkofalówce słyszeć było ich ryki.

– Timmy, zrób coś – ponaglała brata Lex.

Tim wybrał opcję „Ustaw. Sieci DNL”, choć przycisk migał. Wyskoczył komunikat:

**UWAGA: WYKONANIE KOMENDY WSTRZYMANE (NISKI STAN
ZASIL. AWARYJ.)**

– Co to znaczy? – zmartwił się Tim.

– Wiem – odezwał się Donald Gennaro. – Tak samo działo się wcześniej. Kończy się paliwo w zapasowym generatorze. Musisz przełączyć zasilanie na generator główny.

– Ja?

Tim wcisnął przycisk „Zasilanie Gł.”.



Tim jęknął.

– Co teraz robisz? – chciał wiedzieć profesor Grant. Całe menu zaczęło migać.

Chłopiec wcisnął GŁÓWNE.

Nic się nie wydarzyło. Obraz nadal pojawiał się i znikał. Tim wcisnął teraz „Sieć Gł. P”. Był tak przestraszony, że aż ścisnęło go w brzuchu.

ZASILANIE GŁÓWNE NIEAKTYWNE – TYLKO ZASILANIE AWARYJNE

Ekran migał. Tim wybrał „Ustaw. Gł. 1”.

ZASILANIE GŁÓWNE URUCHOMIONE

Zaświeciło się jasno oświetlenie sali, a ekrany przestały migać.

– Hej! Udało się!

Tim wcisnął następnie „Ustaw. Sieci”. Przez moment nic się nie działo. Zerknął na obrazy z kamer, a potem znowu na monitor przed sobą.

Którą sieć chcesz ustawić?				
Park	Techn.	Zabezp.	Hotel	Inne

Profesor Grant powiedział coś, ale do Tima dotarło tylko napięcie w jego głosie. Profesor patrzył na niego z niepokojem.

Serce Tima biło bardzo mocno. Lex krzyczała na niego przez cały czas. Wolał nie zerkać już na monitor z widokiem pokoju. Słyszał odgłosy wyginania metalu i warczenie welociraptorów.

– Boże! – odezwał się głos profesora Malcolma.

Tim wybrał opcję „Hotel”.

PODAJ OZNACZENIE SIECI, KT. CHCESZ URUCHOMIĆ

Znieruchomiał. Z przejęcia przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć oznaczenia sieci elektrycznej hotelu, wydawało mu się, że trwa to całą wieczność. Ale przypomniał sobie: F4.

SIEĆ F4 (HOTEL) WŁĄCZONA

W tym samym momencie na obrazie z kamery sypnęły się iskry, leciały z góry, z sufitu hotelowego pokoju. Na chwilę cały obraz zrobił się biały od iskier.

– Co ty zrobiłeś?! – krzyczała przerażona Lex.

Ale zaraz potem zobaczyli wstrząsane uderzeniami prądu welociraptory, które musiały znaleźć się w pułapce pomiędzy prętami okna. Skrzeczały przeraźliwie pośród kaskad iskier, a Muldoon i inni na dole krzyczeli z radości.

– O to chodziło – powiedział profesor Grant i poklepał Tima po ramieniu. – O to chodziło! Udało ci się, Tim!

Wszyscy cieszyli się i podskakiwali, ale wtedy odezwała się Lex:

– A co z tym statkiem?

– Co?!

– No, ze statkiem. – Pokazała paluszkami drugi monitor.

* * *

Budynki, które stanowiły teraz tło dla dziobu statku, były duże i przesuwwały się w prawo. Statek skręcał w lewo, żeby przybić bokiem do nabrzeża. Na ekranie pojawili się marynarze, szykowali już cumy.

Tim wrócił przed monitor i popatrzył znowu na menu główne. „Telekom. VBB” i „Telekom. RSD” kojarzyły się z telefonami. Wcisnął „Telekom RSD”.

MASZ 23 NIEODEBRANE ROZMOWY I/LUB WIADOMOŚCI CZY CHCESZ ZOBACZYĆ ICH LISTĘ TERAZ?

Wybrał „NIE”.

– Może dzwoniли ze statku? – podsunęła Lex. – Mógłbyś zobaczyć ich numer.

Tim nie słuchał jednak siostry, bo przeczytał:

WPROWADŹ NUMER ABONENTA LUB WCIŚNIJ F7 ABY ZOBACZYĆ KONTAKTY

Nacisnął F7 i natychmiast zobaczył długą listę kontaktów: nazwiska, imiona, numery. Wcale nie była alfabetyczna. Przeszukiwał ją przez chwilę wzrokiem...

STATEK ANNE B. (FREDDY) 708-3902

Jest! A teraz: jak się dzwoni? Odnalazł na dole ekranu napis:

WYBRAĆ NUMER TERAZ CZY ZADZWONISZ PÓŹNIEJ?

Wcisnął TELEFONUJ TERAZ.

PRZEPRASZAMY, WYBRANE POŁĄCZENIE NIE MOŻE BYĆ
ZREALIZOWANE (BŁĄD 598)
SPRÓBUJ WYBRAĆ PONOWNIE

Tim spróbował po raz drugi i usłyszał sygnał telefonu, a potem dźwięki wybieranego numeru.

– Już? – upewnił się Alan.

– Dobry jesteś, Timmy – pochwaliła brata Lex. – Kurczę, zaraz będą przy brzegu.

Na ekranie widać było, jak dziób statku sunie koło nabrzeża, ustawiając się coraz bardziej równolegle do niego. Pisnęło w jakimś głośniku, a potem odezwał się z niego głos:

– No, dzieńdoberek, John, mówi Freddy. Słyszysz mnie? Odbiór.

Tim podniósł słuchawkę najbliższego telefonu, ale usłyszał tylko ciągły sygnał.

– John, cześć, tu Freddy, odbiór.

– Odbieraj! – syknęła Lex.

Wszyscy zaczęli podnosić kolejne słuchawki, ale w każdej był ciągły sygnał. W końcu Tim zobaczył aparat umieszczony niżej, migąca przy nim czerwona lampka.

– Halo? Sterownia? Jestem. Tu Freddy. Czy mnie słyszać? Odbiór.

Tim podniósł słuchawkę.

– Mówi Tim Murphy, proszę pana, musi pan...

– Co? Nie zrozumiałem cię, John.

– Niech pan nie przybija do portu! Słyszysz pan?

Zapadła cisza.

– To jakiś dzieciak – mruknął zdumiony mężczyzna.

– Nie przybijajcie do portu! Natychmiast zawracajcie tutaj, na wyspę!

Na statku rozmawiało dwóch mężczyzn. Ten, który miał na imię Freddy, musiał chyba opuścić rękę ze słuchawką.

– Przedstawił się. Murphy?

– Nie usłyszałem nazwiska.

Tim rozejrzał się z niepokojem po twarzach dorosłych. Donald wyjął mu słuchawkę z ręki.

– Pozwól, że ja to zrobię. Jak on się nazywa?

– ...chyba jakiś głupi kawał... Pieprzony, kto go dopuścił do...

Tim próbował wyszukać za pomocą klawiatury nazwisko czy stanowisko Freddy'ego.

– Halo, czy mnie słyszać? – powiedział do słuchawki Gennaro. – Jeśli tak, proszę natychmiast odpowiedzieć!

– Słuchaj, synu – odpowiedział głos. – Nie wiem, kim jesteś, ale twój dowcip nie jest zabawny. Mam tu statek i wchodzę do portu, jestem kurewsko zajęty. Przedstaw się zgodnie z kodeksem albo przestań zajmować kanał.

Tim wydał odpowiednią komendę i na ekranie pojawiło się

FARRELL, FREDERICK D. (KAPITAN)

– Kapitanie Farrell – odpowiedział Gennaro – jeśli natychmiast nie zawróci pan statku i nie ruszy bez chwili zwłoki z powrotem na wyspę, złamie pan paragraf pięćset dziewiąty Kodeksu morskiego, co stanowi czyn skutkujący pozbawieniem uprawnień oraz zagrożony karą grzywny w wysokości co najmniej pięćdziesięciu tysięcy dolarów i karą pozbawienia wolności w wysokości lat pięciu. Zrozumiał pan?

Zapadła cisza.

– Czy zrozumiał pan moje słowa, kapitanie Farrell?

– Zrozumiałem – odparł cicho Farrell, a drugi głos wydał komendę: – Ster lewo na burt, cała naprzód! – Jednocześnie dziób statku zaczął odsuwać się od nabrzeża.

Lex krzyczała z radości. Tim opadł bez sił na oparcie fotela i otarł pot z czoła.

– Co stanowi ten Kodeks morski? – zainteresował się Alan.

– Chuj go wie – mruknął Donald.

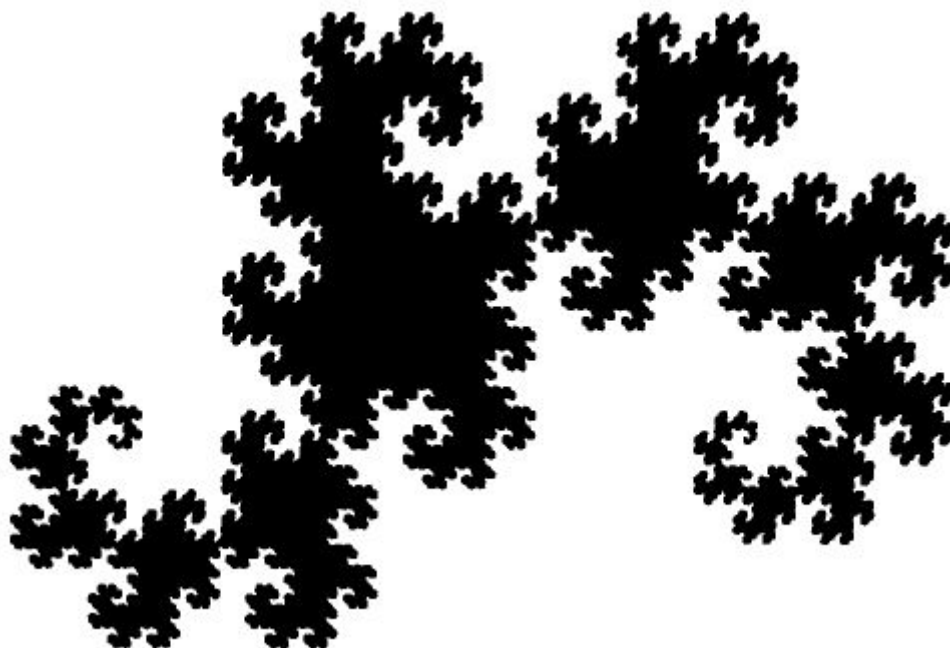
Wszyscy patrzyli z zadowoleniem, jak nabrzeże oddala się coraz bardziej i wreszcie znika z ekranu.

– Wygląda na to, że najgorsze już minęło – odezwał się znowu Donald.

Alan pokręcił głową.

– Najgorsze dopiero się zaczyna.

ITERACJA SIÓDMA



Stopniowo matematyka będzie coraz bardziej stanowczo domagać się od ludzi, by odważyli się zaakceptować jej nieuchronne zasady.

Ian Malcolm

ZNISZCZENIE ŚWIATA

Zebrani przenieśli Iana do innego pokoju, na czyste łóżko. John Hammond wyraźnie odżył, wyprostował się i zaczął zachowywać się z właściwą sobie energią.

- Przynajmniej uniknęliśmy największego nieszczęścia – skomentował sytuację.
- Jakie nieszczęście ma pan na myśli? – zainteresował się Ian.
- Cóż, welociraptory nie wyskoczyły na brzeg i nie opanowały świata – zauważył starszy pan.
- Martwił się pan o to? – Ian aż uniósł się na łokciu.
- To chyba jasne, że światu groziła katastrofa – potwierdził Hammond. – Nie ma na nim drapieżników, które byłyby groźne dla welociraptorów. Mogłyby się rozmnożyć i przynieść Ziemi zagładę.
- Ty głupcze, ty egocentryku! – krzyknął gniewnie Ian. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, co wygadujesz? Sądysz, że możesz zniszczyć Ziemię? Człowieku, twoja władza

zupełnie cię otumaniała. – Ian opadł na poduszkę. – Nie dałbyś rady zniszczyć tej planety ani w najmniejszym stopniu jej zagrozić. Żaden człowiek tego nie może.

– Przecież większość ludzi jest przekonana, iż Ziemi grozi zagłada – odparł wyniośle starszy pan.

– Cóż, nie grozi – odparł Ian.

– Wszyscy eksperci są zgodni, że nasza planeta jest zagrożona – upierał się Hammond.

– Powiem ci coś o planecie – odpowiedział z westchnieniem Ian. – Otóż nasza planeta ma cztery i pół miliarda lat. Życie na niej istnieje niewiele krócej, od trzech i ośmiu dziesiątych miliarda lat. Wtedy ukształtowały się pierwsze bakterie. Potem powstały pierwsze organizmy wielokomórkowe, później bardziej złożone – w oceanach, a następnie na lądzie. Na Ziemi zaczęły królować zwierzęta. Kolejno następowały po sobie epoki płazów, dinozaurów, wreszcie ssaków. Każda z nich trwała długie miliony lat. Można je sobie wyobrazić jako wielkie dynastie zwierząt, z których każda rosła w siłę, rozkwitała, wreszcie wchodziła w okres schyłkowy i upadała, bo jej przedstawiciele wymierali. Wszystko to działo się na tle nieprzerwanych, często gwałtownych przemian samej planety – wypiętrzały się łańcuchy górskie, znikwały w wyniku erozji, w Ziemię uderzały komety, wybuchały wulkany, oceany zalewały kontynenty i wysychały, kontynenty przesunęły się po całym globie. To nieprzerwany proces, z jednej strony płynny, z drugiej – pełen gwałtownych zdarzeń. Te przemiany możemy obserwować także dziś – na przykład najbardziej efektowne wypiętrzenie na powierzchni naszej planety, pasmo Himalajów, powstaje od milionów lat w wyniku trwającego zderzenia kontynentów. Planeta Ziemia przetrwała to wszystko, o czym pokrótce opowiedziałem, i z całą pewnością przeżyje także nas.

Starszy pan ściągnął brwi.

– Rzeczywiście to wszystko długo trwało – zgodził się – ale to jeszcze nie znaczy, że będzie trwało wiecznie. Na przykład gdyby doszło do napromieniowania całej Ziemi...

– Załóżmy, że by doszło – podjął temat Ian. – Powiedzmy, iż to napromieniowanie byłoby tak potężne, że wyginęłyby wszystkie zwierzęta i rośliny, i jeszcze przez następne sto lat utrzymywałyby się ogromnie wysoki poziom promieniowania. Otóż życie i tak gdzieś by przetrwało – w glebie, a może zamrożone z lodach Arktyki. I po upływie tego okresu, podczas którego powierzchnia naszej planety nie nadawałaby się do zamieszkania, rozprzestrzeniłoby się na niej znowu. Na nowo rozpocząłby się proces ewolucji. Odbudowa świata żywych organizmów aż do stanu ich dzisiejszej różnorodności i złożoności mogłaby trwać nawet parę miliardów lat, i oczywiście nowo powstałe organizmy bardzo różniłyby się od współczesnych. Jednak Ziemia jako taka przetrwałaby nasze szaleństwo. I życie na Ziemi także by nas przetrwało. My tylko błędnie wyobrażamy sobie, że nie – zakończył Ian.

– A gdyby warstwa ozonowa zrobiła się bardzo cienka... – zaczął znowu Hammond.

– Wtedy do powierzchni Ziemi docierałoby więcej promieniowania ultrafioletowego – odrzekł Ian.

– No i co?

- Jak to co? Promieniowanie UV powoduje raka skóry.
- Ależ ono jest bardzo korzystne dla życia. – Ian pokręcił głową. – Ma bardzo wysoką energię i powoduje mutacje, jest katalizatorem zmian. Przy zwiększonym poziomie promieniowania ultrafioletowego liczne formy życia rozkwitłyby.
- No, ale wiele innych by wymarło – zauważył Hammond.
- Sądzi pan, że zdarzyłoby się to pierwszy raz w historii Ziemi? – spytał z westchnieniem Ian. – Co pan wie o tlenie?
- Tlen? Wiem, że jest niezbędny do życia.
- Otóż tylko obecnie. Równocześnie jest on trującym produktem metabolizmu. I powoduje korozję – tak samo jak fluor, którym wytrawia się szkło. Tlen w ziemskiej atmosferze pojawił się jako produkt wydalany przez określonego typu komórki roślinne – powiedzmy, że przed mniej więcej trzema miliardami lat – i spowodował wielki kryzys wszystkich innych form życia. Te komórki roślinne zatrzymały środowisko zabójczym tlenem. Wciąż wydalały tę truciznę i stężenie tlenu w atmosferze rosło. Na przykład atmosfera Wenus zawiera mniej niż jeden procent tlenu. Ale w atmosferze Ziemi zrobiło się pięć, potem dziesięć, aż wreszcie całe dwadzieścia jeden procent tlenu! Zabójcza atmosfera! Zupełnie nienadająca się do życia!
- I co mi pan chce przez to powiedzieć? – Hammond był rozdrażniony. – To, że do dzisiejszych trucizn życie na Ziemi także się przystosuje?
- Coś innego. Najważniejsze, co chcę panu powiedzieć, to to, że życie na Ziemi samo się o siebie zatroszczy. Z punktu widzenia przedstawiciela gatunku ludzkiego sto lat to długi okres. Przecież sto lat temu nie mieliśmy samochodów, samo lotów, komputerów ani szczepionek, świat wyglądał zupełnie inaczej. Jednak w dziejach Ziemi sto lat to nic. Milion lat także. Planeta, na której jesteśmy, żyje w zupełnie innym tempie niż my, oddycha rytmem, który mieści się w nieporównanie większej skali. Nawet nie potrafimy sobie wyobrazić powolnego rytmu przemian Ziemi ani potęgi ich oddziaływania. I nie mamy w sobie dość pokory, aby próbować to zrobić. Ludzie istnieją na tej planecie przez zaledwie mgnienie jej oka i jeśli jutro znikniemy, Ziemi nie będzie nas brakowało.
- I niewykluczone, że niedługo odejdziemy w przeszłość – dodał Hammond, sapiąc ze złością.
- Tak – zgodził się Ian – to prawda.
- I co w związku z tym wszystkim pan uważa? – spytał starszy pan. – Że nie powinniśmy troszczyć się o środowisko naturalne?
- Nie, zupełnie tak nie uważam.
- To w takim razie co?
- Ian zakaszał, popatrzył w dal i zakończył:
- Powiem w skrócie, żeby wszystko było jasne: ta planeta nie znalazła się w niebezpieczeństwie. To nasz los jest zagrożony. Nie mamy wystarczającej potęgi, aby

zniszczyć Ziemię ani aby ją uratować. Natomiast być może dysponujemy dostatecznymi środkami, aby ocalić siebie samych.

POD KONTROLĄ

Minęły cztery godziny. Nadeszło popołudnie, słońce chyliło się ku zachodowi. Sterownia znów stała się klimatyzowanym pomieszczeniem, komputery pracowały bez zarzutu. Zgodnie z wiedzą zgromadzonej w ośrodku grupy osób spośród dwadzieściora czworga ludzi, którzy znajdowali się na wyspie, ośmioro zginęło, a sześcioro kolejnych zaginęło. Główny budynek oraz hotel były bezpieczne, wydawało się, że w północnej części wyspy nie ma już żadnych dinozaurów. Powiadomiono o wszystkim kostarykańskie władze i poproszono o pomoc. Na ratunek dziesięć ludzi wyruszyła kostarykańska gwardia narodowa, zbliżał się także śmigłowiec pogotowia ratunkowego, który miał zabrać Iana Malcolma do szpitala. Przez telefon słychać było, że oficerowie gwardii narodowej Kostaryki są pełni wątpliwości. Zanim wysłali podległe sobie jednostki, z pewnością musiała nastąpić trwająca jakiś czas wymiana dyplomatycznych rozmów pomiędzy San José a Waszyngtonem. Robiło się późno – jeśli śmigłowce wkrótce nie nadlecą, trzeba będzie czekać do rana.

Mieszkańcy wyspy nie mieli nic do roboty. Statek płynął z powrotem. Marynarze znaleźli w ładowni rufowej trzy młode welociraptory i zdołali je zabić. Na wyspie Nublar bezpośrednie niebezpieczeństwo dla ludzi minęło. Ocaleni przebywali w głównym budynku ośrodka oraz w hotelu. Tim już całkiem sprawnie obsługiwał system Parku Jurajskiego. Na ekranie ukazał się właśnie taki obraz:

Liczba wszystkich zwierząt		292	
Gatunek	Oczekiwana liczba	Znaleziono	Wersja
Tyranozaury	2	1	4.1
Majazaury	22	20	??
Stegozaury	4	1	3.9
Triceratopsy	8	5	3.1
Prokampsognaty	65	64	??
Otnielie	23	15	3.1
Welociraptory	37	27	??
Apatozaury	17	12	3.1
Hadrozaury	11	5	3.1
Dilofozaury	7	4	4.3
Pterozzaury	6	5	4.3
Hipsylofodonty	34	14	??
Euoplocefale	16	9	4.0
Styrakozzaury	18	7	3.9
Mikroceratusy	22	13	4.1
Suma	238	203	

– Czy ten system znów wariuje? – zdziwił się Donald. – Teraz pokazuje, że jest mniej zwierząt, niż początkowo zakładali?

– Pewnie tak jest – stwierdził Alan.

– Sytuacja w Parku Jurajskim wreszcie powoli się stabilizuje – dodała Ellie.

– To znaczy?

– Wraca równowaga. – Alan pokazał monitor, na którym widać było uciekające gromadnie z łąki przerażone hipsylofodonty, atakowane od zachodu przez watahę welociraptorów.

– Przez ładnych parę godzin ogrodzenia nie były pod napięciem – wyjaśnił Alan. – Różne gatunki dinozaurów weszły ze sobą w kontakt. Ich populacje zmierzają ku stanowi równowagi, naturalnej równowagi.

– Nie tak miało być – przypominał Donald. – Poszczególne rodzaje dinozaurów nie miały się ze sobą mieszać.

– Ale teraz to robią.

Alan spojrzał na kolejny monitor, na którym stadko welociraptorów gnało, ścigając czterotonowego hadrozaura. Hadrozaur uciekał, ale jeden z drapieżników skoczył mu na grzbiet i wgryzł się w długą szyję, a pozostałe wyprzedziły ofiarę i zaczęły kasać ją w nogi oraz podskakiwać i rozcinać mu szponami brzuch. Po paru minutach duże roślinożerne zwierzę padło pokonane przez sześć welociraptorów. Alan patrzył na to w milczeniu.

– Czy właśnie tak to sobie wyobrażałeś? – spytała cicho Ellie.

– Nie wiem, co sobie wyobrażałem. – Alan wpatrywał się w monitor. – Nie, niedokładnie tak.

– Wiecie co, zdaje się, że wszystkie dorosłe welociraptory biegają swobodnie po parku – zauważył Robert.

Alan początkowo nie zwrócił uwagi na jego słowa, tylko obserwował na monitorach, jak potężne dinozaury różnych rodzin reagują na siebie nawzajem. W południowej części wyspy stegozaur wymachiwał kolczastym ogonem, ostrożnie okrążając małego tyranozaura, który patrzył na niego i z wyraźnym rozbawieniem skakał, aby ugryźć go w kolec. Bez rezultatu. Na zachodzie walczyły triceratopsy. Szarżowały na siebie i brały się za rogi. Jeden leżał śmiertelnie ranny.

– Mamy jeszcze około godziny dziennego światła – odezwał się znowu Muldoon. – Gdybyś tak chciał spróbować znaleźć to gniazdo...

– Racja – przypomniał sobie Alan. – Chciałbym.

– Pomyślałem sobie – ciągnął Robert – że z punktu widzenia Kostarykan ta wyspa stanowi problem natury wojskowej. Jest czymś, co powinni jak najszybciej zniszczyć.

– Masz rację! – ucieszył się Donald.

– Zbombardują ją z powietrza – dodał Robert – może napalmem, a może zrzucą jeszcze gazy porażające system nerwowy. W każdym razie atak nastąpi z powietrza.

– Mam nadzieję – mruknął Donald – bo ta wyspa jest zbyt niebezpieczna. Trzeba wybić co do jednego wszystkie znajdujące się na niej zwierzęta, i to im prędzej, tym lepiej.

– Nie zadowala mnie takie rozwiązanie – oznajmił Alan, wstając. – Ruszajmy.

– Chyba do końca nie rozumiesz – odrzekł Donald. – Także moim zdaniem ta wyspa stanowi zbyt wielkie zagrożenie. Musi zostać zniszczona, każde pojedyncze zwierzę powinno zdechnąć. I zadba o to kostarykańska gwardia narodowa. Myślę, że powinniśmy pozostawić wykonanie tego zadania kompetentnym siłom. Rozumiesz?

– Tak.

– To z czym masz problem? To będzie operacja wojskowa i pozwólmy przeprowadzić ją żołnierzom.

Alan poczuł ból pleców w miejscu, gdzie rozciął mu je szponem welociraptor.

– Nie. To my musimy załatwić tę sprawę.

– Zostawmy to ekspertom – nie ustępował Donald.

Alanowi przypomniało się, jak sześć godzin temu odnalazł Donalda przerażonego i skulonego w kabinie ciężarówki, w elektrowni. I nagle Alan stracił nad sobą panowanie i pchnął prawnika tak, że ten uderzył plecami o ścianę.

– Słuchaj, ty skurwysynu! – warknął Alan. – Jesteś za to wszystko współodpowiedzialny i wreszcie zacznij brać należną część odpowiedzialności na siebie!

– Biorę... – wymamrotał Donald, kaszląc.

– Wcale nie! Od samego początku przez cały czas uchylasz się od odpowiedzialności za to, co się tu...

– Jak to uchyl...

– Sprzedałeś inwestorom przedsięwzięcie, którego charakteru nie rozumiałeś. Byłeś współwłaścicielem interesu, którego nie nadzorowałeś. Nie sprawdzałeś, co wyprawia tu człowiek, o którym z doświadczenia wiedziałeś, że jest kłamcą. Pozwoliłeś mu bawić się najbardziej niebezpieczną technologią, jaką stworzono od początków ludzkości. Powiedziałbym, że to jest uchylanie się od odpowiedzialności.

– No dobrze... – Donald znowu zakaszał. – Ale teraz biorę za to odpowiedzialność.

– Nie. Ciągłe próbujesz się od niej wymigać. Ale już nie możesz. – Dopiero teraz Alan puścił Donalda, a ten starał się uspokoić oddech. – Jakimi namiastkami broni dysponujemy? – Alan zwrócił się do Roberta.

– Mamy trochę sieci i elektrycznych ości.

– Nadadzą się?

– Są podobne do tych na rekiny, mają wielkie kondensatory, które przy dotknięciu rażą prądem o wysokim napięciu, przy małym natężeniu. Nie zabijają dinozaura, ale na pewno skutecznie go obezwładnią.

– To nie wystarczy – ocenił Alan. – Nie w gnieździe.

– W jakim gnieździe? – spytał Donald, wciąż kaszląc.

– W gnieździe welociraptorów – wyjaśniła Ellie.

– Mówicie o gnieździe welociraptorów?!

– Macie jakieś obroże z nadajnikami? – dopytywał się Alan.

– Na pewno są – odpowiedział Robert.

– To znajdź jedną. Czy jest jeszcze cokolwiek, co może posłużyć nam do obrony?

Robert pokręcił głową.

– W każdym razie zabierz wszystko, co tylko będziesz mógł – zakończył Alan.

Muldoon wyszedł, a Alan znowu spojrzał na Donalda i powiedział:

– Pańska wyspa jest w rozsypce, drogi panie. A dokładniej, posypał się pański eksperyment. Trzeba tu posprzątać. Tylko że nie damy rady tego zrobić, dopóki nie oszacujemy rozmiarów zagrożenia – czyli nie odnajdziemy gniazd dinozaurów, ze szczególnym uwzględnieniem gniazd welociraptorów. A te będą ukryte. Musimy je wszystkie znaleźć, zbadać i policzyć każde jajo oraz każde zwierzę na wyspie. Potem będzie można ją spalić. Jednak najpierw musimy wykonać swoją robotę.

* * *

Ellie patrzyła na świetlną mapę pokazującą teraz obszary, na których znajdowały się poszczególne gatunki zwierząt. System obsługiwał Tim.

– Wszystkie welociraptory kręcą się na południu wyspy – stwierdziła – tam gdzie są gejzery. Może lubią ciepło?

– A mają się tam gdzie ukryć?

– Okazuje się, że tak. W pobliżu są tamy i betonowe kanały, które zapobiegają zalewaniu przez wodę niżej położonych obszarów w tamtej części wyspy. Te kanały są podziemne – jest woda i cień.

– Na pewno tam będą – ocenił Alan, kiwając głową.

– Zdaje się, że można wejść do kanałów z plaży – ciągnęła Ellie. – Tim, pokaż nam przekroje kanałów. Tim?

Tim nie słuchał, tylko wpatrywał się w monitor.

– Zaraz... znalazłem coś ciekawego.

– Co takiego?

– Magazyn, do którego nie ma żadnego opisu. Co tam może być?

– Broń – wysunął przypuszczenie Alan.

* * *

Cała grupka wybrała się na tyły elektrowni i znalazła stalową klapę w ziemi. Po jej otwarciu ukazały się betonowe schody prowadzące w dół.

– Cholerny John Arnold! – mruknął Robert, ruszając niepewnym krokiem po schodach. – Przez cały czas musiał wiedzieć o tym magazynie.

– Może nie? Nie próbował się tu dostać – zauważył Alan.

– W takim razie wiedział o nim Hammond. Ktoś musiał wiedzieć.

– A gdzie jest Hammond?

– Ciągłe siedzi w hotelu.

Doszli do końca schodów i zobaczyli całe rzędy masek przeciwgazowych wiszących na ścianie w plastikowych pojemnikach. Poświecili latarkami w głąb magazynu – stało tam kilka sześciennych skrzynek z grubego szkła o stalowych pokrywach. Skrzynki miały może z sześćdziesiąt centymetrów wysokości i były wypełnione jakimiś niedużymi, ciemnymi, okrągłymi przedmiotami. Wyglądają jak gigantyczne pieprzniczki, pomyślał Alan.

Robert uniósł jedną z pokryw, wyjął przypominający kulę przedmiot i obrócił go w świetle latarki, ściągając brwi.

– A niech mnie...

– Co to jest?

– MORO-dwanaście. Gaz paraliżujący, działa przez drogi oddechowe. To są granaty. Mamy od cholery granatów!

– No to do dzieła – powiedział Alan.

* * *

– Lubi mnie – stwierdziła z uśmiechem Lex. Grupka ocalałych stała teraz w garażu głównego budynku ośrodka przy klatce z małym welociraptorem, którego Alan zabrał z

tunelu. Dziewczynka głaskała niedużego drapieżnika przez pręty, a on ocierał się z lubością o jej dłoń.

– Uważaj, mała – ostrzegł Robert – bo jak cię dziabnie, to się nie pozbierasz.

– Ale on mnie lubi – zapewniła Lex. – Ma na imię Clarence.

– Clarence?

– Tak.

Robert trzymał skórzaną obrożę z przytwierdzonym nadajnikiem. Alan słyszał w słuchawkach emitowane przez urządzenie cienkie piski.

– Damy radę zamocować mu obrożę? – spytał Alan.

– Założę się, że mi pozwoli – odpowiedziała dziewczynka, wciąż głaszcząc zwierzę.

– Ja bym nie próbował – rzekł Robert. – One są nieprzewidywalne.

– Naprawdę mogę się założyć, że nic mi nie zrobi – uspokajała ich Lex.

Robert dał jej więc obrożę i dziewczynka wsunęła ją do klatki w wyciągniętej ręczce, żeby młody welociraptor ją powąchał. Potem powoli założyła mu obrożę na szyję, zapięła i zabezpieczyła klamrę rzepem. Kiedy to robiła, mały drapieżnik zrobił się intensywniej jasnozielony, a gdy skończyła, uspokoił się, bo jego ubarwienie znów stało się nieco mdłe.

– Niech to diabli – zdumiał się Robert.

– To kameleon – oznajmiła dziewczynka.

– Inne małe welociraptory nie robiły takich sztuczek – zauważył Robert. – Ten jest jakiś inny. Wylął się na wolności. A tak w ogóle – popatrzył na Alana – jak one się rozmnażają, skoro to wszystko samice? Nie powiedziałeś nam w końcu, o co ci chodziło z tym żabim DNA.

– DNA nie musi pochodzić konkretnie od żab, wystarczy, że pochodzi od płazów – wyjaśnił Alan. – Choć zjawisko opisano najdokładniej w przypadku żab, jeśli sobie przypomnę, z zachodniej Afryki.

– Co to za zjawisko?

– Zmiana płci. – Alan wytłumaczył, że niektóre rośliny, a także zwierzęta, potrafią z biegiem życia zmienić płeć – udokumentowano to między innymi w przypadku orchidei, niektórych ryb i krewetek, a ostatnio także żab. Zaobserwowano mianowicie, iż te same egzemplarze żab, które wcześniej składały jaja, po upływie iluś miesięcy stały się w pełni wyposażonymi samcami. Najpierw zrobiły się agresywne jak samce, potem rozwinęły zdolność wydawania charakterystycznych dla samców okrzyków godowych, następnie w wyniku oddziaływania hormonów pojawiły się u nich męskie gonady, na koniec zaś zwierzęta te zapładniały samice.

– Żartujesz? – Donald nie mógł w to uwierzyć. – Co jest motorem takiej przemiany?

– Wszystko wskazuje na to, że sytuacja, w której wszystkie przebywające w danym środowisku zwierzęta opisanego gatunku są tej samej płci. Zatem jeśli gdzieś będą wyłącznie samice płazów, niektóre z nich spontanicznie zaczną zmieniać płeć z żeńskiej na męską.

– Myślisz, że to samo stało się tutaj z dinozaurami?

– Tak przypuszczam. Chyba że ktoś przedstawi nam lepsze wytłumaczenie – odpowiedział Alan. – To jak, szukamy tego gniazda?

* * *

Wsiedli do jeepa, a Lex wyjęła małego welociraptora z klatki. Kiedy go trzymała, wydawał się całkiem spokojny, niemal oswojony. Poglaskała go ostatni raz i wypuściła.

Jednak zwierzak wcale nie chciał odejść.

– Idź, sio! – krzyknęła dziewczynka. – Do domu!

Stworzenie odwróciło się i podbiegło do lasu.

* * *

Alan trzymał w ręku odbiornik, a na uszach miał słuchawki. Robert prowadził jeepa. Terenowy samochód podskakiwał na drodze, kierując się na południe wyspy. Donald popatrzył na Alana i zagadnął:

– Jak wygląda takie gniazdo?

– Nikt nie wie.

– Myślałem, że to ty wykopałeś gniazda dinozaurów.

– To były skamieniałości – przypomniał Alan. – Wszystkie skamieniałości są zniekształcone przez procesy fizykochemiczne, jakie zaszły w ciągu milionów lat. Owszem, postawiliśmy pewne hipotezy, mamy określone przypuszczenia, ale nikt nie wie, jak dokładnie wyglądało takie gniazdo nienaruszone zębem czasu.

Alan nasłuchiwał pisków i dawał Robertowi znaki, żeby jechał dalej na południe. Ellie chyba miała rację – coraz bardziej zbliżają się do rejonu gejzerów. Alan pokręcił głową i kontynuował:

– Musisz zdać sobie sprawę, że nie wiemy wszystkiego o zachowaniach nawet współczesnych nam gadów, które zakładają gniazda, jak krokodyle czy aligatory. Bo to trudne do badania zwierzęta. – Podał kilka znanych faktów. – Wiadomo na przykład, że w przypadku aligatorów amerykańskich gniazda pilnuje tylko samica, czekając, aż młode wyklują się z jaj. Wczesną wiosną samiec całe dni leży obok samicy, którą chce zapłodnić, wytwarzając paszczą bąble, które wypuszcza na jej paszczę. W ten sposób skłania ją do podniesienia ogona i pozwolenia mu na stosunek płciowy, który w sensie technicznym przypomina ludzki. Dwa miesiące później samica buduje gniazdo, podczas gdy samiec już dawno przestał się nią interesować. Gniazdo ma kształt stożka i mniej więcej metr wysokości. Samica dobrze go strzeże. Kiedy młode zaczynają się wykluwać, często pomaga im rozbijać skorupy jaj. Na koniec ostrożnie popycha młode w kierunku wody, a czasem nawet przenosi je w paszczę.

– A potem dorosłe aligatory też bronią młodych? – chciał wiedzieć Donald.

– Owszem. I to grupowo. To znaczy, kiedy którykolwiek z dorosłych aligatorów usłyszy charakterystyczny odgłos, jaki wydaje młode, gdy czuje się zagrożone, przybywa na pomoc i

przypuszcza gwałtowny atak na napastnika. Nie żeby go postraszyć, ale prawdziwy, śmiertelny atak. Niezależnie od tego, czy to matka młodych, czy inny aligator.

– Och... – Donald umilkł.

– Dinozaury to nie gady – zauważył Robert.

– Też prawda. Bardzo możliwe, że dinozaury postępują ze swoimi gniazdami w sposób bardziej przypominający to, co robią ptaki ze swoimi.

– To znaczy, że tak naprawdę nie wiesz – stwierdził Donald rozdrażniony. – Nie wiesz, jak wygląda takie gniazdo?

– Nie wiem – przyznał Alan.

– No i na tyle zdają się eksperci, cholera – mruknął Donald.

Alan nie odpowiadał. Wyczuł w powietrzu woń siarki i zobaczył w oddali parę wydobywającą się z gejzerów.

* * *

Ta ziemia jest gorąca, stwierdził ze zdziwieniem Donald, idąc przed siebie. Ale naprawdę gorąca! Miejscami błoto bulgotało, a na jego powierzchni pękały bąble. Tu i ówdzie syczała śmierdząca siarka para, rozwiewając się na wysokości ludzkiego ramienia. Donald czuł się, jakby zwiedzał piekło.

Spojrzał na Alana, który nie zdejmował słuchawek i szedł, kierując się na piski. Profesor Alan Grant: kowbojki, dżinsy, hawajska koszula i zawadiacka mina. Donald nie czuł się ani odrobinę zawadiacko. Bał się i wcale nie miał ochoty przebywać w tym smrodliwym, przypominającym piekło miejscu, w którym czaiły się w ukryciu welociraptory. Nie mógł pojąć, jakim cudem Alan zachowuje taki spokój!

Albo ta młoda kobieta, Ellie Sattler. Idzie sobie, jak gdyby nigdy nic, i rozgląda się uważnie.

– Czy wy się wcale nie boicie? – spytał Donald. – Nie przejmujecie?

– Musimy zrobić, co mamy do zrobienia – odparł Alan, nie rozwijając tematu.

Szli całą grupką wśród bulgoczących gejzerów. Donald wymacał granaty z gazem bojowym wiszące przy pasku jego spodni.

– Dlaczego on jest taki pogodny? – spytał, odwracając się do Ellie.

– Z pewnością się niepokoi – odpowiedziała – ale z drugiej strony przez całe życie marzył o zobaczeniu żywych dinozaurów.

Donald pokiwał głową i spróbował wyobrazić sobie, jak to jest. I czy jest coś, na co on sam przez całe życie czekał. Po krótkiej chwili stwierdził, że nie ma czegoś takiego.

* * *

Alan zmrużył oczy, patrząc pod słońce. Przed nimi przycupnęło jakieś zwierzę owiane parą. Po chwili zerwało się i uciekło.

– Czy to był nasz mały welociraptor? – upewniła się Ellie.

- Chyba tak. Albo inny. W każdym razie młode.
- Podprowadza nas?
- Być może.

Ellie opowiedziała wcześniej Alanowi, w jaki sposób zachowywały się welociraptory przy płocie, odwracając jej uwagę od osobnika znajdującego się na dachu. Jeśli rzeczywiście robiły to celowo, myślał Alan, to znaczy, że ich inteligencja przekracza tę, jaką mają niemal wszystkie inne formy życia na Ziemi. Dotąd uważano, że zdolność do obmyślania planów, a następnie realizowania ich mają tylko ludzie, szympansy i goryle. Teraz pojawiła się hipoteza, że są do tego zdolne także niektóre dinozaury.

Mały welociraptor znów się pojawił – wybiegł na odsłonięty teren, podskoczył z piskiem, odbiegł... Naprawdę wyglądało na to, że ich prowadzi.

- Jak bardzo one są inteligentne? – zapytał Donald.

– Jeśli wyobrażasz sobie, że mają ptasie mózdzki, to musisz zastanowić się przez chwilę, co to tak naprawdę znaczy. Niektóre z najnowszych badań wykazują, iż zako – inaczej papuga popielata – inteligencją symboliczną dorównuje szympansovi. A szympansy bez najmniejszych wątpliwości potrafią posługiwać się językiem. Naukowcy dochodzą również do wniosku, że rozwój emocjonalny papug jest porównywalny z tym, jaki obserwujemy u trzyletniego dziecka. Inteligencja papug nie podlega dyskusji, wiadomo, że są one zdolne do myślenia symbolicznego.

- Jeśli chodzi o papugi, nigdy nie słyszałem, żeby jakaś zabiła człowieka – gderał Donald.

* * *

W oddali słychać było plusk fal. Otwarty teren z gejzerami się skończył, gromadka ludzi stanęła teraz naprzeciw głazowiska. Mały welociraptor wdrapał się na kamień, a potem nagle zniknął.

- Gdzie on się podział? – zastanawiała się Ellie.

Piski w słuchawkach nagle ustały.

- Znikł – stwierdził Alan.

Ruszyli naprzód i zobaczyli wśród kamieni jamę; przypominała króliczą norę, tylko miała ponad pół metra średnicy. Na ich oczach mały welociraptor pojawił się w otworze, zamrugał szybko i znowu się schował.

- Nie ma mowy – odezwał się Donald. – Ja tam nie wejść.

Alan nie odpowiedział, a Ellie zajęła się podłączaniem sprzętu. Po chwili Alan opuścił na linie do jamy małą kamerę, kabel łączył ją z małym monitorem.

- E tam, nic nie zobaczycie – stwierdził Donald.

– Niech kamera dobierze parametry obrazu – uspokoił go Alan. Okazało się, że światła jest dość i że kamera znalazła się w ziemnym tunelu o gładkich ścianach, który kończył się szerszą przestrzenią. Mikrofon nadał pisk, a potem niższy dźwięk przypominający trąbienie. Odgłosy powtarzały się, bez wątpienia na dole było dużo zwierząt.

– No i zgadza się, to musi być gniazdo – skomentowała Ellie.

– Ale ich nie widać. – Donald otarł pot z czoła.

– Nie widać, ale słychać – zauważył Alan. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, po czym wyciągnął kamerę na powierzchnię. – Bierzmy się do roboty. – To powiedziawszy, zbliżył się do otworu i założył maskę przeciwgazową. Ellie sięgnęła po latarkę i paralizator. Alan opadł na czworaki, nogami w kierunku nory.

– Nie żartuj, człowieku, chyba nie chcesz tam wpełznąć! – wykrzyknął Donald.

– To prawda, znam przyjemniejsze zajęcia – odparł Alan. – Najpierw ja, potem Ellie, a na końcu ty.

– Ale zaraz! – Donald był przerażony. – Dlaczego nie wrzucimy tam najpierw tych granatów z gazem, a dopiero potem nie wejdziemy? To chyba byłoby rozsądniejsze?

– Ellie, masz tę latarkę?

– No a co ty powiesz? – Donald spojrzał na Ellie. – Co o tym myślisz?

– Nie marzę o niczym innym, jak o wytruciu tych bestii – zapewnił Alan. – Widziałeś kiedyś, może na filmie, jak zwierzę albo człowiek umiera od gazu bojowego?

– Nie.

– Ogólnie mówiąc, powoduje on konwulsje. Wyjątkowo silne.

– Hm, przykro mi, jeśli to tak nieprzyjemnie wygląda, ale mimo wszystko...

– Słuchaj – przerwał mu Alan. – Wejdziemy do tego gniazda, żeby policzyć, ile małych welociraptorów się wykluło. Gdybyśmy je najpierw pozabijali i padłyby gromadnie na skorupy jaj, nie moglibyśmy zobaczyć, jak wygląda gniazdo. Nie możemy go najpierw zepsuć.

– Ale...

– To ty stworzyłeś te dinozaury, Donaldzie.

– To nie ja!

– Ty i twoje pieniądze, twoje starania. Wniosłeś swój wkład w ich powstanie. Oto twoje dzieło. Nie możesz go teraz unicestwić tylko dlatego, że się trochę przestraszyłeś.

– Nie przestraszyłem się trochę, tylko boję się jak jasna chole...

– Za mną. – Alan nie czekał, aż prawnik dokończy, tylko wziął od Ellie długi paralizator i wsunął nogi do jamy. – Ciasna... – stęknął.

Wypuścił powietrze, wyprostował ręce i zniknął, jakby go wessało.

Pozostała tylko ciemna dziura w ziemi.

* * *

– Co się z nim stało? – zaniepokoił się Donald.

Ellie kucnęła przy jamie i nasłuchiwała. Włączyła krótkofalówkę.

– Alan? – szepnęła.

Nic. Po dłuższej chwili usłyszeli ciche:

– Jestem tu.

– Alanie, czy wszystko w porządku?

Alan znów długo się nie odzywał.

– Tak, w porządku – przemówił w końcu. Jego głos brzmiał bardzo szczególnie, jakby coś go wzruszyło i zachwyciło.

PRAWIE PARADYGMAT

John Hammond chodził po hotelowym pokoju, obok łóżka, w którym leżał profesor Ian Malcolm. Stary John był zniecierpliwiony, nie miał najlepszego nastroju. Po swoim ostatnim wybuchu i tyradzie Malcolm zasnął. John zaczął podejrzewać, że profesor umrze. Wiedział, że wysłano już śmigłowiec, ale nie dało się przewidzieć, kiedy maszyna wyląduje na wyspie. Malcolm może umrzeć wcześniej i napełniało to starszego pana niepokojem i przerażeniem.

Paradoksalnie, te uczucia były silniejsze z powodu tego, iż John bardzo nie lubił błyskotliwego matematyka. Gdyby Malcolm był jego przyjacielem, jego odejście byłoby dla Hammonda mniej bolesne. A tak, jeśli profesor umrze, będzie to dla Johna jakby ostateczny, najbardziej dobitny wyrzut z jego strony. Uczucia, jakich doświadczał teraz stary John, były dla niego nieznośne.

A już na pewno okropna była unosząca się w pokoju woń. Zgniła woń rozkładającego się ludzkiego ciała... Upiorny zapach!

– Wszystko... – wyszeptał nagle Malcolm, rzucając spoczywającą na poduszce głowę – ...parad...

– Budzi się? – spytał John.

Harding pokręcił głową.

– O czym on mówił? Że wszystko to parada?

– Nie zrozumiałem.

Hammond znowu zaczął chodzić tam i z powrotem. Otworzył szerzej okno, żeby do pokoju wpadało więcej świeżego powietrza. W końcu nie wytrzymał.

– Czy można wyjść na dwór? – spytał. – Czy to niebezpieczne?

– Chyba nie – ocenił Harding. – Nie sędzę. W tym rejonie raczej nie ma dinozaurów.

– Dobrze, pospaceruję chwilę.

– Oczywiście – zgodził się weterynarz i wyregulował wypływ antybiotyku z kroplówki.

– Zaraz wrócę.

– Dobrze.

John wyszedł na słońce, zastanawiając się, dlaczego czuł się w obowiązku usprawiedliwić się przed Hardingiem. Przecież to jego pracownik. John nie musi się przed nim tłumaczyć.

Wyszedł za ogrodzenie i spojrzał na bujną roślinność parku. Było późne popołudnie, o tej porze mgła często się rozwiewała i robiło się słonecznie. Tak było i teraz, i John uznał to za dobry omen. Niech mówią, co chcą, John i tak wiedział, że Park Jurajski ma przyszłość.

Nawet jeśli w wyniku decyzji tego impulsywnego głupka Donalda Gennaro zostanie spalony do ostatniej trawki. To nie sam park był największym osiągnięciem.

W dwóch niezależnych skarbcach w podziemiach siedziby InGen w Palo Alto spoczywały dziesiątki zamrożonych embrionów. Wychodowanie z nich kolejnych dinozaurów nie będzie stanowiło żadnego problemu i będzie można to zrobić na innej wyspie, w innym zakątku świata. To prawda, że Park Jurajski na wyspie Nublar nie był wolny od problemów, ale w związku z tym będzie można łatwiej uniknąć ich w innym miejscu. Na tym właśnie polega postęp – na rozwiązywaniu problemów.

John stwierdził, że doktor Henry Wu tak naprawdę okazał się nieodpowiednim człowiekiem do kierowania syntezą DNA dinozaurów. A to dlatego, że nie zachowywał należytej ostrożności, zbyt niefrasobliwie podchodził do swojego bardzo ważnego zadania. I za dużo myślał o tym, jak poprawiać dinozaury. Zamiast odtwarzać te wspaniałe zwierzęta sprzed milionów lat, Wu chciał je ulepszać. John podejrzewał, że właśnie to stało się głównym powodem klęski Parku Jurajskiego.

Tak, to przez Henry'ego Wu, myślał gniewnie.

Musiał też przyznać, że i John Arnold nie nadawał się na stanowisko naczelnego inżyniera parku. Owszem, miał znakomite referencje, tylko że był akurat w takim punkcie kariery zawodowej, w którym czuł się zmęczony. A do tego straszny z niego nerwus, bez przerwy się o coś niepokoi. Być może dlatego pracuje chaotycznie, nie zauważając istotnych rzeczy.

Prawdę mówiąc, ani Henry Wu, ani John Arnold nie mieli czegoś, co stary John uważał za najważniejsze: wizji parku. Tak, wizji, tego wyjątkowego aktu wyobraźni, która stawiała mu przed oczami wspaniały park, gdzie dzieci będą przyciskały buzie do płotów, zachwycając się niezwykle potworami, dinozaurami, które dotąd istniały tylko na kartach książeczek z obrazkami, a tu ożyły. Nie mieli prawdziwej wizji, zdolności wyobrażania sobie przyszłego dzieła. I w związku z tym umiejętności takiego posługiwania się środkami, które mają w rękach, aby ta wizja stała się rzeczywistością.

Nie, ani Wu, ani Arnold nie nadają się do Parku Jurajskiego.

Na marginesie, Ed Regis też nie najlepiej spisuje się na swoim stanowisku. Harding – przeciętny wybór. Muldoon okazał się alkoholikiem.

Stary John pokręcił głową. Następnym razem dobiore sobie lepszych ludzi, zdecydował.

Zagubiony w myślach ruszył do swojego bungalowu ścieżką biegnącą na północ od głównego budynku. Napotkał po drodze jednego z robotników, który na jego widok skłonił chłodno głowę. Hammond nawet mu nie odpowiedział. Pomyślał, że kostarykańscy robotnicy są bez wyjątku bezczelni. Prawdę mówiąc, decyzja o wyborze wyspy leżącej akurat przy wybrzeżu Kostaryki także była niemądra. W przyszłości nie popełni takich błędów...

Ryk dinozaura odezwał się przerażająco blisko. John odwrócił się na pięcie tak gwałtownie, że aż się przewrócił. Podniósł wzrok i zobaczył cień małego tyranozaura, który szedł między gałęziami prosto na Johna, obok ścieżki.

Co on tu robi?! – zdumiał się Hammond. Dlaczego nie przebywa na przeznaczonym dla niego terenie?

Przez moment poczuł gniew, a potem zobaczył, że mijany przed chwilą robotnik ucieka w panice. John podniósł się tak szybko, jak tylko mógł, po czym skoczył w las. Biegł na oślep między drzewami. W lesie było ciemno. John potknął się i znów upadł, uderzając twarzą w miękkie przegniłe liście i wilgotną ziemię. Wstał chwiejnie, z wysiłkiem, i pobiegł dalej, lecz znów się przewrócił. Wstał po raz trzeci – a już sekundę później zbiegał po stromym stoku. Nie był w stanie utrzymać na nim równowagi. Potoczył się po stoku, zupełnie bezradny... Na szczęście ziemia była miękka. Zatrzymał się u stóp wzgórza. Wylądował twarzą w płytkiej bulgoczącej wodzie, która wlała mu się do nosa.

Strumień!

John był na siebie zły. Ależ ze mnie głupiec! Powinienem być pobiec do swojej willi! Niepotrzebnie wpadłem w panikę. Przeklinał sam siebie, znowu podnosząc się na nogi. I wtedy poczuł ostry ból w kostce, tak silny, że łzy napłynęły mu do oczu. Ostrożnie spróbował poruszyć stopą – być może naderwałem więzadło, pomyślał. Spróbował obciążyć stopę całym ciężarem ciała. Zaciśnął zęby z bólu. Tak! Nie ma wątpliwości, że staw został uszkodzony.

* * *

Tim i Lex siedzieli w sterowni parku.

– Szkoda, że nie zabrali nas do tego gniazda – odezwała się dziewczynka.

– To byłoby dla nas zbyt niebezpieczne – odpowiedział Tim. – Musimy siedzieć tutaj. Posłuchaj, Lex. – Wcisnął kolejny klawisz i w głośnikach na terenie całego parku rozległ się nagrany ryk tyranosaura.

– To było fajne! – ucieszyła się Lex. – Lepsze niż to, co zrobiłeś przed chwilą.

– Sama możesz go włączyć. A jeśli najpierw wcisniesz to, będzie jeszcze pogłos.

– To ja chcę! – Lex nacisnęła klawisz i tyranosaur znów zaryczał. – A czy może ryczeć dłużej?

– No pewnie. Wystarczy pokręcić o, tą gałką.

* * *

John Hammond leżał u stóp wzgórza. Wtem w dżungli rozległ się potężny ryk tyranosaura!

Jezu!

Stary John zadrżał. Przerażający ryk potwora z innego świata! John był zmuszony czekać na rozwój wypadków. Co zrobi młody tyranosaur? Czy dopadł już robotnika? Starszy pan siedział wśród zieleni, słysząc tylko cykady. Po chwili zorientował się, że nie oddycha, więc westchnął głęboko.

Nie zdołałby podejść po stoku z chorą nogą. Musi tkwić w parowie do czasu przybycia pomocy. Z próbami jej wzywania John wołał czekać, aż tyranozaur odejdzie. Na razie nie znajdował się w niebezpieczeństwie.

– Timmy, pozwól mi, ja chcę ryknąć, ja! – rozległo się nagle w lesie.

To moje wnuki!

Tyranozaur znowu potężnie ryknął, ale jakimś zmienionym komputerowo tonem, i jeszcze z czymś w rodzaju echa.

– Ale to było świetne! – odezwała się przez głośniki mała Lex. – Zrób tak jeszcze raz.

Moje wnuki bawią się w sterowni. Cholera!

Nie powinienem był ich tu sprowadzać. Od samego początku sprawiają tylko kłopoty. Nikt nie chciał, żeby tu były. Zaprosiłem je przecież tylko dlatego, że chciałem w ten sposób powstrzymać Donalda Gennaro przed podjęciem decyzji o zamknięciu parku. A ten i tak chce go zniszczyć. Kto właściwie pozwolił, żeby dzieci weszły do sterowni i bawiły się systemem komputerowym parku?!

John poczuł, że jego serce zaczęło nagle bić przerażająco szybko, miał też trudności z oddychaniem. Siłą woli zmusił się do zachowania spokoju. Przecież nic się nie stało. Nie dam rady podejść pod górę, ale jestem mniej niż sto metrów od bungalowu i głównego budynku. Hammond posiedział jeszcze chwilę na wilgotnej ziemi, uważnie nasłuchując odgłosów dżungli. A potem zaczął wołać głośno o pomoc.

* * *

– Po drugiej stronie... wszystko... wygląda inaczej – mówił urywanym szeptem Malcolm. Harding nachylił się nad matematykiem.

– Po drugiej stronie? – powtórzył. Miał wrażenie, że profesor ma na myśli zaświaty.

– Gdy... zmienia...

– Co się zmienia?

Ian nie miał siły mówić. Poruszył spuchniętymi wargami.

– Paradygmat – wyszeptał w końcu.

– Paradygmat się zmienia? – Harding słyszał o koncepcji zmian paradygmatu. Było to modne od jakichś dwudziestu lat spojrzenie na przemiany spowodowane osiągnięciami nauki. Paradygmat znaczył mniej więcej tyle co teoria naukowa, chociaż naukowcy lubili używać tego słowa w szerszym kontekście: był to sposób widzenia świata. Mówiło się, że za każdym razem, gdy rozwój nauki znacząco zmieniał sposób postrzegania przez nią rzeczywistości, następowała zmiana paradygmatu. Do tego rodzaju zmian dochodziło relatywnie rzadko, powiedzmy raz na sto lat. Zmianę paradygmatu spowodowała na przykład darwinowska teoria ewolucji. Albo narodziny mechaniki kwantowej – choć w tym przypadku zmiana była nieco mniej fundamentalna.

– Nie – zaprzeczył Malcolm. – Nie... Paradygmat... poza...

– Poza paradygmatem? – pytał Harding.

– Nie obchodzi... już... co...

Doktor westchnął. Mimo jego wysiłków Malcolm zdecydowanie wchodził w stan przedśmiertnego delirium. Gorączka wzrosła, antybiotyki się kończyły.

– Co już pana nie obchodzi? – zapytał Harding.

– Nic. Bo... po drugiej stronie... wszystko... wygląda inaczej.

Ian się uśmiechnął.

ZEJŚCIE

– Oszalałaś! – Donald patrzył, jak Ellie wsuwa się tyłem do króliczej nory niczym Alicja. Wyciągnęła ręce przed siebie... – Zwariowałaś. Zastanów się, co ty robisz!

– Może i zwariowałam – odpowiedziała Ellie z tajemniczym uśmiechem. Odepchnęła się rękami i nagle znikła.

Dziura w ziemi znów ziała czernią.

Donald spocił się ze strachu. Spojrzał na Roberta, który przez cały czas stał obok jeepa.

– Ja tam nie schodzę! – zastrzegł.

– Schodzisz – odpowiedział Robert.

– Ale ja nie mogę... nie jestem w stanie.

– Oni tam na ciebie czekają. Musisz zejść.

– Bóg jeden wie, co jest tam na dole! Mówię ci, nie dam rady.

– Musisz.

Donald zajrzał do dziury i znów popatrzył na Muldoona.

– Nie mogę – powtórzył. – Nie zmusisz mnie.

– Chyba nie – westchnął Robert, unosząc stalowy pręt. – Byłeś kiedyś porażony takim ościeniem?

– Nie.

– Nie robi wielkiej krzywdy. Prawie nigdy zwierzę nie pada martwe. Najkrócej mówiąc, zwała z nóg. No, można się przy tym zesrać, ale zwykle nie pozostawia trwałych urazów. To znaczy, mówię o dinozaurach. Człowiek jest oczywiście znacznie mniejszym zwierzęciem.

Donald wpatrywał się w groźne urządzenie.

– Nie zrobisz tego – szepnął.

– Lepiej włącz już i licz te młode. Szybko.

Donald znowu popatrzył na czarną dziurę, jakby ziemia otworzyła paszczę, żeby go pochłoniąć. Potem zerknął jeszcze raz na Roberta, który stał olbrzymi i niewzruszony.

Donald okropnie się pocił, kręciło mu się w głowie. Podeszedł do dziury. Z bliska wydawała się o wiele większa.

– O to chodzi – pochwalił go spokojnie Robert.

Donald wsunął nogi do jamy, ale w połowie drogi zdjęło go przerażenie. Nie potrafił się przemóc, żeby wpaść nogami prosto w paszczę nieznanego. W ostatniej chwili wyczołgał się,

odwrócił i wpęłzył do otworu głową naprzód, wyciągając ręce przed siebie i wierzgając energicznie nogami. W ten sposób przynajmniej będę widział, co mnie czeka, myślał. Założył maskę przeciwgazową.

I nagle ruszył naprzód, ziemne ściany wąskiego tunelu ustąpiły miejsca ciemności. Poczuł, że tunel staje się coraz węższy, przerażająco wąski! Ścisnęło go coraz mocniej, aż bolało. Wypuszczał powietrze z płuc. Zarejestrował fakt, iż tunel zaczął się lekko unosić. Ściany uderzały go boleśnie. Sapał, próbując złapać oddech, w oczach miał mroczki. Ból był okropny!

I nagle Donald śmignął w dół, ściany poszerzyły się szybko, a potem poczuł pod sobą chropawy beton, a wokół zimne powietrze. Zaczął toczyć się po betonie.

I spadł!

* * *

Głosy. Szepty w ciemności i dotykające go palce. Zimno i wilgoć jak w jaskini.

– ...orzędku?

– Nie widać, żeby coś mu się stało.

– Przynajmniej oddycha.

– Tak.

Donald poczuł na twarzy kobiecą dłoń. To musi być Ellie.

– Słyszysz mnie? – szepnęła.

– Dlaczego szepczecie? – spytał.

– Patrz. – Pokazała coś ręką.

Donald obrócił się i powoli podniósł z betonu. Jego wzrok stopniowo przyzwyczajał się do ciemności. Najpierw zobaczył... oczy, zielone oczy świejące w ciemności. Całe dziesiątki par oczu.

Otaczały go ze wszystkich stron.

* * *

Donald zobaczył, że znajduje się na czymś w rodzaju betonowej półki czy wału, mniej więcej dwa metry nad dnem betonowej jaskini. Jego, Ellie i Alana osłaniały wielkie skrzynki z urządzeniami elektrycznymi. Zaraz za nimi, w odległości mniej niż półtora metra, stały dwa dorosłe welociraptory! Ciemnozielone w brązowawe paski, na podobieństwo tygrysich. Wyciągały ogony, żeby nie upaść do przodu. Stały w ciszy, rozglądając się uważnie dużymi ciemnymi oczami. U ich stóp ganiały się małe ćwierkające młode. Nieco dalej bawiły się dojrzejące osobniki – wpadały na siebie, tarzały się, warcząc i rycząc krótko.

Donald nie miał śmiałości oddychać. Dwa welociraptory tuż obok niego!

Kucał na betonowej półce, może ze czterdzieści centymetrów ponad łbami śmiertelnie niebezpiecznych drapieżników. Rozglądały się nerwowo, to podnosiły, to opuszczały łby, od

czasu do czasu parskały niecierpliwie. W końcu odeszły, dołączając do głównej grupy zwierząt.

Oczy Donalda przyzwyczały się już do ciemności i widział, że znajduje się wewnątrz olbrzymiej podziemnej budowli przypominającej jaskinię, ale zrobionej ludzką ręką – wszędzie beton i stalowe dźwigary. W ogromnej zamkniętej przestrzeni odbijały się echem odgłosy zwierząt. Donald oszacował ich liczbę na co najmniej trzydzieści. Może więcej. Trzydzieści kilka welociraptorów!

– To cała kolonia – szepnął Alan. – Cztery czy też sześć dorosłych osobników, reszta – mniejsze i całkiem małe. Pochodzą z co najmniej dwóch lęgów. Jeden miał miejsce w zeszłym roku, a drugi w tym. Te małe mają po mniej więcej cztery miesiące, musiały wykluć się w okolicach kwietnia.

Jeden z małych ciekawskich welociraptorów wdrapał się po betonie na półkę i nadbiegł, popiskując. Przystanął jakieś trzy metry od ludzi.

– Jezu – jęknął cicho Donald, a wtedy jeden z dorosłych welociraptorów podszedł, uniósł łeb i delikatnie musnął paszczą młode, żeby wróciło. Młode zaskrzeczało na znak protestu, ale skoczyło rodzicowi na paszczę. Welociraptor obrócił powoli szyję, pozwalając małemu przeleźć mu po głowie i szyi aż na grzbiet. Wyładowawszy tam, młode poczuło się bezpiecznie i zaczął głośno na troje intruzów.

Ale dorosłe welociraptory chyba wciąż ich nie zauważyły.

– Nie rozumiem – szepnął Donald. – Dlaczego nas nie atakują?

– Z całą pewnością nas nie widzą – wyjaśnił Alan. – Poza tym w tej chwili nie ma żadnych jaj, więc dorosłe osobniki są spokojniejsze.

– Spokojniejsze?! – powtórzył Donald, kręcąc głową. – Długo będziemy tu siedzieli?

– Dopóki ich nie policzymy – odpowiedział szeptem Alan.

* * *

Alan stwierdził, że w gocie są trzy gniazda welociraptorów, a przy każdym z nich po dwa dorosłe osobniki, bez wątplenia rodzice młodych. Obserwował wyraźny podział terytorialny w stadzie – poszczególne rodziny trzymały się bezpośredniego otoczenia swoich gniazd, chociaż młode od czasu do czasu mieszały się ze sobą, wbiegając na terytoria innych rodzin. Dorosłe osobniki traktowały młode łagodnie, dorastające zaś – bardziej surowo, od czasu do czasu kłapiąc tuż przy nich groźnie paszczami, kiedy ich igraszki stawały się zbyt brutalne.

W pewnej chwili do Ellie podeszło młode, i nie czekając, otarło się łebkiem o jej nogę! Ellie od razu zauważyła obrożę z nadajnikiem. Pod nim szyja zwierzęcia była wilgotna. Nadajnik ocierał mu skórę.

Młode zakwiliło.

Jeden ze stojących dalej dorosłych welociraptorów spojrzał z zaciekawieniem w stronę, z której dobiegł odgłos.

– Mogę ją zdjąć? – szepnęła Ellie.

– Byle szybko.

– Taak... – Ellie przykucnęła, a zwierzątko przy niej znowu zakwiliło.

Dorosłe welociraptory zaczęły parskać i podnosić łby.

Ellie pogłaskała młode, żeby ucichło. Odpięła osłaniający klamrę rzep – welociraptory w grocie drgnęły.

Po czym jeden z nich zaczął podchodzić do półki.

– Ja pierdolę... – szepnął Donald.

– Nie ruszaj się – ostrzegł Alan. – Spokojnie.

Welociraptor minął ich, stukając twardymi szponami o beton. Zatrzymał się koło Ellie, która przywarła do metalowej skrzynki. Młode znajdowało się blisko krawędzi półki i Ellie wciąż trzymała rękę na jego szyi. Welociraptor zaczął węszyć. Jego łeb był bardzo blisko dłoni Ellie, choć zwierzę nie widziało jej, bo była zasłonięta skrzynką. Welociraptor powoli wysunął i schował język.

Alan złapał granat z gazem, lecz Donald chwycił go za nadgarstek i pokręcił głową, pokazując Ellie.

Nie miała na twarzy maski.

Alan odłożył granat i sięgnął po oścień z paralizatorem. Welociraptor wciąż stał przy Ellie.

Ostrożnie odpięła sprzączkę i obroża zsunęła się i brzęknęła o beton. Welociraptor drgnął, a potem pochylił głowę, patrząc z zaciekawieniem. Zrobił krok do przodu. Wtedy młode z radosnym piskiem skoczyło i odbiegło. Dorosły welociraptor przystanął, a po chwili odwrócił się i poszedł do swojego gniazda.

Donald odetchnął głęboko.

– Jezu Chryste, czy możemy stąd wyjść?! – szepnął.

– Nie – odrzekł Alan. – Ale myślę, że możemy zabrać się do roboty.

* * *

Alan patrzył teraz przez gogle noktowizyjne, stojąc na betonowej półce. Przyglądał się uważnie najbliższemu z gniazd. Było zbudowane z błota i słomy i miało kształt szerokiego płytkiego kosza. Policzył, że wcześniej leżało w nim czternaście jaj. Nie był w stanie zliczyć potłuczonych na drobniejsze fragmenty skorup, nie znajdując się w samym gnieździe, widział jednak czternaście wyraźnych wgłębień w błocie. Widocznie welociraptory musiały więc gniazda na krótko przed złożeniem jaj i po jajach pozostawały trwałe wgłębienia. Widział też szczątki, które świadczyły o tym, że jedno pękło przed wylęgiem. Uznał więc, że w gnieździe wykluło się trzynaście welociraptorów.

Drugie gniazdo pękło na pół. Alanowi wydawało się, że wylęgło się w nim dziewięć małych drapieżników. W trzecim gnieździe było piętnaście jaj, z czego trzy niewątpliwie zostały rozbite, zanim młode zdołały się wykluć.

– Ile ich wszystkich jest? – spytał Donald.

– W sumie wylęgły się trzydzieści cztery welociraptory.

– A ile młodych widzisz tutaj?

Alan pokręcił głową. Młode biegały po całej grocie, nie sposób było ich policzyć.

– Liczę je od dłuższego czasu – szepnęła Ellie, ostrożnie oświetlając latarką notes. – Trzeba by zrobić zdjęcia, ale widzę, że każde z młodych ma na paszczy inny wzór. Naliczyłam ich trzydzieści trzy.

– A tych starszych młodych?

– Dwadzieścia dwa. Widzisz, Alanie, jak ciekawie się zachowują?

– Co masz na myśli?

– Spójrz, jak są rozstawione. Cały czas tworzą w pomieszczeniu jakby wzór czy układ.

– Ciemno tu – szepnął z powątpiewaniem Alan.

– Nie, przyjrzyj się dobrze. Patrz na te średnie. Kiedy się bawią, biegają chaotycznie. Ale kiedy stoją, są zwrócone paszczami do tamtej ściany albo do przeciwległej. Jakby formowały szyk.

– Nie wiem. Myślisz, Ellie, że to układ związany z całością kolonii? Tak jak szeregują się pszczoły w ulu?

– Nie, myślę, że nie aż tak. Po prostu mają skłonność do ustawiania się w określony sposób.

– Obserwujesz to także u tych malutkich? – spytał Alan.

– U wszystkich, malutkich i dorosłych także. Poprzyglądaj im się przez dłuższą chwilę. Mówię ci, ustawiają się w szyku.

Alan ściągnął brwi. Rzeczywiście, Ellie chyba miała rację. Welociraptory w różnym wieku wykonywały rozmaite czynności, ale kiedy stały, obserwując otoczenie czy odpoczywając, wyglądały, jakby ustawiały się wzdłuż narysowanych na podłodze linii.

– To jest niezwykle – szepnął Alan. – Może ustawiają się do wiatru?

– Nie czuję najmniejszego powiewu.

– Jak myślisz, dlaczego to robią? – zastanawiał się Alan. – Czy to wyraz ich organizacji społecznej?

– Raczej nie, bo przecież wszystkie stają tak samo – zauważyła Ellie.

– Wiedziałem, że ten kompas kiedyś mi się przyda – mruknął Donald, unosząc tarczę zegarka, pod którą znajdowała się igła kompasu.

– Potrzebny ci w sądzie kompas? – zadrwił Alan.

– Nie, dostałem ten zegarek na urodziny od żony – wyjaśnił Donald i przyjrzał się igle. – Nie, nie stoją według stron świata – ocenił. – Są ustawione mniej więcej na linii północny wschód – południowy zachód, i to niedokładnie.

– A może słyszą jakieś odgłosy i ustawiają łby tak, żeby jak najlepiej słyszeć? – wysunęła kolejną hipotezę Ellie.

Alan tylko ściągnął brwi.

– Może to po prostu ich rytualne zachowanie? – zastanawiała się Ellie. – Charakterystyczne dla ich gatunku, które pomaga im identyfikować przynależność do niego innych osobników. Albo niemające żadnego konkretnego znaczenia. – Westchnęła. – Może są po prostu dziwne, i tyle. Może dinozaury są dziwne. Ale może się w ten sposób komunikują?

Ostatni z wielu pomysłów Ellie był tożsamy z podejrzeniami Alana. Pszczoły komunikują się ze sobą w przestrzeni, wykonując coś w rodzaju tańca. Być może dinozaury też potrafią to robić?

Donald patrzył i patrzył, aż w końcu zapytał:

– Dlaczego one nie wyjdą sobie po prostu na dwór?

– Bo to nocne zwierzęta.

– Mimo wszystko sprawiają wrażenie, jakby się ukrywały.

Alan wzruszył ramionami. Wtem małe welociraptorki zaczęły pisać i podskakiwać z ożywieniem. Dorosłe rozejrzały się uważnie, a potem całe wielkie stado welociraptorów rzuciło się gromadnie do ucieczki ciemnym tunelem, skrzecząc i pisząc.

HAMMOND

John Hammond usiadł ciężko na wilgotnej ziemi na stoku wzgórza i dyszał, z trudem łapiąc powietrze. Był wyczerpany. Boże, ależ gorąco! – myślał. Gorąco i wilgotno. Czuł się tak, jakby oddychał przez gąbkę.

Popatrzył z góry na strumień płynący teraz kilkanaście metrów poniżej niego. Wydawało mu się, że minęły całe godziny, zanim zdecydował się na podjęcie wspinaczki. Kostka zdążyła spuchnąć i nabrała ciemnopurpurowej barwy. John nie mógł jej ani trochę obciążać, więc skakał mozolnie w górę na jednej nodze. Teraz bolała go także i druga kostka, od nadmiernego obciążenia.

Chciało mu się pić. Zanim odszedł od strumienia, napił się z niego wody, choć wiedział, że to nierozważne. Kręciło mu się w głowie, czasem świat wokół niego chwiało się tak, że John z trudem utrzymywał równowagę. Wiedział jednak, że po prostu musi wspiąć się na wzgórze i dotrzeć do ścieżki. Wydawało mu się, że w ciągu minionej godziny kilkakrotnie słyszał na ścieżce kroki i za każdym razem wołał o pomoc. Widocznie jednak jego głos nie niósł się wystarczająco daleko, bo do tej pory nikt go nie uratował. Zdawał sobie sprawę, że w końcu zrobi się ciemno, więc chcąc nie chcąc, ruszył pod górę.

Niežnośne dzieciaki! – pomyślał o swoich wnukach.

Potrząsnął głową, żeby przytomniej myśleć. Wspinał się już od ponad godziny, a pokonał zaledwie jedną trzecią stoku. Był zmęczony i dyszał jak stary pies. Noga bolała jak diabli. Wciąż kręciło mu się w głowie. Oczywiście wiedział, że nie jest w żadnym niebezpieczeństwie – w końcu jego bungalow jest prawie w zasięgu wzroku. Nie ulega jednak wątpliwości, że się zmęczył. Nie miał siły wstać.

Nic dziwnego, że jestem zmęczony, myślał. Mam przecież siedemdziesiąt sześć lat. To nie jest wiek na wspinanie się na górkę. Choć i tak jestem w znakomitej kondycji. Myślę, że raczej dożyję setki. Wystarczy, że będę nadal o siebie dbał, wciąż prowadził aktywny tryb życia. Mam mnóstwo powodów, by żyć. Zbuduję kolejne parki. Następne cuda czekają, by je stworzyć...

Wtem usłyszał pisk, a potem świergot. Pewnie jakieś małe ptaki skaczą w leśnym poszyciu. W ciągu ostatnich kilku godzin słyszał odgłosy najrozmaitszych małych zwierząt. Wiedział, że na wyspie żyją szczury, oposy, węże.

Piski stały się głośniejsze i John zobaczył spadające obok niego malutkie grudki ziemi. Coś nadbiegało. Stwierdził, że po stoku zbiega w podskokach nieduże ciemnozielone stworzenie, a potem drugie i trzecie...

Prokompsoognaty! – pomyślał i przeszedł go zimny dreszcz.

Padlinożercy.

Prokompsoognaty nie wyglądały groźnie. Rozmiarami przypominały kurczaki i miały podobnie nerwowe ruchy. John wiedział jednak, że te miniaturowe dinozaury są jadowite. Ich ślina działa jak trucizna, powoli zabijając okaleczone zwierzęta.

Okaleczone zwierzęta! – powtórzył w myślach i spiął się.

Najbliższy z prokompsoognatów przystanął i przyglądał mu się z góry. Był jakieś półtora metra od Johna, zachowując bezpieczny dystans. Nadbiegły kolejne i ustawiły się w szeregu. Patrzyły. Podskakiwały, ćwierkając i machając łapkami przypominającymi malutkie ręce, wyposażonymi w malutkie szpony.

– Sio! – krzyknął John. – Zjeżdżajcie! – Rzucił w nie kamieniem.

Prokompsoognaty rozproszyły się, ale odskoczyły tylko może o pół metra. Nie bały się. Chyba rozumiały, że John nie potrafi zrobić im krzywdy.

Ze złością odłamał niedużą gałąź od najbliższego drzewka i zamachnął się nią. Prokompsoognaty skoczyły gromadnie, zaczęły skubać liście i piszczeć. Wyglądały na bardzo zadowolone. Uznały to za zabawę.

John znowu zaczął myśleć o ich trującej ślinie. Pamiętał, jak prokompsoognat trzymany w klatce ugryzł jednego z opiekunów. Ten opiekun opowiadał potem, że podtruty czuł się jak po zażyciu jakiegoś narkotyku – był spokojny, rozmarzony, ranka go nie bolała.

Głównie chciało mu się spać.

Cholera! – pomyślał ze złością Hammond. Złapał drugi kamień, wycelował starannie i rzucił, trafiając najbliższego prokompsoognata prosto w pierś. Stworzenie skrzeknęło przeraźliwie i runęło na ziemię. Pozostałe natychmiast cofnęły się kilka kroków.

Tak lepiej!

John odwrócił głowę i podniósł się, a potem z wysiłkiem ruszył pod górę, skacząc i przytrzymując się obiema rękami gałęzi. Bolało go już nadmiernie obciążone udo. Przebył jakieś trzy metry, kiedy nagle na plecy wskoczył mu prokompsoognat. John zamachał przeraźliwie rękami, zrzucając zwierzę, jednak przewrócił się przy tym i stoczył parę metrów

w dół! Gdy już się zatrzymał, przyskoczył do niego inny prokompsoognat i ugryzł go w rękę, wyszarpując kawałek mięsa! John patrzył przerażony na swoją dłoń, po której lała się krew. Podniósł się i wrócił do mozolnej wspinaczki, tym razem na kolanach.

Znowu skoczył mu na plecy któryś z prokompsoognatów i John poczuł ostre ukąszenie w tył szyi. Krzyknął z bólu i przerażenia, zrzucając zwierzę silnym uderzeniem. Odwrócił się przodem do stada prokompsoognatów, oddychając ciężko. A one otoczyły go ze wszystkich stron, skacząc i przekrzywając łebki. Przyglądały mu się uważnie. Czuł, że ciepła krew spływa mu od szyi, między łopatkami, w dół kręgosłupa.

Położył się na plecach. Zaczynał czuć się dziwnie spokojny, zrelaksowany i jakby oddzielony od własnego ciała. Ale przecież nic złego się nie działo. Nie, nie popełniliśmy żadnego błędu. Analiza profesora Malcolma była błędna. John leżał nieruchomo, jak dziecko w kołysce, ogarnięty cudownym spokojem. Kiedy nadbiegł następny prokompsoognat i ugryzł go w kostkę, John poruszył nogą, żeby go odgonić, ale bez specjalnego gniewu. Zwierzęta zbliżyły się. Wkrótce ćwierkały nad nim ze wszystkich stron jak stado podekscytowanych ptaków. Jeden skoczył mu na pierś. John uniósł głowę, zdziwiony lekkością i delikatnym wyglądem prokompsoognata, który ugryzł go w szyję i zaczął zjadać. John czuł tylko lekki ból.

PLAŻA

Alan biegł śladem welociraptorów betonowym tunelem, który zakręcał, wznosił się i opadał. I nagle wypadł prosto na plażę. Przed jego oczami falował Pacyfik. Dookoła skakały po piasku małe welociraptory. Właściwie wszystkie wraz z dorosłymi oddalały się w tym samym kierunku – w stronę kępy palm rosnących na skraju namorzynowego bagna. Zwierzęta chowały się w cieniu, stając w nietypowy sposób, jakby w szeregach. Wszystkie wpatrywały się w ocean skierowane głowami na południe.

– Nie rozumiem ich zachowania – przyznał Donald.

– Ja też nie – odpowiedział Alan – poza jednym: bez wątpienia nie cierpią słońca. – Słońce wcale nie paliło już tak mocno, plaża była zamglona, ocean także. Jednak dlaczego welociraptory tak nagle opuściły gniazda? Co sprowadziło na plażę całą ich kolonię?

Donald uniósł tarczę zegarka i popatrzył na igłę kompasu.

– Znowu ustawiły się w tym samym kierunku – powiedział. – Północny wschód – południowy zachód.

Z lasu dobiegało bzyczenie transformatora zasilającego ogrodzenie.

– Przynajmniej wiemy, jaką drogą pokonywały płoty – odezwała się Ellie.

Po chwili usłyszeli jeszcze inny odgłos – jakby basowy warkot. Z mgły na południe od nich wyłonił się statek. Duży frachtowiec. Posuwał się powoli na północ.

– To dlatego wybiegły? – odgadł Donald.

– Musiały usłyszeć statek. – Alan pokiwał głową.

Frachtowiec mijał plażę, a wszystkie welociraptory wpatrywały się w niego, stojąc nieruchomo i cicho, jeśli nie liczyć pojedynczych ćwierknięć czy pisków młodych. Alan był zafascynowany ich zachowaniem – wszystko, co robiły, robiły całym stadem. A może to wcale nie jest aż tak bardzo zagadkowe? – pomyślał, przypominając sobie ich ucieczkę.

Najpierw ożywiły się młode, potem stały się czujne dorosłe osobniki, wreszcie całe stado rzuciło się pędem w stronę plaży. Płynie z tego wniosek, że młodsze welociraptory mają lepszy słuch niż starsze. Jednak to dorosłe welociraptory poprowadziły stado na plażę i teraz wyraźnie sprawowały kontrolę nad młodszymi. Wszystkie rozstawiły się równomiernie i młode nie bawiły się już, jak pod ziemią, ale jak gdyby stały na baczność niczym pułk wojska. Dorosłe osobniki rozstawiły się mniej więcej co trzy metry, każdego z nich otaczała grupka młodych. Starsze młode stały między dorosłymi welociraptorami i nieco przed nimi.

W świetle późnego popołudnia Alan dostrzegł różnice między dorosłymi osobnikami. Wyodrębnił samicę, która miała charakterystyczny pas na łbie i stała w samym środku stada. Ta sama samica znajdowała się w środku stada również i pod ziemią. U welociraptorów panował najwidoczniej matriarchat, podobnie jak u niektórych żyjących stadnie małp. Samica z pasem na głowie musi być samicą alfa. Samce stały na obu skrzydłach stada.

Stada małp nie były aż tak zorganizowane jak to. Welociraptory naprawdę stały w szyku bardzo przypominającym formację wojskową. No i dlaczego ustawiały się akurat w kierunku północny wschód – południowy zachód? Na to Alan nie znajdował żadnego wytłumaczenia. Choć z drugiej strony nie był specjalnie zdziwiony.

Paleontolodzy już od tylu dziesięcioleci wydobywali z ziemi skamieniałości dinozaurów, że zapomnieli, jak niewiele informacji o zwierzęciu można wywnioskować na podstawie samego szkieletu. Kości mogą dać ogólne wyobrażenie o wyglądzie zwierzęcia jego pokroju. Można domyślić się, jak przyłączone były do kości mięśnie, jak wyglądały i jaki tryb życia mogło prowadzić wyposażone w nie zwierzę. Można było stwierdzić występowanie niektórych chorób – tych wpływających na stan kości. Jednak przecież szkielet to nie najlepsze źródło informacji o zwyczajach zwierząt.

Paleontolodzy wyciągali wnioski na podstawie znajdowanych kości, ponieważ niczym innym nie dysponowali. Podobnie jak inni Alan stał się ekspertem od wnioskowania o zwierzęciu na podstawie budowy jego kośćca. I on zaczął zapominać, że niektórych rzeczy nie da się w ten sposób wykazać. Życie osobnicze i zwyczaje społeczne dinozaurów mogły być zupełnie inne niż to, jakie obserwuje się u współczesnych ssaków. A poza tym dinozaury są w zasadzie najbardziej podobne do ptaków, więc...

– O Boże! – powiedział nagle na głos Alan, doszedłszy do tego punktu swoich rozważań.

Wpatrywał się w ustawione na plaży w równym szyku welociraptory, które nie odrywały wzroku od statku. Już rozumiał, na co patrzy!

– One z całego serca pragną uciec z tej wyspy – powiedział Donald, kręcąc głową.

– Nie, nie uciec – odrzekł Alan.

– Nie?

– One chcą migrować.

ZMIERZCH

– Wędrownie dinozaury! – zachwyciła się Ellie. – To fantastyczne!

– Tak. – Alan uśmiechał się od ucha do ucha.

– Jak myślisz, dokąd chcą popłynąć?

– Nie wiem.

W tej samej chwili z mgły wyłoniły się duże helikoptery, grzmiąc wirnikami. Nadlatywały nad wyspę, a pod ich brzuchami wisiało groźnie wyglądające uzbrojenie... Jeden z nich skręcił i zaczął lecieć wzdłuż plaży. Welociraptory rozpięchły się przerażone. Śmigłowiec zniżył się i wylądował na piasku. Otworzyły się drzwi i z maszyny wyskoczyli żołnierze w oliwkowych mundurach, biegnąc do Alana, Ellie i Donalda. Słychać było wydawane po hiszpańsku rozkazy. Alan zobaczył, że w śmigłowcu znajduje się już Robert Muldoon, a także Tim i Lex.

– Proszę z nami – odezwał się po angielsku jeden z żołnierzy. – Proszę. Nie ma czasu.

Alan popatrzył w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się duże stado welociraptorów. Teraz nie było ani jednego. Znikły, jakby nigdy nie istniały. Żołnierze zaczęli ciągnąć Alana za rękawy, więc pozwolił im zaprowadzić się pod hurgoczący wirnik i wszedł do helikoptera. Muldoon nachylił się i krzyknął Alanowi do ucha:

– Zabierają nas stąd, bo chcą zrobić porządek z wyspą od razu!

Żołnierze pomogli Alanowi, Ellie i Donaldowi zająć miejsca w maszynie i zapiąć pasy. Tim i Lex pomachali do Alana, a on nagle zdał sobie sprawę, jak małymi dziećmi jeszcze oboje są. Wyglądali na wyczerpanych. Lex ziewnęła i oparła główkę o ramię brata.

Obok Alana pojawił się oficer.

– Pan tu rządzi, *señor*? – spytał.

– Nie.

– A kto?

– Nie wiem.

Oficer stanął z kolei nad Donaldem.

– Pan tu rządzi? – powtórzył pytanie.

– Nie – zaprzeczył Donald.

Oficer spojrzał na Ellie, ale jej nie spytał. Śmigłowiec oderwał się od ziemi; nie zasunięto drzwi. Alan wychylił się, żeby choć na chwilę zobaczyć jeszcze welociraptory, ale helikopter szybko znalazł się nad koronami palm i skierował ku północnej części wyspy.

– Co z pozostałymi?! – krzyknął Alan, nachylając się do ucha Muldoona.

– Zabrali już Hardinga i kilku robotników. Hammond miał wypadek. Znaleźli go na stoku pagórka, niedaleko bungalowu. Musiał się sturlać.

– I co? Żyje?

– Nie. Załatwiły go prokompognaty.

– A co z Ianem Malcolmem?

Robert pokręcił tylko głową.

Alan był tak wyczerpany, że prawie nic nie czuł. Odwrócił głowę i wyrżał przez otwarte drzwi. Ściemniało się. Nagle dostrzegł sylwetkę małego tyranozaura. Na widok przelatującego z rykiem śmigłowca zwierzę uniosło łeb. Drapieżnik miał zakrwawioną paszczę. Kuczał nad martwym hadrozaurem, nad brzegiem laguny.

Wtem, z tyłu, rozległy się eksplozje. Z przodu zaś wojskowy śmigłowiec sunął przez mgiełkę nad głównym budynkiem ośrodka. Zaraz potem szklana budowla znikła w olbrzymiej kuli ognia.

Lex zaczęła płakać. Ellie objęła ją i przemawiała do niej, tak aby odwrócić jej uwagę.

Alan patrzył na wyspę. Po raz ostatni spojrzał na hipsylofodonty uciekające po łące szybko i zwinnie jak gazy. Zaraz potem kolejna kula pomarańczowego ognia zmiotła je z powierzchni ziemi. Helikopter nabrał wysokości i skręcił na wschód, wzlatując nad ocean.

Alan opadł na oparcie fotela. Myślał o stojących na plaży dinozaurach i o tym, dokąd by się udały, gdyby miały okazję dać upust instynktownemu pędowi ku migracji. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że nigdy się tego nie dowie, i równocześnie odetchnął z ulgą.

Ten sam co wcześniej oficer znowu nachylił się nad nim i spytał:

– Pan u rządu?

– Nie – powtórzył Alan.

– Proszę, señor. Kto tu rządzi?

– Nikt – odrzekł Alan.

Śmigłowiec nabierał prędkości. Leciał na stały ląd. Zrobiło się zimno i żołnierze zasunęli drzwi. Alan obejrzał się i ostatni raz popatrzył na wyspę Nublar. Ujrzał ją całą, owianą mgłą, w której wnętrzu rozbłyskiwały pomarańczowe eksplozje, jedna po drugiej. Po chwili wydawało się, że cała wyspa jarzy się pomarańczowym blaskiem. Malą w oczach, stając się już tylko coraz mniejszą plamą w zapadających ciemnościach.

EPILOG

SAN JOSÉ

Mijały dni. Władze Kostaryki traktowały wywiezionych z wyspy Amerykanów bardzo dobrze. Zwracano się do nich grzecznie i umieszczono ich w bardzo przyjemnym hotelu. Mogli z niego wychodzić, poruszać się swobodnie po mieście, mogli kontaktować się, z kim chcieli. Nie wolno im było tylko opuszczać Kostaryki. Codziennie odwiedzał ich młody pracownik ambasady amerykańskiej, pytał, czy czegoś potrzebują, tłumaczył, że władze w Waszyngtonie robią wszystko, co w ich mocy, aby zezwolono im na jak najszybszy wyjazd. Jednak fakty pozostawały faktami: na terenie objętym jurysdykcją Kostaryki zginęło mnóstwo osób. Ledwo udało się uniknąć katastrofy ekologicznej na niewyobrażalną skalę. Rząd Kostaryki stał na stanowisku, że John Hammond wprowadził go w błąd, zatajając rzeczywiste powody, dla których zainteresował się bezludną kostarykańską wyspą. Biorąc to pod uwagę, nie spieszo się z wypuszczeniem pozostałych przy życiu Amerykanów. Nie pozwalano nawet na pochowanie szczątków Johna Hammonda czy Iana Malcolma. Władze środkowoamerykańskiego kraju czekały.

Alan był prawie codziennie wzywany przed oblicze rozmaitych grzecznych i inteligentnych osób prowadzących śledztwo. Musiał wciąż od nowa opowiadać o tym, co przeżył na wyspie Nublar. Pytano go, jak poznał Johna Hammonda i co wiedział o jego przedsięwzięciu. O to, dlaczego Alan pojechał na wyspę. I o wszystko, co się tam działo.

Dzień po dniu podawał te same szczegóły. Był zdania, że przez długi czas sądzono, iż kłamie. I że jest coś, co kostarykańskie władze chcą mu powiedzieć, choć nie domyślał się, o co chodzi. Równocześnie Kostarykanie jakby wyraźnie na coś czekali.

Wreszcie pewnego popołudnia, kiedy Alan siedział przy hotelowym basenie, obserwując pluskających się w wodzie Tima i Lex, podszedł do niego jakiś Amerykanin w ubraniu khaki.

– Nie zna mnie pan – odezwał się. – Nazywam się Marty Guitierrez. Jestem naukowcem, prowadzę badania na placówce w Cararze.

– To pan znalazł na plaży fragment ciała prokompsognata – przypomniał sobie Alan.

– Zgadza się. – Guitierrez usiadł na leżaku obok Alana. – Z pewnością nie może się pan doczekać powrotu do domu?

– Owszem. Zostało jeszcze tylko parę dni na prowadzenie wykopalisk, potem zacznie się zima. Wie pan, w Montanie pierwszy śnieg zwykle pada już w sierpniu.

– Czy to dlatego Fundacja Hammonda wspierała prace wykopaliskowe prowadzone w chłodniejszych rejonach świata? – spytał Marty. – Dlatego, że tam łatwiej o nienaruszone zębem czasu fragmenty DNA dinozaurów?

– Tak, sądzę, że dlatego – zgodził się Alan.

Guitierrez pokiwał głową.

– Inteligentna bestia była, ze starego Hammonda.

Alan nie odpowiedział. Guitierrez umościł się wygodnie na leżaku i ciągnął:

– Kostarykańskie władze nie chcą panu powiedzieć – nie chcą, ponieważ się boją, a może i dlatego, że mają panu za złe to, co się stało – ale w bardziej odludnych rejonach tego kraju dzieją się bardzo dziwne rzeczy.

– Zwierzęta atakują noworodki?

– Nie, dzięki Bogu to się skończyło. Jednak dzieje się coś innego. Wiosną, w rejonie Ismaloyi – to na północy – jakieś nieznane zwierzęta narobiły szkód w uprawach, zjadając je w bardzo szczególny sposób. Otóż dzień po dniu posuwały się od wybrzeża ku górą, gdzie jest dżungla. Prosto, niemal jak wzdłuż narysowanych linii.

Alan aż podskoczył na leżaku.

– Kojarzy mi się to z wędrówkami zwierząt – dodał Marty. – Nie uważa pan?

– A co jadły?

– To też było dziwne, bo tylko jeden gatunek fasoli i soję. Czasami także kurczaki.

– Wszystko to jest pożywienie bogate w lizynę – stwierdził Alan. – I co stało się z tymi nietypowymi zwierzętami?

– Prawdopodobnie dotarły do dżungli. W każdym razie nie odnaleziono ich. Trudno zresztą byłoby szukać ich w dżungli. Moglibyśmy spędzić całe lata w dżungli w rejonie Ismaloyi i nie znaleźć poszukiwanego gatunku zwierząt.

– Dlaczego nas tutaj trzymają?

Guitierrez wzruszył ramionami.

– Władze Kostaryki się boją. Być może są tu gdzieś jeszcze inne dinozaury, w związku z którymi czekają ich nowe kłopoty. Wolą być ostrożni.

– A czy pan uważa, że w Kostaryce są jeszcze jakieś inne dinozaury? – spytał Alan.

– Trudno mi powiedzieć. A jak pan sądzi?

– Mnie także trudno powiedzieć.

– Ale podejrzewa pan, że mogą być? – chciał wiedzieć Guitierrez.

– Mogą. – Alan pokiwał głową. – Tak, uważam, że to możliwe.

– Zgadza się z panem.

Marty wstał z leżaka i pomachał Timowi i Lex.

– Dzieci pewnie odeślą do domu – powiedział jeszcze. – Nie ma powodu, żeby je tu przetrzymywać. – Założył ciemne okulary. – Proszę cieszyć się pobylem w Kostaryce, panie profesorze. To przepiękny kraj.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie wypuszczą nas do Stanów? – upewnił się Alan.

– Mnie też nie wypuszczą – odpowiedział z uśmiechem doktor Guitierrez. Odwrócił się i zniknął w drzwiach hotelu.

PODZIĘKOWANIA

Przygotowując się do napisania niniejszej powieści, korzystałem z prac wielu wybitnych paleontologów, szczególnie Roberta Bakker'a, Johna Homera, Johna Ostroma oraz Gregory'ego Paula. Czerpałem także z rysunków nowej generacji ilustratorów: Kennetha Carpentera, Margaret Colbert, Stephena i Sylvii Czerkasów, Johna Gurche'a, Marka Halletta, Douglasa Hendersona czy Williama Stouta, których rekonstrukcje dinozaurów uwzględniają najnowsze spojrzenie na zachowanie tych zwierząt.

Niektóre przedstawione przeze mnie w tej książce idee związane z DNA wymarłych zwierząt zostały sformułowane po raz pierwszy przez Charlesa Pellegrina, który z kolei opierał się na wynikach badań prowadzonych przez George'a O. Poinara juniora oraz Robertę Hess, twórców zespołu o nazwie Extinct DNA Study Group z uniwersytetu w Berkeley. Niektóre z myśli związanych z teorią chaosu zaczerpnąłem od Ivara Ekelanda i Jamesa Gleicka. Inspiracją dla zamieszczonych w książce grafik były symulacje komputerowe autorstwa Boba Grossa. Źródłem prowokacji Iana Malcolma były pisma nieżyjącego już Heinza Pagelsa.

Niezależnie od powyższego ta książka to w całości fikcja literacka. Wyrażone w niej myśli są moimi opiniami, a wszelkie błędy rzeczowe zawarte w tekście – moimi błędami.